

# STAR WARS

PRZEZNACZENIE JEDI



APOKALIPSA

TROY DENNING



# STAR WARS

PRZEZNACZENIE JEDI



APOKALIPSA

TROY DENNING



PRZEZNACZENIE JEDI IX

APOKALIPSA

# TROY DENNING

Przekład

Błażej Niedziński

Redakcja stylistyczna

Magdalena Stachowicz

Korekta

Renata Kuk

Barbara Cywińska

Projekt graficzny i ilustracja na okładce

Ian Keltie

Ilustracja z tyłu okładki

© Edith Held/Corbis (twarz mężczyzny)

© Pete Leonard/Corbis (twarz kobiety)

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału

Fate of the Jedi: Apocalypse

Copyright © 2012 by Lucasfilm, Ltd. & ® or ™ where indicated.

All Rights Reserved.

Used Under Authorization.

For the Polish translation

Copyright © 2012 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4348-1

Warszawa 2012. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel.22 620 40 13, 22 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

*Sue Rostoni*

*Praca z Tobą w Rozszerzonym Wszechświecie Gwiezdnych Wojen była radością i zaszczytem.*

*Dobrej zabawy przy następnej przygodzie!*

## **BOHATEROWIE POWIEŚCI**

Abeloth - istota płci żeńskiej

Allana Solo - dziewczynka

Ben Skywalker - Rycerz Jedi (mężczyzna)

C-3PO - droid protokolarny

Corran Horn - Mistrz Jedi (mężczyzna)

Han Solo - kapitan „Sokoła Millenium” (mężczyzna)

Jagged Fel - przywódca Imperium Galaktycznego (mężczyzna) Jaina Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Leia Organa Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Luke Skywalker - Wielki Mistrz Jedi (mężczyzna)

R2-D2 - droid astromechaniczny

Raynar Thul - Rycerz Jedi (mężczyzna)

Saba Sebatyne - Mistrzyni Jedi (Barabelka)

Tahiri Veila - była Rycerz Jedi (kobieta)

Vestara Khai - była uczennica Sithów (kobieta)

Wynn Dorvan - pełniący obowiązki przywódcy Galaktycznego Sojuszu (mężczyzna) **ROZDZIAŁ 1**

Gwiezdny liniowiec wszedł na orbitę wokół planety Coruscant i za obserwacyjnym bąblem pojawił się migoczący wzór miliarda złotych światła. Przez tysiąc wieków konfliktów te światła świeciły

nieustannie. Nic nie mogło przyćmić ich blasku - ani rakatańska niewola, ani tyrania Imperium, ani chaos wojny domowej. I nadal świeciły w tej nowej erze pełzającego cienia, w której wrogowie rządili Galaktycznym Sojuszem, a Lordowie Sithów spali w Świątyni Jedi. Wszystkie te błyszczące światła sprawiały jednak, że Jaina Solo zadawała sobie pytanie, czy bilion mieszkańców Coruscant obchodzi w ogóle wynik nadciągającej wojny - czy ma to dla nich jakiegokolwiek znaczenie, że żyją pod rządami Sithów, póki ten miliard światel ciągle świeci.

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast w formie ciemnej smugi w Mocy, która mogła oznaczać tylko Sitha. Jaina przeniosła wzrok na wnętrze liniowca, gdzie nieprzebrana masa pasażerów wisiała w swoich uprzężach tranzytowych, uwiązana do ścian ładowni w klasie ekonomicznej. Pomiędzy nimi krążył inspektor Coruscańskiego Urzędu Imigracyjnego. Jego plecak, służący do poruszania się w warunkach zerowej grawitacji, cicho posykiwał, gdy urzędnik odwracał się, sprawdzając czipy identyfikacyjne i pobierając „opłaty za przyspieszenie formalności”. Za nim podążała eskorta złożona z dwóch Bothan, którzy pogardliwie marszczyli pyski za każdym razem, kiedy ich przełożony wymuszał kolejną łapówkę.

Jaina chciała wierzyć, że inspektor był po prostu chciwym Mieczem Sithów, próbującym nabić sobie kabzę, nie miała jednak złudzeń. Vestara Khai, która dopiero co porzuciła Zapomniane Plemię Sithów, przestrzegła oddziały szturmowe, żeby niczego nie przyjmować za pewnik.

Udzielając wskazówek, Vestara podkreślała, że Sithowie nie są głupi. Po przeniknięciu do Senatu Galaktycznego Sojuszu szybko przejęli kontrolę nad Coruscańskim Urzędem Imigracyjnym i innymi kluczowymi instytucjami. Zapewne spodziewali się przybycia Jedi i wypatrywali szpicli - a drobne wymuszenia były idealną przykrywką dla kogoś próbującego zidentyfikować wrogich agentów.

Inspektor zatrzymał się przed parą rodzeństwa rasy ludzkiej. Oboje byli pod trzydziestkę, szczupli i atrakcyjni. Mieli czujne spojrzenia i małe, pełne wyrazu usta. Siostra miała rudobrazowe włosy, a jej brat po prostu brązowe. Ich bezwzględna lojalność wobec siebie widoczna była choćby po tym, jak trzymali się tuż obok siebie, odwracając się w stronę urzędników imigracyjnych.

Inspektor ustawił się na wysokości rodzeństwa - głową w dół w stosunku do Jainy - i przyglądał im się bez słowa. Nawet nie zaczynał sprawdzać dokumentów. Niespodziewana zmiana w rutynowej procedurze sprawiła, że Jainę przeszedł zimny dreszcz, ale wzięła głęboki oddech i zmusiła się do zachowania spokoju. Gdyby jej niepokój ujawnił się w Mocy, utwierdziłby tylko inspektora w przekonaniu, że natrafił na coś wartego zbadania.

Rodzeństwo, Rycerze Jedi Valin i Jysella Hornowie, cały czas trzymali w rękach dokumenty i wyglądali na zwykłych, troszkę zdenerwowanych pasażerów. Inspektor zmrużył oczy, czekając, aż zdradzą się jakimś głupim zachowaniem. Jaina podejrzewała, że nigdy się nie dowie, co przykuło uwagę Sitha, ale rozumiała, że wskazuje to na jedyną słabość opracowanego przez Mistrzów Jedi planu ataku. Ci Sithowie byli ostrożni i bystrzy - i było ich dziesięć razy więcej niż Jedi.

- Dokumenty - powiedział w końcu inspektor.

Valin i Jysella wyciągnęli ręce, w których trzymali małe saszetki zawierające potwierdzenie zapłaty, fałszywy czip identyfikacyjny i opłatę za przyspieszenie formalności. Inspektor wziął

dokumenty Jyselli, wsunął jej czip do czytnika i porównał go z miejscem pochodzenia podanym na paragonie.

- Urodziłaś się na Kalli Siedem? - spytał inspektor.

- Zgadza się - skłamała Jysella. - Tak samo jak mój brat.

Inspektor zerknął na Valina i zwracając się do niego, zapytał:

- To rodzinna wycieczka?

Valin pokręcił głową.

- Nie, moja siostra i ja podróżujemy sami.

- Ach tak? - Były to zwykłe pytania, jakie celnicy w całej galaktyce zadawali, szukając luk w przekazie. Jednak Jaina wiedziała, że prawdziwy test odbywa się na innym poziomie. Inspektor obserwował ich aurę w Mocy, doszukując się cierpkiego posmaku kłamstwa. - A więc przylecieliście z wizytą do rodziny?

- Nie - odparła pewnym głosem Jysella. Jak każdy Jedi wchodzący w skład sił szturmowych, poświęciła kilka tygodni na doskonalenie umiejętności kłamania bez zdradzania się w Mocy. -

Jesteśmy turystami.

- Rozumiem. - Inspektor spojrział ponownie na jej paragon, po czym odezwał się do Valina niedbałym tonem: - Cztery tysiące kredytów to mnóstwo pieniędzy za to, żeby zobaczyć parę zabytków i muzeów. Trzeba było skorzystać z HoloNetu.

- I spędzić resztę życia w kierownictwie niższego szczebla? - odparował Valin. - Raczej nie.

- Jeśli ktoś nie był na Coruscant - dodała Jysella - to nie ma perspektyw w UHI.

- UHI? - spytał inspektor.

- Unlimited Horizons Incorporated - wyjaśniła takim tonem, jakby zakładała, że wszyscy wiedzą, co oznacza ten skrót. - No wie pan, to, które kontroluje większość zasobów palodenitu w Sektorze Wspólnym.

- Aaa... to UHI. - Inspektor był najwyraźniej zbity z tropu, tak jak przewidziała Vestara.

Największą słabością Zapomnianego Plemienia był ich brak rozeznania w realiach galaktyki.

Vestara twierdziła, że najlepszym sposobem na zepchnięcie do defensywy członka Plemienia udającego kogoś innego było wykorzystanie tej niewiedzy. - Tyle ich jest...

Kiedy inspektor schował łapówkę do kieszeni i oddał Jyselli jej dokumenty, Jaina w końcu

odetchnęła swobodniej. Skierowała ponownie wzrok na obserwacyjny bąbel i zobaczyła, że

„Szpetna Dama” mija linię terminatora, kierując się ku jasnej stronie Coruscant. Wiedziała, że już niedługo znajdzie się na powierzchni i stanie do walki o ocalenie swojego ojczystego świata... po raz kolejny.

Bazel Warv był Zielonym Młotem, słynnym ramoańskim zapaśnikiem biorącym udział w walkach w stanie nieważkości. Seff Hellin był jego ludzkim menedżerem, Vaala Razelle zaś arconiańską asystentką Seffa. Cała trójka przybyła właśnie z układu bothańskiego, gdzie Bazel stoczył kilka pojedynków, i wylądowała w Porcie Kosmicznym Galaktycznego Centrum, skąd mieli się udać na walkę o tytuł mistrzowski w Iblis Globe. Bazel musiał tylko zapamiętać to wszystko - i uwierzyć w to. Wiara była kluczem do oszukania użytkownika Mocy, potrafiącego wykryć kłamstwo. Jeśli tylko Bazel naprawdę będzie się czuł jak Zielony Młot - najnowsza, największa wschodząca gwiazda Pangalaktycznej Federacji Powietrznych Zapasów - nie powinien mieć kłopotów z oszukaniem inspektorów Coruscańskiego Urzędu Imigracyjnego. Tak zapewniała go jego przyjaciółka, Yaqeel Saav'etu.

Bazel spojrział na morze głów w hali przylotów numer 757 i dostrzegł Yaqeel stojącą trzy rzędy dalej. Była już przy stanowisku inspektorów, razem z drugim bothańskim Jedi, Yantaharem Bwua'tu. Dwoje Rycerzy Jedi, ubranych w popielatoszare tabardy biznesistot, stało na czele długiej kolejki pasażerów czekających na wpuszczenie na planetę, która niegdyś przyjmowała przybyszów z otwartymi ramionami. Jak dotąd, społeczeństwo Coruscant zdawało się wierzyć, że te nowe środki Ostrożności są efektem napływu baronów przyprawowych, a Bazel był z tego zadowolony.

Nie było potrzeby, żeby obywatele Coruscant mieli ucierpieć - zwłaszcza że Jedi przybywali po to, aby ich ocalić.

Wcześniej jednak Jedi musieli minąć stanowisko Urzędu Imigracyjnego, a ta część planu nie przebiegała najlepiej w przypadku Yaqeel i Yantahara. Do durosjańskiego inspektora dołączyła jego przełożona, jasnowłosa kapitan o wąskich oczach; według Bazela była całkiem ładna jak na człowieka. Zasypywała Bothan pytaniami z taką prędkością, że nie nadążali odpowiadać. W

pobliżu zaś stał w gotowości oddział strażników Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu w pancerzach. Zdecydowanie coś było nie tak.

Bazel nadstawił ucha w kierunku Yaqeel, wygłuszając panujący w hali gwar i otwierając się na Moc. Chłodna mgiełka strachu spowijała kolejkę za jego plecami, ale wyczuwał to co chwila, odkąd tylko zeszli z pokładu gwiazdnego liniowca. W aurze nie dostrzegł nic groźnego, więc zignorował to i skupił się na rozmowie pomiędzy jego przyjaciółmi a jasnowłosą kapitan. Po jego grubej skórze przebiegł dreszcz wywołany gorzkim posmakiem aury Ciemnej Strony. Nagle zrozumiał, dlaczego jego przyjaciele mieli kłopoty.

Sith.

Nie zwracając uwagi na rosnący napór tłumu za jego plecami, Bazel rozszerzył swoją świadomość Mocy w kierunku stanowiska Służby Bezpieczeństwa. Z ulgą stwierdził, że wyczuwa jedynie słabą

aure niewrażliwych na Moc strażników. Pani kapitan była jedynym Sithem w okolicy

- prawdopodobnie zwykłym Mieczem, oddelegowanym do obserwacji hali przylotów.

- ...aż na Coruscant, żeby złożyć zamówienie, które moglibyście zrealizować w dowolnym miejscu w galaktyce? - pytała fałszywa kapitan. - Zjednoczony Instytut Hydrologiczny nie jest przecież jedynym dostawcą gazu tibanna w Środkowych Rubieżach.

- Ale jedynym, który ma dostęp do przestrzeni Huttów - odparł Yantahar chropawym bothańskim głosem. - A ponieważ Nar Kagga jest najbliższym zamieszkanym systemem od obszaru naszej działalności, chcemy mieć pewność, że realizacja dostaw będzie przebiegać bez problemów.

- A co to za działalność konkretnie? - spytała jasnowłosa oszustka.

- To niestety tajemnica handlowa. - Yaqeel rozejrzała się dookoła, po czym dodała: -

Wszędzie są szpiedzy, pani kapitan. Z pewnością pani to rozumie.

Bazel nie dosłyszał odpowiedzi pani kapitan, bo jego „menedżer” chwycił potężnego Ramoanina za nadgarstek i syknął:

- Młocie, nie śpij. - Seff Hellin ruszył do przodu, prowadząc za sobą Bazela do luki, która utworzyła się w kolejce przed nimi. - Wstrzymujemy ruch.

Bazel jednak nie zwracał na to uwagi. Patrzył, jak przy stanowisku, gdzie przesłuchiwani byli jego przyjaciele, fałszywa kapitan spogląda ponad ramieniem Yaqeel w stronę posterunku Służby Bezpieczeństwa. A kiedy skinęła lekko głową, strażnicy wyciągnęli swoje krótkie karabiny blasterowe Merr-Sonn Urban i ruszyli ku niej.

Vaala złapała Bazela za drugą rękę.

- Panie Mocarny Młocie! - Głos Arconianki był cichy i gulgoczący. - Naprawdę musimy iść.

Bazel pokręcił głową i przeszedł przez świetlne kordony, wyznaczające granice strefy dla czekających do odprawy. Seff i Vaala z jednakowym westchnieniem wyszli za nim z kolejki; każde z nich ciągnęło za sobą parę drogich waliz Levalug tak dużych, że Vaala mogłaby w nich spać.

- Młocie! - warknął Seff z odpowiednią dozą frustracji w głosie; zabrzmiał jak znużony menedżer u kresu wytrzymałości. - Nie mamy teraz czasu na twoje humory. Zostały dwie godziny do ważenia.

Bazel zagrzmiął w swojej ojczyściej mowie, że najwyżej nie zdążą na ważenie. Potrafił

wprawdzie posługiwać się basikiem, jeśli była taka potrzeba, jednak jego szerokie usta miały problemy z artykułowaniem delikatnych samogłosek i subtelnych spółgłosek basicu, a chciał być dobrze zrozumiany. Yaqeel jest w tarapatach, wyjaśnił, a on nie ma zamiaru jej tak zostawić.

Seff jęknął, uważając, żeby nie patrzeć w stronę Yaqeel i Yantahara.



- Zwracając na siebie uwagę, nikomu nie pomożemy, Młocie - zauważył. - Nasi przyjaciele dadzą sobie radę.

Gdy Seff to mówił, strażnicy z SBGS zarzucili karabiny blasterowe na ramiona i stanęli w półokręgu za Yaqeel i Yantaharem. Dwójka Bothan niechętnie rozchyliła tabardy, a fałszywa kapitan podeszła, żeby ich przeszukać. Bazel wiedział, że kobieta nie znajdzie żadnego miecza świetlnego ani nic, co mogłoby zdradzić, że jego przyjaciele są Rycerzami Jedi. Sprzęt oddziału szturmowego został wysłany wcześniej i miał im zostać przekazany przez agenta należącego do Klubu Bwua'tu. Jednak Bazel wiedział też, że oszustka w ogóle by nie przeszukiwała jego przyjaciół, gdyby nie wyczuła, że coś jest nie tak. Musiał znaleźć jakiś sposób na odwrócenie jej uwagi, zanim jej podejrzenia się potwierdzą... sposób, który wcale nie będzie wyglądał na próbę odwrócenia uwagi.

Vaala zacisnęła trójpalczystą rękę na jednym z grubych palców Bazela i odgięła go do tyłu.

- Panie Mocarny Młocie, musimy skupić się na walce. - Spróbowała pociągnąć go z powrotem do kolejki. - Mistrzostwa się odbędą, nawet jeśli kilku zawodników nie dotrze na arenę.

Nie ruszając się z miejsca, Bazel zwinął dłoń w pięść, żeby Vaala zostawiła w spokoju jego palec. Jeśli para bystrych Bothan nie mogła przejść przez odprawę, szepnął do niej, to trudno liczyć, że jemu się uda. A poza tym nie wiedzieli, ilu ich kolegów już zostało schwytanych. Gdyby Sithowie złapali chociaż dwa zespoły szpiegów próbujących przeniknąć na planetę, Jedi musieliby zaatakować bez elementu zaskoczenia i bitwa szybko wymknęłaby się spod kontroli. Mnóstwo niewinnych cywilów dostałoby się w krzyżowy ogień, może nawet miliony, a Bazel nie mógł na to pozwolić. Musiał znaleźć inny sposób.

Seff westchnął z irytacją.

- Jaki inny sposób?

Bazel nie wiedział. Może dobrze by było wszcząć burdę? To odciągnęłoby uwagę od Yaqeel i Yantahara.

- Nie sądzi pan, że to trochę zbyt oczywiste, panie Mocarny Młocie? - spytała Vaala.

Bazel pokiwał głową. Strategiczne planowanie nie było jego mocną stroną, jak im przypomniał, ale wiedział, że Seff i Vaala zamierzają po prostu wykonywać rozkazy, a to oznaczało, że musi sam przejąć inicjatywę. Może mógłby po prostu przepchnąć się na przód kolejki i spróbować przedrzeć się przez punkt odprawy?

- I samemu dać się aresztować? - Seff zniżył głos do szeptu. - Naprawdę sądzisz, że lepiej ci się uda przechytrzyć przesłuchujących niż tym Bothanom?

Bazel musiał przyznać, że to mało prawdopodobne. Powinien podsunąć tej fałszywej kapitan jakiś inny powód do niepokoju niż ten, jaki wyczuwała najwyraźniej w aurze w Mocy Yaqeel i Yantahara. Myślał przez chwilę, po czym odwrócił się w stronę kolejki, którą dopiero co opuścił, i otworzył się na Moc.

Wkrótce wyczuł tę samą chłodną mgiełkę strachu, którą dostrzegł wcześniej - obłok niepewności i niepokoju skupiony wokół grupki amfibiicznych Ishi Tibów, którzy najwyraźniej nie zostali poinformowani o nowych procedurach bezpieczeństwa na Coruscant. Trzy samice posuwały się z ociąganiem do przodu, popychane przez napierający tłum, podczas gdy ich towarzysz płci męskiej obracał pozornie niedbale wypukłymi oczami, szukając sposobu na obejście punktu odprawy. Cała czwórka miała identyczne bagaże - duże walizy ze skóry kaadu i torby na ramię do kompletu. Nawet na chwilę nie stawiali ich na podłodze, co świadczyło o tym, że boją się w równym stopniu ich utraty, jak przyłapania z ich zawartością.

Przyprawa.

Bazel przeszedł z powrotem przez świetlny kordon. Wykorzystując Moc, utorował sobie drogę i zaczął się przeciskać w stronę grupki przemytników. Seff i Vaala ruszyli za nim, a Seff złapał go za rękaw.

- Młocie, punkt odprawy jest z drugiej strony.

Bazel odwarknął, żeby Seff i Vaala szli dalej. On ma lepszy plan.

- Nie wiem, czy zmiana planów w tym momencie to dobry pomysł - zaprotestowała Vaala. -

Promotorzy na pana liczą.

Promotorzy liczyli na nich wszystkich, przypomniał jej Bazel, a jeśli była szansa na uratowanie Yaqeel i Yantahara, to musiał spróbować. Zbliżył się do pary Aqualishów, którzy wykorzystali stworzoną przez niego lukę, żeby przesunąć się do przodu. Obaj gapili się na niego wyzywająco. Bazel odepchnął ich niedbale na bok i podszedł do Ishi Tibów, którzy się odruchowo cofnęli i wyglądali tak, jakby chcieli uciekać.

Bazel odwrócił ich uwagę, unosząc do góry masywną dłoń w uspokajającym geście, po czym ostrzegł ich w basicu, że teraz nastąpi kontrola osobista.

Ishi Tib płci męskiej nachylił z konsternacją wypustki, na których były umieszczone jego oczy.

- Co? - spytał. - Kontrola uszu i stóp?

- Kontrola osobista - wyjaśniła Vaala, stając obok Bazela. Spojrzała na niego, milcząco sygnalizując wymuszoną zgodę na jego nowy plan. Potem znów popatrzyła na przemytników i wzmocniła nieco głos energią Mocy. - Powinniście pozwolić, żeby nasz przyjaciel przeniósł wasze bagaże.

Zdumieni Ishi Tibowie rozdziawili dzioby.

- Jesteście... od nich?

- Myślicie, że przy tak dużej dostawie zdaliby się na los? - spytał Seff, również do nich dołączając. Kolejka przesuwiała się obok nich, gdy tymczasem Seff zniżył głos i wskazał na Bazela.

- Musicie natychmiast oddać mu walizki.

Wypustki oczne samca lekko zadrżały. Odwrócił się w stronę swoich trzech towarzyszek.

- Musimy oddać mu walizki. - Podał Bazelowi własną walizkę, po czym zdjął z ramienia torbę i również mu ją oddał. - Natychmiast.

Trzy samice chętnie się zgodziły i po chwili Bazel miał cztery torby zawieszane na szyi oraz cztery ciężkie walizy pod pachami. Seff odprowadził wzrokiem Ishi Tibów, którzy z wyraźną ulgą wmieszali się z powrotem w tłum, po czym spojrzał na Bazela.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

Bazel popatrzył w kierunku Yaqeel i Yantahara. Zdjęli już wierzchnie tabardy i stali z rękami założonymi za głowy, podczas gdy fałszywa kapitan przeszukiwała im kieszenie. Bazel wiedział, że jak tylko ta kobieta znajdzie coś, co będzie mogło posłużyć za pretekst do aresztowania, przekaze jego przyjaciół swoim przełożonym w celu „przesłuchania”. Yaqeel i Yantahar mogli wytrzymać każde normalne przesłuchanie, nikt jednak nie przetrzymałby tortur przy użyciu Mocy. Nawet Yaqeel, poddana takiej presji, ujawniłaby ważne informacje dotyczące planu Jedi - na przykład to, jak Nek i Eramuth Bwua'tu stworzyli tajną siatkę wywiadowczą, albo ilu Rycerzy Jedi wylądowało na Coruscant. Mogłaby nawet wyjawić, jak dużo Jedi wiedzą o tym, co się dzieje na planecie.

Bazel pokiwał głową. Zapewnił nowych towarzyszy, że spotka się z nimi w umówionym miejscu, po czym ruszył przez halę w kierunku swoich przyjaciół. Istota o takich gabarytach nie mogła przeciąć tyłu kolejek, nie zwracając na siebie uwagi, jednak Bazelowi o to właśnie chodziło.

Wpychał się z boku do każdej kolejki, rzucając groźne spojrzenia wszystkim, którzy mogliby mieć jakieś obiekcje. Kiedy szedł, fałszywa kapitan i strażnicy SBGS wodzili za nim zdziwionym wzrokiem.

Cały czas trzymając pod pachami walizki Ishi Tibów, Bazel odwrócił wzrok i udał, że nie zauważył, iż jest obserwowany. Oczywiście nikogo tym nie oszukał.

- Ej, ty! - warknęła kapitan. - Podejdz tu.

Bazel cały czas wpatrywał się w sufit, udając, że przygląda się jednej z ogromnych, błyszczących kul, które oświetlały halę.

- Ty, duży zielony! - zawołała znów kobieta. - Chodź no tu.

Bazel odwrócił głowę, a po chwili usłyszał tupot dwóch strażników SBGS przeciskających się przez cizbę. Zaczął się oddalać, a tłum rozstępował się teraz przed nim, żeby nie znaleźć się w polu rażenia.

- Stać! - rozkazał piskliwy rodiański głos.

- Nie zmuszaj nas, żebyśmy użyli sieci ogłuszającej, kolego - dodał drugi strażnik, mężczyzna. - Nie

masz dokąd uciec.

Bazel opuścił podbródek i westchnął przeciągle, po czym odwrócił się powoli twarzą do strażników. Człowiek mierzył do niego z miotacza sieci o potężnej lufie. Rodianin zarzucił swój karabin blasterowy na ramię.

- Do mnie mówicie? - spytał Bazel w grzmiącym basie. - Przepraszam, nie wiedziałem.

Strażnicy skrzywili się, słysząc jego silny akcent, po czym Rodianin skinął na niego, żeby podszedł do punktu odprawy.

- Kapitan Suhale chce z tobą porozmawiać.

- Zabieracie mnie na przód kolejki? - Bazel zmusił się do nerwowego uśmiechu. - Dziękuję.

Przeszedł kilkanaście kroków na czoło kolejki, ostentacyjnie starając się unikać wzroku zarówno kapitan Suhale, jak i dwojga Bothan, których przesłuchiwała. Suhale nie zatrzymywała go; dopiero gdy minął prawie punkt odprawy, przemówiła głosem tak zimnym, że ciarki przeszły mu po plecach:

- Zaraz każę im otworzyć ogień.

Bazel zatrzymał się i odwrócił powoli w jej stronę. Z tak bliska wydawała się raczej onieśmielająca niż piękna. Miała chłodne lawendowe oczy i kości policzkowe tak wydatne, że wyglądały jak wykute z kamienia. Zerknął w kierunku Yaqeel i Yantahara, którzy skrzętnie ukrywali wszelki niepokój, a następnie odwrócił wzrok tak szybko, że niemal poczuł zdegustowanie Yaqeel jego nieudolnością.

Świetnie.

- Dziękuję - powiedziała Suhale. - A więc dlaczego pilnujesz tych dwojga Bothan?

- Bothan? - Bazel starał się nie patrzeć w kierunku Yaqeel. - Nie znam żadnych Bothan.

Oczy Suhale rozbliły.

- Kłamiesz - stwierdziła. - I chcę wiedzieć dlaczego. Może zajrzemy do tych walizek, które dźwigasz?

Bazel pokręcił głową i przycisnął walizki mocniej do siebie.

- To nie była prośba. - Suhale skinęła na jednego ze strażników i Rodianin przyłożył

Bazelowi do pleców lufę blastera. - Połóż je na stole.

Bazel westchnął głośno, a następnie spojrzał w stronę Yaqeel, jakby prosząc o pozwolenie.

Yaqeel zmarszczyła brwi z wyraźną konsternacją i zapytała:

- Co tak na mnie patrzysz, zielenino?

- Też się nad tym zastanawiam - odparła Suhale. Pokiwała palcem, przywołując Bazela bliżej. - No, chodź. Żeby nie musiała powtarzać.

Bazel z ociąganiem położył walizki na stole, a potem zdjął z szyi torby i także je tam położył.

- To nie było takie trudne, prawda? - Suhale wskazała na pierwszą walizkę. - Otwórz.

Bazel postawił walizkę pionowo, nachylił się nad zatrzaskiem... i nagle dostrzegł słaby punkt w swoim planie.

Zamki.

Zrozumiał, że odcisk jego kciuka nie wyłączy mechanizmu zabezpieczającego. Myślał przez chwilę, próbując sobie przypomnieć swoje wykłady na temat przemytu przyprawy. W końcu zbliżył

wielki kciuk do maleńkiej płytki skanującej i wzruszył ramionami.

- Nie mogę.

Suhale się nachmurzyła.

- Jak to nie możesz? - zapytała. - Przecież to twoje walizki.

Bazel obejrzał się na Yaqeel. Jej zmrużone oczy sugerowały, że w końcu zaczęła pojmować jego plan, ale wykrzywiła tylko usta i warknęła:

- Pytałam już: co się tak na mnie gapisz?

- Bo walizki najwyraźniej należą do ciebie - stwierdziła Suhale. - Otwieraj. Natychmiast.

- Niech pani sama otworzy - odparowała Yaqeel. - To nie moje.

- Ani moje - dodał Yantahar, zanim Suhale zdążyła spojrzeć w jego stronę. - Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Tego zielonego też nie.

- A więc dobrze - powiedziała Suhale, wyciągając wibronóż z pochwy przy pasku. - Sama je otworzę.

Zanim zdążyła włączyć ostrze, niebieska ręka pierwszego inspektora chwyciła ją za nadgarstek.

- Pani kapitan, może to nie jest najlepszy pomysł.

Suhale rzuciła Durosjaninowi takie spojrzenie, jakby rozważała użycie narzędzia przeciwko niemu.

- A to dlaczego, inspektorze?

Durosjanin wydawał się autentycznie zaskoczony.

- Przemyt przyprawy, pani kapitan. Pojemniki mogą być zaminowane, żeby kurierzy nie kradli towaru.

- Przyprawa? - Suhale odwróciła się w stronę Bazela. Ton zawodu w jej głosie świadczył

niezbitcie, że miała nadzieję schwytać Jedi, a nie przemytników. - Czy to właśnie jest w walizkach?

Bazel spuścił wzrok i ruchem głowy wskazał na Yaqeel.

- Niech pani ją spyta.

- Już po tobie, Ramoaninie - wychrypiała Yaqeel, odczytując myśli Bazela. - Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Suhale uśmiechnęła się z wyższością, choć bez entuzjazmu.

- To chyba oznacza „tak”.

Przyłożyła kciuki do płytek skanujących. Bazel wyczuł lekkie wzburzenie w Mocy i zatrzaski odskoczyły. Durosjański inspektor skulił się, ściągając na siebie pełne pogardy spojrzenie Suhale.

- Nie ma się czego bać, inspektorze Modt - pouczyła go. - Nie była wcale zamknięta.

Durosjanin - inspektor Modt - mimo wszystko się cofnął. Pewien, że Suhale użyła Mocy, żeby rozbroić ładunki wybuchowe przed odblokowaniem zamków, Bazel pozostał przy stole, patrząc, jak pani kapitan otwiera walizkę. Okazała się wypełniona ubraniami z połyskujących materiałów, w jakich gustowały morskie rasy - były tam turkusowe kombinezony bez rękawów i błyszczcojedwabne bluzki we wszystkich kolorach, jakie występują pod wodą.

Suhale wyciągnęła krótką pomarańczową sukienkę i pokazała ją Yaqeel, marszcząc brwi.

- To raczej nie jest w twoim stylu.

- A wyglądam jak Ishi? - odparowała szybko Yaqeel.

- To nie ma większego znaczenia - zauważył Modt.

- Dlaczego? - spytała Suhale.

Modt przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Jego uniesiony podbródek zdradzał pogardę, jaką odczuwał względem „przełożonej”, która najwyraźniej nie miała żadnego doświadczenia w łapaniu przemytników. Bazel wiedział, że ta nieznajomość galaktycznej kultury jest jednym z ważniejszych powodów, dla których Jedi powinni pokonać Zapomniane Plemię.

- To powszechna praktyka - powiedział w końcu Modt. Nachylił się i wyjął z walizki ubrania Ishi

Tibów. - Przemytncicy stosują takie wybiegi na wypadek, gdyby zostali przyłapani z kontrabandą, żeby mogli twierdzić, że bagaż należy do kogoś innego.

Modt przejechał długim durosjańskim palcem po wewnętrznej krawędzi walizki, a następnie oderwał podbicie u góry, tuż przy zatraskach, i wyciągnął kabel detonatora. Wyjął teraz ładunek z detonitu, na tyle duży, że mógłby rozsadzić całe stanowisko inspektorów na protony i elektrony, a potem, przy użyciu skalpela laserowego, ostrożnie odciął wewnętrzny panel walizki. Między panelem a zewnętrzną powłoką znajdowała się cienka warstwa niebieskiej masy, której powierzchnia skrzyła się milionami mikroskopijnych żółtych kryształków.

Durosjanin dotknął masy końcem najmniejszego palca, wzdrygnął się i cofnął rękę.

- Neutronowy skrzat - wykrztusił. - Czysty!

- Czysty? - Suhale spojrzała na pozostałe trzy walizki, chociaż wciąż wydawała się rozczarowana tym, że złapali jedynie paru szmuglerów przyprawy. - Wygląda na to, że trafił nam się niezły łup.

- Można tak powiedzieć - potwierdził Durosjanin. - Po rozcieńczeniu taka ilość skrzata byłaby warta dziesięć, może dwadzieścia milionów kredytów.

- Aż tyle? - Suhale zamyśliła się, a po chwili dodała: - Zdaje się, że przyłapał pan szajkę przemytncików. Może powinien pan ich aresztować.

- Z przyjemnością, pani kapitan - odparł Durosjanin. Skinął na oddział SBGS, żeby dokonał zatrzymania, po czym zamknął walizkę i przywołał gestem parę agentów, żeby zabezpieczyli dowody. Bazel nie był zaskoczony, widząc, jak Suhale unosi rękę, powstrzymując ich.

- Myślę, że strażnicy będą mieli pełne ręce roboty z zatrzymanymi - stwierdziła, zerkając na potężną sylwetkę Bazela. - Sama później przyniosę przyprawę.

Durosjanin zmrużył podejrzliwie oczy, ale nie próbował protestować. Na Coruscant panował nowy ład, który nie znosił sprzeciwu.

Para agentów SBGS skrępowwała Bazelowi ręce na plecach, używając do tego ogromnych kajdanek ogłuszających. Kiedy obrócili go w stronę swojego posterunku, Yaqeel spojrzała mu w oczy, skinęła głową i rzuciła ledwie dostrzegalny uśmiech. Bazel omal nie puścił do niej oka. Oboje wiedzieli, że najgorsze już za nimi. Teraz musieli tylko uciec strażnikom, a to nie powinno stanowić problemu.

Nad peronem unosił się hologram prezenterki wiadomości - ogromna kobieca twarz o wydatnych ustach, piwnych oczach i promiennej cerze. Nieliczni pasażerowie błakający się jeszcze po peronie wydawali się urzeczeni jej aksamitnym głosem, który rozbrzmiewał miarowym, hipnotycznym rytmem. Luke rozpoznał w nim technikę Mocy, która służyła w wprowadzeniu słuchaczy w odpowiedni stan umysłu, czyniąc ich podatnymi na sugestie.

- Obywatele powinni unikać konfrontacji z członkami kartelu przyprawowego Jedi -

informowała prezenterka. Według informacji uzyskanych przez Eramutha Bwua'tu była to Kayala Fei, Miecz Sithów, zatrudniona w stacji informacyjnej BAMR. - Wszyscy jego członkowie są świetnie wyszkolonymi zabójcami, a większość była już karana za akty przemocy.

Podobiznę Fei zastąpił wizerunek samego Luke'a, a jej melodyjny głos głosił dalej:

- Mówi się, że przywódca kartelu Jedi, Luke Skywalker, powrócił na Coruscant. Ktokolwiek zna miejsce pobytu Skywalkera, proszony jest o zgłoszenie tego najbliższemu agentowi SBGS lub poprzez normalne kanały kontaktowe.

Hologram znów się zmienił i teraz przedstawiał ciemnowłosego mężczyznę. Równie atrakcyjny jak Fei, miał miedzianą cerę, fioletowe oczy i szczupłą twarz o ostrych rysach.

- Komisarz Vhool z SBGS prowadzi dochodzenie mające ujawnić całą prawdę o przemytniczej działalności Jedi - ciągnął głos Fei. - Vhool uważa, że Jedi handlują przyprawą w celu finansowania własnych tajnych operacji, między innymi prób osłabienia abolicjonistycznej organizacji znanej jako Lot Wolności. Starsi oficerowie podejrzewają, że dążą oni do destabilizacji Galaktycznego Sojuszu poprzez obalanie legalnych rządów na obrzeżach galaktyki.

Luke odwrócił z niesmakiem wzrok. Jedi nie próbowali osłabić Lotu Wolności, tak samo jak nie handlowali przyprawą, jednak BAMR było zwykłym narzędziem w rękach Sithów i nawet nie próbowało udawać, że ich propaganda opiera się na faktach.

Po przeciwległej stronie na wpół opustoszałego peronu Luke zobaczył dwoje członków swojego oddziału, Dorana Tainera i Sechę Dorvald, którzy próbowali przyciągnąć jego spojrzenie.

Ubrani w barwne, wymięte stroje urlopowiczów wracających z wycieczki, która najwyraźniej obfitowała raczej w tańce i hazard niż wypoczynek, Rycerze Jedi niemal niczym się nie odróżniali od garstki pasażerów stojących między nimi a Lukiem.

Jedyną różnicą była ich czujność i niepodatność na hipnotyczne kłamstwa, płynące z kształtnych ust Kayali Fei.

Kiedy upewnili się już, że przykuli uwagę Luke'a, Seha odwróciła wzrok, jakby skupiła się na czymś innym. Doran zwrócił się w stronę tylnej części peronu, gdzie znajdowała się długa, ruchoma kładka dla pieszych, prowadząca na górę, do hali przylotów Portu Kosmicznego Manarai.

Przez chwilę Luke myślał, że próbują zwrócić jego uwagę na wysokiego, barczystego mężczyznę, który właśnie wszedł na kładkę. Jego twarz zdobiła pajęczyna ciemnych linii, rozchodzących się od gniewnych oczu. Na pierwszy rzut oka facet wyglądał na członka Zapomnianego Plemienia z malunkami vor'shandi na twarzy, śledzącego oddział Luke'a. Kiedy jednak się zbliżył, stało się oczywiste, że ma zbyt ogorzałą twarz i za surowe rysy jak na Sitha z Kesh, malunki zaś okazały się w istocie tatuażami. Ale i tak w jego aurze w Mocy Luke wyczuwał

niepokojący mrok. Podejrzewał, że to on zwrócił uwagę Dorana, aż nagle mężczyzna spojrzał mu w oczy i wskazał ruchem głowy na drugą stronę kładki.



Do góry wjeżdżał oddział strażników SBGS, którzy przyjechali ostatnim tramwajem magnetycznym. Ich niedopasowane mundury i buńczuczne zachowanie wskazywały, że to jedni z wielu nowych rekrutów, których Rokari powołała do służby wkrótce po objęciu urzędu przywódczyni Sojuszu. Ich sierżant stał z tyłu, przyglądając się uważnie parze nastolatków zjeżdżających w dół po drugiej stronie kładki.

Luke, który widział jego przystojną twarz z profilu, nie dostrzegał żadnych powodów tej obserwacji, żadnych błędów w przebraniu czy zachowaniu, które mogłyby sugerować, że Ben Skywalker i Vestara Khai są kimś więcej niż tylko parą młodych kochanków, którymi zresztą niewątpliwie się stawali. Obejmowali się w pasie tak mocno, że wyglądali jak złączeni biodrami, a uczucie, którym się darzyli, świeciło w Mocy jasnym żarem. Oboje byli ubrani zgodnie z obowiązującą młodzieżową modą - połyskujące peleryny zarzucone na czarne kostiumy treningowe. Ufarbowali nawet włosy na ten sam odcień żółci i uczesali je w równie ekstrawaganckie fryzury. Włosy Bena były ułożone na żel, tworząc coś na kształt płetw, Vestara zaś utrwaliła swoje lakierem i pozwoliła im opadać prosto, tak że ledwo muskały jej ramiona.

A jednak sierżant SBGS cały czas wpatrywał się w nadjeżdżającą z przeciwka Vestarę.

Dziewczyna udawała speszoną, zerkając co jakiś czas w jego kierunku, żeby sprawdzić, czy wciąż ją obserwuje. A kiedy zbliżyli się do siebie na odległość kilku metrów, odwróciła się w końcu w jego stronę z szyderym uśmiechem.

Sierżant uśmiechnął się tylko znacząco i wytrzymał jej spojrzenie.

Vestara niemal natychmiast odwróciła wzrok, a Luke zaklął pod nosem. Zdenerwowanie Vestary i uśmiech sierżanta wyraźnie wskazywały na to, że się rozpoznali, a to mogło jedynie znaczyć, że znali się z czasów, kiedy dziewczyna była uczennicą w Zapomnianym Plemieniu Sithów.

Luke spojrzał w stronę wytatuowanego nieznajomego i zobaczył, że mężczyzna wpatruje się uporczywie w holograficzne wiadomości BAMR, wyświetlane nad peronem. Kimkolwiek był -

może na przykład jednym z groźniej wyglądających agentów Klubu Bwua'tu - najwyraźniej nie miał zamiaru angażować się bardziej niż do tej pory.

I Luke'owi to odpowiadało. Wzrokiem skierował uwagę Dorana i Sehy na kładkę, po czym ruszył w kierunku tylnej części peronu, bardziej sfrustrowany niż zaniepokojony rozwojem wypadków. Wszystkie pozostałe zespoły meldowały o bezproblemowej infiltracji, a teraz istniała groźba, że przez nieprawdopodobny zbieg okoliczności stracą element zaskoczenia. Przypomniała mu się jedna z ulubionych maksym Neka Bwua'tu: „Żaden plan nie przetrwa dłużej niż pierwsze dziesięć minut bitwy”.

Zbliżając się do kładki, Luke uwolnił potężną falę energii Mocy. Holograficzny wizerunek Kayali Fei zniknął wśród zakłóceń, a wszystkie komunikatory na peronie nagle się rozdzwoiły. W

tej samej chwili sierżant odwrócił się, mrużąc oczy; bez wątpienia wpatrywał źródła nawałnicy, jaką poczuł w Mocy. Po chwili zawieszono nad głowami świetlne panele zaczęły gasnąć, a sierżant

odnalazł wzrokiem Luke'a, gdy cały peron pogrążył się w ciemności.

Luke wyczuł, jak sierżant - fałszywy sierżant - sięga po niego w Mocy. Pozwolił Sithowi się złapać, a następnie pociągnął, zrzucając mężczyznę z kładki. Sierżant wydał stłumiony okrzyk zdumienia i włączył w locie swój miecz świetlny.

To był błąd. Jeden z rekrutów SBGS, którzy nie mieli pojęcia o prawdziwej tożsamości swojego sierżanta, krzyknął ze strachu, a inny zawołał:

- Jedi!

Z kładki popłynął blasterowy ogień, zmieniając ciemny peron w oślepiającą burzę błysków i kolorów. Sith zaczął odbijać wiązki z powrotem w kierunku rekrutów, a pasażerowie biegali z wrzaskiem w ciemnościach, wpadając na siebie i na ściany.

Sierżant wylądował dwa metry od Luke'a. Wyprowadził cięcie na wysokości ramion, równocześnie odbijając blasterowe wiązki i próbując skrócić Luke'a o głowę. Miecz świetlny wciąż czekał na Luke'a w punkcie zbornym, więc mógł jedynie przykucnąć i odpowiedzieć niskim kopniakiem z obrotu, przed którym Sith zdążył uskoczyć.

Nagle z ust sierżanta wydobył się bełkotliwy okrzyk bólu i zdumienia, a miecz świetlny wypadł mu z ręki i się wyłączył. Po chwili mężczyzna runął z głuchym odgłosem na peron, jęcząc w agonii.

- Wszyscy cali? - spytała Vestara, wykorzystując zawrodoenie swojej ofiary, żeby zakamufłować własny głos.

- Uhm - potwierdził Ben. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos zabrzmiał bliżej Vestary. -

A ty?

- Nic mi nie jest. - Głos Vestary był pełen ciepła. - A tobie, staruszk?

- Nawet zadrapania - powiedział Luke, bardziej zaskoczony szybką reakcją dziewczyny, niż się po sobie spodziewał. Ile razy już ratowała mu życie? I Benowi? - Dzięki... po raz kolejny.

- Drobiazg - odparła Vestara.

Z kładki dobiegły kolejne odgłosy blasterowego ognia, a po nich trzask łamanych kości i łomot ciał rzuconych na ściany. W migającym świetle Luke dostrzegł przelotnie dwa atletyczne cienie - Dorana i Sehy - przeskakujące przez barierkę na drugą stronę kładki.

- Zaraz powinien przyjechać tramwaj - stwierdził Luke. - Jedźcie.

- A ty? - odezwał się w ciemności głos Bena.

- Ja zaraz po was. - Luke zanurzył się w Mocy i odnalazł wrzącą chmurę bólu, którą wytwarzała aura zranionego sierżanta. Myśl o zabiciu wroga z zimną krwią - nawet Sitha - budziła w nim odrazę. Nie

mógł jednak brać Sithów do niewoli, a pozostawienie go tutaj żywego nie wchodziło w grę. Rozpoznał Vestarę i gdyby zameldował o tym swoim przełożonym, Zapomniane Plemię zdałoby sobie sprawę z przybycia Jedi. - Muszę jeszcze coś załatwić.

Miękka kobieca ręka dotknęła jego ramienia.

- Nie, nie musisz - odparła Vestara. - On nikomu nie powie o tym, co widział.

W korytarzu tranzytowym pojawiły się światła tramwaju magnetycznego, a Luke wyczuł

przebiegających obok Dorana i Sebę. Wysyłali poprzez Moc uspokajające fluidy, dając mu do zrozumienia, że przebieg walki przesłoniła ciemność. A to oznaczało, że trudno byłoby potwierdzić udział Jedi w całym zajściu. W końcu, niezależnie od tego, co zobaczyli rekruci z SBGS, każdy, kogo Sithowie wysłaliby celem zbadania sprawy, szybko by się przekonał, że jedyny miecz świetlny, jaki był w użyciu, należał do członka Zapomnianego Plemienia.

Luke odetchnął z ulgą i spojrział w stronę nadjeżdżającego magnetycznego tramwaju. W

jaśniejącym blasku jego reflektorów widział już sylwetki dziesiątek pasażerów, ustawiających się w szeregu, żeby uciec z pogrążonego w chaosie peronu. Odwrócił się z powrotem w kierunku, z którego dochodził głos Vestary. Rekruci pewnie nie mieli nic użytecznego do przekazania swoim przełożonym, ale ich ranny dowódca owszem.

- Idź - rozkazał. - Wkrótce do was dołączę.

- Nie - odparła Vestara. - Zaufaj mi. On nie zdąży nic nikomu powiedzieć.

Mały, szklany przedmiot roztrzaskał się na peronie u jej stóp i Luke zrozumiał, dlaczego Sith wciąż krzyczał z bólu. Vestara zaatakowała go shikkarem, szklanym sztyletem używanym przez członków Zapomnianego Plemienia dla wyrażenia pogardy wobec ofiary ataku. Po zadaniu pchnięcia odłamywali rękojeść, ostrze zaś pozostawiali zatopione głęboko w jakimś istotnym dla życia organie, skazując ofiarę na śmierć tyleż pewną, co bolesną.

- Musiałam użyć jego shikkara, więc Arcylordowie uznają, że to prywatne porachunki. -

Vestara usiłowała zaciągnąć Luke'a na skraj peronu. - Ale to nic nie da, jeśli będziemy ciągle stać nad ciałem, kiedy zapalą się światła.

- Nie będziemy. - Luke wyszarpnął rękę. Chociaż podziwiał szybkość reakcji Vestary, jej gotowość do przedłużania męczarni mężczyzny zdradzała bezwzględność i chłód. A to kazało mu zadać sobie pytanie, czy Vestara kiedykolwiek będzie mogła zostać prawdziwym Rycerzem Jedi.

Najwyraźniej wciąż nie rozumiała, że sposób, w jaki się wygrywa bitwę, jest znacznie ważniejszy niż to, czy się ją wygra. - Ale nie ma potrzeby, żeby cierpieć. Śmierć to śmierć.

Luke sięgnął poprzez Moc i odnalazł doznanie palącego zimna, którego źródłem był shikkar zatopiony w piersi Sitha. Wyglądało na to, że tkwi on zaledwie parę milimetrów poniżej pulsującego żaru jego

serca. Takie umiejscowienie mogło zabić go nieco później, niż zakładała Vestara. Luke dotknął ostrza i przesunął je o milimetr w górę, tak że wbiło się w serce, i zaraz usłyszał, jak mężczyzna wydaje ostatnie tchnienie.

Ręka Vestary zacisnęła się na ramieniu Luke'a.

- Co się stało? Chyba nie...

- Będzie wyglądało tak, jakby ostrze się przesunęło - zapewnił ją Luke. - Nawet Arcylordowie nie domyślą się dlaczego. Kto to był?

- Stary przyjaciel mojego ojca - wyjaśniła Vestara. Wydawała się smutna i rozczarowana. -

Mistrz Myal.

- Rozumiem - odparł Luke.

Tramwaj magnetyczny wjechał na peron. Drzwi się otworzyły i spanikowani pasażerowie zaczęli wpychać się do środka, nie dając nikomu szansy na wyjście. Luke się rozejrzał, a ponieważ nie dostrzegł nigdzie wytatuowanego mężczyzny z kładki, zaczęli przeciskać się z Vestarą przez spanikowany tłum.

Kiedy znaleźli się w blasku światła ze środka wagonu, Luke zauważył ze zdumieniem, że Vestara ma łzy w oczach.

- Co on zrobił, że tak go nienawidziłaś?

- Nienawidziłam? - Vestara podniosła wzrok i spojrzała Luke'owi w oczy. - Wcale nie.

Zawsze był dla mnie bardzo miły.

Luke zmarszczył brwi.

- Więc użyłaś jego shikkara, bo...

- Bo nie miałam swojego, a mamy wojnę do wygrania. - Vestara wspięła się na palce i wyszeptwała mu do ucha: - Zrobiłam to dla dobra Jedi, Mistrzu Skywalker.

## ROZDZIAŁ 2

Przyszła do niego w ciemności, tak jak zawsze czynili jego oprawcy. Zimna wrogość czekająca przy pryczy. Wynn Dorvan się nie ruszał, nie zmieniał rytmu oddechu, nie próbował

nawet mocować się z więzami, które go krępowały. Zamknął tylko oczy, pragnąc uciec w sen.

- Daj spokój, Wynn. - Głos był kobiecy i znajomy. Słyszał go już wcześniej. - Przecież wiesz, że tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Celę rozjaśniły panele oświetleniowe na suficie i Wynn zacisnął powieki, chroniąc oczy przed oślepiającym blaskiem. Nie sposób było zachować poczucia czasu w nieustannej ciemności pomiędzy torturami, ale przeszywający ból, jaki czuł w głowie, sugerował, że minęło wiele dni od ostatniego przesłuchania.

- Wynn, nie możesz kazać mi czekać - powiedział głos. Coś zimnego i oślizgłego pełzało po jego gołej kostce. - Nie swojej Ukochanej Królowej Gwiazd.

Wynn otworzył oczy i podniósł głowę, którą zalała fala bólu i światła. W nogach swojej pryczy zobaczył dwie sylwetki: jedną kobiety i jedną... czegoś innego.

- Tak lepiej. - Głos zdawał się należeć do postaci po lewej, ohydnej, wijącej się istoty o mackach zamiast rąk i jaskrawobiałych gwiazdach w miejscu, gdzie powinny być oczy. Abeloth. -

Obawiałam się, że będę musiała wezwać Lady Korelei.

Wspomnienia niedawnych tortur Mocą z czasem przybierały tylko na sile, a na sam dźwięk imienia Korelei jego ciało przeszył paroksyzm strachu. Zignorował go - tak samo jak ignorował

wewnętrzny głos, który kazał mu krzyczeć i błagać o litość. Najdrobniejsza oznaka słabości jeszcze szybciej ściągnęłaby z powrotem Korelei, żeby mogła wydobyć z niego nieliczne tajemnice, których jeszcze nie wyjawiał - jego najważniejsze sekrety, te, które był zdecydowany zabrać ze sobą do grobu.

Tak więc Wynn powiedział jedyne; co mogło przynieść mu śmierć, zanim powróci Korelei:

- Czy ty jesteś prawdziwa? - Opuścił głowę z powrotem na pryczę. - Nie możesz być prawdziwa. Jesteś zbyt paskudna.

Postać przez chwilę milczała, a Wynn był przekonany, że gdyby tylko był Jedi, wyczułby w Mocy wzbierający w niej gniew.

Kiedy jednak Abeloth przemówiła, jej głos był wciąż chłodny i opanowany i Wynn wiedział, że nie uniknie tak łatwo cierpienia.

- Jestem prawdziwa, Wynn. Bardziej prawdziwa, niż sądzisz - oświadczyła. - I męczą mnie twoje sztuczki, podobnie jak Sithów. Lady Korelei jest gotowa zastosować opcję nekromantyczną.

Wynn zdołał pokiwać głową.

- Proszę bardzo. - W miarę jak mówił, światło stawało się mniej dokuczliwe, a kiedy spojrzał w kierunku sylwetki, wydała mu się mniej ohydna i falująca, bardziej materialna i w miarę ludzka. - Gdyby Lady Korelei potrafiła wydobyć prawdę z martwego, nie traciłaby czasu, próbując wyciągnąć ją z żywego.

- A więc ją okłamywałeś?

- Nikt nie może okłamać Lorda Sithów - odparł. - Tak ona twierdzi.

- Może jesteś wyjątkiem - rzuciła kobieta. - Z pewnością nie mówisz jej tego, co Sithowie chcą wiedzieć.

Wynn widział teraz wyraźniej i dostrzegł, że ohydna Abeloth z mackami zamiast rąk zmieniła się w elegancką, niebieskoskórą Jessarankę. Oczy miała lekko wytrzeszczone, a jej skóra wyglądała tak, jakby zaczynała się łuszczyć od oparzenia słonecznego. Jednak każdy, kto miał

dostęp do HoloNetu, bez trudu rozpoznałby w niej Rokari Kem, przywódczynię Galaktycznego Sojuszu.

- Mogłabyś zasugerować, żeby ładnie poprosiła - stwierdził Wynn. - Naprawdę nikt nie ma ochoty współpracować z kimś, kto bez przerwy atakuje jego umysł sondami Mocy.

- W takim razie może powinniśmy spróbować czegoś innego - zaproponowała Kem. - Czy chciałbyś, żebym cię wypuściła z tej celi?

Wynn uniósł głowę tak wysoko, jak tylko mógł.

- Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że to głupie pytanie.

Jedyną odpowiedzią Kem było ciche szcęknięcie otwieranych kajdan. Napięcie w jego rękach i nogach zelżało, a kiedy spróbował przyciągnąć odrętwiałe z bólu kończyny do ciała, udało mu się nimi poruszyć.

Bardziej podejrzliwy niż zaskoczony, Wynn podniósł się z wysiłkiem na pryczy i w końcu przyjrzał się towarzyszącej Kem kobiecie. Była ubrana w szary kombinezon więźnia SBGS, miała jasne włosy, wąskie oczy i surową twarz, która wydała się Wynnowi znajoma, jednak w obecnym stanie nie potrafił jej rozpoznać.

Przeniósł wzrok z powrotem na Kem.

- Hm, to było zbyt łatwe - oznajmił. - Gdzie tkwi haczyk?

- Haczyk? - spytała Kem. - Aha... Czego chcę w zamian? Twojej pomocy.

- Mojej pomocy? - powtórzył Wynn, wciąż usiłując odgadnąć tożsamość drugiej kobiety, ciekaw, co może mieć wspólnego z jego niewolą. - W czym?

- W rządzeniu - odrzekła po prostu Kem.

Teraz Wynn był zaskoczony.

- Chcesz, żebym pomógł ci rządzić Galaktycznym Sojuszem?

- Tak. Pomógłbyś mi kierować rządem - potwierdziła Kem. - Ocaliłbyś w ten sposób wiele istnień, Wynn.

Mając pełną świadomość, że to może być pułapka - w przypadku Abeloth i Sithów zawsze należało się spodziewać pułapki - Wynn zamilkł i spróbował ułożyć sobie priorytety w umęczonej torturami głowie. Jego najważniejszym celem było chronić nieformalną siatkę wywiadowczą, którą stworzył z admirałem i Eramuthem Bwua'tu. Obaj Bothanie z pewnością wiedzieli już o jego pojmaniu i przedsięwzięli środki ostrożności dla własnego bezpieczeństwa. Jednak sama siatka miała odegrać kluczową rolę w próbie wyzwolenia planety przez Jedi, a jak dotąd udało mu się nie ujawnić jej istnienia Lady Korelei i jej asystentom.

Ale Wynn wiedział, że długo nie wytrzyma. Już trzy przesłuchania temu skończyły mu się nieistotne szczegóły i zaczął karmić swoich oprawców strzępkami cenniejszych informacji.

Zaczynali więc mieć pełniejszy obraz tajnych działań rządu Galaktycznego Sojuszu - obraz, który stopniowo zbliżał ich do Klubu Bwua'tu.

- Czy to taka trudna decyzja, Wynn? - zapytała Kem. - Możesz ocalić innych i samemu uniknąć tortur. Albo możesz skazać tysiące istot na śmierć... i zostać tu, żeby zaspokoić apetyt Lady Korelei.

Oczywiście to wcale nie była trudna decyzja - i właśnie dlatego Wynn się wahał. Rokari Kem - czy też Abeloth, czy jakkolwiek się nazywała - była nie tylko nową przywódczynią Galaktycznego Sojuszu. Była też tajną władczynią Sithów, a Sithowie za nic mieli życie i cierpienie innych. Obchodziła ich tylko władza. Jeśli Abeloth była skłonna zrezygnować z tajemnic, które jej siepacze powoli z niego wyciągali, mogło to jedynie oznaczać, że chciała go wykorzystać w jakiś inny sposób, pozwalający jej wyrządzić jeszcze większe szkody w Galaktycznym Sojuszu.

Jednak Abeloth nie wiedziała wszystkiego; na przykład tego, że Wynn chciał po prostu zyskać na czasie - tak żeby Jedi zdążyli przybyć, zanim on się załamie. W końcu podniósł wzrok i spojrzał Kem w oczy.

- Wypuściłabyś mnie z tej celi? - zdziwił się. - I trzymała z dala od Lady Korelei?

- Oczywiście - zapewniła go Kem. - Dopóki będziesz mi służył, nic ci nie grozi z jej strony.

- Nie będę twoim rzecznikiem - ostrzegł Wynn., Wiedział, że jego żądania nic dla niej nie znaczą, ale musiał je stawiać, bo w przeciwnym razie mogłaby nabrać podejrzeń co do jego prawdziwych motywów. - I nie będę podawał ci nazwisk istot, które występują przeciwko tobie.

- Niczego takiego nie oczekuję - oświadczyła Kem z szerokim, ciepłym uśmiechem. - Mam wystarczająco dużo nazwisk. Starczy mi na standardowy rok.

Wynn nie ukrywał niepokoju, jaki wywołało w nim to stwierdzenie, ale zapytał:

- A zatem czego właściwie ode mnie oczekujesz?

- Tego samego, czym służyłeś admirał Daali - odparła Kem. - Z tego, co słyszałam, jesteś znakomitym zarządcą i kompetentnym doradcą.

- Chcesz, żebym ci doradzał? - Wynn zaczął podejrzewać, że ma halucynacje, że w końcu załamał się

pod wpływem zabiegów Korelei i postradał zmysły. - Chyba nie mówisz poważnie?

- Ależ tak... bardzo poważnie. - Kem wzięła za rękę kobietę, którą ze sobą przyprowadziła, i postawiła przy pryczy. - Z pewnością pamiętasz porucznik Lydeę Pagorski?

Pagorski... oczywiście. Oficer imperialnego wywiadu dopuściła się krzywoprzysięstwa w trakcie procesu Tahiri Veili. Wynn pokiwał głową i popatrzył na kobietę.

- Owszem - potwierdził. - Przykro mi, że i pani tu trafiła.

Pagorski pobladła i rzuciła nerwowe spojrzenie w kierunku Kem.

Kem przewróciła tylko oczami.

- Nie ma potrzeby żałować pani porucznik - powiedziała. - Imperium prosi o jej zwolnienie, a ja chciałabym wiedzieć, czy powinnam przychylić się do ich prośby.

- Chcesz, żebym to ja podjął decyzję? - spytał Wynn, jeszcze bardziej podejrzliwy niż wcześniej.

- Chcę znać twoje zdanie - odrzekła Kem. - Nie będziesz sam podejmował żadnych decyzji.

Wynnowi ten układ zaczynał się podobać. W końcu Kem i Sithowie dopiero poznawali galaktykę. Wydawało się logiczne, że przydałby im się ktoś taki jak on, kto mógłby im pomóc przebrnąć przez tysiące dyplomatycznych petycji, jakie spływały każdego dnia do kancelarii przywódczyni Galaktycznego Sojuszu.

- Co oferuje Imperium w zamian za uwolnienie porucznik Pagorski? - spytał.

Kem zmarszczyła brwi.

- Nic.

- Nawet udostępnienia portów kosmicznych naszym okrętom?

- Zupełnie nic - powiedziała Kem. - Odrzucę wniosek.

Wynn pokręcił głową.

- Powinnaś się zgodzić.

- Powinnam się zgodzić, chociaż nie oferują nic w zamian? - Teraz gdy Wynn poruszył

kwestię zapłaty, Kem wydawała się urażona faktem, że niczego takiego nie zaproponowano. - A gdyby coś zaoferowali, to co powinnam zrobić? Wziąć tylko połowę?

- Nie - zaprzeczył Wynn. - Powinnaś w ogóle odmówić wydania porucznik, a następnie przenieść ją do aresztu wojskowego, zanim zdążą ją zabić.



Kem wyglądała na mocno skonsternowaną.

- Dlatego że propozycja była niepoważna?

- Dlatego że to by oznaczało, że porucznik Pagorski jest dla nich cenna - wyjaśnił Wynn. - I powinnaś się dowiedzieć dlaczego, zanim rozważyłabyś jej ewentualne uwolnienie.

- A skoro nic nie oferują, to znaczy, że jest bezwartościowa?

- Właśnie. Prośba ma jedynie rutynowy charakter. - Wynn odwrócił się w stronę Pagorski. -

Ma pani rodzinę na Bastionie, prawda? To ktoś ważny?

Pagorski otworzyła szeroko oczy.

- Mój ojciec jest admirałem w Dziale Zaopatrzenia Floty - przyznała. - Skąd pan wie?

- Wywiera naciski na korpus dyplomatyczny - odparł Wynn. - Wystosowali prośbę, żeby mogli mu powiedzieć, że cokolwiek robią w tej sprawie.

- Nie mogę spełnić takiej prośby - zaproponowała Kem. - To by osłabiło mój autorytet.

Wynn pokręcił głową.

- Zapominasz o swoim publicznym wizerunku - zauważył, zaskoczony, że przywódczyni Sithów mogła popełnić taki błąd. - Masz być Rokari Kem, mądrą i pełną współczucia przywódczynią z B'nish, nie Rokari Kem, chciwym i żądnym władzy suwerenem Sithów.

- Tak, rozumiem - powiedziała Kem z błyskiem w oczach, wywołanym określeniami, jakich Wynn użył w odniesieniu do niej. Westchnęła i odwróciła się w stronę Pagorski. - Nie mogę pozwolić, żebyś wróciła do Imperium, znając moją prawdę...

- Nikomu nic nie powiem! - przerwała jej Pagorski, wyraźnie przerażona. - Daję słowo...

- Gdyby twoje słowo miało jakąkolwiek wartość, w ogóle nie trafiłabyś do aresztu SBGS -

odparowała Kem. - Ale nie muszę cię zabijać. Użyję po prostu Mocy, żeby wymazać część twoich wspomnień.

Na twarzy Pagorski odmalowała się ulga.

- Rozumiem - rzekła. - Proszę bardzo.

- Nie pytałam o zgodę, pani porucznik.

Kem położyła ręce na głowie Pagorski i spojrzała jej głęboko w oczy. Przez chwilę wydawało się, że nic się nie dzieje, i Wynn pomyślał, że proces wymazywania pamięci jest równie bezbolesny, jak

tajemniczy.

A potem powietrze między dwiema kobietami zaczęło się mienić. Pagorski wybałuszyła oczy, a jej twarz wykrzywiła się w grymasie przerażenia. Palce Rokari Kem robiły się coraz dłuższe i cieńsze, a jej ręce rozszczepiły się i zmieniły w szare oślizgłe macki. Już po chwili w miejscu Jessaranki stała ohydna istota, którą Wynn dostrzegł tuż po przebudzeniu - chuda, falująca postać o szorstkich żółtych włosach i ustach tak szerokich, że sięgały od ucha do ucha.

Abeloth.

Pagorski otworzyła usta w niemym krzyku. Macki wślizgnęły jej się do gardła, do uszu i nozdrzy i zaczęły pulsować. Z jej ust wydobywały się okropne charkotliwe odgłosy. Całe jej ciało stało się bezwładne i zwisło, wstrząsane drgawkami, na włóknistych mackach tkwiących w jej głowie.

Wreszcie twarz Pagorski straciła wyraz. Jej skóra stała się blada i niemal przezroczysta, tak że Wynn widział macki pulsujące wewnątrz jej głowy, wpompowujące coś ciemnego i lepkiego w jej zatoki, uszy i tchawicę. Zaczął się cofać i przywarł plecami do ściany tak mocno, że zdawała się ustępować pod jego naporem. W celi rozległ się głośny ryk, w którym Wynn nie rozpoznał swojego głosu, dopóki nie spostrzegł, że siedzi skulony w kącie, zagryzając kłykcie i waląc głową o durastal.

Postać odwróciła głowę w stronę Wynna, utkwiała w nim rozzarzone białe oczy i uśmiechnęła się uśmiechem głębokim i ciemnym jak sama Otchłań.

- Skoro masz mi służyć, powinieneś wiedzieć coś o swojej Ukochanej Królowej Gwiazd -

powiedziała Abeloth. - Ona jest czymś znacznie większym od Sithów.

### **ROZDZIAŁ 3**

Ben Skywalker zerknął na chronometr, wiszący naprzeciwko na panelu z drewna wurl, po raz dziesiąty w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Wyzwolenie Coruscant miało rozpocząć się... cóż, zaraz, tymczasem on i Vestara wciąż siedzieli w pomieszczeniu dla gości, przylegającym do biura senatora Suldara. Przed nimi unosiła się paleta repulsorowa, na której stała duża skrzynia owinięta błyszczofolią, a Vestara trzymała srebrną tacę, na której leżała mała koperta zaadresowana

„Mój drogi przyjaciel Kameron”.

- Masz jakąś randkę? - spytała kpiącym tonem Vestara. Była ubrana w granatowy płaszcz senackiego gońca i nosiła wykonaną na zamówienie maskę, która mogła przekonać nawet najbardziej zaawansowane oprogramowanie do rozpoznawania twarzy w galaktyce, że jest dorastającą Falleenką. - Sądząc po tym, jak spoglądasz ciągle na chronometr, to musi być prawdziwa piękność.

Ben się uśmiechnął. Jedyna randka, jaką miał w planach, to była randka... z samą Vestarą.

Po bitwie.

- Rzeczywiście jest piękna... jak na człowieka. - Ben również miał na sobie płaszcz senackiego gońca

i był przebrany za Twi'leka. - Ale na tę imprezę, na którą się wybieramy, nie można się spóźnić.

Vestara uniosła brew.

- W takim razie może powinna iść sama. Skoro nie podobają ci się ludzkie dziewczyny, to i tak pewnie lepiej, by się bawiła bez ciebie.

- Nie sędzę - odparł Ben, nie przestając się uśmiechać. - Zakochała się we mnie na zabój. To chyba przez te głowoogony.

- Typowy facet - stwierdziła Vestara, przewracając oczami. - Jeden ciepły uśmiech i już myśli, że to miłość. - Spojrzała w kierunku wysokiego mężczyzny w czerwonej pelerynie i złotej zbroi Senackich Sił Bezpieczeństwa, stojącego przy drzwiach z drewna wurl, za którymi znajdował

się azyl senatora Suldara. - Tak czy inaczej, wpatrywanie się w chronometr nie wpłynie na rozkład zajęć senatora. W końcu jest przewodniczącym Senatu Galaktycznego Sojuszu. Przyjmie nas, jak tylko będzie mógł.

- Mam nadzieję. - Ben rzucił znaczące spojrzenie na skrzynię. Losy bitwy o Coruscant miały rozstrzygnąć się w ciągu najbliższej półgodziny, a jej wynik mógł zależeć od tego, czy uda się zanieść skrzynię do biura Suldara, zanim Sithowie zorientują się, że zostali zaatakowani. - Jeśli w ciągu pięciu minut nas nie wpuszczą, wchodzę i tak.

Vestara westchnęła z irytacją.

- Potrzymaj.

Podala Benowi srebrną tacę, po czym wstała i podeszła do Strażnika. Mężczyzna był

szczupły i przystojny, miał kwadratową szczękę i nieskazitelny wygląd, który Ben nauczył się kojarzyć z próżnością Zapomnianego Plemienia Sithów.

- Przepraszam. - Ben nie widział wyrazu twarzy Vestary, ponieważ stała tyłem do niego, ale słyszał to charakterystyczne drżenie w jej głosie dostatecznie często, żeby się domyślić, że dziewczyna prezentuje teraz uśmiech, który wydaje się bardziej nerwowy, niż naprawdę jest. - Czy powiadomił pan senatora o naszym przybyciu?

Strażnik łypał na nią przez chwilę, po czym ściągnął brwi i spojrzał w kierunku Bena.

- Tak.

Nerwowość zniknęła z głosu Vestary.

- A czy wspomniał pan, że prezent jest pojednawczym gestem ze strony senatora Wuula?

Oczy strażnika rozszerzyły się, co dowodziło, że wie o sporze między senatorami Suldarem i Wuulem więcej, niż powinien wiedzieć którykolwiek prawdziwy strażnik.

Vestara nachyliła się bliżej.

- No bo nie chciałabym, żeby senator tracił czas na zebranie poparcia dla podniesienia podatku od gazu tibanna, skoro senator Wuul jest gotów ustąpić.

- Jesteś pewna? - Strażnik zmrużył oczy. - Skąd wiesz?

Vestara wzruszyła ramionami.

- Gońcy mają uszy, tak samo jak strażnicy - stwierdziła. - Wiemy o wielu rzeczach, o których nie powinniśmy mieć pojęcia.

Strażnik rozważał przez chwilę jej słowa, po czym obejrzał się na Bena.

- Zaczekajcie tu.

Wcisnął ukryty zatrask i w boazerii za jego plecami pojawiła się szpara. Odsunął jeden z paneli na tyle, żeby móc się precyzyjnie, wsłizgnął się do ukrytego korytarza i zamknął za sobą panel.

Vestara obejrzała się i uniosła brew. Ben przewrócił oczami, ale musiał się uśmiechnąć i pokiwać z uznaniem głową. Wiedza dziewczyny na temat Sithów i ich słabości była nieoceniona przy planowaniu wyzwolenia Coruscant, a teraz jej obecność okazała się równie kluczowa przy realizacji planu. Jedyne były Sith potrafił w pełni zrozumieć, jak funkcjonuje umysł przesiąknięty Ciemną Stroną, i wykorzystać chciwość i próżność tego plemienia, nie ujawniając pułapki. Ben cieszył się, że Vestara zdołała przekonać Mistrzów, że jej obecność na Coruscant w trakcie samej bitwy będzie kluczowa dla powodzenia początkowego natarcia.

Ben jednak wiedział, jak trudna musi być dla niej ta operacja. Vestara kochała go tak samo, jak on kochał ją, tego był pewien. Ale wybierając jego i Jedi, porzuciła swój lud i swój dom, wiedząc, że już nigdy nie będzie mogła zasiąść do wspólnego stołu z przyjaciółmi z dzieciństwa.

Naiwnością byłoby sądzić, że podjęła tę decyzję bez żalu. Ben nie wątpił, że jakaś część niej na zawsze pozostanie Sithem i zawsze będzie tęsknić za Kesh. Vestara wyznała mu kiedyś, że miała nadzieję powrócić pewnego dnia do domu na czele delegacji pokojowej Jedi, żeby przekonać swoich rodaków, że nie trzeba podbijać galaktyki, aby w niej żyć.

Było to wyjątkowo naiwne, ale Vestara poświęciła już tak wiele, że Ben nie miał serca odbierać jej tego jednego marzenia - i dlatego też przekonał swojego ojca, żeby przestał domagać się od niej ujawnienia współrzędnych Kesh. Brutalna prawda była taka, że nawrócenie całego plemienia Sithów wydawało się równie prawdopodobne jak zatrzymanie supernowej, ale Vestara musiała sama dojść do takiego wniosku. A Ben był pewien, że kiedy to nastąpi, wówczas stanie się ona prawdziwym Jedi.

Vestara wróciła do niego i wyciągnęła rękę.

- Przygotuj się - powiedziała. - Za niecałą minutę będziemy w środku.

Ben oddał jej tacę i wstał.

- Wyglądasz na bardzo pewną siebie - zauważył. - Więc dlaczego strażnik zrobił taką gniewną minę?

- Gniewną minę? - spytała Vestara. - Kiedy?

- Jak tylko do niego podeszłaś - odparł Ben. - Kiedy zapytałaś, czy powiadomił już senatora.

- Aaa, tę minę - przypomniała sobie beztrąsko Vestara. - Nie wiem. Może nie przywykł do tego, że uśmiechają się do niego ładne dziewczyny.

Rzuciła mu figlarny uśmiech i Ben musiał przyznać, że potrafi być zupełnie rozbijająca.

- Rozumiem, że mogłaś go speszyć - przyznał. - Ale to nie znaczy, że twój wdzięk zadziała na senatora... przynajmniej nie stąd.

- Daj spokój - rzekła Vestara, przewracając oczami. - Który polityk chciałby odkładać przyjęcie kapitulacji?

Ben wiedział, że mówiąc „polityk”, myślała „Sith”. Kameron Suldar, przewodniczący Senatu Galaktycznego Sojuszu, był w istocie Arcylordem Ivaarem Workanem z Zapomnianego Plemienia Sithów. Ben i Vestara mieli za zadanie przygotować grunt pod niespodziewany atak.

Musieli znaleźć się w biurze Arcylorda, zanim rozpocznie się bitwa, i odwrócić jego uwagę, tak żeby nie wyczuł nadejścia reszty oddziału Skywalkerów, który miał go pojmać lub zabić. Ben nie był zachwycony, że bierze udział w czymś, co prawdopodobnie miało stać się egzekucją, ale trwała wojna, a on i pozostali członkowie oddziału byli komandosami wyznaczonymi do zniszczenia struktur dowodzenia wroga. Gdyby udało im się to zrobić odpowiednio szybko i dyskretnie, Sithowie pozostaliby bez przywódcy, zanimby jeszcze zdali sobie sprawę, że zostali zaatakowani.

A to pozwoliłoby uniknąć rozprzestrzenienia się walk na ludność cywilną i tym samym ocalić tysiące, może nawet setki tysięcy istnień.

Panel z drewna wurl znów się przesunął i wyłonił się zza niego strażnik w czerwonej pelerynie. Za nim szła olśniewająca rudowłosa kobieta o regularnych rysach gwiazdy HoloNetu i pełnych wyrachowania oczach wytrawnego polityka. Kilkoma szybkimi krokami przemierzyła pomieszczenie i wzięła kopertę z trzymanej przez Vestarę tacy.

- „Mój drogi przyjaciel Kameron” - przeczytała oschłym głosem. Położyła kopertę z powrotem na tacy, po czym spojrzała na repulsorową paletę. - Co to jest?

- Szybkowar do kafasho - odparła Vestara. Nachyliła się bliżej i poufnym tonem dodała: -

Senator Wuul zauważył, że senator Suldar ma pewną słabość do tego napoju, i pomyślał, że chciałby mieć własny szybkowar.

Rudowłosa kobieta przyglądała się przez chwilę podarunkowi, po czym odwróciła się w stronę

strażnika.

- Czy paczka została prześwietlona?

Strażnik uśmiechnął się drwiąco, wyraźnie urażony.

- Oczywiście. Oni też.

- Nie ma powodu do obaw - zapewniła kobietę Vestara. - Mam wrażenie, że senator Wuul chce się po prostu wycofać z twarzą.

Kobieta zastanawiała się chwilę, po czym spojrzała na Bena.

- A ty, Twi'leku? - spytała. - Ty też masz takie wrażenie?

Ben pokiwał głową.

- To na pewno szybko idź do kafasho - odparł. - Polecono nam go zainstalować i poinstruować pracowników senatora Suldara, jak się go obsługuje.

Rudowłosa zmrużyła oczy i odwróciła się w stronę drzwi.

- Dobrze - powiedziała. - Senator was teraz przyjmie.

- Dziękujemy - odparła Vestara. - Nawet sobie pani nie wyobraża, jak się cieszę, że osobiście spotkam Senatora.

Na całym Coruscant Sithowie otrzymywali ostatnie ostrzeżenia, proste komunikaty o treści: **PODDAJ SIĘ ALBO GIŃ. DECYZJA NALEŻY DO CIEBIE.**

- **ZAKON JEDI**

Siedzący na tylnej kanapie swojej opancerzonej limuzyny komisarz SBGS Jestat Vhool prychnął, zirytowany arogancją tych głupich Jedi, i zatrzasnął swój datapad... a potem przypomniał

sobie niewyjaśniony niepokój, jaki poczuł ostatnim razem, kiedy jego pilot włączał napęd repulsorowy. Po plecach przebiegł mu dreszcz, a jego umysł wypełniła jedna jedyna myśl: bomba!

Vhool otworzył drzwi i wyskoczył z limuzyny na najbliższy balkon. Przetoczył się po nim, lądując, i użył Mocy, żeby wyhamować, a następnie poderwał się z mieczem świetlnym w ręce.

Zapalił szkarłatną klingę i przyjął pozycję bojową omiatając wzrokiem otoczenie.

Po chwili z wyższego piętra spadła na niego poruszająca się z dużą prędkością platforma, rozgniatając go na miazgę.

Obsługujący ją konserwator - zielonooki człowiek z siwiejącą bródką - zszedł z platformy i zobaczył

jedynie zakrwawioną rękę wystającą spod ciężkiego sprzętu. Zauważył emblemat SBGS

na rękawie, po czym sprawdził tętno, ale go nie wyczuł. Spojrzał na powietrzny pas ruchu i, widząc zwalnającą limuzynę SBGS, przeskoczył przez balustradę balkonu.

Konserwator wylądował z tyłu dwuosobowego grawicykla, pilotowanego przez złotoookiego Arconę nazwiskiem Izal Waz.

- Witam na pokładzie, Mistrzu Horn! - zawołał przez ramię Izal. - Nie poddał się, jak rozumiem?

- Numer jeden wykreślony - potwierdził Corran. - Spróbujmy z dwójką.

Izal zawrócił grawicykl i ostro dodał gazu. Za plecami zostawili limuzynę, która wcale nie eksplodowała.

Kayala Fei czytała wiadomości w południowym serwisie BAMR, gdy w połowie sensacyjnego materiału o uzdrowicielach Jedi, prowadzących eksperymenty medyczne na chandrilańskich młodzikach, na jej holoprompterze pojawił się dziwny komunikat: „Poddaj się albo giń. Decyzja należy do ciebie”.

Fei się nie zawahała, nawet nie mrugnęła. Posługując się Mocą odepchnęła po prostu swoje krzesło od biurka w stronę holograficznej panoramy wyświetlanej w tle. Gdy tylko krzesło zaczęło się przechylać, skoczyła na równe nogi, a jej miecz świetlny wyfrunął z kabury ukrytej w cholewie jej eleganckich butów i wpadł do ręki.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą miała głowę, znajdował się reflektor. Zawieszony na dolnym końcu oberwanego wspornika, minął jej biurko i pędził teraz ku niej. Zapaliła miecz świetlny, przesunęła się w bok i przecięła wspornik na wysokości głowy, żeby ciężka lampa nie trafiła jej w drodze powrotnej.

Ale za nią ciągnął się urwany kabel. Jego Fei nie miała szansy uniknąć. Zanim się zorientowała, że gorące drgawki wstrząsające jej ciałem to prąd, a nie dreszcze, kabel owinał się już wokół jej szyi. Jego odsłonięty koniec trafił ją tuż nad sercem, wprowadzając w klatkę piersiową tyle prądu, że na błyszczojedwabnej tunice pojawiła się dymiąca dziura.

Na szczęście producentka, która została wezwana awaryjnie po tym, jak normalna ekipa zatrula się nieświeżym thakitillo, zachowała zimną krew. Wstukała nowy tekst do holopromptera, po czym włączyła system łączności studia i poleciła drugiemu prowadzącemu usiąść przy zapasowym biurku.

Nowy prezenter, mówiący barytonem pulchny mężczyzna o wielkim nosie, spojrział na głośnik nad swoją głową i zapytał:

- Mam prowadzić dalej program? - Rzucił okiem w głąb studia, gdzie ciało Fei wisiało wciąż na kablu, wstrząsane drgawkami. - A co z Kayalą?

- Droid Emdee jest już w drodze - zapewniła producentka. Wysoka, ciemnowłosa kobieta o dominującej osobowości, Mistrzynie Jedi Octa Ramis, umiała zapanować nad sytuacją. - Zostały nam

jeszcze cztery minuty programu. Szybko! Czytaj!

Prezenter poderwał się, przebiegł dziesięć kroków do zapasowego biurka, a następnie usiadł i zaczął czytać z holopromptera unoszącego się nad pracującą kamerą.

- Eee, przepraszamy za chwilowe problemy techniczne. - Jego głos odzyskał gładkie brzmienie. - Z przykrością musimy poinformować, że prezenterka BAMR Kayala Fei zginęła przedwcześnie w dziwnym wypadku. Wydarzyło się to przed zaledwie paroma chwilami, w czasie audycji na żywo, na oczach miliardów widzów...

Octa Ramis wyjęła z ucha słuchawkę, rzuciła ją na stół mikserski i odwróciła się w stronę trójki swoich asystentów Jedi.

- I cięcie - powiedziała. - Przejdźmy do kolejnego celu.

Kiedy z kasetonowego sufitu w sali Sądu Najwyższego rozległ się sygnał alarmowy, sędzia Tela Rovas nie sięgnęła po miecz świetlny ukryty pod szatami. Rozwinęła tylko kawałek flimsiplastu, który przed chwilą podał jej sekretarz, przeczytała złowieszczą wiadomość i zmarszczyła brwi, widząc podpis: „Zakon Jedi”.

Następnie zwróciła się do pozostałych sędziów, siedzących obok niej w eleganckiej ławie z drewna hamogoni.

- Wygląda na to, że alarm jest prawdziwy - oznajmiła spokojnie. - Sąd zarządza przerwę w celu przeprowadzenia ewakuacji.

Salę ogarnęła panika. Zarówno widzowie, jak i uczestnicy procesu rzucili się do wyjść. W

przeciwieństwie do nich Rovas wstała spokojnie z krzesła i ruszyła w stronę prywatnego wyjścia dla sędziów, przez cały czas utrzymując pozostałych sędziów w zwartej grupie wokół siebie, żeby osłaniali ją przed atakiem. Gdy przechodzili przez próg, wzięła sędziego Robra Selwiego pod rękę i przyciągnęła bliżej, pilnując, żeby znajdował się cały czas między nią a rozsuwanymi drzwiami.

Jaina zaklęła pod nosem i puściła niechętnie ukrytą dźwignię, za pomocą której mogła zmiażdżyć tę parę ciężkimi drzwiami. Selvi był wprawdzie skorumpowany, ale nie był Sithem - a więc był nietykalny dla Jedi. Jaina spojrzała na dwójkę swoich towarzyszy po drugiej stronie szerokiego korytarza i ruchem głowy wskazała na wyjście.

Valin odpowiedział skinieniem głowy i natychmiast wstał, ale Jysella, która miała włosy upięte w kok, a w ręku trzymała datapad, się nachmurzyła.

- Pozwolimy jej tak po prostu odejść? - spytała. Mówiła stłumionym Mocą szeptem, tak cichym, że jej głos brzmiał w uszach Jainya jak szelest. - Lady Sithów?

Jaina wzruszyła ramionami i wskazała na wyjście bardziej stanowczym gestem. Mieli wyraźne rozkazy: nie atakować, dopóki przeciwnik nie sięgnie po broń. I żadnych ofiar wśród cywilów -



nawet jeśli miałyby to oznaczać, że któryś z Sithów ucieknie.

Gdy Vestara i Ben znaleźli się w końcu w biurze Arcylorda Ivaara Workana - w Galaktycznym Sojuszu znanego lepiej jako senator Kameron Suldar - nie było już czasu na zainstalowanie szybkaru do kafasho. Do rozpoczęcia ataku pozostały zaledwie dwie minuty, co oznaczało, że byli skazani na improwizację. Vestarze to odpowiadało. Szkolono ją, żeby w walce zachowywała się nieprzewidywalnie, a to niekiedy wymagało odrzucenia przygotowanego wcześniej planu.

Teraz zdziwiła się, widząc, że prywatny gabinet senatora urządzony jest w jawnie keshirskim stylu - skromnie, ale elegancko, z rzeźbami ze szkła porostawianymi na postumentach po całym pokoju. Rzeźby były wykonane w nowym stylu, znanym na Kesh jako „latająca burza”, i w większości przedstawiały huragan albo cyklon szalejący nad obcym krajobrazem.

Symbolika, przynajmniej dla wtajemniczonych, była jasna i Vestara pokręciła głową, zdumiona jej ostentacyjnością. Ta arogancja właśnie miała się okazać największą słabością Sithów w nadciągającej wojnie. Jej rodacy po prostu nie rozumieli, jak niebezpieczni są Jedi albo jak zdeterminowani ich Mistrzowie, żeby zniszczyć Zapomniane Plemię Sithów.

Rudowłosa asystentka Workana wskazała Vestarze i Benowi puste miejsce na środku pokoju i ruszyła za nimi. Kiedy dwóch kolejnych strażników w czerwonych pelerynach wyszło z kąta i podążyło ich śladem, Vestara zrozumiała, że to jej wybieg - wypowiedziane bezgłośnie:

„Jestem Vestara Khai”, skierowane do strażnika w pomieszczeniu dla gości - pozwolił im się w końcu dostać do środka. Podejmowała ogromne ryzyko, ujawniając w ten sposób swoją tożsamość, ale chciała mieć pewność, że Luke Skywalker zabije Workana, a to oznaczało, że ona i Ben muszą dostać się do biura Arcylorda.

Ben zaprowadził repulsorową paletę na wskazane miejsce, wyprostował ramiona i stanął na baczność. Workan przyglądał się palecie zza dużego szklanego biurka na końcu pokoju. Był

dystyngowanym mężczyzną o ciemnych włosach i jeszcze ciemniejszych oczach. Vestara nie wyjawiała tego strategom Jedi, ale spotkała już kiedyś Arcylorda, jeszcze na Kesh, kiedy miała zostać uczennicą Lady Rhei. Sprawił na niej wrażenie przebiegłego i spostrzegawczego człowieka, a jad, który dostrzegła teraz w jego oczach, sugerował, że rozpoznał ją pomimo przebrania i potwierdził jej tożsamość.

Wreszcie Workan skinął w kierunku tacy w rękach Vestary i posługując się Mocą, przyciągnął do siebie niewielką kopertę. Ben wydał stłumiony okrzyk zdumienia, który zabrzmiał

całkiem przekonująco. Gdyby Workan i pozostali Sithowie nie wiedzieli jeszcze, że mają przed sobą parę szpiegów, może i daliby się nabrać. Tak jednak nie było i dwóch z ochroniarzy Arcylorda doskoczyło do Bena, zanim zdążył zamknąć usta. Jeden przyłożył mu do gardła ciężkie, zakrzywione ostrze paranga, drugi zaś przyciskał do pleców emiter niezapalonego miecza świetlnego.

W tej samej chwili Vestara poczuła ostry koniec shikkara na skórze nad lewą nerką.

- Ani słowa, zdrajczyń - ostrzegła rudowłosa. - Nawet nie drgnij.

Vestara posłuchała i patrzyła w milczeniu, jak Workan ogląda kopertę, szukając śladów trucizny. Luke Skywalker wraz z pozostałymi dwoma członkami oddziału powinien być już w poczekalni dla interesantów. Obezwładnienie wartowników w sekretariacie i dotarcie do drzwi wejściowych powinno zająć im niecałą minutę. Jednak dla Vestary i Bena, którzy, nieuzbrojeni, znajdowali się w rękach Sithów, nawet pół minuty mogło być za długo. Bezpieczniej byłoby przerwać operację jeszcze w pomieszczeniu dla gońców, kiedy stało się oczywiste, że nie zostaną wpuszczeni, zanim Jedi rozpoczną swój niespodziewany atak.

Przerwanie operacji oznaczałoby jednak pozostawienie Workana przy życiu, a to nie wchodziło w rachubę. Na planecie Sithów Upekzar, kiedy Vestara złożyła Rycerz Jedi Natę Wan w ofierze pradawnemu Pieśniarzowi Snów, żeby ratować Bena, zdała sobie sprawę, że nie będzie, mogła wiecznie się ukrywać wśród Jedi. A Workan, jako Arcylord, zgodnie z obyczajem Sithów musiał wytropić i zgładzić Vestarę za zabicie Arcylorda Sarasu Taalona na Pydyrze. To dlatego Workan - tak jak wszyscy Arcylordowie - musiał zginąć, zanim Vestara będzie mogła bezpiecznie wyjść spod opiekuńczych skrzydeł Zakonu Jedi.

Workan, zadowolony, że koperta nie jest śmiertelną pułapką, odczytał na głos słowa, którymi była zaadresowana:

- „Mój drogi przyjaciel Kameron”.

Pozostała niecała minuta do chwili, gdy Jedi rozpoczną atak, a Workan wyczuje Sithów ginących na całej Coruscant. Vestara i Ben mieli podawać kafasho, starając się za wszelką cenę skupić na sobie uwagę Arcylorda, gdy Luke i reszta oddziału będą szturmować sekretariat. Cóż, wprawdzie nie podawali kafasho, jednak Vestara była przekonana, że udało im się skutecznie przykuć uwagę Workana.

Workan wyjął z koperty złożony arkusz flimsiplastu i jego treść także odczytał na głos:

- „Czy naprawdę myślałeś, że nie dowiem się, kim jesteś?” Fala niepokoju przetoczyła się przez Moc, zwiastując, że podwładni Workana pojęli znaczenie wiadomości Wuula. Sam Arcylord wyglądał prawie tak, jakby się spodziewał takiego liściku. Uniósł tylko cienką czarną brew i spojrzał na Bena.

- To jakiś żart?

- Bynajmniej.

Gdy Ben to mówił, z sekretariatu dobiegły przytłumione głosy. Wiedząc, że najbliższe parę chwil zadecyduje o tym, czy Ben przeżyje, Vestara już miała zwrócić się do Workana, by odwrócić jego uwagę... ale poczuła lekkie ukłucie bólu, gdy shikkar przeciął jej skórę.

Jeśli Ben to zauważył, to nie dał nic po sobie poznać.

- Przewróć na drugą stronę - polecił. - Myślę, że to wiele wyjaśni.

Workan postąpił zgodnie ze wskazówką Bena i przeczytał:

- „Poddaj się albo giń”. - Jego twarz oblała się purpurą, kiedy odczytywał drugą część: -  
„Decyzja należy do ciebie”.

Arcylord podniósł wzrok i spojrzał gniewnie na Bena, ale zanim zdążył coś powiedzieć, stłumione głosy za drzwiami ustąpiły miejsca okrzykom trwogi i odgłosom krzyżowanych mieczy świetlnych.

- Jeśli masz zamiar się poddać, radziłbym zrobić to szybko - powiedział Ben, najwyraźniej starając się odciągnąć uwagę Workana od tego, co działo się za drzwiami. - Nie masz za dużo czasu.

Workan zmrużył oczy.

- To nie ja mam parang przy szyi.

W głosie Bena pojawiła się nuta zuchwałości:

- Nie, ale to ty wypiteś wczoraj rano dwie filiżanki kafasho w biurze senatora Wuula -  
odparł Ben. - Już jesteś martwy, Arcylordzie Workan.

Kłamstwo zabrzmiało tak gładko, że nawet Vestara nie wyczuła go w aurze Bena w Mocy, a wiedziała, że chłopiec mówi nieprawdę. Szybki do kafasho to był tylko podstęp, który miał im pozwolić dostać się do biura Workana, jednak Arcylord nie mógł się zorientować, że Ben kłamie, opierając się na Mocy. Spojrzał jeszcze raz na liścik od Wuula i na jego twarzy pojawił się strach.

Odgłosy walki za drzwiami zaczęły przycichać nawet szybciej, niż Vestara się spodziewała, ale uwaga Workana wciąż była skupiona na Benie.

- Rozumiem. - Arcylord wstał zza biurka. - Jeśli Wuul już mnie otruł, to po co zadawałby sobie tyle trudu, żeby mnie o tym powiadomić? Chętnie się nie jest raczej w stylu Jedi.

- Tak samo jak zabijanie z zimną krwią - zauważył Ben. - Jak przeczytałeś w liście, możesz jeszcze się poddać. Istnieje odtrutka.

Workan spojrzał ponownie na flimsiplast i - nie po raz pierwszy - Vestarę ogarnął podziw dla umiejętności szybkiego myślenia Bena. Wykorzystywał zdolności Arcylorda przeciwko niemu samemu, a ukrywając oczywiste kłamstwo w Mocy, zmuszał Workana do kwestionowania własnego zdrowego rozsądku. Na dłuższą metę ta sztuczka by nie zadziałała... ale też wcale nie musiała.

Zza drzwi dobiegł głuchy stukot.

- Panie, może powinniśmy zabić więźniów i... - zaczął jeden ze strażników.

- Drzwi są ze stali pancernej - przerwał mu Workan, uciszając go gestem, po czym obszedł

biurko. - Ta odtrutka... ona jest w szybkowarze?

- Czy mam to uznać za poddanie się? - Ben wydawał się zdecydowanie zbyt pewny siebie, biorąc pod uwagę jego położenie, i Vestara musiała przyznać, że nawet jej się to podobało. - Twoi ludzie będą musieli złożyć...

- Dostyc tego. - Workan wyciągnął spod szat miecz świetlny. - Koniec z tymi gierkami, Jedi.

I wtedy właśnie przez pokój przetoczyła się fala kompresji.

Vestara nie zastanawiała się nad tym, co się stało, ani nie czekała na odgłos wybuchu.

Odsunęła się po prostu od shikkara, łapiąc jedną ręką rudowłosą kobietę za nadgarstek, drugą zaś rąbnęła ją w szczękę. Kątem oka dostrzegła pomarańczowy błysk i usłyszała potężny huk detonitowej eksplozji. Uniosła kolano, celując w rękę przeciwniczki, i zobaczyła, jak wypada z niej sztylet.

Na tym nie poprzestała - złamała jej łokieć na swoim udzie. Kobieta krzyknęła i, posługując się Mocą, posłała sztylet w kierunku szyi Vestary.

Dlaczego Sithowie zawsze przeceniali swoje możliwości? Vestara odchyliła się w bok, bez trudu unikając ataku, co nie byłoby możliwe, gdyby kobieta celowała w nogę, a potem złapała rudowłosą za podbródek i zabiła ją wspomaganym Mocą ciosem w szyję.

- Padnij!

Vestara poznała głos Bena, więc rzuciła się na podłogę. Szkarłatna klinga przemknęła metr nad jej głową. Powiodła wzrokiem od klingi do miecza świetlnego, od miecza do ręki i na jej końcu zobaczyła strażnika z pomieszczenia dla gońców. Spojrzała na paletę repulsorową, unoszącą się za jego plecami, i sięgnęła poprzez Moc ku automatowi do kafasho.

Strażnik się uchylił i wpadł prosto na Bena, który wbił mu w szyję shikkar - ten sam, który omal nie zabił Vestary.

Strażnik upadł, a Vestara zobaczyła drugą postać w złotej zbroi zbliżającą się do Bena.

Posłała automat do kafasho w stronę strażnika, ten jednak włączył szkarłatny miecz świetlny i rozciął maszynę na pół, zanim go trafiła.

Wtedy Vestara wyciągnęła miecz świetlny spod szat martwej rudowłosej, Ben zaś zabrał

inny zabitemu przed chwilą wrogowi. Dziewczyna skoczyła na równe nogi, po czym odsunęła się od Bena, tak żeby mogli otoczyć następnego przeciwnika z dwóch stron.

Zerknęła w stronę drzwi i zobaczyła, że stoją obok dymiącej dziury, która kiedyś była ścianą. Seha i Doran wbiegali właśnie przez wyłom, kierując się w stronę ostatniego strażnika, gdy tymczasem Luke i Workan przystąpili już do walki w wirującej feerii barw, demolując przy okazji wyposażenie biura. Przy zaledwie trzech Sithach pozostałych przy życiu wynik był przesadzony -

nawet Arcylord nie mógłby przeważyć szali, jeśli po drugiej stronie znajdowali się Luke i Ben Skywalkerzy.

Vestara rzuciła się do ataku. Celowała wysoko, żeby strażnik nie mógł wyskoczyć w górę, ratując się wspomaganym Mocą saltem. Zablokował jej cios i obrócił się w samą porę, żeby sparować wymierzone w jego nogi cięcie ze strony Bena. Zerknął w stronę stojącego przy ścianie postumentu. Domyślając się, że w kierunku jej głowy zaraz polecą szklane rzeźby, Vestara rzuciła się na podłogę, zablokowała swój miecz świetlny w pozycji „włączony” i cisnęła nim w nogi napastnika.

Strażnik opuścił własną klingę, żeby odbić tę, która zmierzała w stronę jego ud... ale zaraz rozszczepił się po prostu wzdłuż kręgosłupa, gdy miecz świetlny Bena przeciął go od głowy do pasa. Ciało nie tyle upadło, co rozłożyło się na boki, a rzeźba spadła na podłogę trzy metry dalej.

Vestara przywołała swoją broń z powrotem do ręki. Podniosła wzrok i zobaczyła, jak Ben przechodzi nad ciałem, zmierzając ku niej.

- Cóż - powiedziała, spoglądając na martwego Sitha. - Chyba jednak ci zależy.

- Oczywiście, że mi zależy. - Ben uśmiechnął się i wziął ją za rękę. - Niełatwo znaleźć dobrego partnera.

- A wy niewątpliwie tworzycie zgrany duet - zauważył Doran Tainer, dołączając do nich.

Przyjrzał się trzem Sithom, których zabili. - Mieliście w ogóle broń, jak to wszystko się zaczęło?

- Jedi jest zawsze uzbrojony - stwierdziła Vestara, cytując maksymę, która należała do ulubionych zarówno przez Sithów, jak i Jedi.

Przez chwilę trzymała Bena za rękę, rozkoszując się jej siłą i ciepłem i wiedząc, że wkrótce będzie musiała ją puścić. Wreszcie pozwoliła, żeby pomogli jej wstać, po czym odwróciła się w stronę walczących ze sobą Luke'a i Workana. Pas potłuczonego szkła i dymiących mebli znaczył

ścieżkę, którą walka przeniosła się w głąb pokoju. Sądząc po krętej trasie, walka była zarazem rozpaczliwa i wyrównana, ale teraz Workan został w końcu zmuszony do wycofania się za biurko.

Seha Dorvald ruszyła Luke'owi z odsieczą i było tylko kwestią czasu, kiedy Workan zostanie przyparty do muru i może nawet zabrany na przesłuchanie.

A na to Vestara nie mogła pozwolić - nie po tym, co zrobiła, żeby wprowadzić ich do biura.

Myślała przez chwilę, a wreszcie wyciągnęła blaster z kabury martwego strażnika.

- Coś jest nie tak! - Ruszyła w głąb pokoju. - Musimy go powstrzymać!

Silna ręka złapała ją za ramię.

- Powstrzymać przed czym? - spytał Doran. - Luke chce wziąć Workana.

Vestara się wyrwała.

- Patrzcie, gdzie on jest... Chce się dostać do biurka. - Uniosła pistolet blasterowy i zaczęła strzelać, próbując nie tyle zabić Workana, co odepchnąć go od biurka i skierować na klingę Luke'a.

- Musi tam mieć detonator!

Doran puścił jej ramię i po chwili do strumienia blasterowych strzałów Vestary dołączyły dwa kolejne.

- Tato, pułapka! - wrzasnął Ben. - Cofnij się!

- Seha, ty też! - dodał Doran.

Oboje Jedi natychmiast odskoczyli, zostawiając skonsternowanego Workana, który z trudem powstrzymywał nawałnicę blasterowego ognia. Zmęczony i ranny, z jedną ręką zwisającą bezwładnie i z dymiącym otworem na piersi, nie mógł sprostać trójce napastników, którzy umiejętnie koordynowali ogień, żeby przełamać jego obronę. Potrzeba było raptem sześciu strzałów, żeby Ben wypalił mu dziurę w głowie.

- Brawo za przytomność umysłu, Ves. - Ben ścisnął ją za ramię i dodał: - I dzięki. Możliwe, że znowu nas uratowałaś.

## **ROZDZIAŁ 4**

Rozświetlona planeta Ossus wyglądała jak olbrzymia szara perła zawieszona między pomarańczowymi kulami dwóch słońc. Była szara, ponieważ cały ten świat przykryty był

chmurami. A był przykryty chmurami, ponieważ dwa razy w roku Ossus znajdował się dokładnie pomiędzy swoimi dwiema gwiazdami. Na planecie, poddawanej z dwóch stron działaniu promienistej energii, przez kilka tygodni nie zapadała noc. Temperatury wzrastały do niebotycznych wartości, zmieniając większość wód powierzchniowych w atmosferyczną parę.

Allana Solo wyczytała to wszystko w broszurce informacyjnej Ministerstwa Wywiadu, podobnie jak ostrzeżenie, że warunki są w tym czasie takie, że piloci startujący z powierzchni musieli lecieć na ślepo, dopóki nie znaleźli się w przestrzeni kosmicznej. Jednak dziewięcioletnia Allana, spoglądająca na świat z królewskiej kabiny na pokładzie „Smoczej Królowej II”, miała wrażenie, jakby Ossus starał się zatrzymać młodych Jedi w domu. Że nie chciał dopuścić do ewakuacji Akademii Jedi, nawet jeśli miałyby to oznaczać śmierć wszystkich jej uczniów.

- Nie ma powodów do obaw. - Matka Allany stanęła obok niej w obserwacyjnym bąblu. -

Twoi dziadkowie robili takie rzeczy, odkąd się urodziłam.

Allana pokiwała głową i popatrzyła na odbicie swojej matki w transpastali. Ubrana w szary kombinezon lotniczy, z mieczem świetlnym z rękojeścią z zęba rankora zwisającym u pasa, wyglądała bardziej na Rycerza Jedi niż na królową matkę Konsorcjum Hapes. Tego rodzaju strój Tenel Ka

nosiła tylko w sytuacjach prywatnych i była to, jak Allana wiedziała, jedyna namiastka prawdziwego życia, o jakim jedna z najbardziej wpływowych kobiet w galaktyce mogła jedynie pomarzyć.

Gdy Allana nie odpowiadała, jej matka wzięła ją za rękę.

- Nic im nie będzie. Jeśli ktokolwiek może tego dokonać, to właśnie Han i Leia Solo.

- Chyba nie możesz tego obiecać - odezwała się Allana, wciąż przyglądając się spowitej chmurami planecie przed nimi. - Nawet dziadek i babcia raczej nie wlatują w sam środek zasadzki Sithów, przynajmniej nie specjalnie.

- Zwykle tego nie robią - przyznała jej matka. - Ale... właśnie dlatego tu jesteśmy.

Niewykluczone, że mając przed sobą hapańską flotyllę bojową gotową do akcji, Sithowie w ogóle zrezygnują z ataku.

Allana przewróciła oczami.

- Nawet ja za dobrze znam Sithów, żeby w to uwierzyć, a mam tylko dziewięć lat.

Jej matka zachichotała.

- No cóż, może to bardziej nadzieja niż wiara - oznajmiła. - Ale obie wiemy, jakim błędem byłoby lekceważenie twoich dziadków.

Allana już chciała przyznać jej rację, ale urwała, gdy jej oswojone nexu, Anji, warknęło ostrzegawczo. Dziewczynka spojrzała w głąb kabiny i zobaczyła zbliżającą się Tristę Zel, kuzynkę i powiernicę jej matki. Wiedząc, że Trista by nie przeszkadzała, gdyby nie chodziło o coś ważnego, Allana uciszyła gestem Anji, a sama przesunęła się w bok, żeby zrobić miejsce w niewielkim bąblu obserwacyjnym.

Trista rzuciła przepraszający uśmiech.

- Wybacz, że przeszkadzam, kuzynko - zagadnęła. Gdyby ktoś inny zwrócił się tak poufale do królowej matki, zostałby zesłany do Ulotnych Mgieł. - Ale chciałaś, żeby cię powiadomić, kiedy Sithowie wykonają jakiś ruch.

Tenel Ka uniosła brwi.

- Już?

Trista pokiwała głową.

- Zwiadowcy zauważyli skrzydło Skiprayów dwanaście-jot wchodzących w atmosferę po drugiej stronie planety.

- Dwanaście-jot? - zdziwiła się Tenel Ka. - Skąd wzięli takie starocie?

Trista wzruszyła ramionami.

- Ciągłe nad tym pracujemy, Wasza Wysokość - oznajmiła. - W każdym razie w centrum taktycznym uważają, że chcą wykorzystać osłonę chmur, żeby uderzyć na konwój, kiedy opuści Akademię. Komandor Skela zaleca wysłanie dwóch skrzydeł Miy'tilów do wsparcia Eskadry Vhork i ochrony konwoju.

Tenel Ka myślała przez chwilę, a wreszcie pokiwała głową.

- Powiadom Solo, ale wyślij cztery skrzydła, a nie dwa.

Trista otworzyła szeroko oczy.

- Cztery skrzydła?

Żaden z doradców królowej matki nie śmiałby podważać jej osądu, jednak Trista i Taryn Zel - a także Rycerz Jedi Zekk, odkąd byli parą z Taryn - tworzyli coś, co nazywało się Lorelliańskim Dworem. Allana podejrzewała, że Lorelliański Dwór jest supertajną jednostką hapańskich sił bezpieczeństwa, jednak tylko trzech rzeczy co do tej organizacji była pewna: po pierwsze, nie wolno jej było komukolwiek o niej wspominać, nawet swoim dziadkom; po drugie, mogła ufać każdemu, kto posługiwał się jej tajnym kodem; i po trzecie, miała zostać przyjęta do niej w dniu osiemnastych urodzin.

Kiedy królowa matka nie odpowiedziała natychmiast, Trista dodała:

- Wasza Wysokość, cztery skrzydła to połowa wszystkich myśliwców, a te Skipraye są starsze od nas.

- Te Skipraye są pilotowane przez Sithów - odparła Tenel Ka. - Dopóki nie będziemy wiedzieć, do czego są zdolni, wolę nie ryzykować.

Rozkazujący ton w głosie królowej matki nie pozostawiał wątpliwości.

- A zatem cztery skrzydła. - Trista skłoniła głowę, ale wciąż nie kwapiła się do wyjścia. -

Mam też wiadomość od Lady Maluri.

Tenel Ka westchnęła ze znużeniem.

- Muszę?

- Obawiam się, że tak - uznała Trista. - Prosiła, żebym to przekazała: uważa, że ryzykowanie życia Hapan, aby chronić młodzików Jedi, jest rażącym nadużyciem władzy królewskiej.

- Przypomnij, proszę, Lady Maluri, że Sithowie próbowali zabić jej królową - oświadczyła Tenel Ka, przewracając oczami. - Poinformuj ją, że jeśli nie widzi potrzeby ukarania takiej zniewagi wobec hapańskiej władzy, to zastąpię ją kimś innym.



- Z przyjemnością, kuzynko.

Trista ukloniła się i ruszyła do wyjścia, ale Tenel Ka uniosła palec, żeby ją zatrzymać.

- I dopilnuj, żeby nigdy więcej nie trzeba było upominać Lady Maluri za zdumiewający brak uczuć, jaki okazuje swojej królowej - dodała. - Powiedz jej, że czymś w ciebie rzuciłam.

Trista się uśmiechnęła.

- Postawię sprawę jasno, Wasza Wysokość.

Tenel Ka pokiwała głową i Trista wyszła.

Kiedy znalazła się poza zasięgiem głosu, Allana spojrzała matce w oczy.

- Dużo ryzykujesz, żeby pomóc dziadkowi i babci ewakuować Akademię Jedi - zauważyła. -

Lady Maluri nie może być jedyną arystokratką, która nie chce pomagać Jedi.

Jej matka myślała przez chwilę, a w końcu przytaknęła.

- Tak, to prawda. Dużo ryzykuję. Własne życie, a nawet pewnie i twoje. - Wyjrzała znów z obserwacyjnego bąbla. - A jaki mogę mieć powód, żeby podejmować takie ryzyko? Jaki jest jedyny powód, dla którego mogłabym ryzykować twoje życie?

Allana nie musiała zastanawiać się nad odpowiedzią - wpajano jej to, odkąd była na tyle duża, żeby zapamiętać te słowa.

- Żeby chronić królestwo.

- Tak jest - potwierdziła jej matka. - Gdyby Sithom udało się mnie zabić, wówczas wybuchłaby wojna o sukcesję. Wojna, na którą nie jesteś jeszcze gotowa.

- Wiem - przyznała Allana. Czasami miała wrażenie, że całe jej życie jest jedną wielką lekcją. Ale zawsze starała się uważać, bo wiedziała, że kiedyś od jej decyzji zależeć będą losy bilionów istot. - A kiedy nasz lud walczyłby między sobą, królestwo stałoby się łatwym celem dla napastników z zewnątrz.

- Dla Sithów - sprostowała jej matka. - Niezależnie od tego, czy Lady Maluri i jej przyjaciele są skłonni to przyznać, czy nie, Zapomniane Plemię już prowadzi z nami wojnę. Ja tylko mobilizuję sojuszników.

- A najlepszymi sojusznikami są Jedi - zgodziła się Allana. Odwróciła się z powrotem w stronę otulonej chmurami planety, wiszącej za transpasterem. - Całe szczęście, że Jedi są naszymi przyjaciółmi. A dziadek zawsze mówi, że trzeba wspierać przyjaciół, choćby nie wiem co.

- Twój dziadek jest bardzo mądry - zgodziła się jej matka. - I ma rację. Nawet gdyby Sithowie mnie

nie zaatakowali, to byśmy...

Jednak Allana już nie słuchała, ponieważ w ossańskich chmurach pojawiła się właśnie mała dziurka, która zaczęła się szybko powiększać. W czasie najwyżej dwóch oddechów urosła od wielkości jej pięści do rozmiarów większych niż głowa Anji i nagle Allana poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Dziura zamieniła się w ogromną czarną czelusć i dziewczynka uświadomiła sobie, że spada w ciemność głębszą niż kosmos. Jej nozdrza wypełnił wilgotny, paskudny zapach, a pęd przelatującego powietrza szeptał jej do ucha.

Tyle że to nie był szept. Przypominało to bardziej syk, głos wściekłego Barabela, i Allana zdała sobie sprawę, że wcale nie spada. Ale nie stała też na pokładzie „Smoczej Królowej II”.

Znajdowała się w ciemnym korytarzu pod Świątynią Jedi i zaglądała przez otwarty właz do wnętrza mrocznego pomieszczenia, które wypełniało ogromne gniazdo z kości gryzoni.

Spomiędzy kości wyglądały dziesiątki małych główek. Miały krótkie pyszczki i długie, szybko poruszające się języki, a ich oczy o podłużnych źrenicach błyszczały strachem i gniewem.

Zaczęły wyskakiwać z gniazda, piszcząc i wystawiając pazury. Allana się cofnęła i trafiła na ścianę.

Młode gady jej nie dosięgły, bo za jej plecami rozpętała się nawałnica blasterowych błyskawic, które odrzuciły małe stworzenia z powrotem do gniazda, zwęglone, dymiące i martwe.

Allana krzyknęła, wzywając Tesara i Wilyema, żeby wrócili do swoich piskląt. Ale Barabelowie się nie zjawili. Gniazdo zniknęło w mroku i Allana zrozumiała, że znów jest na pokładzie „Smoczej Królowej II”, w objęciach swojej matki. Anji, rozplaszczona na powierzchni obserwacyjnego bąbla, warczała i drapała w transpastał.

- Allano? - wykrztusiła jej matka. - Co się stało?

Allana rozejrzała się dookoła i jej konsternacja powiększyła się tylko na widok znajomego przepychu królewskiej kabiny.

- Mamo, muszę porozmawiać z Mistrznią Sebatyne, natychmiast!

Jej matka uniosła brew.

- Z Mistrznią Sebatyne? - spytała. - Ale ona jest na Coruscant, najprawdopodobniej w samym środku bitwy.

- Nieważne. Oni zabijają... - Allana ugryzła się w język, zdając sobie sprawę, że nie może powiedzieć nic więcej, żeby nie złamać obietnicy, jaką złożyła Tesarowi Sebatyne: że nigdy, przenigdy nie ujawni istnienia gniazda Barabelów w podziemiach Świątyni Jedi. - Ktoś strzela do potomstwa moich przyjaciół!

- Jakich przyjaciół?

- Moich przyjaciół na Coruscant - odparła Allana. - Oni potrzebują naszej pomocy!

- I udzielimy im jej - zapewniła ją matka. - Ale nie możemy nikomu pomóc, dopóki się nie uspokoisz. Zaczynaj od początku i wszystko mi opowiedz.

Allana zrobiła głęboki wdech i zatrzymała na chwilę powietrze w płucach, stosując technikę relaksacyjną Jedi, żeby oczyścić umysł i odegnać panikę. Ponieważ panika to wróg - tak zawsze mówiła jej ciocia Jaina. Panika zabiła więcej istot niż wszystkie blastery w galaktyce i będzie zabijać dalej, nawet kiedy nie będzie już wojen.

Po kilku oddechach Allana uspokoiła się na tyle, żeby opowiedzieć, co widziała - jak patrzyła na Ossusa, kiedy w chmurach pojawiła się dziura, a ona wpadła w nią i znalazła się w ciemnym korytarzu, głęboko w podziemiach Świątyni Jedi.

- Ale nic więcej nie mogę powiedzieć - oświadczyła Allana. - Obiecałam dochować tajemnicy.

- Komu obiecałaś?

Allana się nachmurzyła.

- Mamo! Nie mamy czasu na gambit Greesa - powiedziała. - Piskłeta giną.

Twarz jej matki wyrażała teraz bardziej cierpliwość niż niepokój.

- Allano, wiesz, że tak naprawdę nie byłaś w tym korytarzu, prawda?

- Tak... wiem - przyznała Allana. - To była jeszcze jedna wizja Mocy, taka jak ta, którą miałam na Klatooine.

Tenel Ka zastanowiła się, po czym stwierdziła:

- Niewątpliwie jesteś bardzo silna Mocą. To już dwie wizje w ciągu niespełna pół roku.

Allana nie wiedziała, czy powinna być tym zachwycona, czy przerażona. Jej ojcem był

Jacen Solo. Nie znała go dobrze, ale czytała dostatecznie dużo o jego życiu, żeby wiedzieć, że wizje Mocy doprowadziły go do upadku, a w żadnym wypadku nie chciała podążyć jego śladem na Ciemną Stronę. Ale wiedziała też, że Wielki Mistrz Skywalker również miał takie wizje i że traktował je jako wskazówki od Mocy.

Wszystko to jednak nie dawało Allanie odpowiedzi na pytanie, co powinna zrobić.

- Jeśli to wizja Mocy, to powinnam do tego nie dopuścić, tak? - spytała. - Tak jak wtedy, kiedy widziałam przy tobie płonącego człowieka?

W oczach jej matki pojawił się błysk niepokoju, ale nie zaprzeczała. Uniosła tylko dłonie w geście bezradności.

- Sama chciałybym to wiedzieć - oznajmiła. - Każda wizja oznacza coś innego. Pewne jest tylko to, że dla ciebie oznacza, iż jesteś silna Mocą.

Allana zastanowiła się nad tym. Przypomniała sobie słowa Luke'a Skywalker'a skierowane do jej babci, które kiedyś niechętnie podsłuchiwała - o tym, co Jacena sprowadziło na Ciemną Stronę: było to przekonanie, że jego przeznaczeniem jest zmienić to, co zobaczył. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było popełnienie tego samego błędu, ale nie mogła też zignorować tego, co działo się z piskletami. Pozwolić im zginąć wydawało się jeszcze gorszym wyborem niż próba zmiany przyszłości.

Po chwili Allana popatrzyła na matkę, marszcząc brwi.

- Niewiele mi to pomogło, mam - stwierdziła. - Skąd mam wiedzieć, co Moc każe mi zrobić?

- Może nic ci nie każe - odparła jej matka. - Wizje Mocy to nie są rozkazy, Allano. To po prostu urywki przyszłości, która jest zawsze w ruchu. Najważniejsze jest w nich to, co potem zrobisz. To decyduje o tym, kim się staniesz w środku. A to, kim się staniesz, jest o wiele ważniejsze dla przyszłości niż jakakolwiek decyzja, którą podejmiesz.

- Dziadek mówi na to unik Landa - oświadczyła Allana, niezbyt zadowolona z rady matki. -

Mówi, że ludzie go stosują, kiedy nie wiedzą, co powiedzieć.

Jej matka się uśmiechnęła.

- No cóż, to prawda, że nie wiem, co ci powiedzieć. Sama musisz zdecydować. Tak działa Moc.

- A jeśli podejmę złą decyzję?

- Posłuchaj swojego serca, a na pewno tak się nie stanie - zapewniła ją matka. - Nikt nie Zna przyszłości, Allano, nawet Wielki Mistrz Skywalker. Ale każdego dnia kształtujemy ją wyborami, których dokonujemy. Musisz tylko słuchać swojego serca. Twoje serce mówi ci, co jest dobre i słuszne. Jeśli będziesz postępować Zgodnie z tym, przyszłość sama sobie poradzi.

Allana nie musiała długo słuchać.

- To łatwe - odezwała się. - Nie mogę zostawić przyjaciół. Muszę ich ostrzec o niebezpieczeństwie grożącym ich młodym.

- A więc tak właśnie zrobimy - postanowiła jej matka. - Sądzisz, że możesz ostrzec Mistrzynie Sebatyne poprzez Moc?

Allana zastanawiała się przez chwilę. Zwykle potrafiła odnaleźć w Mocy swoją matkę, nawet pomimo lat świetlnych dzielących Coruscant i Konsorcjum. Czasem potrafiła też odnaleźć babcię. Nigdy jednak nie udało jej się zlokalizować Barva ani nawet Jainy, a znała ich o wiele lepiej niż Mistrzynie Sebatyne.

W końcu pokręciła głową.

- Chyba nie.

- W takim razie musiałybyśmy użyć HoloNetu - powiedziała matka. - A wtedy Sithowie mogliby przechwycić wiadomość. Czy to miałoby znaczenie?

- To by była katastrofa - oceniła natychmiast Allana. Jak dotąd nic nie wskazywało na to, że gniazdo Barabelów zostało odkryte. Gdyby jednak Sithowie przechwycili wiadomość ostrzegającą Mistrzynie Sebatyne o niebezpieczeństwie grożącym pisklętom, z całą pewnością zarządziliby skrupulatne poszukiwania. - To by wszystko zepsuło.

- Wobec tego może powinniśmy poczekać, aż zakończy się ewakuacja - zaproponowała matka. - Jak tylko wrócą twoi dziadkowie, poprosimy księżniczkę Leię, żeby ostrzegła Mistrzynie Sebatyne poprzez Moc. Może tak być?

Allana myślała jakiś czas, a potem pokiwała głową.

- Chyba musi.

## **ROZDZIAŁ 5**

Szare miazmaty, które wypełniały plac Akademii, były bardziej parą niż mgłą. Skraplała się ona na klimatyzowanej kabinie „Sokoła” i spływała po transpastali długimi, lśniącoymi strużkami, przesłaniając widok. Aula Woodoo, oddalona o zaledwie dwadzieścia metrów, przypominała przekrzywione szare pudełko, a długi sznur wybiegających z niej istot wyglądał jak bezkształtny zawijas we mgle. Reszta konwoju - jednaście transportowców klasy Olanjii Sharmok, rozstawionych w różnych punktach placu apelowego - była zupełnie niewidoczna.

Zanosilo się na ciężką przeprawę - być może najcięższą w życiu Hana Solo. Sithowie mieli wysłać swoich najlepszych pilotów, a w gęstej mgle ich zdolności posługiwania się Mocą mogły zniwelować przewagę Hapan w wyposażeniu i wyszkoleniu. Im szybciej konwój znajdzie się w zasięgu ochronnego parasola turbolaserów Smoków Bitewnych, tym większe będzie miał szanse na przetrwanie.

Han włączył interkom i połączył się z rampą załadunkową „Sokoła”.

- Jesteśmy gotowi?

Z głośnika w kabinie natychmiast dobiegł hurgot napełnianej ładowni, a potem głos Leii:

- Już prawie, Han.

- To samo mówiłaś dziesięć minut temu.

- Dziesięć minut jeszcze nie minęło - zwróciła uwagę Leia. - Pracujemy najszybciej jak się da.

- No to pracujcie jeszcze szybciej - polecił Han. - Nie podoba mi się ta mgła. Coś może się w niej ukrywać.

- Na przykład my, kapitanie Solo - odezwał się aksamitny hapański głos. - Przestań się zamartwiać, bo zaczynasz wyglądać na swój wiek.

- Kochanie, mylisz wiek z doświadczeniem - odparł Han, celowo używając określenia, które mogło rozdrażnić dumną Hapankę, taką jak Taryn Zel. - A moje doświadczenie mówi mi, że jak się nie pośpieszycie, to nie będziemy mieli szansy się ukryć. Stoimy tu już pół godziny.

Z głośnika dobiegł głos Leii, ostry jak wibronóż:

- Han, ilu uczniów zabieramy?

- Trzystu dwudziestu dwóch - odparł Han. Setki razy analizował logistyczną stronę operacji, próbując przekonać sam siebie, że mogą to załatwić, zanim Sithowie przylecą ze swojej nie takiej znowu tajnej bazy wypadowej na księżycach Colsassy. - Ale to tylko dwadzieścia sześć i osiem dziesiątych ucznia na statek. To nie powinno aż tyle...

- A ilu mają członków rodzin? - wtrąciła Leia.

- Dziewięciuset dwudziestu trzech - warknął Han. - Mimo wszystko to nie powinno...

- A personelu pomocniczego?

- Tysiąc dwieście, plus minus - odparł Han. - Ale oni mieli...

- A ile ton sprzętu załadujemy?

- Nie mów mi nic o sprzęcie - burknął Han. - Ja bym to wszystko rozwalił.

- I czym byś to zastąpił? - zapytała Leia. - Akademia się przenosi, być może na stałe.

Wszyscy będą potrzebowali miejsca do spania. Uczniowie będą potrzebowali sprzętu do treningów.

Technicy będą potrzebowali narzędzi i części, a nie mamy środków...

- Dobrze, już dobrze - przerwał jej Han. Znał argumenty Leii na wylot, tak samo jak własne.

Odkąd rząd Galaktycznego Sojuszu znajdował się w rękach Sithów, minęły czasy nieograniczonych funduszy. Zakon Jedi potrzebował wszystkiego, co mógł zabrać z Ossusa. - Po prostu wolałbym, żebyśmy nie musieli brać wszystkiego.

- Nie byłoby problemu, gdybyś się nie upierał, żeby czekać do ostatniej chwili - zauważyła Taryn. - Komandor Luvalle chciała zacząć tę operację cztery godziny temu.

- Ona chce zepsuć Luke'owi zabawę na Coruscant - odparował Han. Podczas narady on i Luvalle wielokrotnie się ścierali, ponieważ pani komandor uważała, że pół godziny na powierzchni planety to za mało, Han zaś upierał się, że nie mogą rozpocząć ewakuacji, dopóki Jedi nie przypuszczą ataku na Coruscant. - Jesteś pewna, że ona nie jest Sithem?

- Całkowicie, kapitanie Solo. - W głosie Taryn słychać było chłód, sugerujący, że Hapanka ma ważniejsze sprawy na głowie niż obrona reputacji pani komandor. - Nie obraż się, ale jesteśmy zajęci. Księżniczka Leia powiadomi cię, kiedy wszystko zostanie załadowane.

W głośniku rozległ się nagły trzask, a potem interkom ucichł. Han rozdziawił usta i odwrócił się w fotelu pilota, spoglądając w głąb kabiny, gdzie R2-D2 kontrolował stanowisko łączności.

- Słyszałeś to? - spytał. - Rozłączyła się!

R2-D2 obrócił swoją kopułkę w kierunku przedniej części kabiny, po czym wydał długą serię naglających gwizdów.

- Co jest? - zapytał Han. C-3PO został wypożyczony Raynarowi Thulowi, żeby pomóc ustalić, czym dokładnie jest Abeloth, a przy odrobinie szczęścia także odkryć, gdzie zniknęła, więc Han nie miał nikogo, kto mógłby mu tłumaczyć piski i gwizdy małego droida. - Jeśli potraktowała tę stację interkomu blasterem, to będzie lecieć w podwoziu!

Z głównego monitora dobiegł sygnał powiadomienia i kiedy Han się odwrócił, zobaczył

przesuwający się po ekranie komunikat od R2-D2: „Są gorsze wieści. Dowódca Vhorków donosi, że z nadprzestrzeni wyszło niedawno skrzydło kanonierek Skipray”.

Serce Hana zaczęło bić jak oszalone, ale zmusił się do zachowania spokoju. Eskadra Vhorków - nazwana tak od ogromnego daruwiańskiego jastrzębia, który z wrogością patrzył na śmigacze wdzierające się na jego terytoria - była najlepszą eskadrą gwiazdnych myśliwców w Hapańskiej Flocie Królewskiej i dlatego zapewniała im osłonę w czasie tej misji.

- Dobra - powiedział ostrożnie Han. - Więc Eskadra Vhorków rusza do ataku, tak?

R2-D2 zaćwierkał przecząco, a po chwili pojawił się wyjaśniający komunikat: „Atak się nie powiódł. Wróg włączył urządzenie zakłócające i wszedł w atmosferę. Dowódca Vhorków informuje o wyeliminowaniu trzech celów, ale pozostałe kanonierki uciekły czterdzieści siedem sekund temu”.

- I dopiero teraz nam o tym mówią?

„Eskadra Vhorków próbuje namierzyć wroga, a Jej Królewska Mość wysłała wsparcie w postaci czterech Miy'tilów”.

- Dobra, więc wytycz wektor startu i niech myśliwce zbiorą się na drugim końcu.

Zaprowadzimy Sithów do nich.

R2-D2 zaświergotał potakująco, a Han przesunął przełącznik na konsolce łączności

„Sokoła” i nawiązał połączenie z resztą konwoju.

- Słuchajcie... - Przekazał im szczegóły meldunku, który właśnie otrzymał. - Przypuszczam, że mamy

jakieś pięć minut, zanim te kanonierki wyskoczą z rowu tektonicznego i zaczną rozwalać wszystko, co ma napęd jonowy. Więc upychajcie ładunki, zamykajcie włązy i ruszajcie...

Han spojrzał na główny monitor, żeby sprawdzić współrzędne.

- ...na północ pod kątem siedemdziesięciu stopni w górę. Nie zbaczajcie z tego toru, bo wleciecie w strefę walk.

- Jaką strefę walk? - spytał hapański pilot. - Na odprawie nie było mowy o żadnych strefach walk.

- Plan B - wyjaśnił Han. - Nasze myśliwce przechodzą na obronę strefową.

- Według planu B mieliśmy schować się w rowie tektonicznym i czekać na eskortę -

przypomniał mu drugi pilot.

- To jest nowy plan B - odparł Han. - Uwierzcie mi, nie chcecie się znaleźć w tej dolinie z bandą Sithów ścigających was we mgle.

Spróbował jeszcze raz połączyć się przez interkom z Leią, ale odpowiedziała mu głucha cisza.

- Cholera! - Odwrócił się w stronę R2-D2. - Nagraj holowiadomość.

Droid obrócił kopułkę, tak że obiektyw kamery skierowany był na Hana. Kiedy zapaliło się czerwone światełko oznaczające nagrywanie, Han zaczął mówić.

- Leia, w naszą stronę leci chmara kanonierek. Musimy wystartować w ciągu pięciu minut.

A przy okazji włącz interkom! - Począł, aż czerwone światełko zgaśnie, po czym zwrócił się do R2-D2: - Pokaż to Leii. I nie daj się zbyć. Stań jej na drodze, jak będziesz musiał.

Z głównego monitora dobiegł kolejny sygnał powiadomienia i Han odwrócił się, żeby przeczytać następny komunikat od R2-D2.

„Pięć minut zmniejszy margines bezpieczeństwa do zera”.

- Przykro mi to mówić, Artoo - odparł Han - ale nie mieliśmy żadnego marginesu bezpieczeństwa.

„Zrozumiałem. Ewakuacja przebiega zgodnie z planem”.

Droid schował wysięgnik z interfejsem i ruszył korytarzem w kierunku głównej ładowni.

Han zaczął przygotowywać „Sokoła” do szybkiego startu. Reaktor fuzyjny był już w gotowości, więc Han zaczął powoli zwiększać dopływ paliwa, chcąc rozgrzać wewnętrzną obudowę, żeby zminimalizować wpływ wysokiej temperatury, kiedy duże działa laserowe zaczną pobierać energię.

Równocześnie włączył komputery celownicze i aktywne sensory. Sithowie i tak używali Mocy do



namierzania celów, więc niczym nie ryzykował, wysyłając w ich stronę sygnały elektromagnetyczne. Wreszcie uruchomił napęd jonowy i otworzył przepustnice, aż „Sokół” opuścił

dziób i zaczął kołysać się na podporach podwozia.

Przez iluminator widział szary, kanciasty kształt startującego transportowca, który poruszał

się we mgle na niewidzialnej poduszce swoich silników repulsorowych. Kilkaset metrów dalej rozbłysły trzy niebieskie kółka silników jonowych drugiego okrętu, przygotowującego się, tak jak Han, do nagłego startu, który miał zamienić szeroki pas należącego do Akademii Jedi terenu w długą na kilometr, zwęgloną bruzdę. Biorąc pod uwagę tony sprzętu Jedi, który konwój musiał

pozostawić na placu apelowym na pastwę Sithów, Han żałował, że nie uprzedził wszystkich transportowców o konieczności przyspieszonego startu, ale teraz było już na to za późno. Kolejne dwa szare prostokąty zaczęły się wznosić we mgle, a na bakburcie rozbłysły światła jeszcze jednego zestawu silników jonowych.

Z pulpitu sterowniczego „Sokoła” dobiegł ostrzegawczy brzęczyk. Han spojrział na monitor taktyczny i zobaczył serię zakłóceń pochodzących z pobliskiego rowu tektonicznego. Wcisnął guzik alarmu i w tej samej chwili zobaczył odbicie Taryn Zel w iluminatorze.

- Kapitanie Solo! - Wpadła do kabiny, a tuż za nią R2-D2. - Robimy tam, co możemy. Jeśli sądzisz, że uda się...

Przerwał jej odległy huk przyspieszających silników jonowych. Han włączył oba zestawy górnych osłon - przednie i tylne - i wciąż jeszcze trzymał rękę na przełącznikach, kiedy mgła przybrała szkarłatną barwę od głośnych strzałów z działek. Po „Sokole” rozniosło się skwierczenie osłon przyjmujących trafienia. Światła wewnątrz statku przygasły, bo energia została skierowana na generatory osłon.

- *Stang!* - wykrztusiła Taryn. Odwróciła się i ruszyła z powrotem korytarzem, wrzeszcząc w kierunku głównej ładowni: - Zekk, podnoś te rampy i wskakuj do dolnej wieżyczki! Ja wezmę górną.

- Nie, zostań tu i siadaj w fotelu drugiego pilota! - Han musiał się wydzierać, żeby przekrzyczeć odgłosy bitwy. - Niech Leia idzie na górną wieżyczkę. Artoo, podłącz się do systemu łączności taktycznej.

Taryn zatrzymała się na początku korytarza i obejrzała się na jego odbicie w iluminatorze.

- Ale księżniczka jest...

- Jedi. A Moc przyda się dużo bardziej niż komputery celownicze, kiedy zaczną zagłuszać nam sensory. - Han wskazał na fotel drugiego pilota. - Więc siadaj.

Odpowiedź Taryn utonęła w ogłuszającym trzasku kilkadziesiątu jednoczesnych trafień, a cała kabina rozblęsnęła białozłotym blaskiem rozpraszanej energii.

Taryn pokiwała tylko głową i krzyknęła w kierunku głównej kabiny coś, czego Han nie dosłyszał, a następnie podbiegła do fotela drugiego pilota, usiadła i zapięła pasy. Han spojrzał na monitor taktyczny i zobaczył, że ściana zakłóceń przesunęła się na skraj terenu Akademii.

- Wszyscy na pokładzie?! - spytał, wciąż przekrzykując hałas.

Taryn rzuciła mu nerwowe spojrzenie.

- Mam nadzieję. - Skupiła uwagę na lampkach kontrolnych, sygnalizujących pozycję ramp, aż w końcu pokiwała głową. - Na pewno. Rampy są podniesione, a nie wyobrażam sobie, żeby Zekk albo księżniczka Leia zostawili jakichś Woodoo.

Han ponownie włączył interkom i poczuł ulgę, słysząc głos młodego Jedi wydającego rozkazy w ładowni. W dalszym ciągu panował zbyt wielki hałas, żeby zrozumieć, co mówi, ale brzmiało to jednak jak rozkazy, a nie okrzyki strachu, i Hanowi to wystarczało.

Włączył interkom i ustawił na ogólny kanał statku.

- Złapcie się czegoś tam z tyłu. To będzie ostra jazda.

Kiedy to mówił, dwie kolumny wrzących jonów pojawiły się we mgle i wystrzeliły w górę.

Sekundę później tuzin pilotowanych przez Sithów kanonierek otworzył ogień do uciekających transportowców. Smugi ich gazów wylotowych wyginały się gwałtownie, gdy okręty skręcały, ruszając w pościg. Han spojrzał na monitor taktyczny i zobaczył, że na powierzchni pozostał już tylko jeden Sharmok. Statek wystartował na jego oczach, znikając z ekranu, po czym przemknął

nad nimi, i to tak nisko, że „Sokół” zakołysał się pod wpływem strumienia powietrza, który za nim powstał.

Han pociągnął za drążek i przesunął dźwignię przepustnicy do przodu. „Sokół” skoczył za odlatującym konwojem, jednak nie dość szybko, żeby tuzin kanonierek nie zdążył wślizgnąć się pomiędzy nich a ostatniego Sharmoka.

- Taryn, schowaj podwozie i ustaw dolne osłony - polecił Han. - Leia, ty i Zekk ściągnijcie te Skipraye z...

Kakofonia syren alarmowych wypełniła kabinę, a seria głuchych odgłosów rozniosła się po kadłubie, gdy strzały z działek wyhaftowały linię trafień na opancerzeniu podwozia. Taryn wysyczała coś wściekle po hapańsku, a światła w kabinie zamigotały, co oznaczało, że dolne osłony zaczęły w końcu pochłaniać niszczycielską energię.

Han stłumił w sobie złość na Taryn za jej opieszałość i wymamrotał tylko pod nosem przekleństwo.

- To nie moja wina, Solo - oświadczyła i tak Hapanka. - To ty kazałeś mi najpierw schować osłony.

- A czy ja coś mówię?

- Owszem - stwierdziła Taryn. - Co to jest właściwie trójpalczasty poskramiacz shenbitów?

- O siedem palców za wolny - odparł Han. - Przerzuć siedemdziesiąt procent mocy na tylne osłony, a potem uzbrój pociski udarowe. Spróbuj namierzyć termicznie którąś z tych kanonierek.

Gdy to mówił, wszystkie osiem dużych dział laserowych „Sokoła” zaczęło terkotać, a kanonierki przed nimi zmieniały się w ogniste kule. Jednocześnie rozległy się trzaski pracujących generatorów osłon. Han utrzymywał stały kurs, zapewniając Zekkowi i Leii stabilne pole rażenia, które pozwoliło im zestrzelić osiem kanonierek w osiem sekund.

Wreszcie wskaźniki obciążenia obu tylnych osłon znalazły się w pozycji oznaczającej zagrożenie i Han wiedział, że czas im się skończył. Wprowadził statek we wznoszący korkociąg, a następnie włączył kamery na rufie. Ani trochę się nie zdziwił, widząc chmurę niebieskich pierścieni

- kanonierki rysujące się na tle własnych gazów wylotowych - jarzących się we mgle za „Sokołem”.

Ich kanonierzy najwyraźniej korzystali z Mocy, żeby pomóc sobie w celowaniu, bo jego manewr w żaden sposób nie wpłynął na ich celność.

- Przetrywamy taki napór? - spytała Taryn, która najwyraźniej widziała to samo co Han.

- Jasne, bez problemu - zapewnił ją Han. - Jeśli tylko osłony wytrzymają...

I w tej chwili właśnie rozległy się sygnały alarmowe informujące o przeciążeniu obu tylnych osłon.

Han pociągnął za dźwignię przepustnicy, chcąc skłonić ścigające ich kanonierki, żeby przeleciały nad nimi, ale przypomniał sobie, że za ich sterami siedzą Sithowie, którzy przejrzą jego manewr z taką samą łatwością, z jaką ich kanonierzy przewidywali jego uniki.

- No dobra - powiedziała Taryn. - A co, jeśli osłony nie wytrzymają?

- Udało ci się w końcu coś namierzyć?

- Nie denerwuj się, staruszkule - uspokoiła go Taryn. - Pracuję nad tym.

- No to przestań - zażądał Han. - Ustaw zapalniki na pół sekundy i zrzuć dwa pociski bez...

- ...uruchamiania ich jednostek napędowych - dokończyła Taryn. W jej głosie słychać było nutę podziwu. - Naprawdę byłeś kiedyś niezłym przemytnikiem, co?

Zanim Han zdążył odpowiedzieć - albo dodać „na mój sygnał” - poczuł opór ossańskiej atmosfery wpadającej w otwarte komory pocisków. Przepchnął przepustnice poza ograniczniki przeciążenia, a potem rozległ się stłumiony huk ładunków wyrzucających dwa pociski.

Nie usłyszał nawet eksplozji. Drażek sterowniczy przesunął się z powrotem ku niemu, a

„Sokół” wystrzelił niemal pionowo w górę, unoszony przez falę uderzeniową. Sygnały alarmowe informujące o uszkodzeniach zaczęły dobiegać ze wszystkich stron pulpitu sterowniczego, a przez interkom rozległ się głos Leii:

- Han? Jak bardzo...

- Wszystko w porządku. - Han zaczął wyciszać alarmy, spoglądając na każdy wskaźnik wystarczająco długo, żeby upewnić się, że „Sokół” nie doznał żadnych katastrofalnych uszkodzeń. -

Chyba.

- Kapitan Solo kazał mi zrzucić parę pocisków udarowych na pościg - wyjaśniła Taryn, uśmiechając się do niego. - Dobrze zrobiłaś, wybierając go, Jedi Solo. W trudnych sytuacjach to prawdziwy skarb.

- Miewa przebłyski - przyznała Leia.

Wyłączony alarm znów zaczął dzwonić, a Han zauważył, że w kajucie sypialnej numer dwa spada ciśnienie.

- Dobra, dosyć tych pochlebstw. - Pchnął znów drażek do przodu i stwierdził z niepokojem, że stawia on większy opór, niż powinien. - Nie wyszliśmy z tego całkiem bez szwanku, więc trzymajcie te kanonierki na dystans.

- Jakie kanonierki? - spytał Zekk. - Ja tu żadnych nie widzę.

- Nad nami też ich nie ma - dodała Leia. - Chyba musiałyś...

Nagle iluminator zaalała szkarłatna fala dwóch laserowych błyskawic, które uderzyły w osłabione przednie osłony, a potem w całej kabinie zaczęło migać złociste światło rozproszonej energii.

- Tu są! - wrzasnął Han, zastanawiając się, jakim cudem kanonierki zdołały go tak szybko wyprzedzić. Pchnął oporny drążek do przodu, zmuszając „Sokoła” do chwiejnego lotu nurkowego, po czym obejrzał się na Taryn i stwierdził, że Hapanka nie czyta mu w myślach równie dobrze jak Leia. - No, na co czekasz? Przerzuć moc na przednie osłony. Odpal parę pocisków udarowych!

Ze stanowiska łączności za jego plecami dobiegł protestujący świergot, a po chwili na monitorze Hana pojawił się komunikat od R2-D2: „Wstrzymać ogień. Atak to pomyłka”.

- Pomyłka? - powtórzył Han. - Kto popełnia takie pomyłki?

We mgle rozbrzmiał grad blasterowych wiązek, które minęły „Sokoła” o kilkanaście metrów. Han zdał sobie sprawę, że ktokolwiek do nich strzela, nie używa Mocy - a skoro tak, nie mogli to być Sithowie. Ustawił komunikator na ich częstotliwość.

- Eskadra Miy'tilów, wstrzymać ogień! - zawołał. Przed nimi we mgle pojawiły się niebieskie kropki kilkunastu silników myśliwców, które w miarę zbliżania robiły się coraz większe i coraz jaśniejsze. - My jesteśmy ci dobrzy!

Na chwilę zapadła cisza. Przez ten czas niebieskie kropki zamieniły się w niebieskie kręgi, a potem lodowaty głos hapańskiej oficer odpowiedział:

- Skąd mamy to wiedzieć?

Taryn włączyła swój mikrofon i powiedziała coś w klasycznym lorelliańskim.

Po kolejnej chwili milczenia kobieta odpowiedziała zawstydzonym tonem:

- Przepraszamy za nieporozumienie, „Sokole Millenium”, ale wlecieliście w strefę walk. -

Eskadra odbiła w bok. - Wracajcie na poprzedni kurs. Za minutę znajdziecie się poza polem działania urządzeń zakłócających pracę sensorów i będziecie mogli dogonić resztę konwoju.

- A więc uciekli? - spytała Leia. - Wszyscy?

- Wy jesteście statkiem numer dziesięć - odparła oficer. - Na razie.

Hanowi zamarło serce.

- My startowaliśmy jako ostatni - oznajmił. - Jeśli nie widzieliście pozostałych dwóch, to znaczy, że mają kłopoty.

Oficer zamilkła na chwilę, po czym dodała:

- Mamy przewagę liczebną cztery do jednego i latamy na najnowszych Miy'tilach. Jeśli ktoś został tam na dole, znajdziemy ich.

Wszystkim nasuwało się to samo pytanie, ale to Taryn je zadała:

- A jeśli znajdziecie ich za późno?

- Wtedy Sithowie nam za to zapłacą - oświadczyła kobieta. - To mogę wam obiecać.

## ROZDZIAŁ 6

Patrząc na plac Wspólnoty, Wynn Dorvan nie widział zbyt wielu oznak trwającej na Coruscant wojny. Piesi wciąż wałęsali się po Ogrodzie Spacerowym, wdychając słodki zapach lycandisu i kwiatów drzewek blar. Turyści wciąż przesiadywali w Wenbas Court, delektując się niespiesznym lunchem w cieniu Świątyni Jedi. Dzieci wciąż ze śmiechem i piskiem szybowały w powietrzu nad parkiem Mungo, fikając koziołki na ogromnej antygravitacyjnej trampolinie.

Gdziekolwiek spojrzął, istoty cieszyły się błogą nieświadomością setek małych bitew, jakie toczyły się we wszystkich zakątkach planety.

A Wynn zamierzał zachować ten stan rzeczy - zakładając oczywiście, że zdoła przekonać swoją Ukochaną Królową Gwiazd, iż nie zjedna sobie przychylności poddanych, pozwalając, żeby stołeczny świat pogrążył się w otwartej wojnie.

- Nie podobają mi się ci wszyscy Jedi na mojej planecie - oznajmiła Ukochana Królowa, nie odwracając wzroku od okna.

Wszyscy inni widzieli w niej Roki Kem, elegancką Jessaranę w białej wieczorowej sukni.

Jednak Wynn znał jej prawdziwe oblicze. Dla niego była Abeloth, monstrum o mackach zamiast rąk, oczach jak miniaturowe gwiazdy i ustach tak szerokich, że mogły połknąć ludzką głowę.

Ukochana Królowa odwróciła się od okna i spojrzała na wysoką Keshiri o ciemnoliliowej skórze, prawie tak niebieskiej jak skóra Roki Kem.

- Ile stworzeń nas zaatakowało, Lady Korelei?

W podłużnych oczach Korelei pojawił się błysk strachu.

- Trudno powiedzieć, Ukochana Królowo - stwierdziła. - Jedi atakują nas wszędzie, a mimo to nigdzie nie możemy ich znaleźć.

- Bo znajdujecie się w ich świetle, Lady Korelei. - Wynn zmusił się, żeby spojrzeć swojej oprawczyni w oczy, i zaraz wzdrygnął się mimowolnie, zwracając się do samej Ukochanej Królowej. - Może ich tu być najwyżej kilkuset wojowników. Cały Zakon Jedi liczy niewiele ponad tysiąc, włączając w to uczniów, których wyciągnęli spod straży Zapomnianego Plemienia na Ossusie.

Mackowate ręce Ukochanej Królowej zmarszczyły się z niezadowolenia.

- A ilu Sithów zabili, Lady Korelei?

- Niespełna tysiąc, Ukochana Królowo. - Wzrok Korelei był utkwiony cały czas w Wynn.

- Nie znamy dokładnej liczby.

- Ale można założyć, że około tysiąca? - upewniła się Ukochana Królowa, a gdy Korelei pokiwała głową, mówiła dalej: - Tak czy inaczej, zostaje jeszcze pięć tysięcy Sithów. To chyba powinno wystarczyć, żeby do świtu usunąć problem.

Słowa Ukochanej Królowej były oczywiście nie tyle pytaniem, co rozkazem. Korelei jednak spuściła ze wstydem głowę.

- Tego nie mogę obiecać, Ukochana Królowo.

- Nie możesz? - Jej głos stał się ostry niczym shikkar Sithów. - Nie rozumiem, w czym problem.

- Jedi mają nad nami przewagę. - Korelei znów uniosła podbródek. - Znają nasze prawdziwe tożsamości, a my nic o nich nie wiemy. To daje im trwałą element zaskoczenia.

- I nie zrobiliście nic, żeby zniwelować tę przewagę? - spytała Ukochana Królowa. - Jestem pewna, że schwytałiście jakiegoś.

Nie mogąc zmusić się do odpowiedzi, Korelei odwróciła wzrok.

- Rozumiem. - Ukochana Królowa wpatrywała się w nią tak długo, że kobieta zbladła, a potem zapytała ją: - I co zamierzacie z tym zrobić?

Korelei spojrzała na Wynna.

- Jest wiele rzeczy, o których twój doradca nam nie powiedział.

- Jak to możliwe? Miałaś ponad miesiąc, żeby to z niego wyciągnąć. - Ukochana Królowa odwróciła się w stronę Wynna i przyglądała mu się długo, aż w końcu nie widział nic poza srebrnymi gwiazdkami jej spojrzenia. Zimne macki strachu zaczęły się wic w jego wnętrzu, a ona wciąż nie odwracała wzroku. Wreszcie wydusiła: - Tak, wiele przed tobą ukrył. Ale skoro nie wyciągnęłaś tego z niego przez miesiąc, to nie wyciągniesz i dziś, a jutro będzie już za późno.

Pociągła twarz Korelei zrobiła się jeszcze chudsza ze strachu.

- W takim razie mamy tylko jedno wyjście, Ukochana Królowo - oznajmiła. - Musimy się ujawnić przed mieszkańcami Coruscant. Musimy im powiedzieć, że teraz rządzą nimi Sithowie.

Wynn poczuł mocny ucisk w klatce piersiowej.

- Po co mielibyście to zrobić? - spytał. - Żeby cała populacja Coruscant powstała przeciwko wam?

- Lud Coruscant nie powstanie przeciw niczemu - odparowała Korelei. - Będzie pokornie słuchał, a my poznamy Jedi po tym, że tylko oni nie ugną się pod naszym batem.

Krew zaczęła krążyć Wynnowi w żyłach tak szybko, że miał wrażenie, jakby za chwilę miała

rozsadzić mu skronie. Była w tym planie okrutna prostota, która mogła w dodatku okazać się skuteczna. Gdyby najeźdźcy zaczęli zachowywać się odpowiednio brutalnie, Jedi byliby zmuszeni się ujawnić - i stanąć do otwartej walki, nie zważając na przewagę liczebną wroga.

Usta Ukochanej Królowej rozciągnęły się w upiornym uśmiechu.

- To nie zadziała zbyt szybko - oceniła. - Ale zadziała.

Wynn wywnioskował z nuty podniecenia w jej głosie, że nie tylko plan Korelei podoba się jego Ukochanej Królowej. Poprzedniego dnia kilkakrotnie towarzyszył jej w wyprawach do podziemi i nie musiał być Jedi, żeby dostrzec, jak karmi się tam strachem i cierpieniem. Te uczucia zdawały się dosłownie spływać do jej wnętrza, czyniąc ją silniejszą i zdrowszą - a im więcej piła, tym więcej chciała. Plan Korelei zapewniłby jej niewyczerpane źródło strachu i cierpienia, a cała planeta stałaby się jej żerowiskiem.

A na to Wynn Dorvan nie mógł pozwolić.

Wziął głęboki oddech i spytał:

- Ukochana Królowo, czy naprawdę tego chcesz? Wygrać bitwę... i przegrać wojnę?

Oczy Ukochanej Królowej zapłonęły białym światłem.

- W jaki sposób przegrać? Lud będzie posłuszny Sithom. - Obejrzała się na Korelei. - Mam rację?

Korelei skinęła głową.

- Dopilnujemy, żeby tak się stało.

Wynn pokręcił głową.

- Lud stanie do walki - wyjaśnił. - I będzie walczyć do ostatka.

- A więc spełnimy ich życzenie - odparła Korelei. - Przesną walczyć, kiedy zabijemy ich wystarczająco dużo.

Wynn nie był zaskoczony, widząc grymas dezaprobaty na twarzy Ukochanej Królowej. Ona karmiła się strachem i cierpieniem, a nie śmiercią, więc każde uszczuplenie populacji Coruscant odbijało się także na niej. Podszedł do iluminatora i wyjrzał na zatłoczony plac. Zastanawiał się, jak wykorzystać jej mroczny głód, żeby uchronić wszystkie te niewinne istoty od wciągnięcia w tajną wojnę między Jedi a Sithami - albo chociaż utrzymać je jeszcze przez jakiś czas w nieświadomości.

- To są Coruscańczycy - zauważył, dotykając palcem transpastali. - Są przyzwyczajeni do roli władców galaktyki, a nie niewolników. A jeśli Korelei tego nie rozumie, to nie rozumie niczego.

Wyraz twarzy Korelei się nie zmienił, nie wysyczała też żadnego przekleństwa ani nie zasygnalizowała ataku ruchem w stronę Wynna. Jej shikkar wysunął się po prostu z pochwy i



poszybował ze szklistym błyskiem w kierunku jego brzucha tak szybko, że Wynn nie zdążył nawet się przestraszyć.

Ale jedna z macek Ukochanej Królowej zafalowała przed nim w powietrzu i chwilę później Wynn, zamiast wyć z bólu czy łapać z trudem powietrze, wciąż stał, nawet nie krwawiąc i tylko lekko drżąc.

Zmusił się, żeby spojrzeć w przepelnione nienawiścią oczy Korelei.

- Musisz włączyć jakieś nowe strategie rozwiązywania problemów do swojego repertuaru, Lady Korelei - stwierdził. - Uciszanie opozycji nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem.

Korelei nachmurzyła się i już zaczęła unosić rękę, żeby porazić Wynna podmuchem Mocy.

- Jeszcze nie - sprzeciwiła się Ukochana Królowa, powstrzymując ją spojrzeniem. - Jeśli pan Dorvan ma lepszy pomysł, chciałabym go wysłuchać.

- Owszem - potwierdził Wynn, zmuszając się do oddychania. Razem z obydwoma Bwua'tu wielokrotnie rozmawiali o tym, jak uwolnić Coruscant od Sithów, nie niszcząc go, i zawsze sprowadzało się to do ograniczenia pola bitwy, zamknięcia jej w miejscu, z którego nie byłoby ucieczki... dla żadnej ze stron. - Jeśli zależy ci na uległości poddanych, Ukochana Królowo, musisz pokonać Jedi cichcem. Lud nie może się dowiedzieć o tym, co zrobiłaś.

- To niemożliwe - zaprotestowała Korelei. - Żeby zabić Jedi, trzeba ich znaleźć, a żeby ich znaleźć, trzeba ich wykurzyć.

- Wybacz, ale nie masz racji. - Wynn spojrział na wiszący w dalszym ciągu przed nim owinięty macką shikkar i zwrócił się do Ukochanej Królowej: - Jedynym sposobem na znalezienie Jedi jest ściągnięcie ich do nas.

- Do nas? - powtórzyła Ukochana Królowa. - Do mojej Świątyni?

- Właśnie - przyznał Wynn. Czekał cierpliwie, a shikkar wisiał wciąż przed nim. Potem odetchnął wreszcie z ulgą, gdy macka się cofnęła i oddała broń Korelei. - Sithowie muszą wycofać się do Świątyni i zwabić do niej Jedi.

## **ROZDZIAŁ 7**

„Sokół Millenium” stał, dygocząc, w hangarze - mleczna kropla durastali, spoczywająca na płycie tak ciemnej i rozległej, że wyglądała jak kawał otwartej przestrzeni. Tył statku opadał na złamanym wsporniku, białe opancerzenie kadłuba było usiane śladami po strzałach z działek, silniki jonowe zaś tryskały gorącym chłodziwem. Z dysz wylotowych buchały kłęby żółtego dymu, a górna wieżyczka co parę sekund drgała, jakby rdzeń reaktora miał za chwilę wybuchnąć. A jednak zdezelowany frachtowiec był najpiękniejszą rzeczą, jaką królowa matka Tenel Ka widziała od dawna. Było to syczące, stukające, osmalone świadectwo tego, że Han i Leia Solo znów wyszli cało z opresji, że po raz kolejny oszukali śmierć i wymknęli się z zasadzki, chociaż ich atomy powinny teraz fruwać, unoszone przez ossańskie wiatry.

Z zakamarków hangaru zaczęły wyjeżdżać sanie ekip ratunkowych i wózki strażackie, a po umieszczonej pod kadłubem rampie z „Sokoła” zaczęli się wylewać pasażerowie. Kilku utykało, niektórzy trzymali się za ramię, jednak wyglądało na to, że nikt nie jest poważnie ranny ani się specjalnie nie spieszy. W końcu ze statku wyszli oboje Solo - Han odwrócił się jeszcze, żeby porozmawiać z ekipą serwisową, a Leia nachyliła się, żeby powiedzieć parę słów do młodzików Jedi - i Tenel Ka wreszcie odetchnęła z ulgą.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się bałaś - dziwiła się Allana. Nie opuszczała Tenel Ka, odkąd Eskadra Aegelów doniosła o uszkodzeniu „Sokoła”. - Sama mówiłaś, że to błąd lekceważyć Hana i Leię Solo.

- To prawda. - Tenel Ka rzuciła córce uspokajający uśmiech. - Ale oczywiście i tak się martwię. Wiesz, jak bardzo ich lubię.

Zanim odpowiedziała, Allana spojrzała w kierunku centrum dowodzenia, gdzie Trista Zel pomagała Kamowi i Tionnie Solusarom przygotować raport na temat rezultatów ewakuacji. Tenel Ka była przekonana, że ci Mistrzowie już dawno domyślili się, że Allana jest w istocie jej córką, jednak nikt nie wspominał o tym samej Allanie, więc dziewczynka wciąż odgrywała przed nimi adoptowaną córkę Hana i Leii.

Widząc, że Mistrzowie są zajęci przyjmowaniem meldunków przez słuchawki, Allana wzięła Tenel Ka za rękę.

- Babcia i dziadek też się o ciebie martwią - wyszeptała. - I ja także.

Tenel Ka poczuła ukłucie samotności. Żałowała chwilami, że urodziła się jako córka hapańskiego księcia i że nie mogła wychowywać swojej córki we własnym skromnym mieszkaniu.

Tyle że każda próba abdykacji skończyłaby się śmiercią ich obu, ponieważ ewentualna następczyni Tenel Ka nie czułaby się bezpiecznie na tronie, dopóki jej agenci by nie wyeliminowali wszelkich potencjalnych rywali - a zwłaszcza córki dawnej królowej matki. Tak więc Tenel Ka nie miała innego wyjścia, niż udawać, że jej córka jest dzieckiem kogoś innego, dopóki Allana nie będzie zdolna Obronić się przed atakami - politycznymi i prawdziwymi - które były częścią życia hapańskiego dworu.

Tenel Ka ścisnęła córkę za rękę.

- Dziękuję - szepnęła. - Ale nie musisz się o mnie martwić. Mam całą armię tajnych przyjaciół, którzy mnie strzegą.

Allana uniosła brew.

- Jak Trista i Taryn?

Tenel Ka pokiwała głową.

- Właśnie.

Z głębi salonu dobiegł cichy świst. Tenel Ka obejrzała się i zobaczyła Hana Solo wysiadającego z windy. Zatrzymał się na chwilę, żeby się rozejrzeć, a kiedy dostrzegł Allaną, rozłożył szeroko ramiona i ruszył ku niej.

- Widzisz? - W głosie Hana była wymuszona wesołość, zdradzająca niepokój, który Tenel Ka wyczuwała w jego obecności. - Mówiłem, że wszystko będzie dobrze!

Allana padła Hanowi w objęcia i uścisnęła go mocno.

- Wiedziałam, że nic wam się nie stanie. Bałam się tylko, że jak nie będę mieć was na oku, to zniszczycie „Sokoła”. - Puściła go, wsparła ręce na biodrach i odwróciła się w stronę iluminatora.

- I wygląda na to, że miałam rację!

- Nie da się ukryć - przyznała Leia, dołączając do nich. Nachyliła się i pocałowała Allaną w policzek. - Tak nami telepało, że cudem skończyło się na jednym złamanym wsporniku.

Han się skrzywił, ale był to raczej wymuszony uśmiech niż grymas niezadowolenia.

- Hej, po tym, jak pozwoliliście tym wszystkim kanonierkom nas ostrzelać, musiałem się napocić, żeby w ogóle wylądować na podwoziu. - Spojrzał na Allaną. - Mam rację?

- Jasne - odparła z uśmiechem dziewczynka. - Jeśli odbijanie się od płyty hangaru można nazwać lądowaniem.

Han spojrzał na nią z udawanym przygnębieniem, ale zaraz odwzajemnił uśmiech.

- Tu mnie masz, mała. To było dosyć twarde lądowanie. - Zmierzył jej włosy, po czym zwrócił się do Tenel Ka. Jego twarz zdradzała troskę, którą ona już wyczuła. - Duże straty?

- Mistrzowie Solusar przylecieli zaledwie parę minut temu i wciąż zbierają meldunki -

oznajmiła Tenel Ka, wskazując na centrum dowodzenia. - Z pewnością chętnie przedstawię ci wstępne wyniki.

Han pokiwał głową i ruszył we wskazanym kierunku, jednak Allana złapała Leię za suknię i przytrzymała.

- Czy możesz odszukać Mistrzynie Sebatyne w Mocy?

Leia przystanęła.

- Mogę spróbować - odparła. - Ale wiesz, że ona jest teraz pewnie bardzo zajęta.

- To ważne - upierała się Allana. - Musisz ją przed czymś ostrzec.

- Oczywiście, postaram się - zapewniła Leia. - Przed czym mam ją ostrzec?

- Przed Sithami. Oni znajdują Tesara i innych.

Leia popatrzyła na nią z konsternacją.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo widziałam to - odrzekła Allana. - W iluminatorze.

Leia spojrzała na Tenel Ka, najwyraźniej szukając jakiejś podpowiedzi.

- Kolejna wizja Mocy - wyjaśniła Tenel Ka. - Wygląda na to, że widziała Tesara i innych Barabelów odnalezionych w Świątyni.

W oczach Leii pojawił się błysk zrozumienia.

- Rozumiem. - Kiedy odwróciła się z powrotem w stronę Allany, na jej twarzy malował się wyraz spokojnej zgody. Najwyraźniej jakieś strzępy informacji zaczęły układać się w jej głowie w jedną całość. - Ale wiesz, że nie mogę porozmawiać z Mistrznią Sebatyne poprzez Moc, prawda?

Allana pokiwała głową.

- Nie szkodzi. Ważne, żeby zrozumiała.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecała Leia. - Ale dla pewności powinniśmy użyć HoloNetu.

- Nie możemy - odparła dziewczynka, kręcąc głową. - Sithowie mogliby przechwycić wiadomość, co przyspieszyłoby tylko to, co widziałam. To by było tak, jakbym sama do tego doprowadziła.

- No cóż... - Leia zerknęła na parę luksusowych foteli ze skóry nerfów, stojących przy niskim stoliku w rogu salonu. - Zobaczę, co się da zrobić.

- Zostawimy cię samą - oświadczyła Tenel Ka. Wyczuwając falę niespodziewanej radości w aurze Solusarów w Mocy, wzięła córkę za rękę i ruszyła w kierunku centrum dowodzenia. -

Proponuję sprawdzić raporty na temat ewakuacji w czasie, kiedy księżniczka Leia będzie próbowała skontaktować się z Mistrznią Sebatyne.

- Dobrze - zgodziła się Allana, pozwalając się pociągnąć. - Ale i tak już wiem, że raporty są dobre.

- Bo wyczułaś to w Mocy? - spytała Tenel Ka.

- To też - przyznała Allana. - A poza tym nie słyszałam żadnych koreliańskich przekleństw.

I wiadomości rzeczywiście były dobre. Kiedy podeszli, Kam Solusar podniósł wzrok znad swojego stanowiska i wcisnął guzik na słuchawkach. Miał wciąż te same wyraziste rysy i surową męską urodę, był jednak nieco szczuplejszy niż dawniej, a to z powodu ran, jakie odniósł, broniąc Akademii Jedi w trakcie drugiej wojny domowej.

- Dobrze idzie - ocenił z uśmiechem Kam. - Jak dotąd nikogo nie straciliśmy.

Wiadomości były nawet lepsze, niż Tenel Ka oczekiwała - zwłaszcza biorąc pod uwagę trudne okoliczności misji i przebiegłość wroga, który zaatakował pod osłoną ossańskiej mgły.

- Mówiąc „nikogo”, masz na myśli statki czy istoty?

- Jedno i drugie - wyjaśniła Tionna. Ta kobieta o srebrzystych włosach i białych oczach zachowała swoją eteryczną urodę pomimo niedoskonałości: protez zastępujących rękę i nogę, jakie straciła w tych samych wydarzeniach, w których ucierpiał jej mąż. - Sharmok siedemsetosiemnaście został poważnie uszkodzony i stracił łączność, ale Eskadra Volghów go eskortuje, a jej dowódca przekazuje właśnie obraz. Wygląda na to, że siedemsetosiemnastka też dotrze cało na miejsce.

Tenel Ka się uśmiechnęła.

- To bardzo dobra wiadomość.

- Owszem. - Tionna spochmurniała. - Chociaż obawiam się, że piloci Miy'tilów ponieśli pewne straty, a dwie eskadry wciąż jeszcze toczą walki.

Tenel poczuła ściskanie w dołku, ale pokiwała głową.

- Spodziewaliśmy się tego - powiedziała. - To jednak coś więcej niż misja ratunkowa, Mistrzynie Solusar. Dla Hapańskiej Floty Królewskiej to szansa na ocenę możliwości nieprzyjaciela.

- Pewnie niełatwo było to wcisnąć Lady Maluri i Duchy Luvalle - zauważył Han. - Więc dzięki. Za wszystko.

- Konsorcjum docenia pańską wdzięczność, kapitanie Solo - odparła Trista Zel, podnosząc wzrok znad monitora. - Jednak zapewniam, że królowa matka nie musi nikomu niczego wciskać.

Han uniósł ręce przeproszającym gestem, po czym nachmurzył się i odwrócił w stronę Tionny.

- Powiedziałaś „siedemsetosiemnastka”?

Mistrzynie pokiwała głową.

- Zgadza się.

- I nie straciliśmy żadnych innych statków? - spytał. - Na pewno?

- Na pewno, Han - oświadczył Kam. - Jesteśmy Mistrzami Jedi. Umiemy liczyć do dwunastu.

- No ale to nie powinno być takie łatwe. - Han obszedł konsolę w kształcie półksiężyca i nachylił się nad Tristą, żeby przyjrzeć się danym na monitorze. - To była jatka, a ta siedemsetosiemnastka została zaatakowana na naszych oczach. I mocno oberwała.

Trista wyciągnęła szyję, żeby mu się przyjrzeć.

- Kapitanie Solo, czy sugeruje pan, że...

- Niczego nie sugeruję. Siedemsetosiemnatka wystartowała przed „Sokołem”. A teraz jest maruderem. - Han postukał palcem w ekran. - I wygląda na to, że leci w kierunku okrętu flagowego. Sami wyciągnijcie wnioski.

Trista powiedziała coś do laryngofonu, a po chwili zbladła, słuchając odpowiedzi. Od razu zaczęła wykrzykiwać rozkazy.

- Niech dowódca Volghów da znak siedemsetosiemnastce, żeby natychmiast zmieniła kurs -

poleciała. - I żadnych wymówek. Ma ostrzec pilota, że jeśli nie zrobi tego w ciągu minuty, zostanie zestrzelony.

- Zestrzelony? - Allana spojrzała na Tenel Ka. - Ale tam są uczniowie z Akademii!

- Powinni być. - Tenel Ka rozszerzyła swoją świadomość Mocy w kierunku transportowca, ale w okolicy było piętnaście Smoków Bitewnych i blisko tuzin skupisk uczniów Jedi, więc nie sposób było stwierdzić, czy istoty, które wyczuwała, znajdowały się na pokładzie Sharmoka 718. -

Ale jego zachowanie jest podejrzane. Coś tu jest nie tak.

Tenel Ka stanęła za konsolą, a kiedy spojrzała na monitory, zamarło jej serce. Jeden z ekranów ukazywał zbliżenie transportowca typu Sharmok, sunącego przez rozgwieżdżoną połąć przestrzeni. Sądząc po serii wypalonych na rufie dziur, postrzępionych kręgach w miejscach, gdzie wcześniej były wieżyczki strzelnicze, i wgniecionym kadłubie przy głównym włazie, statek brał

udział w zażartych walkach.

Na tle iluminatora w kabinie pojawiło się białe światełko i zaczęło migać w rytmie hapańskiego wojskowego kodu sygnałowego.

- Jakies ślady abordażu? - spytała Tenel Ka.

- Żadnych nie zaobserwowano - odrzekła Trista.

- Nic dziwnego - wtrącił Han. - Śluzы powietrzne Sharmoków wykorzystują standardowy dwufazowy panel dotykowy, prawda?

Tenel przyjrzała się wgnieceniu przy włazie. Widząc, że wygląda to bardziej na efekt zderzenia niż ataku raketowego, zrozumiała, co Han ma na myśli.

- Sugerujesz, że Sithowie użyli Mocy, żeby otworzyć śluzы powietrzne? - Zerknęła na pasek identyfikacyjny na dole ekranu i stwierdziła, że obraz pochodzi z kamery dowódcy Volghów. -

Muszę się z tobą zgodzić. Trista, każ dowódcy Volghów natychmiast otworzyć ogień do silników jonowych siedemsetosiemnaścianki.

Tenel Ka wyczuła drgania w Mocy, zdradzające zaskoczenie jej towarzyszy, jednak brzmienie rozkazu nie pozostawiało wątpliwości. Han skinął głową z zaciśniętymi ustami, a Trista przekazała rozkaz przez laryngofon. Solusarowie popatrzyli tylko po sobie szeroko otwartymi oczami, niewątpliwie sprawdzając, czy któreś z nich nie uważa, że reakcja Tenel Ka jest przesadzona.

- A jeśli na pokładzie są nadal uczniowie z Akademii? - zaprotestowała Allana. - Mogą zginąć!

- Dlatego właśnie dowódca Volghów celuje w silniki. - Han chwycił Allanę za ramiona i przyciągnął do siebie. - Jeśli tym Sharmokiem lecą Sithowie, za nic nie możemy im pozwolić zbliżyć się do okrętu flagowego. Dlatego go unieruchomimy i wyślemy oddział abordażowy, żeby przejął statek. - Obejrzał się na Tenel Ka. - Prawda, Wasza Wysokość?

- Tak jest. - Tenel Ka uśmiechnęła się z wdzięcznością do Hana i spojrzała na monitor taktyczny, żeby sprawdzić, który ze Smoków Bitewnych znajduje się najbliżej transportowca. -

Trista, niech „Daphoros” przechwyci Sharmoka siedemsetosiemnaścianką promieniem ściągającym, gdy tylko silniki zostaną unieruchomione. Potem wyślij oddział abordażowy, żeby...

- Za pozwoleniem, Wasza Wysokość - odezwał się Kam, przerywając tak delikatnie, jak tylko się dało. - Z uwagi na obecność Sithów może byłoby dobrze, gdybym zabrał paru Jedi.

- Bardzo słusznie, Mistrzu Solusar - zgodziła się Tenel Ka, żałując, że nie może dołączyć do Rycerzy Jedi walczących z Sithami. - Trista, powiadom „Daphorosa”, że Mistrz Solusar dołączy do oddziału abordażowego jako jego dowódca. I zasugeruj pani komandor, żeby wyznaczyła do tego zadania swój najlepszy oddział szturmowy.

Mówiąc to, Tenel Ka cały czas zerkała jednym okiem na monitor taktyczny, by obserwować, jak dowódca Volghów i jej skrzydłowy ruszają do ataku. Zamiast ustawić się bezpośrednio za celem, co groziłoby wybuchem silników w przypadku trafienia prosto w dysze wylotowe, Miy'tile nadlatywały z flanki. Przez chwilę, widząc, że Sharmok leci niezmiennym kursem w kierunku „Smoczej Królowej II”, Tenel Ka pomyślała, że być może 718 straciła po prostu swoją hapańską załogę i za sterami siedzi teraz jakiś przerażony uczeń Jedi.

Jednak na pół sekundy zanim Miy'tile otworzyły ogień, symbol oznaczający transportowiec przesunął się gwałtownie w lewo. Symbol pierwszego Miy'tila zamigał na biało, pokazując, że myśliwiec otworzył ogień, jednak nie trafił do celu. Sekundę później ogień otworzył skrzydłowy i kolor Sharmoka zmienił się na żółty, co znaczyło „uszkodzony”. Tenel Ka odetchnęła z ulgą i skupiła uwagę na monitorze wyświetlającym obraz z kamery dowódcy Volghów, jednak zobaczyła tylko wirujące gwiazdy.

- Melduj - rozkazała Tenel Ka. - Uszkodzili silniki?

- Cierpliwości, Wasza Wysokość - powiedziała Trista. - Potrzebują czasu na ocenę zniszczeń.

Tenel Ka puściła mimo uszu delikatne upomnienie kuzynki - ktoś w końcu musiał dbać, żeby nie utraciła pokory - i utkwiała wzrok w monitorze. Bała się prawie oddychać, wpatrując się w ruchome gwiazdy. W końcu na ekranie pojawił się jonowy ogon Sharmoka, migający światłem gasnących silników podświetlnych. Zanim wyłoniła się cała rufa, ostatni z silników się zatrzymał i teraz obraz ukazywał jedynie trzy rozgrzane do czerwoności dysze wylotowe.

Tenel Ka wypuściła powietrze... a ekran zrobił się biały od błysku eksplozji. Wyczuła straszliwe rozdarcie w Mocy i usłyszała stłumione okrzyki towarzyszących jej Jedi, a potem rozległ

się cichy krzyk przerażenia i już wiedziała, że jej córka także to poczuła - palący ból trzystu istnień, dobiegających wspólnego kresu.

Tenel Ka odwróciła się i uklękła przed Allaną, biorąc ją w objęcia.

- Chodź do mnie.

Allana osunęła się bezwładnie w ramiona matki.

- Poczułam, jak...

- Wiem, kochanie. - Tenel Ka chciała powiedzieć córce, żeby o tym nie myślała, jednak powstrzymała się, wiedząc, że to niemożliwe. Nikt, kto poczuł śmierć kilkuset osób, nie mógł tak po prostu o tym zapomnieć, a zwłaszcza dziewięcioletnia dziewczynka. - Napęd jonowy Sharmoka musiał zostać trafiony...

- Nieprawda - wtrącił Han zza pleców Tenel Ka. - To nie była eksplozja silników.

Wybuchający silnik nie rozwaliby całej eskadry myśliwców.

- Co takiego? - Tenel Ka odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć, ale nie wstawała. Allana potrzebowała teraz jej bliskości. - Straciliśmy Eskadrę Volghów? Jak dużo?

- Całą - poinformował Han. - Promień wybuchu wyniósł trzy kilometry. Nie robią tak dużych silników jonowych, żeby mogły spowodować taką eksplozję. To musiało być baradium, i to sporo. Ten statek był zaminowany.

Allana popatrzyła na niego ponad ramieniem matki.

- To znaczy, że Sithowie to zrobili? - spytała. - Wysadzili wszystkich dlatego, że nie wpuściliśmy ich na pokład?

Twarz Hana posmutniała.

- Tak, skarbie, tak właśnie było. - Przeniósł wzrok z Allany na Tenel Ka. - Ta bomba była przeznaczona dla królowej matki.

Allana zeszywniała.



- Chcieli nas przechytrzyć? - Oswobodziła się z objęć Tenel Ka i spojrzała jej w oczy. -

Znowu?

Tenel Ka pokiwała głową.

- To typowe dla Sithów - powiedziała. - Dlatego tak bardzo musimy na nich uważać.

Z rogu salonu podeszła do nich Leia. Miała spokojny wyraz twarzy, jednak troska w jej aurze w Mocy dowodziła, że poczuła śmierć równie wyraźnie jak pozostali. Spojrzała na poważne twarze zebrane wokół konsoly i spuściła ze smutkiem wzrok.

- Bardzo źle? - spytała.

- Przechwycili Sharmoka siedemsetosiemnaście. - Głos Tionny był pełen żalu. - Wygląda na to, że chcieli go użyć, żeby przemycić ładunek z baradium na pokład okrętu flagowego... żeby zlikwidować królową matkę Tenel Ka.

Oczy Leii rozbliły i mimo woli spojrzała w stronę Allany. Tak samo jak Tenel Ka, oboje Solo zostali powiadomieni przez Skywalkerów, co zdarzyło się przy Sadzawce Wiedzy, kiedy Arcylord Sithów miał wizję królowej Jedi siedzącej na Tronie Równowagi. Obsesją Sithów było nie dopuścić, żeby ta wizja się ziściła, jednak sądzili, że tą królową jest Tenel Ka. Ich pomyłka zaowocowała serią zamachów na jej życie. Sama Tenel Ka chętnie przyjęła na siebie to brzemie, byle tylko chronić córkę.

- Mieliśmy szczęście, że im się nie udało - stwierdziła po chwili Leia. Podeszła do konsoly i popatrzyła na monitor taktyczny. - Ale nie mogę przestać myśleć o pasażerach, o tych wszystkich uczniach i ich rodzinach. Wiadomo, czy na pewno znajdowali się na pokładzie?

- Tak - potwierdził Han. - Ta siedemsetosiemnastka była tuż przed nami, kiedy startowaliśmy, i niedaleko za nami, kiedy lądowaliśmy. Sithowie nie zdążyliby wysadzić trzystu jeńców, nawet gdyby chcieli.

Kam pokiwał głową.

- Podejrzewam, że cały atak kanonierek był przeprowadzony tylko po to, żeby odciąć transportowiec od reszty konwoju i ukryć na nim bombę - ocenił. - A jednak... na pokładzie znajdowało się ponad dwudziestu uczniów wystarczająco dorosłych, żeby stawić opór. Sithowie potrzebowaliby znaczących sił, żeby tak szybko opanować statek, i w gruncie rzeczy nie wiemy, kto zginął na tym Sharmoku.

- Fakt. Bomba to mógł być plan B. - Han urwał. Spojrzał w kierunku Allany i najwyraźniej uznał, że nie ma potrzeby rozwodzić się nad inną ewentualnością: taką, że planem A Sithów było wysłanie elitarnego oddziału abordażowego w celu zdobycia „Smoczej Królowej II” i włączenia jej do ich floty. Odwrócił się w stronę Tenel Kai dodał: - Nie zaszkodziłoby, gdyby ktoś sprawdził tor lotu siedemsetosiemnastki. Może uda się coś znaleźć.

- Znowu próbujesz być sprytny? - spytała Allana, zerkając na Hana. - Wiem, o co ci chodzi.

Że mogli wyrzucić pasażerów przez służbę powietrzną.

- Z pewnością warto sprawdzić - przyznała Tenel Ka. Wskazała na swoją kuzynkę. - Trista się tym zajmie.

Trista potwierdziła przyjęcie rozkazu krótkim skinieniem głowy i zaczęła mówić do laryngofonu. Kiedy Tenel Ka odwróciła się z powrotem w stronę córki, stwierdziła, że Allana wygląda na jeszcze bardziej zatroskaną niż wcześniej.

- Nie ma się czego bać - zapewniła ją matka. - Ten Sharmok nigdy by nie dotarł na pokład.

Od tego mamy Królewski Protokół.

- Nie martwię się o nas - odparła Allana. - Chodzi o Barabelów. Sithowie zabili właśnie prawie trzydziestu Jedi i ich rodziny, a niedługo zabiją też Tesara i jego...

Otworzyła szeroko oczy i umilkła, nie kończąc myśli. Zaraz jednak zwróciła się do Leii:

- Czy Mistrzynie Sebatyne zrozumiała moją wizję?

Leia pokręciła głową z przepaszającym wyrazem twarzy.

- Nie wydaje mi się. Sprawiała wrażenie, jakby była, hm, na łowach, a kiedy spróbowałam ją skłonić, żeby pomyślała o Tesarze, po prostu się wycofała. Próbowałam jeszcze raz nawiązać z nią kontakt, kiedy... - Zakończyła spojrzeniem w kierunku konsoly i dodała: - Chyba nic z tego nie będzie.

- Na to wygląda - zgodziła się Allana. Jej buzia przybrała poważny wyraz. - Chyba będę musiała zrobić to sama.

Leia uniosła brwi.

- Co zrobić?

- Polecieć na Coruscant - odrzekła po prostu Allana. Spojrzała na Hana. - Kiedy „Sokół” będzie naprawiony?

Han się nachmurzył.

- Nigdy, jeśli masz zamiar lecieć nim na Coruscant - oświadczył. - Nie słyszałaś? Tam się roi od Sithów.

- Nie będziemy tam długo - obiecała Allana. - Muszę tylko znaleźć Barva. On może ostrzec Tesara.

Han odetchnął z wyraźną ulgą.

- Od razu trzeba było tak mówić. Mogę znaleźć Barva. Co mam mu przekazać?

- Że muszę z nim porozmawiać - wyjaśniła Allana. - Na pokładzie „Sokoła”.

Han pokręcił głową.

- Nic z tego - sprzeciwił się. - Nie masz co zdzierać gardła, mała. Wiadomość albo nic.

Allana łypała przez chwilę gniewnie na Hana, a wreszcie westchnęła ciężko i zwróciła się do Leii.

- On nie rozumie - zachnęła się. - Chodzi o Moc. Muszę sama ostrzec Tesara.

- Czy Tesar nie ukrywa się w Świątyni? - zapytała Leia. Allana wyglądała teraz na jeszcze bardziej zaniepokojoną.

- Ja tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś - odparła Leia. - To całkiem oczywiste, teraz, kiedy mogliśmy połączyć wszystko w jedną całość.

Allana sprawiała wrażenie przybitej.

- To znaczy, że zdradziłam ich sekret?

- Wcale nie - zaprzeczyła Tionna. Głos miała ciepły i pełen otuchy; Tenel Ka wiedziała, że kobieta wykorzystuje Moc, żeby uspokoić Allanę. - Mistrzowie już od jakiegoś czasu podejrzewali, że tam jest gniazdo.

- I nie ma to nic wspólnego z tobą - zapewnił ją Kam. - Tesar i pozostali młodzi Barabelowie zniknęli już parę miesięcy temu, a Mistrzynie Sebatyne była bardzo drażliwa na tym punkcie. Musielibyśmy być idiotami, żeby się nie połapać.

- Ale tylko ty i Barv wiecie, gdzie jest gniazdo, tak? - spytała Tenel Ka. - Więc wcale nie zawiodłaś zaufania Barabelów.

- To prawda, Allano - poparła ją Leia. - I dopilnujemy, żeby Barv to wytłumaczył, kiedy wyślemy go do Świątyni, żeby ostrzegł Barabelów. Nikt nie będzie na ciebie zły, obiecuję.

Allana zmarszczyła brwi.

- A jeśli nie znajdziecie Barva?

- Znajdziemy go - obiecał Han. - Jesteśmy dobrzy w te klocki, jakbyś jeszcze nie zauważyła.

- A co, jeśli Barv nie żyje? - Allana nie dawała za wygraną. - Tam się roi od Sithów, a on z nimi walczy. Pewnie z całym mnóstwem.

Han przybrał skonsternowaną minę, a Leia spojrzała na niego wzrokiem, który mówił: Tu cię zagięła.

- A widzisz? - upierała się Allana. - Musicie mnie zabrać, żeby mieć pewność.

Twarz Hana stężała.

- W takim razie będziemy musieli zaryzykować - zdecydował. - Bo ty nie lecisz. Koniec dyskusji.

Allana, przewracając oczami, zwróciła się do Tenel Ka.

- Powiedz mu - poprosiła. - To była moja wizja Mocy, a to znaczy, że ja muszę rozstrzygnąć, co z tym zrobić.

- Pewnie tak, ale to statek kapitana Solo, a to oznacza, że on decyduje, kto nim lata -

zauważyła Tenel Ka. - Pozwólmy raczej twoim opiekunom się tym zająć. Naprawdę myślę, że tak będzie najlepiej.

Allana spojrzała na Tenel Ka z takim uczuciem zawodu, że matce omal nie pękło serce, a potem popatrzyła błagalnie na Leię.

Leia wzruszyła tylko ramionami.

- Han powiedział „koniec dyskusji”. Wiesz, co to znaczy.

- Tak, wiem. - Allana utkwiała w Hanie gniewny wzrok. - To znaczy, że jest rontogłowy.

- W porządku - odparował Han. - Mogę być rontogłowy. Ale i tak nie lecisz.

- W porządku. - Obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku foteli w rogu. - Tylko nie miej pretensji, jak Tesar odgryzie ci rękę. On też nie lubi rontogłowych.

## **ROZDZIAŁ 8**

Luke przyglądał się, jak stary Bothanin chodzi, utykając, po brudnej podłodze przemysłowego hangaru w podziemiach miasta. Bothanin przemawiał do trzech brygad elitarniej piechoty kosmicznej, tłumacząc, dlaczego poprosił ich, żeby zgłosili się na ochotnika do udziału w misji, której celem było obalenie urzędującej przywódczyni Galaktycznego Sojuszu, Roki Kem.

Wszyscy żołnierze, czy to ludzie, czy Bothanie, czy przedstawiciele innych ras, mieli spokojne spojrzenia weteranów, którzy widzieli zbyt wiele, żeby wątpić w niewiarygodnie brzmiącą opowieść swojego dowódcy o spisku i infiltracji. Naszywki na ich ramionach reprezentowały jednostki z setek różnych okrętów stacjonujących w pobliżu Coruscant, a średnia wieku wynosiła jakieś dziesięć standardowych lat więcej niż w typowym oddziale. Łączyły ich dwie rzeczy: wszyscy służyli w przeszłości na statku dowodzonym osobiście przez admirała Neka Bwua'tu, a kiedy zwrócił się do nich o pomoc, wszyscy bez wahania odpowiedzieli twierdząco.

- ...nieprzyjaciel wycofał siedemdziesiąt pięć procent swoich sił do Świątyni Jedi. - Słowa admirała, które mikrofonik w kołnierzu jego tuniki przekazywał do sieci głośników rozmieszczonych w różnych miejscach, zdawały się dobiegać ze wszystkich zakątków hangaru. -

Ten odwrót to bez wątpienia pułapka, mająca na celu zmuszenie naszych przyjaciół Jedi do walki z przeważającymi siłami Sithów...

Luke odwrócił się w stronę innego Bothanina stojącego obok niego - wytwornego stryja admirała Bwua'tu, Eramutha.

- Prawdę mówiąc, mecenasie, sam nie wiem, dlaczego czekaliście na powrót Jedi -

zastanawiał się cicho. - Wygląda na to, że Klub Bwua'tu doskonale sobie radzi bez nas.

- Dziwię się, że jeszcze na to nie wpadłeś, Mistrzu Skywalkerze - odparł Eramuth z poważną miną. - Potrzebujemy mięsa armatniego.

- Mięsa armatniego? - powtórzył Luke, biorąc słowa starego Bothanina prawie poważnie. -

Nie mogliście wynająć Mandalorian?

Bothanin pokręcił siwą głową.

- Mogliśmy - przyznał. - Ale nie poradzili sobie najlepiej, kiedy ostatnio szturmowali Świątynię Jedi.

- Rozumiem - powiedział Luke. - To miło, że macie większe zaufanie do Zakonu Jedi.

- Fakt. - Na twarzy Eramutha pojawił się krzywy uśmiech. No i wy pracujecie za darmo.

Luke uniósł brew, zachichotał i odwrócił się ponownie w stronę żołnierzy. Wiedział, tak samo jak Eramuth, że zdecydowana większość ofiar w zbliżających się walkach będzie się rekrutować właśnie spośród nich i że admirał uprzedził ich o niebezpieczeństwie. To, że tak wielu odpowiedziało na jego wezwanie do obalenia przywódczyni Galaktycznego Sojuszu - co w gruncie rzeczy wydawało się zdradą stanu - było świadectwem wiary żołnierzy w honor i zdolności ukochanego admirała.

- ...wykorzystać pułapkę Roki Kem przeciwko niej - tłumaczył dalej Bwua'tu. Zatrzymał się i odwrócił twarzą do swoich żołnierzy, a kąciki jego szerokich ust uniosły się w chytrym uśmieszku. - Przypuścimy równoczesny atak na Świątynię w trzydziestu różnych punktach, aby zmusić Kem do przerzucenia przeważającej części swoich sił na obrzeża Świątyni.

Bwua'tu zawiesił głos i wyciągnął swoją nową sztuczną rękę w kierunku Luke'a.

- Wielki Mistrz Skywalker przekaże wam instrukcje co do dalszej części operacji.

Luke włączył mikrofon na swoim kołnierzu i stanął obok admirała.

- Przede wszystkim chcę wam podziękować za chęć udziału w tej misji. Jak wyjaśnił

admiral Bwua'tu, nie chodzi jedynie o wyzwolenie Świątyni Jedi. Zapomniane Plemię Sithów przeniknęło na wszystkie poziomy rzędu Galaktycznego Sojuszu, a nasze dzisiejsze zwycięstwo zapobiegnie realizacji ich celu, jakim jest władza nad całą galaktyką.

W hangarze rozległo się ciche szuranie butów żołnierzy, przestępujących z nogi na nogę, a Luke zdał sobie sprawę, że zadania, w których ważą się losy galaktyki, to dla nich nie pierwszozna.

Wziął głęboki oddech i mówił dalej:

- Waszym celem jest wyciągnięcie sił Sithów poza wewnętrzne mury Świątyni. Ja wtedy będę mógł od środka wyłączyć pole ochronne Świątyni i otworzyć drzwi pancerne. Admiral

Bwua'tu liczy, że kiedy to nastąpi, Sithowie się nie cofną, tylko będą walczyć dalej. Zakładając, że on ma rację, Jedi przeprowadzą serię ataków ze środka Świątyni, wypierając wroga na zewnątrz, gdzie będzie wystawiony na ostrzał z ciężkiej broni waszych okrętów desantowych.

Luke wyczuł przypływ niepewności w umysłach weteranów i ruchem dłoni poprosił o cierpliwość, uprzedzając ich pytania.

- Jeśli przewidywania admirała się nie potwierdzą...

- Potwierdzą się - wtrącił Bwua'tu, wywołując tym salwę dobrodusznego śmiechu. -

Możecie być spokojni.

Luke uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Oczywiście admirał ma rację - zgodził się. - Ale jeśli Sithowie jednak się wycofają, dopilnujcie, żeby wasz łącznik Jedi skontaktował się z Mistrzem przed przystąpieniem do ataku.

Niezależnie od tego, czy wypchniemy Sithów ze Świątyni, czy wepchniemy ich do środka, naszym celem jest przyparcie ich do muru.

Luke zilustrował to, uderzając pięścią o otwartą dłoń. Wyczuł kolejne pytanie, kielkujące w stojącej nieopodal durosjańskiej oficer. Wskazał na nią, zanim jeszcze zdążyła poprosić o głos.

- Tak, sierżancie?

Durosjanka wytrzeszczyła zdziwione oczy, uśmiechnęła się i zapytała:

- Jest pan pewien, że uda wam się wyłączyć pole ochronne i otworzyć te drzwi?

- Nie tak pewien, jak bym chciał - przyznał Luke. - Ale jeśli pierwsza próba się nie powiedzie, będziemy próbować dalej.

- Jak długo?

Luke sposepniał.

- Tak długo, jak damy radę - oświadczył. - A jak już nie będziemy mogli, planujemy atak z użyciem baradium.

- Kiedy już odwołam szturm na Świątynię, oczywiście - wyjaśnił Bwua'tu. - Jeśli wydam rozkaz do odwrotu, nie traćcie ani chwili. Nie chcemy dać wrogowi czasu na ucieczkę, więc kiedy usłyszycie moje słowa, pociski będą już w drodze.

W hangarze rozległo się stukanie tysięcy obcasów, a Bwua'tu pokiwał z zadowoleniem głową.

- Bardzo dobrze. - Admirał odwrócił się teraz do Luke'a i powiedział: - Myślę, że możemy zacząć wyznaczać łączników.

Luke skinął głową i zwrócił się w stronę ściany hangaru, gdzie piętnastu Jedi stało na baczność w jednym rzędzie. Skinął na pierwszego Rycerza Jedi w szeregu, młodego bratanka admirała Bwua'tu, Yantahara, po czym odwrócił się ponownie w kierunku żołnierzy.

- Wasi dowódcy otrzymali już instrukcje na ten temat, ale wszyscy powinniście wiedzieć, że każdemu batalionowi w walce będzie towarzyszyć Rycerz Jedi - oznajmił Luke. - Będą oni pełnić ściśle doradczą rolę, ale zachęcam was, żebyście zwracali uwagę na ich rady. Pole bitwy będzie nasyczone Mocą, a oni potrafią wyczuć wiele rzeczy dla was niedostrzegalnych, jak choćby rozmieszczenie oddziałów szturmowych Zakonu Jedi.

Yantahar stanął obok Luke'a, wysoki i wyprostowany, w płaszczu Jedi zarzuconym na lekką zbroję, i ukłonił się żołnierzom.

- Yantahar Bwua'tu - przedstawił się, wykorzystując Moc, żeby jego głos rozniósł się po całym hangarze. - Do usług.

Admirał uśmiechnął się do niego promiennie, po czym zawołał:

- Brygada pierwsza, batalion pierwszy!

- Obecni, panie admirale! - odpowiedziała ciemnoskóra kobieta w mundurze pułkownika.

Yantahar podszedł do kobiety i stanął przy niej. Luke wywołał z szeregu kolejnego Rycerza Jedi. Była to również Bothanka, Yaqeel Saav'etu, która przedstawiła się w taki sam sposób i została przydzielona do następnej brygady. Kiedy jednak nadszedł moment na wezwanie kolejnego Rycerza Jedi, Luke pominął następnego w kolejności - Bazela Warva.

W Mocy natychmiast rozeszła się fala konsternacji i niepokoju, a Luke pożałował, że nie miał okazji porozmawiać z potężnym Ramoaninem przed odprawą. Teraz przyciągnął spojrzenie Bazela i uniosł palec, dając mu znak, żeby uzbroił się w cierpliwość, a następnie przedstawił resztę łączników Jedi.

Kiedy pozostał już tylko jeden Jedi, Luke zwrócił się do admirała Bwua'tu.

- Obawiam się, że pański łącznik jeszcze nie przybył.

Bwua'tu zmarszczył brwi i spojrzał na Bazela, obserwującego ich ze skrzywioną miną, wyrażającą coś pomiędzy zapałem a konsternacją.

- A dlaczego Jedi Warv jest niedostępny? - spytał Bwua'tu. - Mój bratanek twierdzi, że Jedi Saav'etu bardzo go ceni. Podobno jest nadzwyczaj zaradny.

- To prawda - zgodził się Luke. - Obawiam się jednak, że wynikła sytuacja, która uniemożliwi mu udział w bitwie.

Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, gdy przez Moc przetoczyła się fala rozczarowania.

Domyślił się, że Bazel podsłuchuje ich rozmowę, chociaż jego wielkie uszy przylegały do ogromnej głowy.

- Szkoda - stwierdził Bwua'tu, podając Luke'owi rękę. - Może powinien pan teraz wyjaśnić tę sytuację. Warv wydaje się dosyć rozczarowany, a obaj mamy wiele do zrobienia.

- Ma pan rację, admirale. - Luke uścisnął rękę Bwua'tu. - Niebawem przyślę Jedi Dorvald w zastępstwie Jedi Warva. Niech Moc będzie z panem, dopóki się znów nie spotkamy.

- To wy będziecie jej potrzebować, przyjacielu - odparł Bwua'tu. - Ja muszę tylko siedzieć na stanowisku dowódcy i obserwować.

- Mimo wszystko - powiedział Luke. - Wie pan, jak się skontaktować z Mistrzynią Sebatyne, gdyby zaszła taka potrzeba?

- Naturalnie - przyznał Bwua'tu. - Wystarczy wypatrywać spadających z nieba Sithów.

Luke się uśmiechnął; zdawał sobie dobrze sprawę, że to tylko w połowie żart. Saba cały czas wywierała nacisk na Sithów, którzy nie wycofali się do Świątyni. Razem z Izalem Wazem i niewielkim oddziałem młodszych Rycerzy Jedi urządziła sobie, jak to określiła, „niekończące się łowy”.

- Komunikator też zadziała - zapewnił Luke. Ruszył w stronę brudnej durastalowej ściany, gdzie stał Bazel Warv; jednocześnie wyjął komunikator, żeby połączyć się z Benem. - Czy Jedi Dorvald jest wciąż z wami? - zapytał.

- Tak - potwierdził Ben. - Właśnie zabezpieczyliśmy śmigacz, ale to nieciekawa okolica, więc Doran zostanie tutaj.

- To dobrze - stwierdził Luke. - Weźcie ze sobą Sebę.

- Tak jest - odparł Ben. - Do zobaczenia wkrótce.

Gdy Ben się rozłączył, Luke podszedł do ściany, przy której czekał Bazel. Potężny Ramoanin stał



przy drzwiach wychodzących na ciemny korytarz, który prowadził na pomost cumowniczy. Wyglądał na przygnębionego; zwiesił potężne zielone ramiona tak nisko, że dłonie miał na wysokości kolan.

- Czy zrobiłem coś nie tak, Mistrzu Skywalker? - spytał swoim chropawym głosem. -

Chciałem tylko.

- Nie Zrobiłeś nic złego. - Luke wyciągnął rękę i położył ją na grubym bicepsie Bazela. -

Ale dostałem wiadomość od Hana i Leii. Lecą tutaj, żeby się z tobą zobaczyć.

- Ze mną?

Luke pokiwał głową.

- Tak. Chcą, żebyś zrobił coś dla Amelii.

Bazel nadstawił uszu.

- Dla Amelii? - spytał. - Co takiego?

- Miałem nadzieję, że ty mi powiesz - odrzekł Luke. - Powiedzieli, że nie mogą tego wyjaśnić przez HoloNet, ale że tylko ty możesz to zrobić.

Bazel położył znów uszy i odwrócił wzrok.

- Bazel - zwrócił się do niego Luke, przybierając nieco chłodniejszy ton - czego oni chcą?

Ramoanin rozłożył wielkie ręce.

- Nić wiem - stwierdził. - Skąd mogę wiedzieć? Przecież ich tu jeszcze nie ma.

- Ale coś ci przyszło do głowy - naciskał Luke. - Co takiego?

Bazel westchnął, a Luke miał wrażenie, jakby jego twarz owiał ciepły wietrzyk.

- To musi mieć jakiś związek z tajemnicą.

Luke'owi serce podeszło do gardła.

- Tajemnicą Amelii? - spytał. - Skąd wiesz...

- Z inną tajemnicą, Mistrzu Skywalker! - przerwał mu Bazel, kręcąc wielką głową. - Nie z jej tajnym imieniem!

- Znasz jej prawdziwe imię? - zdumiał się Luke. - Skąd?

Bazel zniżył głos.

- Mistrzu Skywalker, nie mogę ci tego teraz powiedzieć.

Luke zdał sobie sprawę, że Bazel nie patrzy już na niego, ale w kierunku drzwi, i zmarszczył brwi. On też wyczuwał obecność trzech osób wchodzących przez drzwi za jego plecami

- a jeśli Bazel wiedział na temat sekretu Allany aż tyle, że wolał zachować ostrożność, to prawdopodobnie wiedział też, kim naprawdę jest Allana. Walcząc ze sobą, żeby nie ujawnić swojego zaniepokojenia w Mocy, Luke odwrócił się i zobaczył swojego syna wchodzącego do hangaru.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Ben, przepuszczając w drzwiach gibką Sebę Dorvald. - Ale mówiłem, że wkrótce się zobaczymy.

- Nic się nie stało, synu. - Luke przywitał Sebę skinieniem głowy, ale nie spuszczał wzroku z drzwi. - Czy Vestara...

- Jestem tutaj, Mistrzu Skywalker - odezwała się Vestara. Weszła do pomieszczenia, starając się nie patrzeć w stronę Bazela. - Mam nadzieję, że nie przegapiliśmy niczego ważnego.

## **ROZDZIAŁ 9**

Vestara wiedziała, że atak się powiedzie, z jednego prostego powodu - Jedi znali swoją prastarą Świątynię lepiej, niż okupujący ją Sithowie kiedykolwiek zdołaliby poznać. W ciągu godziny Jedi spenetrują ogromną budowlę, a Krąg Lordów przekona się, jak głupio zlekceważyli Luke'a Skywalkera. Kiedy Skywalker skończy, na Coruscant nie zostanie ani jeden żywy Arcylord, ci zaś, którzy pozostali na Kesh, będą zbyt pochłonięci zagrożeniem z jego strony, żeby chociaż pomyśleć o ściganiu jej.

Przynajmniej taką miała Vestara nadzieję. Gdyby atak Jedi okazał się wystarczająco skuteczny, mogłaby nawet wziąć pod uwagę wysłanie do pozostałych przy życiu Arcylordów wiadomości, w której groziłaby im ujawnieniem położenia Kesh, gdy tylko wyczuje, że szuka jej jakiś Sith. Taka groźba mogła spełnić swoje zadanie jedynie pod warunkiem, że Arcylordowie naprawdę przestraszą się Luke'a i jego Jedi - a po dzisiejszym dniu musiało tak się stać.

Głuchy szcęk rozbrzmiał echem po zatłoczonej pompowni, a duża rura, którą Vestara miała przed sobą, zadrżała od zmiany wewnętrznego ciśnienia. Górna połowa rury obróciła się w przeciwnym kierunku, odsłaniając wilgotne wnętrze magistrali wodociągowej o średnicy około półtora metra. Ben i jego kuzynka Jaina wciągnęli kapsułę serwisową do magistrali, po czym otworzyli właz. Wewnątrz kapsuły znajdowała się ciasna kabina pasażerska, wyposażona w dwa siedzenia i drążek sterowniczy. Ben włączył panel kontrolny i zaczął, aż zakończy się dwusekundowa kontrola systemów. Potem stanął jedną nogą na stopniu prowadzącym do kabiny i obejrzał się na Vestarę.

- Gotowa?

- Bardziej nie będę. - Vestara dotknęła biodra, na którym zwykle był zawieszony miecz świetlny. - Wolałabym tylko mieć broń... choćby blaster.

Ben spochmurniał, ale zanim zdążył coś powiedzieć, podeszła do nich Jaina.

- Przykro mi, Vestaro. Musi tak być. - Głos miała stanowczy, ale nie napastliwy. - Jeśli martwi cię brak broni, zawsze możesz zostać.

- Raczej nie - odparła Vestara z nutką zrozumienia w głosie. - Muszę udowodnić swoją lojalność.

Ben pokręcił głową.

- Ves, nie powinnaś...

- Daj spokój, Ben - przerwała mu. - Rozumiem, dlaczego Mistrzom tak trudno mi zaufać.

Naprawdę.

- Tu nie chodzi tylko o Mistrzów - stwierdziła Jaina, podchodząc jeszcze o krok bliżej.

Vestara odniosła nieprzyjemne wrażenie, że Jaina rozumie jej grę lepiej niż ona sama. - Nie wszyscy w Zakonie Jedi zdążyli spędzić z tobą choć trochę czasu. Niektórym z nas trudno jest zaufać Sithowi.

- Byłemu Sithowi - poprawił ją Ben. - Daj spokój, Jaina. Własny ojciec próbował ją zabić.

- Dobra, byłemu Sithowi - zgodziła się Jaina, zerkając na niego kątem oka. - Mówię poważnie, Vestaro. Jeśli nie masz ochoty brać udziału w bitwie bez broni, to zostań tutaj.

- A jak Jedi poznają, którzy to Arcylordowie? - spytała Vestara. - Skąd mają wiedzieć, że znaleźli Wielkiego Lorda?

- Jakoś sobie poradzimy - odrzekła Jaina.

- A potem będziecie winić mnie, kiedy coś pójdzie nie tak. - Vestara stanęła na stopniu i położyła Benowi rękę na biodrze. - Nigdzie się beze mnie nie ruszycie. Muszę mieć was na oku, nawet jeśli nie będę miała broni, żeby was obronić.

Z panelu interfejsu pompowni dobiegł niecierpliwy świergot, a jednostka typu R9

podłączona do złącza danych zaczęła migać na nich lampą projekcyjną.

- Lepiej wsiadajmy - powiedział Ben. - Wstrzymujemy ruch.

Vestara weszła do kapsuły i wyciągnęła się na siedzeniu pasażera, czekając w antyseptycznym powietrzu, aż Ben także wsiądzie i pociągnie za drążek znajdujący się między jego kolanami. Właz zamknął się automatycznie, a wewnątrz wypełniło łagodne zielone światło. Gdy tylko Vestarą zapięła pasy i włączyła monitor nawigacyjny, Ben uruchomił silniki manewrowe.

Za plecami usłyszeli stłumiony huk, oznaczający, że droid ponownie otworzył kanał, a potem w kapsule rozległo się głośne bulgotanie. Powoli zaczęli przyspieszać, a Vestara poczuła, że żołądek

podchodzi jej do gardła. Ben spojrział od razu na monitor nawigacyjny. Widać było na nim jedynie długi odcinek ciągnącego się przed nimi kanału.

Przez pierwsze sto metrów Vestara nie przerywała krępującej ciszy, a potem zapytała:

- Więc dokąd zmierzamy? Poza tym że do Świątyni Jedi.

Ben przez chwilę nie odpowiadał. Nie odrywał wzroku od monitora, wyraźnie się zastanawiając, jak dużo powinien jej powiedzieć.

- No tak... Dowiem się, jak będziemy na miejscu. - Vestara skierowała znów wzrok na wyściełaną pokrywę wjazdu, zawieszoną zaledwie kilkanaście centymetrów nad jej twarzą. - I nie omieszkałam powiedzieć Jainie, jak bardzo uważałeś, żeby utrzymać mnie w nieświadomości.

Ben westchnął.

- To nie tak, Ves - zachnął się. - Po prostu nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

- W porządku, Ben. - Cofnęła rękę, tak żeby nie dotknąć Bena, i położyła ją na brzuchu. -

Rozumiem.

- Posłuchaj, wiem tylko tyle, że to poziom jeden siedemdziesiąt pięć, sektor dwunasty, dwadzieścia dwa na północ osiemnaście - oznajmił Ben. - Mówi ci to coś? Bo mnie nic.

- Poziom jeden siedemdziesiąt pięć? - spytała Vestara. - To chyba dosyć wysoko, co?

- Jasne... jeśli jesteś ślimakiem granitowym - zakpił Ben. - Ale to i tak niżej, niż się zwykle zapuszczam. To chyba jeden z mechanicznych rdzeni.

- Rdzeni? - powtórzyła Vestara. - Coś takiego jak „centralny rdzeń”?

- Tak, Ves - odparł Ben. - Tam zwykle znajduje się rdzeń. W centrum.

- Pewnie tak - zgodziła się Vestara, a w jej głosie dało się usłyszeć nutę rosnącego i bardzo realnego strachu. - Może powinnam była posłuchać Jainy.

Ben obejrzał się na nią, marszcząc czoło.

- Dlaczego tak mówisz?

- Wydaje mi się, że Mistrzowie tego nie przemyśleli - stwierdziła. - Ben, ja pochodzę z planety zamieszkaanej przez dziesiątki tysięcy Sithów. A połowa z nich jest teraz prawdopodobnie tu, na tej planecie, i ukrywa się w Świątyni Jedi.

Ben spuścił głowę, próbując ukryć uśmiech.

- Właśnie na to liczymy, Vestaro.

Vestara poczuła ściskanie w dołku. Spodziewała się, że celem jej oddziału będzie zdobycie doków towarowych, żeby Jedi zyskali przyczółek, z którego mogliby dokonać inwazji na resztę Świątyni. Wyglądało jednak na to, że planowali przedostać się daleko za linie Sithów i zaatakować od środka - a jeśli faktycznie taki mieli zamiar, mogło to jedynie oznaczać, że Jedi znali sposób, żeby zdalnie wyłączyć pole ochronne i otworzyć Świątynię.

- Jedi mają jakieś tajne ręczne sterowanie, prawda? - spytała. - Otworzycie po prostu drzwi i wpuscicie tych wszystkich żołnierzy, tak?

- Coś w tym rodzaju. - Ben popatrzył na nią z troską w oczach. - Czy to cię martwi?

Vestara wahała się przez chwilę, a wreszcie pokiwała głową.

- Tak, chyba tak. - Nie było sensu zaprzeczać; Ben od razu wyczułby kłamstwo. - Każdy ze znajdujących się tam Mieczów wbiłby mi miecz świetlny w tył głowy, więc wiem, że nie powinnam się przejmować. Ale...

- Ale to twoi rodacy. - Ben pokiwał głową. - Nie byłabyś człowiekiem, gdyby nie poruszyła cię ich śmierć.

- Dzięki, Ben. Cieszę się, że to rozumiesz.

- Nie ma sprawy - skwitował. - Wiem, że to niełatwe.

Aparatura nawigacyjna wydała ostrzegawczy sygnał, a przed nimi na ekranie pojawiło się rozgałęzienie. Ben zacisnął ręce na drążku sterowniczym, aż zbieleły mu knykcie, a Vestara zauważyła, że zaczyna po cichu odliczać, przygotowując się do skrętu w kierunku Świątyni.

Dziewczyna próbowała wyobrazić sobie ich wspólne życie, w którym nie byłiby Jedi i Sithem, tylko dwojgiem zwykłych ludzi, próbujących odnaleźć swoje miejsce w galaktyce. Oczywiście nigdy nie będą całkiem zwyczajni. Potrafiła jednak wyobrazić sobie, że są szczęśliwi jako zawodowi hazardziści czy nawet małżeństwo łowców nagród - zakładając oczywiście, że zdołałaby namówić Bena, żeby wykorzystał Moc do czegoś innego niż ratowanie galaktyki.

Ben utkwił wzrok w monitorze nawigacyjnym i wziął zakręt, odbijając się od ściany kanału, zanim odzyskał panowanie nad kapsułą. Niemal od razu na dole ekranu pojawiło się kolejne rozgałęzienie, a obok, w ramce, schemat przedstawiający splątaną sieć kanałów.

- To już chyba nie potrwa długo - zauważyła Vestara.

- Tylko parę minut - potwierdził Ben. - Właśnie wlecieliśmy do Świątyni.

- Ben? - odezwała się Vestara. Jej marzenie o wspólnym życiu poza Zakonem Jedi było taką samą fantazją jak tamte listy, które pisała do wymyślanego kochającego ojca, ale musiała to wiedzieć, musiała mieć pewność, zanim rozpocznie się bitwa. Ben na to zasługiwał. - Czy myślałaś kiedyś o

tym, żeby nie być Jedi?

- Jasne - odparł Ben, czym ją zaskoczył. - Ale tylko jako dziecko.

- Nie chciałeś być Jedi, jak byłeś młodszy?

Ben pokręcił głową.

- Ani trochę. - Ustawił kapsułę na boku, przygotowując się na wejście do prowadzącego w górę kanału, do którego się zbliżali. - Byłem w Schronisku, kiedy Abeloth kontaktowała się z młodzikami.

- I ciebie to nie dotknęło?

- Tylko dlatego, że wycofałem się z Mocy. - Ben nie spuszczał wzroku z monitora i wydawał się słuchać tylko jednym uchem. - Niewiele z tego pamiętam.

- A teraz? - zapytała Vestara. - Potrafisz sobie wyobrazić, że jesteś kimś innym?

Ben przechylił drążek sterowniczy i marszcząc w skupieniu czoło, wprowadził ich do pionowego kanału.

- Dlaczego miałbym to robić? - Kapsuła uderzyła z hukiem w ścianę kanału, potem w drugą, a Ben zaklął pod nosem. - Muszę się skupić na sterowaniu. Możemy porozmawiać o tym później?

- Nie musimy - odrzekła Vestara. - To było głupie pytanie.

Dostała już odpowiedź - i poczuła się, jakby w środku miała czarną dziurę. Vestara nie mogła zostać Jedi, przynajmniej nie w pełnym znaczeniu tego słowa. Ich miłość od początku była skazana na porażkę - zdecydowały o tym wydarzenia, jakie nastąpiły pięć tysięcy lat przed ich narodzeniem - a teraz nie pozostawało jej nic innego, jak tylko pogodzić się z rzeczywistością i znaleźć sposób na przetrwanie bez ochrony Jedi przed zemstą Zapomnianego Plemienia.

Na szczęście, gdyby zaszła taka konieczność, Vestara miała kartę przetargową. Z początku nie zrozumiała znaczenia rozmowy między Mistrzem Skywalkerem a Bazelem Warvem. Większość dziewczynek miała swoje sekrety, więc dopiero po chwili pojęła znaczenie „tajnego imienia” Amelii Solo. Jednak reakcja Mistrza Skywalkera - i to, jak szybko zakończył rozmowę, kiedy zorientował się, że nie są sami - bez wątplenia dowodziła, że nawet Jedi bardzo poważnie traktowali sekret Amelii Solo. Ostatecznym potwierdzeniem była fala niepokoju, jaką wyczuła, kiedy minęła róg i weszła razem z Benem do hangaru; to wtedy Mistrz Skywalker - a nawet do pewnego stopnia Ben - zdał sobie sprawę, że słyszała ich rozmowę.

Potem rozwiązanie zagadki nie sprawiło już Vestarze trudności. Przy Sadzawce Wiedzy dostrzegła przelotnie twarz, którą Arcylord Taalon widział na Tronie Równowagi, i to jej wystarczyło, żeby się zorientować, że Królową Jedi była rudowłosa kobieta, uderzająco podobna do hapańskiej królowej matki, Tenel Ka. Nie było żadną tajemnicą, że Tenel Ka i Jacen Solo znali się z Akademii Jedi na Yavinie Cztery, plotkarskie media zaś sugerowały, że pozostali „przyjaciółmi” do czasu, aż Jacen podpalił Kashyyyka.

Wiadomo było, że Tenel Ka urodziła dziewczynkę o imieniu Allana, nie ujawniwszy tożsamości jej ojca. Allana zmarła rzekomo w czasie drugiej wojny domowej, kiedy moffowie próbowali zgładzić całą rodzinę Tenel Ka za pomocą jednego ze swoich nanowirusów. Mniej więcej wtedy Han i Leia Solo adoptowali wrażliwą na Moc sierotę wojenną w tym samym wieku.

Jednak najbardziej znamienny, z perspektywy czasu, był moment, kiedy Vestara zobaczyła Hana i Amelię razem na hologramie. Była na pokładzie „Cienia Jade”, kiedy Han Solo nawiązał

połączenie, żeby zawiadomić ich o aresztowaniu Leii, Amelia zaś była przy nim w trakcie holograficznego przekazu. To Vestara zasugerowała, żeby zabrał ze sobą dziecko, kiedy uda się do przywódców Sojuszu, Padnela Ovina i Wynna Dorvana, żeby apelować o uwolnienie żony. Wtedy wydawało jej się, że wynikało to jedynie z wdzięku Amelii. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że chodziło o coś więcej - zareagowała w ten sposób na rodzinne podobieństwo.

Amelia Solo miała oczy i usta Hana Solo. Jeszcze bardziej znaczący był ślad jego szelmowskiego uśmiechu w uśmiechu Amelii. Vestara zamknęła oczy i cofnęła się pamięcią, wykorzystując medytację i Moc, żeby odświeżyć wspomnienia, żeby wyostrzyć każdy szczegół

główki dziewczynki - i dostrzegła ostateczny dowód.

Włosy Amelii nie były naturalnie czarne. Miały rude korzenie, a właściwie złocistorude. A taki kolor miały słynne pukle hapańskiej królowej matki.

A więc to Amelia Solo miała zostać królową, którą Lord Taalon widział w Sadzawce Wiedzy. Skywalkerowie o tym wiedzieli. Bazel Warv o tym wiedział. I teraz także Vestara Khai o tym wiedziała.

Na razie miała zamiar zachować to dla siebie. Dopóki nie pozna swojej nowej sytuacji życiowej, nic nie zyska, ujawniając komukolwiek ten fakt, a poza tym była to winna Benowi.

Powinna dochować tajemnicy - przynajmniej dopóki nie będzie mogła uzyskać w zamian czegoś bardzo ważnego.

Na przykład własnego bezpieczeństwa.

Minęli jeszcze kilkanaście rozgałęzień, a potem cały ekran rozświetlił się na żółto, Ben zaś cofnął lekko dźwignię przepustnicy. Skierował kapsułę w boczny kanał i zatrzymał. Rozległ się pisk regulowanych zaworów kontrolnych i chlupot wylewanej wody.

Ben odpiął pasy bezpieczeństwa i obejrzał się na Vestarę.

- Gotowa?

Vestara skinęła głową.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo - odparła, także odpinając pasy. - Po dzisiejszym dniu żaden Jedi nie będzie już miał wątpliwości co do mojej osoby. Możesz być tego pewien.

Na twarzy Bena pojawił się niepokój.

- Nie rób niczego nierozważnego, Ves - przestrzegł. - Wystarczy, że wskażesz tych arcyważniaków. Nie musisz niczego udowadniać.

Vestara zmusiła się do uśmiechu.

- Tobie może nie.

Z góry dobiegł stłumiony szczeł odsuwanej panelu, a po chwili właz kapsuły otworzył się z sykiem. Ben przyglądał się przez chwilę Vestarze.

- Mówię poważnie, uważaj na siebie - wyszeptał i wysiadł z kapsuły.

Po chwili Vestara podążyła jego śladem i znalazła się na pomoście, obok Bena i rodzeństwa Horn, Valina i Jyselli. Valin podał Benowi rękę.

- Witaj w domu.

- Dzięki - rzekł Ben. - Miło jest wrócić.

Jysella popatrzyła na Vestarę, jakby zastanawiała się, czy przywitać ją w podobny sposób, po czym wskazała po prostu na kapsułę.

- Chodź - poprosiła. - Pomożesz mi usunąć to z drogi.

- Oczywiście. - Vestara wyciągnęła rękę w kierunku haka przymocowanego do tylnego końca kapsuły i użyła Mocy, żeby podnieść go do góry. Jysella zrobiła to samo z przodem i razem ułożyły kapsułę na rosnącej stercie podobnych pojazdów na końcu pomostu.

- Dzięki. - Jysella odwróciła się w stronę Bena i wskazała w głąb pogrążonego w mroku pomieszczenia. Było ono wypełnione aparaturą filtrującą, pompami motorowymi i zbiornikami do oczyszczania wody. - Twój ojciec jest gdzieś z przodu. Powiedział, żeby zgłosić się do niego po rozkazy, jak tylko dotrzecie.

Ben odpowiedział krótkim skinieniem głowy i dał znak Vestarze, żeby poszła przodem. Ona jednak nie poruszyła się, powoli rozszerzając swoją świadomość Mocy w kierunku mroku. Miała wrażenie, że coś tu jest nie tak, ale nie wiedziała co.

Pomieszczenie było wielkości hangaru dla myśliwców, ale tak zastawione sprzętem, szafkami i częściami zamiennymi, że przypominało bardziej podziemny labirynt niż ogromną halę, którą było. Gdziekolwiek spojrzeła, widziała ciekące rury biegnące od jednej maszyny do drugiej, a potem ginące w mroku ponad głowami, gdzie łączyły się w pęki grube jak pnie drzew. Niektóre elementy maszynierii były wielkości sań towarowych, a hałas panował tak nieznośny, że Vestara żałowała, że nie ma w uszach tłumików. Były to idealne warunki do ukrycia wartownika... albo szpiega. Biorąc pod uwagę znaczenie tego pomieszczenia - i bezpośredni dostęp do niego spoza Świątyni - Vestara nie mogła uwierzyć, żeby Sithowie przeoczyli tak podstawową sprawę.



Nie wyczuwając żadnej mrocznej obecności czającej się w okolicy, zapytała:

- Ilu strażników zabili Jedi, którzy zjawili się tu jako pierwsi?

- Ani jednego - odparła Jysella. - Nikogo tu nie było.

Vestara obejrzała się na nią.

- I nie wydaje się to wam dziwne?

- Mistrz Skywalker kazał przeszukać całe pomieszczenie, tak na wszelki wypadek -

oznajmił Valin. - Ale w tej chwili dowodzone przez Jedi oddziały piechoty kosmicznej szturmują trzydzieści różnych wejść do Świątyni. Mistrz Skywalker sądzi, że Sithowie przerzucili wszystkich wartowników do drzwi wejściowych i na podziemne poziomy.

- Taki był plan - dodała z półuśmiechem Jysella. - A czasami plan faktycznie działa.

Żart niespecjalnie podniósł Vestarę na duchu. Gdyby oddział szturmowy Mistrza Skywalkera spotkał tu tragiczny koniec, jej szanse na przeżycie zmniejszyłyby się dziesięciokrotnie

- a dowiedziała się wystarczająco dużo na temat zabezpieczeń Świątyni, by zdawać sobie sprawę, że zastępy zdeterminowanych Sithów mogą odpierać ataki wojska bez końca. A nawet jeśli nie, to Arcylordowie mieliby mnóstwo czasu na ucieczkę. Vestarze zależało na tym, żeby Skywalker i jego oddział zdołali osiągnąć cel, i to tak szybko, żeby mogli przerwać Krąg Lordów, a jej umożliwić życie, które nie będzie tylko udawaniem przyszłej Jedi.

Wzięła Bena pod ramię i ruszyła na przeciwległy koniec pomostu.

- Musimy się rozejrzeć - oświadczyła. - Sithowie rozumieją, na czym polega odwracanie uwagi, równie dobrze jak Jedi, więc nie popełniliby takiego błędu, żeby pozostawić to pomieszczenie niestrzeżone.

- Rozkazy Mistrza Skywalkera były jasne! - zawołała za nimi Jysella. - Macie się natychmiast zameldować.

- Dziękuję, Jedi Horn - rzuciła przez ramię Vestara. - Rozumiemy.

Poprowadziła Bena w dół po krótkich metalowych schodach na durastalową kratę, zawieszoną jakiś metr nad właściwą podłogą, pokrytą czymś w rodzaju ciemnej membrany. Vestara nie rozumiała, czemu ma ona służyć, dopóki nie zauważyła, że cała podłoga przechyla się w kierunku zagłębienia pośrodku pomieszczenia. Najwyraźniej przecieki i zalania stanowiły tutaj na tyle poważny problem, że zainstalowano centralny odpływ.

Ben zszedł po schodach i zatrzymał się obok Vestary.

- Ves, musimy wypełniać rozkazy. Na pewno sprawdzili to miejsce.

- Na pewno się starali - odparła Vestara, ruszając w stronę pompy wielkości śmigacza. - Ale coś tu jest zdecydowanie nie tak. Nie czujesz tego?

Ben zamilkł i zaczął się rozglądać, najwyraźniej rozszerzając własną świadomość Mocy w kierunku ciemnych zakamarków pomieszczenia. Wreszcie pokręcił głową.

- Nie, nic nie czuję - stwierdził. - Ale to o niczym nie świadczy. Jestem pewien, że Sithowie potrafią ukrywać swoją obecność w Mocy równie dobrze jak my.

- Nie o to mi chodzi. Tu jest po prostu za spokojnie... - Vestara urwała, bo w końcu uświadomiła sobie, czego tu brakuje. - Gdzie są droidy?

Ben zmarszczył brwi.

- Droidy?

- Na Coruscant nie można przejść stu kroków, żeby nie natknąć się na jakiegoś droida -

przypomniała. - Chcesz powiedzieć, że Jedi nie wykorzystywali żadnych do obsługi tego wszystkiego?

Ben uniósł brwi.

- Rozumiem, o co ci chodzi. - Rozejrzał się znów dookoła. Pomieszczenie było zbyt zapchane sprzętem, żeby można było dostrzec jego koniec, ale tam właśnie według Jyselli czekał na nich jego ojciec. - Tak czy inaczej, chodźmy zobaczyć się z tatą. Może zapomniał nam o czymś powiedzieć na odprawie.

- Idź sam - odrzekła Vestara. - Ja się jeszcze rozejrzę.

Ben chwycił ją za rękę i ruszył w głąb pomieszczenia.

- Ves, chodź - ponaglił.

Słyszając w jego głosie ostrzegawczą nutę, Vestara pozwoliła mu pociągnąć się za sobą.

- Dlaczego, Ben? - Idąc, cały czas zagłębiała się w Moc, szukając jakiegokolwiek śladu wartownika, który musiał się ukrywać gdzieś w ciemności i ich szpiegować. - Żeby reszta oddziału nie nabrała podejrzeń, widząc, że wykazuję inicjatywę?

- Dlatego że Jedi także wykonują rozkazy - oświadczył Ben, przyspieszając kroku. -

Zwłaszcza w czasie bitwy.

Vestara chciała przypomnieć Benowi, że swego czasu sam zachęcał ją do samodzielnego myślenia, gdy nagle poczuła chybotanie kraty pod stopami. Normalnie nie zwróciłaby na to uwagi, jednak jej Mistrzynie, Lady Rhea, nauczyła ją uważać na wszystko, kiedy rusza do boju. Wpoila jej, że nawet

najdrobniejszy szczegół może uratować jej życie. Vestara spuściła więc wzrok.

Najpierw zobaczyła broń: dwa blastery i trzy miecze świetlne, wszystkie ukryte częściowo pod fałdami czarnego płaszcza lub pod ciemnym rękawem. Ludzie trzymający broń leżeli na plecach, po dwóch obok siebie. Twarze mieli owinięte ciemnymi szalami, a oczy zmrużone, żeby nie było widać białek. Leżeli całkowicie nieruchomo, bo nie chcieli przyciągać uwagi.

Vestara odwróciła wzrok, udając, że nie zauważyła ukrytych pod kratą postaci. Zdążyła jednak dostrzec ich co najmniej pół tuzina, a nie było powodu, by sądzić, że to wszystkie siły. Jedi pakowali się w zasadzkę - a to mogło jedynie oznaczać, że Sithowie się ich spodziewali.

Vestara nie miała pojęcia, w jaki sposób jej rodacy dowiedzieli się o planach Jedi, ale wiedziała, kogo Jedi o to obwinia - jeśli przeżyje wystarczająco długo. Sithowie to pierwszorzędni zabójcy, a ta zasadzka wyglądała na nową wersję Cichego Powrotu. Kiedy się spodziewali, że wróg będzie miał się na baczności, wkraczając na pole bitwy, Sithowie woleli pozostać w ukryciu do momentu, aż ofiara się rozluźni, a następnie powrócić tajnym wejściem, żeby przyspuścić atak.

Vestara domyślała się, że ta grupa dostała się tu od dołu, przez dziurę wyciętą parę godzin wcześniej i ukrytą pod membraną odprowadzającą wodę.

Szła dalej obok Bena, zastanawiając się, co dla niej oznacza ta zasadzka. Sithowie bez wątpienia będą obserwować ją uważniej niż któregokolwiek Jedi z wyjątkiem Wielkiego Mistrza Skywalkera, więc nie uda się jej zniknąć przed rozpoczęciem ataku. Poza tym siły Jedi musiały wyjść z tego cało, żeby jej plan się powiódł.

- Ves? - upomniał ją Ben. - Nie śpij! Zaraz ruszamy do boju.

- A tak, do boju - powtórzyła. Teraz, gdy już wiedziała, skąd nadejdzie atak, chciała jak najszybciej dotrzeć do panelu kontrolnego. - Oczywiście, masz rację.

- Tak? - zdziwił się Ben, oglądając się na nią. - Co się stało, że zmieniłaś...

Jego głos nagle ucichł - podobnie jak ich kroki i szelest płaszcza Vestary. Kiedy jednak spojrzała na Bena, zauważyła, że wciąż porusza ustami, jakby w głowie cały czas słyszał własne słowa. Ktoś wykorzystywał Moc, żeby wyciszyć powietrze i uniemożliwić rozchodzenie się fal dźwiękowych - a to mogło oznaczać tylko jedno.

Vestara wysłała myśli w kierunku Mistrza Skywalkera, przepełniając swoją obecność w Mocy niepokojem, po czym złapała Bena za rękę. Kiedy odwróciła się gwałtownie, zobaczyła lecący ku nim dziesięciometrowy fragment kraty. Przez Moc przetoczyła się fala szoku i konsternacji Bena, który nie mógł zrozumieć, co widzi. Vestara już wiedziała, że chłopiec nie zdąży w porę zareagować. Pchnęła go w klatkę piersiową i podcięła, sama zaś wyrzuciła nogi do góry.

Wylądowali obok siebie na plecach tuż przed tym, jak fragment kraty przeciął powietrze, mijając ich o długość dłoni. Ben wytrzeszczył oczy i otworzył usta w niemym okrzyku zdumienia, a Vestara zaczęła zsuwać się po kracie w kierunku napastników. Uniosła głowę i zobaczyła dużo postaci w

ciemnych płaszczach. Wyskakiwały z ukrycia, błyskając blasterami i zapalonymi mieczami świetlnymi.

Nagle Vestara przestała się zsuwać. Obejrzała się i zobaczyła, że Ben wyciąga ku niej rękę.

Trzymał ją dzięki Mocy, próbując wciągnąć z powrotem.

Vestara poczuła rwący ból w ramionach i biodrach. Miała wrażenie, jakby się rozpadała, a potem zdała sobie sprawę, że najprawdopodobniej faktycznie tak jest. Zawyla z bólu i pokręciła głową, krzycząc na Bena, żeby ją puścił.

Vestara nie wiedziała, czy Ben ją usłyszał w bitewnej wrzawie - pośród odgłosów blasterowych strzałów i mieczów świetlnych - ale zaczęła się zsuwać szybciej.

Za jej plecami Ben odpiął od pasa miecz świetlny i skoczył na równe nogi. Wykonał salto, unikając lawiny blasterowych wiązek, które przypaliły kratę wokół niego. Vestara sądziła przez chwilę, że Ben zapali klingę i zacznie się przedzierać w jej stronę, co zapewne oboje przypłaciliby życiem.

Nie doceniła jednak Bena Skywalkera. On po prostu dalej koziołkował, wykorzystując Moc, żeby wytyczyć zygzakowaty tor lotu. Wyciągnął w jej stronę rękę i wyrzucił trzymany w niej miecz świetlny. Vestara sięgnęła po niego w Mocy, oglądając się jednocześnie na napastników.

Pierwsi Sithowie już nacierali, odpierając swoimi szkarłatnymi klingami grad blasterowych strzałów, nadlatujących od strony grupy Jedi w głębi pomieszczenia. Miecz świetlny Bena wpadł

dziewczynie w rękę. Wcisnęła guzik włącznika, a potem obróciła się na brzuch i przecięła skwiercząco klingą dwie pary biegnących nóg. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach; nie przestając się turlać, uniosła broń, żeby sparować uderzenie.

Jej klinga zwarła się z inną, aż posypały się iskry, a nad sobą, po drugiej stronie rozżarzonego krzyża, dziewczyna dostrzegła wykrzywioną w grymasie lawendową keshirską twarz.

Leżała pod przeciwniczką, usiłując odepchnąć od siebie jej miecz świetlny. Gdzieś w głębi pomieszczenia rozległy się wybuchy granatów i Vestara uzmysłowiła sobie, że Jedi są atakowani z dwóch stron.

Rozluźniła nieco nacisk i miecz świetlny kobiety zaczął zbliżać się do jej twarzy.

- Najpierw odbiorę ci urodę - ostrzegła ją Keshiri. - A potem...

Vestara uderzyła w nią podmuchem Mocy, który odrzucił ją z powrotem na Sithów wylazących przez brakujący fragment kraty. Wciąż zapalona klinga przeciwniczki przecięła jednego z wojowników na pół, a jej ciało powaliło dwóch kolejnych.

W gąszczu kończyn i kling Vestara dostrzegła Valina i Jysellę Hornów, stojących wciąż na pomoście. Valin osłaniał siostrę mieczem świetlnym przed blasterowymi błyskawicami Sithów, podczas gdy Jysella nachylała się nad otwartym panelem. Vestara prześledziła wzrokiem trajektorię strzałów, aż

zobaczyła Sitha, który strzelał pomiędzy osłon pomp. Przewróciła go pchnięciem Mocy.

To dało Valinowi chwilę wytchnienia, której potrzebował. Zeskoczył z pomostu, koziółkując w powietrzu. Vestara już zaczęła myśleć, że ona i Jedi mogą jednak wyjść cało z tej zasadzki. Skoczyła na równe nogi... i usłyszała za plecami niski głos.

- Wystarczy.

U podstawy czaszki poczuła tępy ból od uderzenia czymś twardym i ciężkim - zapewne rękojeścią miecza świetlnego. Odwróciła się, ale dostrzegła jedynie czarny płaszcz napastnika.

Rękojeść uderzyła ponownie.

Kolana się pod nią ugięły i upadła, odwracając się od niewidocznego napastnika. Jej pole widzenia bardzo się zwężyło, ale w odległości piętnastu metrów, na pomoście magistrali zobaczyła drobną Jedi wchodzącą przez otwarty panel. Kobieta zapaliła miecz świetlny, po czym przeskoczyła nad barierką pomostu z rozwianymi włosami i wirującą fioletową klingą. Vestara zrozumiała, że bitwa dopiero się zaczyna.

Właśnie zjawiała się Jaina Solo, Miecz Jedi.

## **ROZDZIAŁ 10**

Rozgałęziona błyskawica Mocy przemknęła obok wirującego ciała JAINY tak blisko, że jej zar przeniknął cienką molyteksową zbroję, noszoną pod szatami. Wykonała kolejny obrót, a jej nadgarstki wygięły się niemal same z siebie, nadstawiając miecz świetlny, żeby odbić następną wiązkę. Wyczuła pod sobą zbliżającą się podłogę. Rąbnęła w nią z taką siłą, że durastalowa krata zatrzęsała się pod jej nogami, a tuzin postaci w ciemnych płaszczach odwróciło się twarzą do niej.

Ich wytrzeszczone oczy zdradzały konsternację i zaniepokojenie widokiem Rycerza Jedi, który z własnej woli rzuca się w sam środek hordy Sithów.

Jaina nie miała pojęcia, jak to się mogło stać, że misja tak błyskawicznie przybrała zły obrót. Sithowie byli wszędzie. Wyłazili spod kratowanej podłogi, wypadali z rur, wyskakiwali pomiędzy filtrów i pomp. Najwyraźniej Jedi wpadli w zasadzkę, a zamiast planu bitwy nastąpił

chaos.

Żaden problem. Jaina świetnie odnajdywała się w chaosie. W takich sytuacjach sama stawała się chaosem.

Przeskoczyła nad klingą wymierzoną w jej nogi i powaliła napastnika szybkim kopniakiem w skroń. Sparowała cios wycelowany w jej szyję i, wciąż jeszcze w powietrzu, przeszła w salto.

Puściła jedną ręką miecz świetlny i zatoczyła nią łuk, wykorzystując Moc, żeby zwalić z nóg kolejnych dwóch Sithów. Lądując między nimi, stanęła jednemu na gardle, drugiemu zaś przebiła pierś mieczem świetlnym. Potem wyciągnęła ze swojej bojowej uprząży granat udarowy i

aktywowała go kciukiem.

Rzuciła granat pod nogi i zaczęła odliczać. Jeden.

Walka przycichła. Wszystkie oczy zwróciły się na granat, dostrzegły brak zawleczonej i mrugające czerwone światełko. Sithowie popatrzyli na Jainę szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, po czym rzucili się do ucieczki, próbując wydostać się z pola rażenia.

Jaina doliczyła do dwóch, przytrzymała granat czubkiem buta i kopnęła go w kierunku brakującego fragmentu kraty, skąd wyłaniała się kolejna grupa Sithów.

Potem doliczyła do trzech i rzuciła się na podłogę.

Wybuch uderzył w nią jak autobus repulsorowy. Potoczyła się po podłodze. Kawałki ciał i durastali fruwały nad nią w powietrzu. Jaina nie rozumiała, dlaczego Sithowie tak szybko uruchomili pułapkę. Przeważająca część sił Jedi nie dotarła jeszcze nawet do strefy walk, a chociaż w pomieszczeniu znajdowały się już dziesiątki Sithów, wydawali się oni prawie tak samo zaskoczeni i źle rozmieszczeni jak ich przeciwnicy. Być może to Luke zmusił ich do przyspieszenia działań, a może od początku był ich prawdziwym celem. Może aż tak bardzo bali się Luke'a Skywalkera.

A to był błąd.

To nie Luke Skywalker był Mieczem Jedi, tylko Jaina. A teraz Sithowie znaleźli się z nią w zamkniętej Świątyni.

Jaina przestała się turlać i uniosła głowę, żeby wybrać następny cel. Pomieszczenie było zaważone powywracanym sprzętem i odciętymi rurami, a gęszcz blasterowych wiązek i kolorowych smug kreślonych przez klingi nie pozwalał jej niczego dostrzec wyraźnie. Podłogę zaścieniały ciała.

Niektóre leżały nieruchomo, większość jednak wiała się w agonii. Wiele twarzy rozpoznawała - to byli Jedi. Jej droid, Drab, zdołał wydostać się z kapsuły i zejść po schodach z pomostu. Zmierzał

teraz w kierunku interfejsu komputera w głębi pomieszczenia, skąd zgodnie z pierwotnym planem miał się połączyć z centralnym komputerem Świątyni, kazać mu wyłączyć pole ochronne i otworzyć pancerne wrota.

Z boku, pomiędzy mieszarką flokulacyjną a zbiornikiem sedymentacyjnym, leżała nieprzytomna Vestara. Nad nią stał wysoki, szczupły Lord Sithów w czarnej zbroi i czarnym płaszczu. Mówił coś do laryngofonu, wykrzywiając wąskie usta w szyderycznym uśmiechu. Luke'a ani Mistrza Horna nie było nigdzie widać, za to Valin i Jysella stali na wąskiej rurze trzy metry nad podłogą i walczyli zwróceniu do siebie plecami.

A Ben... Ben najwyraźniej myślał, że jest niezwyciężony. Pomagając sobie Mocą, koziółkował w powietrzu w kierunku Vestary, uchylając się przed wiązkami blasterowymi i błyskawicami Mocy, bez miecza świetlnego do osłony. Wyciągnął rękę i zaczepił się łokciem o wąską rurę, która przecinała pomieszczenie na wysokości dwóch metrów, a potem pozwolił, żeby siła pędu posłała go w dół, w samą porę, żeby uniknąć błękitnej błyskawicy Mocy. Zatoczył koło wokół rury i jedną ręką

posłał podmuch Mocy w kierunku kobiety, która go zaatakowała. Kobieta odfrunęła w mrok, a Ben puścił rurę i pomknął, koziołkując w powietrzu, aż zniknął za zbiornikiem osadowym.

Trójka Sithów wskoczyła już na rurę, żeby zająć miejsce kobiety, a Jaina wybrała swoje następne ofiary. Posługując się Mocą, poderwała się z kratowanej podłogi... i była jeszcze w powietrzu, kiedy przeciwnicy wyczuli niebezpieczeństwo. Ich przywódczyni - jeszcze jedna kobieta o długich rudych włosach - zeskoczyła z rury i ruszyła w pogoń za Benem. Dwóch mężczyzn -

jeden z ciemną brodą, a drugi gładko ogolony - odwróciło się, żeby się bronić.

Jednak miecz świetlny Jaina już opadał, odcinając Ciemnobrodemu rękę na wysokości łokcia. Użyła Mocy, żeby posłać kończynę razem z mieczem świetlnym w kierunku Bena, wtedy dostrzegła szkarłatny łuk klingi Kwadratowej Szczęki, zmierzający w stronę jej nogi. Skierowała własną broń w dół, żeby zablokować atak... ale zanim zdążyła przygwoździć własną stopę do podłoża przy użyciu Mocy, poczuła, że ześlizguje się z rury, i runęła w dół. Jeden z Sithów wył z bólu pod nią, drugi zaś skakał za nią z góry.

Chaos.

Jaina odepchnęła się w Mocy, posyłając Kwadratową Szczękę w przeciwnym kierunku - z powrotem na rurę. Spadając na Ciemnobrodego, wbiła mu łokieć w żebra, a tyłem głowy rąbnęła go w twarz. Poczula, jak pęka mu nos, po czym przeturlała się na bok.

Kwadratowa Szczęka znów zaczął spadać w jej stronę. Zmrużył oczy, widząc, że Jaina wyciąga rękę z mieczem świetlnym, sięgając końcem klingi najwyżej jak się da. Nadstawił własną broń, żeby sparować jej cios, ale Jaina obróciła go przy użyciu Mocy, uniemożliwiając mu obronę.

Koniec jej miecza świetlnego trafił Sitha pod łopatkę. Mężczyzna zsunął się po klindze i wylądował na Jainie, ciężki i bezwładny jak worek żwiru. Jaina stęknęła z bólu. Odniosła wrażenie, jakby stanął na niej rankor, nie miała jednak czasu się zastanawiać, czy ma połamane żebra.

Wyłączyła miecz świetlny i, wzmacniając swoją siłę Mocą, zrzuciła z siebie ciało.

Srebrzysta krzywizna szklanego paranga frunęła już ku niej od pasa Ciemnobrodego, trzymana w niewidzialnym uścisku Mocy. Jaina włączyła ponownie miecz świetlny, żeby zatrzymać lecącą broń - i rozcięła ją na pół, ledwie zmieniając jej trajektorię. Dwie połówki przemknęły obok jej twarzy tak blisko, że otarły się o policzek, zanim roztrzaskały się o kratowaną podłogę.

Jaina wbiła miecz świetlny w tułów Sitha. Smród zwęglonej skóry stał się nie do zniesienia i tylko adrenalina pozwalała Jainie powstrzymać odruch wymiotny. Zerwała się na równe nogi i popędziła za rudowłosą kobietą, która chciała zaatakować Bena.

Niepotrzebnie się jednak martwiła. Ben złapał miecz świetlny, który Jaina rzuciła w jego stronę, i za jego pomocą nacierał teraz na Rudowłosą, wykorzystując swoją siłę i szybkość. Jaina wyciągnęła rękę i trafiła Sithankę pchnięciem Mocy, posyłając ją prosto na miecz świetlny Bena.

Ben się zachwiał, lecz szybko wykończył kobietę, rozcinając jej tułów. Rudowłosa zsunęła się z klingi, upadła na kolana, a potem runęła do tyłu. Ben odkopnął jej broń na bok i uniósł

szkarłatną klingę w geście pozdrowienia.

- Dzięki - powiedział.

- Do usług - odparła Jaina. Wskazała na wąskie przejście między dwoma pobliskimi zbiornikami osadowymi. - Chodźmy.

Ben odwrócił się w przeciwnym kierunku.

- Oni mają Vestarę.

Mówił coś jeszcze, ale Jaina przestała słuchać, kiedy wysoka postać w ciemnym płaszczu zeskoczyła na zbiornik ewaporacyjny za jego plecami. Zanim Sith zdążył podnieść rękę, żeby przypuścić atak Mocą, Jaina skoczyła kuzynowi na pomoc.

Ben także musiał wyczuć niebezpieczeństwo, bo sam już był w ruchu. Odwrócił się i zderzyli się ramionami; potem powietrze rozdarł ogłuszający trzask i Jaina pofrunęła do tyłu, porwana przez błyskawicę Mocy. Wpadła na zbiornik osadowy i tkwiła tak, przygwożdżona do niego, sparaliżowana, z zaciśniętymi zębami, aż Ben wetknął swój szkarłatny miecz świetlny w tańczące wiązki energii.

Jaina upadła na kolana, drżąca i generalnie bezużyteczna. Napastnik pozwolił, żeby jego błyskawica Mocy wygasła, i sięgnął po miecz świetlny, jednak ona chwyciła go już Mocą i strąciła ze zbiornika. Sith krzyczał jeszcze w szoku, kiedy jej kuzyn go wykończył.

Ben rozejrzał się, wypatrując innych napastników, ale bitwa przeszła z fazy krwawej jatki w stadium cichej śmierci i na widoku nie było już żadnych Sithów. Nawet bitewny zgiełk ucichł, ograniczając się tylko do sporadycznych krzyków i trzasków.

Ben podszedł do Jainy.

- Nic ci nie jest?

- A dlaczego miałyby coś być?

Jaina spróbowała wstać, ale drżące nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Wyciągnęła rękę po pomoc i całe jej ramię ogarnął palący ból, jakiego nigdy wcześniej nie czuła.

- Nogi tylko trochę mi się trzęsą - dodała. - Pomóż mi wstać.

Ben ją podniósł i rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku zbiornika, gdzie po raz ostatni widzieli Vestarę. Jej porywacz schował się głębiej, ale jedną z nóg Vestary widać było wciąż pod ścianą mieszalni.



- Zaczekaj, Ben. - Jaina objęła Bena w pasie, chwyciła go za połą płaszcz i oparła się na nim trochę mocniej, niż musiała. - Nie pomożesz jej, dając się zabić.

- Kto niby da się zabić?

- A jak myślisz? - zapytała Jaina. - Oni mają przewagę liczebną dziesięć do jednego, a ten facet z Vestarą sprawia wrażenie, jakby tu dowodził.

- I co z tego?

- To, że musi być co najmniej Lordem, a może nawet Arcylordem - zauważyła Jaina, uświadamiając sobie, że jej cel się zmienił: z zabijania wroga na uchronienie Bena przed zabiciem przez wroga. Bitwy bywały nieprzewidywalne. - Naprawdę jesteś gotów ruszyć na Arcylorda Sithów? Boja nie, zwłaszcza kiedy to on ma w ręku wszystkie atuty.

Ben westchnął, ale w dalszym ciągu zerkał w stronę zbiornika.

- A gdyby chodziło o Jaga? - spytał. - Zostawiłabyś go tak?

Oczywiście miał rację. Gdyby tam był Jagged Fel, Jaina nie traciłaby czasu na gadanie.

Zmierzałyby już w kierunku mieszalni, żeby go uratować - albo zginąć.

Ale nie chodziło o Jaga, tylko o Sithankę, która zdradziła Bena już z pół tuzina razy, która od miesięcy starała się zdobyć zaufanie Skywalkerów i która być może czekała na szansę taką jak ta, żeby zadać druzgocący cios całemu Zakonowi Jedi. Niestety, Jaina nie mogła tego wszystkiego powiedzieć Benowi. Był zakochanym nastolatkiem, a zakochani nastolatki nie chcą słyszeć, że ich ukochana może być podstępna, obłudna zabójczynią.

Chaos.

- Masz trochę racji - przyznała Jaina, udając, że rozważa jego argumenty. - Ale gdyby tam był Jag, to on chciałby, żebym zachowała się rozsądnie, a nie dała się zabić, podejmując beznadziejną próbę odbicia go.

Odwróciła się, próbując skłonić Bena do skierowania się w przeciwną stronę. Chłopak jednak się nie ruszał.

- Nie pytałem, co Jag by zrobił. Pytałem, co ty byś zrobiła. - Spróbował się uwolnić z jej uchwytu, jednak ona zacisnęła mocno rękę i pociągnęła go do siebie. Ben nachmurzył się i dodał: -

Myślałem, że nie możesz ustać na nogach.

- Już mi lepiej - zapewniła Jaina, chwytając przez płaszcz jego molyteksową zbroję. - I cokolwiek bym zrobiła, na pewno postąpiłabym rozsądnie. A na pewno nie rzuciłabym się do ataku bez żadnego planu i nie pozwoliła, żeby ktoś dał się zabić razem ze mną.

Ben zmarszczył brwi.

- Nie proszę cię, żebyś ze mną szła.

- Jasne - parsknęła Jaina. - A jak niby miałabym to wytłumaczyć twojemu ojcu? Powiedzieć mu, że nie poprosiłeś mnie, żebym wpakowała się razem z tobą w oczywistą pułapkę?

Ben przestał się szarpać i Jaina już wiedziała, że go zagięła. Z pewnością był gotów poświęcić własne życie dla przegranej sprawy, ale nie pociągnąłby jej za sobą.

- Pułapkę? - powtórzył.

- Zastanów się, Ben. Dowódca Sithów sam jeden i Vestara leżąca nieprzytomna u jego stóp?

To zbyt wielka pokusa. On chce, żebyś za nią ruszył. - Jaina pociągnęła go w stronę zaokrąglonej ściany zbiornika na ścieki. - Chodź. Musimy znaleźć pozostałych i się przegrupować. Potem zastanowimy się, jak uratować Vestarę.

Ben z ociąganiem poszedł za nią.

- Lepiej, żebyś mówiła poważnie, Jaina. Bo ja nie zamierzam jej zostawić.

- Ben, nie mogę ci obiecać, że ją uratujemy - stwierdziła Jaina. - Sam to wiesz. Ale zrobimy co w naszej mocy, w porządku? Tylko musimy to zrobić sprytnie.

Uważając, żeby nie wychylać się zza zbiornika, przekradli się na drugą stronę i znaleźli przed metalową drabinką przymocowaną do dużej rury, która wznosiła się w górę i niknęła w ciemności. Pomiędzy drabinką a ścianą pomieszczenia, jakieś osiem metrów nad ich głowami, rozciągała się wąska kładka. Na jej bliższym końcu klęczały dwie postacie w czarnych płaszczach.

Jedna z nich trzymała długolufową wersję verpińskiego karabinku rozpryskowego, a druga miała na sobie gogle z noktowizorem. Zbiornik na ścieki zasłaniał im miejsce, które opuścili właśnie Jaina i Ben, ale obaj Sithowie obserwowali pole bitwy na wprost wciąż nieruchomych nóg Vestary.

Jaina obejrzała się i stwierdziła, że Ben zbladł. Niewątpliwie wiedział, co widzi -

stanowisko snajperskie, przygotowane, żeby zaatakować każdego, kto spróbuje zbliżyć się do Vestary. Jaina zaczęła wyjmować granat odłamkowy ze swojego pasa bojowego, ale Ben dotknął

jej ręki i pokręcił głową, dając znak, żeby iść dalej. Wiedział równie dobrze jak ona, że likwidacja jednego stanowiska snajperskiego nie zneutralizuje raczej pułapki Sithów. A nawet jeśli, to gdy tylko porywacz Vestary zauważy, co się stało, Vestara zamieni się z przynęty w kulę u nogi i prawdopodobieństwo jej zabicia wzrośnie dziesięciokrotnie. Jeśli chcieli odzyskać Vestarę żywą, potrzebowali planu - i teraz Ben także to rozumiał.

Jaina dała znak kuzynowi, żeby poszedł za nią, po czym odsunęła się od zbiornika osadowego i zaczęła posuwać się w głąb pomieszczenia. Chcąc ocalić siebie i Vestarę, musieli odwrócić czymś

uwagę Sithów. Najlepszym sposobem na to byłoby wypełnienie zadania i otworzenie drzwi Świątyni. W tym celu musieli znaleźć droida Jainy, Draba, i podłączyć go do panelu interfejsu komputera - a potem chronić go wystarczająco długo, żeby zdołał przekonać komputer Świątyni do unieważnienia komendy zamknięcia.

Ich oczom ukazała się stacja interfejsu. Był to szeroki na metr panel z monitorem i klawiaturą, umieszczonymi nad rzędem dostępnych dla droidów złączy danych oraz dwoma rzędami światełek po jednej ze stron. Większość światełek w kolorach od czerwonego do żółtego świeciła lub mrugała, jednak na monitorze nie było nic, co by wskazywało, że Drab skontaktował

się już z komputerem Świątyni.

- Przynajmniej jest już włączona - zauważył Ben. - Teraz musimy tylko...

Urwał nagle, gdy pomieszczenie rozświetlił jaskrawy błysk. Powietrze wypełnił ogłuszający trzask detonatora termicznego, a wokół zrobiło się natychmiast zimno i wilgotno. Potem kratowana podłoga zaczęła wibrować pod ich stopami, a ze strony pomostu dobiegł stłumiony huk wodospadu.

Schowali się za pompą motorową i ostrożnie wychylili głowy.

W miejscu, gdzie wcześniej był pomost, strzelał w górę szeroki na dwa metry słup wody.

Chaos.

- Koniec z posiłkami - zauważył Ben. - Taki wyłom spowoduje zamknięcie wszystkich wrót.

Jaina pokiwała głową.

- No i dobrze - stwierdziła. - I tak nie możemy ściągnąć tu wystarczająco dużo Jedi, żeby zniwelować ich przewagę, a większe siły byłoby łatwiej zlokalizować.

Gdy to mówiła, po plecach przeszedł jej dreszcz niepokoju. Chwyciła Bena za kołnierz i ponownie się schowała. Usłyszała skwierczenie jego miecza świetlnego, budzącego się do życia.

Sama także włączyła swoją broń i ledwie zdążyła ją nadstawić, żeby zatrzymać lecącą ku niej rozwidloną błyskawicę Mocy. Na drugim jej końcu stała Keshiri o lawendowej skórze w otoczeniu Sithów rasy ludzkiej - po sześciu z każdej strony. Wszyscy jednocześnie zapalili swoje szkarłatne klingi i zaczęli ustawiać się w półkole, odbierając dwójce Jedi wszelką nadzieję na przebicie się.

- Idź swoją drogą, Ben - rozkazała Jaina, wciąż próbując powstrzymać błyskawicę Mocy. -

Już!

- Nie mogę! - odparł Ben. - Mamy tu tuzin Sithów.

Staął tyłem do Jainy, tak że stykał się z nią plecami, ona jednak wcale nie miała ochoty stawać do walki. Zerknęła na pompę i widząc, że ciągle działa, wpadła na inny pomysł.

- Ben, za mną!

Zanim Jaina zdążyła wypowiedzieć te słowa, trzy szklane parangi leciały już w jej stronę.

Wysłała myśli w kierunku Bena, żeby wyczuł jej zamiary, po czym rzuciła się ku dwudziestocentymetrowej rurze, która wystawała z jej strony pompy.

Gdy tylko opuściła klingę, błyskawica Mocy trafiła ją w nogę i poderwała do góry.

Koncentrując się na tym, żeby nie wypuścić z dłoni rękojeści, Jaina przecięła rurę w miejscu, gdzie zakrecała w stronę podłogi.

Woda wystrzeliła we wszystkie strony, a błyskawica Mocy wygasła. Ben przemknął obok kuzynki pośród brzęku roztrzaskujących się parangów. Jaina odwróciła się i uniosła klingę nad głowę. Ponownie przecięła rurę, tym razem bliżej miejsca, w którym łączyła się z obudową pompy.

Strumień wody grubości nogi Jainy wyrwał długi na metr fragment rury, który pofrunął, wirując, w kierunku Keshiri.

Z drugiej strony pompy rozległ się potężny huk dwóch wybuchających granatów, zwiastujący, że Ben także nie próżnuje. Nagle całym ciałem Jainy wstrząsnął dreszcz niepokoju.

Wołając Bena, poderwała się na równe nogi i wykonała serię wspomaganych Mocą skoków, kierując się wzdłuż słupa wody w stronę pierwszego napastnika.

Keshiri zdołała zmienić tor lecącej na nią rury, jednak z trudem utrzymując równowagę w strumieniu wody, nie mogła się obronić. Mijając ją, Jaina ucięła przeciwniczkę głowę, ale zaraz poczuła niewidzialny cios fali uderzeniowej granatu, zdetonowanego przez Sithów w pobliżu pompy.

Zaczęła koziółkować w powietrzu w całkowicie niekontrolowany sposób. Bolały ją uszy i kręciło jej się w głowie. Wreszcie spadła na biodro i poczuła rwący ból w nodze. Cały czas się turlała, przewracając to na bok, to na plecy, aż w końcu wpadła na zakrzywioną ścianę jakiegoś zbiornika osadowego.

Wciąż próbowała odzyskać orientację - i znaleźć Bena - kiedy poczuła, jak coś odbija się od ściany zbiornika, tuż obok jej głowy. Odwróciła się i przykucnęła, szukając napastnika. Na podłodze obok niej błysnęła iskra, a w kracie pojawiło się wgniecenie.

Karabinek rozpryskowy.

Jaina znów się przetoczyła, ale tym razem zaraz się podniosła ze wzrokiem skierowanym na stanowisko snajperskie. Lufa karabinku rozpryskowego obróciła się w jej stronę.

Gdzie jest Ben?

Jaina wykonała salto do tyłu, wyciągając rękę, i poczuła świst przelatującego pod nią pocisku.

Snajper był niezły.

Jaina odwróciła się ponownie i zobaczyła, że lufa podąża jej śladem, jednak tym razem to Sith był zbyt wolny. Chwyciła karabinek rozpryskowy Mocą i pociągnęła gwałtownie. Snajper poleciał do przodu i razem ze swoją bronią spadł do znajdującego się w dole zbiornika na ścieki.

Jaina nie miała czasu na szukanie kuzyna. W jej stronę nacierała ściana Sithów. Szkarłatne klingi tańczyły w ich rękach. W nadziei na znalezienie jakiejś wskazówki na temat tego, co stało się z Benem, zanurzyła się w Mocy. Przykucnęła za zbiornikiem osadowym i poczuła, jak Luke wysyła ku niej myśli, ponaglając ją, żeby opuściła swoją kryjówkę i skierowała się w stronę panelu interfejsu.

Wciąż jednak nigdzie nie było śladu Bena.

Jaina zatrzymała się na chwilę, żeby rzucić jeszcze jedno spojrzenie w kierunku pompy motorowej. Pół tuzina szklanych kling pofrunęło ku niej. Odepchnęła je na bok podmuchem Mocy, po czym odwróciła się i popędziła w stronę panelu interfejsu, uchylając się przed błyskawicami Mocy i blasterowymi wiązkami.

Kiedy znalazła się o krok od panelu, pozostały jej tylko dwie możliwości - mogła skierować się w prawo, w stronę głównych drzwi, lub w lewo, wąskim korytarzem serwisowym z rzędami aparatury po obu stronach. Poczuła, jak Luke ciągnie ją w lewo, więc ruszyła korytarzem tak wąskim, że nie miałyby chyba szansy na wykonanie w nim jakiegokolwiek uniku.

Zdążyła zrobić zaledwie trzy kroki, kiedy poczuła na plecach lodowaty dreszcz niepokoju.

Rzuciła się na brzuch i poczuła żar blasterowych strzałów, które przemknęły ponad nią. Przetoczyła się na plecy i zobaczyła Bena, który zmierzał ku niej, koziółkując w powietrzu, najwyżej trzy kroki przed Sithem, który otworzył ogień.

Jaina poderwała się, wykorzystując Moc, żeby przeskoczyć nad Benem. Zapaliła miecz świetlny i ledwie zdążyła zablokować klingą błyskawicę Mocy. Krzyknęła do Bena, żeby się nie zatrzymywał, a sama ruszyła na przeciwnika.

Znów poczuła w Mocy dotyk Luke'a, który delikatnie ciągnął ją w głąb korytarza. Wycofała się najszybciej, jak tylko mogła, biegnąc tyłem i przywierając plecami do rzędów aparatury za każdym razem, gdy nadlatywały blasterowe wiązki i rzucone przy użyciu Mocy parangi.

Korytarz łączył się z niewielkim schowkiem, zawalonym stertami ogromnych zapasowych zaworów i fragmentów rur w większości o średnicy powyżej metra. Luke cały czas przyciągał

Jainę, więc cofała się, wykonując uniki, a po chwili znalazła się o krok od ściany, tuż obok Bena.

Byli w potrzasku, bez szans na ucieczkę.

Nagle zza sterty zaworów wyłonili się Luke i Corran Horn. Zapalili miecze świetlne i ruszyli naprzód, odbijając wiązki w kierunku napastników. Sithowie, zamiast rzucić się od razu do ataku, znów zaczęli się rozpraszać, chcąc otoczyć Jedi i zaatakować ze wszystkich stron jednocześnie.

Jaina zerknęła na dwóch Mistrzów Jedi. Obserwowali Sithów z bardzo zadowolonymi minami.

- Dzięki za przybycie - przywitał ich Luke wzmocnionym Mocą głosem. - Jestem Luke Skywalker, Wielki Mistrz Zakonu Jedi. I powiem to tylko raz: rzućcie broń.

Większość Sithów sprawiała wrażenie skonsternowanych lub zaniepokojonych, ale ten, który wyglądał na ich dowódcę - krępy blondyn z ostro zakończoną bródką - łypnął na niego z jawną nienawiścią.

- Nie obchodzi mnie, kim jesteś. - Uniósł rękę, żeby dać pozostałym sygnał do ataku. - Nie możesz być aż tak dobry.

- Spodziewałem się takiej odpowiedzi - odparł Luke.

Spojrzał w ciemność nad głowami wrogów, czym wywołał pogardliwe prychnięcie ze strony Sitha.

- Daj spokój, Mistrzu Skywalker - powiedział. - Jeśli to wszystko, na co...

Urwał nagle, gdy z mroku korytarza wypadły dwie postacie w ciemnych molyteksowych zbrojach. Za plecami Sithów rozległ się syk zapalanych mieczy świetlnych, a zaraz potem okrzyki bólu i zaskoczenia.

Jaina nie czekała, aż Luke wyda rozkaz ataku. Skoczyła po prostu do przodu, ciskając przy użyciu Mocy najbliższego Sitha na tego, który stał za nim; potem wyprowadziła z ręki wściekłe cięcie, które przeciwnik pomimo zaskoczenia zdołał sparować. Splunął Jainie w oczy w rozpaczliwej próbie oślepienia jej, a potem, gdy się odchyliła, kopnął ją kolaniem w żebra z taką siłą, że aż się zachwiała.

Kiedy przeniósł ciężar ciała, żeby odzyskać równowagę, Jaina chwyciła go za kostkę i pociągnęła. Sith upadł na bok; próbował się obrócić, tak żeby móc osłonić się mieczem świetlnym.

Jaina postawiła nogę na jego biodrze, przyciskając go twarzą do podłogi. Równocześnie uniosła miecz świetlny, żeby zablokować cios ciemnowłosej kobiety, która zajęła miejsce plującego. Stojąc wciąż na plecach Sitha, obróciła się i wyrzuciła w bok nogę, którą trafiła kobietę w podbródek. Poczula ostry trzask pękających kości szczęki, a Sithanka poleciała do tyłu.

Nie tracąc nawet czasu na opuszczenie nogi, Jaina skierowała miecz świetlny do dołu i przebiła nim mężczyznę, na którym stała. Powierciła klingą, żeby się upewnić, że Sith na dobre zakończył walkę, po czym odwróciła się ponownie w stronę ciemnowłosej kobiety.

W mostku tkwił już niebieski miecz świetlny, który przesunął się w kierunku biodra.

Cierpienie w oczach Sithanki powoli zamieniło się w pustkę, a potem kobieta runęła jak kłoda na podłogę. Za nią ramię w ramię z Valinem stała Jysella, spoglądając na zwłoki z mieszaniną przerażenia i ulgi.

Jaina skinęła z uznaniem głową. Odwróciła się, żeby zająć się kolejnym przeciwnikiem... i zobaczyła

zmierzającego w jej stronę Luke'a. Miecz świetlny miał już wyłączony, a wyraz twarzy tak spokojny, jakby walka z trzykrotnie większymi siłami Sithów była dla niego tylko formą medytacji. Tuż za nim szedł Ben. Młodzieniec wyglądał na oniemiałego z wrażenia, ale krew na jego ubraniu wskazywała, że sam także nie próżnował.

Z przeciwnej strony nadchodził Corran. Nos miał zmarszczony od smrodu śmierci, jednak wydawał się nie bardziej zmartwiony niż Luke. Jaina także wyłączyła miecz świetlny i odwróciła się z powrotem w kierunku Valina i Jyselli, którzy musieli wyciąć sobie drogę przez co najmniej czterech Sithów, zanim do niej dołączyli.

- Dobra robota - pochwaliła Jaina. - Nawet ja was nie wyczułam.

Jysella się uśmiechnęła.

- Łatwo jest się ukryć, kiedy wróg koncentruje się na tobie, tacie i Mistrzu Skywalkerze.

- Wcale nie tak łatwo - zaprotestował Luke. - Dobrze się spisaliście. Oboje.

Valin uśmiechnął się promiennie, ale w oddali słychać już było zmierzające ku nim kroki.

Kolejni Sithowie.

- Lepiej się zbierajmy - zasugerował Luke. - Sądząc po zachowaniu Draba, nie będzie na nas czekał.

Jaina uniosła brew.

- Widzieliście Draba?

Luke pokiwał głową i gestem pokierował ich w głąb schowka.

- Zdołaliśmy utrzymać interfejs komputera na tyle długo, żeby zdążył się dowiedzieć, że został wyłączony.

- Wyłączony? - spytał Ben. - Kiedy go widzieliśmy, wyglądał na włączony.

- Owszem - przyznał Corran. - I chyba wiemy, co to oznacza.

- Mieli czas na zaplanowanie tej zasadzki - stwierdziła Jaina, nie mogąc się powstrzymać od zerknięcia w kierunku Bena. - Mnóstwo czasu.

Ben się nachmurzył.

- Wiem, co myślicie - powiedział. - Ale to nie mogła być Niestara. Ona nawet nie wiedziała, dokąd zmierzamy.

- Skąd wiesz? - zapytał Corran.

- Bo pytała mnie o to, gdy byliśmy w kapsule - wygarnął Ben. - Jakies dwie minuty przed zasadzką.

- Pytania nie zawsze są tym, czym się wydają - zauważył Corran. - Jesteś dostatecznie dobrym śledczym, żeby to rozumieć.

- I jestem dostatecznie dobry, żeby wiedzieć, że przypuszczenia to nie fakty - odparł Ben.

Popatrzył na ojca. - To nie Vestara nas zdradziła. Wiesz o tym.

Luke milczał przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Wiem tylko tyle, że ścigamy Wielkiego Lorda Sithów. Wydaje nam się, że coś wiemy, ale najprawdopodobniej tylko się oszukujemy. - Gdy to mówił, z drugiego końca korytarza dobiegły stłumione głosy Sithów. - Później będziemy się tym martwić. Na razie musimy ruszać dalej.

Skinął na Corrana i Valina i obaj Hornowie szybko usunęli spod ściany dwumetrową stertę zaworów i kolanek. Za nią, na końcu krótkiego korytarzyka, zobaczyli wolno stojący szyb windy, który u góry niknął w ciemności. W ścianie szybu wycięto prymitywne, wysokie na jakieś półtora metra wejście, za którym widać było przejeżdżające sporadycznie pojemniki, skrzynie i miękkie worki. Obok otworu stał Drab, kołyszając się i piszcząc niecierpliwie.

- Winda towarowa? - spytała Jaina.

- Drab sądzi, że dostaniemy się nią do kolejnej stacji interfejsu - wyjaśnił Corran, spoglądając na Jainę. - W każdym razie zakładam, że to dlatego kazał nam wyciąć ten wielki otwór.

Drab zaczął potakująco, a głosy zbliżających się Sithów stały się głośniejsze i bardziej nagłące. Chwilę później w schowku zaczęły świstać pierwsze blasterowe wiązki, odbijając się od fragmentów rur i aparatury.

- Lepsze to niż zostać tutaj - stwierdziła Jaina. Obawiając się, że Ben może zrobić coś głupiego, odwróciła się w jego stronę i zobaczyła, że chłopiec patrzy w kierunku korytarza. - Ben...

- Wiem - burknął. Jego aura w Mocy zaskwierczała od frustracji i gniewu. Potem machnął ręką, posyłając zawór bezpieczeństwa w kierunku Sithów. - Musimy iść.

## **ROZDZIAŁ 11**

Przywódca Imperium Jagged Fel nie miał pojęcia, w jaki sposób statek zwiadowczy zdołał

prześlizgnąć się przez blokadę. Tysiąc okrętów patrolowych Sienar Sentinel pilnowało wszystkich szlaków, prowadzących na planetę Exodo II. Sześć zgrupowań gwiazdnych niszczycieli stłoczono na obszarze o średnicy zaledwie tysiąca kilometrów. Sto załóg turbo laserów ostrzeliwało skupisko megalitów, które niegdyś tworzyły orbitujący wokół Exodo II księżyc Boreleo, a trzy załogi obsługujące sensory monitorowały każdy metr sześcienny pomiędzy strefą docelową a granicami kordonu. A jednak na monitorze mostka widać było złocisty klin jednostki typu Star Ranger firmy



KDY, jak zapuszcza się w ciemną otchłań między trzema kilometrowej długości fragmentami księżyca.

Najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie tej infiltracji było jednocześnie najbardziej niepokojące - ktoś celowo przepuścił statek. Oblężenie byłej przywódczyni Galaktycznego Sojuszu i niedosłej przywódczyni Imperium, Natasi Daali, trwało już prawie miesiąc i Jag doskonale zdawał sobie sprawę, że jego władza wisi na włosku. Każdy imperialny moff mobilizował swoją prywatną flotę. Doszło już do kilku przygranicznych starć wywołanych przez starych wrogów, którzy, korzystając z nieobecności Jaga, ruszyli na gwiazdne podboje. Szpiedzy Jaga donosili, że ci moffowie, którzy nie atakowali siebie nawzajem, mogli równie dobrze wystąpić przeciwko niemu albo wesprzeć go w walce z Daalą. Nawet imperialnej marynarce nie można było ufać. Jag był

wręcz zmuszony wysłać całe floty w najdalsze zakątki Imperium - z obawy, że ich oficerowie mogliby opowiedzieć się po stronie Lecersena lub Vansyna, a nie prawowitego przywódcy.

A teraz ktoś we flocie macierzystej przepuszczał łamacze blokad przez kordon. Jag nie miał

wątpliwości, że są to posłańcy wiozący oferty pomocy, które Daala i Lecersen chętnie przyjmą, niezależnie od tego, co będą musieli obiecać w zamian. Wiedział, że jeśli szybko nie stłumi tego powstania, wkrótce będzie miał na głowie wojnę domową, a może nawet coś gorszego. Moffowie zwrócą się przeciwko sobie, a Imperium pogrąży się w anarchii.

Podczas gdy Jag rozmyślał o trudnościach wiążących się z utrzymaniem jedności Imperium, na monitorze błysnął tuzin turbolaserowych wiązek wymierzonych w Star Rangera, który wleciał

właśnie pomiędzy szczątki Boreleo. Wszędzie dookoła zaczęły fruwać kamienie, a potem ekran zrobił się cały biały i Star Ranger zniknął, zanim można się było zorientować, czy mały statek zwiadowczy został zniszczony.

Jag czekał, wpatrując się w ekran. Po paru sekundach, gdy obraz nie powrócił, spojrzał na dowódcę grupy operacyjnej, admirała Vitora Reige'a, i uniósł wyczekująco brew.

- Każę jak najszybciej przygotować raport.

Reige, wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o haczykowatym nosie i przenikliwych błękitnych oczach, rzucił spojrzenie w kierunku swojego adiutanta, który ruszył na drugą stronę mostku, żeby przekazać polecenie kapitanowi „Krasnopłetwina”. Był to irytująco powolny sposób na uzyskanie prostej odpowiedzi, ale w wojsku hierarchia służbowa była najważniejsza.

- Dziękuję, admirale. - Jag był raczej przekonany, że admirał pozostawał lojalny wobec prawowitego przywódcy Imperium. Jednak mentorem Reige'a był sam Gilad Pellaeon i trudno było nie zastanawiać się, jaki wpływ na poglądy admirała mogła mieć przyjaźń między Pellaeonem a Daalą. - Przydałby się też raport na temat systemów obserwacyjnych. Cokolwiek się stało z tym Star Rangerem, bardzo jestem ciekaw, w jaki sposób przedostał się przez naszą blokadę.

- Ja również - przyznał Reige. - W tej chwili jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że statek był

wyposażony w technologie chroniącą przed wykryciem przez sensory.

- Pan wybaczy, admirale... chciałabym, żeby tylko o to chodziło - wtrąciła Tahiri Veila.

Stojąca przy boku Jaga, po przeciwnej stronie niż Reige, Tahiri była nieuzbrojona, a na rękach miała jaskrawoczerwone kajdanki. Wprawdzie Jag był pewien, że Tahiri zamierza dotrzymać obietnicy i odpowiedzieć przed sądem za morderstwo, jednak kajdanki stanowiły wyraźną oznakę jej statusu więźnia imperialnego - i były jej pomysłem. To właśnie na pokładzie tego statku zabiła Gilada Pellaeona. Dlatego też zaproponowała, że będzie nosić kajdany jako wyraz poszanowania dla uczuć Vitora Reige'a i wielu innych, którzy kochali Pellaeona jak własnego ojca. Jak dotąd wydawało się, że ta strategia zdaje egzamin. Nie brakowało wprawdzie krzywych spojrzeń i mamrotanych pod nosem obelg, jednak załoga przyjęła chyba do wiadomości, że Tahiri jest po prostu na zwolnieniu warunkowym do czasu, aż będzie można postawić ją przed sądem.

Po chwili pełnego napięcia milczenia Reige niechętnie zareagował na jej słowa, odwracając głowę w jej stronę.

- Rozumiem, że ma pani inne wytłumaczenie?

- Owszem, Moc - odparła Tahiri. - Wewnątrz rumowiska pojawiła się potężna istota, której wcześniej tu nie wyczuwałam.

- Potężna istota? - zadrwił Reige. - A co to dokładnie oznacza?

- To Sith - stwierdził Jag, starając się nie zwracać uwagi na ucisk, który poczuł w żołądku.

Zwrócił się do Tahiri: - To masz na myśli?

Tahiri zawahała się, nie odrywając wzroku od monitora, na którym w końcu pojawił się normalny obraz. Dwa kilometrowej długości masywy zmieniły się w skupisko rozżarzonych głazów, Star Rangera zaś nie było nigdzie widać.

- Niewątpliwie wyczuwam mrok, ale czy to Sith... - odezwała się wreszcie Tahiri. Jej wzrok powędrował w kierunku przedniego iluminatora, za którym widać było roztrzaskany księżyc, wyglądający jak maleńka kulka płomieni w punkcie zbieżności nieprzerwanych strumieni turbolaserowych strzałów. - Wiem tylko, że to ktoś silny w Mocy. Bardzo silny.

- I wciąż żywy. - Te słowa dobiegły zza pleców Tahiri, gdzie stał chissański adiutant i ochroniarz Jaga, Ashik. - To także wyczuwasz?

Tahiri pokiwała głową.

- Tak.

- Imponujące - zauważył ironicznie Reige. - Mając panią na pokładzie, nie potrzebujemy chyba w ogóle personelu obsługi sensorów.

- Zastanawiałem się nad tym, zanim jeszcze więźniarka się odezwała - oznajmił Jag, przybierając nieco chłodniejszy ton. Potrafił zrozumieć oburzenie Reige'a na to, że Tahiri może poruszać się swobodnie po pokładzie „Krasnopłetwina”, jednak jej zdolności Jedi były w tej chwili zbyt cenne, żeby trzymać ją zamkniętą w brygu; Reige musiał to w końcu zrozumieć. - Gdyby to ona siedziała na stanowisku obsługi sensorów, być może zauważyłaby statek, zanim jego sylwetka pojawiła się na tle rumowiska.

Podczas gdy Jag to mówił, adiutant Reige'a powrócił i wyszeptał coś admirałowi do ucha.

Zdziwienie, jakie odmalowało się na twarzy Reige'a, szybko zmieniło się w wyraz satysfakcji; admirał spojrzał na Jaga niemal wyzywająco.

- Nie sądzę, żeby miało jakieś znaczenie, kto siedział przy sensorach. - Reige wskazał na holopad w kajucie admirała floty w głębi mostku i dodał: - Najwyraźniej Star Ranger wykorzystuje nowy rodzaj technologii zagłuszającej. Mogę to wyjaśnić, jeśli zechcą państwo udać się ze mną.

Gdy Jag i pozostali przeszli do kajuty, urządzenie wyświetlało już taktyczny hologram systemu planetarnego Exodo II. Obraz przedstawiał powłokę z oznaczeniami zaczynającymi się od liter ISS, skrót od Imperial Sienar Sentinel; otaczała ona pokrytą plamami, zielono-czarną kulę. Nie licząc chmur, planeta wyglądała identycznie jak ta, którą Jag widział co noc przez okno swojej kajuty. Siły ekspedycyjne zawieszono na orbicie, po której dawniej krążył księżyc Boreleo, stanowiły plataninę oznaczeń, zbyt gęstą, żeby można było coś z niej odczytać.

Reige skinął głową i jego adiutant wycelował pilotem w holopad. Po chwili krąg mniej więcej trzydziestu symboli ISS pochłonęły zakłócenia.

- Nagranie jest przyspieszone tysiąckrotnie - wyjaśnił Reige. - Każda sekunda to nieco ponad kwadrans w czasie rzeczywistym.

Krąg zakłóceń przez parę chwil się rozszerzał, a następnie zaczął się szybko kurczyć i wydłużać w kierunku przeciwnym do ruchu obrotowego Exodo II. W ciągu trzech sekund - około trzech kwadransów czasu rzeczywistego - krąg zamienił się w krótki, wąski pas, który przemieszczał się wokół planety w kierunku sił ekspedycyjnych.

- Zakłócenia były wynikiem błysku energii, który przemieszczał się tym torem, zakłócając czasowo pracę sensorów - wytłumaczył adiutant Reige'a. - Oficerowie rozpoznania uznali to wówczas za rozbłysk słoneczny i nie przejęli się tym.

- Co było poważnym błędem, którego nie powinni więcej popełnić - wtrącił Jag. Obejrzał się na Tahiri. - Zechcesz nam wyjaśnić, co widzimy?

- Oczywiście. - Tahiri nie odrywała wzroku od hologramu. - To błysk Mocy.

- Błysk Mocy? - powtórzył Reige. - Obawiam się, że będzie pani musiała przybliżyć to pojęcie tym z nas, którzy nie są w zażyłych stosunkach z członkami Zakonu Jedi.

- To technika przeciwinwigilacyjna - odparł Jag, biorąc tłumaczenie na siebie. - Jedi wykorzystują ją do czasowego oślepienia kamer monitoringu i systemów alarmowych. Na nagraniach wygląda to jak drobne zakłócenie.

Tahiri pokiwała głową.

- Właśnie. Ale ten... - Zawiesiła głos, gdy hologram ukazał wewnętrzny kordon blokady, i odwróciła się twarzą do Jaga. - Ten jest bardzo potężny. Nawet Wielki Mistrz Skywalker nie jest tak silny, żeby zneutralizować sensory statku patrolowego z takiej odległości.

- Jeśli próbujesz nas przekonać, że to nie Jedi pilotował tego Star Rangera, to nie ma takiej potrzeby - stwierdził Jag. - Wiem z dobrego źródła, że Jedi lubią teraz Daalę jeszcze mniej niż ja.

To wywołało uprzejme wybuchy śmiechu ze strony oficerów sztabowych.

Tahiri zachowała jednak poważny wyraz twarzy.

- Prawdę mówiąc, chciałam powiedzieć, że pilot nie mógł też być Sithem.

Wskazała na hologram, który pokazywał teraz oznaczenia sześciu niszczycieli i trzydziestu statków eskortowych, rozmieszczonych wokół szczątków księżyca Boreleo. Połowę okrętów przesłaniały zakłócenia.

- Nie mógłby oślepić aż tylu statków.

Jag dostrzegł strach w jej oczach - i odgadł jej myśli.

- No, powiedz to, Tahiri - ponaglił ją. - Admirał Reige musi to wiedzieć.

- Dobrze. - Tahiri przełknęła ślinę i powiedziała: - Sądzę, że znaleźliśmy Abeloth.

## **ROZDZIAŁ 12**

Na zewnątrz „Chimery” szalała nawałnica fruujących megalitów i turbolaserowych strzałów - piekło, które Daala sama rozpętała między kawałkami roztrzaskanego księżyca Boreleo.

Okręt flagowy Vansyna, „Wyvard”, zawieszony zaledwie kilka kilometrów dalej, blokował do połowy stały wylot, wypuszczając kłęby czarnego dymu z otworu, który niegdyś stanowił jego mostek. Z dziur wypalonych w przedniej części jego kadłuba wylewały się długie szeregi ciał i fragmentów statku, a ze szczelin w zapadającej się części środkowej strzelały stumetrowe języki ognia. A mimo to chissańscy sojusznicy Fela wciąż zasypywali martwy kadłub maserowym ogniem, na próżno starając się usunąć go z drogi, żeby móc dostać się przynajmniej do środka rumowiska i zaatakować „Chimerę”.

W tej chwili jednak uwaga Daali nie była skupiona na bitwie. Pani admirał siedziała w swojej kajucie, gdzie na wysuwanym monitorze na końcu stołu konferencyjnego wyświetlano właśnie program Imperialnego Kanału Informacyjnego. Program był z poprzedniego dnia, jednak ze względu

na zakłócanie wszystkich transmisji w okolicach Exodo II przez flotę Fela były to pierwsze wiadomości, jakie udało jej się obejrzeć od blisko miesiąca - od czasu, kiedy schronili się w szczątkach Boreleo.

- ...moffowie korzystają z tej okazji, żeby wyrównać stare porachunki - donosiła inteligentnie wyglądająca kobieta o przydużym nosie.

Jej wizerunek zastąpiła migająca pajęczyna turbolaserowej bitwy w przestrzeni kosmicznej.

- Kiedy moff Garreter zmobilizował swoją flotę, żeby wesprzeć przywódcę Imperium Jaggeda Fela, moff Woolbam spróbował zająć stację Rimcee. Garreter został zmuszony do przerwania sił w celu ochrony integralności swoich terytoriów. Podobna sytuacja panuje w całym Imperium. Moffowie ścierają się w bitwach o graniczne systemy, które były przedmiotem sporów, zanim jeszcze Palpatine został Imperatorem.

Ponownie pojawił się wizerunek prezenterki, a nad jej prawym ramieniem mapa współczesnego Imperium. Podczas gdy kobieta mówiła dalej, na mapce pojawiały się kolejne czerwone punkty.

- W kilkunastu systemach doszło do bitew i inwazji. Imperialne floty musiały interweniować w Pasie Vexty, na Entralli, Dactrurii i Tovarsklu. Na Muunilińście toczy się trójstronna bitwa między siłami lojalnymi wobec Fela oraz moffami Woolbamem i Callronem Młodszym.

Twarz prezenterki powiększyła się, wypełniając cały ekran.

- Niestabilna sytuacja wywołała niepokój na rynkach finansowych we wszystkich sektorach.

Inwestorzy przygotowują się na gwałtowne spadki. Według niepotwierdzonych informacji potężni moffowie kontaktowali się z dwiema flotami Imperialnej Marynarki Wojennej, próbując kupić lojalność ich dowódców.

- Zatrzymaj - powiedziała Daala, przerywając program.

Pokręciła z niedowierzaniem głową, przerażona efektami, jakie przyniósł jej plan wyzwolenia Imperium. Gdyby przewidziała ten pat między nią a Jaggedem Felem, nie próbowałaby go w ogóle odsunąć od władzy. Pozostawienie Imperium w rękach pachołka Jedi nie było dobrym rozwiązaniem, jednak nawet to wydawało się lepsze niż pozwolenie, żeby pograżyło się w anarchii.

A prawdę mówiąc, Daala nie tylko na to pozwoliła - ona sama do tego doprowadziła nieudaną próbą obalenia Fela.

W gruncie rzeczy jednak jej wina polegała jedynie na wybraniu nieodpowiedniego momentu. Fel nie nadawał się po prostu do rządzenia tak dynamiczną cywilizacją, jaką było Imperium. Wcześniej czy później moffowie i tak wyczuliby jego słabość i zaczęli się buntować.

Daala wzięła głęboki oddech i odwróciła się w stronę młodej pilotki Star Rangera, która ryzykowała życie, żeby dostarczyć jej wiadomości.

- To obłęd - stwierdziła Daala. - Imperium stacza się w stronę barbarzyństwa.

- Właśnie. - Młoda kobieta miała wąskie, błękitne oczy i usta, które wydawały się nieco za duże w porównaniu z twarzą. - Dlatego pomyślałam, że powinnam zwrócić się do pani. Utrzymanie jednościi Imperium to zadanie przerastające Fela.

- To nie powinno nikogo dziwić - zauważył Lecersen, siedzący w fotelu obok Daali.

Wyglądał, jakby był bliski załamania. Miał podkrążone oczy, a skórę szarą jak mundur oficera floty. - Tym bardziej musimy znaleźć jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. I to szybko.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, Drikl - odparła Daala, nie odrywając wzroku od młodej pani porucznik.

- Skoro pani porucznik potrafiła wślizgnąć się do tej kupy gruzu, to uważam, że my możemy się z niej wymknąć. - Lecersen wstał. - A im szybciej, tym lepiej. Musimy wziąć sprawy w swoje ręce.

- Co dokładnie chcesz wziąć w swoje ręce? - Daala wciąż przyglądała się Pagorski, zastanawiając się, dlaczego młoda kobieta, która dopiero co została zwolniona z więzienia, ryzykuje życie, żeby przyłączyć się do szczątków osaczonej, mocno przetrzebionej floty. -

Ostateczny upadek Imperium?

- Bynajmniej - upierał się Lecersen. - Mam przyjaciół, wielu przyjaciół. Jak tylko dowiedzą się o mojej ucieczce, przyjdą nam z pomocą.

- Zakładając, że faktycznie uda nam się uciec. - Daala spojrzała Pagorski w oczy. -

Zakładając, że niewiarygodna infiltracja bardzo szczelnej blokady nie jest jedynie wybiegiem porucznik Pagorski, mającym skłonić nas do podjęcia beznadziejnej próby.

Wyraz zaskoczenia, który pojawił się w oczach Pagorski, trwał wystarczająco długo, żeby uwierzyć w jego szczerłość, a po chwili kąciki jej ust uniosły się w pełnym aprobaty uśmiechu.

- Wiedziałam, że słusznie zrobiłam, zwracając się do pani - oceniła. - Nikt nie rozumie działania imperialnego umysłu lepiej niż pani.

- Doceniam pani pochlebstwa, pani porucznik - odparła Daala. - Nie skłonią mnie one jednak do podjęcia nierozsądnej decyzji. Jeśli Fel nie przepuścił pani przez tak szczelną blokadę, to jak pani tego dokonała?

- Czy to nie oczywiste, pani admirał? - odpowiedziała natychmiast Pagorski. - Jagged Fel mnie nie przepuścił. Ktoś inny to zrobił.

Daala uniosła z uznaniem brew, chociaż nie wiedziała jeszcze, czy to opanowanie Pagorski tak jej zaimponowało, czy też jej przedsiębiorczość.

- A czy ten ktoś ma jakieś nazwisko?

- Owszem, ale nie jest to informacja, którą zamierzam się dzielić z przyszłą głównodowodzącą Imperialnej Marynarki Wojennej - oświadczyła Pagorski. - Jest pani kobietą, która ceni w równym stopniu poczucie obowiązku, jak lojalność, a ja nie chciałabym, żeby ten ktoś miał nieprzyjemności z powodu przysługi, jaką mi wyświadczył.

- Oczywiście - powiedziała Daala. Porucznik była mądrzejsza, niż się wydawało, ponieważ Daala tak właśnie potraktowałaby kogoś, kto zdradził swojego dowódcę i statek. - Ale jeśli nie chce nas pani wciągnąć w pułapkę, to po co pani tu przyleciała?

- Żeby złożyć meldunek na temat aktualnej sytuacji - odrzekła po prostu Pagorski. - I właśnie to uczyniłam. Reszta należy do pani. To pani jest admirałem.

- Tak czy inaczej, udało się pani ująć z życiem - zauważył Lecersen. - Zakładam, że planuje pani wydostać się stąd w takim samym stanie.

- Obawiam się, że to nie najlepsze założenie. - Pagorski spojrzała w kierunku głównego iluminatora, gdzie było widać kadłub „Wyvarda”, dryfujący pod nieprzerwanym ostrzałem maserowym. - Jak się pani admirał z pewnością domyśla, moje przybycie nie przeszło niezauważone. Niewykluczone nawet, że ściągnęłam na was pościg, za co przepraszam.

- Proszę sobie nie pochlebiać, pani porucznik - zaproponował Lecersen. - Byłaby pani ostatnim powodem, dla którego Fel nas ściga.

W oczach Pagorski pojawiła się iskierka rozbawienia.

- Doprawdy?

- Z całą pewnością - potwierdził Lecersen. - To chaos panujący w Imperium zmusza go do działania. Fel za wszelką cenę chciałby skupić całą swoją uwagę na moffach.

- Którzy prawdopodobnie odkrawają sobie właśnie kawałki twojego sektora - zauważyła Daala. - I bez wątpienia robią też spustoszenie w całym Imperium.

- Tym bardziej jedno z nas musi się stąd wydostać, żeby opanować sytuację - stwierdził

Lecersen, kierując się w stronę wyjścia. - Wracam na „Twórcę Imperium”, żeby podjąć próbę ucieczki, pani admirał.

Daala pokręciła głową.

- Jeszcze nie. - Nawet gdyby jedno z nich zdołało przeżyć próbę ucieczki i zjednać sobie część pozostałych moffów, spowodowałoby to jedynie zamianę obecnego kryzysu w regularną wojnę domową, a to jeszcze prędzej mogłoby doprowadzić do ostatecznego rozpadu Imperium niż zwycięstwo Daali. - Na to jest zdecydowanie za wcześnie.

- Obawiam się, że podjąłem już decyzję, pani admirał - odparł Lecersen. - Pani także życzę powodzenia.

- Powiedziałam „jeszcze nie”, Drikl. - Rzuciła władcze spojrzenie w kierunku Pagorski i porucznik wyciągnęła blaster tak szybko, że wydawało się, jakby jej ręka w ogóle się nie poruszyła.

Daala przyglądała się jej przez chwilę, po czym odwróciła się z powrotem w stronę Lecersena. -

Może zechcesz dać mi jeszcze pół godziny?

Lecersen patrzył przez chwilę na blaster.

- Jak mógłbym odmówić? - wycedził.

Daala uśmiechnęła się, zadowolona, że nie zmusił jej do zabicia go. Zaczynała dostrzegać szansę w obecnej sytuacji Imperium, a gdyby jej pomysł przerodził się w kompletne rozwiązanie, Lecersen przydałby się jej jako marionetka.

- Dziękuję, moffie Lecersen.

Zanim zdążyła dać mu znak, żeby wrócił na swoje miejsce, przez interkom rozległ się głos kapitana „Chimery”:

- Pani admirał, już czas. Masery zaczynają wypychać „Wyvarda”.

Daala wcisnęła przycisk transmisji.

- Bardzo dobrze, kapitanie. Już idziemy. - Wstała i skinęła na Lecersena i Pagorski, żeby poszli za nią. - Powinniście to zobaczyć.

Wyszła z kajuty na mostek, gdzie wyczuwało się strach i wycieńczenie, i skierowała się na stanowisko dowodzenia. Kapitan „Chimery” stał przy konsolce informacji taktycznych. Z

trzydniowym zarostem i rozbieganymi od nadmiaru kawy oczami obserwował panującą na mostku dyscyplinę.

- Kapitanie Remal, jak wyglądają nasze szanse? - zapytała Daala.

- Zaraz się dowiemy, pani admirał.

Remal wskazał na monitor taktyczny, który ukazywał dziesięciokilometrowy skrawek pustej przestrzeni, otoczony wirującymi głazami. Szczątki przetrzebionej floty Daali były porzucane wokół prowizorycznej reduty. Pośrodku szyku tkwił krążownik „Łapacz Kagów”, którego załoga utrzymywała ich ochronny parasol, ostrożnie operując czterema generatorami studni grawitacyjnych. Okręt flagowy Lecersena, „Twórca Imperium”, był ustawiony wzdłuż tylnej ściany, gotów do desperackiej ucieczki przez stukilometrowy labirynt ruchomych megalitów. Wrak



„Wyvarda” wciąż blokował wejście, przesuwał się powoli do tyłu pod naporem maserowego ognia.

Na monitorze nie było widać dwóch tuzinów mniejszych statków, które na własną rękę operowały w labiryncie, starając się nękać napastników. Daala nie wierzyła wprawdzie, żeby pozwoliło to odeprzeć siły Fela, ale powinien on przynajmniej zapłacić wysoką cenę w statkach i personelu.

Wreszcie „Wyvard” został całkowicie wypchnięty z korytarza. Na monitorze pojawiło się dwadzieścia eskadr gwiazdnych myśliwców. Ich oznaczenia uaktywniały się w miarę, jak myśliwce oddalały się od macierzystych jednostek i ruszały chmarą do obrony reduty. Ledwie dotarły na miejsce, gdy z korytarza zaczęły się wysuwać imperialne eskadry i wejście zniknęło w gąszczu kłębiących się oznaczeń.

- Pani admirał - odezwał się Lecersen. - Naprawdę muszę nalegać, żeby mnie pani zwolniła.

Trzeba zaryzykować i liczyć, że któreś z nas wyjdzie z tego cało.

- A w jaki sposób przysłuży się to Imperium, moffie Lecersen? - spytała Daala.

- Zapewniając osobę, wokół której mogliby się skupić moffowie - odparł Lecersen. - Tak żebyśmy mogli się zorganizować i przejść do kontrataku.

- I zmienić chaos w kataklizm. - Daala pokręciła głową. - Imperium w stanie wojny z samym sobą jest równie słabe jak Imperium pogrążone w anarchii, a mnie nie interesuje rządzenie pustą skorupą.

- Lepiej rządzić pustą skorupą, niż zginąć tutaj - odparował Lecersen.

- Może dla ciebie - odrzekła Daala. - Ale ja zaczynam dostrzegać inną szansę na pokonanie Fela. Taką, która nie doprowadzi do zniszczenia tego, co staram się ocalić.

Gdy to mówiła, maserowy ostrzał rozpoczął się na nowo, wypychając „Wyvarda” jeszcze dalej. Daala przeniosła wzrok z monitora na iluminator. Nie widać już było wraku gwiazdowego niszczyciela, jedynie wysoki słup płomieni sięgający coraz dalej w głąb reduty.

- Więc co pani proponuje? - zapytał Lecersen, nie zwracając uwagi na toczącą się na zewnątrz bitwę. - W tej chwili jedynym sposobem na uniknięcie wojny domowej jest kapitulacja, tak żeby Fel mógł poświęcić całą uwagę moffom. A kapitulacja nie jest w moim stylu.

- Ani w moim - stwierdziła Daala z lekkim roztargnieniem. Odwróciła się w stronę Remala.

- Myślę, że nadszedł już czas. Zgodzi się pan?

Kapitan pokiwał głową.

- Owszem - zgodził się. - Szkoda, że nie mamy danych z sensorów, ale jest tam przynajmniej jeden z chissańskich gwiazdnych niszczycieli. To powinno wystarczyć, żeby ostudzić ich zapal.

- Bardzo dobrze, kapitanie - ucieszyła się Daala. - Może pan przystąpić do operacji

„Zgniatacz”.

- Rozpaczynam operację - potwierdził Remal.

Podczas gdy kapitan łączył się z „Łapaczem Kagów”, Daala powróciła do swojej rozmowy z Lecersenem.

- Mylisz się co do tego, że kapitulacja jest jedynym sposobem na uniknięcie wojny domowej

- powiedziała. - Bardzo się mylisz.

Lecersen zmarszczył brwi, a jego wzrok powędrował w kierunku iluminatora.

- Mam rozumieć, że znalazła pani inny sposób?

- Zawsze jest jakiś inny sposób, Drikl - zapewniła Daala. - Nauczyłam się tego od Jedi.

Gdy to mówiła, na mostku zaczął przybierać na sile ożywiony szmer. Spojrzała ponownie w stronę iluminatora i zobaczyła, że korytarz prowadzący do ich reduity właśnie się zapada. Dwa ogromne megality zbliżały się do siebie, podczas gdy „Łapacz Kagów” wykorzystywał swoje generatory studni grawitacyjnych do wyciągnięcia trzeciego. W miarę jak szczelina się zamykała, maserowy ogień nasilał się coraz bardziej, aż w końcu zniknął w błękitnobiałym błysku, gdy dwa kawały księżyca zetknęły się ze sobą.

Mostkiem wstrząsnęły okrzyki radości, a Daala skinęła z aprobatą głową w kierunku Remala.

- Dobra robota, kapitanie. Ile eskadr nieprzyjacielskich myśliwców uwięziliśmy w środku?

- Prawie dwadzieścia - oznajmił Remal.

- Znakomicie - powiedziała Daala. - Każdy pilot gotów poddać swój statek otrzyma wygodną celę lub stopień oficerski w mojej flocie, do wyboru.

- Tak jest, pani admirał - przytaknął Remal. - A co z tymi, którzy będą woleli walczyć lub zniszczyć własny statek?

- Zostaną pozostawieni w swoich skafandrach próżniowych na pewną śmierć - odparła Daala. - Proszę to bardzo wyraźnie zaznaczyć, kiedy nawiąże pan z nimi łączność.

Na twarzy Remala pojawił się okrutny uśmiech.

- Rozkaz.

Daala odwróciła się ponownie w stronę Lecersena.

- Na czym skończyliśmy? - spytała, dając mu znak, żeby wrócił z nią do kajuty. - Jeśli dobrze pamiętam, to na tym, że żadne z nas nie zamierza się poddać.
- Zniszczenie jednej z dużych zabawek Imperium Ręki to za mało, żeby przesądzić losy bitwy na naszą korzyść, pani admirał - stwierdził Lecersen. - A jeśli liczy pani, że pozwoli to uzyskać rozejm, to właśnie będzie kapitulacja. Fel wykorzysta ten czas na umocnienie swojej władzy.
- Nie rozejm, Drikl. - Daala weszła przed nim do kajuty. - Myślałam raczej o wyborach.
- Wyborach? - Lecersen zatrzymał się na progu. - A dlaczego niby Fel miałby się na to zgodzić?
- Z tego samego powodu co ja - odrzekła Daala. - Ponieważ nie chce, żeby Imperium się rozsypało. I ponieważ wierzy, że wygra.
- I wygra - osądził Lecersen, wchodząc wreszcie za nią do kajuty. - Ma większe środki i to on jest aktualnym przywódcą Imperium.
- Przywódcą mianowanym przez Jedi - przypomniała mu Daala. - Nic nie jest tak nieprzewidywalne jak wybory, nawet bitwa.
- W tym wypadku muszę się nie zgodzić - zaproponował Lecersen. - Zapomina pani chyba, jak niskie mniemanie o kobietach mają moffowie, z wyjątkiem mnie, rzecz jasna.
- Dlaczego sądzisz, że o czymkolwiek zapominałam? - zdziwiła się Daala. - Widząc ciebie przy moim boku, moffowie będą skłonni do odrzucenia swoich uprzedzeń. Z twoimi zasobami planetarnymi i moimi atutami wojskowymi będziemy niewątpliwie mocnym kandydatem.
- Ale czy wystarczająco mocnym? - zastanawiał się Lecersen. - Głosy moffów można kupić, nie zdobyć. A Fel może zapłacić od razu. My mamy tylko obietnice.
- Dlatego powinna pani zaproponować wybory powszechne, pani admirał - odezwała się Pagorski, podchodząc bliżej. - Wtedy nie będzie pani musiała z nikim dzielić się tronem, bo imperialna ludność ma na ogół lepsze mniemanie o kobietach niż o moffach. Poza tym wybory powszechne byłyby zgodne z demokratycznymi inklinacjami Fela. Być może nawet wolałyby to od zwycięstwa militarne, ponieważ i tak zamierza wprowadzić w Imperium tego rodzaju reformy.
- Powszechne wybory? - zadrwił Lecersen. - Rada Moffów nigdy się na to nie zgodzi.
- Moffowie są zbyt zajęci skakaniem sobie do gardeł, żeby nas powstrzymać - odparowała Daala z rosnącym entuzjazmem. Skinęła głową w kierunku Pagorski. - Brawo, pani porucznik.

Podoba mi się to.

- Pani miałyby pokonać Jaggeda Fela w konkursie popularności? - Lecersen pokręcił z niedowierzaniem głową. - To niemożliwe.
- Ale tak będzie - zapewniła Pagorski. - Mogę to zagwarantować.

Lecersen rzucił jej miażdżące spojrzenie.

- Radziłbym pani zachować milczenie, pani porucznik. Pani urojenia robią się kompromitujące.

Pagorski błysnęła białkami oczu.

- To nie są urojenia, moffie. - Nie odwracając wzroku, zapytała: - Pani admirał, czy pozwoli mi pani to udowodnić?

- Ależ oczywiście - zgodziła się Daala. - Z przyjemnością.

- Dziękuję. - Pagorski uśmiechnęła się szeroko, a jej ręka prześlizgnęła się po ciele Lecersena i spoczęła na jego ramieniu. - Moffie Lecersen, może pan paść na kolana przed nową przywódczynią Imperium.

- Paść na kolana? - powtórzył Lecersen. - Na pani rozkaz?

- To raczej sugestia. - Pagorski ścisnęła go za ramię tak mocno, że miał wrażenie, jakby jej palce zatopiły się głęboko w jego ciele. - Dla pańskiego dobra.

Gdy to mówiła, Lecersen wytrzeszczył oczy i pobladł. Zimny pot wystąpił mu na czoło. W końcu upadł na kolana u stóp Daali.

- Tak już lepiej. - Pagorski uśmiechnęła się i przeniosła wzrok z powrotem na Daalę. -

Możemy wygrać, pani admirał. Zaręczam pani.

## **ROZDZIAŁ 13**

Wynn Dorvan stał na poziomie 351. Świątyni Jedi, wciśnięty w róg komory dekontaminacyjnej rdzenia komputera. Nie dlatego, że nie chciał zostać zroszony substancją utrwalającą, ale dlatego, że nie chciał, żeby Sithowie zauważyli jego podniecenie. Na wprost niego z rękawa Miecza Sithów wystawała rękojeść blastera, całkiem jakby broń miała zaraz wypaść z ukrytej kabury.

Oczywiście pozorna dostępność blastera była najprawdopodobniej pułapką, sprawdzianem lojalności Wynna. Istniała jednak pewna, choć niewielka szansa, że broń po prostu się wysunęła, a jej właściciel tego nie zauważył.

A Wynn był gotów zaryzykować. Kiedy zasugerował, żeby wypuścić Lydeę Pagorski i potraktować to jako gest dobrej woli wobec Imperium, Ukochana Królowa Gwiazd zniszczyła nieszczęsną kobietę i przejęła jej ciało. Kiedy zaś próbował wciągnąć ją w zastawioną przez admirała pułapkę, sugerując, że Sithowie powinni wycofać się do Świątyni, ona za pomocą swoich dziwnych zdolności w Mocy zdołała przewidzieć ich plany i przygotować śmiertelną zasadzkę.

Abeloth była istotą wykraczającą poza zdolność pojmwania Wynna, potworem o niewiarygodnej sile, zdolnym do niewyobrażalnego zła. Był głupcem, sądząc, że może ją przechytrzyć.

Ani przez chwilę nie było szansy na powstrzymanie jej, Wynn wreszcie to zrozumiał. I nie było realnej szansy, żeby dało się uciec jej i Sithom, zachowując życie. Wynn mógł jedynie mieć nadzieję, że uda mu się uniknąć tego samego losu, jaki spotkał Pagorski - że zdoła zakończyć tę mimowolną kolaborację w taki czy inny sposób, zanim Ukochana Królowa Gwiazd wciśnie i jemu do głowy swoje macki.

Musiał tylko zdobyć ten blaster.

Wewnętrzne drzwi przesunęły się w bok i Ukochana Królowa Gwiazd przeszła z zatłoczonej komory dekontaminacyjnej do jakiegoś znacznie chłodniejszego pomieszczenia, którego Wynn nie mógł dostrzec. Zaczął przesuwać się powoli w stronę blastera, ale zaraz musiał

się zatrzymać, bo cała grupa stanęła.

- Pan Dorvan i ja zostaniemy tu sami - oznajmiła Ukochana Królowa głosem Roki Kem. -

Reszta może wrócić z Lady Korelei, żeby zająć się przygotowywaniem pułapki.

- Ukochana Królowo, pozwól mi zostać, błagam - powiedział Sith stojący przed Wynnem, ten, któremu wysunął się blaster. Obrzucił Wynna pełnym pogardy spojrzeniem. - Coś jest nie tak z twoim doradcą. Wyczuwam kłamstwo w jego aurze.

Wynn przygotował się już do skoku, żeby wyciągnąć Sithowi blaster, ale głos Ukochanej Królowej go powstrzymał.

- To żaden powód do obaw, Mistrzu Tsiat - zapewniła. - Ze strony pana Dorvana nic mi nie grozi.

Wynn poczuł zimny ucisk na swojej twarzy i chociaż stojący przed nim Sith zasłaniał mu widok, wiedział, że Ukochana Królowa patrzy w jego kierunku.

- Prawda? - spytała Ukochana Królowa.

- Oczywiście - potwierdził Wynn. Mówiąc to, był niemal pewien, że go przejrzała, że słyszy kłamstwo w jego głosie, czuje fałsz w jego aurze. - Nie byłbym po prostu do tego zdolny.

- Każdy jest do tego zdolny. - To nie Ukochana Królowa wypowiedziała te słowa, lecz Lady Korelei, Keshiri, która torturowała Wynna. - Potrzeba tylko odwagi.

- Obawiam się, że tej właśnie cechy mi brakuje - odparł Wynn. Serce podeszło mu do gardła, ale jako wytrawny gracz w sabaka wiedział, że nadszedł czas, by postawić wszystko na jedną kartę. - Jestem administratorem, nie wojownikiem.

- Wobec tego jestem przekonana, że nasza Ukochana Królowa będzie z tobą bezpieczna. -

Na lawendowych ustach Lady Korelei pojawił się słaby uśmiech. Skinęła na Sithów stojących między Wynnem a wyjściem. - Przepuście go.

Wynn był teraz jeszcze bardziej pewien, że jego oprawcy chcą poddać go próbie, ale był zdecydowany zaryzykować. Nawet śmierć byłaby lepsza niż to, co czekało go jako sługę Abeloth.

Skinął głową w kierunku Korelei.

- Dziękuję.

Ruszył do przodu, celowo potykając się o nogę stojącego obok Sitha. Krzyknął i runął jak długi, chwytając się najbliższego rękawa, żeby nie upaść. Oczywiście rękaw ten należał do Sitha z Masterem, Mistrza Tsiata.

Tsiat ryknął z wściekłości i, posługując się Mocą, posłał Dorvana z powrotem w kąt.

- Niezdarny ugwum!

Dorvan jęknął i zwinął się w kulkę, chowając wykradzioną broń.

- To był wypadek! - Wsunął blaster do rękawa tuniki. - Przepraszam!

Usłyszał zbliżające się kroki, a po chwili noga Tsiata wbiła mu się w zębra.

- Przeprosiny przyjęte.

Sith cofnął nogę, jakby chciał zadać kolejny cios, ale głos Lady Korelei uciszył rosnącą wrzawę.

- Wystarczy, Mistrzu Tsiat. Jestem pewna, że pan Dorvan będzie na przyszłość bardziej uważał.

Wynn poczuł, jak odrywa się od podłogi i wznosi do góry, aż znalazł się ponad głowami Sithów. Spojrzał za siebie i zobaczył, że podłużne oczy Korelei przyglądają mu się z tą samą zimną pustką, którą wielokrotnie widział w oczach Ukochanej Królowej. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy w głębi jej spojrzenia pojawiły się srebrne iskierki. Jej uśmiech urósł na całą szerokość twarzy.

Wszystkie jej zęby zaczęły nagle przypominać kły, a Wynna ogarnęła niepohamowana fala rozpacz. Wiedział, co widzi.

Ukochana Królowa Gwiazd przybrała kolejne ciało.

Abeloth miała teraz trzy wcielenia: Roki Kem, Lydea Pagorski i Lady Korelei. Wynn poczuł

lodowaty chłód, aż zaczął dygotać. Zrozumiał, że to rozpacz, dopiero kiedy zaczął się modlić, żeby to były halucynacje, wytwór umysłu, który w końcu pod wpływem tortur Korelei uległ i pograżył się w obłądnie.

Ponieważ nawet szaleństwo byłoby lepsze niż trzy Abeloth.

Wynn zawisł w powietrzu przed postacią Roki Kem, starając się nie wybuchnąć płaczem, zbyt

przerażony, żeby spojrzeć jej w oczy i zobaczyć w jej okrutnym obliczu żalną bezcelowość swojego oporu.

- Zechce pan stanąć? - spytała Roki Kem. - Czy Lady Korelei ma pana tak trzymać przez cały dzień?

Wynn postawił nogi i z lekkim zdziwieniem poczuł pod nimi twardy grunt. Bał się tak bardzo, że zaczął wątpić we własne zdrowie psychiczne. Przyszło mu do głowy, że może w taki właśnie sposób Abeloth atakowała umysły - zasiewając w nich tak wielkie przerażenie i zamęt, że w końcu popadały w obłąd.

- Dziękuję - oznajmiła Roki Kem. Ruchem ręki odprawiła pozostałych i, posługując się Mocą, przyciągnęła Wynna bliżej siebie. - Chcę zostać z panem Dorvanem na osobności.

Wynn usłyszał syk zamykającej się komory dekontaminacyjnej i stwierdził, że stoi w rdzeniu komputera Świątyni Jedi, za plecami Roki Kem... za plecami Abeloth... z ukrytym w rękawie blasterem.

Nie doznał żadnego nagłego przyływu ulgi. Sytuacja cuchnęła pułapką, całkiem jakby miał

prawie najlepszy z możliwych układ kart w sabaku i ochoczo licytującego przeciwnika. To wydawało się zbyt piękne, by było prawdziwe, i najprawdopodobniej tak było. Blaster mógł mieć wyczerpany zasobnik energii lub zablokowaną komorę XCiter, Wynn jednak był zdecydowany zagrać tym, co ma, to znaczy zachować cierpliwość, dopóki się nie przekona, jaką kartę chowa w rękawie - Legata czy Idioty.

Tak więc ruszył za Kem w głąb rdzenia pamięci. Wyglądało to jak ogromne kuliste zagłębienie wypełnione dryfującymi obłokami i błyskającymi promieniami światła. Razem z Ukochaną Królową stanął na transpastalowym balkonie serwisowym, który rozciągał się na kilkanaście metrów w głąb komory. Na końcu balkonu stało kilka rzędów monitorów i konsol.

Nigdzie jednak nie było śladu administratorów systemów, którzy korzystali niegdyś z tego sprzętu do komunikacji z rdzeniem komputera.

Kem podeszła do głównego zestawu sprzętu i usiadła na środkowym z trzech obrotowych foteli.

- Śmiało, Wynn - zachęciła go. - Nie masz się czego bać. Wciąż jesteś dla mnie zbyt cenny, żeby cię zabić.

- Nie jestem przestraszony, tylko zdezorientowany - skłamał Wynn. Zrobił krok do przodu i stanął przy poręczy fotela sąsiadującego z tym, który zajęła Ukochana Królowa. - Czy mogę zapytać, co ja tu robię?

- Pozostajesz do dyspozycji - odparła. - Wkrótce znowu będę potrzebowała twojej rady.

- W jakiej kwestii?

- Dowiesz się w swoim czasie.

- Przepraszam - oznajmił Wynn. Albo Ukochana Królowa kłamała, albo nie wiedziała jeszcze, jakiej rady będzie potrzebować. - Nie sądziłem, że sama tego nie wiesz.

W oczach Królowej pojawiła się para srebrnych punkcików, a jej ręce zdawały się przez chwilę wić niczym macki.

- Powiedziała, że jesteś zbyt cenny, żeby cię zabić - ostrzegła, kładąc nacisk na ostatnie słowo. - A teraz zamilcz.

Wynn wciąż stał, przekonany, że blaster nie jest żadną próbą. Ukochana Królowa miała w zwyczaju maskować swoją słabość groźbami, kiedy czuła się bezbronna. A wydawała się bezbronna jedynie wtedy, kiedy wpadała w jeden ze swoich transów. Wynn nie miał pojęcia, dokąd ulatują jej myśli w takich momentach - czy chodziła po nurcie, tak jak kiedyś Jacen Solo, czy po prostu szpiegowała swoich wrogów poprzez Moc - wiedział jednak, że jest przez ten czas nieświadoma swojego otoczenia.

Wynn zaczekał, aż oddech Ukochanej Królowej stanie się płytki, a jej spojrzenie nieobecne i szkliste. Potem policzył do stu, wypatrując jakiegokolwiek sygnału, który by świadczył, że nie jest pogrążona w transie.

- Ukochana Królowo? - odezwał się, nie widząc żadnego ruchu. Odczekał jeszcze dwadzieścia sekund i powtórzył głośniej: - Ukochana Królowo!

Siedziała wciąż nieruchomo. Jej błękitna jessarska skóra była gładka jak kamień, a wzrok miała utkwiony gdzieś w oddali. Wynn stanął za fotelami, po czym wyciągnął z rękawa blaster i sprawdził zasobnik energii.

Naładowany.

Sprawdził zbiornik gazu. Pełny.

Obejrzał się przez ramię na drzwi komory dekontaminacyjnej. Zamknięte. Wycelował w fotel. Ukochana Królowa się nie poruszyła. Czy to naprawdę będzie takie łatwe?

Wynn pociągnął za spust i wiązka energii utkwiała w oparciu fotela. Pociągnął za spust ponownie. Tym razem strzał przebił na wylot fotel i ciało, po czym zniknął w ciemności ponad rzędami aparatury.

Poczuł zapach przypalonej skóry i zaczął mieć nadzieję, że to naprawdę mogło być takie łatwe. Obszedł fotele od przodu i zobaczył, że Ukochana Królowa osunęła się na siedzeniu. Ręce miała oparte na poręczach, głowę zwieszoną na piersi, a pośrodku tułowia dymiącą dziurę. Bez wątpienia nie żyła.

Mimo wszystko lepiej mieć pewność.

Wynn podszedł bliżej i wycelował blaster w jej głowę.



Z piersi Abeloth wydobył się niski, zwierzęcy pomruk, a jej krew trysnęła mu na twarz i tunikę. Usłyszał krzyk i zdał sobie sprawę, że to on sam krzyczy. Jeszcze raz pociągnął za spust.

Jaskrawa wiązka wypaliła jej dziurę w czole, tuż nad oczami. Głowa jej odskoczyła, opadła znów do przodu, a potem przechyliła się na bok.

Wynn jeszcze raz pociągnął za spust, posyłając kolejną wiązkę w jej głowę, tym razem w skroń. Nie poruszyła się, a Wynn zrobił chwiejny krok do tyłu, cofając się przed dymem, smrodem i płynącą krwią.

Przez chwilę stał i czekał.

Nic się wydarzyło.

Ukochana Królowa była martwa, a Wynn przeżył. Nie mógł w to uwierzyć.

Poczuł na plecach aparaturę i zdał sobie sprawę, że do tej pory się cował. Zatrzymał się i spojrzał w kierunku komory dekontaminacyjnej. Przypomniał sobie o dziesiątkach Sithów, którzy przygotowywali zasadzkę w korytarzu. Nie miał pojęcia, co zrobić w związku z tym. Nie spodziewał się, że przeżyje próbę zabójstwa, więc nie wybiegał tak daleko myślami.

Za plecami usłyszał zimny i znajomy głos:

- Nie wymkniesz się im, Wynn. Nie ma ucieczki.

Wynn odskoczył i pobiegł szybciej, niż wydawało mu się to możliwe, aż wylądował za fotelami. Odwrócił się, wiedząc, co zobaczy... i rzeczywiście zobaczył - twarz utkaną z czystego blasku, wielkości banthy i zwiewną jak obłok, która unosiła się w ciemności rdzenia komputera.

Wyglądała z grubsza na ludzką, z długą kaskadą szorstkich żółtych włosów i małymi, głęboko osadzonymi oczami, które świeciły jak gwiazdy na dnie studni. Miała nos tak maleńki, że prawie go nie było, i duże, pełne usta, tak szerokie, że sięgały od ucha do ucha.

Abeloth.

- Tak - zapewniła go. - To ja, twoja Ukochana Królowa Gwiazd.

Wynn pokręcił głową.

- Nie jesteś moją królową. - Uniósł blasterowy pistolet i przytknął sobie otwór emitera do głowy. - I mylisz się. Jest ucieczka.

Pociągnął za spust i w tej samej chwili poczuł szarpnięcie za rękę. Wiązka przemknęła mu nad skronią. Poczuł palący żar na czubku głowy i zapach własnych przypalonych włosów.

Wiedział, że mu się nie udało. Przeżył.

- Ja się nigdy nie myślę - oznajmiła Abeloth.

Blaster wyfrunął Wynnowi z ręki, a podmuch energii Mocy trafił go w klatkę piersiową i on także pofrunął.

- Nie ma ucieczki... dla nikogo z was.

## ROZDZIAŁ 14

Ładunek nie potrzebował światła ani świeżego powietrza. Nie omdlewał w czasie przeciążeń ani nie dzwoniło mu w uszach za każdym razem, gdy mijał pierścień kontroli grawitacyjnej. Ładunek nie dostawał mdłości, kiedy tunele niespodziewanie zakręcały, ani nie cierpiał z odwodnienia, podróżując w duszącym żarze napędzanego repulsorami systemu transportu towarowego.

Ale Ben owszem.

I dlatego podróż ze stacji poboru wody stanowiła dla niego prawdziwą próbę wytrzymałości i odwagi. Przez - jak mu się zdawało - godzinę Ben szybował przez duszny kanał towarowy, wierzgając i skręcając w ciemności, dręczony rosnącą obawą o Vestarę. Mógł sobie jedynie wyobrazić katusze, jakie cierpiała z rąk Sithów, kary, jakie mogli jej wymierzyć za zabicie tak wielu z nich, a w szczególności Arcylorda Taalona i jej ojca. Ale nie tylko strach go zżerał. Także gniew. Wszyscy tak ochoczo obarczyli Vestarę odpowiedzialnością za zasadzkę... zwłaszcza Corran Horn. Pamiętając o tym, że jego dzieci zdradziły Jedi, kiedy znalazły się pod wpływem Abeloth na Nam Chorios, Mistrz Horn nie powinien ferować wyroków jedynie na podstawie domysłów.

Vestara zdecydowanie zasługiwała na lepsze traktowanie.

Nagłe hamowanie wyrwało go z zamyślenia. Poczł drgania powietrza, wzbudzone przez kontener, który przemknął przez niewidoczne skrzyżowanie zaledwie centymetry od jego głowy.

Zawisł nieruchomo na parę chwil, wsłuchując się w mimowolne jęki i stękanie swoich pięciorga towarzyszy, którzy także musieli znosić niespodziewane hamowania i przyspieszenia. A potem poczuł, jak rozciąga mu się twarz, i ponownie wystrzelił do przodu, frunąc bezwolnie przez mrok.

Najgorsze były pierścienie kontrolne. Co sto metrów Ben mijał jeden z repulsorowych pierścieni kontrolnych, rozmieszczonych na całej długości szybu. Jeśli miał szczęście, pierścień był

w trybie oczekiwania, a Ben przeżywał jedynie chwilę nieprzyjemnych mdłości, kiedy mijał

cieniutkie pole antygravitacyjne. Gdy jednak zbliżał się do aktywnego pierścienia, tunel wypełniał

przeraźliwy ryk. Potem następowała chwila ciszy w momencie przekraczania pola, a po niej nieznośny huk, od którego dzwoniło mu w uszach i pękała mu głowa.

Jak dotąd Ben minął piętnaście aktywnych pierścieni i pokonał więcej zakrętów, niż mógł

zliczyć. Czł się tak, jakby ćwiczył pętle z wyłączonym kompensatorem inercyjnym, i tak mu się

chciało pić, że był niemal gotów wysysać pot z własnych szat. W dodatku nie miał pojęcia, jak długo ta podróż jeszcze potrwa ani co zobaczą, kiedy w końcu dotrą do interfejsu komputera.

Poczuł, jak mu się wywraca żołądek, kiedy mijał nieaktywny pierścień kontrolny; potem w ciemności przed sobą usłyszał stłumiony łoskot przesuwających się wrót. Po chwili plecy wygięły mu się do tyłu i coś go wciągnęło do pionowego szybu prowadzącego w górę. Nad głową zobaczył

kółko niebieskiego światła, które wkrótce zmieniło się w odbicie na wewnętrznej ścianie kolejnego zakrętu, zmieniającego orientację tunelu ponownie na poziomą. Ben ledwie zdążył się obrócić, nim minął ostatnią parę pierścieni kontrolnych. Zwolnił tak gwałtownie, że aż zabolowały go nerki, po czym wypadł z tunelu towarowego na wyściełany blat stołu do odbioru przesyłek.

Tuż przed sobą zobaczył pas jaskrawego białego światła, który zaczął przesuwać się ku niemu. Poturlał się w drugą stronę, ale zatrzymała go barierka okalająca stół. Oślepiający promień omiół mu twarz, po czym skierował się w stronę stóp. Gdy obraz przed jego oczami zaczął się wyostrzać, Ben dostrzegł, że światło pochodzi z przypominającej spodek pokrywki umieszczonej na przysadzistym, kanciastym korpusie droida inwentaryzującego typu STK-CLR.

Z okolic ramion i talii droida dobiegł cichy jęk pneumatycznego motoru i w stronę barierki wysunęły się cztery teleskopowe ręce, Ben przetoczył się pod nimi, zeskoczył ze stołu i stanął obok robota.

Droid obrócił płaską głowę projektorem w kierunku Bena.

- Twój uniwersalny kod ewidencyjny jest niewidoczny - oświadczył głębokim, metalicznym głosem.  
- Proszę okazać kod w celu skierowania na odpowiednią półkę.

Ben pokręcił głową.

- Nie jestem towarem.

- Oczywiście, że jesteś - odparł STK-CLR. Rozległ się kolejny cichy jęk i zanim Ben zdążył

zareagować, na jego nadgarstkach i kostkach zacisnęły się serwochwytyki. - Zostałeś dostarczony przez system transportowy.

- Nie wszystko, co przechodzi przez system transportowy, jest towarem. - Ben spróbował się uwolnić, ale ramiona droida nagle wyciągnęły się dalej i chłopak zawisł w mroku z szeroko rozpostartymi kończynami. - Postaw mnie! To rozkaz.

- Towar nie jest upoważniony do wydawania rozkazów - odparował STK-CLR. W korpusie droida otworzył się niewielki panel, z którego wysunął się cienki wężyk zakończony małym wylotem i namalował kod kreskowy na ubraniu Bena. - Zostałeś oznaczony jako „jednostka wadliwa”. Zgłoś się do rozdzielni po drugiej stronie portalu dostawczego w celu zwrotu do nadawcy.

Ben, zamiast dalej się kłócić, zwiesił z rezygnacją głowę.

- Jasne, jak chcesz.

- Dobrze. - Droid opuścił Bena na podłogę. - I przekaż swojemu producentowi moje niezadowolenie. To jest Świątynia Jedi. Mamy tu określone specyfikacje dla przyjmowanych towarów.

Gdy tylko sięgnął nogami podłogi, Ben odwrócił się i wcisnął główny wyłącznik na szyi droida. Z wokabulatora STK-CLR wydobył się zdziwiony skrzek; ręce droida się schowały, a korpus osiadł z sykiem na nogach. Ben odepchnął robota od stołu, odpiął miecz świetlny od pasa i odwrócił się, żeby sprawdzić, dokąd go zaprowadził system transportu towarowego.

Nie zdziwił się, kiedy stwierdził, że znajduje się w słabo oświetlonym magazynie wypełnionym rzędami wysokich, stojących w cieniu półek. W Świątyni Jedi było co najmniej sto takich pomieszczeń, wykorzystywanych jako powierzchnia magazynowa dla laboratoriów, jako zbrojownie, warsztaty, centra łączności czy nawet do codziennej konserwacji, jakiej wymagał

każdy budynek tej wielkości. Jednak w tym pomieszczeniu pachniało lekko gazem tibanna i chłodziwem do hipernapędów; rozlegał się też stłumiony huk ognia artyleryjskiego, uderzającego w osłony na zewnątrz budynku.

Wszystko to mówiło Benowi, że znajduje się w składzie części zamiennych należącym do warsztatu naprawczego statków kosmicznych. Sądząc po wielkości składu i po nieustających odgłosach bitwy, był to warsztat przy niezwykle dużym i ruchliwym hangarze.

Z głębi systemu transportu towarowego dobiegł stłumiony ryk włączających się pierścieni kontrolnych i zaraz przybrał na sile, a kiedy Ben się obejrzał, dostrzegł metrową sylwetkę droida astromechanicznego wypadającego przez wrota tunelu. Robot niemal natychmiast wyhamował, po czym opadł łagodnie na blat stołu.

Posługując się Mocą, Ben uniósł małego droida i postawił na podłodze obok siebie.

- Drab?

Robot odpowiedział pełnym oburzenia ćwierknięciem.

- Wybacz - powiedział Ben. - Ciemno tu.

Lampa na suficie włączyła się, zalewając najbliższe otoczenie trójkątnym snopem światła - i nie pozostawiając wątpliwości co do tożsamości wysłużonej jednostki stojącej obok Bena.

- Wyłącz to! - rozkazał Ben. - Przecież się ukrywamy.

Lampa pozostała włączona, a Drab zagwizdał pytająco.

- Przed Sithami oczywiście - syknął Ben. - Nie wierzę, że przyprowadziłeś nas do głównego hangaru! Tu jest pewnie kilkuset Sithów, obsługujących baterie działek tuż obok!

Drab zaćwierkał twierdząco. Następnie, nie wyłączając lampy, opuścił trzecią nóżkę i ruszył między półki. Ben podążył za nim, aż dotarli do ósmego rzędu, na którego końcu zobaczył kolejny

snop światła, oświetlający jego ojca i Corrana. Obaj Mistrzowie Jedi znajdowali się w odległości jakichś dwudziestu metrów od Bena. Stali przy panelu interfejsu komputera, ale patrzyli na ogromny warsztat, jasno oświetlony i pusty. Sądząc po ich skupionych minach, wydawało się oczywiste, że obawy Bena były nieuzasadnione. Sithowie byli po prostu zbyt zajęci bronieniem Świątyni przed atakiem z zewnątrz, żeby martwić się tym, co znajduje się za nimi, w składzie na części zamienne.

- No dobra, Drab. Przepraszam. - Ben wskazał na panel interfejsu. - Najwyraźniej wiesz, co robić. Pójdę powiedzieć innym, jak wygląda sytuacja.

Drab odpowiedział pogodnym trelmem, a Ben wrócił do strefy odbioru towaru, gdzie stała Jysella Horn z mieczem świetlnym w ręku. Żeby miała zaciśnięte, nogi rozstawione szeroko, a jej aura w Mocy emanowała nerwowym wyczekiwaniem.

- Słyszałam za sobą mnóstwo strzałów - oznajmiła Jysella, kiedy Ben do niej podszedł. -

Podejrzewam, że Jaina i Valin przez całą drogę prowadzili wymianę ognia z wrogiem.

- Cholerni Sithowie. - Ben przeskoczył nad stołem do odbioru towaru i odwrócił się w stronę tunelu.

- Nie potrafia rozpoznać rozpaczliwej ucieczki?

Jysella wzruszyła ramionami.

- Może oni równie rozpaczliwie chcą nas złapać.

Z głębi systemu transportu towarowego dobiegł dźwięk włączających się pierścieni kontrolnych, a po chwili z tunelu wypadł brat Jyselli, Valin. Koncentrował uwagę na tym, co działo się za jego plecami, a w rękę trzymał pistolet blasterowy z piszczącym alarmem, który sygnalizował wyczerpany zasobnik energii.

Ben zaczął mieć bardzo złe przeczucia.

- Valin, czy Jaina...

- Jaina jest w opałach - przerwał mu Valin. Zeskoczył ze stołu obok Jyselli, wyjął z blastera zasobnik energii, włożył nowy i schował broń do kabury. - Wołała, żeby ją osłaniać, ale trudno strzelać komuś nad głową, kiedy cały czas jest się poddawany przeciążeniom. Mogłem ją trafić parę razy.

- Jeśli sama cały czas strzelała, to świetnie się spisałeś - zapewnił go Ben. - Zawsze lepiej być w opałach niż martwym.

- Poczuję się lepiej, kiedy ona sama mi to powie - mruknął Valin. Odpiął miecz świetlny i zajął pozycję przy boku Jyselli. - Ale będzie jeszcze gorzej. Wyglądało na to, że za nią są dziesiątki Sithów.

- Nieważne, ilu ich jest - stwierdziła Jysella. Podeszła do panelu sterowania obok wylotu tunelu. - Pod warunkiem że tutaj nie dotrą.

Ben się uśmiechnął.

- Podoba mi się twój sposób myślenia. - Popatrzył na Valina. - Ale mamy inny problem. W

głównym hangarze jest pewnie kilkuset Sithów, a ten skład to ślepy zaułek. Musimy znaleźć jakąś drogę ucieczki.

Valin pokiwał głową i ruszył w kierunku rogu magazynu.

- Wytnę dziurę.

Ben włączył komunikator i połączył się z ojcem.

- Sithowie depczą nam po piętach - poinformował. - Spróbujemy ich zatrzymać, ale nie mogę nic obiecać. Jak wam idzie z interfejsem?

- Jeśli nie uda się ich zatrzymać, spróbujcie chociaż zyskać na czasie - odparł Luke. - Drab jest podłączony do gniazdka dla droidów, ale nie może znaleźć rdzenia komputera.

Po drugiej stronie łącza rozległ się gniewny gwizd Draba, który nie zgadzał się z takim opisem sytuacji, ale ryk pierścieni kontrolnych przybierał na sile, a Ben usłyszał stłumiony pisk blasterowego ognia.

- Dobra - powiedział. - Narobimy tu dużo hałasu, więc bądźcie gotowi, żeby zawrócić posiłki. Dajcie znać, jak tylko uda wam się otworzyć te drzwi.

Nim skończył mówić, ogień blasterowy stał się głośniejszy i bardziej wyraźny. Ben włączył

miecz świetlny, ustawił się w pobliżu wylotu tunelu i wziął głęboki oddech, starając się oczyścić umysł przed walką. Wciąż był zły i bał się o Vestarę, jednak musiał to od siebie odsunąć. Strach prowadził do błędów, a gniew prowadził... cóż, tam, gdzie Ben nie miał ochoty podążać.

Ben wciąż jeszcze próbował się uspokoić, kiedy z tunelu wypadła Jaina. Śmierdziała przypalonym molyteksem i zwęgloną skórą. Nie przestała się ostrzeliwać, nawet kiedy wylądowała na stole do odbioru towaru. Ben miał już wskoczyć na blat obok niej, ale Jaina spojrzała na niego i pokręciła głową.

- Nie zbliżaj się. - Zsunęła się ze stołu, krzycząc: - Granat!

Ben zareagował błyskawicznie - wyciągnął ręce i sięgnął poprzez Moc. Złapał ciężki przedmiot wielkości pięści, który wyleciał z tunelu, po czym zrobił zamach w kierunku przeciwległej ściany i poczuł, jak niewielka kula odfruva.

Chwilę później żółty wybuch przypalił mu policzek i Ben poczuł, jak wpada na pobliskie półki, zanim jeszcze zdał sobie sprawę, że frunął w powietrzu. Dzwoniło mu w uszach i bolały go żebra, ale wciąż czuł wszystkie kończyny - a jedna z nich w dalszym ciągu trzymała miecz świetlny. Podniósł się z przewróconego regału, odwrócił się i zobaczył Sitha, który zeskakiwał już ze stołu w

kierunku Jainy. Kolejnych dwóch - jeden z ciemną, spiczastą bródką, a drugi ze starą blizną na dużym nosie - zwracało się w stronę Bena. Oczy błyszczały im na myśl o łatwej zdobyczy.

Bena jednak nie obchodziły ich oczekiwania.

Odepchnął Nosatego podmuchem Mocy z powrotem na stół, po czym skoczył na Szpicbródkę. Brodaty Sith odwrócił się w jego stronę, unosząc miecz świetlny. Ich klingi zetknęły się, sypiąc wokół iskrami.

Przeczuwając, co za chwilę nastąpi, Ben przeskoczył nad przeciwnikiem; zobaczył, jak szklany parang Szpicbródki przelatuje, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Ben wylądował za jego plecami i obrócił się gwałtownie, przecinając mieczem świetlnym ramię i tułów Sitha.

Mężczyzna upadł z krzykiem wśród odoru zwęglonej skóry, a Ben spojrzał na Jainę, która stała nad zwłokami Nosatego i trzeciego Sitha, z trudem łapiąc oddech. Przez chwilę Ben sądził, że Jaina jest po prostu zmęczona po zabiciu dwóch Sithów w ciągu trzech sekund, które jemu zajęło zabicie jednego.

Potem jednak dostrzegł dużą plamę krwi na jej płaszczu, a pośrodku głęboką, wypaloną dziurę wielkości kciuka.

- Jaina, nic ci nie jest?

Benowi wciąż dzwoniło w uszach od wybuchu granatu i ledwie słyszał własne słowa, nie mówiąc o odpowiedzi Jainy. Ale niepokój w jej oczach był aż nadto widoczny, a kiedy podążyła wzrokiem w stronę tunelu, domyślił się, co ona musi słyszeć - ryk włączających się pierścieni kontrolnych.

Ben spojrzał w kierunku panelu sterowania. Zobaczył, że Jysella trzyma oburącz miecz świetlny i porusza nim w przód i w tył najszybciej, jak potrafi. Wyciągnął detonator termiczny ze swojej uprząży bojowej.

- Jysella! - Ledwie słyszał swój głos, jednak krzyknął wystarczająco głośno, żeby Jysella się na niego obejrzała. - Odpal go!

Jaina wskoczyła nagle na stół i zapaliła miecz świetlny w samą porę, żeby zatrzymać błyskawicę Mocy, która, skwiercząc, wyleciała z tunelu. Ben odwrócił się, włączając własną klingę, i ruszył w kierunku napastnika, który wyłonił się z ciemności.

A jednak Ben nie zaatakował.

Sith wyglądał zbyt znajomo. Był to wysoki, szczupły Lord o szyderczym uśmiechu, w czarnej pelerynie narzuconej na zbroję. Ręce wyciągnął przed siebie i cały czas atakował słabnącą Jainę błyskawicą Mocy, nawet gdy już spadł twarzą w dół na blat stołu. Ben pomachał Sithowi klingą przed nosem, żeby przyciągnąć jego uwagę, po czym zbliżył jej koniec na parę centymetrów do jego skroni.

- Poddaj się albo giń - rozkazał. - Decyzja należy do ciebie.

Oburzenie Jaiiny uderzyło go niczym podmuch Mocy, ale Ben się tym nie przejmował. To był ten Sith, który pojmał Vestarę, który chciał ją wykorzystać, żeby zwabić Bena w zasadzkę. Jeśli Ben miał jakiegokolwiek szanse na ocalenie jej, to kluczem do tego był właśnie ten Sith. Więc chociaż nie przerywał ataku, Ben go nie zabił. Postawił tylko nogę na jego plecach i powtórzył rozkaz:

- Poddaj się albo giń.

Lord opuścił podbródek, a błyskawica Mocy wygasła. Spojrzał na Bena.

- Czego chcesz, Jedi? - Jego słowa nawet w normalnych okolicznościach zabrzmiałyby cicho i Ben, któremu wciąż dzwoniło w uszach, musiał się nachylić, żeby go dobrze zrozumieć. -

Wymiany?

Ben kiwnął głową.

- Przyszło mi to na myśl. - Wyglądało na to, że dobiecie targu może się okazać łatwiejsze, niż sądził. -  
Twoje życie za...

- Ben!

Ben nie miał czasu się zastanawiać, kto go woła ani dlaczego. Poczł tylko, jak Jaina chwyta go w Mocy, a Jysella próbuje przyciągnąć jego uwagę. W tej samej chwili poczuł w nodze rozdzierający ból, a kiedy spojrział w dół, zobaczył tkwiący w udzie shikkar długości palca.

Sith odłamał rękojeść przy użyciu Mocy, a następnie, wykorzystując szok ofiary, poturlał

się z dala od wiszącej nad jego skronią klingi. Ben rzucił się za nim, ale Jysella pochwyciła go poprzez Moc.

- Nie, Ben! - Tym razem to był wyraźnie jej głos. - Detonator!

Ben obejrzał się i zobaczył, jak Jysella odsuwa się od dymiącego panelu sterowania z ręką uniesioną nad głową i dwoma wyciągniętymi palcami. Opuściła jeden palec, po czym odskoczyła od wylotu tunelu. Zanim Ben zdążył zrobić to samo, Jaina chwyciła go Mocą i przeniosła ich oboje z dala od systemu transportowego.

Spadli razem na półkę pełną ciężkich skrzyń, a zaraz potem pomieszczenie wypełnił

oślepiający biały blask. Rozległ się ogłuszający trzask, który zdawał się trwać całe wieki, i zapanował tak wielki żar, aż Ben się zląkł, że znaleźli się w polu rażenia.

Te obawy rozwiały się już po chwili, kiedy Ben upadł na podłogę. Wepchnęło to shikkar głębiej, aż otarł się o kość udową. Całą jego nogę ogarnął ból tak potworny, że ktoś słabszy wołałby umrzeć. Poczł, jak otwiera usta, żeby krzyknąć, ale Jaina, która wylądowała obok niego, zatkała mu usta ręką.



- Cicho!

Posługując się Mocą, przygwoździła go do podłogi, podniosła się lekko i obejrzała na miejsce wybuchu. Z płonącego wylotu tunelu tryskała fontanna krwi i kości - wszystko, co pozostało ze ścigających ich Sithów po tym, jak przelecieli przez zniszczone pierścienie kontrolne.

- Nie wiemy, czy ten waśniak zdążył uciec z pola rażenia - zauważyła Jaina. - Możliwe, że wciąż żyje.

Ben pokiwał głową, zdławił w sobie krzyk i odsunął delikatnie rękę Jainy.

- Nie miałem wcale zamiaru krzyczeć.

Jaina popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Skoro tak twierdzisz.

Ujęła jego nogę nad raną i pod nią, a potem przy użyciu Mocy wzięła się do wyciągania szklanego ostrza. Gdy wyszczerbiona krawędź zaczęła rozrywać mięśnie i ścięgna, ból stał się nie do wytrzymania. Ben zacisnął zęby, czerpiąc siłę z Mocy. Na twarzy Jainy nie było widać współczucia.

- Zasłużyłeś sobie na to, wiesz? - Mówiła cicho, ale ostrym tonem, - Co ci strzeliło do głowy, żeby próbować schwytać Lorda Sithów? I to w samym środku bitwy?

Ben nie odpowiedział, bo się bał, że krzyknie z bólu, ale chodziło mu oczywiście o Vestarę.

Ten Lord wykorzystał ją jako przynętę, więc prawdopodobnie wiedział, co się z nią stało. Ben miał jedynie nadzieję, że może się jeszcze Sithom do czegoś przydać, w przeciwnym razie czekała ją rychła śmierć.

Jaina powoli wyciągała ostrze, celowo przedłużając cierpienie Bena - a przynajmniej tak mu się wydawało.

- Masz szczęście - stwierdziła. - Odrobinę w lewo i byłoby po tobie.

Ostrze wysunęło się, przecinając ostatnie ścięgno. Ból nieco zelżał, choć nadal był

potworny, a z rany popłynęła ciemna krew. Ale Jaina miała rację. Gdyby shikkar utkwił kilka centymetrów bardziej w lewo, przeciąłby tętnicę udową. Szczerze mówiąc, Ben nie rozumiał, jak to się stało. Lord Sithów uderzył pod idealnym kątem, użył Mocy do pokierowania shikkarem i całkowicie zaskoczył Bena. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Ben powinien się potem przyglądać, jak resztki krwi wypływają z niego jasnym strumieniem. Fakt, że tak się nie stało, mógł

oznaczać tylko jedno - Sith wcale nie chciał go zabić.

- On nie chybił, Jaina - powiedział. - Po prostu nie chciał mnie wykończyć.

Jaina pokręciła głową.

- Nie oszukuj się, Ben. Sithowie nad nikim się nie litują. Ty nad nimi też nie powinienesz. - Z

torby na pasku wyciągnęła czysty opatrunek z płynem bacta i przyłożyła go do rany, a potem wzięła Bena za rękę i położyła ją na opatrunku. - Przyciśnij.

Ben zrobił tak, jak mu poleciła.

- On się nie ulitował - wyjaśnił. - Myślę, że chciał ze mnie zrobić jeńca. Dlatego celował w udo, a nie w serce albo w brzuch.

Jaina w milczeniu owijała opatrunek samozaciskającym się bandażem. W końcu pokiwała głową.

- No dobra, może masz rację - przyznała. - Jesteś synem Luke'a Skywalkera. Nadajesz się na zakładnika.

Wsunęła mu rękę pod ramię i pomogła wstać. Patrzyli na ziejącą dziurę w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się wylot tunelu. Z systemu transportu towarowego dobiegł znajomy ryk włączających się pierścieni kontrolnych. Potem rozległ się stłumiony krzyk, a po chwili pojawił się strumień różowawej mazi, która kiedyś była żywą istotą.

- Zniszczyliście obwody odpowiedzialne za wytracanie prędkości - oznajmiła Jaina. -

Brawo.

- To był pomysł Jyselli - przyznał Ben. - Chociaż nie wiem, czy pomyślała przy tym o fontannie flaków.

Jaina wzruszyła ramionami.

- To da nam czas, żeby dołączyć do twojego taty i pozostałych. Tylko to się liczy.

Zamiast jednak ruszyć ponownie naprzód, Jaina zatrzymała się na skraju korytarza, chyba wypatrując Sitha, który zaatakował Bena. Ben rozszerzył swoją świadomość Mocy, szukając w okolicy jakichkolwiek oznak niebezpieczeństwa, co by sugerowało, że Sith gdzieś się na nich zaczął. Jaina mogła mieć rację, przewidując, że Sithowie chcieliby wykorzystać Bena jako zakładnika, ale coś mu nie pasowało. Sith ryzykował własne życie, rezygnując z wyeliminowania wroga, kiedy miał ku temu sposobność. A w wodociągach też podjął ogromne ryzyko, wykorzystując Vestarę jako przynętę. Jeśli dodać dwa do dwóch, oba te wybiegi wyglądały na przemyślaną strategię i Ben zaczynał się czuć jak zwierzyzna łowna.

Nadal wypatrywali śladów zaginionego Lorda Sithów, kiedy z korytarza po drugiej stronie krateru wyjrzała Jysella.

- Lepiej się pospieszcie! - zawołała. - Mają problemy przy stacji interfejsu.

W oddali słyhać było wymianę blasterowego ognia. Najwyraźniej Sithowie w hangarze zorientowali się w końcu, że mają kłopoty w składzie części zamiennych, i przypuścili atak.

- Już idziemy! - odkrzyknęła Jaina. Powoli wyjęła rękę spod ramienia Bena. - Możesz iść o własnych siłach?

Ben stanął, wykorzystując Moc dla wzmocnienia zranionej nogi i stosując technikę medytacyjną Jedi, która pomagała znieść ból. Kolano się pod nim nie ugięło, więc puścił ramię JAINY.

- W porządku. - Wskazał na jej oparzenia od blastera. - A ty?

Jaina spojrzała na dziurę w swoim brzuchu.

- Mam pewne trudności z oddychaniem - wyznała. - Ale nie straciłam dużo krwi. Nic mi nie będzie.

- Na pewno? - spytał Ben. - Bo skoro ci trudno oddychać...

- Wszystko w porządku - upierała się Jaina. Popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby rozmawiała z pięciolatkiem. - To dla mnie nic nowego.

Popchnęła go lekko i razem pokuśtykali ostrożnie naokoło krateru. Żaden Lord Sithów nie wyskoczył na nich z ukrycia, więc dołączyli do Jyselli i ruszyli w kierunku stacji interfejsu. Luke i Mistrz Horn, schowani za konsolę, uchylali się przed błyskawicami Mocy i prowadzili wymianę ognia z szybko rosnącym kontyngentem Sithów w warsztacie. Drab, wciąż podłączony do złącza danych, ćwierkał, kołysząc się w przód i w tył, i wyglądał na dość sfrustrowanego.

Ben i jego dwie towarzyszki przyłączyli się do blasterowej kanonady. Ben przykucnął obok ojca, strzelił trzy razy na oślep zza konsoly, a potem schował się przed wiązkami, które przemknęły mu nad głową.

- Kłopoty? - zapytał.

- Można tak powiedzieć - odparł Luke, przekrzykując jazgot strzelaniny. - Drab twierdzi, że wszystkie panele interfejsu zostały wyłączone.

- No i co z tego? - Ben zadarł głowę i zobaczył białą kulę szybującą w kierunku składu części zamiennych. Pomagając sobie Mocą, wycelował i strzelił. Granat wybuchł, zamieniając się w pomarańczową kulę ognia, dwadzieścia metrów od konsoly. - I tak nie możemy teraz przejść do innego.

- Nie w tym rzecz - wtrącił Corran, chowając się z powrotem za konsolę, żeby wymienić zużyty zasobnik energii. - Nie rozumiesz. Nie chodzi tylko o stacje w hangarze. Wyłączone są wszystkie, w całej Świątyni Jedi.

Benowi zamarło serce.

- Więc jak mamy wyłączyć pole siłowe i otworzyć drzwi? - zainteresowała się Jysella.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Jest tylko jeden sposób, zwłaszcza jeśli chcemy otworzyć wszystkie naraz - powiedział w końcu Ben. Spojrzał w kierunku składu części zamiennych, gdzie Valin Horn kończył wycinać swoim mieczem świetlnym dziurę w durastalowej ścianie. - Drab musi porozmawiać bezpośrednio z komputerem Świątyni.

Jego ojciec pokiwał głową.

- Musimy się dostać do samego rdzenia komputera - zdecydował i dał znak Benowi i Jainie, żeby ruszali w stronę wyciętej przez Valina dziury. - A Sithowie z pewnością będą się nas spodziewać.

## ROZDZIAŁ 15

Filary stały nieregularnie na zboczu odległej góry. Ich blade sylwetki wystawały z niebieskoszarej skały niczym klify. Zdawały się wznosić na wysokość stu pięter, ale tajemniczy budynek, który miały podtrzymywać, był zakopany pod kilometrową warstwą mułu. Bezkresnej równiny porośniętej karłowatą roślinnością, która otaczała górę, nie przecinała żadna droga, a na pomarańczowym niebie ponad nią nie było widać ani jednego statku. Jednak te filary były jedynym śladem cywilizacji w układzie Reo - w całym sektorze Maraqqo - a więc to musiało być miejsce, którego szukali.

Raynar Thul ostrożnie poprowadził śmigacz do przodu. Choć odegrał istotną rolę w kilku niedawnych misjach Jedi, na tę nie czuł się przygotowany. Mistrz Skywalker poprosił go, żeby powrócił do kolonii Killików, której niegdyś przewodził jako Dwumyślny UnuThul. Jednak Raynar w tamtych czasach nie był sobą. Był rannym kombatantem, który zagubił się w zbiorowym umyśle killickiego roju i stał się Dwumyślnym. To doświadczenie całkowicie zniszczyło jego poczucie tożsamości i pozostawiło jego umysł w opłakanym stanie. Jeszcze teraz Raynar nie czuł się do końca sobą.

Jednak właśnie teraz Jedi musieli zmierzyć się z wrogiem tyleż potężnym, co zagadkowym, a ich jedyną szansą na przetrwanie było wyciągnięcie pewnych informacji ze zbiorowych umysłów killickich rojów. Ktoś musiał przekonać Killików, żeby ujawnili wszystko, co wiedzą na temat tajemniczych Niebiańskich, którym niegdyś służyli. Raynar był jedynym Jedi, który mógł tego dokonać. Tak więc przyjął to zadanie i obiecał zrobić wszystko, co będzie konieczne do jego wypełnienia... nawet gdyby miało to oznaczać utratę zdrowia psychicznego, które odbudowywał

przez osiem długich lat.

Kiedy śmigacz zbliżył się do góry, Raynar dostrzegł, że ogromne filary zdobią płaskorzeźby przedstawiające skrzydlate bestie i rogate potwory. U ich stóp wiły się kręte kształty, które mogły być węzami lub pnączami.

Lowbacca, mierzący ponad dwa metry Wookie, skulony w fotelu pasażera z kolanami pod brodą, wyraził opinię, że pnącza to dobry znak.

- Muszę się nie zgodzić, panie Lowbacca - odezwał się zdecydowanie C-3PO, siedzący za plecami

Wookiego. - W tym kontekście pnącza są symbolami nieuchronnej zagłady. Gdyby ruiny nie były ponad wszelką wątpliwość opuszczone, zasugerowałbym, żeby natychmiast zawrócić i wymazać je z naszych czipów pamięci.

- Lowie chciał chyba powiedzieć, że jesteśmy we właściwym miejscu - zauważyła Tekli.

Siedzącej za Raynarem, drobnej, pokrytej futrem Chadra-Fance prawdopodobnie jako jedynej było w miarę wygodnie w ciasnym śmigaczu. - Pnącza świadczą o tym, że w końcu znaleźliśmy rój bezpośrednio związany z Abeloth. Ale te skrzydlate istoty to coś nowego. Są jakieś wzmianki o węzowatych stworach, pojawiających się w towarzystwie innych symboli?

- Nie w moim banku danych - zapewnił C-3PO. - A mam zapisane wszelkie dostępne informacje na ten temat. Ściśle rzecz biorąc, mam dwa miliony trzysta tysięcy artykułów i siedem milionów sto tysięcy obrazów...

Lowbacca przerwał mu niecierpliwym warknięciem.

- Nie, nie wolałbym jechać na klapie bagażnika - prychnął C-3PO. - Czy zdaje pan sobie sprawę, jaki wpływ miałby ten cały kurz na moje serwomotory?

Lowbacca jeszcze raz warknął.

- Nie mam problemów z wokoderem, Jedi Lowbacco - oświadczył C-3PO. - A nawet gdybym miał, to zapewniam, że kurz mógłby tylko pogorszyć sprawę.

Raynar zachichotał. Cieszył się, że ma przy sobie przyjaciół, dzięki którym może zapomnieć o swoich lękach. Oficjalnie Mistrz Skywalker przydzielił mu Tekli i Lowbaccę jako medyka i mechanika, Raynar jednak podejrzewał, że ich najważniejszym zadaniem było dbanie o jego zdrowie psychiczne - a przynajmniej taką miał nadzieję. C-3PO miał odgrywać rolę tłumacza, aby Raynar nie musiał stawać się na nowo Dwumyślnym tylko po to, żeby porozumiewać się z Killikami. Nie wiadomo, czy było to częścią planu Mistrza Skywalkera, w każdym razie droid stanowił także nieustanne źródło irytacji. Trójka Jedi żyła na małej przestrzeni już od ponad miesiąca, a C-3PO dawał im możliwość wyładowania negatywnych emocji, skupiając na sobie całą złość, jaką czuli do siebie nawzajem. W tej roli droid nigdy nie zawodził.

Śmigacz znajdował się jakiś kilometr od góry, gdy pomiędzy odsłoniętymi filarami zaczęły się pojawiać ciemne plamki. Z początku wyglądały na jakieś ozdoby, jednak w miarę jak się zbliżali, kształty stawały się bardziej geometryczne, a potem okazało się, że to otwory okienne. U

podnóża góry pojawiła się też ścieżka prowadząca przez wąski przesmyk w kierunku wysokiego, czarnego łuku, który wyglądał jak otwarta brama.

Raynar uznał, że to faktycznie musi być brama. Skręcił w jej stronę... i poczuł na plecach zimny dreszcz niepokoju. Rozszerzył swoją świadomość Mocy i wyczuł coś znajdującego się znacznie bliżej - jakiś ogromny, wygłodniały byt, który poruszał się w kierunku śmigacza niemal równie szybko jak śmigacz w kierunku góry.

To wrażenie nie miało żadnego sensu. Wiejący nieprzerwanie wietrzyk wzbijał tumany kurzu, który tworzył szaroniebieską zasłonę zawieszoną jakiś metr nad ziemią, jednak widoczność sięgała prawie trzystu metrów, a tajemniczy byt znajdował się znacznie bliżej. Raynar zatrzymał śmigacz.

- Ja też to czuję - oznajmiła Tekli. - Coś chce nas dopaść, zanim dotrzemy do góry.

Lowbacca zajęczał pytająco.

- Cóż, ja nie widzę nic poza pańską ogromną i kudłatą głową - odpowiedział C-3PO. - Być może byłbym bardziej użyteczny, gdybyście się nie upierali, że droid ma siedzieć z tyłu.

- Nie sądzę, żeby to była iluzja - powiedziała Tekli, ignorując C-3PO i zwracając się do Lowbacki. - Można to wyczuć tylko poprzez Moc, a żadna iluzja, która daje się wyczuć tylko przez Moc, nie niesie zbyt wielu zagrożeń.

Lowbacca zawył potakująco, a wygłodniały byt cały czas się zbliżał. Raynar otworzył

owiewkę kabiny po swojej stronie śmigacza, gdy nagle zobaczył opadający kurz i zrozumiał.

Włączył ciąg wsteczny i otworzył do końca przepustnice.

Za późno.

Dwadzieścia metrów przed nimi wyskoczyła z ziemi para ząbkowanych szczypiec, które rozchyliły się, odsłaniając oślizgłą czerwoną paszczę, ze dwa razy szerszą od śmigacza. Paszcza prowadziła do długiego gardła, okolonego koncentrycznymi pierścieniami kolców. Z głębi tej czeluści wyrastał pęk szarych, włóknistych języków, które już sięgały przodu pojazdu. Szczypce zatrzasnęły się, zatapiając końce głęboko w bocznych panelach.

Śmigacz zaczął przesuwać się do przodu. Raynar przepchnął przepustnice poza ograniczniki przeciążenia, dociskając dźwignie do samego końca prowadnic. Wciąż jednak zmierzali w stronę najeżonej kłami paszczy.

- Wyskakujcie! - krzyknął Raynar.

Lowbacca otworzył owiewkę kabiny po swojej stronie. Wyskoczył z fotela tak szybko, że zahaczył o owiewkę i wyrwał ją z zawiasów. Tekli krzyknęła, że ona także jest już wolna. Raynar odepchnął się od kierownicy i używając Mocy, katapultował się ze śmigacza.

Kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył, że paszcza pochłonięła już śmigacz niemal po przedział pasażerski i wciągała go do piaszczystej jamy, z której się wyłoniła. Znajdujący się wciąż w środku C-3PO odsuwał się od włóknistych języków, machając obiema rękami na Raynara.

- Jedi Thul, co pan tak stoi? Proszę coś zrobić, i to szybko!

Śmigacz przesunął się nad krawędzią jamy i przechylił się do przodu.

C-3PO wskazał w głąb jamy.

- Sugerowałbym, żeby pan to natychmiast zabił!

Zabicie stworzenia nie wchodziło w rachubę - nie tylko ze względu na jego rozmiar. Raynar wyciągnął więc rękę i posługując się Mocą, wyciągnął droida ze śmigacza, po czym stwierdził, że mocuje się z Lowbaccą, który wpadł na ten sam pomysł.

Raynar zwolnił uchwyt Mocy. C-3PO pofrunął w powietrze, wpadł na Lowbaccę, odbił się od jego klatki piersiowej i wylądował na piasku u stóp Wookiego.

Lowbacca opuścił podbródek i przyglądał się przez chwilę droidowi, po czym zawył pytająco.

- Jeszcze nie wiem - odparł C-3PO. - Muszę sobie zrobić diagnostykę!

Wookiee wzruszył ramionami i postawił droida, po czym warknął i pomasaował sobie pierś.

- To nie moja wina, że mój łokieć nabił panu siniaka - powiedział See-Threepio. - Staralem się jedynie zminimalizować własne uszkodzenia.

Z dołu dobiegł odgłos zgniatanego metalu. Raynar podszedł do krawędzi jamy i przez kłęby błękitnego kurzu dostrzegł wystającą z niej wielką głowę w kształcie serca. Obracała zgnieciony śmigacz w swoich żuwaczkach, odrywając kawałki i zgniatając je w kule o średnicy metra, które jednak szybko wypluwała.

Drobna ręka złapała Raynara za ramię i spróbowała odciągnąć go od jamy. On jednak się zaparł. Tekli stanęła obok niego.

- Raynar? - szepnęła. - Czy to rozsądne stać tu, gdzie to stworzenie może cię zobaczyć?

Raynar wzruszył ramionami. Nie był pewien, czym jest ta istota, ale można było przypuszczać, że jest Killikiem. Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić, po czym uniósł obie ręce w geście pozdrowienia.

- Thuruht?! - zawołał.

Gigantyczny robal przestał przeżuwać i wystawił głowę metr nad powierzchnię, odsłaniając ogromną bulwę, która była zapewne szczątkowym okiem. Ziemia zatrzęsa się Raynarowi pod nogami, a w brzuchu poczuł lekkie burczenie.

- Och, jejku - odezwał się stojący trzy metry dalej droid. - Ona chce wiedzieć, kto pyta i dlaczego przeszkadza jej w pracy.

Raynar uśmiechnął się na tyle, na ile pozwalała mu pokryta bliznami twarz.

- Powiedz jej, że jestem starym przyjacielem - polecił. - Że UnuThul potrzebuje pomocy.

- Jedi Thul, nie jestem przekonany, czy to rozsądne - zaprotestował droid. - Killikowie niechętnie współpracują z kłamcami, a pan przestał być UnuThulem już od dość...

Lowbacca warknął, ostrzegając C-3PO, żeby uważał na to, co mówi.

Raynar obejrzał się na droida.

- Powiedz jej to, See-Threepio.

Zanim C-3PO zdążył wypełnić polecenie, ziemia znów się zatrzęsała.

Droid przechylił głowę, po czym stwierdził:

- Zdaje się, że to nie będzie konieczne. Thuruht całkiem dobrze zna basie. Zaprosiła nas do Niebiańskiego Pałacu.

Raynar spojrział w stronę jamy i schylił głowę.

- Jesteśmy wdzięczni.

Ziemia zatrzęsała się w odpowiedzi, a Raynar ruszył przodem naokoło jamy, kierując się w stronę pałacu. Powietrze było suche i gorące, a w tumanach błękitnego pyłu, który zasłaniał

wszystko poniżej pasa, trudno było znaleźć najlepszą drogę przez równinę. Raynar dwa razy zapadł się aż po uda, kiedy niechący wszedł w kolejny dół.

Kilka razy widział wybrzuszenia w ziemi, gdy któryś z olbrzymich strażników Thuruht przekopywał się przez równinę, żeby pozdrowić jego i jego towarzyszy. Zazwyczaj polegało to na tym, że zbliżał się do nich i wydawał pomruk tak głęboki, że czuli go aż w brzuchach. Dopiero jakieś trzysta metrów od pałacu z ziemi wyłoniła się ogromna głowa, która zagroziła im drogę, klekocząc żuwaczkami.

Minęło dużo czasu, odkąd Raynar należał do zbiorowego umysłu killickiego roju, ale był

przekonany, że stworzenie nie stanowi dla nich zagrożenia. Dał znak swoim towarzyszom, żeby opuścili broń, i podszedł bliżej. Uniósł swoją prawdziwą rękę w geście pozdrowienia, protezę trzymając cały czas przy boku. W odpowiedzi insekt schylił głowę i potarł czułkami o jego przedramię, po czym wydał ciche, stłumione „bum” i się oddalił.

Gdy tylko stworzenie zniknęło w ziemi, do Raynara podeszła Tekli.

- Jesteś pewnie teraz cały pokryty feromonami - zauważyła. - Masz jeszcze filtry w nosie?



Raynar pociągnął mocno nosem, z trudem wciągając powietrze, i pokiwał głową.

- Bez obaw - uspokajał, ruszając ponownie w stronę pałacu. - Nikt, kto był Dwumyślnym, nie chce nim zostać po raz drugi. Ja na pewno nie.

Lowbacca zauważył, że w ogóle nikt nie chciałby zostać Dwumyślnym. To feromony o tym decydowały.

- Nic nam nie będzie - zapewniła Wookiego Tekli. - Nawet jeśli filtry wysiądą, neutralizatory zapewnią nam ochronę na tydzień.

Lowbacca popatrzył na Raynara i warknął pytająco.

- Trudno powiedzieć - odpowiedział Raynar. - Ale tydzień powinien wystarczyć.

- A jeśli nie, to mam zapas neutralizatorów na pokładzie „Długiej Wędrówki” - dodała Tekli. - Zawsze możemy wrócić, żeby zrobić kolejny zastrzyk.

Lowbacca obejrzał się przez ramię w kierunku odległego wzgórza, gdzie wylądowali statkiem zwiadowczym, i zamruczał z niezadowoleniem.

- W zupełności się zgadzam - przyznał C-3PO. - To rzeczywiście bardzo daleko na piechotę.

Moje siłowniki po prostu tego nie zniosą.

- Ty nie musisz iść - odparł Raynar. - Feromony nie działają na droidy. Możesz poczekać z Thuruht.

- Sam? - przestraszył się C-3PO. - Jestem pewien, że księżniczka Leia nie o tym myślała, oferując moje usługi.

- Pewnie nie - zgodził się Raynar.

Kiedy wchodzili do wąwozu u stóp góry, Raynar zdał sobie sprawę, że wszystko jest jeszcze większe, niż wydawało się ze śmigacza. Wąwóz ciągnął się ze dwieście metrów w stronę bramy, a jego ściany miały dobre siedem metrów wysokości. Łuk na jego końcu był na tyle duży, że zmieściłaby się pod nim fregata klasy Lancer, a ogromne kolumny po obu stronach wejścia wznosiły się na sto metrów w górę i niknęły w chmurze pyłu.

Postaci na filarach w dużej mierze pokrywał pył. Na kolumnie po lewej stronie widać było jedynie dwie stopy zakończone ostrymi szponami, oplątane czymś, co mogło być węzem lub macką. Na kolumnie po prawej widać było jeszcze mniej - z chmury pyłu wystawało tylko pojedyncze skrzydło owinięte liną czy pnącem.

Gdy zbliżyli się na kilkadziesiąt kroków do łuku, powietrze zwilgotniało. Raynar wyczuł w Mocy połączoną obecność grupy Killików, wałęsających się po korytarzach w pobliżu wejścia, i w uszach zaczęło mu pulsować.

- Nie bój się - uspokajała Tekli, podchodząc do niego. - Jesteśmy z tobą.

Lowbacca także próbował mu dodać otuchy, obiecując, że wyciągnie go za nogi, gdy tylko dostrzeże, że Raynar staje się na nowo Dwumyślnym. Słowa płynęły ze szczerego serca, jednak nie przyniosły Raynarowi zbyt wielkiej pociechy. Miał się czego obawiać. Jeśli będzie musiał znów zostać Dwumyślnym, żeby dowiedzieć się, co Thuruht wie na temat Abeloth i Niebiańskich, to się nim stanie. I wiedział, że to samo dotyczy Lowbacki i Tekli. Zakon potrzebował informacji, po które zostali wysłani, dużo bardziej, niż potrzebował ich samych.

Cała sztuka oczywiście polegała na tym, żeby przynajmniej jedno z nich pozostało zdrowe na umyśle, choć na tyle, by móc złożyć meldunek Radzie Jedi.

Razem przeszli przez bramę i znaleźli się w chłodnych ciemnościach ruin. Raynar usłyszał

stukot zbliżających się insektów, a po chwili poczuł ocierające się o niego czułki, które zwracały szczególną uwagę na jego prawdziwą rękę. Unikały za to protezy. Killikowie nie lubili sztucznych części ciała, ponieważ zacierały one różnice między żywymi istotami a droidami, a Killikowie nie rozumieli droidów. Droidy wydawały się im obce i nie były nigdy mile widziane, bo nigdy nie zostawały Dwumyślnymi.

Gdy jego oczy przywykły do ciemności, Raynar zobaczył przed sobą trójkę Killików o cętkowanych niebieskich szkieletach zewnętrznych i czterech delikatnych ramionach. Mieli podobne głowy w kształcie serca, jak ich olbrzymi ziomkowie na zewnątrz, ale mierzyli tylko jakieś półtora metra i byli pozbawieni ogromnych żuwaczek strażników. Kiedy zobaczyli, że Raynar im się przygląda, wszyscy trzej skrzyżowali ramiona i pochyłili głowy.

- Ruur ubb unuwul burur - powiedział jeden. - Uru rur rruru bub.

- Thuruht wita mądrego UnuThula i jego podwładnych w Niebiańskim Pałacu -

przetłumaczył C-3PO. - Rój jest zaszczycony, że postanowił za jego pośrednictwem przystać ponownie do Gatunku.

Lowbacca wydał krótkie warknięcie, informując Thuruht, że nie mają zamiaru do niczego przystawać.

- Czy jest pan pewien, że mam to przetłumaczyć, Jedi Lowbacco? - spytał C-3PO. - Prawdę mówiąc, to raczej...

Thuruht przerwała krótkim dudnieniem, a droid odwrócił się w stronę insekta. Po chwili spojrzał znów na Lowbaccę.

- Thuruht mówi, że niezależnie od powodów waszej wizyty, rój jest zaszczycony, mogąc was gościć. - Przeniósł wzrok na Raynara. - Jesteśmy proszeni do komnaty królowej.

Raynar uniósłby brwi, gdyby tylko pozwalały mu na to jego blizny. Współczesne roje Killików nie były już zorganizowane wokół królowej, podejrzewał jednak, że struktura społeczna Thuruht

odzwierciedla sędziwy wiek roju. Pochylił głowę przed niebieskimi insektami.

- Jeśli tylko nas zaprowadzicie.

Cała trójka odwróciła się i powiodła Jedi oraz C-3PO pachnącym stęchlizną korytarzem, który prowadził w górę wzdłuż zewnętrznych murów pałacu. Droga była stroma i wznosiła się spiralą, która miała chyba z pięć kilometrów długości.

Często przechodzili przez zatęchłe miejsca, z których odchodziły boczne korytarze prowadzące w głąb pałacu. Nieliczne insekty, które napotykali, zdawały się raczej wałęsać bez celu niż zajmować sprawami roju. Przez większość czasu światło, jakie dawały zawieszony wzdłuż ścian kule z fosforyzującego wosku, było zbyt słabe, żeby dostrzec coś poza sylwetkami idącej przodem trójki przewodników. Co jakiś czas jednak mijali jedno z ogromnych okien, które widzieli z zewnątrz, i wówczas wlewało się przez nie światło, odsłaniając sklepione przejścia, zdobione płaskorzeźbami roślin i zwierząt z tysiąca różnych światów.

Ale to płyciny pomiędzy łukami przyprawiały Raynara o skręt kiszek. Obrazy przedstawiały majestatyczność kosmosu, zawsze z jakąś dziwną anomalią, niespotykaną w naturze. Była tam supernowa wybuchająca tylko w jedną stronę, pierścień dziewięciu planet krążących wokół

swojego słońca po jednej orbicie, mgławica wisząca niczym kurtyna między dwoma układami gwiazdnymi. Wreszcie pojawiła się scena, która wyglądała aż nazbyt znajomo - układ o pięciu planetach, krążących wokół tej samej gwiazdy po bardzo podobnych orbitach. Trzecia i czwarta planeta tworzyły zwartą formację bliźniaczych planet.

Raynar przystanął.

- Co to za obraz?

Insekty odpowiedziały, nie zatrzymując się ani nie oglądając do tyłu:

- Urrub.

- Nasze dzieło - przetłumaczył C-3PO. Droid zawiesił głos, na próżno czekając na dokładniejsze wyjaśnienie, po czym dodał: - Przykro mi, Jedi Thul, ale Thuruht najwyraźniej nie ma w tej chwili ochoty na udzielanie wyczerpujących informacji. Być może poczuli się urażeni zachowaniem Lowbacki.

Lowbacca wyjęczał wymuszone przeprosiny.

Killikowie szli dalej korytarzem.

- Czy to układ koreliański? - zawołał za nimi Raynar, nie ruszając się z miejsca.

Insekty zatrzymały się pięć metrów dalej, po czym odwróciły się z ociąganiem.

- Buurub uu ruub ur ru ub.

- Thuruht nie wie, jak nazywają go istoty niższe - przetłumaczył C-3PO. - Thuruht zna go jako Pięć Planet.

Tekli stanęła na palcach, wyciągnęła rękę, żeby zetrzeć kurz z bliźniaczych planet - trzeciej i czwartej - i zapytała:

- Czy Thuruht wie, dlaczego powstał ten układ?

- Ub.

Insekty odwróciły się i ruszyły dalej.

- Thuruht mówi, że tak - przetłumaczył C-3PO. - Czy mogę zaproponować, żebyśmy poszli za nimi? Mam wrażenie, że zaczynają się niecierpliwić.

Lowbacca wzruszył ramionami i ruszył korytarzem. Raynar i Tekli podążyli za Wookiem.

Po paru minutach skręcili w długi korytarz, jeszcze bardziej okazały i ozdobny niż poprzedni, kierując się w stronę centralnej części pałacu. Powietrze stało się teraz cieplejsze i bardziej wilgotne, a świetliste kule zaczęły lśnić jaśniej. Dziesiątki robotników pojawiało się i znikowało w bocznych korytarzach, niosąc narzędzia i bele włóknistego, żółtego grzyba lub woskowate kule złocistej membrozji, jednego z ulubionych pokarmów Killików. Raynar zaczął odczuwać pragnienie. Zauważył, jak Lowbacca powiódł wzrokiem za niosącą membrozję robotnicą, która przemknęła przed nimi.

- Tego akurat mi brakuje, jeśli chodzi o bycie Taatem - stwierdziła Tekli. Taat był to rój, do którego ona i Lowbacca przed laty nieumyślnie się przyłączyli, kiedy Raynar wezwał ich, żeby pomogli Killikom w walce z Chissami. - Prawie warto było tu przylecieć, żeby znów jej skosztować.

- Sprzedają ją też w restauracji Galatina na Coruscant - poinformował usłużnie C-3PO. - Z

tego, co wiem, horoh jest w tym roku wyborczy.

- I kosztuje tysiąc kredytów za litr - dodała Tekli. - Jestem Rycerzem Jedi, nie rekinem finansjery.

Doszli do końca korytarza, gdzie stało dwóch ogromnych strażników, blokujących swoimi długimi zuwaczkami szerokie na dziesięć metrów wejście. Przypominali oni tego, który zjadł ich śmigacz, tyle że ich oczy nie były w żadnym wypadku szczątkowe. Para popatrzyła gniewnie na zbliżający się orszak i Raynar już zaczął się obawiać, że nie zostaną wpuszczeni do komnaty królowej.

Nagle ze środka dobiegł głęboki dźwięk przypominający bębnienie. Strażnicy unieśli zuwaczki i przewodnicy wprowadzili Raynara i jego towarzyszy do przestronnej komnaty, usianej setkami zagłębień w podłodze. W zdrowym roju byłyby one wypełnione komórkami lęgowymi, jednak gruba warstwa kurzu na dnie tych zagłębień wskazywała, że nie były wykorzystywane od setek lat. W przeciwieństwie do reszty pałacu, pomieszczenie było dobrze oświetlone.

Pomarańczowe światło słoneczne wpadało przez przezroczystą błonę rozciągniętą na sklepionym

suficie.

Przewodnicy zatrzymali się kilka kroków od wejścia, przepuszczając Raynara i jego towarzyszy szeroką nawą główną w kierunku królowej. Prawie tak duża jak wartownicy przed wejściem, leżała rozciągnięta na potężnym podeście. Miała sześć mocnych nóg przylegających do brzucha wielkości banthy i parę wielokrotnie połączonych żuwaczek po obu stronach otworu gębowego. Na podłodze przed nią stało czterech strażników, identycznych jak ci przed wejściem.

Bliżej podestu znajdowały się dwa zagłębienia, wypełnione znajomym kształtem komórek łęgowych. Raynar dostrzegł nie więcej niż trzydzieści przegródek i tylko trójkę Killików do opieki nad nimi. Rój nie był więc całkiem martwy, ale też nie tętnił życiem.

Kiedy Raynar i jego towarzysze minęli ostatnią wylęgarnię, strażnicy odsunęli się od podestu, odsłaniając szerokie schody. Brzuch królowej zafalował, wypełniając komnatę długim, niskim dudnieniem, ledwo słyszalnym dla ludzkiego ucha.

- Muszę przyznać, że to całkiem nieoczekiwane - powiedział C-3PO. - Królowa zaprasza Lowbacę i Tekli, żeby ją oporzadzili.

Lowbacca zamruczał niepewnie.

- To znaczy, że macie usunąć jej zewnętrzne pasożyty - wyjaśnił Raynar. Taat, dawny rój Lowbacki i Tekli, miał znacznie bardziej egalitarną strukturę społeczną, więc prawdopodobnie nigdy nie uczestniczyli w podobnym rytuale. - To zaszczyt. Mnie oporzadzali Yoggoyowie...

Lowbacca fuknął z odrazą.

- Pomyśl o tym jak o zabiegu medycznym - poradziła szeptem Tekli. - I pamiętaj, po co tu przylecieliśmy.

Wookie westchnął i zwiesił głowę, po czym cała grupa weszła po schodach. Zza grzbietu królowej wyłoniła się służka; stanęła na jej olbrzymim brzuchu z wiadrem w jednej ręce oraz ścierką i środkiem antyseptycznym w aerozolu w dwóch innych, po czym skinęła na Lowbacę i Tekli. Jako byli Dwumyślni, mieli wystarczające doświadczenie, żeby zdawać sobie sprawę, że Killikowie nie krępiją się pełzać po sobie, więc wgramolili się obok służki.

Raynar odprowadził ich wzrokiem, a sam podszedł bliżej, żeby stanąć przed obliczem królowej. Jej głowa była nieduża w porównaniu z resztą ciała, ale i tak miała rozmiar połowy Raynara, oczy wielkości piłek do wstrząsopiłki i smukłe żuwaczki długości ręki Wookiego. Raynar uniósł swoją prawdziwą rękę w geście pozdrowienia. W odpowiedzi królowa skłoniła głowę, a następnie potarła pierzastym czułkiem o jego nadgarstek.

- Wuur uu rur uu - zadudniła. - Ubub ruub uru.

- Thuruht wita cię z powrotem w roju - przetłumaczył natychmiast C-3PO. - To zaszczyt dla roju.

Raynar poczuł ściskanie w dołku. Lowbacca wyraźnie dał do zrozumienia, że nie mają zamiaru

przyłączyć się do roju, a jednak Thuruht mówiła tak, jakby to już się stało. Wszyscy Killikowie mieli skłonność do mylenia życzeń z rzeczywistością, więc mogła po prostu wyrażać swoje przeświadczenie, że trójka Jedi ostatecznie stanie się ponownie Dwumyślnymi. Ale jej ton wydawał się natarczywy i Raynar odniósł wrażenie, że była to deklaracja woli - ostrzeżenie, że Thuruht nie zniesie sprzeciwu.

Raynar trzymał cały czas rękę w górze, aż królowa cofnęła czulek.

- Wiesz, że nie przybyliśmy tu, żeby dołączyć do roju - zaznaczył.

Królowa uniosła głowę, zastukała żuwaczkami i wydała krótki pomruk.

- „Owszem, ale to się stanie” - przełożył C-3PO. - Ona wydaje się o tym całkiem przekonana.

Raynar wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić, po czym spojrzał królowej w bliższe oko.

- To niemożliwe - oświadczył. - Pamiętasz, co się stało ostatnio, kiedy zostałem UnuThulem.

Królowa skłoniła lekko głowę i wydała serię cichych odgłosów.

- „Drugi raz nie popełnisz tego samego błędu” - przetłumaczył C-3PO. - „Przybyło ci lat i mądrości”.

- To nie ma znaczenia - odparł Raynar. - Chissom by się to nie spodobało. Rozpętałiby wojnę.

Odpowiedź królowej zabrzmiała teraz nieco łagodniej.

- „To, o czym Chissowie nie wiedzą, nam nie zaszkodzi” - przełożył C-3PO.

- Oni już wiedzą.

Z tułowia insekta dobiegł niski pomruk.

- „Powiedziałeś im?” - przetłumaczył C-3PO.

Raynar pokręcił głową.

- Nie, ale oni wszędzie mają swoich szpiegów. - Zastanawiał się cały czas, dlaczego Thuruht tak bardzo zależało, żeby on został Dwumyślnym. Goście stawali się Dwumyślnymi, jeśli byli wystarczająco długo wystawieni na działanie killickich feromonów. Jednak roje rzadko prowadziły celowy nabór, chyba że potrzebowały czegoś, co nowy Dwumyślny mógł im zapewnić. - Jeśli wkrótce nie powrócę do Galaktycznego Sojuszu, Chissowie zmobilizują się do wojny. I zaatakują Gatunek.

Królowa przyglądała mu się przez jakiś czas, po czym przechyliła głowę i zamruczała pytająco.

- Thuruht pyta, dlaczego przybyliście, skoro wasza obecność stanowi takie zagrożenie.

- Ponieważ jeszcze większe niebezpieczeństwo grozi Galaktycznemu Sojuszowi i potrzebujemy pomocy Thuruht, żeby je pokonać - wyjaśnił Raynar. - Musimy się dowiedzieć wszystkiego, co Thuruht może nam powiedzieć na temat Niebiańskich oraz istoty, która nazywa siebie...

Całe ciało królowej zadrżało.

- Ruur ub?

- Wygląda na to, że mamy szczęście, Jedi Thul - oznajmił C-3PO. - Pyta, czy to imię to Abeloth.

Raynar pokiwał głową.

- A więc wiesz, kim jest Abeloth?

Królowa wydała kilka krótkich, nerwowych odgłosów.

- Istotnie - potwierdził C-3PO. - To Thuruht ją uwięziła.

Serce Raynara zabiło mocniej.

- Dobrze. Jedi muszą usłyszeć wszystko, co Thuruht może nam o niej powiedzieć.

- Ub?

Raynar nie potrzebował tłumaczenia.

- Ponieważ Abeloth uciekła - odparł. - I nie wiemy, dokąd się udała.

Królowa podniosła głowę i wydała z siebie pomruk tak donośny, że nawet tułów Raynara zaczął rezonować. Ze wszystkich stron do komnaty zaczęli napływać robotnicy. Niektórzy nieśli kule membrozji, inni wzięli się do wycierania kurzu z zagłębień w podłodze. Opiekunowie wylęgami rzucili się do najbliższego czystego zagłębienia i zaczęli wypełniać je woskiem, tworząc plaster świeżych komórek lęgowych.

Raynar obejrzał się na C-3PO, który obserwował to nagłe poruszenie z uwagą sugerującą, że próby zrozumienia tego wszystkiego pochłaniają znaczną część jego mocy obliczeniowych.

- See-Threepio! - zawołał Raynar, próbując przekrzyczeć pomruki królowej. - O co ten hałas?

- Obawiam się, że nie dostrzegam w tym sensu, Jedi Thul - odparł droid. - Musiałem coś źle zrozumieć.

- Powiedz tak czy owak - polecił Raynar.

- Tak jest - zgodził się C-3PO. - Thuruht mówi, że rój musi się przygotować.

- Przygotować? - powtórzył Raynar. - Na co?

- Właśnie to musiałem źle zrozumieć - odparł C-3PO. - Thuruht wydaje się przekonana, że galaktykę czeka rychła zagłada. Ciągłe powtarza, że nadszedł kres czasu.

## ROZDZIAŁ 16

Przed hermetycznymi drzwiami rdzenia komputera stało dwóch wartowników Sithów z mieczami świetlnymi w rękach. Ubrani w czarne płaszcze zarzucone na czarne napierśniki, monitorowali długi korytarz prowadzący do rdzenia i co chwila mówili coś do połączonych ze słuchawkami mikrofonów. Nie ulegało wątpliwości, że trudno ich będzie zaskoczyć.

Jysella jeszcze przez chwilę obserwowała dwóch strażników na ekranie, po czym wcisnęła kulkę sterującą na dole zdalnego monitora. Dwaj Sithowie zaczęli się kurczyć, w miarę jak małe droid szpiegowski rozszerzał swój kąt widzenia. Na skraju ekranu cały czas migał jaskrawozielony pasek, oznaczający, że próbnik molekularny wciąż znajduje ślady detonitu - głównego składnika większości min przeciwpiechotnych.

Uśmiechnęła się. Miny nie będą stanowić problemu.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w ekran. Niewiele tu było do zobaczenia; jedynie biały korytarz, który prowadził do komory dekontaminacyjnej, znajdującej się obok ich celu - rdzenia komputera Świątyni Jedi. Gdy tylko jej oddział dostanie się do rdzenia, bitwa będzie w praktyce wygrana. Ich droid podłączy się do złącza danych i przekona centralny komputer, żeby wyłączył

pole ochronne i otworzył pancerne wrota. Trzy brygady piechoty kosmicznej dowodzone przez Jedi przypuszczą szturm na Świątynię. Bitwa będzie krwawa i kosztowna, ale Sithowie nie mieli dokąd uciekać. Wystarczyło ich znaleźć i wyeliminować.

Proste.

Jysella przełączyła na obraz termograficzny. Dwaj strażnicy zamienili się w jaskrawożółte plamy. Sam korytarz zrobił się niebieski z biegnącymi wzdłuż ścian pomarańczowymi pasami przewodów elektrycznych. Za nimi widać było czerwone sylwetki jeszcze dwudziestu wojowników Sithów, ukrywających się w ciasnych schowkach za ściennymi płytami.

Sithowie byli cierpliwi, to musiała im przyznać. Minęło trzydzieści sześć godzin, odkąd jej ojciec i Mistrz Skywalker postanowili włamać się do rdzenia komputera, a Sithowie zapewne czaili się za ścianami przez większą część tego czasu. Przy odrobinie szczęścia powinni być odrętwiali z przemęczenia i łatwo będzie ich przechytrzyć - w każdy razie na tyle, na ile może być łatwo przechytrzyć Sithów.

Jysella połączyła się przez komunikator z Mistrzem Skywalkerem.

- Bez zmian - rzuciła.

Nie obawiała się, że ktoś ją może podsłuchiwać. Ona, Ben i Valin znajdowali się w zamkniętym pomieszczeniu, ponad sto metrów od najbliższego Sitha. Jysella nie była pewna, gdzie ukrywają się



jej ojciec, Luke i Jaina, ale wiedziała, że oni także są w miejscu, w którym nikt ich nie usłyszy.

Kodowany za pomocą logarytmów Jedi kanał, z którego korzystali, był jeszcze bardziej bezpieczny. Grupa uderzeniowa używała komunikatorów do koordynowania swoich działań z admirałem Bwua'tu i jego sztabem. Raz, w czasie przerwy na odpoczynek, Jysella i jej brat wykorzystali kanał, żeby powiadomić swoją matkę, Mirax, że przeżyli katastrofalną zasadzkę w stacji uzdatniania wody. Jaina Solo zdołała nawet podłączyć się do HoloNetu, żeby porozmawiać z Jaggedem Felem w Szczątkach Imperium.

Sami się tutaj nie pojawili.

- Zrozumiałem, bez zmian - odpowiedział po paru sekundach Mistrz Skywalker. - Droga wolna?

- Możecie ruszać - potwierdziła Jysella. - Niech Moc będzie z wami.

- I z wami - odparł Luke. - Jeśli coś budzi wasze wątpliwości...

- Nie bój się, tato - wtrącił Ben, który stał razem z Valinem za plecami Jyselli, zaglądając jej przez ramię. - Nie ma tu żadnych bohaterów.

W słuchawce Jyselli odezwał się głos jej ojca.

- Już jesteście bohaterami, że w ogóle się na to porywacie - powiedział. - Ale martwych bohaterów nie potrzebujemy. Zrozumiano?

- Was też to dotyczy - odrzekła Jysella. - Możemy już to załatwić? Wieki nie brałam porządnego paroprysznicza.

Na kanale zapadła niezręczna cisza - głównie dlatego, że nikt właściwie nie chciał się rozłączyć. Po prawie dwóch dniach stresujących uników, ciężkich walk i pospiesznych transów uzdrawiających cały oddział czuł się nieco przemęczony.

W końcu ciszę przerwało westchnienie Jyselli.

- To był żart, w porządku? - Pokręciła głową i dodała: - Do zobaczenia wkrótce.

- W porządku - odezwała się Jaina po drugiej stronie. - Do zobaczenia wkrótce.

Na kanale znów zapadła cisza. Jysella przesunęła suwak na monitorze i rozmazane sylwetki Sithów zaczęły się zmniejszać, w miarę jak droid szpiegowski się oddalał. Droid był ledwie wielkości brzękomara, ale Jysella pilnowała, żeby nie poruszał się zbyt szybko, tak aby nie zwracał

na siebie uwagi. To była ich ostatnia szansa, żeby doprowadzić szturm na Świątynię do końca.

Gdyby jej nie wykorzystali, mogliby co najwyżej mieć nadzieję, że zginą w walce, a nie zostaną Wzięci żywcem przez Sithów.

Mimo wszystko Jysella nie chciała być teraz nigdzie indziej. Kiedy ona i Valin zgłosili się na ochotników, żeby wkroczyć do Świątyni razem z pierwszą falą Jedi, sam Mistrz Skywalker oświadczył, że będzie dumny, mając za plecami rodzeństwo Hornów - choć przecież, działając pod wpływem wywołanej przez Abeloth psychozy, zdradzili jego i Bena na Nam Chorios. A skoro Luke Skywalker mógł okazać taką lojalność wobec nich, to ona z całą pewnością była gotowa zrewanżować się tym samym.

Po paru sekundach na obrazie termograficznym pojawiły się trzy żółte kształty, posuwające się korytarzem. Dwaj wartownicy strzegący dostępu do rdzenia komputera podeszli do komory dekontaminacyjnej, po czym zniknęli za białą plamą zapalonych mieczy świetlnych.

Jysella ponownie włączyła laryngofon.

- Siedem metrów - oznajmiła, oceniając odległość od min przeciwpiechotnych, które wykrył

droid szpiegowski. - Zatrzymajcie się tu.

Wszystkie trzy postacie - jedna mniejsza, kobieca, i dwie męskie - zatrzymały się. Wyższy mężczyzna wyciągnął rękę i Jysella ledwie zdążyła przełączyć monitor na obraz konwencjonalny, zanim wywołany Mocą nacisk zdetonował pierwszą minę. Słup pomarańczowego ognia wystrzelił

w górę, tworząc grzyb pod sufitem. Następnie eksplodowała druga mina, a po niej trzecia i czwarta.

Fale uderzeniowe porwały droida szpiegowskiego i obraz na monitorze nagle się rozmazał.

- Pułapka rozbrojona - stwierdziła Jysella. Obejrzała się na Bena. - Doskonały plan. Miejmy nadzieję, że reszta pójdzie tak samo dobrze.

- To nie był tylko mój plan - zauważył Ben.

Początkowo zaproponował, żeby to on i Jysella odciągnęli strażników, ale ich ojcowie uznali, że Sithowie prędzej dadzą się podejść, jeśli będą wiedzieć, gdzie są obaj Mistrzowie i Jaina.

- Ale i tak zadziała - dodał Ben. - Możesz być spokojna.

Ledwie wypowiedział te słowa, gdy z rdzenia komputera dobiegł stłumiony trzask błyskawicy Mocy. Jysella za pomocą kulki sterującej odzyskała kontrolę nad droidem szpiegowskim, a następnie pokierowała nim, aż na ekranie ukazali się Sithowie. Cała dwudziestka zdawała się pędzić korytarzem za nawałnicą blasterowego ognia i błyskawic Mocy. Nigdzie nie było śladu ani ojca Bena, ani jej ojca, za to w górze, pod sufitem, widać było drobną sylwetkę JAINY, która wirowała w powietrzu, odbijając kolorowe wiązki z powrotem w kierunku ścigającego ją tłumu.

Jysella obróciła droida szpiegowskiego w stronę rdzenia komputera. Na monitorze pojawił

się zadymiony, usiany śladami po eksplozjach korytarz, a w nim fragmenty odsłoniętych rur i okablowania. Na podłodze leżało sześć ciał - wszystkie należące do Sithów. Ciężkie drzwi prowadzące do komory dekontaminacyjnej były zamknięte, ale niestrzeżone, a klawiatura panelu

kontrolnego rzuciła słaby zielonkawy blask na pobojowisko.

- To zbyt łatwe - mruknęła Jysella. - Nawet twoje plany nie mogą być aż tak dobre, Jedi Skywalker.

- Kolejna pułapka - zgodził się Ben. - Żadnych wartowników i więcej ciał, niż mogłoby zostawić za sobą troje ludzi biegnących w przeciwnym kierunku.

- To nie byli zwykli ludzie biegnący w przeciwnym kierunku - przypomniał mu Valin. -

Tylko Miecz Jedi i dwóch członków Rady.

- Mimo wszystko... - Ben sięgnął ponad ramieniem Jyselli i postukał w ekran. - Przeleć droidem i zobacz, którzy udają.

Jysella ustawiła sensory słuchowe droida na maksimum i zrobiła tak, jak sugerował Ben.

Usłyszeli mnóstwo trzasków i syków z przerwanych przewodów i nieszczelnych rur, ale nic, co brzmiałoby jak bicie serca - nawet bardzo słabe. Zatrzymała droida kilka metrów od rdzenia komputera.

- Musimy po prostu się z tym pogodzić - oświadczył Valin. - Nasi ojcowie są niesamowici w walce.

- Jaina też - dodała Jysella. - Ale lepiej nie ryzykować. Pójdę przodem i zrobię rozpoznanie.

Zanim Ben albo jej brat zdążyli zaprotestować, Jysella wcisnęła guzik otwierający drzwi i wyszła na korytarz. Dwadzieścia sekund później znalazła się w zadymionym przejściu prowadzącym do rdzenia komputera. Zatrzymała się na skrzyżowaniu i powoli rozszerzyła świadomość Mocy w kierunku drzwi, ale nic nie wyczuła - nawet najsłabszych oznak życia.

I wtedy usłyszała za plecami cichy warkot kółek zbliżającego się droida. Obejrzała się i zobaczyła Draba, który podążał parę metrów za nią. Nie sposób było stwierdzić, czy mały droid źle zrozumiał polecenie, czy też oddalił się od Bena i Valina z własnej inicjatywy, w każdym razie odesłanie go z powrotem nie wchodziło w rachubę. Nie było na to czasu, poza tym samo wydanie polecenia mogło zwrócić na nich niepotrzebną uwagę.

Jysella dała znak Drabowi, żeby zaczekał z tyłu, wyciągnęła pistolet blasterowy i podeszła do pierwszego ciała. Sith z dymiącą jeszcze dziurą od blastera w czole bez wątpienia nie stanowił

żadnego zagrożenia. Posłała mu jeszcze dwie wiązki, chcąc zmusić do ujawnienia się tych, którzy mogli udawać martwych.

Kiedy nikt się nie poruszył, Jysella podeszła do kolejnego ciała i zobaczyła, że ono także ma dziurę od blastera na środku czoła.

Podobnie jak następne i jeszcze następne, i cała szóstka. Jysella wmawiała sobie, że to zupełnie naturalne, bo skoro Sithowie mieli pod płaszczami pancerze, jedynym miejscem, w które można było ich trafić, była głowa. Jakkolwiek by jednak na to patrzeć, wymagało to niebywalej celności od

kogoś, kto uciekał.

Jysella była zaledwie parę kroków od rdzenia komputera, kiedy za jej plecami znów rozległ się cichy warkot. Odwróciła się, zapalając miecz świetlny, i zbliżyła go do kopułki Draba. Mały droid zapiszczał z niepokojem i cofnął się, a potem nagle wysunął swoje ramię spawalnicze i ruszył znów naprzód, strzelając iskrami w kierunku Jyselli.

- Przestań! - Jysella wskazała mieczem świetlnym na skrzyżowanie. - Chyba kazałam ci tam zaczekać?

Drab zignorował ją i przejechał pod skwierczącą klingą, kierując się w stronę rdzenia komputera. Zamienił ramię spawalnicze na ramię interfejsu i zaczął pracować nad sforsowaniem zamka.

Jysella w tym czasie połączyła się z Benem.

- Nie zgubiliście czegoś?

- Draba. - Ben wydawał się mocno poirytowany. - Wyszedł jakieś dziesięć sekund po tobie, a potem zaczął robić okropnie dużo hałasu, kiedy próbowałem go wciągnąć z powrotem. W końcu uznaliśmy z Valinem, że bezpieczniej będzie go puścić.

- Chyba dobrze się stało - skwitowała Jysella. - W korytarzu nikogo nie było, a i tak potrzebowałabym go do otwarcia komory dekontaminacyjnej. Dam znać, jak to wygląda, kiedy znajdzie się już w rdzeniu.

- Dobra - odparł Ben. - Będziemy cię osłaniać.

Jysella się rozłączyła, a pięć sekund później razem z Drabem stali już w małym pomieszczeniu, omiatani strumieniem powietrza i pokrywani warstwą substancji utrwalającej.

Kiedy odkażanie się zakończyło, otworzyły się wewnętrzne drzwi i Jysella zobaczyła przed sobą ogromne, okrągłe pomieszczenie, poprzecinane błyskami niebieskiego prądu.

Pośrodku znajdował się półokrągły balkon serwisowy, sięgający około piętnastu metrów w głąb pomieszczenia; stało na nim kilka rzędów monitorów i stacji interfejsu. Tuż pod balustradą balkonu zawieszono konstelacje holograficznych wskaźników, migających na czerwono, zielono i żółto; w oddali łagodny niebieski blask chmur pamięci unosił się pomiędzy skwierczącymi kulami klastrów obliczeniowych.

Jysella uświadomiła sobie, jak blisko są wypełnienia zadania, i serce zaczęło jej walić jak młotem. Trzeba jedynie pokonać kilkanaście metrów i podłączyć Draba do konsoly interfejsu komputera. Droid najwyraźniej też zdawał sobie z tego sprawę, bo zaćwierkał z podniecenia i wytoczył się na podłogę balkonu.

- Nie tak szybko, mały. - Jysella, posługując się Mocą, wciągnęła go z powrotem do komory

dekontaminacyjnej. - To się wydaje podejrzanie łatwe.

Droid zagwizdał na znak protestu, ale Jysella zignorowała go i zaczęła rozszerzać swoją świadomość Mocy na całe pomieszczenie. Gdzieś ponad nią, w pobliżu wejścia unosiła się jakaś słaba, udręczona obecność. Znajdowała się tutaj także inna, mroczna obecność - rozproszona i potężna. I była wszędzie, tak jakby sam rdzeń komputera stał się Sithem.

Nie mogąc użyć komunikatora w obrębie magnetycznych osłon chroniących rdzeń, Jysella sięgnęła poprzez Moc i odnalazła Bena oraz Valina, którzy zmierzali korytarzem w stronę komory dekontaminacyjnej. Wypełniła swoją obecność poczuciem spełnienia - żeby dać im do zrozumienia, że dostała się do środka - a następnie niepokojem. Niemal od razu poczuła obecność swojego brata, który odpowiedział troską i ostrożnością. Ben dodał cierpliwość i zrozumiała, że chcą, aby zaczęła.

- Tutaj się zgadzamy - powiedziała na głos.

W dalszym ciągu nie opuszczając komory, sięgnęła ponad Drabem do panelu sterowania.

Droid zaświergotał z rozczarowaniem i osiadł na swoich gaśnicach. A kiedy Jysella wcisnęła guzik, żeby zamknąć hermetyczne drzwi, mały robot zabrzęczał drwiąco i wyskoczył na balkon.

- Drab!

Jysella ledwie zdążyła dać nura, zanim drzwi się za nią zamknęły. Wylądowała tuż przed komorą dekontaminacyjną, przetoczyła się po podłodze i zamarła w półprzysiadzie, gotowa do walki, wyczulona na najdrobniejsze oznaki niebezpieczeństwa. Wyczuła jedynie udręczoną obecność ponad sobą i za plecami, słabą i ledwie świadomą, a za balustradą balkonu te same miazmaty ciemnej energii, które wykryła wcześniej.

Drab wciąż posuwał się naprzód. Zmierzał najwyraźniej do trzech obrotowych foteli, stojących naprzeciwko głównej konsoli interfejsu. Na oparciu środkowego fotela gwiazdzisty ślad po przypaleniu otaczał ciemną dziurę w miejscu, gdzie mniej więcej powinno znajdować się serce siedzącego człowieka. Jysella przywarła plecami do drzwi komory dekontaminacyjnej i ponownie rozszerzyła swoją świadomość Mocy. Wciąż nie wyczuwała żadnych oznak nadciągającego ataku.

Kiedy Drab dotarł do głównej konsoli administracyjnej i bez widocznych problemów podłączył się do gniazdka dla droidów, Jysella uznała, że może spuścić go na chwilę z oka. Odeszła od drzwi i odwróciła się w stronę komory dekontaminacyjnej.

W odległości kilku metrów zobaczyła znajomą postać, zawieszoną do góry nogami. Postać patrzyła na nią podbitymi oczami. Twarz miała posiniaczoną i spuchniętą niemal nie do poznania, a jedna ręka sterczała ze stawu pod nieprawdopodobnym kątem. Nietrudno było jednak rozpoznać klasycznie obcięte, krótkie, brązowe włosy i szary tabard.

- Dorvan? - wykrztusiła Jysella. W pierwszej chwili chciała rzucić się, żeby mu pomóc, uznała jednak, że lepiej będzie pozostać na miejscu, dopóki nie zorientuje się, co się tu dzieje. - Co się

stało?

- Ona... ona mnie nie doceniła - odpowiedział Dorvan. Na jego spuchniętej twarzy pojawił się grymas, który mógł być uśmiechem. - Tak jak wszyscy.

- Kto? - zapytała Jysella.

Wzrok Dorvana skierował się na główną konsolę interfejsu, gdzie cały czas pracował Drab

- i gdzie stał fotel z wypaloną dziurą.

- Ona.

- Kto? - powtórzyła Jysella.

- Ona. - Dorvan chyba chciał coś pokazać palcem, ale jego pozycja mu to uniemożliwiła. -

Patrz.

Jysella zastanawiała się przez chwilę, czy to nie jakaś pułapka, w końcu jednak uznała, że cokolwiek tu zaszło, już się skończyło. Cały czas wyczulona na obecność Dorvana, podeszła ostrożnie do głównej konsoli interfejsu, gdzie Drab, migocząc i piszcząc, komunikował się z rdzeniem komputera.

Odwróciła się w stronę foteli administratorów. Dwa z nich były puste, za to środkowy zajmowała niebieskoskóra Jessaranka. Pośrodku klatki piersiowej miała wypaloną dziurę, kolejną między oczami, a trzecią z boku głowy.

Roki Kem.

- Ostrożnie... - Z tej odległości głos Dorvana był tak słaby i pełen bólu, że ledwie było go słyszeć. - Ona żyje.

Jysella obejrzała się na mężczyznę, który, jak zaczynała podejrzewać, postradał zmysły pod wpływem tortur Sithów.

- To pan zabił Roki Kem?

- Przecież mówię! - warknął Dorvan. - Ona żyje! I to nie jest Roki Kem.

Zanim Jysella zdążyła odpowiedzieć, Drab przerwał natarczywym gwizdem. Uniosła rękę, dając znak Dorvanowi, żeby zaczekał, i odwróciła się ponownie w stronę Draba.

- O co chodzi?

Droid wydał z siebie zniecierpliwiony świergot, a potem monitor nad stacją interfejsu obudził się

nagle do życia. Obraz był ciemny i zamazany, ale Jysella podejrzewała, że droid pokazuje jej korytarz. Sądząc po słabym oświetleniu oraz płatach rdzy i mchu, przylegających do durastalowych ścian, było to gdzieś w głębi Świątyni Jedi, a może nawet w jakimś innym budynku.

- Nie daj się zwieść! - zawołał z balkonu Dorvan. - To nie jest... Roki Kem!

- Dobrze, skoro pan tak twierdzi. - Jysella nie podnosiła wzroku. Wiedziała już, co prawdopodobnie chce jej powiedzieć Dorvan. Że to jakiś potężny Sith podający się za Roki Kem.

Wpatrując się cały czas w ekran, zapytała Draba: - Co mam tu zobaczyć? Czy to ma jakiś związek z polem siłowym albo z drzwiami?

Z boku ekranu, obok obrazu korytarza zaczął się przesuwać tekst wiadomości: „Znalazłem Vestarę Khai”. Wraz ze słowami pojawiła się drobna kobieca postać ubrana w płaszcz Jedi, biegnąca korytarzem z dołu ekranu ku górze. „Ucieka do podziemi Świątyni, obecnie jest na poziomie 30, w korytarzu N300X”.

- Do podziemi? - powtórzyła Jysella. - Co ona tam robi, u licha?

Zanim jeszcze skończyła zadawać pytanie, na monitorze pojawił się tuzin wojowników Sithów, pędzących korytarzem w pogoni za Vestarą.

„Walczy o życie”, odparł Drab.

- Właśnie widzę - powiedziała Jysella. - Dobra, postaraj się mieć ją na oku. Ben będzie chciał wiedzieć, co się z nią stało. Ale naszym priorytetem są pole siłowe i drzwi.

Poczuła, jak Valin sięga ku niej poprzez Moc, skonsternowany i zatroskany. Najwyraźniej on i Ben weszli do komory dekontaminacyjnej i zaniepokoiili się, gdy jej tam nie zastali.

Odpowiedziała krótkim przyływem frustracji - „Drab” - a następnie uczuciem spokoju.

Ich komunikację przerwał nagle bolesny krzyk dobiegający od strony ściany, na której wisiał Dorvan. Spodziewając się czegoś gorszego niż to, co już tam zobaczyła, Jysella obejrzała się i stwierdziła ze zdziwieniem, że to tylko udręczony biurokrata próbuje przyciągnąć jej uwagę.

- Sama pakujesz się w jej ręce! - zawołał Dorvan.

- Komu? - Jysella wskazała na zwłoki Kem. - Jej?

- Tak! - odparł Dorvan. - Nie widzisz? Ona tobą manipuluje!

Jysella spojrzała na ciało. Widząc, że cały czas jest martwe, stwierdziła, że Dorvan jednak postradał rozum.

- Panie Dorvan - zwróciła się do niego celowo spokojnym głosem. - Ja już wiem, kim naprawdę jest Roki Kem.

Dorvan wybałuszył oczy ze strachu.

- Wiesz?

Jysella pokiwała głową.

- Tak. Jest Arcylordem Sithów. - Gdy to mówiła, Drab zaćwierkał, żeby zwrócić na siebie uwagę. Dała mu znak, żeby chwilę zaczekał, po czym dodała: - Być może nawet następcą Wielkiego Lorda na Coruscant.

Strach malujący się na twarzy Dorvana zamienił się w zgrozę.

- Nie! - Jego skóra poszarzała. Wyglądał, jakby doznał szoku. - Nie rozumiesz!

Drab znów spróbował przyciągnąć jej uwagę, tym razem natarczywym piskiem. Jysella postanowiła skupić się na swojej misji, a nie na sponiewieranym umyśle jeńca. Dotknęła Dorvana poprzez Moc.

- Rozumiem - zapewniła, oblewając go tą samą kojącą energią Mocy, której używała zawsze dla wzmocnienia swoich sugestii. - Wszystko będzie dobrze.

Dorvan zaczął teraz bełkotać, co Jysella była skłonna uznać za objaw uspokojenia.

Odwróciła się ponownie w stronę monitora nad gniazdkiem, do którego podłączony był Drab.

Niemal natychmiast po ekranie zaczęły przesuwać się słowa.

„Rdzeń komputera szwankuje. Twierdzi, że jest panem Świątyni Jedi. Twierdzi, że jest Ukochaną Królową Gwiazd i że zablokował pole ochronne i wszystkie drzwi pancerne w Świątyni Jedi”.

Jysella poczuła, jak przewracają jej się wnętrzności.



- Ukochaną Królową Gwiazd? - jęknęła tak cicho, że sama ledwo się usłyszała. - Zapytaj komputer o imię.

Z gniazdka interfejsu wystrzelił pióropusz ognia, a Drab przemknął po balkonie, rozsiewając iskry, dym i swąd topionych obwodów. Zatrzymał się dopiero na balustradzie, po czym się przewrócił, a ze wszystkich spawów na jego obudowie zaczęły wyciekać roztopiony metal i piana gaśnicza.

Z monitora dobiegł sygnał powiadomienia, a na ekranie pojawiła się odpowiedź na pytanie Jyselli.

„Wiesz, kim jestem”.

Tak, Jysella już wiedziała.

Jedi przyszli po Sithów... a znaleźli Abeloth.

Jysella poczuła zimno na całym ciele. Jej myśli stały się dziwnie mętne, a emocje zagmatwane. Zaczęła się trząść. Abeloth już raz opanowała jej umysł. Nie mogła na to pozwolić po raz drugi - i nie pozwoli. Odpięła detonator termiczny od swojej bojowej uprząży, odbezpieczyła go i zaczęła się cofać w kierunku śluzy powietrznej...

...a wtedy przypomniała sobie o swoim bracie i Benie.

Powinni już być przy niej, dodać jej siły i odwagi - i pomóc podjąć właściwą decyzję. Ale jak dotąd nic nie słyszała - nawet wołania o pomoc w Mocy.

Jysella odwróciła się i zobaczyła, że światelko nad śluzą powietrzną wciąż jest żółte. Pompy cały czas pracowały - filtrowały powietrze albo je po prostu usuwały.

Poszukała ich w Mocy, ale znalazła tylko jedną obecność, zbyt słabą i bliską śmierci, żeby stwierdzić, czy to Ben, czy jej brat. Ustawiała zapalnik detonatora termicznego na jedną sekundę i odwróciła się ponownie w kierunku rdzenia komputera... w kierunku Abeloth.

- Otwórz śluzę powietrzną... szybko.

Ku zaskoczeniu Jyselli drzwi odsunęły się natychmiast z głośnym sykiem, który sugerował, że śluza została już rozhermetyzowana. Bena nie było nigdzie widać, za to ciało jej brata leżało nieruchomo na podłodze. Dotknęła go poprzez Moc i widząc, że jeszcze żyje, zaczęła nim potrząsać.

- Valin! Zbudź się! - Wciąż trzymając w ręku detonator, weszła do śluzy powietrznej i uklękła przy nim. - Gdzie Ben?

Znad drzwi śluzy dobiegł głośny jęk, a potem rozległ się głos Wynna Dorvana.

- Przecież ostrzegałem! - zawołał. - Ona widzi przyszłość!

**ROZDZIAŁ 17**

Perłowa opalizacja nadprzestrzeni zmieniała się w smugi błękitnego światła, a potem linie stały się gwiazdami i „Sokół Millennium” znalazł się ponownie w normalnej przestrzeni. W ciągu niecałej minuty Coruscant zamieniła się z odległej planiki w tarczę wielkości beldona. Zanim Leia włączyła sensory, planeta wypełniała już cały iluminator - ogromna kula, mieniąca się tak jasno, że całą kabinę zalewała swoim złotym blaskiem.

Leia włączyła monitor taktyczny i zdumiała się, widząc schemat, który zrozumiała na pierwszy rzut oka. To nie było normalne. Zwykle przestrzeń wokół Coruscant była tak zapchana statkami, że tylko droid astromechaniczny mógł rozpracować skłębione warstwy widocznych na monitorze symboli i znaleźć bezpieczną trajektorię lotu.

Tego dnia jednak Leia mogła sama wybrać trasę. Na ekranie były widoczne normalne symbole oznaczające obiekty orbitalne, takie jak zakłady produkcyjne, platformy bojowe i zwierciadła słoneczne. Większość pozostałych symboli oznaczała wojskowe grupy operacyjne, zwykle złożone z pojedynczego gwiazdowego niszczyciela i otaczających go eskortowców.

Wojskowe okręty były rozmieszczone wokół planety w sposób, który nie przypominał

żadnego znanego Leii schematu. W niektórych miejscach trzy albo cztery grupy zdawały się krążyć wokół siebie nawzajem, tak jakby w każdej chwili mogła rozpocząć się bitwa. Gdzie indziej można było dostrzec ogromne obszary niestrzeżonej przestrzeni, a nieliczne cywilne statki przemykały, zmierzając na powierzchnię lub w przeciwnym kierunku.

Han zdawał się ledwie dostrzegać to niezwykle rozmieszczenie obiektów. Skierował po prostu „Sokoła” w stronę jednego z niestrzeżonych obszarów, po czym odwrócił głowę w kierunku stanowiska nawigatora.

- Wyślij teraz tę wiadomość, Jayk - polecił. Jayk była jednym z trzydziestu nowych Rycerzy Jedi na pokładzie „Sokoła”. Mistrzowie Solusar wysłali ich, żeby wzmocnili siły Jedi na Coruscant.

- Amelia pewnie się zamartwia o swoją kudłatą przyjaciółkę.

- Tak jest, kapitanie - powiedziała Jayk. Smukła Rynka miała czerwone włosy i nos tak mały, że tylko trochę przypominał dziób. Podobnie jak większość młodych Jedi na pokładzie, została awansowana z uczennicy na pełnoprawnego Rycerza Jedi tuż przed tym, jak naprawiony pospiesznie „Sokół” i „Smocza Królowa II” rozdzieliły się na Taanabie. - Przygotowałam już transmisję z ujęciem Anji bawiącej się z Jedi Rivai. Mam nadzieję, że to ją uspokoi.

Oswojone nexu pojawiło się na pustej koi Allany tuż przed ostatnim skokiem w nadprzestrzeń. Niestety, aż do tej pory „Sokół” był zmuszony do zachowania ciszy na łączach, więc była to pierwsza okazja, by powiadomić Allanę na pokładzie „Smoczej Królowej II”, że mają u siebie Anji.

- Daj znać, kiedy odpowiedzą - dodał Han. Włączył silniki hamujące tak gwałtownie, że Leią cisnęło na pasy. - Czekam na wiadomość.

- Hej, pilociku, spokojnie - odezwała się Leia. - Rzucanie pasażerami nie sprawi, że Amelia cię

przeprósi.

- A kto oczekuje przeprosin? - odparł Han. - Szkoda tylko, że nie przyszła się z nami pożegnać.

- Była na nas zła - zauważyła Leia. - I może miała powód. Dostyc szybko zakończyliśmy dyskusję.

Han się na nią obejrzał.

- A o czym tu dyskutować? Coruscant to strefa walk. Nie zabierzemy tam dziewięcioletki, a już na pewno nie jej.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Leia. - Ale można to powiedzieć na różne sposoby.

- Sądzę, że mój sposób całkiem nieźle zdał egzamin. - Han rozejrzał się po kabinie. -

Widzisz ją gdzieś tutaj?

- Nie o to chodzi - powiedziała Leia. - Nie zdążyłam się z nią pożegnać, zanim opuściliśmy

„Smoczą Królową”. Jak myślisz, jak ona się poczuje, jeśli nie wrócimy?

- Tak jakby faktycznie miało się tak zdarzyć - odparł Han, przewracając oczami.

Wpadli w atmosferę Coruscant o wiele za szybko i „Sokół” znów zwolnił, jeszcze gwałtowniej niż poprzednio. Na zewnątrz kabiny buchnęły wywołane tarciami płomienie, a statek zaczął szarpać i nagrzewać się w środku. Z powodu okupacji planety przez Sithów nadciągali dosłownie jak gorący, jasny meteor, próbując wykorzystać zamęt w szeregach wroga, żeby zniknąć w mieście, zanim ktokolwiek zdąży ich zaatakować.

Leia skierowała ponownie wzrok na monitor taktyczny. Najbliższą grupę operacyjną stanowił lekki krążownik eskortowany przez trzy fregaty. Okręty właśnie się obracały i wypuszczały w kierunku „Sokoła” eskadrę myśliwców typu XJ5 ChaseX. Leia wytyczyła przybliżony punkt spotkania i z ulgą stwierdziła, że „Sokół” powinien do tego czasu dotrzeć do korytarzy powietrznych nad powierzchnią Coruscant.

- Jak nam idzie? - spytał Han.

- Uda się - zapewniła Leia. - Ale nie zwalniam.

- A jeśli kadłub zacznie się topić?

- Poszukaj deszczu. - Leia wpatrywała się w symbole na monitorze, próbując odgadnąć, czy dowódca grupy jest po stronie Jedi, czy Sithów. - Nie wiesz, kto dowodzi „Regalle”?

Han pokręcił głową.

- Artoo, spróbuj się dostać do bazy danych Piątej Floty i...

Ze stanowiska nawigatora dobiegł sygnał wiadomości.

- Chwileczkę - poprosiła Jayk. - Ktoś nas wywołuje.

- „Regalle”? - spytała Leia.

- „Lady Worbi” - odrzekła Jayk. - To fregata klasy Stella z...

- Wiem, kto lata na Stellach, Jayk - przerwała jej łagodnie Leia. - Nie wiem natomiast, co tu robi Hapańska Flota Królewska.

- Mam ich zapytać? - spytała Jayk.

- Po prostu się połącz - polecił Han, wyraźnie zirytowany niezdolnością młodej Jedi do czytania mu w myślach. - Przecież nie próbujemy ich unikać.

- Tak jest, kapitanie.

Rozległ się cichy trzask, a potem z głośników w kabinie popłynął znajomy głos Taryn Zel.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zagadnęła. - Ale zawieruszyła nam się gdzieś jedna z pasażerek. I nasz, eee, dowódca wysłał „Lady Worbi” z zapytaniem, czy przypadkiem nie zakradła się po kryjomu na wasz statek.

Leia uśmiechnęła się mimowolnie, rozbawiona starannym doбором słów. Mówiąc

„dowódca”, Taryn miała na myśli Allanę, która bez wątpienia robiła sporo hałasu na pokładzie

„Smoczej Królowej II” wokół swojego zagubionego nexu. Leia włączyła swój mikrofon.

- Prawdę mówiąc, znaleźliśmy pasażera na gapę - oznajmiła. - Leżała zwinięta w kłębek w swoim ulubionym miejscu. Przekaż dowódcy, że jej kudłata przyjaciółka ma się dobrze.

- Jej kudłata przyjaciółka? - To był głos Zekka. - Ile nóg miała ta pasażerka na gapę?

Leii zamarło na chwilę serce.

- Cztery - odpowiedziała. - A ile nóg...

- Dwie - odparła Taryn. - Zauważyliśmy zniknięcie pewnej młodej damy po odlocie z Taanab.

- Młodej damy?! - ryknął Han. Pociągnął za drążek, wyprowadzając „Sokoła” z lotu nurkowego. - Chcecie powiedzieć, że Amelia zakradła się na ten statek?

Na monitorze taktycznym punkt spotkania z eskadrą myśliwców ChaseX przesunął się w górę, na najwyższe poziomy miasta.

- Han, nie zwalnij! - upomniała go Leia. Nie było odwrotu. Nie mogli pozwolić, żeby

„Regalle” i jej grupa operacyjna zbliżyły się na odległość strzału, zwłaszcza jeśli na pokładzie była Allana. - Pikuj dalej!

Han zerknął na swój monitor i zmarszczył brwi.

- Jak myślisz, jakie są szanse, że ci tutaj są po naszej stronie?

- Pół na pół - odparła Leia. - A to za mało.

- Chyba masz rację. - Han pchnął znów drążek do przodu, po czym włączył interkom statku.

- Amelia Solo do kabiny, natychmiast!

- Sprawdzamy, co z tą pasażerką na gapę - poinformowała „Lady Worbi” Leia. - Jeśli jej nexu tu jest, to ona pewnie także.

- My też tak przypuszczamy - zgodziła się Taryn. - Możecie zawrócić, żeby się z nami spotkać?

Leia spojrzała na monitor taktyczny i zobaczyła, że eskadra ChaseX-ów cały czas ściga

„Sokoła”, podczas gdy „Regalle” i jej eskorta rozpraszają się, żeby powiększyć zasięg ognia swoich turbolaserów.

- Raczej nie - odrzekła. - Nie wiemy, kto jest za nami, ale nie wyglądają przyjaźnie.

- W porządku - oznajmiła Taryn. - Będziemy was osłaniać, a potem zastanowimy się, co dalej. Informujcie nas na bieżąco.

- Zrozumiałam - potwierdziła Leia. Nie wyczuwała obecności swojej wnuczki na pokładzie

„Sokoła”, ale nie było w tym nic dziwnego. Po tym, co stało się na Klatooine, pracowała z Allaną nad technikami kamuflażu, a to obejmowało także ukrywanie swojej obecności w Mocy. - Damy znać, jak tylko ją znajdziemy.

„Sokołem” rzucało na wszystkie strony w gęstniejącej atmosferze, a ostrzegawczy brzęczyk oznajmił, że temperatura kadłuba podniosła się do poziomu krytycznego. W pomarańczowym żarze wokół kabiny pojawiły się języki białego ognia, a kawałki skorodowanego metalu zaczęły odpadać od kadłuba. Han nie miał innego wyjścia, jak tylko zmniejszyć kąt podchodzenia. Pociągnął za dźwignię przepustnicy, wykorzystując napęd repulsorowy, żeby spowolnić opadanie.

R2-D2 zaczął ostrzegawczo i niemal natychmiast rozległy się alarmy, sygnalizujące, że zostali namierzeni.

- Artoo, spróbuj zidentyfikować te ChaseX-y - rozkazała Leia. Włączyła interkom. -

Przygotujcie się na bitwę. Ramud i Huli, do broni, ale nie otwierajcie ognia. Amelia, jeśli nie będzie cię w kabinie za...

- Już idę! - dobiegł cienki głosik z tunelu prowadzącego do kabiny. - Cierpliwości! Tata dopiero co mnie zawołał.

- Bo nie wiedzieliśmy, że jesteś na pokładzie. - Leia odwróciła się i zobaczyła wnuczkę, biegnącą korytarzem z Anji przy boku. Ubrana w ocieplany kombinezon, Allana była pokryta od stóp do głów różnokolorowymi smarami. Leia wskazała na pusty fotel naprzeciwko Jayk. -

Będziesz musiała się gęsto tłumaczyć, młoda damo.

- Już wam przecież tłumaczyłam - odparła Allana. Usiadła w fotelu i zapięła pasy. - Tylko nie słuchaliście wtedy, na „Smoczej Królowej”.

- Bo jesteśmy twoimi rodzicami - oświadczył Han. - Nie musimy cię słuchać.

- To stek *poodoo* - odparowała Allana. - Sam zawsze powtarzasz, że nie można pozwalać, żeby inni mówili ci, co masz robić.

- My nie jesteśmy inni - przerwał jej Han. - My powinniśmy ci mówić, co masz robić. To nasz obowiązek.

Allana przewróciła oczami i spojrzała na Leię.

- Miałam wizję - przypomniała. - Tak jak na...

Zerknęła na Jayk, najwyraźniej zastanawiając się, jak dużo powinna powiedzieć przy Jedi, której nie znała zbyt dobrze.

- Dokończymy tę rozmowę później - zdecydowała Leia, odwracając się z powrotem do przodu. - Na razie musimy się zorientować, czy te myśliwce, które mamy na ogonie, to przyjaciele, czy.

R2-D2 przerwał jej przenikliwym gwizdem, a na monitorze drugiego pilota pojawiło się jedno słowo: „Wróg”.

- *Bloah* - mruknęła Leia. - Jesteś pewien?

„Prawdopodobieństwo wynosi dziewięćdziesiąt trzy koma cztery procent - poinformował

R2-D2. - Grupą operacyjną dowodzi admirał Polow, absolwent Akademii Kosmicznej Galaktycznego Sojuszu”.

- Akademii Kosmicznej Galaktycznego Sojuszu? - powtórzyła Leia. - Nie Nowej Republiki?

R2-D2 zagwizdał potakująco.

- Dziękuję, Artoo - oznajmiła Leia, dostrzegając nowy problem. Akademia Kosmiczna Galaktycznego Sojuszu istniała dopiero od trzech lat. To oznaczało, że oficer, który ją ukończył, mógł mieć stopień najwyżej komandora porucznika. Połączyła się z „Lady Worbi”. - „Lady Worbi”, dobra wiadomość

jest taka, że znaleźliśmy pasażerkę na gapę. Siedzi tuż obok mnie i czuje się dobrze.

- To rzeczywiście dobra wiadomość - odparła Taryn. - A jaka jest ta zła?

- Widzicie tę grupę operacyjną za nami?

- Oczywiście. - Taryn wydawała się niemal urażona. - Stanowią jakiś problem?

- Jak dotąd nas nie wywołali - oznajmiła Leia. - Ale jesteśmy przekonani, że ich dowódca nie jest jednym z naszych.

- Rozumiem. - Taryn zamilkła na chwilę, a potem dodała: - Z tą eskadrą ChaseX-ów za wiele nie zrobimy, ale jeśli chodzi o krążownik i eskortowce, to postaramy się uprzykrzyć im życie.

- Dziękuję - odpowiedziała Leia. - To nam bardzo pomoże.

Rozłączyła się i zobaczyła, że „Sokół” za chwilę zacznie ocierać się o iglice wieżowców.

Wkrótce zaczną podpalać mijane budynki, a nawet Han nie był na tyle genialny, żeby móc lecieć frachtowcem typu YT-1300 z taką prędkością przez zatłoczone korytarze powietrzne Coruscant.

Jednak monitor taktyczny pokazywał, że przewidywany punkt ataku znajduje się na górnej granicy miasta, eskadra ChaseX-ów zaś zrównała się już prędkością z „Sokołem” i wciąż przyspieszała. Na szczęście Taryn wysłała wszystkie trzy eskadry Miy'tilów, jakie znajdowały się na pokładzie „Lady Worbi”, a sama fregata okrążała grupę operacyjną, dając do myślenia „Regalle” i jej eskorcie.

Han przechylił „Sokoła” na bok, żeby ominąć wieżę mieszkalną, po czym odezwał się:

- Kochanie, wiesz, że w końcu będę musiał zwolnić, prawda?

- Przyszło mi to do głowy - przyznała Leia, nie odrywając wzroku od monitora taktycznego.

- Tylko bądź gotowy do uniku. Te ChaseX-y są coraz bliżej.

- Kiedy otworzą ogień?

- Kiedy tylko zechcą - odparła Leia. - Jesteśmy już w ich zasięgu.

- I nie strzelają? - Han pociągnął za dźwignię przepustnicy i pomarańczowy blask płomieni zniknął nagle przed iluminatora. - W takim razie nie ma problemu.

- Han! - Leia popatrzyła z przerażeniem na monitor taktyczny; eskadra ChaseX-ów zbliżyła się już na średnią odległość. - Zwariowałaś?

- Spokojnie - uspokoił ją. - Nie każdy we flocie Sojuszu jest Sithem. Skoro ciągle nie otwierają ognia...

- To znaczy, że chcą uniknąć ofiar w ludności cywilnej - dokończyła Leia. Otworzyła kanał

wywoławczy. - Dowódco ChaseX-ów, proszę podać powód pościgu i przyjąć do wiadomości, że jesteśmy mieszkańcami Coruscant.

- Wiemy, kim jesteście - odrzekł mywany głos. - Właśnie dlatego was ścigamy. Wy, handlujący przyprawą Jedi, nie jesteście już mile widziani na Coruscant. Poddajcie się albo otworzymy ogień.

Han spojrział gniewnie na głośnik.

- Dzięki za ostrzeżenie.

Pchnął drążek i skierował „Sokoła” pomiędzy dwa wieżowce, w na wpół opuszczony korytarz powietrzny, a następnie zanurkował, przecinając trzy poziomy pojazdy repulsorowych.

Niemal natychmiast na łączach odezwał się nowy głos. Należał do kontrolerki ruchu powietrznego.

- „Długi Strzał”, co wy wyprawiacie? - zapytała, posługując się fałszywym kodem transpondera, pod którym ukrywał się „Sokół”. - Nie macie pozwolenia na latanie tym czymś w ruchu planetarnym!

- Przepraszamy - zagadnęła Leia, cały czas obserwując monitor taktyczny. Nie chcąc wszczynać bitwy w wąskich przesmykach między wyniosłymi wieżami Coruscant, przeważająca część eskadry ChaseX-ów poderwała się do góry i rozproszyła nad „Sokołem”. Trzy myśliwce podążyły jednak jego śladem i teraz leciały pomiędzy pasami ruchu, nurkując pod kładkami dla pieszych i klucząc od ściany do ściany, aby wypracować sobie pozycję do strzału. - Ale chyba musicie oczyścić dla nas korytarz. To zaczyna wyglądać niebezpiecznie.

- A czyja to wina? - zapytała kontrolerka. - Straciecie przez to prawo wstępu. Mam nadzieję, że zdajecie sobie z tego sprawę!

- Hej, zabierzcie tych gości, którzy siedzą mi na ogonie, i już nas nie ma - wyjaśnił Han, lawirując, żeby uniknąć trafienia. - Ja tylko próbuję wylądować tym gratem.

Po „Sokole” rozniósł się głośny huk laserowej wiązki, która wbiła się w kadłub, a po chwili cały statek zatrzęsł się, gdy jego wielkie poczwórne działa odpowiedziały ogniem.

- Czy to ogień z działek? - spytała kontrolerka. - Proszę, nie mówcie mi, że wszczęliście powietrzną walkę na środku pasa tysiąc siedemset pięćdziesiąt.

- Dobrze, nie powiem - zgodził się Han.

- To nie my zaczęliśmy - dodała Leia. Rozłączyła się i wyświetliła schemat pasa ruchu na swoim głównym monitorze. - Osłony? - zapytała Hana.

Jej mąż pokręcił głową.

- Już i tak jest ciasno, nawet bez odbijania się od każdej mijanej kładki i sań repulsorowych.



Trzy laserowe wiązki przemknęły obok kabiny po stronie Leii i zniknęły w oddali, zmuszając śmigacze do ucieczki za róg lub w kierunku podziemi. Działka „Sokoła” znów wystrzeliły, a w kabinowych głośnikach rozległ się głęboki durosjański głos Ramuda.

- Jeden ChaseX zestrzelony. - W jego głosie słychać było raczej ulgę niż podniecenie. -

Widziałem, że pilot się katapultował, więc może przeżyje.

Leia ucieszyła się, słysząc troskę w głosie młodego Jedi. Luke bardzo mocno podkreślał, że Jedi prowadzą wojnę wyłącznie z Sithami, i fakt, iż jego słowa zostały przyjęte ze zrozumieniem, był krzepiący.

Z rufy dobiegł kolejny huk. Leia poczuła, jak „Sokół” się przechyla pomimo wysiłków Hana, który starał się utrzymać kontrolę nad statkiem. Leia cały czas wpatrywała się w schemat pasa ruchu, szukając sposobu na zniknięcie w labiryncie ciemnych korytarzy, które rozciągały się pod placem Wspólnoty.

- Jak się trzymają te prowizorki? - zapytała.

- Nie na tyle dobrze, żeby przyjmować cały czas laserowe wiązki - stwierdził Han. - Wy tam, w wieżyczkach, przestańcie się z nimi bawić i zrzućcie nam te ChaseX-y z ogona! Albo oni, albo my!

Han przechylił „Sokoła” na bok i skierował w dół przez tuzin pasów ruchu, ułatwiając obu kanonierom oddanie celnego strzału do ścigających ich myśliwców. Poczwórne działka zaczęły świstać miarowo, a w odpowiedzi ChaseX-y wypuściły kolorowy strumień ognia. Po statku rozniósł się głośny brzęk, gdy jedna z wiązek odbiła się od górnej części kadłuba, a potem przez interkom rozległ się syk Arcony.

- Drugi ChaseX zestrzelony! - Głos Huli posmutniał. - Pilot nie przeżył.

O dziwo, trzeci pilot cały czas siedział im na ogonie. Z rufy dobiegł odgłos kolejnego trafienia, a ręce Hana zaczęły dygotać, gdy „Sokół” wpadł w korkociąg, który, jak podejrzewała Leia, nie był celowym manewrem.

W końcu Leia znalazła to, czego szukała.

- Han, mamy tunel dla barek na sterburcie, trzysta metrów przed nami.

- Zwariowała-a-aś? - spytał Han, jękając się z powodu drgań drążka. - Nie da-a-amy rady skrócić przy tej...

- To zwolnij! - odparła Leia. - Jak nie skęcimy tu, to musimy lecieć przez Krąg Blemmera.

Nie zdążyła nawet dokończyć zdania, gdy poczuła napór pasów bezpieczeństwa, a „Sokół” zwolnił, żeby wykonać skręt. Dolny kanonier stracił cel z oczu i działka na brzuchu umilkły. Po prawej stronie pojawił się ciemny owal wlotu do tunelu, który się rozszerzał, w miarę jak Han brał

zakręt. Alarm ostrzegający przed zderzeniem zapiszczał przenikliwie.

- Niech to szlag! - zaklął Han. - Nie uda...

I nagle znaleźli się w ciemnościach, a ich uszy wypełnił ogłuszający zgrzyt kadłuba ocierającego się o ścianę tunelu. Za nimi rozległ się przeraźliwy ryk, a potem górne działka także ucichły. Ramud nie zameldował nawet o strąceniu ostatniego myśliwca.

Han obejrzał się na Leię, blady jak ściana.

- Co teraz?

- Nie uderz tylko w nic - poradziła Leia. - Te barki są zautomatyzowane. Latają bez świateł, a nasze sensory są tu bezużyteczne.

Han otworzył szeroko oczy. Przesunął przełącznik na tablicy przyrządów i trzy snopy światła przebiły mrok przed nimi.

- I nie zwalniam - dodała Leia, wciąż analizując schemat. - Jeśli któreś z pozostałych ChaseX-ów lecą z nami, to dopiero za dziesięć kilometrów będziemy mogli je zgubić.

Han ścisnął drążek tak mocno, że zbieleły mu palce.

- Nie wiem, dlaczego pozwalam ci być nawigatorem - mruknął. - Nie masz żadnych dobrych wiadomości?

- Jasne, że mam - odrzekła Leia. - Jak tylko wylecimy z tunelu, będziemy sto kilometrów od hangaru.

- I to ma być dobra wiadomość? - spytał Han. - Naprawdę?

Odpowiedziała mu Allana:

- Nie bój się, tato. Damy radę.

Han spojrzał na jej odbicie w iluminatorze.

- Niby kto się boi?

- Ty - stwierdziła Allana. - Pocisz się... i czuję to w Mocy.

Han westchnął.

- No dobra, może trochę się boję.

- Nie rozumiem dlaczego - zdziwiła się Allana. - Królowa matka mówiła mi, że cały czas robicie takie rzeczy.

- To prawda - przyznał Han, w dalszym ciągu patrząc na jej odbicie. - Ale nie z tobą na pokładzie.

Następnym razem, jak każę ci zostać...

- Może porozmawiamy o tym później? - wtrąciła Leia. - Jak wszyscy się uspokoiimy.

- Nie mam zamiaru się uspokoić - odparł Han, wciąż spoglądając na Allanę. - Masz przechlapane, moja panno.

- Wiem - przyznała Allana tonem przygnębionym, a jednocześnie pewnym. - Ale przynajmniej jestem tutaj.

„Sokół” leciał dalej tunelem i wkrótce zaczęli mijać kanciaste sylwetki barek poruszających się w obie strony. Lawirując w ciemnościach, mijali dołem pojazdy nadlatujące z naprzeciwka, a górą te, które wyprzedzali. Leia przypuszczała, że ruch w tunelu zostanie wstrzymany przez centrum sterowania, jednak operatorzy albo wpadli w panikę, albo nie zwrócili uwagi na to, co się dzieje. Po kilku pełnych napięcia minutach „Sokół” wreszcie wyleciał z tunelu i znalazł się w zagraconej, ciemnej przestrzeni pod placem Wspólnoty, a Leia odetchnęła z ulgą.

Po serii manewrów obliczonych na wykrycie ewentualnej pogoni Leia przeprowadziła dokładną analizę sygnałów, żeby upewnić się, że żaden z myśliwców ChaseX nie śledził „Sokoła” za pomocą urządzenia namierzającego. Następnie przepuściła przez zewnętrzną powłokę kadłuba potężny prąd neutralizujący pole magnetyczne, na wypadek gdyby coś przeoczyła. Potem jeszcze raz sprawdziła statek pod kątem niepożądanych transmisji i w końcu uznała, że faktycznie jest czysty.

- Artoo, wyślij wiadomość do dowództwa Jedi - poleciła. - Powiedz im, że jesteśmy w drodze i że potrzebujemy mapy z bezpiecznymi trasami.

R2-D2 zaćwierkał w odpowiedzi, a Han zaczął przedzierać się przez najniższe poziomy podziemi. Zaledwie pół kilometra pod powierzchnią planety ściany były tak grubo pokryte korałem yorik, że nie sposób było dostrzec samych budynków. Z kładek dla pieszych zwisały długie na sto metrów zasłony z mchu, a na balkonach rosły dziesięciometrowe grzyby. Dziwne czteroskrzydłe gady szybowały w mroku, ściskając w szponach szamoczące się jeszcze gryzonie lub kończyny oderwane od gnijących ciał. Pod wieloma względami wyglądało to tak, jakby Yuuzhan Vongowie nigdy nie opuścili tej części planety - i w pewnym sensie było to prawdą. Galaktyczny Sojusz -

przez większą część ostatniego dwudziestolecia skupiony na odbudowie reszty galaktyki i po prostu na zachowaniu ładu - nie znalazł nigdy politycznej woli, żeby naprawić to, co pozagalaktyczni najeźdźcy zrobili z ukrytymi slumsami Coruscant.

R2-D2 zaświergotał ostrzegawczo, a na monitorze drugiego pilota pojawiła się mapa podziemi. Byli bliżej celu, niż Leia sądziła, i wystarczyło parę minut, żeby przedostali się ze splątanego labiryntu do ciemnego zagłębienia w koralu yorik. W pierwszej chwili Leia wzięła je za wlot do jaskini, jednak kiedy oświetliły je reflektory „Sokoła”, zobaczyła, że są to w istocie wrota hangaru, pomalowane matową czarną farbą.

Leia poczuła ciepły dotyk w Mocy i domyśliła się, że obserwuje ich grupa wartowników Jedi. W odpowiedzi wysłała myśli poprzez Moc, pozwalając im wyczuć jej ulgę z powodu dotarcia do celu.

Wrota schowały się w ścianie. Po drugiej stronie znajdowało się lądowisko. Wyglądało na opuszczone, Leia jednak czuła obecność kilku Jedi czających się w ukryciu.

- No nie wiem - mruknął Han, zatrzymując „Sokoła” przed wlotem do hangaru. - Jesteś pewna, że to tu?

- Tak - odpowiedziały jednocześnie Leia i Jayk.

- Tato - dodała Allana. - Jedi prowadzą wojnę. Nie spodziewasz się chyba, że wywieszą transparent?

- Nie żartuj. - Han powoli poprowadził „Sokoła” przez wrota w kierunku pierścieni dokujących, wzbijając kłęby kurzu. - Po prostu... mogliby trochę posprzątać.

Han wyłączył wentylatory, po czym opuścił podwozie i szybko posadził „Sokoła” w głębi niewielkiego hangaru. Wrota zamknęły się za nimi z przytłumionym szcękaniem. Zanim Leia i pozostali odpięli pasy i przeszli do głównej ładowni, ich pasażerowie - Jedi - zdążyli już opuścić rampę. Ustawili się w równym szeregu i czekali na pozwolenie kapitana, żeby zejść na ląd. Han przewrócił tylko oczami w odpowiedzi na taki formalizm, dał znak, żeby poszli za nim, i pierwszy zszedł po rampie.

Gdy tylko Solo stanęli na płycie lądowiska, cała tylna ściana zaczęła się unosić. Po drugiej stronie znajdował się znacznie większy, jasno oświetlony hangar, w którym panowała okołorbitowa krzątanina. Personel techniczny zaopatrywał dziesiątki wozów bojowych w amunicję i paliwo, podczas gdy droidy naprawcze uwijały się wokół pojazdów, pospiesznie łatając powstałe w walce ubytki. Były tam nawet droidy medyczne, które oceniały urazy i opatrywały drobniejsze rany.

W jednym rogu admirał Nek Bwua'tu przepytывał pluton umorusanych sadzą żołnierzy piechoty kosmicznej, z pewnością próbując ułożyć sobie w głowie precyzyjny obraz warunków bojowych. W sali krążyło sześcioro Mistrzów Jedi, z których każdy rozmawiał po cichu z niewielką grupką Jedi w zmiennobarwnych płaszczach.

Leia właśnie zaczynała się zastanawiać, dlaczego tak wielu Jedi jest w hangarze zamiast na polu walki, gdy wyczuła, że zbliża się jej dawna Mistrzyni. Odwróciła się i zobaczyła Sabę Sebatyne w drzwiach w pobliskiej ścianie. Jej pokryta łuskami twarz nie zdradzała takiego zaskoczenia, jakie Leia czuła w aurze Barabelki w Mocy.

Sabie towarzyszyli Bazel Warv i Mirax Horn. Bazel miał na sobie uprząż bojową wyładowaną granatami. Mirax była ubrana w mundur połowy piechoty kosmicznej z generalskimi insygniami na kołnierzu. Stopień, jak podejrzewała Leia, był tymczasowy - nadany bez wątplenia przez Neka Bwua'tu. Mirax po prostu musiała mieć władzę pozwalającą jej nadzorować poszukiwania uśpionych szpiegów Sithów.

Kiedy Saba zbliżyła się na parę kroków, zatrzymała się i spojrzała ponad ramieniem Leii w stronę Jayk, Ramuda i innych nowych Rycerzy Jedi.

- Ona sssądziła, że uczniowie mieli lecieć na Shedu Maad - powiedziała.

- Taki był plan - przyznała Leia. - Ale ci uczniowie zostali awansowani. Teraz są Rycerzami Jedi.

- Mistrzowie Solusar uważają, że są na to gotowi - dodał Han. - A skoro i tak mieliśmy wpaść, pomyśleliśmy, że przywieziemy posiłki.

Saba przeniosła wzrok na Hana, a między zębami mignął jej rozwidlony język.

- Tak, posiłki sssą dobre. - Popatrzyła znów na młodych Rycerzy Jedi, oceniając ich przez zmrużone oczy. W końcu pokiwała głową i wskazała na drugi koniec hangaru, gdzie stał wyniosły słup futra w płaszczu Jedi. - Missstrzyni Barratk'1 odpowiada za bezpieczeńsstwo gniazda.

Zgłóście się do niej.

Młodzi Rycerze Jedi ukłonili się jak jeden mąż.

- Tak jest, Mistrzyni.

Saba zaczęła, aż się oddała, po czym wskazała szponem na Allanę.

- Ona jessst zassskoczona, że zabraliście ze sssobą ssswojego podrzutka. Chyba jessst za mała, żeby walczyć?

Han pokiwał głową.

- Owszem, ale jest taka uparta, że mogłaby być nastoletnim Wookiem.

Allana uśmiechnęła się, niewątpliwie dostrzegając w tym komplement. Podeszła do Saby i oznajmiła:

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Saba przyjrzała się dziewczynce ogromnym okiem.

- Tak?

- Nie mogę ci tutaj tego powiedzieć - odparła Allana, niespeszona. Zerknęła w kierunku zwalistego, zielonego cielska Bazela, po czym dodała ciszej: - Złamałabym obietnicę.

- Jaką obietnicę? - spytała Saba, podążając wzrokiem za spojrzeniem Allany. - Czy to ma związek z Jedi Warvem?

- To jest powód, dla którego przylecieliśmy się z nim zobaczyć - wyjaśniła Allana. - Wielki Mistrz Skywalker miał mu powiedzieć, żeby się z nami spotkał.

Saba odwróciła głowę i przyglądała się Allanie jednym okiem, co u Barabelów było gestem

wyrażającym podejrzliwość.

- Żeby ssspotkał się z wami? - powtórzyła. - Naprawdę?

Allana spuściła głowę, zdając sobie sprawę, że została przyłapana na naginaniu faktów.

- No, z moimi rodzicami - poprawiła się. - Mistrz Skywalker nie spodziewał się mnie tutaj, ale musiałam przylecieć. To ja miałam wizję.

- A Jedi Warv był w twojej wizji? - spytała Saba, bardziej teraz skonsternowana niż podejrzliwa. - W wizji złamania obietnicy?

- Właściwie wizja Amelii dotyczyła gniazda Barabelów - wtrąciła Leia. Nadeszła pora, żeby przejść do sedna. - Sithowie je atakowali.

Łuski Saby się zjeżyły. Spojrzała groźnie na Allanę, szczerząc kły.

- Jakiego gniazda?

Ku zaskoczeniu Leii Allana zignorowała groźbę w głosie Saby. Podeszła tylko bliżej, tak że stanęła twarzą w brzuch z Barabelką, i powiedziała:

- Myślę, że wiesz, jakiego gniazda. Mam wymienić imiona?

- Tesssar? - wykrztusiła Saba. - Dordi?

Allana pokiwała głową.

- I Wilyem, i Zal. Czy teraz możemy porozmawiać?

Saba cofnęła się o krok, wyraźnie oszołomiona.

- Ty wiesz?

- Mistrzynie Sebatyne - odezwała się Leia. - Wszyscy wiemy.

Większość Jedi rozumiała, dlaczego młodszy Barabelowie zniknęli, a Leia zakładała, że Saba zdaje sobie z tego sprawę. Najwyraźniej jednak Mistrzynie sama siebie oszukiwała co do tego, jak dobrze strzeżona jest tajemnica gniazda.

- Nie tak trudno było się domyślić - dodała Leia.

- Bo wiesz, nie jesteśmy głupi - wtrącił Han. - Twój syn zniknął na parę miesięcy razem z grupką innych Barabelów. Ty robisz się zrzędlawa i nerwowa. O co innego może chodzić? Budują gniazdo.

Saba zwiesiła ramiona.

- Ona miała nadzieję, że pomyślicie, że wypełniają tajną misję.

- Obawiam się, że za dobrze cię znamy, Mistrzynie Sebatyne - odparła Leia. - Nigdy nie naruszyłabyś hierarchii dowodzenia, organizując tajną misję.

Saba popatrzyła na Leię, jakby była shenbitem.

- Wszyssscy wiedzą? - spytała w końcu.

Leia pokiwała głową.

- Wszyscy Mistrzowie - potwierdziła. - I sporo Rycerzy Jedi.

- Więc raczej nie próbuj uciszyć wszystkich, którzy wiedzą - zauważył Han. - Nie możesz zabić nas wszystkich.

Saba popatrzyła na Hana, jakby rozważała prawdziwość jego stwierdzenia, wreszcie pokiwała głową i odwróciła się ponownie w stronę Allany.

- I przyleciałaś tu, żeby osstrzec Tessara i pozostających przed ssswoją wizją?

Allana pokiwała głową.

- Nie mogę na to pozwolić - oświadczyła. - Tesar jest moim przyjacielem.

Saba spuściła głowę.

- I jej sssynem - odparła. - Ale niessstety ona nie wie, gdzie szukać gniazda.

Allana zmarszczyła brwi.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Nie wiesz, gdzie to jest?

Saba pokręciła głową.

- Barabelowie nikomu nie zdradzają położenia gniazd - wyjaśniła. - Zwłaszcza matkom.

Allana z Bazelem wymienili spojrzenia. Oboje zamilkli, a po chwili Allana odwróciła wzrok, jakby z poczuciem winy.

Saba schyliła głowę.

- Ty wiesz?

- Chyba nie mogę powiedzieć bez złamania obietnicy - odrzekła z ociąganiem.

Barabelka zmarszczyła łuskowate czoło, spoglądając to na Allanę, to na Bazela.

Przekrzywiała coraz bardziej głowę, usiłując zrozumieć coś z tego, co usłyszała.

Wreszcie się cofnęła.

- Ona nie rozumie. Dziwna z wasss para jak na powierników tajemnicy. - Spojrzała na Bazela, a potem spuściła głowę i obnażyła kły, prezentując najbardziej zbliżony do gestu sympatii grymas w repertuarze Barabelów. - Ona nie sssądzi, żeby to się mogło udać.

- Nie jesteśmy powiernikami! - wykrzyknęła Allana. - Nie chcieliśmy znaleźć gniazda. To był zwykły przypadek!

- Ale mogę je znaleźć jeszcze raz - zagrzmiał Bazel - jeśli uważasz, że powinienem.

- Tak, to musisz być ty - stwierdziła bez wahania Saba. Odwróciła się w stronę Allany, przyglądając jej się znów jednym okiem, a potem przeniosła wzrok z powrotem na Bazela. - Ona nie zosstała przyjęta do gniazda.

Trudno było nie dostrzec nutki podziwu w głosie Saby, a Leia nagle pojęła wagę tego, czego dokonała jej wnuczka. Barabelowie byli z natury groźną i nieufną rasą. A jednak Allana zdołała nakłonić czterech z nich, żeby zawierzyli jej i Bazelowi sekret, którego nie zdradzali własnym matkom. Jeśli Allana potrafiła dokonać tego w wieku dziewięciu lat, to może jednak była szansa na pokój w galaktyce. Może to Allana była tą szansą.

Po chwili Bazel pokiwał głową.

- Dobrze. W takim razie zgłaszam się na ochotnika. - Zawahał się i spojrzał na Leię. - Ale jak się dostanę do Świątyni?

Han się uśmiechnął i poklepał go po plecach.

- O to się nie martw, wielkoludzie - doradził. - Po tych problemach, jakie mieliśmy z przemycaniem zapasów w czasie mandaloriańskiego oblężenia, Luke polecił mi zbudować tajne przejście. Możemy cię wysadzić na końcu drogi ewakuacyjnej. To długa droga, ale zaprowadzi cię bez problemu na dolne poziomy.

- Skoro już mowa o problemach - wtrąciła Leia, chcąc zmienić temat, zanim Allana uzna, że musi iść z Bazelem - widzę, że wielu Jedi ma jeszcze odprawę. Według mnie powinni już być w Świątyni i brać udział w walce.

Saba pokiwała głową.

- Ona także. Pole ochronne nie zosstało jeszcze wyłączone. A drzwi sssą wciąż zamknięte.

- Pierwsza fala naszych sił wpadła w zasadzkę Sithów - wyjaśniła Mirax. - Nie udało nam się wprowadzić do środka reszty.

Leia poczuła ściskanie w dołku.

- Jak duże straty spowodowała zasadzka?



- Duże - odparła Saba. - Ssstraciliśmy dziesięciu Rycerzy... jak dotąd.

- Ale Luke i Jaina wyszli cało z pierwszego ataku - dodała Mirax. - Tego jesteśmy pewni.

Ben też.

Leia nie wyczuła żalu w głosie Mirax, więc zdecydowała się zapytać:

- Corran i twoje dzieci także?

Mirax pokiwała głową.

- Wszystko było w porządku, kiedy ostatnio sprawdzałam.

- Ale nikogo więcej już nie mamy - dodała Saba. - Missstrz Ssskywalker i jego oddział sssą sssami.

- Chcesz powiedzieć, że jest tam szóstka Jedi zdanych tylko na siebie? - zapytał Han. -

Przeciwko czterem tysiącom Sithów?

Leia wyczuła rosnące przerażenie Hana. Rozumiała jego powody. Jaina była ich ostatnim dzieckiem i myśl, że mogliby ją stracić - a także Luke'a - była niemal nie do zniesienia.

- I nic nie macie zamiaru z tym zrobić? - ciągnął Han.

- Ona coś robi, kapitanie Ssolo - odparła Saba. - Ona wykonuje rozkazy. Missstrz Ssskywalker powiedział jej, że potrzebuje więcej czasssu, żeby otworzyć drzwi.

- A jeśli się nie uda? - drążył Han. - Możecie czekać w nies...

- Wtedy wejdą siłą - oznajmiła Mirax nieco chłodniejszym tonem. - Ale wiesz równie dobrze jak ja, że to by była ostateczność. Jeśli zaczniemy zrzucać na Świątynię Jedi bomby z baradium, nie będziemy mieli żadnej kontroli nad tym, kto zginie.

Surowy ton i zdrowy rozsądek Mirax najwyraźniej otrzeźwiły Hana. Na chwilę zamilkł, a potem przemówił już spokojniejszym tonem:

- No dobra. Musicie poczekać na Luke'a. Jeśli chodzi o straceńcze misje, nikt nie jest lepszy od niego. Ale sześciu na cztery tysiące to nieciekawa sytuacja. Nie moglibyśmy wykorzystać tunelu ewakuacyjnego i wysłać jakichś posiłków?

- Wejścia sssą w podziemiach, tak? - spytała Saba. - To wystarczy, żeby dosstać się na dolne poziomy, ale przedarcie się do głównej części Świątyni zajęłoby kilka dni. Ssstracilibyśmy zbyt wielu Rycerzy Jedi.

- I nie mamy kilku dni - dodała Mirax. - Siły admirała Bwua'tu nie mają dość paliwa ani amunicji, żeby tak długo prowadzić atak.

- A to niejeden problem - zauważyła Leia, przypominając sobie o admirał stojącym na czele grupy operacyjnej „Regalle”. - Nek Bwua'tu nie da rady utrzymać reszty wojska z boku w nieskończoność. Wcześniej czy później Sithowie w korpusie oficerskim zaczną przekonywać swoich podwładnych, żeby zignorowali rozkaz admirała. A wtedy zaczną wprowadzać swoje siły do akcji wokół Świątyni.

Zauważyła, że ręka Hana zaciska się w pięść, i już wiedziała, że udało jej się przemówić mu do rozumu. Zawsze kiedy czuł się bezsilny, zaczynał szukać miękkich ścian, w które mógłby walić pięściami. Niestety, w podziemnym hangarze przemysłowym takich nie było. Wzięła go pod ramię.

- Han, obawiam się, że nie możemy im w żaden sposób pomóc - powiedziała. - Jeśli Luke i reszta nie zdołają otworzyć tych drzwi, ich jedyną szansą będzie ucieczka, zanim spadnie baradium.

Han zeszywniał, jakby znalazł w końcu swoją ścianę, po czym spojrzał na Allaną i opuścił głowę.

- Tak, wiem. - W jego głosie było więcej rezygnacji niż urazy, ale uraza też była. - To Jedi.

Są zdani na siebie.

Ledwie skończył mówić, podeszła do niego Allana.

- To nie są pierwsi lepsi Jedi, tato. To dwóch najlepszych Mistrzów w historii. I mają czterech bardzo dobrych Jedi do pomocy. A to znaczy, że nic im nie będzie. - Wzięła jego wielką dłoń w swoje rączki i dodała: - Zaufaj mi.

## **ROZDZIAŁ 18**

Głęboko w podziemiach Świątynia Jedi przypominała bardziej jaskinię niż budynek.

Korytarze były tak gęsto pokryte koralem yorik, że Vestara musiała chwilami obracać się bokiem, żeby precyzyjnie przejść przez najwęższe odcinki. Wszędzie rosły grzyby, które przywierały do ścian i sufitu, tworząc długie półki lub włókniste kurtyny. Powietrze śmierdziało stęchlizną i robactwem.

Panele jarzeniowe wciąż się zapalały, kiedy się do nich zbliżała, jednak światło, które dawały, musiało przebić się przez kilka centymetrów brudu; w efekcie powstawała mroczna poświata, przypominająca raczej cień, a nie oświetlenie.

Mimo wszystko Vestara nie błędziła. W słuchawce znalezionej komunikatora słyszała miarowe ćwierkanie sygnałów naprowadzających, więc to musiała być droga ewakuacyjna. Według instrukcji, jakie otrzymali przed misją, droga prowadziła do tajnego tunelu, który Han Solo przygotował po mandaloriańskim oblężeniu. Wszyscy członkowie grupy szturmowej zostali poinstruowani, jak za pomocą komunikatora uzyskać dostęp do specjalnego kodu sygnałowego, który pozwalał odnaleźć wejście do tunelu.

Oczywiście Vestara straciła swój komunikator, kiedy została wzięta do niewoli. Na szczęście, posługując się Mocą, bez trudu przyciągnęła do siebie komunikator należący do poległego Rycerza

Jedi, kiedy Sithowie próbowali wciągnąć Bena w swoją pułapkę w stacji uzdatniania wody. Jeszcze łatwiej było wymknąć się podczas zamieszania po śmiałej ucieczce ocalałych Jedi do systemu transportu towarowego.

Trudniej było za to nie dać się złapać. Vestara spodziewała się, że Sithowie skupią się na Skywalkerach, dlatego też sama ruszyła w przeciwnym kierunku z zamiarem dołączenia do nich później - jeśli będzie to dla niej korzystne. Ledwie jednak skończyła przebijać się przez podłogę, gdy część Mieczy rzuciła się za nią w pościg, i od tego czasu wciąż uciekała.

Zdawali się przewidywać każdy jej ruch. Strzelali do niej z bocznych korytarzy.

Wyskakiwali z ukrytych wnęk. Spadali z sufitu i pojawiali się w tajemniczy sposób przed nią.

Musiało być ich kilkunastu.

Ale dlaczego? To nie miało sensu. Cała dywizja piechoty kosmicznej szturmowała Świątynię, a w środku znajdował się sam Luke Skywalker. Z pewnością Krąg Lordów miał

poważniejsze zmartwienia. Vestara była tylko jedną uciekającą w popłochu dziewczyną. Nie stanowiła większego zagrożenia. Zatem albo Wielki Lord uważał, że ukaranie jej jest ważniejsze niż obrona przyczółku Sithów na Coruscant, albo stwierdzili, że schwytanie jej warte jest uszczuplenia sił obronnych.

Ale znów: dlaczego? W końcu była tylko jedną dziewczyną.

Przed sobą zobaczyła postać w pelerynie, która wyszła z cienia przy ścianie. Był to wysoki, barczysty mężczyzna. Vestara złękła się, że zdołał ją jakoś wyprzedzić i czekał tu na nią, jednak mężczyzna odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku, a cień, z którego się wyłonił, okazał się bocznym korytarzem.

Vestara nawet nie zwolniła kroku. Uniosła tylko rękę i uwolniła podmuch energii Mocy.

Mężczyzna wygiął się do tyłu i pofrunął korytarzem z szeroko rozpostartymi kończynami. W tym samym czasie Vestara zbliżyła się do skrzyżowania na odległość kilku kroków. Żałowała, że nie ma granatu - ponieważ jej prześladowcy nigdy nie atakowali w pojedynkę i raczej nie byli głupcami ani tchórzami.

Kiedy jednak nikt więcej się nie pojawił, Vestara podeszła do ściany i wybiła się wysoko w górę, przeskakując ponad wylotem korytarza. Wylądowała, a raczej spadła po drugiej stronie, natychmiast jednak skoczyła na równe nogi. Wyrzuciła jedną nogę i obróciła się na drugiej, akurat gdy z korytarza wypadła kobieta o szmaragdowych oczach. Vestara posłała ją na ścianę za pomocą pchnięcia Mocy.

Nagle za jej plecami rozbrzysnął miecz świetlny. Vestara dokończyła swój piruet i zobaczyła, że porwany przez podmuch Mocy mężczyzna biegnie z powrotem ku niej ze szkarłatną klingą wymierzoną w jej kolano.

Wsparała się na jednej ręce i wykonała przerzut bokiem, zakończony wściekłym kopniakiem

wymierzonym w głowę napastnika, po czym zapaliła własną klingę i uniosła ją w górę, żeby zakończyć walkę.

Jej ruchy byłyby idealne - tyle że jej przeciwnika tam nie było.

Znajdował się tuż poza jej zasięgiem. Potrząsał głową dla otrzeźwienia, a miecz świetlny trzymał nisko, w pozycji, która wydawała się trochę zbyt niedbała. Vestara powinna go i tak zabić, ale to wymagało czasu, a czasu akurat nie miała. Jego towarzyszka już się podnosiła, a w głębi korytarza słychać było zbliżające się kroki. Vestara rzuciła mężczyźnie cierpki uśmiech i pokręciła głową.

- Nic z tego. - Była tak zasapana, że ledwie zdołała wykrztusić te parę słów. - Taka głupia...

nie jestem.

Zaatakowała go pchnięciem Mocy, które nie zdołało go jednak wytrącić z równowagi, po czym odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Mężczyzna natychmiast ruszył za nią, deptając jej po piętach. Był tak blisko, że słyszała, jak pochwa jego broni ociera się o nogawki spodni.

- Głupio robisz. - Mężczyzna nie miał najmniejszych problemów z oddychaniem. - Poddaj się, a oszczędzisz sobie cierpienia.

Vestara nie marnowała sił na odpowiedź. Od kilku godzin nieustannie biegła i walczyła.

Jedynie Moc pozwalała jej utrzymać się jeszcze na nogach, ale i Moc w końcu musiała ją zawieść.

Piekły ją nogi i bolały płuca. Miała w gardle tyle flegmy, że kiedy kasłała, przypominało to wybuch wulkanu. W gorszych momentach słabiej widziała, a słuch traciła nawet w lepszych chwilach, aż czasem słyszała jedynie miarowe ćwierkanie sygnałów naprowadzających.

- Nie ma ucieczki! - krzyknął mężczyzna podążający zaledwie dwa kroki za nią. -

Przynajmniej dla ciebie.

Vestara wydłużyła krok i zaczęła mocniej pracować rękami.

Mężczyzna się roześmiał.

- Ułatwiasz nam tylko zadanie, dziewczynko - zawołał. - Wcześniej czy później nawet Moc się od ciebie odwróci.

Przy następnym wymachu prawej ręki do przodu Vestara zasłoniła dłoń ramieniem, odwracając przy tym rękojeść miecza świetlnego wylotem emitera do tyłu. Kiedy jej ręka powędrowała znów w tamtą stronę, chwyciła przeciwnika Mocą i pociągnęła z całej siły.

Włączyła klingę.

Mężczyzna krzyknął. Vestara zamaszystym ruchem nadgarstka przeciągnęła klingę przez całe jego

ciało, nawet nie zwalniając.

Po trzech krokach odważyła się spojrzeć do tyłu. Szmaragdowooka była kilkanaście kroków za nią. Mocno naciskała, ale nie doganiała Vestary.

Dwadzieścia metrów dalej podążała cała kolumna Sithów w ciemnych płaszczach. Biegli dwójkami, potrącając się i przepychając w wąskim korytarzu. Wszystkie pary gniewnych oczu skierowane były na Vestarę. Musiało być ich już dwadzieścioro. W drugim rzędzie biegła Keshiri, w której Vestara rozpoznała Lady Sashal.

Dwudziestu wojowników i Lady Sithów w pogoni za jedną dziewczyną. Czy Krąg oszalał?

Szmaragdowooka przyspieszyła, a Vestara poczuła zaciskającą się wokół niej rękę Mocy.

Wiedząc, że musi się wyrwać, póki może, zatrzymała się, zmieniła kierunek i pofrunęła przez korytarz, niesiona wspomaganym Mocą kopniakiem.

Kopniakiem, który powinien trafić kobietę prosto w klatkę piersiową.

Ale chybił celu - a Vestara pozostała z jedną nogą w górze i Szmaragdowooką za plecami.

Poczuła rękę na swojej talii, a na szyi zimne kółko emitera miecza świetlnego.

- Rzuć miecz świetlny - rozkazała kobieta. - Rusz się tylko, a zginiesz!

Vestara rzuciła broń, stojąc nieruchomo na jednej nodze. Potem jednak zaczęła się zastanawiać. Sithowie nie mieli w zwyczaju okazywać litości, zwłaszcza po długim i wyczerpującym pościgu, kiedy w dodatku z rąk ściganego stracili kilku towarzyszy.

Prawdopodobnie chcieli ją żywą. To by wyjaśniało tę całą gadaninę oraz brak blasterowych wiązek i błyskawic Mocy.

- Ruszę się... i zginę? - wykrztusiła Vestara, wciąż z trudem łapiąc oddech. - Doprawdy?

- Przekonaj się.

- Jasne.

Vestara opuściła nogę i spadła całym ciężarem ciała na trzymającą ją w talii rękę.

Zaskoczona Szmaragdowooka nie zdołała jej złapać i Vestara runęła jak wór kamieni. Kiedy przytknięty do jej gardła miecz świetlny się nie zapalił, wiedziała już, że miała rację co do wielkiego trudu, jaki Sithowie wkładali w jej schwytanie. Chcieli ją dorwać, ale żywą.

Upadając, Vestara przetoczyła się w stronę przeciwniczki. Rąbnęła Szmaragdowooką łokciem w kolano i usłyszała głośny, przyjemny trzask. Kobieta krzyknęła, a nad głową Vestary rozległ się syk zapalanego miecza świetlnego.

Za późno.

Vestara chwyciła ją za nadgarstek i wyrwała go ze stawu, wytrącając Szmaragdowookiej miecz świetlny z ręki. Poturlała się, ciągnąc za sobą przeciwniczkę, i po chwili głuchy trzask czaszki uderzającej o koral yorik odbił się echem od ścian. Koral yorik okazał się twardszy.

Szmaragdowooka zaczęła trząść się w konwulsjach z pianą na ustach.

W korytarzu rozbłysły blasterowe wiązki i błyskawice Mocy. Niektóre trafiały metr od niej, większość jednak przelatywała wysoko nad jej głową - ten ogień osłonowy miał unieruchomić Vestarę, dopóki jej nie pochwyca. Vestara wyciągnęła blaster Szmaragdowookiej i odpowiedziała ogniem... wcale nie osłonowym.

Pierwszy strzał trafił mężczyznę przed Lady Sashal. Drugi ugodziłby samą Keshiri, gdyby stojący obok niej Miecz nie przyjął wiązki na własne ramię.

Wystarczyło to jednak, żeby Sashal i jej podwładni się zawahali - tylko na chwilę, ale Vestara nie potrzebowała więcej czasu. Wciąż strzelając, chwyciła miecz świetlny Szmaragdowookiej i popędziła korytarzem.

W każdym razie taki miała zamiar, jednak jej wyczerpane ciało się zbuntowało. Zataczała się i potykała. Jeszcze obficie zaczęła czerpać z Mocy. Każda część jej ciała płonęła. Każda część bolała. Teraz to Moc karmiła się nią, trawiając komórkę po komórce, i Vestara wiedziała, że wkrótce pochłonie ją całkowicie.

Lepsze to jednak niż dać się wziąć żywcem. Obojętne, czego chciał od niej Krąg Lordów, nie miała złudzeń co do sposobu, w jaki zechcą to uzyskać. Tortury byłyby gwałtem na jej ciele i duszy; uczyniłyby z niej pustą, pękniętą skorupę, niepamiętającą własnego imienia.

Blasterowe strzały zaczęły jej świstać koło kolan. To Sashal chciała ją unieruchomić.

Posługując się Mocą, Vestara zaczęła koziołkować, tak żeby Sithowie nie mogli strzelać jej w nogi, nie ryzykując trafienia w głowę. Blasterowy ogień natychmiast ustał, jednak poruszając się w ten sposób, Vestara nie mogła umknąć pogoni.

Wstała więc i zaczęła posyłać blasterowe wiązki w sufit przed sobą, celując w panele jarzeniowe. Ścigający ją Sithowie znów strzelali jej w nogi. Skwiercząca wiązka przypaliła jej udo, na szczęście już po chwili biegła w całkowitych ciemnościach. Blasterowy ogień za jej plecami ustał.

Vestara przebiegła przynajmniej dziesięć metrów, zanim czujniki włączyły następny panel jarzeniowy. Jej prześladowcy zdążyli oddać kilka strzałów, zanim korytarz pogrążył się ponownie w ciemności. Wcześniej czy później jakiś strzał musiał ją trafić - a nawet jeśli nie, to Sithowie i tak zmniejszali dystans.

Vestara oparła pistolet blasterowy na ramieniu i nacisnęła spust, strzelając na oślep. Po dwóch strzałach usłyszała krzyk i głuchy odgłos. Przeszła na drugą stronę korytarza i strzeliła jeszcze raz, a kolejny krzyk przebił się przez miarowe ćwierkanie w jej uchu.

Przed nią włączył się następny panel jarzeniowy. Zanim zdążyła go zaciemnić, za jej plecami odezwał się blaster. Palący ból przeszył ją pod kolanem, a noga się ugięła. Vestara rzuciła się do przodu, przetoczyła po podłodze i poderwała się, strzelając. Panel jarzeniowy wreszcie zgasł.

Nagle sygnały naprowadzające zaczęły zwalniać.

Vestara turlała się dalej, a ćwierkanie w jej słuchawce stało się jeszcze wolniejsze. Zbliżał się zakręt. Dziewczyna znów się przetoczyła, po czym strzeliła w głąb korytarza. Ktoś krzyknął niedaleko.

Poderwała się na swoją zdrową nogę i zrobiła dwa kroki, utykając, a ćwierkanie znów zrobiło się miarowe. Skręciła w lewo... i poczuła, jak podłoga ucieka jej spod nóg.

Powstrzymując się od krzyku, Vestara zwinęła się i pomknęła w dół po stromej, nierównej rampie. Kiedyś zapewne były to schody, jednak pokrywała je tak gruba warstwa brudu i koralu yorik, że przypominały raczej zbocze góry. Upadek zdawał się trwać w nieskończoność.

Dziewczyna starała się hamować i amortyzować uderzenia, wykorzystując Moc, jednak za każdym razem, gdy spadała na zranioną nogę, ból przeszywał całe jej ciało.

Wreszcie Vestara dotarła na płaską powierzchnię i zahamowała. Leżała w ciemności na plecach. Kręciło jej się w głowie, a całe jej ciało przypominało jeden wielki siniak. Miała guzy na rękach i na swojej zdrowej nodze, a kość w zranionej łydce zdawała się płonąć. Ale przynajmniej była sama, a w jej uszach dźwięczało jedynie ćwierkanie sygnałów naprowadzających, teraz szybkie i natarczywe, nakazujące jej skręcić w prawo.

Vestara odwróciła się na brzuch i popatrzyła na schody - a przynajmniej spróbowała.

Automatyczne oświetlenie nie działało w tej części Świątyni, więc zobaczyła tylko ciemność.

Wyjęła z ucha jedną słuchawkę i zaczęła wsłuchiwać się w tupot biegnących nóg gdzieś w górze.

Przegapili schody - na razie. Powinni odkryć swój błąd, jak tylko włączą kolejne panele jarzeniowe. Włożyła słuchawkę z powrotem do ucha i ruszyła w mrok, kierując się sygnałami.

Przestrzeń wydawała się duża i otwarta, wypełniona ciepłym, wirującym powietrzem i cichymi pluskami, które dobiegały ze wszystkich stron.

Po kilkunastu bolesnych krokach ciepłe powietrze zaczęło dmuchać jej prosto w twarz.

Pluski stały się rzadsze i dochodziły raczej zza pleców. Wyglądało na to, że znalazła się w jakimś szerokim korytarzu. Zastanawiała się nad wykorzystaniem miecza świetlnego do poświecenia, jednak w tym labiryncie, w którym każdy dźwięk odbijał się głośnym echem, charakterystyczne skwierczenie byłoby słychać na sto metrów. Tak więc kuśtykała dalej w ciemności.

Nagle usłyszała ciche „puf” wydalającej zarodniki purchawki.

Vestara zacisnęła usta, wypuściła powietrze przez nos i dała trzy wspomagane Mocą susy do tyłu.

Zapaliła miecz świetlny. Tak jak się spodziewała, przed nią stał wysmukły, sięgający jej do kolan grzyb z pajęczyną lepkich nitek opadających z pękniętego przed chwilą kapelusza, wciąż spowity żółtą mgiełką paraliżujących zarodników. Tuż za nim zauważyła wejście do tunelu, wysokiego na jakieś trzy metry. Tunel był zapewne okrągły, zanim opanował go koral yorik, ale teraz kształtem przypominał raczej nierówny owal. Wewnątrz sterczały kolejne dwa śmiertelne grzyby. Ich kapelusze nie były jednak jeszcze na tyle nabrzmiące, żeby eksplodować.

Vestara odwróciła się powoli, oświetlając mieczem świetlnym otoczenie. Stała na dużej platformie, która kończyła się przy wejściu do tunelu. Na niewielkim obszarze, który widziała, było jeszcze co najmniej sześć grzybów i kilka dużych kęp szarego mchu. Były to zapewne kwaśne maty, które owijały wszystko, co na nich stało.

Na skraju zasięgu światła Vestara dojrzała duży szary kokon. Wystawał z niego półmetrowy ogon olbrzymiego ostroszczura. W miejscu, gdzie chował się w kokonie, ciało było objedzone do kości. Vestarze zamarło serce. Widziała już podobne rzeczy i dobrze wiedziała, co to znaczy.

Abeloth przybyła na Coruscant.

Z ciemności w pobliżu pokrytych koralem schodów dobiegł głos Keshiri, melodyjny, ale gniewny :

- Tutaj, durnie! Widzę światło.

Vestara się nie wahała. Okrążyła purchawkę - ona i Ahri Raas nazywali je na tamtym pokrytym dżunglą świecie szypułkami śmierci - i weszła do starego tunelu. Podejrzała, że był on częścią jakiegoś pradawnego systemu transportowego. Biegł prosto przez ponad pięćdziesiąt metrów, potem skręcał łagodnie w lewo, na kolejne pięćdziesiąt metrów, by następnie zacząć opadać pod niewielkim kątem. Vestara słyszała już okrzyki bólu i zaskoczenia swoich prześladowców, którzy padli ofiarą śmiertelnych grzybów. Przez ten czas naprowadzające sygnały przybierały na sile. Miała nadzieję, że zbliża się wreszcie do końca drogi ewakuacyjnej.

I wtedy trafiła ją fala uderzeniowa.

W pierwszej chwili dziewczyna nie wiedziała, co się stało. Leżała po prostu na podłodze tunelu, było jej niedobrze i dzwoniło jej w uszach. Powietrze wydawało się dziwnie ciepłe i suche, a za zakrętem widziała szybko gasnący pomarańczowy blask.

Granaty.

O nie, na to nie liczyła. Podniosła się i zaczęła ponownie przywoływać Moc, przyswajając ją w postaci gorącego strumienia ożywczej energii. Nadeszła pora, żeby uciekać albo umrzeć - i nie miało już większego znaczenia, jedno czy drugie, byle tylko nie dać się Sashal wziąć żywcem.

Wykorzystując Moc, żeby przeskoczyć nad kwaśnymi matami, i blaster do utorowania sobie drogi



przez szypułki śmierci oraz dławipnącza, puściła się niezdarknym sprintem, który przypominał

bardziej podskakiwanie niż bieg. Druga fala uderzeniowa była jeszcze silniejsza niż pierwsza, ale tym razem Vestara była przygotowana. Rzuciła się po prostu w powietrze i pozwoliła ponieść się fali o kilka metrów, po czym wylądowała na swojej zdrowej nodze... na równej podłodze.

Trzy metry dalej zobaczyła otwierany tęczówkowo właz, pokryty pleśnią, więc nie dałoby się go nazwać lśniącym. Był jednak całkowicie wolny od koralu yorik i wyposażony w świecący panel sterowania.

Sygnaly naprowadzające ustały, a w słuchawce Vestary odezwał się kobiecy, syntetyzowany głos:

- Podaj kod dostępu.

- Ees set nesh oh nee wees - warknęła Vestara. Miała pamięć do liczb, a ten kod powtarzała w głowie tyle razy, że pamiętałaby go nawet obudzona w środku nocy. - Wees nee oh ees set nesh.

- Przykro mi - odparł głos. - To nie jest prawidłowy kod. Czy chcesz spróbować jeszcze raz?

- Ese!

- Przykro mi - powiedział znów głos. - Język...

- Tak! - przerwała Vestara, pojmując swój błąd. Sashal i jej oddział mówili w języku Keshirich i Vestara także, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, zaczęła myśleć w swojej ojczystej mowie. - Chcę spróbować jeszcze raz. W tej chwili!

- Dobrze - odparł głos. - Ale to twoja ostatnia szansa. Próbka twojego głosu została zarejestrowana i...

Resztę ostrzeżenia zagłuszył hałas wywołany przez eksplozję kolejnego granatu. Vestara wykorzystwała Moc, żeby stawić czoło fali uderzeniowej, jednak ścigający ją Sithowie byli już tak blisko, że durastal rozbłysła pomarańczowo odbijającym się w niej ogniem, a Vestara wpadła na właz.

- Trzy siedem cztery zero dziewięć dwa! - krzyknęła przez laryngofon. - Dwa dziewięć zero trzy siedem cztery.

- Kod przyjęty.

Vestara odsunęła się od włazu, przygotowana, żeby przeskoczyć na drugą stronę i zatrzasnąć wrota za sobą.

Właz jednak pozostawał zamknięty.

Zimny dreszcz przeszedł Vestarze po plecach. Obejrzała się i zobaczyła trzech Sithów biegnących tunelem. Ten pośrodku trzymał w ręku granat, a Sithowie po obu jego stronach byli uzbrojeni tak,

żeby go bronić - jeden miał pistolet blasterowy, a drugi włączony miecz świetlny.

Vestara oddała trzy strzały w środkowego Sitha, ale jego towarzysz z mieczem świetlnym odbił wiązki na ścianę. Dziewczyna nie zdziwiła się, kiedy trzech mężczyzn zatrzymali się na chwilę wystarczająco długą, żeby ocenić sytuację, po czym zniknęli z powrotem w tunelu.

- Hej, komputerze? - wyszeptała Vestara przez laryngofon. - Co jest grane? Kod był prawidłowy! Wiem, że był!

- Zgadza się - potwierdził głos. - Kod był prawidłowy.

- Więc otwórz ten *sharstung* właz! - rozkazała Vestara. - To krytyczna sytuacja!

- Potwierdzam zaistnienie sytuacji krytycznej - odparł głos. - Właz zostanie otwarty, gdy tylko zewnętrzne drzwi będą zabezpieczone.

- Przełącz na sterowanie ręczne! - zażądała Vestara. - Otwórz w tej chwili!

- Podaj kod upoważnienia do sterowania ręcznego.

- Trzy siedem cztery... - Vestara urwała, zdając sobie sprawę, że próba ominięcia kodu upoważnienia może tylko przynieść odwrotny skutek. - Odwołuję. Po prostu otwórz właz, jak tylko to będzie możliwe.

- Oczywiście - zapewnił głos. - Taka jest procedura w przypadku sytuacji krytycznej.

Vestara oparła się plecami o właz, a potem przykucnęła i wycelowała pistolet blasterowy w głąb tunelu. Jej sytuacja nie była wcale taka zła. Musiała tylko powstrzymać Sithów do czasu, aż komputer zamknie zewnętrzne drzwi hangaru. Jak długo to mogło potrwać? Pięć sekund?

Trzydzieści, w najgorszym wypadku?

To mógłby być problem, gdyby jej prześladowcy próbowali ją zabić. Ale oni chcieli dopaść ją żywą i sądzili, że znalazła się w potrzasku. Mając taką przewagę, Vestara mogła z łatwością odpierać ich ataki przez pięć minut.

W oddali zauważyła buty kobiety; stała na podłodze tunelu, na tyle wysoko na pochyłości, że nie było widać nic więcej. Vestara wycelowała i strzeliła. W polu widzenia pojawił się czubek szkarłatnego miecza świetlnego, który odbił wiązki z powrotem w stronę włazu. Wylądowały wysoko ponad głową Vestary, ale na tyle blisko skrzynki kontrolnej, że wołała nie ryzykować kolejnego strzału.

Buty zrobiły parę kroków naprzód i Vestara zobaczyła nad nimi uda. W korytarzu rozległ się głos Lady Sashal:

- Możemy się tak bawić, aż ci się wyczerpie zasobnik energii w blasterze. - Keshiri ukucnęła i

spojrzała Vestarze w oczy. - Osiągniesz tylko tyle, że mnie rozgniewasz. Poddaj się, a nie stanie ci się żadna krzywda, dopóki będziesz pod moją kuratelą.

- A co potem? - spytała drwiąco Vestara, zdając sobie sprawę, że są różne sposoby gry na zwłokę. - Możesz mi zagwarantować bezpieczeństwo do czasu, aż porozmawiam z Wielkim Lordem Volem?

Za plecami Sashal rozległ się gromki śmiech, a ona sama pokręciła głową.

- Nikt tego nie może zrobić - wyjaśniła. - Wielki Lord Vol został usunięty.

- Usunięty? - Chociaż Vestara nie czuła najmniejszej potrzeby opłakiwania Vola, była autentycznie zdumiona. - Kto mógł to zrobić?

- Sama możesz sprawdzić - odparła Sashal. - Nowy Wielki Lord chętnie udzieli ci audiencji.

- Chciałabym. - Vestara zerknęła na skrzynkę kontrolną, zastanawiając się, kiedy czerwone światelko zmieni się na zielone. - Ale obawiam się, że przeszkodziłoby mi to w mojej misji.

- A jakaż to misja? - zadrwiła Sashal. - Wyjawić Jedi wszystkie nasze tajemnice? Czy zabić kolejnego Arcylorda?

- Zabić królową Jedi - odpowiedziała Vestara. To miało być jej pierwotne zadanie, a oświadczenie było na tyle zuchwałe, że mogło wydać się wiarygodne. - Zlecił mi to Arcylord Taalon.

Teraz nawet Sashal parsknęła śmiechem.

- Kiedy? Zanim wbiłaś mu miecz świetlny w plecy, czy potem?

- W Otchłani - odrzekła Vestara. - Na krótko przed tym, jak przekonałam Skywalkerów, żeby chronili mnie przed nim i moim ojcem.

Po drugiej stronie wjazdu rozległ się stłumiony szczeł, na tyle głośny, że Sashal oderwała wzrok od twarzy Vestary i spojrzała na durastal, o którą opierała się dziewczyna.

- Lord Taalon zginął, ponieważ zawładnęła nim Abeloth - oznajmiła Vestara, próbując skupić na sobie uwagę Sashal jeszcze przez kilka sekund. W tym czasie wjazd powinien się otworzyć. - Podobnie jak moim ojcem. Nie miałam wyboru.

- Zawsze jest wybór, Jedi Khai.

Sashal wstała, a za nią pojawiło się więcej butów. Vestara schowała pistolet blasterowy do kabury i również wstała, ściskając oburącz miecz świetlny.

- Moja misja jest kluczem do panowania Sithów! - zawołała. Poczwała lekkie wibracje, jakby coś ciężkiego spadło na podłogę po drugiej stronie wjazdu. - Pozwól mi to udowodnić!

Sashal wyłoniła się w całej okazałości, otoczona swoimi Sithami. Niektórzy z nich byli uzbrojeni w

miecze świetlne, inni w blastery, a kilku z nich wciąż trzymało w rękach granaty -

pewny znak, że oni także wyczuli aktywność po drugiej stronie wjazdu.

Jednak Lady Sithów nie wydała rozkazu do ataku. Popatrzyła tylko Vestarze w oczy i zachęciła:

- Dobrze. Udowodnij to.

Vestara nie mogła uwierzyć. Czyżby jej gra na zwłokę faktycznie miała ją ocalić?

- A jeśli to zrobię? - spytała. - Puścisz mnie, żebym mogła dokończyć misję?

Na twarzy Sashal pojawił się szyderczy uśmiešek.

- Oczywiście - zapewniła. - Jeśli udowodnisz, że ta misja jest prawdziwa, jak mogłabym ci odmówić?

- Nie mogłabyś - zgodziła się Vestara. Zaczynała podejrzewać, że jej sytuacja jest lepsza, niż sądziła; że może nawet będzie mogła powrócić do Zapomnianego Plemienia jako bohaterka i Lady Sithów. - Mogę wyjawić ci tożsamość królowej Jedi. Czy to będzie wystarczający dowód?

Wśród Sithów zapadła pełna zdumienia cisza, a Sashal otworzyła szeroko oczy. Przez kilka chwil Keshiri przyglądała się Vestarze, sprawdzając w Mocy, czy mówi prawdę. A dziewczyna pozwoliła jej na to, bo przecież nie kłamała. Znała tożsamość królowej Jedi. A jeśli wyjawienie tego sekretu było jedynym sposobem, żeby ocalić życie i wolność, to była gotowa to zrobić.

Zza wjazdu dobiegł głośny szczęk i Vestara zrozumiała, że czas się skończył.

- Kiedy ten wjazd się otworzy, będzie za późno - ostrzegła. - Jeśli ktoś mnie z wami zobaczy, nigdy już nie będę mogła się zbliżyć do królowej Jedi.

W końcu Sashal pokiwała głową.

- Jeśli w ogóle ci uwierzę - odparła. - Tu nie może być żadnych wątpliwości.

- Uwierzysz. - Vestara wyłączyła miecz świetlny i przypięła go do pasa. Miała nadzieję, że wygląda na bardziej pewną siebie, niż jest. - Królowa Jedi nazywa się Allana Solo.

Sashal zmarszczyła brwi. Niewątpliwie wyczuwała prawdziwość słów Vestary, ale wciąż miała problemy z dopasowaniem wszystkich elementów układanki.

- Amelia Solo? - spytała. - Adoptowana córka Hana i Leii Solo?

Vestara pokręciła głową.

- Tak naprawdę nie nazywa się Amelia. - Poczowała pustkę w środku, rozumiejąc, jak bardzo zdradziła Bena, ale lepiej zdradzić jego, niż samemu zginąć z rąk posługującego się Mocą oprawcy.

- Nazywa się Allana Solo i nie jest żadną adoptowaną córką Solo. Jest córką królowej matki Tenel Ka.

Oczy Sashal zabłyły pod wpływem nagłego olśnienia.

- Dziedziczka hapańskiego tronu żyje? - zapytała. - A Solo ją wychowują?

- To właśnie mówię - potwierdziła Vestara. - Ale to nie wszystko. Wśród Jedi nie jest żadną tajemnicą, że królowa matka Tenel Ka i Jacen Solo byli sobie bliscy za młodu. Niektórzy uważają, że tak pozostało nawet po tym, jak objęła hapański tron.

- A więc Allana jest córką hapańskiej królowej i Jacena Solo? - Sashal ruszyła w kierunku wjazdu, a jej oddział podążył za nią. - Jesteś pewna?

- Jestem pewna tego, że dziewczynka mieszkająca z Solo jest królową Jedi - potwierdziła Vestara. - Była mocno zaniepokojona, widząc zbliżającą się Sashal, ale grała teraz o wszystko: o własne życie i jeszcze więcej, o całkowite odkupienie w oczach Zapomnianego Plemienia i możliwość powrotu do swojego ludu w glorii bohaterki. - A Jedi są zdeterminowani, żeby utrzymać jej tożsamość w tajemnicy. To wyjaśnia wszystko, co się zdarzyło na Klatooine.

- Brzmi prawdopodobnie - zgodziła się Sashal, wciąż zamyślona. - To by tłumaczyło, dlaczego twojemu ojcu nie udało się zabić królowej matki. I wydaje się logiczne, że królowa Jedi jest dzieckiem królowej matki i potężnego Rycerza Jedi.

- Potężnego Rycerza Jedi, który stał się Lordem Sithów Darthem Caedusem - przypomniała jej Vestara. - Jeśli nie było w tym ingerencji Mocy, to nie mam pojęcia, czym jest Moc.

- Istotnie. - Gdy Sashal to mówiła, za plecami Vestary rozległ się metaliczny syk otwieranego wjazdu. Lady Sithów zatrzymała się pięć kroków od niej. Wystarczająco daleko, żeby móc się bronić albo zaatakować. Spojrzała przez otwarty wjazd na to, co znajdowało się po drugiej stronie... a na jej ustach pojawił się złośliwy uśmiezek. - Dobrze się spisałaś, Mieczu Khai. Bardzo dobrze.

Sashal wyciągnęła rękę. Obawiając się najgorszego, Vestara odpięła od paska miecz świetlny, jednak Lady Sithów jakby tego w ogóle nie zauważyła. Wciąż spoglądała ponad ramieniem Vestary, uśmiechając się z jawnym zachwytem.

- Detonator, szybko! - rozkazała Sashal. Wyciągnęła rękę za siebie. - Zapalnik na pięć sekund!

Stojący za nią Sith natychmiast wcisnął jej do ręki uzbrojony detonator, uważając, żeby bezpiecznik znalazł się pod kciukiem Lady Sithów.

Sashal przeniosła wzrok na Vestarę. Posługując się Mocą, przyciągnęła jej dłoń i wcisnęła do niej odbezpieczony już detonator.

- To twoja misja, Mieczu Khai - powiedziała. - Dokończ ją.

- Oczywiście - odparła Vestara.

Spróbowała zabezpieczyć na nowo detonator, ale jej się nie udało. Odwróciła się, żeby zlokalizować cel, i przez otwarty włącz zobaczyła ciasny hangar. Jego niewielką przestrzeń prawie w całości wypełniał charakterystyczny kształt słynnego lekkiego frachtowca typu YT-1300 „Sokół

Millenium”. Na płytę lądowiska schodził właśnie potężny, zielony ramoański Jedi, Bazel Warv, a za nim po rampie zbiegała mała, szarooka dziewczynka ze swoim oswojonym nexu.

- Lady Sashal, jesteś zbyt łaskawa - powiedziała Vestara. Wzięła zamach, starając się ukryć zdumienie. - To będzie wielki zaszczyt zabić królową Jedi.

## ROZDZIAŁ 19

Głos dochodzący z głośnika w kabinie był urywany i protekcyjny, z wyraźnym hapańskim akcentem, który przyprawiał Hana o dreszcze.

- ...nie miejsce dla Chume'da w tej chwili - mówił głos. - Powinna wracać do domu.

- Coruscant jest jej domem, w razie gdybyś zapomniała - odparował Han. Oczywiście wiedział, że Taryn Zel nigdy by nie zapomniała niczego, co dotyczyło Allana. Ale kiedy wpadała w ten ton i zaczynała zachowywać się jak hapańska arystokratka, on robił się uparty. Nie mógł się powstrzymać. Zapewne dlatego, że w głębi duszy obawiał się, iż Allana może kiedyś zacząć się zachowywać tak samo, kiedy już dorośnie i przeprowadzi się na Hapes. - Mieszka tu od siedmiu lat.

Z nami.

- Wiem, gdzie mieszka, kapitanie Solo - ucięła Taryn. - Ale to nie oznacza, że teraz będzie tam bezpieczna.

Podczas gdy Taryn mówiła, Han patrzył przez iluminator, jak pokryte korałem wrota hangaru powoli się zamykają. Pomyślał, że zapewne błędem było niezamontowanie szybszych wrót, kiedy budował tajne przejście do Świątyni Jedi.

Wiedział, że na pewno błędem było nierozbudowanie całego hangaru. Wychodził wówczas z założenia, że szeroko zakrojone prace budowlane zanadto będą przyciągać uwagę mieszkańców podziemi. Jednak wciśnięcie „Sokoła” w tak ciasną przestrzeń wymagało prawdziwego kunsztu.

Mając zaledwie cztery metry zapasu, musiał najpierw wprowadzić ostrożnie rufę, a następnie obrócić dziób i wślizgnąć się bokiem. Był to skomplikowany manewr, który sam w sobie przyciągał

uwagę. Kiedy Jedi odzyskają swoją Świątynię, będą potrzebowali nowego, tajnego przejścia - o ile ją odzyskają.

- Kapitanie Solo? - Głos Taryn był wyraźnie zirytowany. - Czekam. Zechcesz się wytłumaczyć?

- Nigdy się nie tłumaczę - oświadczył Han. - To niedobry zwyczaj.

Usłyszał czyjś niski chichot w tle - zapewne Zekka, który najwyraźniej traktował użeranie się z

arogancją hapańskich kobiet jak swojego rodzaju zabawę.

Taryn milczała przez chwilę, po czym zapytała:

- W takim razie może byłbyś uprzejmy poinformować mnie, co tam robicie?

- Już to wyjaśniłem - zauważył Han. - Bwua'tu nie miał już pojazdów szturmowych na tyle dużych, żeby mogły przewieźć Jedi Warva. Tylko my mogliśmy zawieźć go do wejścia do tunelu.

- To rozumiem - oświadczyła Taryn. - Nie rozumiem tylko, dlaczego musieliście zabrać ze sobą Chume'da. Nie mogliście jej zostawić w kwaterze głównej Jedi?

- Nie bardzo. Ale nie martw się. Tu jest dużo bezpieczniej niż w kwaterze głównej. Panuje tu mniejszy ruch i tylko kilkudziesięciu Jedi wie o istnieniu tego miejsca.

- Co za ulga - odparła Taryn, jednak wcale nie wydawała się uspokojona. - A teraz przestań uchylać się od odpowiedzi. Dlaczego nie mogliście jej zostawić w kwaterze z Mistrzynią Sebatyne?

Han zastanowił się chwilę. Wiedział, że niełatwo będzie przekonać kobietę kierującą tajną ochroną Chume'da, że Allana jest bezpieczna, zwłaszcza że on sam nie był o tym w pełni przekonany.

- Zastanów się - poprosił w końcu. - Kiedy ostatnio próbowaliśmy ją zostawić, nie wyszło to najlepiej.

- Chcesz powiedzieć, że zakradła się na pokład „Sokoła”? - spytała z niedowierzaniem Taryn. - Znowu?

- Nie tyle zakradła, co wparowała - sprostował Han. - Nie chciała przyjąć odmowy do wiadomości.

- I pozwoliliście jej na to? - zdumiała się wstrząśnięta Taryn. - To ty i księżniczka Leia jesteście dorosłymi, kapitanie Solo. A przynajmniej powinniście być.

- A ona jest Chume'da - odparował Han. Prawdę mówiąc, był w pewien sposób dumny z uporu Allany, bo świadczył o jej charakterze. - Poza tym po pewnym czasie Leia stwierdziła, że musimy się na to zgodzić. To miało jakiś związek z Mocą.

Głos Taryn zabrzmiał chłodniej.

- „Jakiś związek z Mocą” to nie jest powód, żeby ryzykować życie Chume'da.

- Właściwie to jest - odezwał się niski głos Zekka, na tej samej częstotliwości co głos Taryn.

- Czy nam się to podoba, czy nie, los Chume'da związany jest z Mocą. I kiedy Moc zsyła jej wizję, to nie do nas należy kwestionowanie tego, w jaki sposób na nią odpowie. Możemy jedynie być w pobliżu, żeby ją chronić.

Taryn milczała, a Han niemal widział, jak zagryza wargi, bo musiała dostrzec mądrość w słowach

Zekka. Podobnie jak Han, Taryn była zwyczajną osobą zakochaną w Jedi - i tak jak w przypadku Hana, oznaczało to akceptację faktu, że pewne rzeczy należy przyjmować na wiarę.

Po chwili z głośnika dobiegło ciężkie westchnienie.

- No dobrze, kapitanie. Ale chronicie ją, prawda?

- Oczywiście. Przestań się zamartwiać. Po prostu zostańcie tam i osłaniajcie nas. - Han włączył zewnętrzną kamerę, żeby sprawdzić, co z Allaną. Stała na rampie statku razem z Bazelem, spoglądając na swojego potężnego przyjaciela z zadartą głową i zmarszczonymi brwiami. Udzielała mu wskazówek, stukając palcem w potężne zielone udo Ramoanina. - Wydaje Bazelowi ostatnie polecenia, zanim pójdzie ostrzec Barabelów. Zaraz ruszamy.

Gdy to mówił, powolne wrota hangaru zamknęły się w końcu z głośnym hukem. Han obejrzał się przez ramię na R2-D2, stojącego na stanowisku droidów.

- W porządku, Artoo, powiedz komputerowi, żeby ponownie otworzył wrota - polecił Han.

Odkąd „Sokół” wleciał do hangaru, uparty komputer systemu bezpieczeństwa nalegał na zamknięcie wrót, ignorując nawet nadrzędną komendę, nakazującą pozostawienie ich otwartych. -

Będziemy gotowi do startu, zanim się otworzą.

R2-D2 zaczął potakująco. Po chwili dodał sygnał powiadomienia. Han odwrócił się znów i odczytał komunikat na głównym monitorze.

„System bezpieczeństwa nie może obecnie spełnić żądania z powodu prośby o awaryjne otwarcie wjazdu do tunelu”.

- Prośby o awaryjne otwarcie? - Han spojrzał w kierunku tylnej części hangaru, gdzie zaczynał się tunel prowadzący do Świątyni Jedi. Rozsuwany tęczówkowo wjazd był już na wpół

otwarty, a po drugiej stronie widać było tułów młodej kobiety w lekkiej molyteksowej zbroi. Stała lekko odwrócona, tak jakby oglądała się za siebie. - Co u licha?

- Kapitanie Solo? - Głos Taryn był pełen niepokoju. - Co się dzieje?

- Bądźcie w gotowości - ostrzegł Han. - Mamy towarzystwo.

- Jakie towarzystwo?

- Chyba Jedi. Być może jakaś nagła ewakuacja.

W chwili, gdy Han to mówił, postać się odwróciła. Zobaczył atrakcyjną dziewczynę w wieku około szesnastu lat, o brązowych oczach, znacznie ciemniejszych niż włosy. W kąciку ust miała małą bliznę, która przypominała okrutny uśmiech, a w ręku trzymała niewielką srebrną kulę, która wyglądała aż nazbyt znajomo.



- Vestara Khai? - wykrztusił Han.

Przeniósł wzrok z powrotem na srebrną kulę i jego konsternacja zamieniła się w błysk zrozumienia i wściekłości. Włączył zewnętrzne głośniki.

- Detonator! - wrzasnął. - Wszyscy do środka...

Zanim Han zdążył dodać słowo „szybko”, Vestara przeszła przez otwarty właz. Przez chwilę myślał, że dziewczyna jednak wcale nie zamierza atakować, że błędnie zinterpretował to, co widział, i że to po prostu jakiś dziwny ciąg zdarzeń, w którym nie mógł się na razie dopatrzeć sensu.

Nagle Vestara odsunęła się na bok, odsłaniając długi szereg wojowników w ciemnych płaszczach za jej plecami. Han włączył automatyczne działko blasterowe statku i oznaczył właz jako cel. Vestara lekkim ruchem rzuciła detonator w kierunku „Sokoła”, a potem, nie opuszczając ręki, przy użyciu Mocy pokierowała srebrną kulę w stronę rampy. Han spojrział na monitor wyświetlający obraz z kamery z nadzieją, że zobaczy, jak Leia i Bazel wbiegają razem z Allaną do środka.

Tymczasem zobaczył Anji pędzącą w kierunku wylotu tunelu i Bazela, który wyciągał

wielką, zieloną rękę w stronę detonatora. Ramoanin machnął ręką w kierunku ściany hangaru i srebrna kula skręciła... kierując się wprost na kabinę „Sokoła”. Han nie potrzebował droida astromechanicznego, żeby wiedzieć, że nowa trajektoria ulokuje ją kilka metrów od fotela pilota.

- *Fierfek!* - Han się poderwał i ruszył w stronę korytarza za kabiną. - Leć, Artoo! Raz, raz, r...

Ogłuszający trzask...

...dobięł zza kabiny „Sokoła”. Leia odwróciła głowę i zobaczyła oślepiający, biały błysk eksplozji detonatora termicznego. Uniosła rękę, osłaniając oczy, i stała w szoku, przyglądając się z krwawiącym sercem, jak kula kurczy się i znika, pozostawiając jedynie zarwany koniec korytarza w miejscu, gdzie ostatnio widziała Hana - w kabinie jego „Sokoła Millennium”.

- Dziadku? - Głos Allany brzmiał piskliwie. - Dziadku!

Mała odwróciła się i ruszyła po rampie. Leia otrząsnęła się z szoku, przypominając sobie, że nawet jeśli doszło do najgorszego, Allana wciąż jej potrzebowała. Rzuciła się za dziewczynką i złapała ją za ramię.

- Stój! Pomyśl chwilę! - Leia musiała mocno przycisnąć Allanę, żeby się nie wyrwała. -

Walczymy tu o życie. Co dziadek kazałby ci zrobić?

Allana przestała się szamotać, a w jej oczach pojawił się wyraz determinacji.

- Rozgryźć zasady gry.

- Zgadza się. - Leia spojrziała w głąb hangaru, gdzie para Sithów w ciemnych pelerynach

przechodziła przez otwarty właz. - Najpierw ocena, potem działanie. A wycofanie się na unieruchomiony statek...

- Jest głupotą - dokończyła Allana. Odwróciła się i zaczęła zbiegać po rampie. - Barv!

Mamy poważne...

- ...kłopoty - dokończył Bazel. Jego miecz świetlny skwierczał już, budząc się do życia. -

Wiem.

Z wylotu tunelu trysnął blasterowy ogień, a Bazel zaczął odbijać wiązki energii z powrotem w kierunku Sithów. Leia zawahała się, rozdarta między koniecznością ochrony Allany i chęcią sprawdzenia, co z Hanem. Po chwili jednak zapaliła swoją klingę i ruszyła bronić wnuczki.

Allana zajęła już pozycję za Bazelem, wykorzystując jego cielsko jako tarczę, i sięgnęła po ogromny pistolet blasterowy przypięty do jego uda. Zanim Leia zdążyła ją powstrzymać, Ramoanin znieruchomiał i Allana zdołała wyciągnąć broń z kabury.

- Masz? - spytał Bazel.

- Mam.

Dziewczynka uklękła na jedno kolano za potężną nogą Bazela i wsparła broń na ramieniu.

Otworzyła ogień, wypuszczając wiązki z taką prędkością, że zdawały się płynąć nieprzerwanym strumieniem. Najbliżej stojący Sith opuścił miecz świetlny, chroniąc kostkę, potem uniósł go, osłaniając głowę, a wreszcie uchylił się i znów opuścił klingę, żeby odbić strzał wymierzony w jego kolano. Czwarta wiązka trafiła go w ucho, a Leia poczuła drgania w Mocy, wywołane szokiem i konsternacją małej dziewczynki, która właśnie zabiła człowieka.

Zajęła pozycję po lewej stronie Allany i zaczęła posyłać energetyczne wiązki w kierunku Sithów. Nie była zaskoczona tym, że Allana i Bazel mieli jakieś przeciwiczone manewry, ani nawet tym, że ktoś - z pewnością Taryn Zel - nauczył jej wnuczkę tak dobrze strzelać. Nie oznaczało to jednak, że Allana jest przygotowana na poczucie winy, strach i ulgę, jakie niosło zabicie kogoś z tak bliskiej odległości.

Allana nie traciła czasu. Wzięła na cel kolejnego Sitha i uśmierciła go tak samo szybko jak pierwszego. Leia wyczuła w Mocy ukłucie żalu, ale także determinację, a nawet odrobinę gniewu.

To dziecko rozumiało ich sytuację. Wiedziało, co robić.

Leia sama chciałaby to wiedzieć. Sithowie wychodzili z tunelu dwójkami i przesuwali się wzdłuż ścian, chcąc okrążyć dziewczynkę i jej obrońców przed przypuszczeniem ataku. Ucieczka przyspieszyłaby tylko natarcie, a próba ukrycia się na pokładzie „Sokoła” byłaby samobójstwem.

Władczo wyglądająca Keshiri wyszła z tunelu sama. Allana otworzyła do niej ogień, ale

lawendowoskóra kobieta odbijała wiązki z taką precyzją, że Leia musiała bronić swojej wnuczki przed własnym ogniem. Mimo wszystko dwie wiązki się prześlizgnęły, a Allana roztropnie wstrzymała ogień i schowała się za ogromną nogą Bazela.

Dobrze wyszkolona, wyciągnęła nowy zasobnik energii z ładownicy przy kaburze na udzie Ramoanina. Wyjęła stary zasobnik, wsunęła nowy, a potem zawołała:

- Co dalej, babciu?

- Czekamy, aż zjawią się tu Taryn i Zekk - zdecydowała Leia, chociaż nie miała pojęcia, jak uda im się wytrzymać tak długo. Strzelało do nich już kilkunastu Sithów i z każdą sekundą ich przybywało. - Wciśnij swój guzik alarmowy.

- Babciu! - Głos Allany był pełen oburzenia. - Już dawno to zrobiłam.

- No dobrze... - Jedna z wiązek przemknęła tak blisko, że Leia poczuła zapach własnych przypalonych włosów. - Musimy się gdzieś schować.

- Dobry pomysł - zgodziła się Allana. - Gdzie?

- Ty wybierz - odparła Leia. Z lewej strony zasypała ją lawina strzałów i ledwie zdążyła się odwrócić, żeby skierować je na kadłub „Sokoła”. - Nie mam czasu się rozglądać.

- Plan C - zagrział Bazel.

- Jasne - potwierdziła Allana. Stała za Bazelem, po czym przycisnęła łokciem potężny pistolet blasterowy do siebie i uniosła jedną rękę ponad głowę. - Dziadek by tak zrobił.

- Plan C? - spytała Leia, chociaż sama nie była pewna, czy chce go poznać. - Jaki jest plan...

- To, czego się najmniej spodziewają - wyjaśniła Allana. Gdy to mówiła, Bazel ukląkł przed nią na jedno kolano. Dziewczynka chwyciła go za kołnierz, nogami oparła się o jego pasek, podciągnęła się i wsparła lufę potężnego pistoletu blasterowego na jego ramieniu. - Nacieramy!

Bazel wstał i ruszył z hałasem w stronę tunelu. Jego zielonkawe cielsko skręcało się i obracało za wirującym blaskiem miecza świetlnego. Allana posyłała blasterowe wiązki ponad jego ramieniem. Sithowie uskakiwali im z drogi, niektórzy ze świeżo wypalonymi dziurami w szyjach lub kolanach. Leia zdała sobie sprawę, że jej wnuczka miała rację - że to właśnie zrobiłby Han Solo. Zerknęła po raz ostatni w kierunku rampy, po cichu licząc, że zobaczy na niej Hana, biegnącego, żeby przyłączyć się do ataku.

Ale Hana nie było nigdzie widać.

Teraz, gdy miała chwilę wytchnienia, bo nie była zajęta osłanianiem Allany przed blasterowymi wiązkami, Leia poszukała Hana w Mocy... i wyczuła go żywego wewnątrz jego ukochanego statku. Nie odczuwał bólu, ale też się nie ruszał. Był wściekły, zdeterminowany i całkiem zadowolony z siebie.

Jak zwykle, Han Solo miał coś w zanadrzu.

Leia wypełniła swoją obecność w Mocy miłością, której i tak nie mógł poczuć, i ruszyła za wnuczką, pewna, że robi dokładnie to, co mąż kazałby jej zrobić, gdyby tylko mógł.

Jednak wcale nie było jej przez to łatwiej go opuścić.

W olbrzymim ramieniu Bazela pojawiła się nagle dymiąca dziura. Ramoanin odwrócił się tak szybko, że byłby zrzucił Allanę, gdyby mała nie trzymała się swojego ogromnego zielonego przyjaciela przy użyciu Mocy. Kolejna wiązka trafiła go w pierś, a Leia się zorientowała, że Ramoanin obraca się tak, żeby osłaniać Allanę. Dogoniła go i zaczęła odbijać wiązki z powrotem w stronę Sithów.

- Biegnij! - rozkazała. - Osłaniam cię!

Bazel odwrócił się w kierunku wejścia do tunelu, od którego dzieliło go już tylko kilka kroków, i ruszył naprzód. Leia ustawiła się za nim i, biegnąc tyłem, kreśliła nad głową kolorowe pętle mieczem świetlnym.

W tym czasie Sithowie zdążyli już ich okrążyć. Leia usłyszała skwierczenie tuzina wiązek, przypalających skórę Ramoanina. Ona sama omal nie upadła, gdy jej noga poleciała nagle do tyłu.

Złapała równowagę, podpierając się na zranionej nodze, która piekła niczym polewana wrzącym olejem. Blasterowy ogień Allany nie ustawał teraz nawet na chwilę, a zza podrygującego cielska Bazela dobiegał syk krzyżujących się mieczy świetlnych.

I wtedy pojawiły się błyskawice Mocy.

Leia zatrzymała pierwszą swoim mieczem świetlnym. W odległości niespełna dziesięciu kroków druga Sithanka stanęła i uniosła ręce, wyciągając zgięte palce w kierunku Allany.

Leia chwyciła wnuczkę w Mocy.

- Złaż! - rozkazała, próbując ściągnąć Allanę z ramion Bazela. - Szybko!

Allana ześlizgnęła się, a błyskawica przemknęła zaledwie centymetry nad głową Leii. Bazel krzyknął z bólu i zaskoczenia.

Allana uklękła obok babci. Otworzyła ogień i po trzech strzałach kobieta, która przed chwilą próbowała ją zabić, już nie żyła. Podobnie jak mężczyzna, który zranił Leię.

Podłoga nagle zadrżała i zanim jeszcze Leia usłyszała skwierczenie gorącej klingi rozcinającej skórę, wiedziała, że Bazel padł. Chwyciła wnuczkę za rękę i ominęła jego klęczące cielsko. Przed sobą zobaczyła pół tuzina szkarłatnych kling. Pistolet blasterowy Allany odezwał się dwa razy i wysoki Sith upadł na bok, wypuszczając z rąk miecz świetlny zatopiony w piersi Bazela.

O dziwo, Ramoanin wciąż jeszcze żył. Jego zielona klinga zatoczyła łuk, rozcinając dwóch Sithów na wysokości ramion, zanim potężny ciemnobrody mężczyzna w końcu zablokował atak.

Bazel wyrzucił wolną rękę przed siebie i klatka piersiowa mężczyzny zapadła się pod jego ogromną pięścią.

- Stańcie za mną - polecił i zaczął się podnosić. - Zatrzymamy się...

Za nimi rozległ się ogłuszający świst. Cały sufit hangaru zabłysnął na niebiesko, a ze ściany na wprost, blisko sufitu, trysnęły cztery fontanny roztopionej durastali. Leia się obejrzała.

Zobaczyła R2-D2 zjeżdżającego ku nim po rampie... i znajomą twarz, mrugającą do niej z dolnej wieżyczki „Sokoła”.

- Han!

Lufy działek zaczęły się opuszczać i Leia zrozumiała, o co mu chodzi. Odwróciła się i zobaczyła, że Bazel znów stoi. Wymachiwał swoim długim mieczem świetlnym niczym kosą, nie zabijając wprawdzie żadnego z Sithów, ale rozpędzając ich na cztery wiatry. Allana stała tuż za nim, twarzą do „Sokoła”, i wpatrywała się w dolną wieżyczkę z rozdziawioną buzią.

- Zaraz, zaraz - wykrztusiła. - To dziadek żyje?

- Oczywiście, skarbie. - Leia rzuciła się na Allanę, jednocześnie trącając Bazela najsilniejszym pchnięciem Mocy, na jakie mogła się zdobyć. - A teraz padnij, żeby dziadek mógł

strzelać!

Zanim jeszcze upadły, działka znów się odezwały. Leia wyciągnęła ręce, żeby nie przygnieść Allany, ale i tak usłyszała jej stłumiony okrzyk, kiedy razem runęły na podłogę.

- Nic ci nie jest?

- Nic... a nic! - Głos Allany był ledwie słyszalny pośród huku laserowych działek.

Dziewczynka zaczęła wiercić się pod Leią, niewątpliwie próbując zobaczyć, co się dzieje dookoła. -

Ale martwię się o Barva.

- Ja też.

Leia położyła Allanie rękę na plecach, żeby mała nie mogła unieść za wysoko głowy, po czym spojrzała przed siebie. Przez ścianę laserowego ognia zobaczyła, że potężny Ramoanin wciąż walczy z Sithami. Co najmniej trzech uwięził pod swoim wielkim zielonym ciałem, które drgało pod ciosami ich parangów i wszystkiego, co mieli pod ręką. Jednak Ramoanin odpłacał im z nawiązką. Jednemu z mężczyzn przygniół gardło, drugiemu przytrzymał głowę w miażdżącym uścisku, trzeciego zaś przygwoździł ostrymi kłami.

Między Ramoaninem a tunelem kłębiła się dymiąca płatanina członków należących niegdyś do Sithów. Niektóre części ciała ciągle się ruszały, a kilka drżących dłoni ścisnęło jeszcze miecze

światłne, żadna z nich jednak nie stanowiła już zagrożenia dla Allany ani dla nikogo innego.

Leia poznała po roztopionym metalu i postrzępionych dziurach wokół wejścia do tunelu, że Han zasypał go lawiną ognia. Nie znaczyło to jednak, że w środku nie został ktoś żywy. Z drugiej strony, w samym hangarze też zapewne było mnóstwo zakamarków, gdzie mogli ukryć się wrogowie, którzy wkrótce powinni otrząsnąć się z pierwszego szoku po ataku działek.

Obejrzała się na „Sokoła”. Pracujące w trybie automatycznym działka laserowe cały czas przesuwwały się w prawo, strzelając do wszystkiego, co się ruszało, i do większości z tego, co się nie ruszało. R2-D2 wyłonił się z dymu kilka metrów od niej z granatem na końcu swojego chwytneho ramienia.

Leia próbowała dostrzec męża wewnątrz wieżyczki, ale dym był zbyt gęsty, a błysk działek zbyt jasny. Pokręciła głową. On naprawdę myśli o wszystkim!

Wyciągnęła rękę i, posługując się Mocą, szarpnęła delikatnie. Z ulgą stwierdziła, że R2-D2

najwyraźniej zrozumiał, bo wypuścił granat. Był to udarowy model Merr-Sonn C-20, idealny, żeby oczyścić tunel, nie zasypując go całkowicie gruzem. Leia ustawiła zapalnik na dwie sekundy, wyciągnęła zawleczkę i zsunęła się w końcu z Allany.

- Kiedy zacznę biec... - zaczęła.

- Pobiegnę za tobą - odrzyknęła Allana. - Przechodziłam szkolenie w zakresie unikania niebezpieczeństw!

Leia o tym wiedziała i serce krwawiło jej na myśl, jak nieodzowne było to szkolenie. Jej dziewięcioletnia wnuczka miała już za sobą kilka zamachów na swoje życie i była praktycznie weteranem w walce na małej przestrzeni.

R2-D2 przemknął obok, kierując się prosto do tunelu. Leia zwolniła dźwignię zapalnika i rzuciła granat przed droida; potem, posługując się Mocą, posłała go w kierunku wylotu tunelu.

Granat zatrzymał się jednak w powietrzu, pochwycony Mocą przez kogoś znajdującego się w środku. Leia pchnęła mocniej i poczuła, jak Sith pcha w przeciwną stronę. A potem biały błysk wypełnił tunel i Leia nic już stamtąd nie wyczuwała.

Skoczyła na równe nogi, ciągnąc za sobą Allanę... i poczuła na plecach zimny dreszcz.

Pchnęła Allanę do przodu.

- Biegnij! - krzyknęła. - I rozwalaj wszystko, co się tam rusza!

Gdy Leia się odwróciła, zobaczyła głowy Sithów wyłaniające się z dymiących ciał i wsporników podwozia „Sokoła”. Z kilku stron naraz pomknęły ku niej energetyczne wiązki. Odbiła pierwsze trzy, wyskoczyła w górę, zrobiła salto w tył i omal nie upadła, lądując na zranionej nodze.

Znajdujący się dwa metry od Leii Bazel czołgał się w jej stronę - i w stronę tunelu - ciągnąc za sobą

długie zwoje jelit. Leia puściła jedną ręką miecz świetlny i wyciągnęła ją w kierunku Ramoanina, próbując pomóc mu wstać przy użyciu Mocy.

Tymczasem rozwidlona błyskawica Mocy przemknęła nisko nad jego plecami, a Leia ledwie zdołała ją przechwycić trzymanym jedną ręką mieczem świetlnym. Bazel podniósł wzrok i pokręcił głową.

- Nie. - Jego szerokie usta wykrzywił bolesny uśmiech, któremu towarzyszyło porozumiewawcze mrugnięcie. - To tylko... gra.

Leia poczuła, jak miecz świetlny wysuwa jej się z dłoni, i musiała chwycić go oburącz.

Bazel osunął się, ale zamiast upaść na brzuch, uniósł się wyżej, wprost na błyskawicę Mocy.

- Leć! - ryknął. - Allana cię...

Urwał i po prostu wskazał na tunel. Potem jakimś cudem znów się podźwignął i odwrócił, unosząc miecz świetlny, żeby przyjąć na klingę błyskawicę Mocy. Pośród huku działek „Sokoła”, jazgotu blasterów i syku mieczy świetlnych Leia usłyszała krzyk Allany błagającej swojego przyjaciela, żeby zawrócić.

Bazel miał rację. Allana jej potrzebowała.

Leia odwróciła się i popędziła do tunelu, gdzie znalazła wnuczkę klęczącą wśród zwłok, z potężnym pistoletem blasterowym Bazela opartym o brudną kopułę R2-D2 i ze łzami płynącymi po policzkach. Cały czas ostrzeliwała hangar, próbując pomóc swojemu wielkiemu zielonemu przyjacielowi. Sądząc po ranach od blasterów na niektórych z leżących wokół Allany ciał, przynajmniej niektórzy z Sithów jeszcze żyli, kiedy Allana wbiegła do tunelu.

- Mówiłam im, żeby się poddali - wyjaśniła dziewczynka, przekrzykując jazgot swojego pistoletu blasterowego. - Ale oni ciągle sięgali po broń.

- W takim razie nie miałaś wyboru - odparła Leia. Spojrzała w górę tunelu. - Czy któryś...

- Nie! - odkrzyknęła Allana, kręcąc głową. - Nikt nie uciekł. Zabiłam ich wszystkich.

- W porządku, Allano. - Prawdę mówiąc, Leia nie wiedziała, czy cokolwiek będzie jeszcze w porządku. Dręczyła ją rozpacz i zimna obojętność w głosie wnuczki, może dlatego, że przypominało jej to o tym, co stało się z ojcem Allany. Nie mogła jednak zaoferować jej żadnego pocieszenia ani rady, dopóki nie będą bezpieczne. - Dobrze postąpiłaś.

Leia odwróciła się z powrotem w stronę hangaru i stwierdziła ze zdumieniem, że Bazel wciąż trzyma się na nogach pośród nawalnicy blasterowego ognia. Z jego szat pozostały dymiące strzępy, a zielona skóra była pokryta tyłoma śladami oparzeń, że wyglądała jak cętkowana.

Tymczasem z dolnej wieżyczki „Sokoła” płynął nieprzerwany strumień laserowych wiązek, wycinając długą bruzdę w durastalowej ścianie hangaru.

Bazel zdawał się podążać za ogniem z działek, który oddalał się od wylotu tunelu. Leia sądziła, że Ramoanin stara się po prostu odciągnąć wroga od niej i od Allany, dopóki z dymu nie wyłoniło się kolejnych czterech Sithów. Kierowali się w miejsce; gdzie wcześniej znajdowała się kabina „Sokoła”. Niewątpliwie mieli zamiar dostać się przez otwarty teraz korytarz do dolnej wieżyczki i zakończyć ostrzał.

Leia wyłączyła miecz świetlny i wyciągnęła rękę po ogromny blaster Bazela. Allana pokręciła głową.

- Nie. - Posłała serię wiązek obok Bazela, spowalniając natarcie Sithów. - Jestem naprawdę dobrym strzelcem, babciu.

- Owszem, jesteś - zgodziła się Leia. - Ale masz tylko dziewięć lat i...

- Boisz się, że zobaczę, jak dziadek i Bazel umierają - dokończyła Allana. - A ja się boję, że tego nie zobaczę.

- Allano... - Leia wciąż wyciągała rękę. Serce krwawiło jej na myśl, że mogłaby stracić Hana i że jej wnuczka mogłaby na to patrzeć. - Proszę!

- Oni to robią dla mnie - oznajmiła Allana. Zdołała trafić idącego na czele Sitha w kolano.

Jego miejsce zajęła wysoka, jasnowłosa kobieta. - A ja chcę to zapamiętać. Muszę to zapamiętać.

Jasnowłosa kobieta zaczęła posyłać strzały Allany z powrotem w kierunku tunelu, więc nie było czasu na dyskusje. Leia włączyła własny miecz świetlny w samą porę, żeby odbić nadlatujące wiązki, a potem Bazel dopadł do pozostałych Sithów i zniknął w płataninie wirujących kolorów.

Zataczające śmiertcionośny krąg działka ostrzelały teren pod dziobem „Sokoła”, pozbawiając go przedniego wspornika podwozia, i cały statek pochylił się do przodu.

Nagle na rufie „Sokoła” pojawiły się trzy błękitne błyski, które trafiły jasnowłosą kobietę w bok, rzucając ją na migoczącą klingę Bazela. Leia obejrzała się i zobaczyła, że z rufy statku wysuwa się winda towarowa. Za jednym z narożnych słupków klęczał oczywiście jej mąż, który miotał ogniem w atakującą Bazela chmurę Sithów. Wielkie poczwórne działa „Sokoła”, bez wątplenia zablokowane w trybie automatycznym, w dalszym ciągu wypalały bruzdy w ścianach hangaru.

Jeden z Sithów walczących z Bazelem odłączył się od reszty i zaczął odbijać wypuszczane przez Hana blasterowe wiązki. Han zeskoczył z windy, przetoczył się po podłodze i zatrzymał

niecałe pięć kroków od wylotu tunelu, klęcząc na jednym kolanie.

Po chwili przestał strzelać i odwrócił się twarzą do wieżyczki „Sokoła”. Zaczął szukać czegoś w kieszeni kamizelki.

- Co on... - wykrztusiła Leia. Wydawało jej się, że Han jest dezorientowany lub ranny, wzmocniła więc swój głos, wykorzystując Moc, i krzyknęła: - Han! Chodź tutaj!



On jednak wciąż grzebał w kieszeni, więc Leia chwyciła go w Mocy i zaczęła ciągnąć w stronę tunelu. Wtedy Han wyprostował rękę, w której trzymał srebrny prostokąt. Leia od razu rozpoznała urządzenie - był to elektroniczny wołacz droidów.

Han wycelował nim w antenę zestawu sensorów „Sokoła”. Dolna wieżyczka nagle zmieniła kierunek i ogień z działek zaczął się przesuwac z powrotem w kierunku Bazela i jego napastników.

Większość Sithów po prostu się wycofała, żeby poszukać schronienia, ale ten, który wcześniej bronił grupy przed ogniem blasterowym Hana, ruszył w jego stronę.

Bazel ryknął z wściekłości i skoczył za nim. Bez jednej ręki, poparzony i zakrwawiony, potężny Ramoanin powinien już dawno nie żyć. Jednak Bazel wciąż korzystał z Mocy, czerpiąc z niej - a także niewątpliwie ze swojego oddania Allanie - siłę do walki. Dogonił przeciwnika i wykonał niskie cięcie, które Sith ledwie zdołał sparować.

Zbyt wyczerpany, żeby ponowić atak, Bazel upadł na kolana, rycząc z wściekłości, gdy tymczasem działka laserowe „Sokoła” przesuwaly się wciąż: w jego stronę. Widząc, co się dzieje, Sith rzucił się do ucieczki. Bazel wypuścił miecz świetlny i wyciągnął rękę, wykorzystując Moc, żeby przytrzymać przeciwnika.

Sith ruszył do wściekłego kontrataku, zadając potężny dwuręczny cios mieczem świetlnym w ramię i rękę Bazela. Ramoanin zignorował go i spojrzał tylko w kierunku tunelu, gdzie Allana klęczała u boku Leii. Skinął głową, dając jej znak, żeby uciekała.

Han doczołgał się przez ten czas do tunelu, ciężko dysząc. Leia chwyciła go pod rękę i pomogła mu wstać. Odwrócili się i zauważyli, że działka laserowe rozerwą za chwilę Bazela i jego przeciwnika. Han podniósł szybko rękę, celując wołaczem droidów w antenę „Sokoła”, jednak Allana złapała go za rękę.

- Nie, dziadku! - krzyknęła. Jej głos był ledwo słyszalny wśród ryku dział. - On właśnie tak chce odejść.

Han spojrzał jeszcze raz na Ramoanina, który właśnie stracił drugą rękę i kawałek czaszki od ciosu miecza świetlnego, pokiwał głową i opuścił rękę.

Allana wcisnęła się między Hana a Leię. Podniosła trzy palce do ust i trzymała je tak, aż ogień z działek dosięgnął Bazela Warva, jej najlepszego przyjaciela.

## **ROZDZIAŁ 20**

To wyraźnie relikty dawnej imperialnej arogancji, pomyślała Tahiri, że Vitor Reige pozwolił

łącnościowcowi marnować całą szerokość pasma na raport Imperialnego Kanału Informacyjnego, który najwyraźniej nie interesował jego zwierzchnika. Siedzący u szczytu stołu konferencyjnego w admirałkiej kajucie Jagged Fel zwracał większą uwagę na swój prywatny datapad leżący na jego kolanach niż na holograficzne rozruchy, widoczne nad aparatem nadawczo-odbiorczym, a jeśli nawet

słuchał monotonnego głosu instruktorki operacji politycznych, którą zwerbował z imperialnej akademii wojskowej, to nic w jego zachowaniu na to nie wskazywało.

- ...widać, zamieszki cały czas się rozprzestrzeniają - mówiła instruktorka, siwowłosa pani komodor nazwiskiem Selma Djor.

Po chwili Djor posłużyła się laserowym wskaźnikiem, żeby zwrócić uwagę na chmurę zbirów nad holopadem. Obraz ukazywał, jak nacierają na szeregi politycznych zwolenników Fela, z których większość trzymała tablice z nazwiskiem Jaga wypisanym nad hasłem, które było zbyt małe, żeby dało się je odczytać na hologramie.

- Prawdę mówiąc - ciągnęła Djor - zaczynam myśleć, że powszechne wybory to nie jest właściwe rozwiązanie dla obywateli Imperium. Większość naszych poddanych po prostu nie jest przyzwyczajona do udziału w demokratycznych procesach.

Podczas gdy Djor mówiła, Tahiri rozszerzyła swoją świadomość Mocy w stronę Jaggeda.

Jego obecność w Mocy wypełniona była samotnością i lękiem, a Tahiri rozumiała powody jego troski. Atak na Świątynię Jedi wciąż trwał i nie przebiegał pomyślnie. Nic dziwnego, że Jag czekał

na jakieś wieści od Jainy. Zapewne dlatego też wyznaczył sprawozdanie Djor na tę porę - wiedział, że te wszystkie obawy będą go rozpraszać. Uznał, że w tym czasie nie powinien się skupiać na niczym ważnym. To było typowe dla Jaga, takie planowanie wszystkiego zawczasu. Chcąc nie chcąc, Tahiri zazdrościła trochę Jainie. Nie dlatego, że chciałaby Jaga dla siebie - chciała po prostu poczuć znowu taką miłość, wiedzieć, że jest ktoś, komu zależy na niej do tego stopnia, że poświęca czas na martwienie się o nią.

Djor nagle zamilkła i spojrzała na Jaggeda, marszcząc brwi. Wyglądała jak nauczycielka, która przyłapała jednego ze swoich podopiecznych na oglądaniu najnowszego odcinka *Ognistego Błysku* na datapadzie.

- Proszę kontynuować, pani komodor - domagał się Jagged, nie podnosząc nawet wzroku. -

Ja słucham.

- Może pan i słucha - burknęła Djor. - Ale wątpię, żeby zrozumiał pan w pełni sytuację, nie widząc tych scen.

Aura Jaggeda w Mocy rozbłysła nagłym gniewem. Podniósł wzrok i spojrzał Djor w oczy.

- Pani komodor - zaczął - miała pani rozkaz pozostać na Bastionie, żeby nadzorować opracowanie odpowiednich procedur wyborczych. Zamiast tego przyleciała pani aż na Exodo Dwa... właściwie po co? Żeby mnie przekonać, że ludność Imperium jest zbyt niedouczone, by wziąć udział w wyborach powszechnych? Że Imperium tak kiepsko kształci swoich obywateli, że są po prostu zbyt ciemni, żeby wybrać sobie przywódcę?

Djor stanęła na baczność.

- Nie to miałam na myśli - odparła. - Jednak wszystko wskazuje na to, że społeczeństwo nie jest jeszcze przygotowane do podjęcia odpowiedzialnej decyzji. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że... no cóż, że mogą dokonać niewłaściwego wyboru.

- A mówiąc „dokonać niewłaściwego wyboru”, ma pani na myśli to, że obywatele mogą wybrać Daalę? - spytał Ashik. Błękitnoskóry Chiss, asystent i szef ochrony Jaggeda, stał przy boku swojego przełożonego, naprzeciwko Tahiri. - Czy tak?

Djor spojrzała na Ashika, a potem ponownie na Jaggeda.

- Obawiam się, że przez działania porucznik Pagorski opinia publiczna zwraca się przeciwko panu - oznajmiła. Gdy tylko ogłoszono wybory, Lydea Pagorski, ta sama oficer wywiadu, która złożyła fałszywe zeznania w trakcie procesu Tahiri na Coruscant, objawiła się jako szefowa sztabu wyborczego Daali. - To, że obstaje pan przy tym, żeby trzymać Daalę i jej sojuszników wewnątrz blokady, jest postrzegane jako oznaka słabości. Większość osób zakłada, że po prostu obawia się pan siły jej floty.

- Albo że ona jest lepszym strategiem? - podsunął Jagged.

Djor skinęła potakująco głową.

- To też - przyznała. - Można odnieść wrażenie, że pan się po prostu... boi.

- A mimo to uważa pani, że społeczeństwo nie jest gotowe na wybory - ripostował Jagged z nieoczekiwaną satysfakcją. Spojrzał na Ashika. - Wygląda na to, że z uwagą śledzą wydarzenia.

Ashik pokiwał głową.

- Istotnie.

Djor popatrywała z konsternacją to na Jaggeda, to na Chissa.

- Może się mylę, ale chyba wszyscy zgadzamy się co do tego, że pan Fel jest najlepszym kandydatem - skwitowała w końcu. - W przeciwnym razie po co w ogóle miałby konkurować z Daalą?

- Właśnie, pani komodor - odrzekł Jagged. - Po co?

Tahiri zorientowała się po błysku w jego oczach, że chowa w zanadrzu coś, czym nie podzielił się nawet z nią. On nie tylko przewidział wątpliwości, o których wspominała Djor. On na nie liczył.

Skoro jednak Jagged nie rozwinął swojej myśli, odezwał się admirał Reige.

- Obawiam się, że muszę zgodzić się z komodor Djor. - Siedzący na prawo od Jaggeda admirał był w kajucie jedyną oprócz niego osobą, która nie stała. - Nie wiem, w jaki sposób te rozruchy mogłyby się przysłużyć panu albo Imperium.

Jagged uśmiechnął się przekornie.

- To dlatego, że nigdy nie żył pan w demokracji, admirale. - Wziął z kolan swój komputerowy notes i położył go na stole, po czym popatrzył wreszcie na holograficzne zamieszki. -

W prawdziwej demokracji nie chodzi o wynik. Chodzi o proces.

Mina Reige'a zdradzała wątpliwości. Wymienił z Djor zaniepokojone spojrzenia.

Jag teraz uśmiechnął się cierpliwie.

- Lud podąży za przywódcą tylko wtedy, gdy sam go sobie wybierze.

Djor przewróciła oczami, a Reige wyglądał na jeszcze bardziej zaniepokojonego.

- Jeśli pozwolisz - odezwała się Tahiri, zwracając się do Jaggeda - może ja powinnam wyjaśnić, dlaczego tak naprawdę zgodziłeś się na te wybory.

Uśmiech Jaga zamienił się w znaczący uśmieszek. Najwyraźniej był pod wrażeniem.

- Bardzo proszę. - Spojrzał na parę zaintrygowanych Imperialnych i dodał: - Jestem równie ciekaw jak wy.

Tahiri zaczęła wątpić w prawdziwość swoich wniosków, ale oświadczyła:

- Najwyraźniej próbujesz zastawić pułapkę.

- I co dalej? - Jag złożył palce w piramidkę i popatrzył na nią wyczekująco. - Mam nadzieję, że stać cię na więcej, Tahiri. Nie chciałbym pomyśleć, że zaufanie, jakim obdarzyła cię Jaina, jest nieuzasadnione.

Tahiri zmarszczyła brwi.

- Jaina? - spojrzała na datapad. - Myślałam, że ciągle jest w Świątyni Jedi.

- Bo jest - potwierdził Jagged. - I nie, nie wiem, czy udało się już wyłączyć pole siłowe. Na ten pomysł wpadła, kiedy ostatnia próba się nie powiodła.

- Kontaktowałeś się z nią, żeby poprosić o radę? - spytała zdumiona Tahiri. - W środku bitwy?

- Niezupełnie - odparł Jagged. - To ona się ze mną skontaktowała. Próbowali się przegrupować i miała wolne parę minut, więc poprosiła kwaterę główną, żeby udostępniła jej łącze nadprzestrzenne.

W jego oczach był cień żalu. Tahiri wiedziała, że ta rozmowa była dla niego ważniejsza, niż byłby skłonny przyznać przy podwładnych. Zapewne Jaina chciała z nim porozmawiać, obawiając się, że to może być ostatnia szansa na pożegnanie. Tahiri popatrzyła mu w oczy odrobinę dłużej, niż to było konieczne, dając mu do zrozumienia, że wie, jakie to musi być dla niego trudne - siedzieć tutaj zamiast pomagać Jainie na Coruscant. Potem rzuciła mu uśmiech dla dodania otuchy.

- A kiedy skończyły wam się inne tematy, rozmowa sama zesłała na Daalę - domyśliła się Tahiri. - I Jaina zasugerowała pewne rozwiązanie, tak?

- Coś w tym stylu - przyznał Jagged. Spojrzał na Reige'a i Djour. - Jedi Solo ma cudownie przebiegły umysł, kiedy sytuacja tego wymaga.

- Za każdym wielkim przywódcą stoi wielki doradca - stwierdziła chłodno Djour. - Jednak powinien pan chyba utrzymywać jej rolę w tajemnicy, dopóki nie zostanie obywatelką Imperium.

Nie sądzi pan?

- Jaina? - wykrztusiła Tahiri, nie potrafiąc ukryć szoku, jaki wywołała u niej ta myśl. -

Obywatelką Imperium?

- Oczywiście - potwierdził Reige i łypnął na nią krzywo. - Skoro ma poślubić przywódcę, to zostanie obywatelką Imperium.

Tahiri popatrzyła na Jaggeda, z trudem powstrzymując śmiech.

- Założę się, że ta rozmowa poszła znakomicie - zażartowała. - Dużo bym dała, żeby zobaczyć minę Hana, kiedy ktoś mu mówi, że jego jedyna córka musi przyłączyć się do Imperium, żeby za ciebie wyjść.

- Właściwie to jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. - Jagged pobladł na samą myśl o tej ewentualności, ale zaraz się otrząsnął. - I nie zmieniaj tematu. Wiesz, o co chcę cię prosić, czy nie?

Tahiri myślała przez chwilę, próbując sobie wyobrazić, jak Jaina mogłaby rozwiązać taki problem jak Daala.

- Załatwiła, żeby Jedi pożyczili ci myśliwiec StealthX, prawda?

Jagged pokiwał głową.

- Owszem.

- I ciemne bomby? - spytała Tahiri.

- Cały arsenał - odparł Ashik.

- Rozumiem - rzekła Tahiri. Wzięła głęboki oddech, zastanawiając się, co sądzić o prośbie Jaggeda, a w końcu pokręciła głową. - Przykro mi, Jagged. Atak na „Chimerę” podczas bitwy to jedno. Ale teraz, gdy zawarłeś z Daalą rozejm, popełniłabym tę samą zbrodnię, o jaką jestem oskarżona w sprawie admirała...

- Nie chodzi o Daalę - przerwał jej Jagged. - To coś znacznie trudniejszego.

Tahiri zmarszczyła brwi.

- W takim razie nie rozumiem - stwierdziła. - Jeśli nie wysyłasz mnie za Daalą, to na kogo polujesz?

Jagged wskazał na holograficzne zamieszki, wciąż toczące się nad aparatem nadawczo-odbiorczym.

- Na tego, kto za tym stoi - oznajmił. - Wysyłam cię za Abeloth.

- Abeloth? - wykrztusił Reige. Nachylił się nad hologramem, jakby faktycznie spodziewał

się zobaczyć ją w tłumie. W końcu pokiwał głową. - Oczywiście. Ona musi być po stronie Daali.

- Tego nie byłbym taki pewien - odrzekł Jagged. - Ale na pewno nie jest po naszej.

- To faktycznie wydaje się wątpliwe, sądząc po tym, co mi pan mówił na jej temat. - Reige spojrział

na Tahiri. - Więc może pani znaleźć tę Abeloth?

Tahiri przez chwilę milczała, przeglądając w myślach wszystkie raporty imperialnego wywiadu, jakie ostatnio czytała. Wreszcie zdała sobie sprawę, że wie, gdzie można by zacząć poszukiwania.

- Zdaje się, że słyszałam coś o pewnym Mandalorianinie, którego widziano na Hagamoorze Trzy - oznajmiła.

Reige popatrzył na Jaggeda, marszcząc brwi.

- Ten komunikat był ściśle tajny - zauważył. - Czy mam rozumieć, że będzie pan teraz przyznawał więźniom prawo nieograniczonego dostępu do poufnych informacji?

Jagged wzruszył ramionami.

- Tahiri była kiedyś Jedi, admirał. Kto wie, skąd czerpie informacje?

Reige spojrzał ponownie na Tahiri z błyskiem w oczach.

- A zechce nas pani oświecić?

- Rzecz w tym, że to Boba Fett wyciągnął Daalę z więzienia Galaktycznego Sojuszu -

stwierdziła, ignorując pytanie Reige'a. - Więc jeśli Abeloth współpracuje z Daalą...

Pomimo zdenerwowania Reige od razu dostrzegł związek.

- ...to Abeloth może być z Fettem na Hagamoorze Trzy - dokończył. - Chociaż powinienem chyba wspomnieć, że tożsamość tego Mandalorianina nie została ustalona. Nie mamy pewności, że to był Fett.

- Ale Hagamoor Trzy należy do włości Getellesa, zgadza się? - spytał Jagged. - To księżyc orbitujący wokół Antemeridias, prawda?

Reige pokiwał głową.

- Tak jest.

- A to jest ten sam księżyc, na którym ukryli się naukowcy odpowiedzialni za stworzenie nanowirusa?

- upewnił się Jagged. - Ci, którzy opracowali szczep wymierzony w hapańską Chume'da?

Tej informacji Tahiri nie widziała w raportach.

- Tak twierdzi I-Wu - odparł Reige, posługując się popularnym akronimem oznaczającym imperialny wywiad. - I niewątpliwie wszystko za tym przemawia. Ale te doniesienia nie zostały potwierdzone.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Jagged. - W przeciwnym razie ci wszyscy naukowcy zostaliby

aresztowani. - Odwrócił się w stronę Tahiri. - To ci sami naukowcy, którzy opracowali szczep nanowirusa wypuszczony przez admirała Atoko do atmosfery Mandalory.

- W takim razie myślę, że znamy tożsamość tego Mandalorianina na Hagamoorze Trzy -

oświadczyła Tahiri. - A skoro tam jest Boba Fett, to dobre miejsce, żeby zacząć poszukiwania. Jeśli trafię na jego trop, może on zaprowadzi mnie do kryjówki Abeloth.

- A więc poleci pani na Hagamoor Trzy? - zapytał Reige. - Odszukać Bobę Fetta, żeby dzięki niemu znaleźć Abeloth?

Jego twarz wyrażała w równym stopniu niedowierzanie, co szacunek.

Tahiri pokiwała głową.

- Na to wygląda - potwierdziła. - Jeśli odda mi pan mój miecz świetlny.

- Oczywiście, proszę bardzo - obiecał Reige. Po raz pierwszy, odkąd się spotkali, uśmiechnął się do niej szeroko. - Mówiąc zupełnie szczerze, zrobię to z wielką przyjemnością.

- Yyy, dzięki... chyba - bąknęła Tahiri. Odwróciła się w stronę Jaggeda. - A co, jeśli ją znajdę?

- Fett mnie nie interesuje, ale zrób wszystko, żeby zatrzymać Abeloth - przykazał Jagged. -

Przydzielę ci fregatę z pełnym upoważnieniem do wykorzystania jej w taki sposób, jaki będzie konieczny.

Tahiri uniosła brew.

- Czytaj: do rozwalenia Abeloth?

- Na atomy - wycedził Jag. - Proszę tylko, żebyś postarała się ograniczyć ofiary wśród ludności cywilnej.

- Oczywiście - odparła Tahiri. - I... dzięki za powierzenie mi czegoś takiego.

- Wszyscy pragniemy zniszczenia Abeloth. - Jagged obejrzał się na Reige'a. - Czy to dopuszczalne, admirale?

Reige uniósł w zdumieniu brwi.

- Dziękuję, że pan pyta. - Przez chwilę przyglądał się Tahiri w milczeniu, aż w końcu powiedział: - Fett i Abeloth? Jeśli poradzi sobie z nimi, sam podpiszę ułaskawienie.

Jagged się uśmiechnął.

- Dziękuję, admirale - odrzekł. - I liczę, że dotrzyma pan słowa, jeśli zostanie pan nowym przywódcą



Imperium.

Uśmiech zamarł Reige'owi na ustach.

- Słucham?

- To moja pułapka - oznajmił Jagged. - Pani Veila nie wyjaśniła jeszcze pańskiej roli w niej.

Reige popatrzył na Tahiri, która z kolei spojrzała na Jaggeda.

- Chcesz, żebym ja to wytłumaczyła? - spytała. - Jesteś pewien?

- A kto miałby to zrobić? - Jagged obejrzał się na Djor. - Chyba że to pani zechce oświecić admirała, pani komodor?

Djor zmarszczyła brwi.

- Z przyjemnością, gdybym tylko wiedziała, co ma pan na myśli - odparła.

Jagged pokręcił głową z udawanym zawodem.

- To będzie trudniejsze, niż myślałem. Najwyraźniej Imperialni nie mają pojęcia o tym, jak działa demokracja. - Skinął na Tahiri. - Obawiam się, że ty będziesz musiała to zrobić.

- Tak jest. - Tahiri odwróciła się twarzą do Reige'a i odwzajemniła okrutny uśmiech, jakim ją wcześniej uraczył. - Admirale, pan odegra rolę grabarza.

Reige zmarszczył brwi.

- Grabarza? - Popatrzył na Jaggeda. - Kogo miałbym pogrzebać?

- Szanse Daali na wygraną wyborów, oczywiście - skwitował Jagged. - Zostanie pan trzecim kandydatem w wyścigu o fotel przywódcy Imperium.

Oczy Djor zabłyśły pod wpływem nagłego olśnienia.

- No jasne! Admirał przeciw admirałowi - stwierdziła. - Chce pan podzielić głosy wojskowych!

- Bardzo dobrze - pochwalił Jagged. - Może jeszcze zrobimy z pani doradcę politycznego.

Reige się nachmurzył. Nie wyglądał na zachwyconego perspektywą rywalizowania ze swoim przełożonym.

- Pan wybaczy, ale czy to rozkaz, żebym stanął z panem do walki w wyborach?

Jagged odwrócił się i odchylił od admirała.

- A czy muszę rozkazywać?

- Eee, nie - odparł Reige, jeszcze bardziej zdezorientowany. - Z radością będę służył

Imperium, jak tylko będę mógł.

- To dobrze. - Jagged uśmiechnął się, wstał i poklepał Reige'a po plecach. - Nie ma pan pojęcia, jak bardzo mnie to cieszy, admirale.

## ROZDZIAŁ 21

Jeśli Killikowie z Niebiańskiego Pałacu naprawdę wierzyli, że nadchodzi Kres Czasu, to dziwnie się do tego przygotowywali. Gdy tylko usłyszeli o ucieczce Abeloth, niemal uśpiony rój poderwał się do działania i zaczął przygotowywać wylęgarnię do złożenia nowych jaj. W ciągu zaledwie paru dni oczyścili pola i podzielili je na ogrodzone kamiennymi murami działki, a teraz byli zajęci uruchamianiem ogromnej sieci kanałów irygacyjnych, które zaczynały już mienić się srebrzystym blaskiem promieni słonecznych, odbijających się w wodzie.

Nawet Raynar, który lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał nieograniczony potencjał i pracowitość Killików, był zdumiony postępami. Zdążyli przygotować ponad pięć kilometrów kwadratowych pod siew i wytaczali już beczki z nasionami, żeby ogrzały się na słońcu.

To wszystko jednak nie znaczyło, że ich uprawy będą rosły. Z tego, co Raynar zaobserwował, Niebiański Pałac był otoczony przez obszar pustynny. Grunt był tam tak piaszczysty, że nawet delikatny wietrzyk wzbijał tumany kurzu, które krążyły po równinie, a jeśli nawet ziemia zawierała humus, to zbyt mało, żeby można ją było nazwać glebą.

W korytarzu za plecami Raynara rozległ się cichy szelest, a po chwili jego killicka przewodniczka stanęła obok niego przy oknie. Położyła górne ręce na parapecie i wychyliła się, żeby popatrzeć na znajdujące się poniżej pola, a potem zagaiła rozmowę.

„Niewiele tu rośnie bez ingerencji Mocy - zabręczą. - Rój musi być jednak przygotowany”.

Raynar ze zdumieniem stwierdził, że rozumie każde słowo.

„Ponieważ Moc wkrótce powróci”, ciągnęła Killiczka.

Raynar nic nie odpowiedział. Poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Może po prostu przypomniał sobie mowę Killików, tak jak ktoś, kto żył w obcej kulturze, przypomina sobie tamtejszy język, gdy do niej powraca. Jednak killicki język był niezwykle Subtelny i złożony.

Znaczenie słów zmieniało się w zależności od akcentu i dotyku, a wszystkie samogłoski, których było ponad trzydzieści, dla ludzkiego ucha brzmiały jak litera U. Więc choć Raynar bardzo chciał

wierzyć, że po prostu przypomina sobie ten język, znacznie bardziej prawdopodobne wydawało się to, że rozumie Thuruht dlatego, bo sam staje się Thuruht - że neutralizatory przestały działać i teraz znów będzie Dwumyślnym Killikiem.

„Dlatego przybyliście, żeby podzielić się Mocą z rojem”, stwierdziła Thuruht.

- Rozumiem - odrzekł Raynar. W końcu zaczynał się domyślać, dlaczego Thuruht była tak ostrożna w dzieleniu się wiedzą roju. - Dlatego nie chcieliście nam nic powiedzieć o Abeloth.

Zwlekaliście, czekając, aż staniemy się Dwumyślnymi.

„Thuruht nie zwleka! - zaprotestowała przewodniczka. - Jak Thuruht może pokazać Jedi coś, na co sami nie są przygotowani?”

- A jak możemy się przygotować? - spytał Raynar, pewien, że zna odpowiedź. - Stając się Dwumyślnymi?

Thuruht poruszyła czułkami w geście zaprzeczenia.

„Ty już jesteś gotowy - oznajmiła. - Pozostali Jedi potrzebują więcej czasu”.

- Jedi nie mogą czekać, aż wszyscy będą gotowi - odparł Raynar, spodziewając się kolejnej wymówki, którą Killiczka uzasadni odmowę dostępu do wiedzy roju. - Abeloth jest na wolności i nasi przyjaciele teraz na nią polują.

„Wobec tego powinniście mieć nadzieję, że wasi przyjaciele jej nie znajdą, bo inaczej zginą

- oświadczyła Thuruht. - Zrozumiecie, kiedy przyjdzie pora”.

- A pora przyjdzie, kiedy podzielę się Mocą z rojem? - upewniał się Raynar, chcąc przynajmniej skłonić Thuruht do podania swoich warunków. - Taka jest wasza propozycja?

„Bez Mocy rój nie może rosnąć - wyjaśniła Thuruht. - A rój musi rosnąć, żeby Thuruht była gotowa, kiedy Jedyni wezwą nas do służby”.

Nie można było tego ująć jaśniej, przynajmniej według killickich standardów. Thuruht miała podzielić się z nimi swoją wiedzą na temat Abeloth, a w zamian Raynar miał użyć Mocy, żeby pomóc w odbudowie roju. Niestety wiązały się z tym dwa poważne problemy. Po pierwsze, wzbudziłoby to gniew Chissów, którzy nie zapomnieli o wojnie, jaka wybuchła, kiedy Raynar żył

wśród Killików. Po drugie, gdyby został z Thuruht na dłużej, nawet wszystkie neutralizatory i filtry, jakie znajdowały się na pokładzie „Długiej Wędrówki”, nie uchroniłyby go przed ponowną przemianą w Dwumyślnego. A w całej galaktyce była tylko jedna rzecz, której Raynar bał się bardziej niż ponownej utraty tożsamości na rzecz roju Killików.

Tą rzeczą była Abeloth.

Po chwili Raynar pokiwał głową.

- Dobrze - przytaknął. - Jeśli wyjawisz nam wszystko, co Thuruht wie o Abeloth, obiecuję zostać i użyć Mocy, żeby pomóc przy odbudowie roju. Zgoda?

Thuruht potakująco zaklekotała zuwaczkami.

„Teraz jesteście gotowi, żeby zobaczyć Historie - odparła Thuruht. - A kiedy zrozumiecie Abeloth, zrozumiecie też, jak ważna dla galaktyki jest Thuruht. Będziecie chcieli jej pomóc. Nawet Chissowie przekonają się, że Thuruht musi być silna!”

Po tych słowach Thuruht odwróciła się w stronę wnętrza pałacu, gdzie Lowbacca, Tekli i See-Threepio przyglądali się płaskorzeźbom na ścianie korytarza.

Wskazała na ciąg płyt, które przedstawiały trzy istoty żyjące w odosobnieniu na górzystym, zalesionym świecie. Jedna z płyt przedstawiała uśmiechniętą jasnowłosą kobietę o podłużnych oczach. Biegła przez bujny las w otoczeniu chmary motyli i roju baraszkujących Killików. Na następnej płycie widniał potężny mężczyzna w ciemnej zbroi, kroczący przez martwy las o nagich gałęziach i jałowym gruncie. Miał surową twarz i dwa pasy wytatuowane na łysej głowie; jedynym śladem życia w jego lesie była ropucha, którą rozgniatł butem, i rząd skutych łańcuchem Killików, którzy za nim podążali.

Trzecia płyta przedstawiała wysoki szczyt, który górował nad obydwoma lasami. Suchy las leżał po lewej, a bujny las po pralnej stronie rozdzielającej je rzeki. Z balkonu klasztoru na ścianie klifu spoglądał na to wszystko wychudły stary człowiek z rękami rozpostartymi tak szeroko, że jedna była zawieszona nad ciemną częścią lasu, a druga nad jasną. Na jego twarzy malował się wyraz takiego zmęczenia i żalu, że Raynar sam zwiesił ramiona, przygnieciony brzemieniem równie tajemniczym, co odwiecznym.

Gdy tak stał, kontemplując płaskorzeźby, za jego plecami rozległ się przeciągły jęk Wookiego - to Lowbacca narzekał, że dość ma marnowania czasu, i sugerował natychmiastowy powrót na „Długą Wędrówkę”. Wookie stwierdził też, że nie widzieli jeszcze niczego, co by dotyczyło Abeloth lub Niebiańskich, i zaczyna sądzić, że jedynym związkiem między Thuruht a Niebiańskimi jest nazwa ich mrowiska.

Thuruht poprosiła C-3PO o tłumaczenie.

- Jedi Lowbacca zastanawia się nad związkiem między tymi pięknymi religijnymi obrazami Bururru i Abeloth. - Droid przybrał bardziej poufny ton. - Z przykrością to mówię, ale on nie docenia sztuki samej w sobie. Wydaje się przekonany, że wszystko, co oglądamy, powinno mieć jakiś związek z Abeloth lub Niebiańskimi.

Thuruht odwróciła się w stronę Raynara i wybrzęczała ostrą odpowiedź: „Widzisz?”

Pozostali Jedi nie są gotowi. Nie widzą tego, co mają przed oczami!” Raynar nie był pewien, czy sam to widzi. Zachowując pełną skupienia ciszę, podszedł bliżej i zamyślił się nad tymi trzema scenami. Świetlista kobieta i surowy wojownik byli bez wątpienia symbolami życia i śmierci. A że Thuruht wykazywała zrozumienie Mocy, być może nawet para przedstawiała jej jasny i ciemny aspekt. To zaś oznaczałoby, że postać na trzeciej płaskorzeźbie -

stary mężczyzna z rękami nad obiema częściami lasu - był symbolem Równowagi.

Jednak to nie mówiło nic o Abeloth.

W końcu Raynar spojrział ponownie na Thuruht.

- Nie tylko Jedi Lowbacca tego nie widzi. Ja też nie.

„Bo szukasz tylko tego, co wyryte w kamieniu - odparła Thuruht. - Żeby znaleźć Abeloth, musisz zobaczyć to, czego nie ma”.

Ledwie skończyła, gdy Raynar nagle zrozumiał.

- Matka, oczywiście - powiedział. - Mamy tu ojca, syna i córkę. Ale nie ma matki.

Thuruht zabręczała z aprobatą.

Lowbacca zaś ryknął z niepokojem.

Raynar obejrzał się i zobaczył, że jego towarzysze bacznie mu się przyglądają. Lowbacca wyglądał, jakby był gotów porwać Raynara i popędzić na „Długą Wędrówkę”, Tekli zaś obserwowała go spod przymrużonych powiek, wyraźnie się zastanawiając, czy Raynar wciąż ma władzę nad własnym umysłem.

- Raynar - odezwała się - wygląda na to, że nie potrzebujesz już See-Threepia do porozumiewania się z Thuruht.

Nie sposób było zaprzeczyć.

- To prawda - przyznał Raynar. - Ale mam jeszcze trochę czasu. Nie jestem jeszcze na etapie komunikacji telepatycznej.

Lowbacca znów wyraził opinię, że pora się wynosić. Thuruht według niego tylko ich zwodziła, próbowała zrobić z nich Dwumyślnych, a niczego się jeszcze nie dowiedzieli.

- Właśnie się dowiadujemy, Lowie - odparł Raynar. - Thuruht zaproponowała, że wyjawi nam wszystko, co rój wie na temat Abeloth.

- W zamian za co? - zapytała Tekli.

- Buub - odparła Thuruht.

- Za nic - przetłumaczył C-3PO.

- Właśnie - potwierdził Raynar.

Miał wyrzuty sumienia, że oszukuje swoich towarzyszy, ale obawiał się, że jeśli zaczną teraz dyskutować o jego poświęceniu, gotowość Thuruht do współpracy osłabnie. Poza tym Thuruht właściwie żądała obietnicy tylko od Raynara, więc stwierdzenie było, przynajmniej formalnie rzecz ujmując, prawdziwe.

Raynar popatrzył na Thuruht.

- Co jeszcze masz nam do pokazania?

Killiczka skinęła na nich lewymi szczypcami, dając znak, żeby podążyli za nią, i poszła w dół korytarzem, prowadząc do kolejnej serii płaskorzeźb. Pierwsza z nich przedstawiała rajską dżunglę z niewielką polaną na dnie płytkiego wąwozu, który przechodził w rozległe moczary.

Pośrodku polany tryskał gejzer, a w obłoku pary ponad nim unosiły się trzy zjawiskowe postacie, tak niematerialne, że zdawało się, jakby ich członki jeszcze się nie ukształtowały. Cała trójka wyglądała znacznie młodziej niż na wcześniejszych płaskorzeźbach, jednak można było w nich rozpoznać Ojca, Syna i Córkę z leśnych scen.

Na kolejnych dwóch płaskorzeźbach widać było otoczoną murkiem sadzawkę, którą zbudowano, żeby gromadzić wodę z gejzeru. Na jednej z płyt nieludzka bestia z głową Syna stała na brzegu sadzawki i piła z niej, Ojciec i Córka zaś obserwowali to ze skraju polany z wyrazem przerażenia na twarzach. Następną płaskorzeźba ukazywała Córkę pływającą w innej sadzawce, znajdującej się Wewnątrz grotu. Na szyi miała osadzoną głowę świetlistego ptaka, zwróconą do tyłu, w kierunku wspartego na kolumnach wejścia do grotu, a jej dziób był szeroko rozdziawiony ze zdumienia.

Raynar wskazał na obie istoty, najpierw na groźnie wyglądającego człowieka bestię, a następnie na świetlistą kobietę ptaka.

- Wygląda na to, że przyjmują różne formy - zauważył. - Czy to te same istoty?

„Czy sądzisz, że Jedyni są zbudowani ze zwykłej materii? - spytała Thuruht. - Jedyni są istotami Mocy. Mogą przyjąć dowolną postać”.

Podczas gdy Raynar zastanawiał się nad jej słowami - i nad tym, czy to oznacza, że Córka lub inna z postaci może być Abeloth - Tekli podeszła bliżej.

Wskazała na sadzawkę w grocie.

- Przypomina ci to coś?

- To Sadzawka Wiedzy, którą opisywał w swoim raporcie Mistrz Skywalker - stwierdził

Raynar.

Lowbacca wskazał na poprzednią scenę i wyraził opinię, że pasuje ona do opisu Fontanny Siły, którą Mistrz Skywalker i Ben widzieli na ojczyściej planecie Abeloth.

- To prawda. - Raynar spojrzał na Thuruht i zapytał: - Kim są te istoty? Czy to Niebiańscy?

Thuruht zatrzęsała czułkami.

„Niebiańscy są w Mocy - odparła. - Jedyni są tym, czym Niebiańscy się stają”.

- Stają się? - powtórzył Raynar. Przypomniał sobie scenę ukazującą, jak Jedyni zespalają się nad Fontanną Siły. - To znaczy, kiedy opuszczają Moc?

„Moc jest wszędzie, wokół nas, w nas... Moc jest nami - wyjaśniła Thuruht. - Jak istota może opuścić coś, czym sama jest?”

Raynar zamilkł, pozwalając C-3PO nadgonić z tłumaczeniem, podczas gdy sam łamał sobie głowę nad intrygującym wyjaśnieniem Thuruht. Był przekonany, że mówiła mu to, co według niej było prawdą, jednak nie sposób było stwierdzić, na ile te przekonania są zgodne z rzeczywistością.

Pamięć Killika mogła pochodzić z różnych źródeł - z własnych doświadczeń, przeżyć któregoś z Dwumyślnych, a nawet z holofilmu obejrzanego przez kogoś przed dołączeniem do roju. Zbiorowy umysł Killików wszystko to traktował tak samo. Z czasem wspólna pamięć roju stawała się bezładną mieszaniną wspomnień, w której fakty, fikcja i mity zlewały się w jedną niepodważalną

„prawdę”. Raynar wskazał na pierwszą płaskorzeźbę, tę, która przedstawiała trójkę istot powstających z pary wodnej nad gejzerem.

- Czy w ten właśnie sposób zjawili się Jedyni?

„W ten sposób się stali, tak - uściśliła Thuruht. - Dokładnie tak to pamiętamy”.

Raynar jęknął, wiedząc doskonale, że „dokładne” wspomnienie może być niczym więcej jak tylko mitem jakiejś rasy.

„Przykro nam - powiedziała Thuruht. - Nie potrafimy lepiej wyjaśnić, kim są Niebiańscy.

Oni wykraczają poza zdolności pojmowania śmiertelników”.

- Nie musisz przeproszać - odrzekł Raynar. - Ale dowiedzieliśmy się już wystarczająco dużo na temat Niebiańskich. Pokaż nam teraz płaskorzeźby ukazujące historię Abeloth.

„Ależ to właśnie jest historia Abeloth - zaprotestowała Thuruht. - Jej historia jest długa i skomplikowana. Sami zobaczycie”.

Thuruht dała znak, żeby poszli za nią, i poprowadziła ich korytarzem do następnej serii płaskorzeźb. Z początku wydawało się, że Thuruht pokazuje im w kółko to samo. Pierwsze dwie płyty przedstawiały przerażonego Ojca próbującego zaprowadzić pokój między Synem a Córką, którzy próbowali zagarnąć dla siebie większą część lasu. Ale na trzeciej płaskorzeźbie pojawiła się nowa postać - młoda kobieta o szerokim uśmiechu i błyszczących oczach, która wyglądała na niewiele starszą od Cóрки.

W pierwszej chwili Raynar wziął ją za służącą. Syn i Córka unosili kieliszki, najwyraźniej oczekując, że kobieta napełni je z trzymanego w rękach dzbanu. W tym czasie Ojciec patrzył na nią z widoczną serdecznością, odwzajemniając jej uśmiech.

Thuruht postukała szczypcami w nogę kobiety.

„Abeloth”.

Raynar przyjrzał się uważnie postaci, porównując ją z opisem Abeloth w raporcie Skywalkerów. Jej błyszczące oczy nie były wprawdzie gwiazdzistymi punkcikami, jak je opisywali, a uśmiech był szeroki, ale nie rozciągał się od ucha do ucha. Raynar podejrzewał, że nie jest to Abeloth, ale załazek, który miał się nią stać.

- Dlaczego nie widzieliśmy jej w mgiełce fontanny? - spytał. - Czy ona nie jest jak pozostali Jedyni?

Thuruht rozłożyła wszystkie cztery ręce.

„Pewnego dnia na dziedzińcu pojawiła się Służka. Nie pamiętamy, skąd się wzięła”.

Kiedy C-3PO przetłumaczył, Tekli zapytała:

- Ale to jest Abeloth? Służka, nie Matka?

„Abeloth jest Służką, która została Matką - wyjaśniła Thuruht. - Zobaczycie”.

Mówiąc to, ruszyła korytarzem.

Następna seria płaskorzeźb ukazywała, jak Abeloth zamienia Jedynych w coś na kształt szczęśliwej rodziny. Pilnowała, żeby Syn i Córka mieli zajęcie, wymyślając im różne gry i prace domowe, i hołubiła Ojca. Zdołała nawet przekuć destrukcyjną energię Syna w coś pożytecznego, każąc mu wyryć przytulne małe pomieszczenia w ścianach wawozu za pomocą błyskawic Mocy.

Na trzeciej płycie wydawała się już pełnoprawnym członkiem rodziny. Jadła u boku Ojca i nadstawiała Synowi kieliszek do napełnienia.

Kiedy Jedi skończyli oglądać, Thuruht ruszyła korytarzem w górę i zatrzymała się przed sceną ukazującą znacznie starszą Abeloth. Wydawała się teraz wystarczająco dojrzała, by mogła być dla Ojca żoną, a dla Syna i Córki matką. Na tej płaskorzeźbie stała przed długą arkadą, wyżłobioną w ścianie wawozu, opierając się o ramię Syna obok sterty kamieni. W tym czasie wyraźnie zmęczona Córka pracowała na czworakach przy brukowaniu dziedzińca. W tle siedział

Ojciec, pogrążony w pełnym zadowolenia śnie, z rękami złożonymi na brzuchu.

W następnej scenie Abeloth była już w podeszłym wieku. Stała na skraju dziedzińca, z dala od pozostałych. Na środku, w pobliżu Fontanny Siły, Ojciec prowadził zaciepły spór z Synem i Córką. Cała trójka żywo gestykulowała, a w powietrzu wokół nich fruwały powyrywane paprocie drzewiaste, głązy, a nawet parę sześcionogich jaszczurek wielkości rankorów.

Ku zaskoczeniu Raynara Thuruht poszła dalej, nie dając im zbyt wiele czasu na kontemplację płaskorzeźby. Natychmiast nabrał podejrzeń i dał znak Tekli oraz Lowbace, żeby pozostali na miejscu.

- Nie chcesz, żebyśmy coś tutaj zobaczyli? - zapytał.



Thuruht zatrzymała się i odwróciła z naprężonymi gniewnie czułkami.

„Zostańcie, jeśli chcecie - odparła. - Dla roju to bez znaczenia. Ale sam mówiłeś, że Jedi jak najszybciej muszą się dowiedzieć wszystkiego o Abeloth”.

Lowbacca poparł ją przeciągłym jękiem, ponagłając Raynara, żeby szedł dalej, zanim na dobre stanie się Dwumyślnym.

- To znakomita sugestia - zgodził się C-3PO. - Nagrywam wszystkie płaskorzeźby w pełnej holograficznej rozdzielczości. Kiedy wrócimy na Coruscant, Mistrzowie będą mogli przeanalizować każdy szczegół.

Thuruht zabręczała z zadowoleniem i pospieszyła do następnej serii obrazów. Kiedy Raynar ją dogonił, po plecach przeszedł mu dreszcz.

Pierwsza płyta ukazywała starszą Abeloth, która piła ukradkiem z Fontanny Siły, podczas gdy Ojciec ciskał błyskawicami Mocy w Syna i Córkę. Na drugiej znacznie młodsza Abeloth pływała w Sadzawce Wiedzy, spoglądając z chytrym i wyzywającym uśmiechem na Ojca, który stał na brzegu basenu. Ręce miał uniesione i wyciągnięte w kierunku Abeloth, jakby chciał ją wyciągnąć z wody, używając Mocy, a jego twarz wyrażała w równym stopniu żal i gniew. Stojąca za jego plecami Córka za pomocą tarczy Mocy powstrzymywała demoniczne wcielenie Syna przed rzuceniem się na Ojca.

Trzecia płyta przedstawiała ponownie zespół arkad. Tym razem mocno zmieniona Abeloth stała pośrodku burzowego dziedzińca. Jej włosy stały się długie i szorstkie, nos spłaszczył się tak bardzo, że był praktycznie niewidoczny, a błyszczące oczy zrobiły się tak zapadnięte i ciemne, że widać było w nich tylko iskierki. Wyciągała ręce w kierunku skulonej Córki i patrzącego spode łba Syna, a z dłoni zamiast palców wyrastały jej długie macki. Wściekły Ojciec próbował ich osłaniać, wyciągając jedną rękę w stronę moczarów na końcu wąwozu, a drugą w kierunku mackowatych palców.

- Zaczynam sądzić, że Abeloth nie może być Niebiańską - zauważyła Tekli. - Za bardzo się różni od pozostałych. W przeciwieństwie do nich zestarzała się, a potem zmieniła pod wpływem Fontanny i Sadzawki, podczas gdy Syn i Córka nie odczuli ich działania.

„W naturze Abeloth leży zabieganie o to, co jest poza jej zasięgiem - wyjaśniła Thuruht. -

Dlatego jest Siewcą Chaosu”.

- A więc Abeloth jest jedną z Niebiańskich? - spytał Raynar. - To chcesz powiedzieć?

Thuruht zaklekotała żuwaczkami, co u Killików było odpowiednikiem wzruszenia ramionami.

„Czy Abeloth jest Siewcą Chaosu dlatego, że taka jest wola Niebiańskich? Czy też jest Siewcą Chaosu, ponieważ sprzeciwiła się woli Niebiańskich? - Rozłożyła swoje cztery ręce, a potem je opuściła. - Nigdy nie poznamy woli tych, których nie możemy pojąć”.

Po tych słowach Thuruht odwróciła się i ruszyła ponownie w górę korytarzem. Raynar podążył tuż za

nią, nie czekając, aż See-Threepio przetłumaczy pozostałym ostatnią wymianę zdań.

Wyczuwał fundamentalną zmianę stosunku Thuruht do niego i jego towarzyszy - wzmożone zaufanie, które sugerowało, że uważa ich już za członków roju. A jednak nie zaobserwował u siebie żadnych zbłąkanych myśli ani nieoczekiwanych przeblysków świadomości, które świadczyłyby o tym, że przemiana już się dokonała.

- Thuruht, mam wrażenie, że nie martwi cię już to, czy zostaniemy Dwumyślnymi - powiedział.

„To prawda”.

- Dlaczego?

„Ponieważ czujemy, jak bardzo się boicie - odparła. - Jak bardzo jesteście zdeterminowani, żeby powstrzymać Abeloth. A gdy już zrozumiecie, jak należy to zrobić, wiemy, że z radością do nas dołączycie”.

Raynar pokręcił głową.

- Nie powinniście na to liczyć - oświadczył. - Mamy za zadanie złożyć meldunek ze wszystkiego, czego się tutaj dowiemy, żeby Jedi mogli zniszczyć Abeloth.

Z przetchlinek w tułowie Thuruht wydobył się rozbawiony trel.

„Zniszczyć Abeloth? Niemożliwe. - Minęła kolejny łuk i zatrzymała się. - Spójrz”.

Na tych płaskorzeźbach Abeloth stała samotnie na dziedzińcu, patrząc, jak Ojciec odchodzi z Synem i Córką. Twarz miała wykrzywioną w gniewie, a w powietrzu wokół niej kłębiły się liście, gady z dżungli i błyskawice. Na kolejnych płytach wyglądała na jeszcze bardziej obłąkaną.

Dziedziniec był zarośnięty, a duża skrzydlata jaszczurka z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami próbowała się wyrwać z jej uścisku, machając skrzydłami ze wszystkich sił.

Trzecia płaskorzeźba zmroziła Raynarowi krew w żyłach. Przedstawiała ona grupę głowonogów o sześciu mackach, wchodzących na usłany kośćmi dziedziniec. Ubrani w ozdobne szaty i nakrycia głowy, ciągnęli trójkę potężnych jaszczurowatych jeńców w stronę Fontanny Siły, gdzie stała uśmiechnięta szeroko Abeloth.

„Wtedy pierwszy raz Abeloth uciekła z klatki - wyjaśniła Thuruht i poszła dalej korytarzem, mijając kolejny łuk. Minęli serię płaskorzeźb przedstawiających wielką bitwę między głowonogami a jaszczurami. - Wojna trwała dopiero od kilku stuleci, kiedy Abeloth została uwolniona. Zwykle trwa to znacznie dłużej. Nierzadko tysiące lat”.

- Zaraz, zaraz - wtrącił Raynar, zatrzymując się pod kolejnym łukiem. - To znaczy, że Abeloth jest uwalniana za każdym razem, kiedy toczy się wojna?

„Nie przy każdej wojnie. Ale owszem, kiedy Abeloth ucieka, zawsze dzieje się to w czasie wielkiego konfliktu. - Thuruht ruszyła ponownie korytarzem, dając znak Raynarowi, żeby szedł za nią. - Czasami, kiedy wojna przybiera zbyt wielką skalę, uwalniany jest Siewca Chaosu, który burzy stary porządek, żeby mógł powstać nowy”.

- Zaraz, zaraz - powtórzył Raynar. Nie chciał zanadto wyprzedzać pozostałych, żeby C-3PO

nie miał problemów z rejestrowaniem słów Thuruht. - Chcesz powiedzieć, że Abeloth jest częścią planu Niebiańskich?

Thuruht rozłożyła ręce.

„Kto wie, czy Niebiańscy mają jakiś plan? - Poszła dalej, ignorując prośbę Raynara. - Ale tak działa galaktyka. Tak działa Moc”.

Raynar obejrzał się na towarzyszy i dał im znak, żeby się pospieszyli, a sam pobiegł za Killiczką. Mijali długą serię płaskorzeźb, jednak te najwyraźniej przedstawiały jedynie historię wojny między głowonogami a jaszczurami.

- Ale dlaczego Abeloth miałyby zostać uwolniona akurat teraz? - zapytał, kiedy dogonił

Thuruht. - Galaktyka nie jest w stanie wojny.

Thuruht zatrzymała się, przekrzywiła głowę i spojrzała na Raynara swoim wylupiastym okiem., Ależ jest - odparła. - Jedi i Sithowie toczą wojnę od pięciu tysięcy lat”.

Raynarowi ścierpła skóra.

- Chcesz powiedzieć, że to my uwolniliśmy Abeloth?

„Tak. Wy i Sithowie. Razem uwolniliście Siewcę Chaosu”.

Thuruht ruszyła znów korytarzem, a Raynar podążył chwiejnym krokiem za nią. Nie chciał

wierzyć w jej wersję historii, ale prawda była oczywista. Stacja Centerpoint uległa zniszczeniu w czasie wojny z Lordem Sithów Darthem Caedusem, a jej strata zapoczątkowała katastrofalny w skutkach łańcuch zdarzeń. Stacja Ujście została uszkodzona, co pozwoliło Zapomnianemu Plemieniu odkryć Abeloth i jej planetę. Nie sposób było zaprzeczyć słowom Thuruht. Wojna między Jedi a Sithami bezpośrednio doprowadziła do uwolnienia Abeloth.

„Nie - odparła Thuruht, mówiąc w głowie Raynara. - Zniszczenie Qolaraloq było następstwem, nie przyczyną. To było tylko jedno pęknięte ogniwo w łańcuchu pełnym pękających ogniw”.

W głębi duszy Raynar wiedział, że powinien być zaniepokojony tym, co się z nim dzieje.

Nawet przerażony. Teraz, gdy porozumiewał się z Thuruht telepatycznie, jego ostateczna przemiana w Dwumyślnego była przesądzona.

Jednak w porównaniu zrozumiarem katastrofy, jaka miała wkrótce spaść na galaktykę, jego los wydawał się nieistotny. W tej chwili najważniejsze dla niego było to, żeby dowiedzieć się wszystkiego o Abeloth i przyczynie jej uwolnienia, jeśli nie było nią zniszczenie stacji Centerpoint.

„Znasz przyczynę - stwierdziła Thuruht. - Abeloth została uwolniona w ten sam sposób co zawsze. Nurt został zawrócony”.

- Nurt czasu? - spytał Raynar. Pomyślał o Jacenie Solo i jego wędrówkach po nurcie. Tahiri przekonywała Mistrzów, że Jacen uległ Ciemnej Stronie, próbując zapobiec jakiemuś tragicznemu wydarzeniu, które zobaczył w przyszłości, i że z upodobaniem stosował wędrówki po nurcie, żeby popatrzeć na oba kierunki w czasie. Czy może nurt Mocy?

A czy jest jakaś różnica? To Moc kieruje przyszłością.

Minąwszy jeszcze dwa łuki, Thuruht zatrzymała się w końcu przed serią płaskorzeźb ukazujących trzy zniszczone światy. Na pierwszej całe miasto leżało w gruzach. Z rumowiska wyrastały grzyby, a tłum trójkich dwunogów uciekał przed stadem kotowatych stworzeń obdarzonych przez naturę mackami. Druga płaskorzeźba przedstawiała zastępy leśnych zwierząt przedzierających się przez zrównany z ziemią las. Wiele z nich na próżno walczyło z kłopnączkami owijającymi im się wokół nóg. Trzecia scena była najbardziej przerażająca ze wszystkich. Był to oceaniczny świat ze stadami morskich ptaków, krążących nad pływającymi wyspami z rozkładających się ciał. Na niebie każdego z tych światów była zawieszona kobieca twarz o szerokim, wypełnionym kłami uśmiechu, rozciągającym się od ucha do ucha.

„A kiedy Nurt zawraca - dodała Thuruht - to Moc na tym cierpi”.

Raynar poczuł mdłości. On i Jacen zaprzyjaźnili się w pierwszej Akademii Jedi na Yavinie Cztery. Jacen był zresztą jednym z tych, którzy pomagali Raynarowi i jego ojcu chronić zagubiony arsenał broni biologicznej przed antyludzką grupą terrorystyczną. A kiedy ojciec Raynara zmarł, Jacen był jednym z przyjaciół, którzy go pocieszali. Więc kiedy Jacen przeszedł na Ciemną Stronę i został Darthem Caedusem, Raynarowi trudno było się z tym pogodzić. Początkowo nie chciał

wierzyć, że jego zdrada była prawdziwa, a później składał ją na karb tortur, jakim Jacen został

poddany w niewoli Yuuzhan Vongów. Jednak kiedy w czasie drugiej wojny domowej działania Caedusa stopniowo stawały się coraz bardziej bezwzględne, Raynar w końcu zrozumiał, że jego dawny przyjaciel stał się jednym z najokrutniejszych ze wszystkich Lordów Sithów. Teraz wyglądało na to, że nawet to piętno nie było dość straszliwe. W swoim pragnieniu powstrzymania wizji, jaka mu się ukazała, Darth Caedus uwolnił samą Destrukcję.

„Chaos, a nie Destrukcję - sprostowała Thuruht. - Chaos rodzi zniszczenie, ale także nową energię i zmianę”.

Gdy dołączyli do nich Lowbacca i pozostali, Raynar zaczął mówić na głos, żeby towarzysze mogli go zrozumieć, a C-3PO nagrywać.

- Thuruht uważa, że to zmiana w Nurcie spowodowała uwolnienie Abeloth - oznajmił

Raynar, streszczając towarzyszom przebieg rozmowy. Odwrócił się ponownie w stronę Thuruht. -

Ale Jedi wierzą, że przyszłość jest zawsze w ruchu, więc nie bardzo rozumiem, dlaczego zmiana w Nurcie miałyby uwolnić Abeloth.

„A czy nurt rzeki nie jest w ruchu? - odpowiedziała pytaniem Thuruht, również na głos. - I czy nie poniesie łodzi w różne miejsca zależnie od tego, dokąd skierują ją wiosłujący?”

- Tak, to prawda - przyznał Raynar niecierpliwie. - Ale gdziekolwiek wylądują, zwykle nie uwalniają Abeloth.

„Nie uwalniają jej, ponieważ nie zmienili Nurtu - odparła Thuruht. - Wykorzystali go tylko, by dotrzeć do jednego z wielu różnych celów. Jeśli jednak chcą popłynąć tam, gdzie Nurt nie może ich zanieść, muszą go zawrócić”.

- A w tym celu trzeba by zmienić bieg samej rzeki - dokończył Raynar.

„Tak - potwierdziła Thuruht. - Moc kieruje Nurtem. Nie da się zawrócić Nurtu, nie zmieniając też Mocy”.

- I to właśnie uwalnia Abeloth - sprecyzował Raynar.

„Tak - zgodziła się Thuruht. - Moc jest domeną Niebiańskich. Kiedy ich władza jest uzurpowana, zjawia się Siewca Chaosu”.

Raynar zaczekał, aż C-3PO przetłumaczy to jego towarzyszom. Miał właśnie zamiar przedstawić swoje podejrzenia co do Jacena, gdy Tekli doszła do takiego samego wniosku.

- Więc to Jacen uwolnił Abeloth? - spytała.

„Tak”.

- Zmieniając to, co zobaczył w swojej wizji Mocy? - uściśliła Tekli.

Thuruht zaklekotała żuwaczkami w killickim odpowiedniku wzruszenia ramion.

„Nie wiemy, co Jacen zobaczył w swojej wizji Mocy”.

Tekli z frustracji położyła uszy. Popatrzyła na Lowbaccę, który zajęczał smutno i odparł, że nawet Tahiri nie była tego pewna. Wydawało jej się, że wizja miała związek z mrocznym człowiekiem, który władał galaktyką; Jacen był podobno tak poruszony tym, co zobaczył, że przeszedł na Ciemną Stronę, żeby temu zapobiec.

Gdy C-3PO przetłumaczył wyjaśnienie Lowbacki, Thuruht zwinęła czułki, co było killickim odpowiednikiem kiwania głową.

„A więc tak - odpowiedziała. - Jeśli ten mroczny człowiek był przyszłością, a Jacen pragnął jej zapobiec, musiała być to ta przyszłość, którą zmienił”.

Po tych słowach Thuruht odwróciła się i przeszła korytarzem do następnej serii płaskorzeźb

- a Raynar zrozumiał, dlaczego Thuruht była tak przekonana, że zostanie tu, żeby pomóc rojowi.

Pierwsza płyta ukazywała budowę podłużnej, cylindrycznej stacji kosmicznej. Szkielet konstrukcji roił się od Killików, ubranych w cienkie skafandry i kaski. I to było wszystko. Nie było tu żadnych plecaków raketowych, żadnych dźwigów kosmicznych ani nawet żadnych kabli - tylko miliony Killików, unoszących się w blokach wielkości małych asteroid. Przed nimi ogromne durastalowe dźwigary przemieszczały się bez żadnego widocznego napędu.

Raynar wiedział, co widzi. Thuruht wykorzystywała Moc nie tylko do montażu samej stacji

- która niewątpliwie miała kształt Centerpoint - ale także do poruszania się w przestrzeni kosmicznej.

„Kiedy budujemy, używamy Mocy do wszystkiego”, potwierdziła Thuruht.

Skierowała uwagę Raynara na następną płytę. Przedstawiała ona chmurę Killików, którzy za pomocą podmuchów Mocy wydobywali rudę z kamiennej asteroidy. Zdawali się także wykorzystywać telekinezę do przenoszenia rudy do pieca hutniczego, który był zasilany najwyraźniej przez inną grupę, posługującą się kulistymi błyskawicami Mocy.

Do wydobywania, do przenoszenia, do wytapiania...

Raynar rozumiał, dlaczego Thuruht potrzebuje Mocy. Ale nawet gdyby potrafił się nią dzielić, nie był na tyle silny, żeby obdzielić nią tyle istot naraz.

Thuruht była rozbawiona jego konsternacją. „Kiedy będziemy gotowi do rozpoczęcia budowy, ciebie już nie będzie - oznajmiła. - To Architekci będą nam wtedy dawać Moc”.

- Architekci? - spytał głośno Raynar. Znów zahaczali tematy, o których Mistrzowie powinni usłyszeć.  
- Kim właściwie są Architekci?

„To Brat i Siostra - wyjaśniła Thuruht, wciąż mówiąc w jego głowie. - Abeloth jest jedyną rzeczą, jaka może ich połączyć. Wpadają w złość, kiedy niszczy cywilizacje, które oni rozwijali od tysięcy lat”.

Killiczka podeszła do następnej płyty, na której znajdowała się para owadów, stojących nad niewielkim rojem Killików, budującym coś w rodzaju ogromnego reaktora fuzyjnego. Jeden z nadzorców był barwnym motylem o dużych owalnych oczach i cienkich jak pajęczyna skrzydłach.

Towarzyszył mu potężnie wyglądający żuk o ciężkich skrzydłach i chropowatej głowie, ozdobionej dwoma pasami.

„Wkrótce Architekci zawrą pakt i wyjdą z ukrycia - ciągnęła Thuruht. - A kiedy to się stanie, rój musi być gotowy na ich wezwanie”.

- To są Architekci? - spytał Raynar. Podszedł bliżej i wskazał na dwa nadzorujące owady. -

Chcesz powiedzieć, że Brat i Siostra są owadami?

Thuruht rozłożyła swoje cztery ręce. „Dla nas tak”.

- Ach, tak... oczywiście. - Gdy Raynar to mówił, jego umysł zalał strumień wspomnień: Architektów przyłączających się do Thuruht i dziesiątek innych rojów, nagłego poznania sekretu budowy takich cudów, jak Przyciągacz Światów, Nieruchoma Kurtyna czy Otchłań Wieczności.

Wiedział, że Raynara Thula już nie ma. Pokiwał głową. - Teraz rozumiemy.

Kiedy odwrócił się od płaskorzeźby, zobaczył, że Tekli i Lowbacca nie patrzą na tę kluczową scenę, tylko na niego. Lowbacca rozchylił z wrażenia usta, odsłaniając kły, a zaniepokojona Tekli otworzyła szeroko oczy.

- Raynar - oznajmiła - pora wracać.

„To niemożliwe - odparła natychmiast Thuruht, niemal zanim jeszcze Tekli skończyła mówić. - Rój musi być gotowy na ich wezwanie”...

...a żeby tak się stało, rój potrzebuje pomocy Jedi. Zawarcie porozumienia trwało tyle, ile przesłanie myśli z jednego umysłu do drugiego, a kiedy Raynar odwrócił się, żeby odpowiedzieć Tekli, nastąpiło to tak szybko, że Chadra-Fanka nie zorientowała się nawet, że obok niej toczyła się jeszcze jedna, niesłyszalna rozmowa.

- Zgadamy się - powiedział. - Pora przekazać Radzie Jedi wszystko to, czego się dowiedzieliśmy. - Wskazał na dwa owady na płaskorzeźbie. - Powiedzcie Mistrzom, że Jedyni nie wyglądają tak samo w oczach wszystkich istot. Przybierają formę odpowiadającą ich sługom.

Lowbacca ryknął, że on niczego Mistrzom nie powie, że to Raynar będzie z nimi gadał.

Wyciągnął ku niemu kudłatą łapę, ale zatrzymał się, kiedy jego przyjaciel odepchnął ją delikatnie przy użyciu Mocy.

- Przykro nam, przyjacielu, ale musimy zostać - oświadczył ThurThul. - A wy musicie wracać. Raynara Thula już nie ma.

## **ROZDZIAŁ 22**

Uzbrojona dzięki uprzejmości Jaggeda Fela w czip identyfikacyjny imperialnego wywiadu, Tahiri bez problemu uzyskała pomoc w jedynym porcie kosmicznym na Hagamoorze Trzy. Stawiła się po prostu w biurze komendanta służby bezpieczeństwa i zażądała udostępnienia akt dotyczących Mandalorianina, który przyleciał kilka dni wcześniej. Oficer - siwowłosy stary kapitan - wsunął

czip do swojego czytnika i twarz mu pobladła. Stał na baczność i dziarsko zasalutował.

- Pani wybaczy - powiedział. - Nie wiedziałem, że pan Fel reaktywował Ręce.

Obawy kapitana były zrozumiałe. Odpowiedzialni tylko przed przywódcą Imperium, wrażliwi na Moc tajni agenci byli wykorzystywani przez Palpatine'a jako bezwzględne narzędzie jego woli, wymierzające karę każdemu, kto ściągnął na siebie jego gniew. Tahiri wiedziała, że Jag nie wykorzystywałby ich w równie okrutny sposób, jednak nie miał nic przeciwko wykorzystaniu tej nazwy.

Dziesięć minut później jej StealthX stał pod strażą w zamkniętym hangarze, ona zaś siedziała przed monitorem, oglądając nagranie z kamery monitorującej, na którym Boba Fett - lub ktoś w identycznej zbroi i o bardzo podobnym chodzie - szedł pneumatycznym tunelem dla pieszych.

Niestety, mandaloriańska zbroja Fetta nie wyróżniała się zbyt w tunelu. Hagamoor Trzy był ogólnodostępnym księżycem górniczym, gdzie kombinatorzy, złodzieje złóż i wszelkiej maści oszuści krążyli w poszukiwaniu ofiar, a rynek usług ochroniarskich rozkwitał. Co trzecia osoba widoczna na monitorze miała zarówno broń, jak i zbroję. Co gorsza, kiedy Fett dotarł do dzielnicy biurowej wewnątrz głównej kopuły, chodniki okazały się zatkałe przez oddziały prewencji, które ścierały się z protestującymi zwolennikami Daali. Obie strony były oczywiście uzbrojone. Nie chcąc zgubić Fetta, Tahiri musiała wypatrywać jego wysłużonego zielonego hełmu. Wyposażony w osłonę w kształcie litery T i charakterystyczną antenkę dalmierza wyrastającą z jednej strony, hełm był najłatwiejszym do odnalezienia elementem na kolejnych nagraniach.

Fett starał się trzymać blisko innych postaci w zbrojach i unikać kamer monitoringu, jednak nie mógł tego robić w sposób nazbyt oczywisty. Wszelkie widoczne próby unikania inwigilacji w imperialnym skupisku ludności, nawet tak prowincjonalnym jak Hagamoor City, wzbudzały tylko dodatkową podejrzliwość. Tahiri widziała, jak Mandalorianin odwiedza liczne lokale i sklepy.

Imperialna sieć monitoringu nie obejmowała wnętrza większości tego typu obiektów, ale raz Tahiri dostrzegła Fetta przez transpastalowe drzwi. Sprzedawca odwracał ekran, żeby Mandalorianin mógł sprawdzić listę produktów.

Fett najwyraźniej próbował kogoś wytropić, a Tahiri zaczynała podejrzewać, że nie obchodzi go, czy ktoś o tym wie. Mógł przecież dla niepoznaki kupić parę rzeczy, mógł przeciągać swoje wizyty albo wyjść z plikiem paragonów. On tymczasem przemieszczał się z jednego punktu do drugiego najszybciej jak się dało, spędzając w środku tylko tyle czasu, ile musiał, żeby przekupić lub zastraszyć tego, kto stał za ladą. Wyglądało to niemal tak, jakby chciał, żeby jego ofiara wiedziała, że się zbliża.

Może zresztą tak było. Hagamoor Trzy znajdował się w sektorze moffa Getellesa, a jeśli Daala miała w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia, dni Getellesa były policzone. Zdradził ją i odegrał kluczową rolę w uwięzieniu jej i jej sojuszników na Exodo II. Nic więc dziwnego, że Daala chciała go przykładnie ukarać, żeby przestrzec innych potencjalnych zdrajców. A czy był na to lepszy sposób niż wysłanie z misją odwetową niesławnego Boby Fetta?



Oczywiście Tahiri zdawała sobie sprawę, że udział Fetta nie gwarantuje tego, że Abeloth także zjawi się na Hagamoorze Trzy. Tahiri w tej kwestii wciąż kierowała się przeczuciem. Skoro oboje byli powiązani z Daalą - Fett wyciągnął ją z więzienia na Coruscant, a Abeloth przedarła się przez blokadę wokół Boreleo, żeby się z nią zobaczyć - miała nadzieję, że w końcu oboje trafią w to samo miejsce. Jednak nawet gdyby Fett nie doprowadził jej do Abeloth, ustalenie, co ów najemnik robi na Hagamoorze Trzy, także przyda się Jagowi.

Tahiri przewinęła do przodu nagrania z kolejnych trzech dni, aż w końcu zauważyła Fetta wchodzącego do komisju z używanymi pojazdami. Wkrótce potem szczelnie zamknięty śmigacz wyleciał przez tylną śluzę powietrzną kopuły i pomknął przez piaszczystą powierzchnię księżyca.

Wiadomość od jednego z agentów służby bezpieczeństwa potwierdziła, że śmigacz został zakupiony przez kogoś w zielonej mandaloriańskiej zbroi. Ujawniła także kod aktywacyjny lokalizatora pojazdu.

Hagamoor Trzy należał do terytoriów imperialnych, więc agent mógł aktywować sygnał lokalizatora bez zawiadamiania kierowcy. Tahiri ustaliła wkrótce, że pojazd zatrzymał się kilometr od Księżycowej Księżniczki - podziemnej kopalni, która w ciągu minionych dwóch tygodni intensywnie poszukiwała nowych pracowników. Dokumentacja podatkowa nie ujawniła jednak żadnego wzrostu liczby pracowników w ostatnim czasie, a skromna ekipa zdawała się obejmować znacznie więcej personelu technicznego, niż to było konieczne. Dość enigmatyczna uwaga na początku formularza podatkowego wspominała, że właścicielem i zarządcą kopalni jest Suarl Getelles, najstarsza córka moffa. W formularzu - a także nigdzie indziej - nie było ani słowa o tym, jakiego rodzaju złoża są wydobywane w Księżniczce.

Komendant służby bezpieczeństwa ochoczo zorganizował transport dla Tahiri i wkrótce odleciała terenowymi saniami bojowymi Mabartak G7. Po zaledwie paru godzinach znalazła pojazd Fetta, porzucony parę kilometrów od Księżycowej Księżniczki. Kilka minut później Tahiri stała w ciasnej śluzie powietrznej, ubrana w skafander próżniowy Imperialnej Służby Bezpieczeństwa.

Szacowała, że ma niecałe pół dnia straty do Boby Fetta - lub tego, kto nosił jego zbroję, uściśliła.

Wydawało się to mało prawdopodobne, żeby ściagała imitatora, kiedy jednak chodziło o Fetta, nierozsądnie byłoby przyjmować cokolwiek za pewnik.

Dlatego też Tahiri wolała nie używać wbudowanego w skafander komunikatora. Fett z pewnością mógłby go wykryć, nawet jeśli nie miał odpowiedniego oprogramowania, żeby odszyfrować transmisję. Zamiast tego otworzyła osłonę hełmu i wcisnęła guzik interkomu Mabartaka.

- Jestem gotowa - powiedziała. - Proszę otworzyć śluzę.

- Na pewno nie przyda się pani eskorta? - spytał dowódca pojazdu, przystojny porucznik mniej więcej w jej wieku. - Wywiad ciągle próbuje się dowiedzieć, co tam się dzieje, ale nie mogą przemycić nikogo do środka. A teraz jeszcze Boba Fett tu węszy... Z nim lepiej nie zadzierać w

pojedynek.

Tahiri niemal się uśmiechnęła.

- Milutki jesteś, ale... nie. Nie potrzebuję eskorty. - Wzięła plecak z ekwipunkiem, który zabrała ze zbrojowni posterunku. - Wystarczy, że będziecie tu, jak wrócę, poruczniku Vangur.

Może będę miała dla was nagrodę.

- Nagrodę? - Głos Vangura był pełen nadziei.

- Coś dla wywiadu - odparła Tahiri. Vangur próbował z nią flirtować przez całą trzygodzinną podróż z Hagamoor City i prawdę powiedziawszy, była zadowolona, że może zająć czymś myśli. Teraz jednak musiała skupić się na swoim zadaniu i dopilnować, żeby Vangur także skupił się na swoim. Przybrała nieco chłodniejszy ton. - Chyba nie sądził pan, że miałam coś innego na myśli, poruczniku?

- Ależ skąd. Nawet mi to do głowy nie przyszło.

Tahiri zarzuciła sobie okazały plecak na ramiona, po czym zapytała:

- To znaczy co?

- Nic, co mogłoby się pani wydać niestosowne. - W głosie Vangura była nutka rozbawienia, niemal kpiny, co sugerowało, że nie był specjalnie onieśmielony osobą swojej pasażerki. - Proszę pani.

- Radzę nigdy nie okłamywać Ręki Imperium, poruczniku - ostrzegła Tahiri. Właściwie to zuchwałość Vangura wydała jej się atrakcyjna, ale nie potrzebowała teraz nikogo atrakcyjnego ani zuchwałego, tylko kogoś, na kim mogła polegać. - To szkodzi zdrowiu.

- Rozumiem. - Głos Vangura wciąż brzmiał pewnie, ale tym razem nie było w nim wesołości. - To się więcej nie powtórzy.

- I dobrze - skwitowała Tahiri. - Proszę tu być, kiedy wrócę, a oboje będziemy zadowoleni.

Zamknęła osłonę hełmu i zaczęła. Kiedy światełko na panelu kontrolnym zaświeciło się na zielono, otworzyła włącznik i wyszła na piaszczystą powierzchnię Hagamoor. Trzy. Śmigacz Fetta spoczywał na wspornikach sto metrów dalej, u podnóża nasypu, który wyglądał jak brzeg niewielkiego krateru.

Wiedząc, że jakakolwiek próba podejścia do pojazdu spowodowałaby prawdopodobnie uruchomienie alarmu, który by ostrzegł Fetta, Tahiri rozszerzyła świadomość Mocy w kierunku śmigacza. Nie wyczuła nikogo w środku, ruszyła więc w górę zbocza, w stronę niewielkiego przesmyku, gdyż ślady Fetta omijały grzbiet wzniesienia. Przy słabej grawitacji księżycy wspinaczka była tak łatwa, że Tahiri nie włączyła nawet systemu chłodzącego skafandra. Musiała za to wykorzystać Moc, żeby nie wzbijać tumanów kurzu, które bez trudu unosiłyby się na wysokość trzydziestu metrów. Kiedy zbliżyła się do szczytu, padła na ziemię i, uważając na skały, które mogłyby rozerwać jej skafander, resztę drogi pokonała, czołgając się. Wreszcie podniosła głowę i wyjrzała spoza grzbietu nasypu.

Wnętrze krateru było zastawione setkami pojazdów, z których większość stała na wspornikach w równych rzędach. Ślady stóp na piasku prowadziły do wejścia do kopalni -

niewielkiego permabetonowego portalu z napisem „Księżycowa Księżniczka”. Za portalem ze zbocza krateru wyrastał przysadzisty budynek biurowy z durastali, przecięty dwoma transpastalowymi pasami, które pełniły funkcję okien. Brak widocznych drzwi czy prowadzących do budynku śladów stóp wskazywał, że jedyne wejście do niego prowadzi przez kopalnię. Tuż za brzegiem krateru unosiła się chmura gorących, żółtych oparów, niewątpliwie wydobywających się z szybu wentylacyjnego, którego Tahiri nie widziała ze swojego miejsca.

Niemal czuła zdumienie Fetta unoszące się w Mocy. Liczba pojazdów zaparkowanych wewnątrz krateru sugerowała liczbę zatrudnionych idącą w tysiące, a przecież sądząc po rozmiarach portalu i biura, Księżycowa Księżniczka była niewielkim przedsiębiorstwem - na tyle małym, że nikt nawet nie zadał sobie trudu, żeby postawić ogrodzenie albo stanowisko ochrony.

Tahiri nie widziała też żadnego sprzętu do obróbki, magazynowania czy transportu rudy. A jeśli Księżycowa Księżniczka nie zajmowała się wydobywaniem rudy, to raczej nie była zwyczajną kopalnią.

Tahiri włączyła zestaw zwiadowczy w swoim hełmie. Czujniki elektromagnetyczne wykryły dziesiątki niewielkich źródeł promieniowania, rozmieszczonych w równych odstępach wewnątrz krateru. Były to z pewnością ukryte kamery monitorujące. Kiedy popatrzyła na durastalowe „biuro” w dwudziestokrotnym powiększeniu, stało się oczywiste, że ściany za transpastalowymi szybami usiane są zakamuflowanymi otworami, z których wiele było dostatecznie dużych, by ukrywać działka laserowe. Sam portal zaś zamykany był nie za pomocą standardowej śluzы powietrznej, ale pancernego wjazdu, zdolnego wytrzymać atak turbolaserowy.

Najbardziej niepokojący był jednak odczyt termiczny kopalni. Hagamoor Trzy był kawałem bogatej w metal skały, tak małym, że ledwie generował własną słabą grawitację. Niewielka ilość wytwarzanego przy sprężaniu ciepła z trudem utrzymywała temperaturę powyżej zera absolutnego.

Tymczasem otoczenie kopalni przypominało teren wokół gejzeru. Tahiri zaczęła się obawiać, że żółty dym unoszący się za kraterem może oznaczać, iż cała kopalnia się pali.

Widząc, że Fett nie skierował się stąd wprost do krateru, zeszła w dół zbocza, aż znalazła się poza polem widzenia kopalni. Podążyła kilkaset metrów jego śladem wzdłuż zewnętrznej krawędzi krateru, po czym wróciła na grzbiet. Znajdowała się teraz w pobliżu portalu, jakieś pięćdziesiąt metrów ponad nim. Ślady Fetta tu się kończyły, a szeroki lej wskazywał, że włączył swój plecak raketowy, żeby jednym skokiem pokonać resztę drogi do portalu.

Tahiri nie miała plecaka raketowego, za to miała Moc. Oczyszczyła z piasku wylot emitera swojego pistoletu blasterowego, wyjęła kilka detonatorów termicznych z plecaka i przypięła do paska, a na koniec odpięła miecz świetlny i wzięła głęboki oddech. Podejrzewała, że powinna złożyć meldunek, zanim ruszy do akcji, ale nawet gdyby chciała przerwać ciszę na łączach, niewiele by to dało. Gdyby nie wróciła, Vangur przekazałby Felowi oczywiste fakty - Ręka Imperium podążyła śladem Boby Fetta do Księżycowej Księżniczki i nie wróciła.

W słabej miejscowej grawitacji Tahiri wystarczyły dwa skoki, żeby znaleźć się na dnie krateru. Trzeci skok zaprowadził ją przed portal Księżycowej Księżniczki, który faktycznie był

masywnym pancernym włazem. Otwierające się na zewnątrz dwuczęściowe wrota były chyba wykonane z błyszczącego stopu duratanium, a więc praktycznie nie do sforsowania przez laserową artylerię. Lekki połysk metalu sugerował, że teren jest chroniony przez pole wygaszające, stosowane zazwyczaj w obiektach wojskowych w celu osłabienia siły rażenia detonatorów termicznych i innych ręcznych ładunków wybuchowych. Jednak uwagę Tahiri przykuło uczucie wrzącej ciemności, jakiego doznała w Mocy - przyływu strachu i żalu, który zdawał się wzbierać gdzieś w głębi kopalni.

Może Fett jednak doprowadził ją do Abeloth.

Czyżbym naprawdę miała takie szczęście? - zastanawiała się Tahiri. Czyżbym naprawdę miała takiego pecha?

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Była to kamera monitorująca, która opuściła się na lince, żeby przyrzeć jej się z bliska. Tahiri wyciągnęła rękę, używając Mocy pochwyciła kamerę, przysunęła sobie jej obiektyw do twarzy i wcisnęła podbródkiem przełącznik komunikatora.

- Imperialna Służba Bezpieczeństwa. - Posłała w kierunku obiektywu falę energii Mocy, wytwarzając jasny błysk, który powinien chwilowo oślepić kamerę. - Wpuście mnie...

natychmiast.

- Jasne, szefowo. - Odpowiedź była tak zniekształcona przez zakłócenia, że nie sposób było rozpoznać rasę mówiącego, ale głos wydawał się zbyt cienki i wesoły, żeby mógł należeć do człowieka. - Jeśli naprawdę tego chcesz.

Tahiri poczuła lekkie drgania i pancerne wrota uchyliły się na tyle, żeby mogła się przez nie prześlizgnąć. Spodiewając się, że wartownik zamknie właz, gdy tylko przekroczy próg, wskoczyła do środka jednym szybkim susem i znalazła się w przemysłowej śluzie powietrznej. Wyglądała ona tak jak tysiące innych, które widywała, tyle że ta miała zamontowane działka laserowe wysoko w rogach. Tahiri machnęła w ich kierunku, wykorzystując Moc, żeby odepchnąć lufy i rozregulować system sterowania.

- Hej! - odezwał się trzeszczący głos. - Co ty sobie myślisz? Wydaje ci się, że kim jesteś?

- Już mówiłam - odparła Tahiri. - Imperialna Służba Bezpieczeństwa.

Podeszła do włazu w tylnej ścianie śluzy powietrznej i wyjrzała przez ulokowany na wysokości głowy iluminator. Zobaczyła długi, dobrze oświetlony tunel. Na ścianach wisiały białe panele z plastoidu, zdecydowanie zbyt czyste jak na kopalnię. Stanowisko wartownika, gdziekolwiek było, pozostawało niewidoczne.

- Otworzycie w końcu tę śluzę powietrzną? - spytała Tahiri. - Czy mam wysadzić ten właz i rozszczelnić całą kopalnię?

- Nie mówiłaś, że ci się spieszy. - Pancerne drzwi zatrzasnęły się za nią, a głos powiedział: -

Poczekaj chwilę, aż ciśnienie...

- Nie.

Tahiri odsunęła się od wjazdu i posługując się Mocą, przesunęła dźwignię awaryjnego mechanizmu otwierania wjazdu. Potworny pisk zamienił się w potworny ryk, a gwałtowny podmuch powietrza omal nie zwałił jej z nóg. Po chwili podmuch osłabł i Tahiri przeskoczyła na drugą stronę.

Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz niepokoju. Odwróciła się w samą porę, żeby zobaczyć, jak w drzwiach niewielkiej budki wartowniczej rozsuwa się otwór strzelniczy. Nie widząc żadnej twarzy w znajdującym się wyżej iluminatorze, wyciągnęła tylko rękę w kierunku otworu i pchnęła, używając Mocy. W następnej chwili seria blasterowych strzałów przeszła wewnętrzną stronę iluminatora i powędrowała w kierunku sufitu.

Tahiri zapaliła miecz świetlny, podeszła do budki i zajrzała przez osmalony iluminator. Na podłodze leżała pokryta futrem, wysoka na metr istota przypominająca gryzonia, trzymająca w rękach wielostrzałowy blaster typu T-21, niemal tak duży jak ona sama. Z przerośniętymi uszami i wielkimi, okrągłymi oczami mogłaby uchodzić za uroczą - gdyby nie była Squibem. Tahiri użyła Mocy, żeby zwolnić blokadę drzwi, otworzyła je od zewnątrz i weszła do ciasnego pomieszczenia.

Uniosła osłonę hełmu.

- Życie ci niemiłe? - Posługując się Mocą, wyrwała Squibowi T-21 z rąk. - Powiedziałam:

„Imperialna Służba Bezpieczeństwa”.

- Taa, jasne. I miałbym ci wierzyć na słowo? - odparował Squib. - Czyja wyglądam na jakieś futrzatko?

Tahiri popatrzyła na jego pokrytą plamami sierść i przerośnięte uszy i nagle zdała sobie sprawę, że wie, kim on może być. Wkrótce po tym, jak zaczęła służyć przywódcy Imperium, Han i Leia Solo skontaktowali Fela z trojgiem Squibów - jedną samicą i dwoma samcami. Cała trójka zgłosiła się jako ochotnicy do udziału w testach eksperymentalnego serum młodości, nad którym pracował nie kto inny, jak moff Getelles. Po spożyciu serum uczestnicy eksperymentów nabierali wtórnych młodzieńczych cech - jak wielkie uszy czy plamy na futrze.

Tahiri pokiwała głową.

- Właściwie to wyglądasz jak futrzatko - stwierdziła. - Który ty jesteś? Jesteś płci męskiej, więc musisz być Grees albo Sligh.

Squib zmrużył oczy.

- Skąd wiesz?

- Znasz mojego przełożonego, Jaggeda Fela - wyjaśniła Tahiri. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziała, jak określić swój status: po części więźnia, po części imperialnego agenta. - Nie tak dawno wykonywaliście dla niego tajną misję, która powinna już się zakończyć.

- Tamta robota jest skończona - odparł Squib. Zaczął się czołgać tyłem po podłodze, ale zaraz zatrzymał się na ścianie. - Ta jest inna.

Tahiri wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz... - Zawiesiła głos, jakby próbowała wydobyć imię z jego myśli, posługując się Mocą, podobnie jak czynił to Mistrz Skywalker. A potem po prostu zgadła. - Sligh.

Kiedy Squib położył ze strachu uszy, wiedziała, że się nie pomyliła.

- Może opowiesz mi o tej nowej robocie - zachęciła go. - I pamiętaj, że zorientuję się, jeśli skłamiesz.

Squib pokręcił głową.

- Nic z tego, blondyneczko.

- Dobra, w takim razie to ja tobie opowiem. - Tahiri postanowiła blefować. - Pracujecie teraz dla Daali.

- Nieprawda - odrzekł z zadowoleniem Sligh. - Ale z ciebie Jedi!

- Nie jestem Jedi. Już nie - sprostowała Tahiri. Otworzyła się ponownie na Moc i wyczuła tę samą wrzącą ciemność, którą czuła przed wejściem, i ten sam przyływ żalu i cierpienia. - Nie dałeś mi skończyć. Pracujecie dla Daali przez pośrednika, imperialną porucznik Lydeę Pagorski.

Sligh odwrócił wzrok.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś - zauważyła Tahiri. - Pagorski kieruje kampanią wyborczą Daali, jeśli wszczynanie zamieszek można nazwać kampanią.

Sligh wzruszył ramionami.

- Tak to się robi w Imperium. Nie nam to oceniać.

- Masz rację - przyznała Tahiri. Przechodząc na bardziej przyjazną technikę przesłuchań, wyłączyła miecz świetlny i skinęła na Sligha, żeby wstał. - Nie rozumiem jednak, po co Pagorski przyleciała tutaj, na Hagamoora Trzy. To terytorium Getellesa, a Getelles jest po stronie Jaga.

- Dlaczego sądzisz, że my mieliśmy z tym coś wspólnego? - zapytał Sligh. - Jesteśmy tylko wynajętymi pracownikami.

Nawet gdyby nie wyczuła w Mocy jego niepokoju, Tahiri domyśliłaby się, że Squib kłamie.

- To wy sprowadziliście tu Pagorski... bo byliście tu już wcześniej. - Dostrzegła, jak elementy układanki zaczynają do siebie pasować. - Księżycowa Księżniczka to nie jest kopalnia. To laboratorium, w którym Getelles pracował nad swoim serum młodości. Laboratorium, w którym byliście poddawani eksperymentom.

Sligh zamrugał tylko, próbując wyglądać niewinnie.

- Pagorski potrzebowała tajnej bazy, w której nikt by jej nie szukał - ciągnęła Tahiri, uważnie przyglądając się Squibowi. - I musiało to być miejsce, gdzie wiele osób mogłoby niepostrzeżenie zniknąć. Bo to już nie jest Lydea Pagorski, prawda? Jest teraz czymś znacznie bardziej niebezpiecznym. Czymś, czego nie rozumiesz i czego zapewne wolałbyś nigdy nie spotkać. Zgadza się?

Sligh szybko spuścił wzrok. Dla Tahiri było to wystarczające potwierdzenie.

- A potem było jeszcze gorzej, prawda, Sligh? Fett was tu wytropił, ponieważ szuka naukowców, którzy prowadzili na was eksperymenty. - Naukowcy ci opracowali serum młodości, ale zaprojektowali także nanowirus, specjalnie dopasowany do kodu genetycznego Boby Fetta, który Moffowie następnie wpuścili do atmosfery Mandalory, aby Fett nigdy już nie mógł powrócić na swoją ukochaną planetę. - Fetta nie przysłała tu Daala. Przyleciał dlatego, że chce dopaść waszych naukowców. A wy nie mogliście go powstrzymać. Jest już w tunelu, prawda, Sligh?

Uszy Sligha znów się wyprostowały, a jego ręce pofrunęły do góry tak szybko, że Tahiri zapaliła odruchowo swój miecz świetlny. Ale Squib złapał się tylko za twarz, odwrócił tyłem do Tahiri i zaczął kręcić głową tak gwałtownie, że obawiała się, czy nie skręci sobie karku. Nagle znów się odwrócił i rzucił jej się do stóp.

Tahiri opuściła miecz świetlny, omal nie odcinając mu głowy, zanim zdała sobie sprawę, że w jego aurze w Mocy nie ma agresji - jedynie panika, przerażenie i konsternacja. W ostatniej chwili wyłączyła klingę i uniosła jedną nogę, dzięki czemu upadający Squib jej nie przewrócił.

Sligh wypadł z budki wartowniczej na biały korytarz. A potem, wciąż kręcąc głową, obejrzał się do tyłu i zawołał:

- Wynoś się z mojej głowy, wiedźmo!

## **ROZDZIAŁ 23**

Jeśli nawet Księżycowa Księżniczka była kiedykolwiek czymś innym niż tajnym laboratorium działającym pod przykrywką kopalni, to Tahiri nie dostrzegła w głównym tunelu niczego, co by na to wskazywało. Wysoki na dwa i szeroki na trzy metry korytarz pomieściłby nawet śmigacze, ale był za mały na ciężki sprzęt. Był także niewiarygodnie czysty. Zarówno durabetonowa podłoga, jak i plastoidowa okładzina zostały starannie uszczelnione, żeby zapobiec przedostawaniu się ziemi. Nawet panele jarzeniowe schowano za transpystalowymi szybami, żeby zminimalizować liczbę

połączeń, w których mogłoby dojść do rozpadu szczeliwa. Co pięćdziesiąt metrów Tahiri przechodziła przez jonową kurtynę, która wyłapywała cząsteczki kurzu przywierające do jej skafandra próżniowego.

Za drugą taką kurtyną natrafiła na dwie sztuki załadowanych sań repulsorowych, zaparkowanych pod ścianą, jakby w oczekiwaniu, aż będzie można dostarczyć ładunek. Skrzynie na obu pojazdach zostały niedawno otwarte - bez wątplenia przez ciekawskiego Bobę Fetta. Tahiri ze skrzyni na pierwszych saniach wyjęła plakat z flimsiplastu.

Na plakacie widniał wizerunek admirała Daali z profilu. Miała nobliwy, poważny wyraz twarzy i wyeksponowaną opaskę na oko. Poniżej widniał napis: „Natasi Daala. Tradycja służby i poświęcenia - dla twojego Imperium”.

Patrząc na plakat, Tahiri poczuła nagły przypyływ szacunku i zaufania. Zaczęło jej się nawet wydawać, że Daala mogłaby być w gruncie rzeczy całkiem niezłym przywódcą Imperium.

Sugestia Mocy.

Tahiri zorientowała się, o co tu chodzi, tylko dlatego, że wyczuła w tym energię Mocy, a i tak trudno jej było oprzeć się działaniu plakatu, dopóki go nie pogniotła i nie rzuciła na podłogę.

Drugie sanie zawierały stertę wyświetlaczy holograficznych. Tahiri wołała ich nie włączać, spodziewając się, że pojawi się hologram Daali i zacznie gadać. Zamiast tego skupiła swoją świadomość Mocy ponad saniami. Wokół wyświetlaczy wyczuła mroczną aurę, całkiem jakby zostały nasycone niewielką ilością energii Mocy przez bardzo potężnego użytkownika Ciemnej Strony Mocy.

Abeloth.

Tahiri ruszyła ponownie tunelem, coraz bardziej zaniepokojona. Po tym, jak Abeloth przedarła się przez blokadę wokół Boreleo, wszystko wskazywało na to, że zawiązała sojusz z Daalą i teraz wykorzystywała swoje zdolności, żeby zwiększyć jej popularność w Imperium - a to odkrycie niewątpliwie potwierdzało te przypuszczenia. Ale rzucało też zupełnie nowe światło na kampanię pani admirała. Tahiri dostrzegała tylko jeden powód, dla którego Abeloth mogłaby użyć swoich umiejętności, żeby zapewnić Daali zwycięstwo - po prostu liczyła na to, że Daala będzie jej marionetką.

Abeloth chciała przejąć kontrolę nad Imperium.

A gdyby Abeloth zdołała opanować Imperium, nikt by jej już nie mógł powstrzymać.

Imperium byłoby idealną bazą, z której mogłaby prowadzić ekspansję, a wobec tych połączonych sił nawet Galaktyczny Sojusz nie mógłby się jej długo opierać.

W miarę jak Tahiri posuwała się naprzód, tunel stawał się coraz mniej czysty. Po trzystu metrach na ścianach zaczęły się pojawiać ciemne plamy pleśni. Po czterystu - plastoid pociemniał



od narośli, a grzyb zaczynał tworzyć wzgórki. Po pięciuset metrach Tahiri musiała już kluczyć między metrowej wysokości grzybami i schylać się pod zwisającymi kurtynami z mchu. Choć nigdy wcześniej nie była na świecie opanowanym przez Abeloth, rozmawiała z tyłoma Jedi, że wiedziała, jak jest niebezpieczna - i jak wielką musi zachować ostrożność wśród tej dziwnej flory.

Przeszła jakieś sześćset metrów, kiedy jej oczom ukazał się widok tyleż makabryczny, co zagadkowy. W lewo odchodziła rampa, prowadząca w kierunku budynku znajdującego się na powierzchni, ponad tą częścią Księżycowej Księżniczki.

U podnóża rampy pół tuzina strażników mężczyzn leżało porozrzucanych między grzybami.

Kolejne pół tuzina - zapewne ci, którzy zjawili się pierwsi - dotarło do głównego tunelu, gdzie plastoidowe ściany były pomazane krwią, a na podłodze znajdowały się ciała i broń. Dwóch strażników zdążyło jeszcze odrzucić na bok karabiny blasterowe i rzucić się do ucieczki korytarzem. Tahiri dostrzegła leżące między widłakami ich ciała z wielkimi dziurami wypalonymi w plecach.

Pewnie Fett, pomyślała Tahiri. Niewątpliwie wyglądało to jak jego robota, a od Sligha dowiedziała się, że Mandalorianin wszedł przed nią do tunelu. Nie chcąc ryzykować, że bezwzględny łowca nagród znajdzie się pomiędzy nią a wyjściem, ruszyła po rampie w kierunku budynku, który, sądząc po ciałach strażników, musiał być bunkrem dowodzenia.

Przeszła raptem około trzydziestu kroków, gdy zdała sobie sprawę, że nie musi się obawiać Fetta. Łowca nagród wisiał na środku tunelu, nieruchomo i do góry nogami, zaplątany w kurtynę z włóknistego mchu niczym brzękomar w pajęczynie. Niektóre z wąsów mchu wślizgnęły się w łączenia jego zbroi i zapewne przeniknęły także przez neoplastikowy kombinezon, który miał pod spodem. Skoro nigdy wcześniej nie była na żadnym ze światów Abeloth, Tahiri mogła się jedynie domyślać, na czym polegał atak. Najprawdopodobniej mech zawierał jakiś kwas lub truciznę kontaktową, choć nie można było też wykluczać duszenia czy reakcji alergicznej. Wiedziała jedno -

gdyby Fett spodziewał się ataku ze strony rośliny, nie dałby się jednej z nich schwytać i, być może, zabić.

Warto było zapamiętać tę lekcję.

Jako że hełm schowała do plecaka, Tahiri wyciągnęła mikrofon z kołnierza skafandra i użyła wewnętrznej sieci kopalni, żeby podłączyć się do anteny na powierzchni. Potem wybrała bezpieczną częstotliwość i połączyła się z porucznikiem Vangurem na pokładzie Mabartaka.

- Zmieniła pani zdanie co do eskorty? - spytał od razu Vangur bez przedstawiania się czy choćby upewnienia, że faktycznie rozmawia z Tahiri. - Możemy tam być za pięć minut.

- Kuszące, ale dziękuję - odparła Tahiri. - Musicie coś dla mnie zrobić.

- Tak jest - powiedział. - Co takiego?

- Po pierwsze, za godzinę macie być o dwa kilometry od Księżycowej Księżniczki, niezależnie od tego, czy będę na pokładzie, czy nie - poinstruowała. - I to jest rozkaz. Zrozumiano?

- Oczywiście.

Chociaż Vangur miał w sobie zbyt dużo z wzorowego imperialnego oficera, żeby prosić o wyjaśnienie, Tahiri usłyszała ciekawość w jego głosie.

- Proszę mi wierzyć - zaczęła - jeśli nie wrócę, nie chcielibyście być w pobliżu kopalni.

- Skoro pani tak twierdzi.

- Owszem, twierdzą - odrzekła Tahiri. - Poza tym chciałabym, żeby złożył pan meldunek przywódcy Imperium i tylko jemu. Rozumie pan?

- Oczywiście. - Głos Vangura przybrał wreszcie poważny ton. - Ale nie wiem, czy przywódca Imperium zechce przyjąć bezpośredni komunikat od...

- Proszę mu powiedzieć, że to od Ręki Imperium - przerwała mu Tahiri. - Wtedy pana połączą. Proszę mu przekazać tę lokalizację i następującą wiadomość: „Ona tu jest. Działaj jak najszybciej... bez względu”.

- „Ona tu jest. Działaj jak najszybciej... bez względu” - potwierdził Vangur. - Czy przywódca zrozumie ostatnią część? To znaczy, bez względu na co, tak właściwie?

- Bez względu na wszystko, poruczniku.

- Ach... rozumiem. - Vangur zamilkł na chwilę, a potem zapytał: - Coś jeszcze, proszę pani?

- Pospieszcie się.

- Dziękuję, że pomyślała pani o mojej załodze - oznajmił. - I... mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, ale zamierzamy czekać pełną godzinę.

- Nie mam nic przeciwko? - powtórzyła Tahiri. - Możliwe, że będę na to właśnie liczyć.

Rozłączyła się, spojrzała na chronometr i zobaczyła, że jest jedenasta rano według standardowego czasu galaktycznego. Dała sobie godzinę. Biorąc pod uwagę, że Fel przydzielił jej fregatę, a ona zostawiła tę fregatę mniej więcej w połowie drogi między Hagamoorem Trzy a jego planetą, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, żeby Jag mógł rozpocząć turbolaserowe bombardowanie wcześniej. Jednak rozkaz musiał zostać wydany i potwierdzony; potem fregata musiała zająć pozycję i zweryfikować położenie Księżycowej Księżniczki. Realnie rzecz biorąc, godzina to i tak byłby niewiarygodnie krótki czas reakcji.

Ale chodziło o Abeloth, więc Jag z pewnością się o to postara.

Tak więc Tahiri miała czas do południa, żeby potwierdzić obecność Abeloth i wyłączyć wszelkie ukryte w kopalni generatory pola ochronnego. Musiała też obmyślić jakiś sposób, żeby obejrzeć i zweryfikować zniszczenie celu, no i odwrócić jakoś uwagę Abeloth, dopóki nie zacznie się

bombardowanie. A przez ten czas powinna się też zastanowić, jak sama może przeżyć bombardowanie... Cóż, to też byłoby miłe.

Pierwszym miejscem, gdzie należało poszukać generatorów pola ochronnego, był

oczywiście bunkier. Tahiri uznała, że dobrze byłoby mieć jakieś pojęcie o tym, co może tam na nią czekać. Skierowała zatem swoją świadomość Mocy w stronę budynku - i wyczuła tylko pojedynczą, zamroczoną obecność niedaleko od niej.

Był to oczywiście Fett, uwięziony, ale żywy.

Używając Mocy do oczyszczenia drogi ze wszystkiego, co wyglądało, jakby mogło ją opryskać, ukłuć lub schwytać, Tahiri zrobiła kilka kroków w stronę łowcy nagród. Jagged dał jej wolną rękę - miała zrobić wszystko, co konieczne, żeby powstrzymać Abeloth - i przy okazji wspomniał o zabiciu Fetta. Zapewne byłoby to rozsądne posunięcie, biorąc pod uwagę, jak niebezpiecznym człowiekiem był Fett i jak rzadko można go było spotkać tak bezbronnego.

Tahiri zawahała się jednak z dwóch powodów. Po pierwsze, nie miała absolutnej pewności, czy wewnątrz zbroi kryje się Fett. Wprawdzie imitatorzy zwykle szybko ginęli, jednak z drugiej strony wiadomo było, że podając się za niesławnego łowcę nagród, można liczyć na ogromną gażę.

Po drugie - i ważniejsze - jeśli to jednak był Fett, to nie mógł współpracować z Abeloth, bo inaczej nie dałby się schwytać jej mięsożernym roślinom. Więc kto wie, może Tahiri mogłaby go skłonić, żeby jej pomógł. Niewątpliwie Fett był w stanie odwrócić uwagę Abeloth na tyle, żeby nie zauważyła zbliżającego się bombardowania.

Tahiri zatrzymała się pięć kroków od Fetta - i kurtyny z mięsożernego mchu, w którym był uwięziony.

- Bobie Fett?! - zawołała. - Czy to ty?

Wisząca przed nią postać się nie poruszyła.

- Daj spokój, Fett, wiem, że żyjesz - ponagliła go. - Czuję to w... aaach, *krrriffj!*

Ostatnie słowo zamieniło się w przekleństwo, gdy zobaczyła, że Fett wolną ręką wykonuje w jej stronę ruch. Posługując się Mocą, odepchnęła go od siebie, a sama rzuciła się w przeciwnym kierunku, szukając schronienia.

Wylądowała kilka kroków od dolnego końca rampy, po czym sturlała się na sam dół i zatrzymała twarzą w twarz z gnijącymi zwłokami. Za sobą usłyszała skwierczenie miotacza płomieni.

Tahiri spodziewała się usłyszeć brzęk opancerzonego ciała spadającego na podłogę, gdyby Fett uwolnił się z mchu. Tymczasem z hełmu dobiegł stłumiony głos, przeklinający we współczesnym Mando'a, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, że łowca nagród jest w jeszcze gorszej sytuacji niż przedtem. Mech stopił się w jedną wielką grudę, która pokrywała teraz nie tylko miotacz płomieni,

ale i całą rękę Fetta. Na wpół stopione wąsy kurczyły się, unieruchamiając kończynę i przyciągając ją z powrotem do ściany.

Tahiri podniosła się i wzruszyła ramionami.

- Dobra, Fett. Jak sobie chcesz. - Otarła z twarzy pleśń i skierowała się ponownie w stronę głównego tunelu. - Wybacz, że zawracałam ci głowę.

- I na tym koniec, Veilo?! - zawołał Fett. - Tak mnie tu po prostu zostawisz... żywego?

Tahiri upewniła się, że nie pełzną ku niej żadne mięsożerne rośliny, po czym obejrzała się na Fetta.

- A czego się spodziewałeś? - spytała. - Próbowaleś mnie usmażyć.

- Spodziewałem się, że dokończysz dzieła - odparł Fett. - Nie to, żebym narzekał, ale nie sądziłem, że brzydzisz się mokrą robotą. Twoja reputacja musi być przesadzona.

- Fett, pozwól, że o coś cię zapytam - zagadnęła Tahiri. Wiedziała, że próbuje ją zwabić do siebie, żeby ją podejść i zmusić do pomocy w ucieczce, ale to było zupełnie niepotrzebne. - Czy potrafisz poruszać przedmioty siłą woli?

- Głupie pytanie - warknął Fett. - Wiesz, że nie.

- No właśnie. A ja potrafię. Więc gdybym chciała cię zabić, po co miałabym podchodzić i cię wołać? - Tahiri zrzuciła z ramion plecak, otworzyła go i użyła Mocy, żeby wyciągnąć ze środka detonator termiczny. - Wystarczyłoby, żebym zbliżyła do ciebie jedną z tych niegrzecznych dziewczynek.

Hełm Fetta obrócił się; teraz szybka w kształcie litery T była skierowana wprost na nią.

- Ciebie to bawi?

- Troszeczkę - przyznała Tahiri. Uzbroidła detonator i ustawiła zapalnik. - I zabiję cię, jeśli będę musiała.

- A ja mam cię przekonać, że nie musisz?

- To zależy. Jak bardzo chcesz żyć?

- Wystarczająco - burknął Fett. - Jeśli masz jakąś propozycję, to słucham.

Tahiri się uśmiechnęła. Mogła trafić znacznie gorzej w kategorii najemnych szumowin. Fett może i był morderczym *sleemo*, ale był morderczym *sleemo* o własnym kodeksie honorowym i wielkiej dumie z wykonywanej pracy. Kiedy zawierał umowę, zwykle jej dotrzymywał.

- Mam rozkaz zakończyć twój udział w imperialnej polityce - oznajmiła. - W jaki sposób to zrobię, to wyłącznie moja sprawa.

- Wybacz, ale nigdzie się stąd nie ruszę, dopóki nie dostanę tego, po co tu przyleciałem.

- Naukowców, którzy stworzyli nanowirus dla moffów?

Fett był zwykle opanowany, ale Tahiri wyczuła w Mocy żar kipiącej w nim nienawiści.

- Jessal Yu i Frela Tarm - potwierdził. - Powinni tu być z bandą Squibów.

- Pozwolę ci dorwać tych naukowców - zaproponowała Tahiri. - Oczywiście nieoficjalnie.

- A czego chcesz w zamian?

- Już ci mówiłam. Żebyś nie mieszał się do imperialnej polityki - odpowiedziała Tahiri. - To znaczy, że twoja umowa z Daalą jest nieważna.

- Przywiozłem ją tutaj. - Fett w końcu zaczął okazywać zainteresowanie. - To była nasza umowa.

- Dobrze. W takim razie możesz zawrzeć umowę ze mną.

- Żeby to zrobić, musiałbym ci ufać - stwierdził Fett. - A biorąc pod uwagę, w jakim towarzystwie się obracasz, nie ufam ci.

- Caedus to stare dzieje - oznajmiła Tahiri. Wiedziała, że największą przeszkodą w zawarciu układu z Fettem będą jej dawne powiązania z Darthem Caedusem. To Caedus upoważnił moffów do wypuszczenia wymierzonego w Fetta nanowirusa do atmosfery Mandalory, a przedtem zadreńczył na śmierć jego córkę, Ailyn Vel, w pierwszych tygodniach drugiej wojny domowej. - Ale jeśli nie potrafisz zapomnieć o przeszłości, chętnie zakończę twoje męki na zawsze. Choćby po to, żeby moja reputacja nie ucierpiała.

- Nie mówiłem o Caedusie - odrzekł Fett, nie dając się zastraszyć.

- Jedi też nie jestem - oświadczyła Tahiri. - W tej chwili pracuję dla Imperium.

Z hełmu Fetta dobiegło prychnięcie.

- Tylko dopóki Daala nie przejmie władzy.

- A dla ciebie to ma jakieś znaczenie?

- Chyba nie. - Fett się zawahał. - A jaki ty masz w tym interes?

- Mamy wspólnego wroga.

- Tutaj?

Tahiri pokiwała głową.

- Co wiesz o Abeloth?

- O kim?

- Abeloth jest bardziej „czymś” niż „kimś” - zauważyła Tahiri, teraz już pewna, że jej wcześniejsze przypuszczenia co do współpracy Fetta z Abeloth były błędne. - A jeśli chcesz dorwać swoich naukowców, najpierw będziesz musiał zmierzyć się z nią. Odetnę cię i opowiem, co nam grozi.

- Jeszcze się nie zgodziłem - przypomniał jej Fett.

- Zgodzisz się. - Tahiri schowała detonator z powrotem do plecaka, plecak zarzuciła sobie na ramiona, a następnie zaczęła wchodzić po rampie. - Uwierz mi, będziesz chciał pomóc.

Uważając, żeby nie zbliżać się do wąsów pnączy, odcięła Fetta mieczem świetlnym i pomogła mu oczyścić zbroję z mchu. Fett wyjął strzykawkę z jednej z toreb przy pasku i zrobił

sobie zastrzyk, żeby zwalczyć ból i stan otępienia, a Tahiri zaczęła opowiadać mu w skrócie o Abeloth. Wyjaśniła, że to prastary byt Mocy, który uciekł z Otchłani. Jedi wciąż szukali informacji na jej temat, ale jak dotąd zdołali jedynie ustalić, że potrafi przenosić się z jednego ciała do drugiego i dowolnie zmieniać wygląd. I że bardzo trudno ją zabić.

Fett wzruszył tylko ramionami.

- Może Jedi używają złej amunicji.

- Nie lekceważ jej, Fett - ostrzegła go Tahiri. - Ona zna więcej sposobów na zabijanie niż ty.

I nigdy nie wiesz, czego się spodziewać.

- Myślisz, że mnie przestraszysz, Veila? - odparł Fett. - Ja zawsze wiem, czego się spodziewać.

Tahiri wskazała na mech, który właśnie usunęli z jego zbroi.

- Tym razem nie wiedziałeś.

- To jej sprawka? - spytał Fett, spoglądając na lepłą kupkę. - Myślałem, że to moi naukowcy zrobili coś jeszcze, żeby zasłużyć na śmierć.

- Obawiam się, że nie - odparła Tahiri. - To rośnie wszędzie, gdzie Abeloth się sprowadzi.

Ona tym się żywi.

- Grzybami i mchem? - spytał Fett. - Czym ona jest? Jakimś jaskiniowym pełzaczem?

Tahiri pokręciła głową.

- Abeloth nie jest żadnym roślinożercą, Fett. Ona karmi się strachem. Bólem. Tym, co czują istoty, kiedy cierpią i umierają.

Hełm Fetta odchylił się do tyłu.

- Chcesz powiedzieć, że ona karmi się śmiercią?

- Nie w tym sensie, o którym myślisz - zaprzeczyła Tahiri. - Karmi się uczuciami, które wywołuje śmierć. Strach i ból uwalniają mnóstwo energii Ciemnej Strony. Tego właśnie szuka Abeloth.

Fett zamilkł, a Tahiri zorientowała się po spokoju w jego aurze w Mocy, że w końcu zaczyna rozumieć, z czym przyjdzie im się zmierzyć. Że potrzebuje jej pomocy nie tylko po to, żeby znaleźć swoich naukowców. Potrzebuje jej, żeby wydostać się z Księżycowej Księżniczki żywy.

Wreszcie Fett pokiwał głową.

- Dobra, a więc jest spijaczem Mocy - powiedział. - Rozumiem.

- Jeszcze nie - odrzekła Tahiri. - Ciągłe myślisz w skali śmiertelnika, takiego jak Vader czy Palpatine. Pomyśl o czymś większym, jak nawałnica albo przypyływ. Jak żywy wulkan Mocy.

Hełm Fetta przechylił się do tyłu.

- Żywy wulkan Mocy? - powtórzył. - Nie zapędziłaś się za bardzo w Dziką Przestrzeń, Veila?

- Nie sądzę - nie zgodziła się Tahiri. - Widziałeś te wszystkie śmigacze na zewnątrz?

- Trudno byłoby je przegapić - potwierdził Fett. - Sądziłem, że Yu i Tarm potrzebowali nowych królików doświadczalnych.

- Jest to jakieś wytłumaczenie. - Tahiri wskazała ręką na kępę grzybów. - Ale w tej chwili trudno byłoby prowadzić jakieś eksperymenty... a Księżycowa Księżniczka cały czas szuka nowych pracowników.

- Myślisz, że Abeloth uzupełnia zapasy pożywienia?

- Tak podejrzewam - namyślała się głośno Tahiri. - Niewątpliwie zgadzałyby się to z tym, co tu widać.

Fett odwrócił wzrok, a Tahiri poczuła, jak jego aura w Mocy staje się zimna i pełna niepokoju.

- No dobra - rzucił w końcu. - Mamy się zmierzyć z wulkanem Mocy. Jak go zabić?

- Jeszcze nad tym pracuję. - Tahiri uśmiechnęła się, zadowolona, że on nie może wyczuć jej aury w Mocy. - Miałam nadzieję, że ty wpadniesz na jakiś pomysł.

Fett przyglądał jej się przez chwilę, a wreszcie pokiwał głową.

- Dobrze - powiedział. - Ale ty idziesz przodem.

- Niech będzie - zgodziła się Tahiri. Ruszyła w górę rampy, w kierunku bunkra.

- Nie ma potrzeby - oznajmił Fett. - Nic tam nie ma oprócz ciał. Martwych.

- Nic? - spytała Tahiri. Domyślając się, że Fett nie chciałby tu zostać, gdyby mu powiedziała o zbliżającym się bombardowaniu, szukała jakiegoś subtelnego sposobu na zapytanie go o generatory pola siłowego. - Oczyszczyłeś teren?

- Nie. Poumierali ze strachu, jak tylko usłyszeli, że nadchodzę.

- Miałam na myśli monitoring, blokadę włazów, droidy patrolowe... - wyjaśniła Tahiri, przewracając oczami. - Takie rzeczy.

- Czy ja wyglądam na amatora? - zapytał Fett. - Powiedziałem „nic”. Nic żywego, nic działającego.

- Dobra... dzięki - mruknęła Tahiri, uznając, że zgodnie z jego definicją „niczego” może odhaczyć punkt „zniszczyć generatory pola ochronnego” na swojej liście rzeczy do zrobienia. -

Dobrze wiedzieć.

Wróciła do głównego tunelu i ruszyła w głąb Księżycowej Księżniczki, podążając za mrokiem, który wyczuwała w Mocy. Korytarz usłany był grzybami i zwłokami, a ściany i sufit przystrajał wiszący mech. Torowali sobie drogę ogniem i Mocą, pozostawiając za sobą tunel wypełniony cuchnącym dymem. Dwa razy Tahiri powstrzymała Fetta przed rozpyleniem płomieni na żyjące jeszcze istoty. Pierwszą była nieprzytomna kobieta, której ospowatą twarz pokrywały żółte zarodniki, drugą zaś wrzeszcząca Twi'lekanka z nogą obnażoną do kości przez mięsożerną pleśń. Fett zauważył, że Tahiri nie oddała Twi'lekance żadnej przysługi, powstrzymując go.

Musiała przyznać mu rację, ale i tak nie pozwoliła mu spalić jej żywcem.

Po przejściu około ośmiuset metrów natrafili na ognioodporną gródź z zamkniętym włazem.

Tahiri wyczuła w Mocy po drugiej stronie duże zgromadzenie istot, rozmieszczonych na jakimś tysiącu metrów kwadratowych. Nie wyczuła jednak, żeby ktoś czaił się tuż za włazem, więc nie musieli obawiać się zasadzki. Popatrzyła w osłonę hełmu Fetta, aż jego obecność w Mocy zaczęła zdradzać ciekawość, po czym wskazała na mechanizm sterowania włazu i wykonała gest naśladujący stukanie w klawisze. Fett pokiwał głową i wyciągnął wytrych z kieszeni na udzie.

Podczas gdy Fett pracował nad zamkiem, Tahiri zrobiła rozpoznanie przy użyciu Mocy, próbując zorientować się, co zastaną po drugiej stronie. Na wprost, w odległości około pół

kilometra, wyczuła wrzącą masę strachu i cierpienia, zwartą i nieruchomą - zapewne była to grupa istot zamkniętych w areszcie. Po lewej stronie było około pięćdziesięciu istot, również wystraszonych, ale nieodczuwających bólu - zapewne jacyś robotnicy.

Na wprost kilkanaście istot zdawało się krążyć tam i z powrotem po obszarze długim na jakieś sto metrów i dwukrotnie szerszym od tunelu. Wyżej, po prawej stronie, jakby na piętrze, wyczuła



obecność trójki cwanych istot, w których natychmiast rozpoznała Squibów. Trochę dalej zaś znajdował się cel.

Tahiri nie miała wątpliwości, że to Abeloth. Była to kłębiąca i się kula ciemności, większej niż wszystko, co do tej pory czuła, rozgrzana w Mocy jak reaktor fuzyjny. I ta kula sięgała po nią.

Tahiri spróbowała się szybko wycofać z Mocy i ukryć swoją obecność, ale nie było to łatwe.

Istota zaczęła już zatapiać w niej swoje macki - Tahiri czuła, jak się w niej wiją, ale w końcu zdołała zamknąć się przed nimi całkowicie.

Przez chwilę siedziała, próbując opanować drżenie i nie zastanawiać się, czy na pewno jest gotowa na tę walkę. Potwierdziła obecność celu, no i miała Fetta, który powinien zaabsorbować uwagę Abeloth do czasu, aż rozpocznie się turbolaserowe bombardowanie. Teraz musiała tylko znaleźć jakiś sposób, żeby zweryfikować zniszczenie wroga - a w tym celu musiała dotrzeć na tyle blisko, żeby ją zobaczyć.

Tahiri poczuła na sobie spojrzenie Fetta, obejrzała się i zobaczyła skierowany w jej stronę hełm. Fett trzymał w ręku małego, czarnego droida szpiegowskiego wielkości mniej więcej jej kciuka - dużego według standardów Jedi, ale wystarczająco miniaturowego jak na ich potrzeby.

- Chcesz rzucić okiem?

- Jeszcze nie - odparła Tahiri. - Mam pewne informacje.

Opowiedziała Fettowi o tym, co wyczuła w Mocy, starając się jak najdokładniej określić wymiary pomieszczenia i rozmieszczenie znajdujących się w nim istot. Szczególną uwagę poświęciła Abeloth i Squibom, opisując, że Squibowie wydawali się umiejscowieni gdzieś wyżej, Abeloth zaś może ze trzydzieści metrów za nimi, na tym samym poziomie co większość istot.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział Fett. Włączył swojego droida szpiegowskiego i wyciągnął rękę w stronę dźwigni wjazdu. - Mimo wszystko wolę obraz.

- Yyy... może lepiej nie zwlekać - zasugerowała Tahiri. - Nie jestem tutaj jedynym użytkownikiem Mocy, pamiętasz? Kiedy wyczułam Abeloth, ona wyczuła mnie.

- Świetnie - mruknął Fett, udając zniesmaczenie, którego Tahiri nie czuła w jego aurze. -

Teraz się nas spodziewa.

- I co z tego? - Tahiri wiedziała, że Fett po prostu stara się wywołać w niej poczucie winy, żeby zwiększyć swoje wpływy, ale ona nie miała zamiaru się na to godzić. - Myślałeś, że o niczym się nie dowie?

- Chyba nie - przyznał. - Ale i tak musimy najpierw dorwać Squibów.

Tahiri spojrzała na chronometr i oszacowała, że mają około dwudziestu minut do rozpoczęcia

bombardowania. A więc czas nie stanowił problemu - a może ścigając Squibów, odwrócić uwagę Abeloth od tego, dlaczego jej nie atakują.

- W porządku - zgodziła się Tahiri. - Najpierw Squibowie.

Ręka Fetta wciąż wisiała nad dźwignią wjazdu.

- W porządku?

- Jasne - potwierdziła Tahiri, kiwając głową. - Umowa to umowa, a Squibowie nie sprawią nam problemu. Po tym, jak skończymy z Abeloth, mogłoby już być inaczej.

Aurę Fetta wypełniła podejrzliwość. Cofnął rękę znad dźwigni.

- To było zbyt łatwe, Veilo - zauważył. - Jaki masz plan?

- Za późno na plan - odparła Tahiri. Zdecydowana rozpocząć walkę, zanim Fett zdąży zerwać umowę, posłużyła się Mocą, żeby opuścić dźwignię wjazdu. - Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy złapać tych Squibów.

Wjazd uchylił się z cichym sykem. Zanim Fett zdążył zapytać, w jaki sposób przeforsowała tę kwestię, Tahiri odsunęła go do połowy, używając Mocy.

Przez wąski otwór wleciał powiew gorącego, wilgotnego powietrza i Tahiri omal nie wymiotowała. Smród zdawał się złożony w równych częściach z amoniaku i woni niemytych ciał.

Fett wcisnął wolną ręką przełącznik na rękawie, włączając system filtrujący w swoim hełmie, po czym przyjął postawę bojową i przeszedł pierwszy przez wjazd.

Po drugiej stronie grodzi tunel kończył się ogromnym pomieszczeniem. Na wprost Tahiri i Fetta znajdował się szeroki korytarz prowadzący do identycznej grodzi ponad sto metrów dalej. Po obu stronach biegły dziesięciometrowe ściany z białej durastali, oddzielające pomieszczenia biurowe.

Całą przestrzeń wypełniał gąszcz sięgających do kolan grzybów i strzelistych widłaków.

Tahiri dostrzegła kilkanaście wynędzniałych istot w górniczych kombinezonach, przemykających przez ten podziemny las. Zamiast jednak taszczyć laserowe wiertła i rury detonitu, pchały one - a niekiedy porzucały - sanie repulsorowe, wyładowane metrowymi stertami flimsiplastowych plakatów i projektorów holograficznych.

Moc była cierpka od strachu niewolników; teraz, gdy znalazła się już w środku, Tahiri dosłownie widziała energię Mocy zbierającą się w oleiste, opalizujące kłęby. Przepływała ona przez drzwi wielkości banthy do największego pomieszczenia znajdującego się po prawej stronie - mniej więcej tam, gdzie Tahiri wyczuła obecność Abeloth.

Wyglądało na to, że nikt ich nie zauważył. Przez chwilę Tahiri nawet sądziła, że jeńcy Abeloth są po prostu zbyt wyczerpani lub przerażeni, żeby zwracać uwagę na faceta w mandaloriańskiej zbroi i

wysoką blondynkę w skafandrze próżniowym Imperialnej Służby Bezpieczeństwa.

Nagle brodaty człowiek wyciągnął ze swojego kombinezonu krótki karabin blasterowy typu E-11 i rzucił się na podłogę, strzelając. Pojedyncza wiązka odbiła się od grodzi, po czym Fett uniósł rękę i z otworu w jego rękawie wystrzelił szkarłatny płomień, który pochłoniął mężczyznę.

Po chwili wszyscy zaczęli szukać schronienia i wyciągać blastery. Tahiri zapaliła miecz świetlny i odbijała nim wiązki, zwracając je tam, skąd nadlatywały.

- Widzisz? Na pewno się spodziewali - stwierdziła. - Mówiłam ci, że za późno na plan!

- Ci górnicy to nie problem. - Fett pochylił głowę i posłał raketę wielkości ręki na środek pomieszczenia. - To te piekielne rośliny mnie martwią.

Rakietę wybuchła z ogłuszającym hukiem. Fala uderzeniowa, tak gorąca, że przypalała włosy, odrzuciła Tahiri na gródź za jej plecami. Jednak odgłosy bitwy nagle ucichły, a kiedy oślepiający blask wybuchu przygasł, Tahiri zauważyła, że całe pomieszczenie zostało z grubsza oczyszczone z roślinności.

Obciążona rękawicą ręka Fetta zacisnęła się na jej przedramieniu.

- Jazda.

Ruszył w prawo, a Tahiri poczuła na plecach mrowienie ostrzegające ją przed niebezpieczeństwem.

Fett cały czas ciągnął ją w kierunku ściany.

- Chcę dorwać tych...

- Nie! - krzyknęła Tahiri. - Padnij!

Rzuciła się w jedną stronę, a Fetta pchnęła w przeciwną. W słabej grawitacji oboje przelecieli dobre pięć metrów, zanim upadli. Seria pocisków odbiła się z metalicznym brzękiem od podłogi, w miejscu, gdzie przed chwilą stała.

Tahiri przetoczyła się na plecy i zobaczyła dwie lufy karabinków rozpryskowych, wystające z otworu obserwacyjnego w ścianie. Znajdowały się na piętrze, jakieś piętnaście metrów w prawo od ogromnych drzwi, za którymi kryła się Abeloth. Jedna lufa zwracała się ku niej, druga w stronę Fetta, a zza każdej z nich wyglądały małe oczka Squibów.

- Tam!

Tahiri wskazała kierunek, a potem użyła Mocy, żeby popchnąć jedną broń na drugą.

Fett zastosował bardziej bezpośrednią metodę - uniósł po prostu rękę i wypuścił smugę ognia, która przeleciała przez otwór obserwacyjny. Squibowie jednak rzucili broń i w porę uskoczyli.

- Leć! - wrzasnął Fett, podrywając się. - Nie daj im uciec!

Tahiri pędziła już w kierunku niewielkich drzwi ulokowanych poniżej otworu. Były zamknięte, ale okazało się, że to zwykłe rozsuwane drzwi, a nie właz. Wystarczyło parę sekund, żeby jej miecz świetlny przeciął cienką durastal.

W tym czasie Fett wyciągnął pistolet blasterowy i dołączył do niej. Kopnął drzwi w pełnym biegu, wywalając je, niemal zanim Tahiri skończyła przecinać. Podążyła za nim i zobaczyła, jak wbiega po rampie, wymieniając blasterowe strzały z trójką objuczonych Squibów i krzyząc do nich, żeby przestali strzelać, zanim zabierze się do nich na poważnie.

Oni oczywiście strzelali dalej.

Tahiri i Fett dopadli ich na szczycie rampy. Tahiri biegła przodem, odbijając ich strzały mieczem świetlnym i próbując przyprzeć ich do ściany korytarza serwisowego, tak żeby nie mieli innego wyjścia, jak tylko się poddać. Fett przyjął bardziej bezpośredni sposób działania: wykorzystując swój wzrost, strzelał ponad głowę Tahiri. Wystarczyło mu zaledwie dziewięć strzałów, żeby zdjąć całą trójkę - co było bardzo dobrym wynikiem, zważywszy, że znajdował się w środku strzelaniny i musiał omijać wirującą klingę.

Tahiri już chciała zganić łowcę nagród za wyeliminowanie najlepszego sposobu na odnalezienie naukowców, gdy nagle zauważyła, że Squibowie leżą na podłodze z wytrzeszczonymi oczami, trzęsąc się i przyglądając bezsilnie zbliżającym się napastnikom.

- To nie wyglądało jak ogłuszające wiązki - stwierdziła.

- Cóż, jestem pełen niespodzianek. To przedłuża życie. - Fett minął ją i wskazał kciukiem na pobliską ścianę. - Ty zobacz, co tam mamy. Ja zajmę się przesłuchaniem.

Tahiri się nie poruszyła.

- Nic z tego - powiedziała. - Nie pozwolę ci...

- Ty masz sumienie? - przerwał jej Fett. - Od kiedy?

- Więzienie mnie zmieniło - odparła Tahiri, wiedząc, że tłumaczenie Bobie Fettowi, dlaczego próbuje odpokutować za zabicie admirała Pellaeona, byłoby stratą czasu. - I nie pozwolę ci zamordować bezbronnych jeńców, Fett. Nie jestem już tą samą osobą.

Z hełmu Fetta dobiegło stłumione westchnienie, a wreszcie łowca nagród pokiwał głową.

- W porządku. Jeśli tylko powiedzą to, co nas interesuje, niech ktoś inny wytępi te szkodniki. Może być?

Jeden rzut oka na dygoczących jeńców przekonał Tahiri, że Fett bez trudu wyciągnie z nich wszystkie potrzebne informacje. Pokiwała głową i bez słowa odwróciła się w stronę drzwi.

Drzwi oczywiście były zamknięte. Za pomocą miecza świetlnego wycięła dziurę w durastalowej płycie i weszła przez nią do środka.

Znalazła się w prostym laboratorium, wyposażonym w duży stół z wbudowanymi umywalkami i płytami podgrzewającymi na jednym końcu. Po lewej stronie miała otwór obserwacyjny, przez który strzelali wcześniej Squibowie. Po prawej, w głębi pomieszczenia, zauważyła kilka stanowisk komputerowych z krzesłami. Dwa krzesła zajmowali ludzie w białych fartuchach laboratoryjnych - rudowłosa mężczyzna i ciemnowłosa kobieta. Wpatrywali się w nią z wyrazem absolutnego przerażenia na twarzach. Biorąc pod uwagę strzelaninę, która przed chwilą trwała obok ich pracowni, Tahiri nie mogła zrozumieć, dlaczego nie uciekli - do czasu, aż zauważyła kajdany, którymi przykuto ich do krzeseł.

- Yu i Tarm? - zapytała od drzwi.

Kobieta pokiwała głową.

- Jestem doktor Frela Tarm - przedstawiła się. - A to doktor Jessal Yu.

- Dobrze - powiedziała Tahiri. - Jeśli jest tu coś, czego będziecie potrzebować, żeby powstrzymać nanowirus wymierzony w Bobę Fetta, proponuję, żebyście to teraz pozbierali.

Mężczyzna - Jessal Yu - skrzywił się i szarpnął za łańcuch na kostce.

- Nie bardzo możemy się ruszać, gdyby pani nie zauważyła - odparł. - Poza tym nie da się go powstrzymać. Nie można dezaktywować nanowirusa, kiedy już się go uwolni. Trzeba by to wpisać w pierwotne cząsteczki.

- Nie wspominałabym o tym Fettowi - doradziła Tahiri. - Bo on tu jest i pozwoli wam żyć dopóty, dopóki będzie przekonany, że możecie go powstrzymać.

Tarm otworzyła szeroko oczy, a Moc zadrżała od takiego strachu, że Tahiri prawie zrobiło się żal dwójki naukowców - zanim nie przypomniała sobie, co mieli na sumieniu. Nie tylko Fett padł ich ofiarą. To oni byli odpowiedzialni za stworzenie nielegalnej broni, która wybiła całą verpińską kastę żołnierzy na Niklu Jeden - i znaczną część rodziny Tenel Ka. Jakakolwiek karę wymierzyłyby naukowcom Fett, i tak byłoby to za mało, żeby uczynić zadość sprawiedliwości.

Po chwili Yu otrząsnął się i zwracając się do Tarm, zapytał:

- Może antidotum, pani doktor?

Tarm zastanawiała się przez moment, po czym pokiwała głową.

- Brzmi wiarygodnie - stwierdziła. - I kto wie? Może faktycznie dałoby się to zrobić.

- Dziwniejsze rzeczy już się zdarzały - zgodził się Yu. Odwrócił się w stronę swojego komputera. - Ściągnę stare dane. A pani niech zbierze próbki.

- Zgoda, doktorze. - Tarm spojrzała na Tahiri i wskazała na kajdany. - Mogłaby pani?

Tahiri pokręciła głową.

- Krzesło ma kółka - odrzekła, wiedząc, jak Fett by zareagował, gdyby tu wszedł i zobaczył, że uwolniła jednego z jego naukowców. - Przy okazji możecie mi powiedzieć, gdzie tu znajdę kamerę i łącze komunikacyjne, najlepiej takie, z którego mogłabym skorzystać, nie zwracając uwagi Abeloth.

- Kto to jest Abeloth? - spytał Yu.

- Chyba chodzi o Pagorski - domyśliła się Tarm. Popatrzyła na Tahiri. - Imperialna porucznik, macki i bardzo dziwne zdolności?

- Macki i dziwne zdolności by się zgadzały. - Tahiri nie była specjalnie zaskoczona.

Pagorski kierowała kampanią Daali, odkąd ogłoszono wybory, a pojawiła się ponownie w Imperium wkrótce po tym, jak ktoś bardzo silny Mocą wykorzystał swoje zdolności, żeby przedrzeć się przez blokadę wokół Boreleo. Niewątpliwie można było pokusić się o wniosek, że Pagorski i Abeloth to jedna i ta sama osoba - lub ściślej, że Pagorski została opętana przez Abeloth. - Zdaje się, że jest w sąsiednim pomieszczeniu. Czy mogę się jej przyjrzeć, tak żeby ona mnie nie zobaczyła?

- Pani porucznik jest w głównym laboratorium - poinformowała Tarm. Spojrzała na ścianę naprzeciwko Tahiri, aż w końcu zawiesiła wzrok na transpystalowym panelu widokowym w dalszym końcu ściany. - Więc jak najbardziej może ją pani podejrzec.

- Dzięki. - Tahiri zdjęła plecak i zaczęła przekładać ekwipunek bojowy do kieszeni skafandra. - A kamera?

Yu spojrzał na szafkę nad swoją głową.

- Jest tu, w szafce. Ale będzie pani musiała użyć fizycznego złącza. - Wskazał na gniazdko z boku wielkiego stołu. - W laboratorium nie może... eee, nie mogło być interferencji sygnałów.

Tahiri uznała, że warto byłoby zorientować się w sytuacji, zanim poświęci pięć minut na podłączenie kamery. Wyjęła z plecaka hełm i przypięła go do zaczepu na plecach, po czym wyrzuciła plecak i spojrzała na chronometr. Pozostawało osiem minut do południa. Wiedziała, że cokolwiek się stanie, musi zająć uwagę Abeloth na co najmniej osiem minut. Wyrzuciła na korytarz, gdzie Fett wciąż przesłuchiwał Squibów, i kazała mu ich zostawić.

- Znalazłaś moich naukowców? - spytał.

- Tak - odparła. - I Abeloth też.

Nie czekając na jego odpowiedź, ruszyła w kierunku panelu widokowego. Kiedy podeszła bliżej, w dole ujrzała pomieszczenie, które niewątpliwie pełniło funkcję głównego laboratorium.

Nawet z odległości kilkunastu kroków widziała kilka zbiorników fermentacyjnych i coś, co

wyglądało jak duża zamrażarka. Ale nie to przykuło jej wzrok. W zadymionym powietrzu pośrodku laboratorium unosiły się głowy ośmiu imperialnych moffów. Dostrzegła tam Jowara o kwadratowej szczęce, Quillana o obwisłych policzkach, Poliffa o długiej szyi i pięciu innych - samych najgorliwszych zwolenników Daali.

Głowy, z których każda miała dobrze ponad metr średnicy, były oczywiście zbyt duże, by mogły być prawdziwe. Wyglądały jednak zbyt materialnie jak na hologramy, a szyje miały cienkie niczym macki. Gdy Tahiri podeszła bliżej do panelu, zobaczyła, że to naprawdę są macki.

Wszystkie macki prowadziły do pary grubych ramion, które należały do szczupłej kobiety ubranej w postrzępiony mundur. Był to mundur imperialnego porucznika, ale pozostały z niego jedynie łachmany z paskiem dystynkcji. Przez wielkie wrota z przodu pomieszczenia wpadał

strumień energii Mocy i płynął prosto do kobiety. Jej krótkie żółte włosy sterczały sztywno, a twarz jakby się rozpadała na strzępy i kłęby dymu. Szerokie, pełne usta rozciągnęły się w okrutnym uśmiechu, a wąskie błękitne oczy skierowały się w stronę Tahiri.

„Tahiri Veilo. - Głos był głęboki i wypełniony energią Mocy i rozbrzmiewał w głowie Tahiri. - Jak miło z twojej strony, że po mnie przyszedłaś”.

## **ROZDZIAŁ 24**

Cyfry na chronometrze Luke'a wskazywały godzinę 11.52 według standardowego czasu galaktycznego. Dokładnie o 12.00 brygada Skoczków Próźniowych miała zaatakować wylot szybu wentylacyjnego. To oznaczało, że Luke i jego oddział mieli osiem minut - osiem minut, w ciągu których trójka Jedi musiała dokonać niemożliwego albo zginąć.

Jedi oczywiście mieli nadzieję na to, co niemożliwe.

Ich celem był niewielki generator pola siłowego, który chronił wylot głównego szybu wentylacyjnego w tym rogu Świątyni. Znajdował się on sto pięćdziesiąt metrów przed nimi, na końcu długiego ciągu przewodów wentylacyjnych. Między oddziałem Luke'a a celem były dwa pionowe szyby, które łączyły się z głównym przewodem od dołu. Formalnie szyby nazywano kominami, ale wyczerpany Luke nie pamiętał już, dlaczego inżynierowie używali takiego dziwnego określenia. Wiedział jedynie, że są to szerokie, wietrzne tunele, oddalone od siebie o jakieś pięćdziesiąt metrów, i że z powodu przenoszonego przez nie pyłu droga przez ciasny przewód może przypominać przedzieranie się przez burzę piaskową na Tatooine.

Ale przynajmniej oświetlenie szybu było włączone, więc było widać największy problem, z jakim Luke i jego oddział musieli się zmierzyć. Na końcu ciągu, za drugim kominem, czterech Sithów kłęczało za ciężkim blasterem na trójnogu. Generator pola siłowego znajdował się oczywiście za Sithami - unosił się na uwiązanych saniach repulsorowych pośrodku otworu wylotowego.

Gdyby oddziałowi Luke'a udało się zniszczyć generator, przez wylot szybu wdarłoby się kilka tysięcy elitarnych Skoczków Próźniowych. Razem ze swoimi łącznikami Jedi rozproszyliby się po całej Świątyni i zrobili kolejne wylomy w defensywie Sithów, a wówczas reszta ochotników

admirala Bwua'tu mogłaby dostać się do środka i dokończyć dzieła.

Ten nowy plan ataku kosztowałby znacznie więcej istnień, niż zakładała pierwotna taktyka admirala, jednak dzięki niemu Sithowie szybko zostaliby osaczeni, a mający liczebną przewagę Jedi i ich sojusznicy wcześniej czy później wyzwoliliby Świątynię Jedi.

Wyzwolenie Świątyni nie oznaczało zwycięstwa w wojnie z Sithami ani nawet końca bitwy o Coruscant, ale Luke i jego sprzymierzeńcy liczyli, że będzie to punkt zwrotny, a kiedy Sithowie z ufortyfikowanych obrońców zamienią się w zwierzynę łowną, szala zwycięstwa zacznie przechylać się na stronę Jedi.

Oddział Luke'a musiał tylko zniszczyć ten generator.

Normalnie byłoby to łatwe zadanie dla dwóch Mistrzów Jedi i Jaina Solo, która, jako Miecz Jedi, wielokrotnie udawadniała, że w walce nie ustępuje nikomu w Zakonie.

Tylko że Luke i dwójka jego towarzyszy nie byli w swojej normalnej dyspozycji. Zbyt długo już walczyli i za często się wycofywali - głównie się wycofywali. Wszyscy odnieśli poważne rany. Jaina miała złamaną rękę i prawdopodobnie kilka pękniętych żeber. Corran stracił dwa palce, odstrzelone przez zblakaną blasterową wiązkę, a kolano miał spuchnięte do rozmiarów tykwy hubby. Luke oberwał w głowę tak mocno, że wciąż jeszcze widział gwiazdy, i zarobił bolesne oparzenie wzdłuż lewego boku. Wszyscy czerpali z Mocy tak obficie, że dosłownie świecili od przeciążenia komórek. Jaina weszła już w fazę euforii Mocy, co oznaczało, że wkrótce czeka ją zjazd równie dotkliwy jak po przedawkowaniu przyprawy.

Corran Horn postukał Luke'a w ramię trójpalczastą ręką, po czym przechylił głowę i wychrypiął:

- Mamy towarzystwo.

Luke spojrział w głąb szybu, w kierunku wskazanym przez Corrana. Jakieś dwieście metrów od nich zza rogu wyszła lawendowoskóra Keshiri. Była za daleko, żeby wyraźnie dostrzec jej rysy, ale Luke nie musiał ich widzieć. Wiedział, że ma ciemne włosy, podługne oczy i szeroki, okrutny uśmiech. Nazywała się Korelei i to ona była powodem, dla którego Luke i jego towarzysze znajdowali się na skraju zapaści.

Trójka Jedi po raz pierwszy spotkała Korelei w korytarzu prowadzącym do rdzenia komputera, kiedy próbowali wywabić Sithów, żeby Ben i rodzeństwo Hornów mogli dostać się z Drabem do środka. Widząc, z jakim respektem odnoszą się do niej pozostali Sithowie, Luke celowo zaczął z odpaleniem pierwszej miny detonitowej, aż wejdzie na nią Korelei. Tymczasem zamiast rozerwać ją i wszystkich Sithów w promieniu trzech metrów na strzępy, eksplozja została przez nią wytłumiona za pomocą tarczy Mocy.

A potem było już tylko gorzej. Od tego czasu Korelei i jej oddziały ścigały Jedi, nie dając im chwili wytchnienia. Odnajdywali ich za każdym razem, kiedy się ukrywali, i spychali coraz dalej od rdzenia komputera. Trudno było zrozumieć, dlaczego taka przebiegła i potężna istota nie została Wielkim Lordem Zapomnianego Plemienia Sithów, ale na razie ścigani mieli większe zmartwienia niż



podobne spekulacje. Nie mogli się spotkać z Benem i rodzeństwem Hornów ani nawet sprawdzić, co się z nimi stało. Luke i Corran byli pewni tylko dwóch rzeczy co do losu Bena, Valina i Jyselli. Po pierwsze, nie udało im się otworzyć drzwi pancernych ani wyłączyć pola siłowego. Po drugie zaś, ani on, ani Corran nie wyczuli w Mocy nic, co sugerowałoby, że którekolwiek z ich dzieci zginęło. Poza tym obaj ojcowie mogli tylko obawiać się najgorszego scenariusza i mieć nadzieję na ten najlepszy.

Luke wyciągnął pistolet blasterowy.

- Pora ruszać.

- Nie, mu-si-my za-cze-kać! - Głos Jaina, przyspieszony i pełny podniecenia, był objawem euforii Mocy, jedynej rzeczy, która pozwalała jej na razie uniknąć zapaści. - Do południa zostało jeszcze pięć minut.

- Wiem - odparł Luke. - Ale nie możemy dłużej czekać.

- Ale jeśli wysadzimy generator za wcześnie - upierała się Jaina - każdy kanonier po tej stronie Świątyni wyceluje w strefę natarcia!

- Jaina, oni już to zrobili. - Głos Corrana był szorstki i niecierpliwy. Najwyraźniej sam był w tak kiepskim stanie, że nie zdawał sobie sprawy, co dzieje się z Jainą. - Ile razy udało nam się zaskoczyć tę ścigającą nas vorczycę?

- Ani razu. - Luke zobaczył, że Korelei się zatrzymuje. Prawdopodobnie wyczuwając blaster w jego ręce, skinęła na kilku swoich podwładnych, żeby poszli przodem. - Ona jest pierwszym Sithem, którego naprawdę się obawiam.

- Dzięki - powiedziała Jaina. - Wolałabym tego nie wiedzieć.

- Wybacz. - Luke skrzywił się z niezadowoleniem. Zdecydowanie on też nie był w najlepszej formie. - Myślałem, że sama to zauważyłaś. Ale nie możemy czekać, mając ją za plecami.

- Lepiej wysadzić pole siłowe za wcześnie niż w ogóle - przyznał Corran. - Ja zajmę się generatorem.

- Dobrze - zgodził się Luke. - Weź ze sobą Jainę. Ja będę osłaniał tyły.

- Sam? - Jaina wydawała się zdezorientowana. - Jak chcesz ich zatrzymać w pojedynkę?

- Muszę ich tylko spowolnić, Jaina - tłumaczył cierpliwie Luke. - Najważniejsze to zniszczyć generator. Tylko to się liczy.

Jaina przytaknęła, a potem, jakby zdała sobie nagle sprawę z tego, co mówi, pokręciła energicznie głową.

- Nie ma mowy - sprzeciwiła się. - Nie zostawię cię na pewną śmierć. Nie...

- Jaina! - Corran złapał ją za ramię. - Prawdopodobnie wszyscy zginiemy. Po prostu zróbmy wcześniej, co do nas należy, zgoda?

Oczy Jainy błysnęły trwogą. A potem na jej twarzy odmalował się nagły spokój i Luke domyślił się, że euforia Mocy przemija. Miała zaledwie kilka minut, zanim jej ciało odmówi posłuszeństwa, dosłownie wypalone przez nieprzerwany strumień energii Mocy, który przez nie przepływał. Delikatnie oswobodziła się z uchwytu Corrana i skinęła głową.

- Dobrze. - Spojrzała na swoją złamaną rękę i spróbowała zwinąć dłoń w pięść, ale bezskutecznie. - Chyba ja powinnam pójść przodem.

Corran przyglądał się Jainie w milczeniu, niewątpliwie odczytując jej sugestię tak samo jak Luke. Jaina zaofiarowała się, że będzie żywą tarczą dla Corrana, który miał przynajmniej sprawne obie ręce, więc miał największe szanse na dokończenie dzieła, kiedy dotrze do Sithów osłaniających generator. Była to rozsądna taktyka, biorąc pod uwagę okoliczności, i Luke z ciężkim sercem pokiwał głową na znak zgody.

Był prawie pewien, że posyła własną siostrzenicę na śmierć - tak jak kiedyś jej brata Anakina. Ale co mu pozostawało? Ich plan ataku spalił na panewce, a ceną tego niepowodzenia była śmierć - jego, Jainy i Corrana. Prawie pewna śmierć. Ale gdyby udało im się zniszczyć generator i otworzyć drogę do Świątyni dla Skoczków Próżniowych, to przynajmniej zepchnęliby Sithów do defensywy.

A Ben, Valin i Jysella mieliby szansę ujść ze Świątyni z życiem.

Gdy Jaina odpięła miecz świetlny i odwróciła się, żeby ruszyć, Luke wypełnił swoją obecność w Mocy uczuciami szacunku i wdzięczności, kierując ku niej myśli.

- Mistrzynie Solo - odezwał się.

Jaina zatrzymała się, ale nie obejrzała i przez chwilę Luke myślał, że wybrał niewłaściwy moment. Potem jednak poczuł w Mocy, jak młoda Jedi uspokaja się i nabiera sił.

- Tak, Wielki Mistrzu Skywalker? - spytała.

- Chciałem po prostu, żebyś to usłyszała - oznajmił. - Niech Moc będzie z tobą.

Jaina pokiwała głową, nie odwracając się.

- Dzięki - odparła. - To wiele znaczy w tej chwili.

- Cieszę się, że czujesz się gotowa, Mistrzynie Solo - dodał Corran. - Zakon potrzebuje cię teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Jaina przez chwilę milczała. Luke zorientował się po żalu, jaki wyczuł w jej aurze w Mocy, że myśli o swoich najbliższych - o rodzicach, Hanie i Leii, o swoich utraconych braciach, Anakinie i Jacenie, o bratanicy Allanie, a przede wszystkim o Jaggedzie Felu, mężczyźnie, którego zapewne nie zdąży poślubić. Luke omal nie powiedział, żeby tu zaczekała, że on i Corran poradzą sobie sami.

Ale Jaina i tak by się na to nie zgodziła. Była wojowniczką i prędzej odciąłaby sobie rękę, niż pozwoliła, żeby on i Corran ruszyli na Sithów bez niej.

Po chwili Jaina skinęła głową i zwróciła się do Corrana:

- Mówisz tak tylko dlatego, że idę pierwsza.

Nie czekając na odpowiedź, wstała i, nisko pochylona, popędziła głównym szybem. Jej kroki dudniły na metalowej powierzchni jak grzmoty. Corran pokuśtykał za nią, poruszając się zaskakująco szybko jak na człowieka z uszkodzonym kolaniem. Po paru chwilach ciężki blaster nieprzyjaciela otworzył ogień, wypełniając tunel świszczącą nawałnicą światła i żaru. Zaraz jednak ucichł, gdy Jaina uniosła złamaną rękę i, używając Mocy, wypchnęła broń razem z trójnogiem przez otwór wylotowy.

Sithowie uskoczyli w bok. Blaster z trójnogiem zatrzymał się na krótką chwilę, zawieszony między siłą ciężenia a pchającymi go w górę silnymi prądami powietrza, wywoływanymi przez ogromne dysze, które napędzały obieg powietrza w systemie wentylacyjnym Świątyni. W końcu jednak grawitacja wygrała i broń runęła w dół.

W tym czasie Jaina dobiegła do pierwszego kominu i wyskoczyła w górę, omijając dwumetrowy otwór w podłodze. Sithowie wypuścili serię błyskawic Mocy i blasterowych strzałów.

Odległość wynosiła jeszcze blisko sto metrów, więc wiązki z pistoletów odbijały się od metalowej powłoki szybu, wytracając całą energię. Za to obie błyskawice Mocy dosięgły celu, akurat gdy Jaina znajdowała się w powietrzu nad kominem.

Przyjęła pierwszą błyskawicę na klingę miecza świetlnego. Druga najwyraźniej trafiła ją prosto w klatkę piersiową. Luke widział, jak ramiona Jaina odchylają się do tyłu; a potem jak traci impet i zaczyna spadać.

Corran, który pomimo swojego spuchniętego kolana jakimś cudem dotrzymywał jej kroku, był w powietrzu tuż za nią. Wyciągnął rękę i złapał ją za poję płaszcza. Oboje wylądowali centymetry za kominem i zaraz poturlali się po podłodze, aż uwolnili się od błyskawicy Mocy. Na końcu szybu Sithowie ruszyli naprzód, żeby nie pozwolić Jainie i Corranowi przeskoczyć nad drugim kominem.

Niestety Luke nie mógł obserwować dalszego rozwoju wypadków. Nadeszła pora, żeby pozostawić Corrana i Jainę z ich zadaniem i zająć się własnym. Odwrócił się w kierunku oddziału Korelei. Oddzielało ich niewiele ponad sto metrów i kolejne dwa kominy. Sithowie nacierali trójkami, a ich skwierczące miecze świetlne tworzyły ruchomą bańkę szkarłatnego światła. Sama Korelei była niewidoczna, ale gdzieś w drugim albo trzecim rzędzie Luke wyczuwał groźną obecność, która mogła oznaczać tylko ją.

Postanowił wykorzystać teren w ten sam sposób, co Sithowie broniący generatora. Podszedł

do krawędzi najbliższego kominu i otworzył ogień. Trójka Sithów w pierwszym szeregu zaczęła odbijać wiązki z powrotem w jego stronę, więc Luke położył się na brzuchu i strzelał dalej, celując w klatki piersiowe - do czasu, aż dotarli do pierwszego kominu i wyskoczyli w górę. Wówczas

zmienił schemat i zaczął strzelać na przemian w nogi i głowy.

Zgodnie z jego oczekiwaniami nagle zmiana taktyki zaskoczyła Sithów. Jeden z Mieczy dostał w nogę i upadł, lądując po drugiej stronie komina. Kolejny zagapił się, próbując osłonić twarz, i niechcący odciął głowę kobiecie obok niego. Trzeci Sith zginął, gdy odcięta głowa trafiła go w twarz, a on runął w przepaść.

Pozostali jednak - a było ich pół tuzina - zdołali przeskoczyć na drugą stronę i byli już tylko pięćdziesiąt metrów od Luke'a, ponaglani przez Korelei z drugiego szeregu. Luke cały czas strzelał

to w nogi, to w głowy, jednak ledwo ich spowalniał. Za jego plecami odgłosy bitwy między Jainą i Corranem a czterema Sithami, którym oni stawiali czoło, przybierały na sile - znak, że Jaina i Corran zbliżali się do ostatniego komina. Ich niewykonalne zadanie z każdą chwilą wydawało się coraz bardziej niewykonalne.

- Leć! - krzyknęła do Corrana Jaina.

Banda Korelei była oddalona jeszcze o czterdzieści metrów, więc Luke obejrzał się i zobaczył, jak Jaina zatrzymuje się przed kominem i, wykorzystując Moc, rzuca swoim mieczem świetlnym. Broń przeleciała nad szybem, obracając się w poziomie. Corran był tuż za nią i wymachiwał wściekle własną klingą, odbijając blasterowe wiązki.

Miecz świetlny Jainya doleciał na drugą stronę szybu i natychmiast został strącony na bok przez jednego z Sithów. W tym czasie Corran przeskakiwał już nad przepaścią z uniesioną wysoko klingą i wystawioną do przodu nogą, którą niechybnie by stracił, gdyby nie Jaina. Ku zaskoczeniu Luke'a zdołała wykrzesać z siebie dość sił, żeby porazić Sithów podmuchem Mocy, i cała czwórka wrogów poleciała do tyłu.

Po chwili Corran był już po drugiej stronie komina. Między nim a generatorem pola ochronnego nie było już nic poza czwórką wciąż koziołkujących Sithów i pięćdziesięcioma metrami szybu. Luke patrzył, jak Corran przekręca rękojeść swojego dwufazowego miecza świetlnego, zmieniając kryształ skupiający, a srebrzysta klinga zrobiła się nagle fioletowa i o jedną trzecią dłuższa. Pierwszy z Sithów krzyknął, a Luke zaczął znacznie wyżej oceniać ich szanse powodzenia.

Ale Jaina była już na wykończeniu. Klęczała przed kominem, chwiejąc się z wyczerpania, niebezpiecznie bliska utraty przytomności. Luke użył Mocy, żeby odciągnąć ją na bezpieczną odległość od krawędzi szybu, po czym odwrócił się, by zmierzyć się z własnymi problemami.

Widząc, że pierwszy rząd Sithów jest już o dwa kroki od komina, rzucił blaster za siebie i wyciągnął rękę, chwytając czterech Sithów za kostki miażdżącym uściskiem Mocy. Pociągnął ich w stronę przepaści.

Trzech z nich runęło z krzykiem w dół, rozpaczliwie szukając czegoś, czego mogliby się złapać, i zniknęło z pola widzenia. Czwarty Sith zdołał rzucić się do tyłu dzięki Mocy i wylądował

po swojej stronie szybu. Zanim Luke zdążył pociągnąć go znów do przodu, z pochwy wiszącej u pasa

mężczyzny wysunął się szklany parang i pofrunął w kierunku Luke'a.

Luke siłą woli zmienił jego tor lotu, ale w tym czasie Korelei i jeszcze jeden Keshiri byli już w powietrzu nad kominem, z zapalonymi mieczami świetlnymi i wzrokiem utkwionym w Luke'u.

On także zapalił swoją broń i poderwał się, atakując ich równocześnie podmuchem Mocy, która posłała Keshiriego płci męskiej z powrotem na drugą stronę szybu.

Korelei nawet tego nie poczuła. Opuściła tylko miecz świetlny, blokując cięcie Luke'a, a następnie trafiła go kopniakiem prosto w klatkę piersiową.

Luke poleciał do tyłu i wylądował pięć metrów dalej z przejmującym bólem w piersi. Z

trudem wciągnął powietrze. Korelei była zaledwie dwa kroki od niego, a jej palce świeciły już na niebiesko od błyskawicy Mocy, którą miała za chwilę wypuścić. Nie mając czasu ani siły, żeby się podnieść, Luke chwycił ją tylko w Mocy, po czym skierował miecz świetlny w jej brzuch i pociągnął.

Zderzyli się z taką siłą, że Luke'owi zakręciło się w głowie i poczuł ból we wszystkich kościach. Wiedział, że jego miecz świetlny trafił, bo poczuł swąd przypalonej skóry. Rękojeść drżała mu w dłoni, wprawiana w ruch przez Korelei, która próbowała uwolnić się od palącej klingi.

Luke poczuł na piersi jej dłoń, więc uniósł wolną rękę i chwycił ją... ale za późno. Całe jego ciało zaskwierczało od miażdżącego uścisku błyskawicy Mocy.

Wydawało się, że jego katusze nigdy się nie skończą. Luke czuł, że jego skóra zwęglą się pod przyciśniętą do piersi dłonią; sparaliżowany przez błyskawicę, nie mógł się wyrwać lub zaatakować uderzeniem głową ani nawet poruszyć klingą i wykończyć Korelei. Wisiał tak po prostu sparaliżowany, z jedną dłonią zaciśniętą na jej ręce, drugą przyciskając rękojeść do jej piersi, i zastanawiał się, jak długo Korelei może umierać.

Najwyraźniej znacznie dłużej niż Luke. Odepchnęła go wolną ręką, żeby zrobić sobie trochę miejsca, a potem obróciła się, rzucając go na ścianę szybu... i zsunęła się z klingi jego miecza świetlnego. Pozostawiło to jednak ziejącą jamę w jej tułowiu.

Rana nawet jej nie spowolniła. Korelei zostawiła Luke'a i popędziła za Corranem, który wyeliminował już trzech z obrońców generatora i serią zaciekłych ataków przy użyciu miecza świetlnego wypierał właśnie czwartego Sitha w stronę wylotu szybu. Zanim Luke upadł na podłogę, Korelei była już w połowie drogi do następnego komina. Jej ramiona niezdarnie obejmowały ranę, która powinna była już dawno zamienić ją w leżące bezwładnie truchło.

Luke nie miał czasu na zastanawianie się nad źródłem jej wytrzymałości. Słyszał już kroki -

to nadbiegało dwóch ostatnich z jej podwładnych. Wciąż dygocząc od błyskawicy Mocy, odwrócił

się w stronę, z której nadeszła, i zobaczył zbliżającą się do najbliższego komina parę. Z powodu niskiego sufitu biegli zgarbieni, przez co przypominali bardziej parę małych rankorów niż Sithów.

Musieli sądzić, że Luke jest wciąż zamroczony, bo nawet się nie osłaniali, przeskakując nad kominem. Co za arogancja. Luke zczekał, aż znajdą się nad środkiem przepaści, po czym wyciągnął rękę w kierunku tego po lewej i, używając Mocy, pchnął go na tego z prawej. Obaj Sithowie wpadli na ścianę szybu, wyciągając ręce, żeby złapać się krawędzi, a wtedy Luke zaatakował ich pchnięciem Mocy, które odrzuciło obu mężczyzn do tyłu. Krzyknęli ze zdumienia -

a może z wściekłości - i zniknęli w kominie.

Zadowolony, że przynajmniej niektórzy Sithowie giną tak, jak powinni, Luke przywołał

swój porzucony miecz świetlny. Zwrócił się teraz w stronę Jainy - i zaczął rozumieć, dlaczego tak trudno zabić Korelei. Widziana z tyłu, Sithanka zdawała się bardziej płynąć w powietrzu niż biec, a potworna rana nie tyle krwawiła, co wydzielala ciemne, tłuste opary, które unosiły się do góry i rozchodziły po suficie szybu.

Korelei była normalną Keshiri nie bardziej niż Luke. Była jakimś zupełnie odmiennym stworzeniem.

A teraz znajdowała się w połowie drogi do Jainy, która klęczała na środku szybu, pochylona i tak nieruchoma, że Luke nie był pewien, czy jeszcze żyje.

Szyb wypełnił okrzyk bólu, oznajmiający, że Corran zgładził ostatniego Sitha znajdującego się pomiędzy nim a generatorem pola siłowego.

Korelei - kimkolwiek lub czymkolwiek w istocie była - uniosła rękę i wypuściła potężną błyskawicę Mocy. Zaskoczony Corran krzyknął i runął na podłogę, wstrząsany drgawkami, nie mogąc uwolnić się z sieci tańczących żyłek błękitnej energii.

Luke otworzył ogień z blastera i nawet z ponad trzydziestu metrów zdołał posłać kilka wiązek w niby-Korelei. Oczywiście ledwie ją to spowolniło.

Mistrz Jedi wiedział, że musi powstrzymać tę niby-Korelei - nawet w myślach nie chciał

wypowiedzieć jej prawdziwego imienia - bo w przeciwnym razie ostatnia szansa Jedi na sforsowanie murów Świątyni przepadnie. Otworzył się całkowicie na Moc i energia zalała go tak gwałtownie, że miał wrażenie, jakby uniosła go wzburzona rzeka. Kiedy zaczął doganiać swój cel, znów otworzył ogień, tym razem posyłając tyle wiązek w jej nogi, że jedna z nich po prostu stanęła w płomieniach.

I nic to nie dało.

To coś - ten byt - miało niemal niepojęte możliwości. Ale Luke zaczynał wreszcie pojmywać.

- Jaina! - Luke poszukał jej w Mocy i z ulgą stwierdził, że w jej aurze tli się jeszcze życie.

Wzmocnił swój głos siłą Mocy i skupił się na siostrzenicy. - Mistrzynie Solo! Jedi potrzebują cię...

teraz!

Jaina się nie poruszyła.

Luke zaczął strzelać w głowę niby-Korelei. Jedna wiązka trafiła ją tuż za uchem i wyszła z drugiej strony, rozpylając wokół fontannę z kości i mózgu.

Niby-Korelei się zachwiała.

Luke strzelił jeszcze raz, ale stworzenie odwróciło się, unosząc wolną rękę, i odbiło wiązkę, posyłając ją z powrotem w stronę Luke'a. On jednak nie dbał o to, bo Corran był już wolny i gramolił się na czworakach w kierunku generatora.

Luke chwycił Jainę poprzez Moc.

- Mistrzynie Solo! Wstań i walcz!

Ona wciąż jednak się nie ruszała. Luke strzelił ponownie.

Istota złapała wiązkę i zatrzymała ją w dłoni. W policzku miała ziejącą dziurę wypaloną przez wcześniejszy strzał. Jej lawendowa skóra przybrała teraz barwę niebieskawego alabastru, a kiedy spojrzała Luke'owi w oczy, jej źrenice skurczyły się tak, że stały się jedynie punkcikami srebrzystego światła. Uśmiechnęła się tak szeroko, że jej usta sięgały od ucha do ucha, a potem wyrzuciła rękę do przodu, posyłając Luke'owi blasterową wiązkę prosto w oczy. Dłużej już nie mógł zaprzeczać oczywistej prawdzie.

Abeloth tu była.

W zadymionym laboratorium genetycznym na Hagamoorze Trzy Tahiri nie miała czasu na wzywanie pomocy. Zresztą Fett i tak za wiele by jej nie pomógł. Jedna z macek pofrunęła w kierunku pracowni, gdzie stała Tahiri, i znajdująca się na jej końcu głowa - ta, która wyglądała jak moff Quillan - uderzyła w transpystalowy panel oddzielający oba pomieszczenia.

Zamiast jednak, jak spodziewała się Tahiri, pęknąć w zetknięciu z panelem, głowa eksplodowała w fioletowym błysku energii Mocy. Tahiri uniosła rękę, wykorzystując Moc, żeby odeprzeć falę uderzeniową, i ledwie uniknęła poszatkowania przez grad lecących w jej stronę metalowych odłamków.

A potem to Tahiri pofrunęła, wciągnięta przez roztrzaskany panel widokowy w pałacę zar laboratorium genetycznego. Nie wiedziała, ile czasu minęło, odkąd ostatni raz patrzyła na chronometr. Może dwie minuty, chyba nie więcej niż trzy - a musiała absorbować Abeloth przez co najmniej osiem. Niedobrze.

Wsadziła rękę w jedną z kieszeni na nogawkach swojego skafandra próżniowego i poczuła krzepiącą gładkość detonatora termicznego - i zaraz znalazła się w uścisku Abeloth, owinięta macką tak mocno, że ledwo mogła oddychać. Druga macka owinęła się wokół jej nadgarstka i wyciągnęła z kieszeni rękę, wciąż trzymającą nieuzbrojony jeszcze detonator.

Abeloth ją obróciła i Tahiri ujrzała jej potworną twarz - tak wyniszczoną przez energię Mocy, że ledwie przypominała ludzką. Skóra - chociaż niewiele jej pozostało - stała się szara jak popiół i odpadała płatami wielkości paznokci. Nos zapadł się do środka, a usta stały się brązowe i tak wyschnięte, że wyglądały, jakby w każdej chwili mogły odpaść.

Za to oczy wyglądały znajomo - i szokująco. Były to te same lodowato błękitne tęczówki, które wpatrywały się w Tahiri na sali sądowej, kiedy Pagorski zeznawała, a raczej kłamała na temat śmierci admirała Pellaeona. Ale źrenice nie należały do Pagorski. Były ogromne, wydawały się ciemne i bezdenne, pozbawione światła poza parą maleńkich srebrnych punkcików, które jakby się oddalały, kiedy Tahiri w nie spoglądała. Zdawały się ją wciągać w zimną, bezduszną Próżnię, z której nie było ucieczki.

Głos Abeloth szeptał w jej głowie: *Nie potrzeba materiałów wybuchowych, moje dziecko.*

Macka ścisnęła nadgarstek Tahiri, aż jej dłoń się otworzyła i detonator termiczny spadł na podłogę -



wciąż nieuzbrojony.

*Będziemy ze sobą bardzo długo, ty i ja.*

Tahiri przytknęła końcówkę emitera swojego miecza świetlnego do brzucha Abeloth.

- Nie, jeśli ja mam w tej kwestii coś do powiedzenia.

Wcisnęła przełącznik i zobaczyła koniec swojej szafirowej klingi wystający z pleców Abeloth. Domyślając się, że jeden cios to może być za mało, żeby zabić byt Mocy, Tahiri natychmiast pociągnęła miecz świetlny w dół, rozcinając jej ciało... a przynajmniej taki miała zamiar.

Kiedy klinga się nie poruszyła, Tahiri spojrzała w dół i zobaczyła, że ta ręka także owinięta jest macką. Spróbowała się uwolnić i stwierdziła, że nie tylko nie może ruszyć ręką, ale nawet jej nie czuje.

*W tym rzecz, moje dziecko, powiedziała Abeloth, że nie masz.*

Pomiędzy nimi pojawiła się kolejna macka, która wygięła się i zaczęła pełzać po brodzie Tahiri.

- Co? - wykrztusiła Tahiri. Czują wzbierające w niej przerażenie i musiała je opanować, żeby nie wpaść w panikę. - Co ty robisz?

*Przecież mówiłam, odparła Abeloth. Będziemy razem. Ciało pani porucznik jest słabe.*

*Twoje będzie silne. Twoje zaznało Mocy...*

Jej odpowiedź przerwał ryk zbliżającej się minirakiety. Tahiri spojrzała w kierunku rozbitego panelu widokowego i zobaczyła stojącego tam Fetta. Rękę z wyrzutnią miał wciąż skierowaną w stronę laboratorium.

A potem Abeloth odwróciła się, rozpruwając brzuch o klingę Tahiri, i się ulotniła.

Minirakieta doleciała ułamek sekundy później i uderzyła w podłogę obok Tahiri... ale nie wybuchła.

Fett przechylił hełm - całkiem jakby chciał powiedzieć „nie ma za co” - a potem odwrócił się i zniknął, uciekając przed Abeloth, która przeskoczyła za nim przez dziurę. Z rany w jej boku wydobywały się tłuste, ciemne opary.

Minęło parę sekund, zanim Tahiri uwierzyła, że nie postradała zmysłów. Wydawało się to niemożliwe, ale Fett właśnie ocalił jej życie, narażając własne. I użył siebie jako przynęty, chociaż mógł po prostu zabrać swoich naukowców i uciec. Może więc wcale nie był takim złym człowiekiem - albo po prostu bardziej cenił własne słowo niż własne życie.

Tak czy inaczej, Tahiri nie miała zamiaru tracić czasu, który dzięki niemu zyskała -

niewykluczone, że za cenę jego życia. Wyciągnęła kolejne dwa detonatory termiczne z kieszeni

skafandra i oba uzbroiła. Następnie ustawiła jeden z zapalników na dwadzieścia sekund i schowała detonator w kieszeni na udzie. Drugi detonator pozostawiła w dłoni, ustawivszy zapalnik na dziesięć sekund.

Zanim Tahiri skończyła swoje przygotowania, w pracowni rozbłysły pomarańczowe i niebieskie eksplozje. To Fett wyładowywał cały swój arsenał na Abeloth. Tahiri, odliczając w myślach, wskoczyła przez roztrzaskany panel i zwróciła się w stronę przeciwległego końca pomieszczenia, gdzie dwójka nanotechnologów - Tarm i Yu - kulila się ze strachu, wciąż przykuta do swoich krzeseł.

Fett znajdował się przed nimi. Przyczajony za dużym stołem laboratoryjnym, który wypełniał centralną część pomieszczenia, strzelał w Abeloth wszystkim, co miał. Blasterowy ogień przyjmowała po prostu na siebie. Jej poranione ciało ledwie się wzdrygało, gdy przesywały je kolejne wiązki. Płomienie powstrzymywała tarczą z energii Mocy, która posyłała języki szkarłatnego ognia we wszystkich kierunkach, tylko nie w nią. Minirakiety zaś odpychała po prostu Mocą, posyłając je w ścianę, gdzie eksplodowały, nie czyniąc jej żadnej krzywdy.

Tahiri doliczyła do pięciu. Abeloth stała zwrócona do niej tyłem. Wskoczyła na stół i ruszyła po nim w stronę Fetta.

Tahiri uniosła detonator termiczny, żeby Fett miał przynajmniej jakąś szansę, by odgadnąć jej zamiary, po czym otworzyła dłoń i użyła Mocy, żeby skierować detonator w stronę Abeloth.

Detonator przeleciał ledwie połowę drogi, gdy Abeloth odwróciła się bokiem, tak żeby widzieć oboje wrogów, i wyciągnęła mackę. Wyrwała kulę z uchwytu Mocy Tahiri i posłała ją w stronę Fetta.

Wiedząc, że do wybuchu pierwszego detonatora pozostało zaledwie parę sekund, Tahiri przeszła do planu B. Włączyła miecz świetlny i rzuciła się do ataku. Zanim doliczyła do ośmiu, dopadła do Abeloth i odrąbała jej trzy macki, które spadły na stół i natychmiast owinęły jej się wokół kostek.

Pomieszczenie wypełnił potworny ryk. Tahiri zobaczyła, że to Fett włączył plecak raketowy i pędzi ku nim, trzymając w dłoni przechwycony detonator, który posłała w jego kierunku Abeloth. Wepchnął detonator w jej dymiącą ranę w tym samym momencie, kiedy Tahiri doliczyła do dziewięciu.

Rzuciła się do ucieczki, gdy nagle coś zacisnęło się z dużą siłą na jej ramieniu i porwało ją w do góry, omal nie wrywając ręki ze stawu. Zanim się zorientowała, że to Fett ją złapał, przelatując obok, wpadli w róg pracowni. Zrobiło się biało i głośno, a Tahiri obawiała się, że nie zdołali uciec poza pole rażenia detonatora.

Te obawy rozwiały się chwilę później, gdy runęła na podłogę, obolała. Fett spadł na nią, cały z twardego metalu i ostrych krawędzi, i Tahiri uświadomiła sobie, że przeżyła.

A co z Abeloth?

Obejrzała się na stół laboratoryjny. Stołu już jednak nie było, a jedynie pięciometrowa wyrwa w podłodze. Doktor Frela Tarm i doktor Jessal Yu, oboje w ciężkim szoku, siedzieli, wpatrując się w

dziurę.

Tahiri próbowała się ruszyć, ale Fett wciąż leżał na niej, milczący i bezwładny.

- Fett? - zawołała.

Nie odpowiedział, więc sprawdziła jego obecność w Mocy i odczuła pewną ulgę, gdy stwierdziła, że żyje.

- Fett!

Tahiri zaczęła go delikatnie zsuwać z siebie, gdy nagle głos w jej głowie doliczył do piętnastu i przypomniała sobie o planie B.

- Fett! - Odepchnęła go mocno, zwiększając swoją siłę dzięki Mocy. W słabej grawitacji Hagamoora Trzy wystarczyło to, żeby wyrzucić go wysoko w górę. - Złaź!

Fett uderzył ze szczękiem w sufit i najwyraźniej się obudził. Odepchnął się mocno i spadł z powrotem na podłogę.

- Nie ruszaj się! - warknął niewyraźnie.

Tahiri, nie zwracając na niego uwagi, otworzyła kieszeń, w której schowała drugi detonator.

- Mam cię, ty gnido! - krzyknął Fett.

Tahiri spojrzała i zobaczyła, jak stoi na chwiejnych nogach, celując do niej z miotacza płomieni. Posługując się Mocą, skierowała jego rękę w inną stronę, a potem pokazała mu detonator.

- Dwie sekundy - powiedziała.

Fett błyskawicznie odzyskał przytomność umysłu. Wskazał na rozbity panel wychodzący na główne laboratorium genetyczne.

- Wyrzuć...

Tahiri cisnęła detonator w stronę panelu widokowego, używając Mocy, żeby nim pokierować i nadać mu prędkość. Mimo to kula wybuchła, ledwie minęła otwór. Rozległ się potężny huk. Oślepiająco biały blask zalał znaczną część ściany i podłogi przed nimi... a potem rozległ się jeszcze jeden huk, tym razem głęboki i donośny.

Cały kompleks zatrzęsł się, jakby uderzyła w niego asteroida, a pomieszczenie wypełnił

łoskot ton kamieni, które zasypały od góry strop.

Hełm Fetta odwrócił się tak, że jego szybka była skierowana na twarz Tahiri.

- Niezłe detonatory. Skąd je masz?

Kolejny huk zatrząsł pracownią i tym razem fragment sufitu o średnicy dwóch metrów zniknął po prostu w kłębach dymu. Powietrze przeszył przenikliwy świst uciekającej atmosfery i wszystko, co nie było przymocowane do ścian lub podłogi - odłamki metalu, kawałki flimsiplastu, dataczipty - pofrunęło w stronę dziury.

Tahiri odpięła hełm i włożyła go szybko na głowę z nadzieją, że jej skafander próżniowy nie został uszkodzony podczas walki. Fett, którego zbroja wyposażona była we wbudowany skafander próżniowy, postukał tylko w klawisze na przedramieniu.

- Veilo! - krzyknął przez komunikator w hełmie. - Nie zapomniałaś mi o czymś powiedzieć?

Kolejna eksplozja - tym razem gdzieś dalej od głównego laboratorium - zatrząsła kompleksem. Tahiri spojrzała na chronometr i stwierdziła, że bombardowanie rozpoczęło się dwie minuty przed czasem. Miała nadzieję, że Vangur zauważył nadlatującą fregatę i wycofał się na bezpieczną odległość.

Włączyła mikrofon w hełmie.

- Nie sądziłam, że to będzie miało jakieś znaczenie - wyjaśniła. - Myślałam, że do tego czasu już będziemy martwi.

- Może ty - ostrzegł Fett.

- Zaczęli dwie minuty za wcześnie, jeśli to jakieś pocieszenie... Jag musiał naprawdę pogonić swoich ludzi.

- Akurat teraz imperialna marynarka musiała się pospieszyć. - Hełm Fetta zwrócił się w kierunku tylnej części pracowni, gdzie Frela Tarm i Jessal Yu przechodzili już ostatnie fazy choroby kesonowej. Oboje mieli siną skórę, a z wytrzeszczonych oczu płynęła im krew. -

Oczywiście.

Fett zwrócił się w stronę iluminatora, zza którego wcześniej atakowali Squibowie, i używając minirakiety, wysadził transpastalową szybę z ramy.

- Panie przodem - zaprosił. - Nie, nie strzelę ci w plecy. Wiem, jak to się kończy w przypadku Jedi.

- Nie jestem Jedi.

- Jesteś - odparł. Kolejna turbolaserowa salwa trafiła w kompleks i w suficie pracowni pojawiła się jeszcze jedna, większa dziura. Fett ponaglił ją ruchem ręki. - Moja cierpliwość się kończy.

Tahiri obejrzała się na dwójkę nanotechnologów, którzy zwijali się w przedśmiertnych drgawkach.

- A co z twoim antidotum?

Fett wzruszył ramionami, a Tahiri wyczuła w Mocy jego rozczarowanie.

- A co ma być? - spytał. - Ci *sleemo* są już praktycznie martwi. Nie ma sensu do nich dołączać.

- Chyba nie - zgodziła się Tahiri. - Ale, Fett, muszę cię zapytać...

- Nie jestem twoim kumplem do pogaduszek - przerwał jej. - Pora się zbierać.

- Wiem. - Tahiri rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na główne laboratorium genetyczne, spodziewając się po trosze, że ujrzy jakąś mackę. - Więc dlaczego mnie ocaliłeś? Mogłeś zabrać swoich naukowców i uciec.

- Może powinienem, ale umowa to umowa - wyjaśnił Fett. - Poza tym ty pierwsza mnie ocaliłaś. Nie znoszę mieć długów wdzięczności wobec kogoś takiego jak ty.

- Jak ja?

- No, Jedi - warknął Fett. - Możemy już iść?

- Jasne - odrzekła Tahiri. - Ale dlaczego narażałeś własne życie, żeby mnie uratować za drugim razem?

- Lubię, jak ktoś ma dług wobec mnie. - Fett ruszył w stronę otworu. - Ja idę, Veilo.

- Czekaj. - Tahiri złapała go za rękę i odwróciła się w kierunku stanowisk komputerowych w głębi laboratorium. - Jest tam jeden dataczip... i chciałabym, żebyś go wziął.

Kolejne uderzenie zasypało centralne pomieszczenie po drugiej stronie iluminatora tonami kamieni.

Fett rzucił znaczące spojrzenie w górę.

- Lepiej, żeby to był jakiś ważny dataczip - parsknął.

- Pewnie nie, ale to twoja jedyna szansa - stwierdziła Tahiri. - Kazałam Yu skopiować wszystkie dane dotyczące nanowirusa, żebyś mógł rozpocząć badania, jak zabierzesz jego i Tarm.

Fett przechylił hełm na bok.

- Dlaczego to zrobiłaś?

Tahiri wzruszyła ramionami.

- Bo ja też lubię, jak ktoś ma wobec mnie dług - wytłumaczyła. - I dlatego, że byłam kiedyś uczennicą Caedusa.

- Nie zapomniałem. - Fett odwrócił się i ruszył w głąb laboratorium po czip. - Ale teraz jesteśmy kwita. W porządku?

- W porządku - przytaknęła Tahiri. A potem oboje popędzili w stronę wyjścia, Fett przodem, a Tahiri tuż za nim. - I dzięki.

- I tak nie jesteśmy kumplami, Veilo - rzucił Fett. - Dla mnie jesteś jeszcze jednym śmierdzącym Jedi.

Z miejsca, gdzie klęczała zwrócona twarzą do ściany, pośrodku przewodu wentylacyjnego, Jaina widziała wiele rzeczy. Widziała, że Keshiri z rozciętym na pół tułowiem i dziurą po blasterowej wiązce tam, gdzie wcześniej miała policzek, nie jest zwykłym Sithem. Widziała, że Luke zagania tę niby-kobietę prosto ku niej. A na samym końcu szybu widziała Corrana Horna, który kuśtykał w stronę ogromnego otworu wylotowego i potrzebował jeszcze tylko paru metrów, żeby cisnąć ich ostatni detonator termiczny w generator pola siłowego. Widziała, że Keshiri za chwilę będzie musiała się odwrócić i spróbować go powstrzymać, i widziała też, że według jej chronometru do południa pozostawały dwie i pół minuty.

Dwie i pół minuty to bardzo dużo czasu na ustawienie celowników. Zbyt dużo. Jaina wiedziała, że jak tylko generator padnie, dowódca artylerii Sithów zorientuje się, że nadchodzi kolejny atak - i skąd nadciąga. Rozkaże wszystkim swoim działowym przerwać potyczki z kanonierkami i wozami bojowymi, które już od paru dni próbowały przełamać obronę Świątyni.

Polecą im skupić uwagę na wylocie przewodu wentylacyjnego. I każe im zasypać niebo ponad otworem wylotowym wiązkami i pociskami. A potem, dwie i pół minuty później, Skoczkiwie Próżniowi znajdą się w piekle.

Dlatego właśnie Jaina cały czas ignorowała rozkaz Luke'a, który nakazywał jej wstać i walczyć. Pozostawała w bezruchu, próbując dotknąć Corrana poprzez Moc i nakłonić go, żeby zwolnił. Wyczuwała jednak jego niepokój, jego obawę, że poświęcenie Luke'a pójdzie na marne, jeśli on pozwoli się dopaść tej niezniszczalnej Keshiri. Jaina wiedziała, że gdy tylko kobieta ją minie i będzie miała otwartą drogę do Corrana, on rzuci się na generator.

Ale Jaina wiedziała również, że nie przetrwałaby dwóch i pół minuty w starciu z tą Keshiri -

już nie. Czowała się, jakby całe jej ciało płonęło od środka, i nie była wcale pewna, czy mięśnie nie odmówią jej posłuszeństwa, kiedy nadejdzie pora, żeby - jak rozkazał Luke - wstać i walczyć.

Sądziła, że może wytrwać pół minuty, może nawet minutę, jeśli Moc będzie z nią. Ale dwie i pół minuty? Za dwie i pół minuty będzie martwa.

Kiedy chronometr Jainy pokazał, że do południa zostały już tylko dwie minuty, stało się coś dziwnego. Keshiri zawyla z bólu. Nie był to po prostu krzyk, jaki mógłby wydać każdy, komu blasterowa wiązka przeszła płuco. To było coś nadprzyrodzonego - krzyk, który zdawał się rozbrzmiewać echem w Mocy i krążyć Jainie po głowie, mimo że jej uszy w ogóle go nie wychwyciły.

Kobieta się zachwiała, a kiedy Luke strzelił ponownie, zebrała się w sobie i rzuciła się za Corranem. Czas się skończył. Jaina wyciągnęła rękę, przywołując do niej swój miecz świetlny, a potem

podniosła się, pomagając sobie Mocą.

Ku jej zaskoczeniu kobieta zatrzymała się między nią a Luke'em i Jaina stanęła twarzą w twarz ze śmiercią. Jej usta - tam, gdzie nie zostały rozerwane przez blasterową wiązkę Luke'a -

były ohydny, szerokim otworem, który rozciągał się od ucha do ucha. Natomiast oczy przypominały ciemne studnie, na dnie których płonęły dwa małe punkciki światła.

Abeloth.

Jaina pamiętała opis wystarczająco dobrze, by zdawać sobie sprawę, kogo ma przed sobą, i rozumiała, że jej szanse na przeżycie spadły właśnie do zera. Zapaliła miecz świetlny i ruszyła do boju. Wyprowadziła potężny cios w tułów w nadziei, że zdoła wepchnąć przeciwniczkę na klingę Luke'a.

Abeloth wykonała szybki ruch ręką i Jaina poleciała do tyłu. W dole mignął jej ciemny prostokąt komina; spadła na podłogę i przetoczyła się dwa razy, zanim udało jej się w końcu użyć Mocy, żeby się zatrzymać. Podniosła się na kolana i zobaczyła Abeloth przeskakującą za nią nad szybem.

Jaina uniosła miecz świetlny...i w tym momencie ujrzała, jak jej przeciwniczka leci w dół i znika w kominie.

Zbyt wyczerpana i dezorientowana, żeby wstać, Jaina pozostała na klęczkach, spodziewając się, że za chwilę cienką blachę przebije ręka, która złapie ją za kostkę i pociągnie za sobą. Zamiast tego jednak zobaczyła Luke'a, zbliżającego się z mieczem świetlnym w jednej ręce i blasterem w drugiej. Kiedy dotarł do krawędzi komina, wyciągnął rękę i strzelając na ślepo, posłał

serię wiązek w ślad za Abeloth. Potem popatrzył ostrożnie w dół... i zrobił zakłopotaną minę.

Spojrzał na Jainę.

- Co się stało?

- Właśnie miałam cię zapytać o to samo - stwierdziła Jaina. - Myślałam, że to ty...

- Nie, nie ja - oświadczył Luke, kręcąc głową. - To było coś innego... coś, czego chyba jeszcze nie rozumiemy.

- Kolejna rzecz jej dotycząca, której nie rozumiemy - odparła Jaina. - Świetnie.

Nagle przypomniała sobie o Corranie i uświadomiła sobie, że nie słyszała jeszcze trzasku detonatora termicznego. Spojrzała na chronometr. Do południa pozostawało półtorej minuty.

Odwróciła się i poczuła ulgę, widząc, że Corran stoi na brzegu otworu wylotowego i patrzy w ich stronę, wciąż trzymając detonator w ręku.

- Już? - zapytał. - Mój chronometr nawala.

Jaina ponownie spojrzała na swój i pokręciła głową.

- Jeszcze nie. - Licząc, że pokonanie tych ostatnich pięćdziesięciu metrów zajmie jej mniej więcej minutę, dała znak Luke'owi, żeby do niej dołączył, a potem wstała i zaczęła kuśtykać w kierunku generatora. - Zróbmy to razem.

- Dobry pomysł. - zawołał Luke. - Ekipa ratunkowa będzie miała ułatwione zadanie, jak padniemy wszyscy w jednym miejscu.

## ROZDZIAŁ 25

W końcu weszli dostatecznie wysoko, żeby uciec przed ociekającą kwasem pleśnią i grzybami o trujących, ostrych jak brzytwa krawędziach. Był to typowy podziemny korytarz o rdzewiejących durastalowych ścianach, z grubą warstwą brudu i smrodem zgnilizny. A ponieważ nie było już żadnych mięsożernych warzyw, Han wyłączył swój mechanizm obronny, który w sytuacji zagrożenia nakazywał mu podjąć walkę lub uciekać. Teraz był po prostu zły - nawet wściekły.

W czasie zasadzki w hangarze dostrzegł ciemnowłosą dziewczynę stojącą w wejściu do tunelu. Miała na sobie zbroję Jedi, więc początkowo sądził, że dziewczyna jest jeńcem lub ucieka przed wrogiem. A potem zauważył detonator termiczny w jej dłoni i pomyślał: szpieg. Wszystko stało się jasne, kiedy weszła do hangaru i rzuciła detonator w kierunku rampy „Sokoła”, gdzie stała Allana, rozmawiając z Bazelem i Leią. Mnie więcej w tym samym czasie zobaczył drobną bliznę w kącie jej ust i natychmiast ją rozpoznał.

Vestara Khai.

Ta mała *smooka* od początku bałamuciła Bena, używając swoich sztuczek, żeby się w niej zakochał. A potem, kiedy już przeniknęła do Zakonu Jedi i dowiedziała się wszystkiego, czego mogła, dostrzegła okazję, żeby wyeliminować Allaną - i wróciła do Sithów, żeby przygotować zasadzkę. To było jasne. Wykorzystała Bena i oszukała Luke'a, Han nie pojmował tylko, jak to zrobiła. Skąd Vestara wiedziała o ich przylocie - i że Allana będzie na pokładzie? Jak jej się udało tak szybko przygotować atak? Kiedy „Sokół” przyleciał na Coruscant, ona była już w Świątyni, a nawet gdyby mogła jakoś podsłuchiwać rozmowy w kwaterze Bwua'tu, miałyby na wszystko niecałą godzinę.

Ale przynajmniej Han wiedział już, dlaczego Jedi mieli tyle problemów w Świątyni. W ich szeregach był szpieg. I Han miał zamiar dopilnować, żeby Vestara Khai zapłaciła za to, co zrobiła.

Nawet gdyby była to ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

- Dziadku! - szepnęła Allana za jego plecami. - Cicho!

Han spojrział na pokrytą skorupą brudu podłogę, zastanawiając się, co też mógł kopnąć albo na co nadepnąć. W słabym świetle panelu jarzeniowego widział skompresowany kurz i niewiele poza tym - żadnych poniewierających się palników fuzyjnych ani młotów pneumatycznych, żadnych szkieletów ostroszczurów ani skorup bremlów. Nie widział nawet żadnych martwych muxi, a sądząc po panującym smrodzie, powinny ich tu być tysiące.



Nie zatrzymując się, obejrzał się. Leia i Anji szły jakieś dziesięć kroków za nim, osłaniając tyły. Allana i R2-D2 byli bliżej, niemal deptali mu po piętach. Oboje byli od góry do dołu pokryci kurzem i brudem, a Allana w każdym calu wyglądała na weterana, którym stała się w ciągu ostatnich kilku dni, wypełnionych walką, skradaniem się i ucieczkami. W jej dużych szarych oczach pojawiło się to samo surowe, czujne spojrzenie, które Han widział u swoich dzieci, kiedy przez swoje zdolności i różne galaktyczne konflikty w wieku zaledwie kilkunastu lat stawały się wojownikami. Teraz przeznaczenie Allany upominało się o nią w jeszcze młodszym wieku. Uczyła się zabijać - i patrzeć, jak umierają jej przyjaciele - mając raptem dziewięć lat. Hanowi pękało przez to serce. Gdyby mógł odmienić jej los, zrobiłby to bez wahania. Ale to nie zależało od niego - ani od nikogo. Przyszła na świat przypisana do swojej roli, a on mógł jedynie przygotować ją do dźwigania tego brzemienia.

Han wciąż jeszcze oglądał się za siebie, kiedy dotarł do skrzyżowania i uruchomił zestaw zapalanych automatycznie paneli jarzeniowych po swojej lewej stronie. Pamiętając, że oddział

Sithów wciąż znajduje się gdzieś za nimi, nie pozwolił sobie na okrzyk zaskoczenia, ale odwrócił się i odruchowo wycelował blaster w boczny korytarz.

- Dziadku! - szepnęła znów Allana. - Cicho znaczy też żadnego strzelania!

Han zatrzymał się i zwrócił twarzą do niej.

- Nie pociągnąłem za spust - zachnął się. - I byłem cicho.

R2-D2 zamigotał światełkami, używając kodu sygnałowego Jedi, żeby zaprzeczyć, Allana zaś pokręciła głową.

- Znowu mamrotałeś - wyszeptała. - A ja słyszałam kogoś za nami.

Han podniósł wzrok i spojrzał w stronę, z której przyszli. Anji i Leia wciąż znajdowały się za nimi. Anji czujnym okiem obserwowała drogę, którą zostawiali za sobą, a Leia, posługując się Mocą, wyglądała warstwę kurzu. Nie było śladu nikogo innego.

- Jesteś pewna? - spytał.

- Oczywiście, że jestem - odparła Allana. - Mówiłeś coś o małej *smooce* i o tym, że ona zapłaci. Co to jest *smooka*?

- To samo co złe wiadomości - powiedział Han. - Chodziło mi o to, czy jesteś pewna, że coś słyszałaś.

- Jestem pewna - potwierdziła Allana. - Ktoś za nami krzyknął. Chyba był zaskoczony.

- Ja też to słyszałam - dołączając do nich, oznajmiła, Leia, również szeptem. - I wyczuwam ich obecność jakieś pół kilometra za nami. Jest ich może z tuzin.

- A co z Zekkiem i Taryn? - zapytał Han. Spojrzał na Allanę. - Na pewno włączyłaś swój sygnał

naprowadzający?

Dziewczynka odwróciła rękę, pokazując pomarańczowy blask w miejscu, gdzie miała wszczepiony podskórny nadajnik.

- Na pewno.

- Cholera - mruknął Han. - Powinni już nas dogonić.

- Może dogonili - stwierdziła Leia. - Za tą pierwszą grupą Moc wydaje się pusta, może zbyt pusta.

- Tak jakby Zekk ukrywał swoją obecność w Mocy? - dopytywał Han.

- Niezupełnie - odparła Leia. - Gdyby tak było, to po prostu ściągałby ją do siebie. A to przypomina raczej bąbel, tak jakby chciał ukryć coś więcej niż tylko siebie. Być może Taryn.

- Może zrobić coś takiego?

Leia wzruszyła ramionami.

- Luke może - sprostowała. - Nie wiem jak Zekk.

- Ale jeśli ty wyczuwasz ten bąbel, to Sithowie też. Tak?

- Obawiam się, że tak - przyznała Leia. - Prawdopodobnie wiedzą, że ktoś jest za nimi.

Tylko nie wiedzą kto i ilu.

- Świetnie. Więc pewnie sobie myślą, że muszą zaatakować, zanim będzie za późno. - Han spojrział w mrok panujący poza włączonymi panelami jarzeniowymi, zastanawiając się, jak długo może się ciągnąć korytarz, zanim zaprowadzi ich w jakieś miejsce, gdzie mogliby zgubić pogoń. -

Wygląda na to, że będziemy musieli biec.

- Nie możemy - zaprotestowała Allana. - Jesteśmy zbyt blisko gniazda Barabelów.

- Tak? - Han popatrzył na wnuczkę. - Jak blisko?

Allana spojrzała pod nogi.

- Kiedy ostatnio widziałeś ostroszczura albo bremila? - spytała. - Albo ślimaka granitowego, albo muxi? Albo chociaż ślad jednego z nich?

- Nie wiem - odrzekł Han, rozglądając się znowu po korytarzu. - Chyba z pół godziny temu.

- Rozumiem, do czego zmierzasz, Allano - odezwała się Leia, także się rozglądając. - Ten teren został ogołocony.

- Właśnie - zgodziła się Allana. - Ale sądząc po zapachu, musimy być blisko gniazda.

- To dobrze - ucieszył się Han, ruszając w dalszą drogę. Nie bardzo się orientował, co ma do tego zapach, ale wiedział, że Barabelowie są żarłocznymi drapieżcami, więc bliskość gniazda tłumaczyła, dlaczego nie widać żadnych szkodników. - Przydadzą się posiłki.

Allana złapała go za nogawkę spodni.

- Zwariowałaś, dziadku? Jeśli doprowadzimy tych Sithów jeszcze bliżej gniazda Barabelów, to my zostaniemy zjedzeni.

- Myślałem, że masz ich ostrzec przed swoją wizją! Przecież przez to... - Han ugryzł się w język, zdając sobie sprawę, że jeśli nie będzie uważał na słowa, Allana może zacząć się obwiniać o śmierć Bazela. - Przecież po to tu jesteśmy, prawda?

Na szczęście Allana najwyraźniej w niczym się nie połapała.

- Muszę ich ostrzec przed tym, co widziałam, a nie sprawić, że się to ziści.

- Tak? A ja miałem wizje dotyczące Sithów i małych dziewczynek - odparł Han. - Więc uważam, że powinniśmy zaryzykować i połączyć siły z Barabelami, póki możemy. W ten sposób wszyscy zwiększymy swoje szanse na przeżycie.

- Han, nie możemy podjąć tej decyzji za Allaną - tłumaczyła łagodnie Leia. - To jej wizja.

Ona sama musi zdecydować, czego oczekuje od niej Moc.

- Od kiedy to Moc jest jej rodzicem? - zapytał Han, z trudem powstrzymując się od podniesienia głosu. Leia tylko na niego popatrzyła. Han wziął głęboki oddech i zwrócił się w stronę Allany. - W porządku. Może spróbuję tu zostać i zatrzymać ich przez jakiś czas, a wy z babcią poszukacie Barabelów.

- Chcesz zatrzymać tuzin Sithów? Sam? - Leia pokręciła głową. - Nie ma mowy.

Han się nachmurzył.

- Mówiłaś chyba, że decyzja należy do Allany.

- Bo należy, ale babcia ma rację - wtrąciła Allana. - Musimy trzymać się razem.

- I co zrobić? - zapytał Han.

Allana zmarszczyła w zamyśleniu brwi, a w końcu obejrzała się do tyłu.

- Coś szalonego - odparła. - Tak byś zrobił, gdyby mnie tu nie było, prawda?

Han powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem w kierunku skrzyżowania, które właśnie minęli.

- Zasadzka? - Potarł podbródek i popatrzył na Leię. - Niezły pomysł. Zakładając, że Zekk i Taryn idą za nimi.

- To wielki znak zapytania - zauważyła Leia. Myślała przez chwilę, a potem położyła Allanie rękę na ramieniu. - Ale to ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewali.

- Dobrze. - Allana ruszyła w stronę skrzyżowania. - Rozciągniemy linę jakieś pięć metrów dalej. Dzięki temu, jeśli coś pójdzie nie tak, będziemy jeszcze mieli szansę uciec i odciągnąć ich od gniazda.

Han pospieszył za nią.

- Nieźle - pochwalił. - Pozwolisz, że dorzucę parę szczegółów?

- Jasne, dziadku - zgodziła się Allana. Rzuciła mu błady uśmiech. - Pomysły Hana Solo są zawsze mile widziane.

Han przedstawił swoje propozycje i oboje zabrali się do pracy. Zanim Leia, posługując się Mocą, rozsypała w głównym korytarzu świeżą warstwę kurzu, on z Allaną rozciągnęli linę, uszkodzili panele jarzeniowe na suficie i ustawili durastalowe drzwi w poprzek korytarza, tworząc prowizoryczną barykadę biegnącą między dwoma pomieszczeniami po jego obu stronach. Potem dołączyła do nich Leia. Allana przywołała Anji gestem dłoni, a następnie trójka Solo sprawdziła swoje blastery i uklękła w oczekiwaniu na Sithów.

Po jakiejś minucie panele jarzeniowe w głównym korytarzu zgasły automatycznie i pograżyły wszystko w całkowitej ciemności. Han wiedział, że to będzie dla Allany najtrudniejsza część; w chwilach poprzedzających bitwę większość osób myślała o śmierci i o przyjaciółach utraconych we wcześniejszych bitwach. I miał rację. Nie minęło wiele czasu, gdy usłyszał

pociąganie nosem i domyślił się, że Allana musi wspominać niewiarygodny heroizm Bazela Warva.

Wiedział, że dziewczynka na zawsze zapamięta to poświęcenie i przez resztę życia będzie robić wszystko, by okazać się godną jego ofiary.

Licząc się z tym, że w każdej chwili mogą nadejść Sithowie, nie mógł pocieszyć jej słowami. Zamiast tego otoczył ją po prostu ramieniem, żałując, że nie może użyć Mocy, żeby zapewnić ją, że będzie lepiej - że z czasem zacznie się koncentrować raczej na tych dobrych wspomnieniach związanych z Barvem niż na tym, jak zginął. I może jednak Han miał Moc -

przynajmniej jeśli chodzi o nią - bo siąkanie ustało, a Allana wtuliła się w niego, żeby mu podziękować i poinformować, że już jest lepiej.

Nagle jeden z paneli jarzeniowych w głównym korytarzu obudził się do życia, a Han poczuł, jak ciało Allany pręży się w oczekiwaniu na bitwę. Normalnie odsunąłby się na bok, żeby nie tworzyć skupiska, które mogłoby się stać łatwym celem dla wroga, teraz jednak chciał mieć wnuczkę w zasięgu ręki. W czasie zasadzki w hangarze poradziła sobie całkiem nieźle - ba, nawet świetnie - ale tamto zdarzyło się zniecka. Tym razem był czas na myślenie, a w takich sytuacjach za dużo

myślenia zazwyczaj nie wychodziło na dobre.

Kilkanaście sekund później para zwiadowców Sithów dotarła do skrzyżowania i ostrożnie wyjrzała za róg. Kiedy idąca przodem kobieta zmrużyła oczy i nachyliła się, żeby wyszeptać coś partnerowi do ucha, Han domyślił się, że wyczuli pułapkę. Nie był zaskoczony. Nawet jeśli Zapomniane Plemię nie mogło się równać z Jedi w walce, większość z nich posługiwała się Mocą w sposób znacznie bardziej naturalny niż ich odpowiednicy po Jasnej Stronie - i to według Hana było ich słabością. Członkowie Zapomnianego Plemienia zwykli polegać w walce na Mocy zamiast na sobie samych, więc gdy trafiali na kogoś, kto naprawdę potrafił walczyć, zazwyczaj mieli kłopoty.

Han poczuł, jak Allana napina mięśnie, przygotowując się do strzału, i natychmiast położył

jej rękę na ramieniu, żeby ją powstrzymać. Gdyby mógł porozumiewać się z nią poprzez Moc, powiedziałby jej, żeby była cierpliwa i zaczekała, aż jej babcia zrobi swoje - bo Leia Solo zawsze miała jakiegoś asa w rękawie.

I faktycznie, w korytarzu rozległ się delikatny brzęk. Spojrzenia Sithów powędrowały w stronę sufitu, a potem oboje szybko się wycofali i zniknęli z pola widzenia.

- Uciekli! - parsknęła zawiedziona Allana.

- Nigdy nie strzelaj do zwiadowców - wyjaśnił Han. - Oni się tego spodziewają.

- I co z tego?

- Odbiją twój strzał - odparła Leia. Sądząc po brzmieniu jej głosu, wślizgnęła się już do pomieszczenia, które znajdowało się po jej stronie korytarza. - A ty tylko zdradzisz swoją pozycję.

- Ale przecież oni mają Moc - zauważyła Allana. - Pewnie już wyczuli nasze pozycje.

- No i właśnie na to liczymy. - Han wziął wnuczkę za rękę i pociągnął ją w stronę pograżonych w ciemności drzwi po drugiej stronie korytarza, gdzie wcześniej ukrył R2-D2. - Daj mi swój blaster.

- Po co? - Głos Allany zabrzmiał podejrzliwie.

- Bo będą ci potrzebne obie ręce. - Zaprowadził ją w najdalszy róg, gdzie stał R2-D2, oświetlony słabo swoimi lampkami kontrolnymi. - A teraz daj mi blaster, przywołaj Anji i połóż się na niej, a potem zakryj uszy i zamknij oczy.

- Co? - zdziwiła się Allana. - Dziadku, ja jeszcze nie jestem Jedi. Nie potrafię tak dobrze wyczuć kogoś w Mocy.

- Zaufaj mi. Nie będziesz musiała. - Han zastanawiał się, czy nie powiedzieć jej, czego ma się spodziewać, ale zrezygnował. Doświadczenie podpowiadało mu, że czasem lepiej nie wiedzieć, co się stanie. Trącił ją w ramię i powiedział: - Blaster... już.

Allana westchnęła ciężko i oddała broń - małego Q2, który zabrali martwej Sithance, nieco

drobniejszej od Leii - a potem zrobiła to, co kazał jej dziadek. Han wsadził sobie pistolet za pasek, schował własną broń do kabury, a następnie zrobił to samo, co polecił wnuczce, i nakrył własnym ciałem Allaną i Anji.

Ledwie zdążył zasłonić rękami uszy, gdy przez zamknięte powieki zobaczył pomarańczowy blask granatu zapalającego. Zerknął w dół i zobaczył, że Allana patrzy z rozdziawioną buzią i szeroko otwartymi oczami. Anji leżała rozplaszczona na podłodze, przywierając do ściany tak ściśle, jak tylko mogło nexu tej wielkości.

- Zamknij oczy! - zawołał Han.

Dziewczynka natychmiast posłuchała, a sekundę później rozległ się ogłuszający huk, któremu towarzyszył oślepiający, biały błysk detonatora termicznego. Han policzył do dwóch, po czym otworzył oczy i zobaczył czterometrową wyrwę we frontowej ścianie pomieszczenia. W

korytarzu błyskał nieprzerwany strumień blasterowych wiązek.

Han wyjął zza paska pistolet blasterowy Allany i oddał go dziewczynce.

- Trzymaj się mnie.

- Nawet rankor by mnie nie odciągnął! - zapewniła go. - Dziadku, skąd wiedziałeś...

- Doświadczenie. - Han wyciągnął własny blaster. - Mnóstwo doświadczenia.

Ciągnąc za sobą wnuczkę, podszedł do dziury na odległość kilku metrów. Po drugiej stronie korytarza zobaczył Leię wyglądającą przez identyczny otwór. Jej twarz była oświetlona na zielono przez przelatujące wiązki. Uśmiechnęła się do nich, a potem zniknęła za resztkami ściany.

Dla Hana ten uśmiech był bardzo wymowny. Natychmiast polecił Allanie, żeby kazała Anji zostać z R2-D2. Normalnie nie liczyłby za bardzo, że polecenie odniesie skutek, kiedy robi się gorąco, jednak Allaną i nexu zdawała się łączyć jakaś więź Mocy, która mogła pomóc. Kiedy już Anji była na swoim miejscu, ustawił dziewczynkę w jednym z rogów pomieszczenia i powiedział, jaki ma plan. Wy tłumaczył jej, czego od niej oczekuje - łącznie z ukrywaniem swojej obecności w Mocy, tak jak uczyła ją tego babcia - a następnie, mijając dziurę w ścianie, przeczołgał się w przeciwny kąt.

Pośród jazgotu blasterów Han usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Pochylił głowę, ukrywając białka oczu, i słuchał, jak odgłosy przybierają na sile. Kiedy Sithowie dotarli do wyrwy w ścianie, zwolnili kroku, a gdy Han podniósł wzrok, zobaczył Sitha o prostym nosie przeskakującego przez dziurę.

Han go zignorował i otworzył ogień do idącej za nim kobiety, która odwróciła się w stronę Allany. Atak zaskoczył ją do tego stopnia, że nie zdążyła nawet włączyć miecza świetlnego. Padła jak pozbawiony zasilania hologram z dymiącą dziurą w głowie.

W tej samej chwili z miejsca, gdzie ukryła się Allana, pomknęły trzy blasterowe wiązki i pierwszy Sith runął do przodu, a jego wciąż zapalony miecz świetlny upadł tak blisko, że omal nie odciął

Hanowi ręki.

Han, nie zwracając na to uwagi, strzelał dalej do nacierających Sithów. Pierwsza trójka, wykorzystując półtorej sekundy, w czasie której zginęli ich kompani, zapaliła szybko miecze świetlne i zaczęła odbijać wiązki Hana. On tylko pochylił głowę i strzelał dalej, a po chwili Sithowie zaczęli wchodzić przez dziurę do środka.

W tym momencie Leia wyskoczyła z ukrycia. Han w dalszym ciągu ostrzeliwał korytarz, absorbując resztę Sithów, żeby umożliwić Leii przejście przez korytarz. Jej miecz świetlny zabrzęczał dwa razy i dwóch Sithów straciło głowy.

Blaster Allana znowu zapiszczał - a potem zapiszczała sama Allana, gdy trzecia Sithanka ruszyła na nią, odbijając jej wiązki na boki.

Zanim Han zdążył wziąć ją na cel, Anji skoczyła na kobietę z boku, spychając ją w stronę korytarza - głową wprost na klingę Leii. Kolana kobiety natychmiast się ugięły, a Han przestrzelił

jej jeszcze kręgosłup, kiedy upadała.

Allana wydała odgłos, jakby zbierało jej się na wymioty, i uskoczyła przed spadającym mieczem świetlnym kobiety.

Han ponownie zaczął ostrzeliwać korytarz, a Leia stanęła przy nim i odbijała mieczem świetlnym nieprzerwany strumień wiązek, które Sithowie posyłali z powrotem ku niemu. Kiedy zorientowali się, że stracili blisko połowę oddziału, ich dowódca - brązowobrody Keshiri o jasnych oczach - krzyknął coś w ich języku i zaczęli wycofywać się w stronę skrzyżowania.

I wtedy właśnie zjawili się Zekk i Taryn. Wypadli zza rogu wśród nawałnicy blasterowego ognia tak intensywnego, że Han widział jedynie błyskające światła. Kilko Sithów krzyknęło z bólu i zdumienia, a potem brązowobrody Keshiri i troje innych popędziło korytarzem. Kiedy się zbliżyli, Han zobaczył, jak brązowobrody sięga do kieszeni, bez wątpienia po granat lub detonator termiczny. Sith biegnący za nim zrobił to samo.

Han wrzasnął z całych sił na Leię, ale nie mógł przekrzyczeć jazgotu blasterów. Wskazał na dowódcę, a sam wziął na cel drugiego. Wobec Zekka i Taryn strzelających z tyłu i Hana z przodu Sith nie miał szans. Padł z ręką ciągle w kieszeni.

Brązowobrodemu poszło lepiej. Zdołał wyciągnąć granat z kieszeni - i nawet odbezpieczyć -

zanim Leia trafiła go podmuchem Mocy, który odrzucił go do tyłu.

Granat jednak pozostał w powietrzu i pofrunął prosto przez dziurę do pomieszczenia, w którym ukrywali się Solo.

- Granat!

Han rzucił się na Allanę i objął ją mocno ramionami - a potem poczuł, jak leci w przeciwnym

kierunku, wznosząc się pod kątem do góry. Uderzył ramieniem o krawędź ściany tak mocno, że omal nie wypuścił wnuczki z rąk, i poleciał, wirując do góry nogami, przez korytarz razem z Allaną krzyczącą z strachu i zdumienia.

Znajdowali się w powietrzu przez blisko sekundę, zanim Han uderzył plecami o coś przypominającego stół i spadł na podłogę. Wnuczka wyleciała mu z rąk, a potem ktoś inny - duży i włochaty - wylądował mu na piersi.

Dopiero wtedy pomarańczowy blask granatu zapalającego rozjaśnił mrok - wydawało się, że jego źródło znajduje się po drugiej stronie korytarza.

Han zepchnął Anji i usiadł na podłodze, mrugając i próbując dojrzeć coś w ciemności pomimo oślepienia eksplozją.

- Allano?

- Tutaj.

Był zbyt oszołomiony, żeby chociaż rozpoznać głos, więc odwrócił się w jego stronę i wyciągnął ręce.

Wyczuł drobną, drżącą postać i przyciągnął ją do siebie.

- Allano!

- Dziadku! - Przytuliła się do niego. - Gdzie babcia?

- Nie wiem. - Han zaczął szukać po omacku w ciemnościach, ale znalazł tylko kurz. - Musi tu gdzieś być.

- Babciu? - Kiedy odpowiedź nie nadeszła, w głosie Allany pojawił się lęk. - Babciu?

Odpowiedziały jej tylko odgłosy kroków. Zdając sobie sprawę, że nie ma pojęcia, ile czasu minęło, Han zakrył Allanie buzię ręką.

Dziewczynka natychmiast znieruchomiła i razem słuchali, jak kroki się oddalają.

- Siedź cicho, dopóki się nie zorientujemy, co i jak - wyszeptał w końcu Han.

- Co ty powiesz - odparła Allana. - Ale gdzie babcia?

- Tutaj - rozległ się szept. - Z Anji.

Słowa dobiegały z okolic dziury w ścianie. Brzmiały wyraźnie i na tyle głośno, iż Han myślał przez chwilę, że Leii ciągle dzwoni w uszach od wybuchu granatu. Potem jednak przez dziurę wpadł snop światła z pręta jarzeniowego, oświetlając jej twarz, a parę metrów dalej w korytarzu rozległ się głęboki głos Zekka:



- Księżniczko Leio, jak miło widzieć cię całą i zdrową.

- Równie miło będzie zobaczyć Chume' da całą i zdrową - dodała Taryn. - Gdzie ona jest?

- Niepotrzebnie się o mnie martwicie - oświadczyła Allana. Jej głos brzmiał tak dostojnie, jak niekiedy głos jej matki. Uwolniła się delikatnie z objęć Hana i wstała. - Miałam dobrą opiekę.

Ale zajmijcie się natychmiast moimi dziadkami. Mają za sobą ciężką walkę.

W dziurze pojawił się drugi snop pręta jarzeniowego, który skierował światło na twarz Allany.

- Nic ci nie jest, Wasza Wysokość? - spytała Taryn. - Na pewno?

- Na pewno, to chyba widać - odparła Allana z lekką irytacją w głosie. - A teraz poświęć tym gdzie indziej i zajmijcie się moimi dziadkami, tak jak...

Allana urwała, bo z głębi korytarza dobiegły trzy okrzyki bólu. Taryn i Zekk odwrócili się, żeby poświęcić prętami jarzeniowymi w stronę dźwięku, a za nimi rozległ się charakterystyczny stukot oddziału pancernych żołnierzy, zarzucających sobie karabiny blasterowe na ramiona.

Zanim jeszcze Han zdał sobie sprawę z przyczyny tych krzyków, Allana popędziła w stronę drzwi.

- Nie strzelać! Nie strzelać!

Han wstał i - czując ból w całym ciele - pokuśtykał za nią.

- W porządku! - zawołał. - To przyjaciele.

Taryn popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Na pewno?

Odpowiedział jej Zekk:

- Na pewno. - Odwrócił się i dał znak żołnierzom, żeby opuścili broń. Potem spojrzał znów przed siebie i powiedział: - Miło cię znów widzieć, Tesar.

- On nie może powiedzieć tego sssamego - odparł chrapliwy głos Barabela. - Co wy tu robicie?

Han podszedł do drzwi, wziął Leię za rękę i wyjrzał na korytarz, gdzie zobaczył Tesara i dwójkę innych Barabelów - Dordi i Wilyema, jak podejrzewał - stojących jakieś trzy metry dalej, pod ostatnim włączonym panelem jarzeniowym. Ich pokryte łuską ramiona wypełniały całą szerokość korytarza, wyraźnie dając do zrozumienia, że nikt tędy nie przejdzie. Widząc ich szpony, ociekające jeszcze krwią Sithów, i głowy, sięgające prawie do sufitu, nietrudno było się domyślić, dlaczego Hapanie unieśli broń do strzału.

Zekk uśmiechnął się i wskazał na Allanę.

- Szliśmy za Amelią Solo.

- Amelią? - wychrypiała Dordi. - Ona wasss tu przyprowadziła?

Allana najwyraźniej uznała, że to ona powinna rozładować atmosferę, i wyszła na środek korytarza.

- Nie celowo - zapewniła.

Podeszła do Barabelów i zatrzymała się przed Tesarem. Jej drobna postać sięgała tylko niewiele wyżej niż jego kolana. Taryn natychmiast ruszyła za nią, ale Chume'da dała jej znak ręką, żeby nie podchodziła. Mimo to Zekk musiał przytrzymać Taryn. Allana zadarła głowę, żeby spojrzeć Barabelowi w oczy.

- Narazałam życie, a Bazel swoje poświęcił, żeby was ostrzec. Barabelowie nastroszyli łuski, wypełniając korytarz cichym szelestem.

- Bazel nie żyje? - zapytał Tesar.

- Miał was sam ostrzec - wytłumaczył Han. - Ale wpadliśmy w zasadzkę, kiedy go wysadzaliśmy.

Allana pokiwała głową.

- Zginął, chroniąc nas - dodała. - Będzie mi go brakowało.

Tesar zamyślił się, a potem pokiwał głową.

- Bazel był dobrym obrońcą. Ssstado będzie uboższe bez niego.

- Owszem, będzie - zgodziła się Allana. - Dzięki.

- On mówi tylko prawdę. - Tesar przeniósł wzrok na Hana. - Ale on nie rozumie. Przed czym mieliście nasss osstrzec?

- Zapytaj Amelię - oznajmił Han. - To była jej wizja.

Na dźwięk słowa „wizja” spojrzenia całej trójki Barabelów skierowały się na Allanę tak gwałtownie, że nawet Han wyczuł nagły przyływ napięcia.

- Jaka Wizja? - spytał Wilyem.

Allana popatrzyła na niego.

- Widziałam w niej Sithów - wyjaśniła. - Mnóstwo Sithów. I byli w waszym gnieździe.

- W naszym gnieździe? - powtórzył Tesar. - Jesteś pewna?

- Pamiętam mnóstwo kości i kilkadziesiąt małych czarnych jaszczurek - odrzekła Allana. -

Nie był to miły widok.

Tesar otworzył szeroko oczy.

- Przyjdą po nasze młode?

- Nie, jeśli pozwolicie sobie pomóc - oceniła Allana. - Myślicie, że dlaczego tu jestem?

Tesar zerknął na Wilyema, który pokiwał niechętnie głową.

- Wizja to wizja - stwierdził.

Tesar obejrzał się na Dordi, która wzruszyła ramionami i również pokiwała głową.

- Ona i tak ma już dość Sssithów - oświadczyła. - Zossstawiają taki gorzki posssmak w ussstach.

## **ROZDZIAŁ 26**

Lustro w garderobie Jaggeda Fela miało wbudowany holowyświetlacz, nastawiony stale na Imperialny Kanał Informacyjny, a stacja przerwała właśnie swoją relację z wyborów, żeby nadać materiał specjalny. Zamiast gadających głów hologram ukazywał teraz gładki, żarzący się jeszcze lej po wybuchu wewnątrz piaszczystego księżycowego krateru. Obrazom towarzyszył aksamitny głos reporterki.

- ...niewielkiej kopalni znanej jako Księżycowa Księżniczka - mówiła. - Tak wyglądała, zanim imperialna fregata „Konsolidator” przeprowadziła turbolaserowe bombardowanie.

Mimo że Jag spodziewał się tej informacji już od paru dni, moment jej podania go zaskoczył. Ujawniając ją zaledwie kilka minut przed debatą wyborczą, kierownictwo stacji najwyraźniej próbowało storpedować jego kampanię. Zadbali o to, żeby wiadomości usłyszało całe Imperium, i nie pozostawili mu czasu na reakcję przed rozpoczęciem głosowania. Była to imperialna intryga w najlepszym wydaniu i choć tak wyglądał jeden z aspektów jego pracy, których Jag najbardziej nie znosił, musiał docenić kunszt przeciwników.

Następnie obraz ukazał twarz przystojnego porucznika Imperialnej Służby Bezpieczeństwa, a głos reporterki mówił dalej:

- Imperialny Kanał Informacyjny dowiedział się, że porucznik Dorch Vangur z kontyngentu Imperialnej Służby Bezpieczeństwa na Hagamoorze Trzy był na misji w pobliżu Księżycowej Księżniczki na krótko przed atakiem. Potwierdził on, że bombardowanie zostało przeprowadzone na rozkaz przywódcy Imperium Jaggeda Fela na wniosek niezidentyfikowanej agentki. Niestety, porucznik Vangur nie chciał ujawnić tożsamości tej kobiety, a nasi śledczy z Imperialnego Kanału Informacyjnego nie natrafili jak dotąd na jakikolwiek ślad jej pobytu na Hagamoorze Trzy ani nawet nie zdołali potwierdzić jej istnienia.

- Muszą mieć bardzo nieudolnych śledczych - zauważyła Tahiri, która stała za charakteryzatorką, spoglądając na odbicie Jaga w lustrze. Twarz miała wciąż posiniaczoną, jednak wyglądała

nadszpiewanie dobrze jak na kogoś, kto stał się niedawno z bytem Mocy. -

Kosmoport na Hagamoorze Trzy ma więcej kamer monitoringu niż twój pałac na Bastionie. Każdy porządny reporter, mając do dyspozycji godzinę i tysiąc kredytów, powinien bez trudu zdobyć nagranie ze mną.

- I dać ci powód do powrotu? - Jag spojrzał jej w oczy i pokręcił głową. - Nikt nie chciałby drugi raz spotkać Ręki Imperium.

W ramce holograficznego wyświetlacza na lustrze pojawił się plakat wyborczy i Jag skupił ponownie uwagę na wiadomościach. Plakat przedstawiał Daalę w mundurze wielkiego admirała, z profilu, z wyeksponowaną opaską na oko. Hasło brzmiało: „Natasi Daala. Tradycja służby i poświęcenia - dla twojego Imperium”. Był to bardzo sugestywny plakat - na tyle, że sam Jag miał ochotę na nią zagłosować.

- Oto jeden z plakatów wyborczych admirała Daali - wyjaśniła usłużnie reporterka. - Z

naszych wstępnych ustaleń wynika, że Księżycowa Księżniczka była w istocie wykorzystywana jako sztab wyborczy admirała Daali.

Plakat zastąpiła twarz atrakcyjnej ciemnowłosej reporterki.

- Drodzy rodacy, wiem, że w dniu pierwszych imperialnych wyborów musicie zadawać sobie te same pytania co ja. I zapewne wyciągacie dosyć oczywiste wnioski. Jest jednak za wcześnie, by stwierdzić, że doszło do rażącego nadużycia władzy. Tego rodzaju oskarżenie wymaga poparcia dowodami, których w tej chwili po prostu nie mamy. Mogę zatem mówić jedynie o tym, co Imperialny Kanał Informacyjny ustalił ponad wszelką wątpliwość.

Na hologramie pojawił się ponownie gładki lej.

- To był sztab wyborczy admirała Daali, a przywódca Imperium Jagged Fel osobiście zlecił

jego zbombardowanie. Jak państwo widzą, atak miał zatrzeć wszelkie ślady prawdziwej funkcji tego obiektu.

Obraz leja zastąpiły wizerunki kandydatów na urząd przywódcy Imperium - samego Jaggeda, Natasi Daali oraz Vitora Reige'a.

- Na razie - ciągnęła reporterka - możemy jedynie zadawać pytania. Jaki związek ma to z trójstronną rywalizacją, która ma wyłonić nowego przywódcę Imperium? Czy za tym niszczycielskim atakiem kryje się coś więcej niż tylko próba storpedowania przez Jaggeda Fela kampanii jego rywalki, Natasi Daali? Dlaczego trzeci z kandydatów wysłał „Konsolidatora” na Hagamoor Trzy?

Teraz znów ukazała się szczupła i piękna twarz reporterki, o nosie przypominającym ostrze noża i zielonych, podłużnych oczach.

- Te pytania wciąż pozostają bez odpowiedzi. Obiecuję jednak, że Imperialny Kanał

Informacyjny nie spocznie, dopóki prawda nie wyjdzie na jaw. Mówiła Shei Harsi.

Hologram zamienił się w logo IKI, przedstawiające hełm w koronie, a niski męski głos powiedział:

- Będziemy na bieżąco informować państwa o tych wydarzeniach, jak tylko poznamy nowe szczegóły. A teraz wracamy do naszego programu wyborczego z Tozzem Relatonem i Salią Deradal.

Na hologramie pojawiła się para prezenterów. Ubrani w zbyt ozdobne białe tuniki i przyduże okulary, wyglądali bardziej jak komentatorzy gravballu niż analitycy polityczni.

- To prawdziwa bomba, Salio, i to tuż przed rozpoczęciem wyborów - stwierdził mężczyzna o dużych zębach i uśmiechu szerokim jak u gorga. - Pytanie brzmi: jak te rewelacje wpłyną na szanse Jaggeda Fela na zwycięstwo?

- No cóż, Tozzie, odpowiedź poznamy już za osiem godzin, kiedy zakończy się głosowanie

- odparła Salia, starannie ufryzowana blondynka, która mówiła, nie przestając się uśmiechać. -

Dużo jednak zależy od tego, jak Fel odpowie na te pytania w czasie wielkiej debaty wyborczej, która rozpocznie się na naszej antenie już za parę minut.

- To prawda, Salio. Tej debaty nasi widzowie nie chcieliby przegapić, zwłaszcza że jej oglądanie jest obowiązkiem ustawowym! - zgodził się Tozz. - To może być dzień rewanżu dla admirała Daali, której pozycja w Galaktycznym Sojuszu została mocno nadszarpnięta po tym, jak Fel wycofał się z galaktycznych rozmów zjednoczeniowych na Coruscant.

Tahiri wyłączyła pilotem holowyświetlacz, stanęła przy toalecie i zwróciła się twarzą do Jaga.

- To była fatalna relacja - oznajmiła. - Nierzetelna, niekompletna i pełna insynuacji. I przysporzy ci kłopotów w czasie debaty.

Nie chcąc, żeby do oka trafił mu tusz do rzęs, Jag powstrzymał się od kiwania głową.

- Nie spodziewałem się, że wciągną w to Reige'a - powiedział. - To było zupełnie nie na miejscu.

- Jak to? - zdziwiła się Tahiri. - To znaczy, że o tym wiedziałeś?

- Oczywiście - odparł Jag. - Poprosili mnie o wypowiedź. Na pewno chcieli umieścić moje sprostowanie w tym samym materiale.

- Więc dlaczego jej nie udzieliłeś? - spytała Tahiri. - Albo jeszcze lepiej, czemu nie kazałeś cofnąć tego materiału? W końcu to Imperium. Przywódca ma taką władzę.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Tahiri - zapewnił Jag. - Ale ja chcę nauczyć Imperium żyć według nowych zasad. Jakby to wyglądało, gdybym kazał wycofać materiał tylko dlatego, że był

nierzetelny, nieobiektywny, niekompletny i wprowadzał w błąd?

- W ogóle by nie wyglądało, bo nikt by się nie dowiedział - odrzekła Tahiri. - Właśnie o to chodzi.

Jag zbył jej protesty machnięciem ręki.

- Jediną rzeczą bardziej bezwartościową niż nieobiektywne, niekompetentne media są media pozbawione swobody wypowiedzi - oświadczył. - Obywatele Imperium są inteligentni.

Potrafią rozpoznać prawdę.

Tahiri przewróciła oczami.

- No cóż, mam nadzieję, że wiesz, jak im to wytłumaczyć - stwierdziła. - Bo po debacie nie będziesz już miał okazji.

Jag tylko się uśmiechnął. Tahiri sądziła, że Jag zaplanował debatę na dzień wyborów tylko po to, żeby zmusić Daalę do wyjścia z ukrycia i nie dopuścić, żeby odrzuciła ich wyniki. Komisja wyborcza, na czele której stała komodor Selma Djor, uważała, że obecność wszystkich trojga kandydatów i całej Rady Moffów w Audytorium Gilada Pellaeona na Bastionie sprawi, iż pokonani nie będą mogli zakwestionować wyników i wznowić działań wojennych. Komisja planowała nawet poprosić przegranych i całą Radę Moffów o złożenie przysięgi na wierność nowemu przywódcy -

na żywo i przed kamerami, w trakcie powyborczego programu IKI. Każdy, kto by odmówił

złożenia przysięgi, zostałby dyskretnie aresztowany i oskarżony o zdradę stanu.

Według Jaga plan trącił nieco tyranią, ale zaakceptował go, ponieważ Djor wydawała się przekonana, że to jedyny sposób, by raz na zawsze zakończyć powstanie Daali. Jeszcze ważniejsze jednak było to, że debata dawała Jagowi szansę po raz ostatni przed wyborami zwrócić się do obywateli Imperium - i zastawić pułapkę.

- Jagged - odezwała się Tahiri, kiedy Jag milczał przez dłuższą chwilę. - Mam nadzieję, że wiesz, jak wytłumaczyć bombardowanie.

Jag zmarszczył brwi.

- Miej do mnie trochę zaufania, Tahiri.

Tahiri wyglądała na zatroskaną, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi.

- Wchodzimy za dwie minuty - oznajmił młody głos. - To znaczy, jeśli pan jest gotowy.

Bardzo przepraszam.

Jag spojrział na charakteryzatorkę, która skinęła głową.

- Już idę - zapewnił. - Dziękuję.

Charakteryzatorka nadała jego brwiom ostateczny szlif, po czym usunęła papierowy fartuch, który wetknęła mu za kołnierz, żeby nie pobrudzić ubrania. Jag podziękował jej i opuścił wraz z Tahiri garderobę. Jego asystent, Ashik, oraz czwórka ochroniarzy odprowadzili go do wejścia do studia, gdzie Tahiri uściśnięła mu dłoń i życzyła szczęścia - którego, rzecz jasna, potrzebował.

Reige i Daala stali już na swoich mównicach w galowych mundurach. Jag zaczął żałować, że wybrał cywilny strój zamiast czarnego munduru naczelnego wodza, który zalecała mu Djour.

Jednak mogłoby to zwiększyć czujność Daali, a jeśli plan miał się powieść, Daala musiała cały czas myśleć, że ma przewagę.

Kiedy Jag wszedł na scenę, moffowie na wypełnionej do połowy widowni wstali i powitali go bardzo powściągliwymi oklaskami. Najwyraźniej uważali, że doniesienia IKI przekreśliły jego szanse na zwycięstwo.

Jag zatrzymał się przy pierwszej mównicy, gdzie stał Vitor Reige. Wyglądał na zdenerwowanego i nieszczęśliwego.

Jag podał mu rękę.

- Proszę Się wyprostować, admirale - rozkazał. - Ubiega się pan o najwyższy urząd w Imperium. Powinien pan sprawiać wrażenie, jakby panu na nim zależało.

Reige natychmiast wyprostował ramiona.

- Tak jest. - Spojrzał na mikrofon stojący na pulpicie, upewniając się, że jest wyłączony, po czym zniżył głos: - Co do Hagamoor Trzy... jeśli chce pan, żebym wziął na siebie winę za bombardowanie...

- Bynajmniej. Wręcz tego zabraniam. - Jag nachylił się do niego i dodał: - Nie chcę, żebyś robił coś na własną rękę, Vitor. To mogłoby zepsuć dobry plan bitwy.

W oczach Reige'a pojawił się wyraz ulgi.

- Oczywiście, sir.

- Admirale Reige, rozkazuję panu wyznać prawdę na temat działań „Konsolidatora” - zażądał Jagged. - Całą prawdę. Czy wyrażam się jasno?

Reige wyglądał teraz na nieco bardziej strapionego, ale pokiwał głową.

- Najzupełniej.

- Cieszę się. - Jag podał mu rękę i dodał już głośniejszym głosem: - Powodzenia, admirale. Udanej debaty.

- Wzajemnie, sir. - Reige zerknął kątem oka na Daalę, która obserwowała ich ze swojej mównicy po drugiej stronie sceny, i dodał: - Niech wygra lepszy.

Jag nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Dobrze powiedziane, admirale. Bardzo dobrze powiedziane.

Podszedł do mównicy Daali i podał jej rękę. Daala spojrzała na nią, jakby była zakażona.

- To chyba nie jest konieczne, Jag - zauważyła. - Nie sądzisz?

Jagged opuścił rękę.

- Uroczą do samego końca, jak widzę - stwierdził. - Dobrze, pani admirał. Ufam, że dotrzyma pani warunków wyborczego porozumienia, które podpisaliśmy?

- A dlaczego miałabym nie dotrzymać? - odparła. - Po Hagamoorze Trzy nie mam wątpliwości co do wyników tych wyborów.

- Pewnie ja też bym nie miał na pani miejscu - przyznał Jag. - To była dość niefortunna pomyłka. Być może mieliśmy złe informacje.

Daala rzuciła mu cierpki uśmiech.

- Będzie się pan musiał bardziej postarać, jeśli chce pan wygrać, przywódco.

Jag pokiwał niechętnie głową.

- Jakbym nie wiedział.

Z głośników dobiegł głos oznajmiający, że transmisja rozpocznie się za dziesięć sekund. Jag wrócił do swojej mównicy pośrodku sceny i wziął kilka głębokich oddechów, których wcale nie potrzebował - był zadziwiająco spokojny - a następnie wysłuchał grzecznie prowadzącego, który przywitał publiczność i przedstawił kandydatów.

Gdy tylko skończył, Daala, wychodząc poza ramy scenariusza, podeszła najpierw do Reige'a, a potem do Jaga, żeby uścisnąć im ręce i życzyć powodzenia. Ledwo słyszalny jęk holokamer unoszących się w powietrzu tuż poza polem widzenia Jaga nie pozostawiał wątpliwości, że obraz jest transmitowany na żywo przez HoloNet.

Jag podał jej dłoń i się uśmiechnął.

- Pani admirał, jak miło, że zechciała pani podać mi rękę... teraz, gdy holokamery są już włączone.

Daala odpowiedziała jeszcze szerszym uśmiechem.

- Chciałam po prostu zrobić to tylko raz - odparła. - Z pewnością pan to rozumie.



Riposta, wzmocniona przez mikrofon, wywołała spontaniczny chichot u wielu moffów.

Jagowi nie pozostało nic innego, jak tylko skłonić głowę i przyjąć do wiadomości, że jego rywalka zdobyła pierwszy punkt. Dała wróciła na swoją mównicę i wysłuchała spokojnie prowadzącego, który poinformował, że każdy z kandydatów będzie miał pięć minut na mowę początkową.

Światelko mikrofonu na mównicy Jaga zaświeciło się na zielono, a cyfrowy odczyt zaczął

odliczać pięć minut, które miał na wygłoszenie swojego oświadczenia. Jag wyjął datapad z wewnętrznej kieszeni tuniki i oparł go o czytnik. Nie dbał o reguły debaty - i był przekonany, że kiedy zacznie mówić, tylko jedna osoba na sali będzie chciała go uciszyć.

Jag popatrzył na widownię i odnalazł wzrokiem moffa Getellesa, który siedział samotnie, jeśli nie liczyć dwójki stojących za nim ochroniarzy, w pustej części sali. Jag skinął głową w kierunku starszego mężczyzny. Kiedy Getelles z ociąganiem odpowiedział skinieniem głowy, Jag się uśmiechnął i spojrzał prosto w zawieszoną przed nim holokamerę.

- Szanowni moffowie, lojalni obywatele... - zaczął Jag. - Kiedy Wielki Mistrz Skywalker i moffowie poprosili mnie, żebym został tymczasowym przywódcą Imperium pod koniec drugiej wojny domowej, dwóch rzeczy się nie spodziewałem. Po pierwsze, nie spodziewałem się, że przeżyję blisko cztery lata jako przewodniczący Rady Moffów.

To wywołało zjadliwe chichoty na widowni. Jag podniósł wzrok i uśmiechnął się, całkiem jakby i on uważał, że zwyczaj mordowania przez moffów swoich przywódców to powód do śmiechu, a potem mówił dalej.

- Po drugie, nie spodziewałem się, że tak bardzo pokocham tę pracę. Za obie te rzeczy jestem wdzięczny. I dlatego właśnie przy każdej decyzji, jaką podejmowałem jako wasz przywódca, miałem na względzie wasze dobro.

Jag popatrzył w holokamerę, zwracając się teraz bezpośrednio do ludu Imperium.

- Ale zasługujecie na więcej. Jako obywatele Imperium zasługujecie także na rząd, który będzie otwarty i szczerzy, a z przykrością muszę powiedzieć, że z tym nie było tak dobrze. Teraz to się zmieni. Dziś rano podpisałem nową koncesję dla Imperialnego Kanału Informacyjnego, przyznając mu fundusze, które powinny wystarczyć na stulecia działalności. Jednak, co jeszcze ważniejsze, koncesja gwarantuje IKI niezależność od jakiegokolwiek rządowej cenzury. W zamian za to - ciągnął Jag - zobowiązałem kanał do monitorowania i relacjonowania działań rządu na wszystkich szczeblach, łącznie z głową państwa oraz imperialnymi moffami. Zrobiłem to, żebyście wy, obywatele Imperium, mieli wiedzę konieczną do oceny swojego rządu.

Audytorium wypełnił gniewny pomruk moffów, którzy zaczęli szeptać i psioczyć między sobą. Jag zawiesił głos, pewien, że czułe mikrofony holokamer wychwycą każdy szept. Odczekał

parę chwil, pozwalając, żeby szmer przybrał na sile, a potem spojrzał znów prosto w holokamerę.

- Jak widzicie, nie wszystkim się to podoba.

Ktoś za kulisami prychnął mimowolnie. Jag pozwolił sobie na uśmiech, wiedząc, że miliardy widzów oglądających transmisję na swoich ojczystych planetach, także się zaśmiewają.

Odczekał chwilę, a potem mówił dalej, już poważniejszym tonem:

- Niestety, jak chyba niemal wszyscy w Imperium wiedzą, wygląda na to, że Shei Harsi i kierownictwo IKI wzięli sobie moje słowa do serca i teraz nie mam innego wyjścia jak tylko wyjaśnić niedawne wydarzenia na Hagamoorze Trzy.

Jag kurczowo ścisnął boki mównicy, starając się sprawiać wrażenie, jakby powiedzenie tego było dla niego trudne.

- Z przykrością muszę wyznać, że doniesienia Shei Harsi były w większości prawdziwe.

Faktycznie wydałem „Konsolidatorowi” rozkaz zbombardowania tajnego sztabu wyborczego admirała Daali w Księżycowej Księżniczce na Hagamoorze Trzy.

Zrobił pauzę. Nie słyhać było żadnych odgłosów wściekłości, odrazy czy zaskoczenia ze strony moffów ani nawet ze strony Daali - co wiele mówiło o Imperium. Takie metody były na porządku dziennym w imperialnej polityce, a brak choćby udawanego oburzenia wśród moffów kazał się Jagowi zastanowić, czy nie próbuje wprowadzić demokracji trochę za wcześnie.

- Są dwie rzeczy, o których powinniście wiedzieć - ciągnął. - Po pierwsze wszelkie spekulacje, jakoby admirał Reige miał jakkolwiek wiedzę na temat tych rozkazów, są całkowicie nieuzasadnione. Przekazałem rozkazy bezpośrednio „Konsolidatorowi”, celowo wyłączając admirała z tej operacji. Kiedy dowiedział się, co zrobiłem, był tak wściekły, że zarzucał mi chorobę kosmiczną.

To wywołało chichot prowadzącego i kilku członków ekipy technicznej.

- Po drugie powinniście znać powód, dla którego zarządziłem bombardowanie. Księżycowa Księżniczka nie była tylko sztabem wyborczym admirała Daali. Mieściła także tajne laboratorium nanotechnologiczne, w którym wytwarzano nielegalne serum młodości uzyskiwane z drochów.

Wreszcie widownia zareagowała. Drochy były przerażającymi insektami, odpowiedzialnymi za zarazę znaną jako Posiew Śmierci, która pochłonięła miliardy istnień w dwóch obejmujących całe sektory pandemiach. Dosłownie wysysające energię życiową z organizmu żywiciela, drochy były niezwykle trudne do wykrycia u zakażonej osoby i z tego względu eksperymenty z ich użyciem wykraczały daleko poza normy cywilizowanego postępowania, nawet w Imperium. Słyszając oświadczenie Jaga, większość moffów wydała okrzyki szczerego gniewu i oburzenia. Jednak reakcja Daali była głośniejsza i bardziej gwałtowna niż całej reszty.

- Kłamstwo! - Oblęd w oczach i wściekły ton głosu świadczyły, że choć oskarżenie kompletnie ją zaskoczyło, natychmiast zdała sobie sprawę z możliwych konsekwencji. - Jeśli myślisz, że możesz odwrócić uwagę od swojego przestępstwa, zarzucając mi inne, to grubo się mylisz. Obywatele

Imperium są zbyt inteligentni, żeby dać się nabrać na tak oczywisty wybieg.

Kiedy widownia się uspokoiła, Jag pokiwał tylko głową.

- Owszem, są inteligentni. - Spojrzał w róg sali, gdzie siedział moff Getelles w towarzystwie swoich dwóch uzbrojonych ochroniarzy, i uniósł brew. - Dlatego też nie oczekuję, że uwierzą mi na słowo.

Na ten sygnał Getelles wstał i zawołał tak głośno, jak tylko pozwalał mu jego łamiący się głos:

- Pan Fel mówi prawdę.

To ponownie wywołało wzburzenie wśród moffów, a unosząca się w powietrzu holokamera pomknęła w kierunku Getellesa. Podczas gdy przemierzała trzydziestometrowy dystans, Daala popatrzyła na Jaga wzrokiem, który wydawał się równocześnie badawczy i pełen nienawiści. Nie sposób było stwierdzić, jak dużo wiedziała na temat kopalni - czy faktycznie wierzyła, że to oszczerstwa, czy też zdawała sobie sprawę, że Abeloth wyprawiała swoje sztuczki z Mocą w tajnym laboratorium nanotechnologicznym Getellesa. Niewątpliwie jednak rozumiała, że samo oskarżenie o powiązania z drochami będzie ją kosztować porażkę w wyborach.

Kiedy holokamera się do niego zbliżyła, Getelles wyprostował się i zwrócił bezpośrednio do Daali.

- Przykro mi, pani admirał - stwierdził. - Ale nie ma sensu kłamać. Mają dowody.

- Oczywiście, że mają - odparła Daala ze swojej mównicy. Odwróciła się w stronę Jaga. -

Sfabrykowane dowody. Fel niewątpliwie zaplanował tę farsę w najdrobniejszych szczegółach.

- Jestem zdeterminowany, żeby ujawnić prawdę - oświadczył Jag. Skinął ręką w kierunku Getellesa. - Proszę kontynuować, moffie.

- Jeśli muszę - zaczął z ociąganiem Getelles. - Faktem jest, że pan Fel dowiedział się o tych eksperymentach kilka tygodni temu. Nakazał mi zakończyć projekt w zamian za pobłażliwość, ale nie mogłem tego zrobić. Potrzebowałem serum młodości zarówno na własny użytek, jak i ze względu na wpływy do budżetu, które mogło mi zapewnić, więc zawarłem jeszcze jedną umowę z przedstawicielami admirał Daali. Zgodziłem się pomóc pani admirał wygrać wybory, a w zamian Daala miała mi pozwolić produkować i sprzedawać serum, kiedy obejmie urząd.

- Moje gratulacje, Fel - pochwaliła Daala. - Bardzo przekonujące kłamstwo. Ile cię kosztowało?

- Całkowite ułaskawienie - odpowiedział szczerze Jag. Przedstawicielami, o których wspomniał Getelles, byli oczywiście Squibowie. Podobnie jak Getelles, byli zdeterminowani, żeby zdobyć serum młodości dla swojej rodziny. Jag jednak nie widział potrzeby, by o tym wspominać.

Wzmianka o Squibach zwykle nie wzbudzała w nikim zaufania. Popatrzył gniewnie na Getellesa. -

Niechętnie udzieliłem tego ułaskawienia, zwłaszcza po raz drugi, ale wymagało tego dobro Imperium.

- Dostyc egocentrycznie pojmujesz „dobro” Imperium, Fel - stwierdziła Daala, wypowiadając jego nazwisko, jakby to była obelga. - Ale twoja historyjka brzmi zbyt niewiarygodnie. Nie ma żadnych powodów, żeby wierzyć w choć jedno słowo, twoje albo Getellesa. To ewidentna próba zrzucenia winy na ofiarę swojej zbrodni, czyli na mnie.

- Przychodzi mi do głowy jeden bardzo dobry powód, żeby wierzyć we wszystko, co powiedziałem - odparł Jag. - Mianowicie taki, że nie mam nic do zyskania na kłamstwie.

Daala prychnęła otwarcie.

- Tytuł przywódcy Imperium to dla ciebie nic?

- Oczywiście, że nie. Ale mojego nazwiska nie ma już na liście kandydatów. - Jag spojrział

prosto w najbliższą holokamerę i oświadczył: - Wydałem już polecenie, żeby moje nazwisko usunąć z elektronicznych kart do głosowania, które nasi obywatele dziś otrzymają.

- Co takiego? - Daala niemal wyrzeszczała to pytanie. - Chyba nie mówisz poważnie?

Jag w dalszym ciągu patrzył w holokamerę.

- Bardzo poważnie. Nie wyjaśniłem jeszcze, w jaki sposób został wykryty nielegalny proceder moffa Getellesa. To prawda, że wysłałem imperialną agentkę, żeby znalazła i zniszczyła sztab wyborczy admirał Daali.

Oczywiście nie wspominał nic o Abeloth - mimo wszystko lepiej, żeby o pewnych rzeczach przeciętny obywatel nie wiedział.

- I tylko w rezultacie tego przestępstwa dowiedziałem się o udziale admirał Daali w jeszcze większym przestępstwie - wyjaśnił Jag. - Dlatego też, dla dobra Imperium, postanowiłem wycofać swoją kandydaturę i poprzeć jedyne godnego kandydata, admirała Vitora Reige'a.

- Co takiego? - Tym razem wykrzyknął to Reige, a nie Daala. - Nie mówi pan poważnie!

- Najzupełniej poważnie.

Jag musiał się bardzo starać, żeby nie zdradzać euforii w głosie. I nie chodziło tylko o to, że zaskoczył Daalę tak całkowicie, że nie miała szans na wygranę wyborów. On sam nigdy nie chciał

być przywódcą Imperium. Pod koniec drugiej wojny domowej Luke Skywalker wepchnął go na to stanowisko w ramach szeroko zakrojonego planu pokojowego, a on zgodził się tylko dlatego, że miało to pomóc w zakończeniu działań wojennych. Teraz, kiedy wycofał się z wyścigu, a Daala była skompromitowana przez nielegalne eksperymenty z drochami, pozostawał tylko jeden sensowny kandydat - w opinii Jaga najlepszy.

Jag z chytrym uśmiechem puścił oko do Daali, po czym zszedł z mównicy, żeby uścisnąć Reige'owi rękę.

- Gratuluję, Vitor - powiedział. - Będiesz znakomitym przywódcą.

## ROZDZIAŁ 27

Ben się obudził. Pod obolałym ciałem czuł znajomą miękkość wyściełanej żelowymi poduszkami podłogi Statku, a głowa pękała mu z bólu, będącego efektem działania gazu znieczulającego... tego samego, który wypełniał kabinę pasażerską za każdym razem, kiedy próbował się uwolnić.

Tak jak to miał w zwyczaju, leżał nieruchomo i czekał, aż rozjaśni mu się w głowie.

Próbował dokonać oceny sytuacji. Ręce miał skrępowane z tyłu za pomocą tych samych kajdanek ogłuszających, które próbował otworzyć ostatnim razem, kiedy z otworów wentylacyjnych zaczął

się ulatniać gaz. Sądząc po odrętwiałych ramionach, ręce miał złożone nieruchomo przez dłuższy czas, język zaś spuchnięty z pragnienia. Najwyraźniej tym razem był nieprzytomny dłużej, niż wynosił normalny cykl snu - co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny, może nawet czterdzieści osiem.

Stłumione odgłosy bitwy rozchodziły się pod Statkiem, a od czasu do czasu cały kadłub drżał pod wpływem bardzo bliskiej albo bardzo potężnej eksplozji. Gdy Ben wsłuchał się uważnie, mógł nawet usłyszeć odległe piski blasterów - chociaż dźwięk był tak cichy, że mogły być to jedynie pobożne życzenia.

*Nie zmuszaj mnie znowu do użycia gazu.* Słowa rozbrzmiewały w głowie Bena, mroczne i groźne jak zawsze. *Musisz zobaczyć, co się wkrótce stanie.*

- Muszę się napić - wychrypiał Ben. - Jak długo byłem nieprzytomny tym razem?

*Wystarczająco.* Statek nigdy nie udzielał informacji swoim więźniom, ale Ben i tak zawsze próbował. Niekiedy więcej udawało mu się wywnioskować z tego, co Statek starał się ukryć, niż mógłby się dowiedzieć z bezpośredniej odpowiedzi. *Usiądź.*

Ben uniósł nogi i przechylił się do przodu. Z sufitu przedziału pasażerskiego opuściła się rurka i zatrzymała się przed jego twarzą. Nachylił się i zaczął pić. Woda była tak ciepła i cuchnąca, że smakowała paskudnie nawet komuś tak spragnionemu jak on, ale zmusił się do picia. Statek mógł go otruć w każdej chwili, wypełniając kabinę trującym gazem, więc ten ohydny smak był

zapewne tylko drobną złośliwością. A jeśli Ben chciał odzyskać siły i uciec, musiał pić.

Ledwie ta myśl przemknęła Benowi przez głowę, a rurka schowała się z powrotem w suficie. *Nie zrozumiałeś jeszcze, że nie ma ucieczki!* - spytał Statek. *Nie przed Abeloth.*

Fragment kadłuba zrobił się przezroczysty i Ben stwierdził, że Statek stoi w oficjalnej sali recepcyjnej tuż przy Platformie Iglicy. Zaprojektowana tak, żeby wzbudzać podziw, sala była ogromną komnatą o alabastrowych ścianach i podłodze z białego larmalitu; roztaczał się z niej wspaniały widok na plac Wspólnoty. Dawniej była wykorzystywana przez Radę Jedi do przyjmowania najznakomitszych gości. Teraz jednak była wypełniona gruzem, szarym dymem i niewielką grupką wycieńczonych Sithów.

Abeloth także tu była. Stała na gruzach głównego wejścia do sali, twarzą do lądowiska, między parą stanowisk działek laserowych. Jej uniesione w górę ręce były zakończone mackami, wijącymi się w powietrzu - tak jakby mąciła nimi dym, który kłębił się nad placem Wspólnoty.

Mimo że była zwrócona do niego plecami, Ben wiedział, że Abeloth patrzy w stronę odległego cylindra Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości. Jej uwagi nie rozproszyły nawet trzy kanonierki, które zbliżały się do platformy, ostrzeliwując płytę lądowiska z działek na dziobach.

Stanowiska działek laserowych natychmiast odpowiedziały ogniem. Kanonierka znajdująca się na czele straciła osłonę silnika, po czym zaczęła opadać po spirali i znikła za balustradą. Parę sekund później Ben poczuł nagły ból kilku istnień wyrwanych z Mocy i zobaczył kłęby dymu i ognia.

W tym czasie pozostałe dwie kanonierki przeleciały nad balustradą, siedem metrów ponad płytą lądowiska, i gwałtownie zwolniły. W kierunku działek laserowych Sithów pomknęły rakiety, ciągnąc za sobą wstęgi dymu. Oba stanowiska zamieniły się w kule pomarańczowego ognia. Ben myślał nawet przez chwilę, że kanonierki zatrzymają się i zaczną wypluwać żołnierzy.

Nic takiego się jednak nie stało.

Kanonierki zmniejszyły prędkość, tak jak się spodziewał, i obaj strzelcy dziobowi skierowali ogień blasterowy prosto na Abeloth. Ona nie zwracała uwagi na ataki do czasu, aż wiązka, która powinna prawie oderwać jej ramię, obróciła ją, zmuszając, żeby oderwała wzrok od Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości - i skierowała go na napastników.

Lewa ręka pofrunęła w górę tak szybko, że Ben nawet nie zauważył jej ruchu, i zaczęła odbijać ogień z działek blasterowych z powrotem w stronę napastników. Wisząc wciąż siedem metrów nad lądowiskiem, obie kanonierki odwróciły się bokiem i przechyliły, tak żeby ciężkie działka laserowe w górnych wieżyczkach mogły otworzyć ogień. Ben domyślał się, że w tym samym czasie drzwi po drugiej stronie obu statków otwierają się, żeby wysadzić żołnierzy piechoty kosmicznej.

Abeloth poruszyła tylko lekko nadgarstkiem. Tylne kanonierka wpadła w strumień spalin przedniej i pióropusz rozgrzanych do czerwoności jonów roztopił pancerz na jej dziobie. Moc zadrżała od nagłego przerażenia, a potem oba statki zniknęły w chmurze eksplodującej amunicji.

Ben myślał przez chwilę, że to będzie koniec żołnierzy, ale nie mieli aż tyle szczęścia. Z

kuli ognia zaczęły wypadać z wrzaskiem płonące ciała; wymachując szaleńczo kończynami, gotowały się w swoich zbrojach. Strzelające białymi płomieniami plecaki raketowe nie mogły spowolnić ich opadania. Kilku miało szczęście - spadając, skręcili kark i zmarli od razu. Pozostali łamali sobie ręce albo nogi, albo kręgosłupy, w zależności od tego, na co upadli, i leżeli, wijąc się w płomieniach, a na nich spadały kawałki kanonierek. Ich ból w Mocy był czysty i płomienny, przypominał palącą falę, która poraziła Bena niczym wybuch granatu.

Abeloth stała cały czas w zrujnowanym wejściu z jedną ręką wyciągniętą przed siebie i rozłożonymi szeroko mackami, używając Mocy, żeby ochronić się przed lecącymi z platformy płomieniami i odłamkami. Ręka pod jej zranionym ramieniem zwisała bezwładnie, ale macki na jej końcu powoli

się rozwijały. Ułożyły się w końcu w coś na kształt stożka i zaczęły drgać, a cierpienie umierających żołnierzy zniknęło z Mocy.

Ben wiedział, że Abeloth karmi się mroczną energią ich strachu. Widział, jak robiła to na Pydyrze, kiedy cała populacja księżycy myślała, że zabija ją iluzoryczna zaraza. A teraz robiła to samo na Coruscant, gdzie niepokój mieszkańców musiał rosnać z godziny na godzinę, w miarę jak bitwa stawała się coraz bardziej zażarta. Biliony mieszkańców Coruscant oznaczały dla niej nieograniczone żniwo. Ben zastanawiał się, czy od początku nie miała takiego planu - napuścić na siebie Jedi i Sithów, a potem karmić się efektami.

*Wy, Jedi, macie takie ograniczone horyzonty, odezwał się Statek, przerywając jego ciąg myśli. Abeloth pragnie o wiele więcej, Ben... zwłaszcza dla ciebie.*

- Tak? Nic z tego - oświadczył Ben, przypominając sobie, jak Abeloth zawładnęła dwiema dawnymi dziewczynami jego ojca. - Wolę zginąć, niż doprowadzić ją do taty.

*A kto powiedział, że taki ma plan? - odparł Statek. Albo że masz jakiś wybór?*

- Jestem człowiekiem, a nie głupią plątaniną bioobwodów jak ty - odparował Ben. - Zawsze mam wybór.

Statek zniknął w obłokach mrocznego szyderstwa, zostawiając Bena samego z jego coraz bardziej czarnymi myślami. Pomimo swoich odważnych słów nie miał złudzeń co do szans na przeciwstawienie się Abeloth w obecnej sytuacji. Za każdym razem, gdy choć pomyślał o ucieczce, słyszał syk dobiegający z przewodu wentylacyjnego, a potem budził się, nie wiedząc, jak długo był

nieprzytomny. Jeśli Abeloth chciała wymienić się z nim ciałami - albo odebrać mu jego ciało, czy co tam robiła z zawładniętymi przez nią istotami - to niewiele mógł zdziałać, żeby ją powstrzymać.

I to był najbardziej przerażający aspekt jego niewoli. Abeloth nie zrobiła mu krzywdy -

prawie z nim nie rozmawiała. Właściwie przez większość czasu zdawała się o nim w ogóle nie pamiętać. A mimo to ciągle czuł jej obecność, zimną mackę strachu, która zakorzeniła się w nim głęboko, wiążąc go z nią mocniej niż łańcuchy. Abeloth chciała Bena dla siebie. Zawsze chciała. Po raz pierwszy poczuł jej dotyk jako dwuletnie dziecko, kiedy rodzice ukryli go razem z innymi młodzikami Jedi w Schronisku w czasie wojny z Yuuzhan Vongami. Był tam niecałą godzinę, gdy zjawiała się pierwsza macka - zimne, bolesne pragnienie, które przeraziło go tak bardzo, że na lata zamknął się na Moc.

A teraz całkowicie znajdował się we władzy Abeloth. Wyczuwał to po tym, jak macka zaciska się w jego wnętrzu, jak wrasta w jego serce i całą klatkę piersiową. Nawet jeśli nie mógł się z tym pogodzić, i tak dostrzegał, jak beznadziejna jest jego sytuacja. Należał po prostu do Abeloth i czekał go tylko taki los, jaki ona zechce mu zgotować. Rozumiał to.

Nie rozumiał tylko dlaczego. W galaktyce były setki potężnych młodych Jedi, a dziesiątki tylko tutaj, na Coruscant. A jednak Abeloth zadała sobie dużo trudu, żeby go pojmać, żeby zwabić go w pułapkę

i oddzielić od towarzyszy. Musiał mieć w sobie coś wyjątkowego - coś, czego Abeloth potrzebowała i czego żaden inny młody Jedi nie mógł jej dać.

Najbardziej oczywistym motywem było, rzecz jasna, jego pochodzenie. Ben był jedynym dzieckiem Luke'a Skywalkera, który z kolei był jedynym synem Wybrańca, Anakina Skywalkera.

Oczywiście Jaina Solo także była wnuczką Wybrańca - ale tylko jedno z jej rodziców miało Moc. A więc to musiało być to, czego potrzebowała Abeloth - jego rodowód.

Ale dlaczego?

Ben wciąż się nad tym zastanawiał, kiedy z głębi sali nadeszły dwie utrudzone Sithanki.

Jedną była wysoka Keshiri o lawendowej skórze. Jej bogato zdobiony, choć mocno postrzępiony, płaszcz wskazywał na rangę Lady Sithów. Kiedyś - a właściwie przed kilkoma dniami - zapewne była piękna, ale teraz jej twarz, pokryta wysypką, była tak spuchnięta, że skóra w niektórych miejscach popękała. Druga Sithanka - młoda kobieta - była równie wynędzniała jak pierwsza.

Całkiem możliwe, że gdyby nie miała na sobie lekkiej zbroi i brązowego płaszcza Jedi, Ben by się nie zorientował, że patrzy na Vestarę Khai.

Jego konsternacja wynikała po części z faktu, że na biodrze Vestary nadal wisiał miecz świetlny, a ona najwyraźniej kroczyła u boku Lady Sithów. Ręce Vestary nie były w żaden widoczny sposób skrepowane, a ręce jej towarzyszki nie błędziły w pobliżu broni. Najwyraźniej Lady Sithów nie obawiała się niczego ze strony Vestary.

Zanim dwie kobiety pokonały dziesięć metrów dzielące je od Abeloth, która wciąż stała, karmiąc się strachem i cierpieniem umierających żołnierzy, oszołomienie Bena przeszło w konsternację, a potem w gniew. Nie mógł uwierzyć własnym oczom - Vestara przechadzająca się swobodnie pośród Sithów! - i pomyślał, że może to jakiś rodzaj iluzji Fallanassich, podobny do tej, którą Abeloth się posłużyła, żeby zwieść jego i Vestarę na Pydyrze. Może tak naprawdę Vestara miała na sobie kajdanki ogłuszające i była nieuzbrojona, a Lady Sithów przyciskała jej shikkar do nerki.

Może... ale Ben w to nie wierzył. Jej obecność przy boku Keshiri zbyt wiele wyjaśniała - jak choćby zasadzkę w stacji uzdatniania wody albo fakt, że Sithowie cały czas zdawali się o krok przed nimi w czasie ataku na Świątynię.

Ostatnie kawałki kanonierek spadły na żołnierzy i pożar na platformie zaczął przygasać.

Abeloth opuściła rękę, którą się osłaniała, i odwróciła się, żeby powitać Vestarę i keshirską Lady.

Obie kobiety uklęknęły na jedno kolano i pochyliły głowy jak wierne poddane.

Abeloth zwinęła macki na końcu zranionej ręki i wyciągnęła je w stronę Keshiri, która ucałowała je, jakby to była dłoń, po czym wstała. Abeloth powtórzyła ten sam gest z Vestarą, tym razem zerkając w kierunku Bena z ustami wykrzywionymi w pełnym samozadowolenia uśmiechu.



I wtedy Ben przypomniał sobie, co Vestara zrobiła na Pydyrze. Kiedy się zorientowała, że Lord Taalon znajduje się pod wpływem Abeloth, zabiła go. A kiedy jej ojciec okazał się sługą Abeloth, jego także zabiła. A może Vestara przez cały ten czas była szpiegiem Sithów... choć Benowi znów trudno było w to uwierzyć. Ale jednego był pewien - Vestara nigdy nie służyłaby dobrowolnie Abeloth. Więc albo dziewczyna nie dostrzegła prawdziwej postaci Abeloth, stojącej tuż przed nią... albo po prostu udawała współpracę, bo nie miała innego wyjścia.

Abeloth patrzyła w stronę Bena przez kilka chwil jeszcze po tym, jak Vestara ucałowała kłębek macek. Wreszcie skinęła na swoje „poddane”, żeby wstały, i poprowadziła Vestarę i keshirską Lady w stronę Bena. Kiedy cała trójka się zbliżyła, fragment kadłuba Statku odchylił się i zamienił w rampę. Abeloth dała znak Keshiri, żeby została z tyłu, po czym zaprowadziła Vestarę na pokład i zatrzymała się tuż za progiem kabiny.

Vestara nawet nie weszła do środka. Stała w progu, wyraźnie osłupiała.

- Ben?

Ben uniósł głowę i popatrzył na nią, starając się wyglądać tak, jakby z trudem panował nad gniewem.

- Wybacz, że zostawiłem cię wtedy w stacji uzdatniania wody - wygarnął, myśląc w tym czasie o Abeloth, żeby jego głos zabrzmiał odpowiednio zgryźliwie. - Ale wygląda na to, że sobie poradziłaś. Jak każdy *sleemo*.

Vestara weszła do kabiny i spoliczkowała go wierzchem dłoni... mocno.

- Trzymaj lepiej język za zębami, Jedi, albo będzie dyndał na moim parangu.

Oczy Abeloth zabłyśły z zachwytu, a Ben stwierdził, że - jeśli ma rację co do Vestary - to może jeszcze wyjść z tego cało. Spoglądał na nią gniewnie przez chwilę, a potem zaatakował

pchnięciem Mocy... na które była przygotowana. Odchyliła się tylko do tyłu, po czym wykonała szybki ruch nadgarstkiem i cisnęła go na ścianę kabiny tak mocno, że omal nie rąbnął w nią głową.

- Ostrożnie, dziecko - upomniała ją Abeloth. Brzmiało to, jakby mówiła sześcioro głosami naraz. Podeszła bliżej i położyła Vestarze macki na ramieniu, przyprowadzając ją o ledwie dostrzegalny dreszcz. To wystarczyło, żeby Ben się zorientował, że Vestara doskonale wie, kto jej dotknął. - Martwy na nic mi się nie przyda.

Vestara popatrzyła na Bena z, jakby się mogło wydawać, prawdziwą nienawiścią w oczach.

- Jak sobie życzysz, Ukochana Królowo.

- Dobrze. - Abeloth skierowała się w stronę wyjścia. - Statek mówi, że chłopak znów myślał o ucieczce. Będziesz go pilnować.

- A jeśli spróbuje uciec?

- Nie pozwolisz mu - odparła Abeloth. Zatrzymała się na szczycie rampy. - Być może będzie bardziej skłonny zostać, jeśli powiesz mu, co zrobiłaś w tunelu ewakuacyjnym.

Vestara otworzyła szeroko oczy, a Ben wyczuł przyływ jej niepokoju w Mocy. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Abeloth odwróciła się i zeszła po rampie.

Ben czekał, aż Abeloth wróci do zburzonego wejścia sali recepcyjnej, a potem spojrzał

Vestarze w oczy. Jej wzrok był teraz łagodniejszy, ale roztropnie powstrzymała się od pocieszania go. Wiedziała, co potrafi Statek, równie dobrze jak Ben. Statek mógł nie tylko ją obserwować, ale też podsłuchiwać jej myśli.

- Więc co się stało w tunelu ewakuacyjnym? - zapytał Ben.

- Zorganizowałam zasadzkę. - W jej głosie była gniewna srogość, która nie pasowała do przeproszającego wyrazu załzawionych oczu. - Na „Sokoła Millenium”.

- Co takiego? - Ben nie musiał udawać szoku, gniewu ani konsternacji. Jej słowa nie miały sensu, a jednak widział w jej twarzy i czuł to w Mocy, że mówi prawdę. - Co „Sokół” tam robił?

- Przywiózł Bazela Warva. On nie żyje. - Vestara zrobiła pauzę, całkiem wiarygodnie udając, że zżęca się nad nim, każąc mu czekać na wiadomości o tych najbliższych jego sercu. - Solo zdołali uciec w głąb Świątyni, ale wkrótce i oni będą martwi... o ile już nie są.

Zauważywszy, że nie wspomniała nic o Allanie ani żadnych innych ofiarach, Ben odetchnął z ulgą.

- Jesteś kłamliwą vorczycą! - wybuchnął. - Nie ma żadnego powodu, dla którego „Sokół” miałby tu być.

- Twoje wątpliwości są zrozumiałe. - Vestara sprawiała wrażenie, jakby faktycznie sprawiało jej to przyjemność, i może w jakimś sensie sprawiało. W końcu odwoływanie się do własnych utajonych emocji było kluczem do dobrego aktorstwa. - „Sokół” miał być z uczniami z Akademii, wiem o tym. Nie wiadomo, dlaczego nie dotarł. Wiemy jedynie, że nasi ludzie przechwycili informację na temat wtargnięcia wrogich agentów drogą ewakuacyjną. A ponieważ tylko ja potrafiłam odnaleźć tunel, poprowadziłam oddział, który urządził zasadzkę. Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy zobaczyłam „Sokoła Millenium”.

Vestara mówiła prawdę o swoim zdumieniu, ale kłamała na temat całej reszty. Ben widział

to w jej oczach i czuł w Mocy, a biorąc pod uwagę, jak dobrze potrafiła kłamać, nie powinno to być dla niego takie łatwe. Nie mogła powiedzieć mu nic więcej i chyba właśnie to chciała mu dać do zrozumienia.

Ben pokiwał głową, dając znak, że zrozumiał, po czym zapytał:

- Więc od początku mnie okłamywałaś? Nigdy tak naprawdę nie chciałaś zostać Jedi?

- A wygląda, jakbym chciała? - W jej głosie było tyle pogardy, że brzmiało to szczerze, a Ben poczuł, jak zaczyna się w nim tlić coś mrocznego. - Widzisz, Ben, okłamywałam cię. Tak właśnie robią Sithowie.

Ben popatrzył na nią spode łba, przypominając sobie, ile razy już go zdradziła i oszukała.

Celowo podsycił tłący się w nim mroczny żar, żeby zamienił się w płonący gniew. Ważne było, żeby czuć emocje stosowne do wypowiedzianych słów, bo w przeciwnym razie Statek, który mógł

niemal na zawołanie wejrzeć w jego myśli, wyczułby rozbieżność i zorientował się, po czyjej stronie tak naprawdę jest Vestara.

Ben wciąż łypał na nią gniewnie, kiedy po podwoziu Statku rozeszło się ciche dudnienie.

Było tak głucho i przytłumione, że Ben wziął to za złudzenie - dopóki nie zobaczył, jak Vestara marszczy brwi i spogląda pod nogi.

- Co to? - spytała.

Ben wzruszył ramionami.

- Miałem zapytać o to samo.

Wyjrzał przez iluminator, który Statek wcześniej stworzył, i zobaczył, że Abeloth wyszła na Platformę Iglicy. Stała przy balustradzie, lekko wychylona, ze wzrokiem ponownie utkwionym w Galaktycznym Centrum Sprawiedliwości. Jeden pęk macek zdawał się wycelowany w podstawę odległego budynku, podczas gdy drugi zwisał nad placem, pulsując i migając, co oznaczało, że Abeloth czerpie energię Ciemnej Strony z przerażonego tłumu w dole.

- Oho... Abeloth jest zła - domyśliła się Vestara, podążając wzrokiem za spojrzeniem Bena.

Podczas gdy ona obserwowała rozwój wydarzeń, dudnienie stało się głębsze i wyraźniejsze. Vestara nie odzywała się przez parę sekund, aż wreszcie cała sala recepcyjna zaczęła się trząść, a ze zrujnowanego wejścia poleciały kawałki gruzu. - Lud Coruscant zawiódł Ukochaną Królową. Teraz czują jej gniew.

Ben zaczął mieć bardzo złe przeczucia.

- Trzęsienie gruntu?

Vestara odwróciła się ku niemu z uśmiechem, który wydawał się raczej przerażony niż okrutny.

- Trzęsienia gruntu to tylko początek, głupcze - oznajmiła. - Prawdziwą karą będzie wulkan.

Ben przypomniał sobie ogromny wulkan na planecie Abeloth w Otchłani i złożę magmy na Pydyrze -

a wtedy zrozumiał, że Vestara ma rację. Niezależnie od tego, czy wulkany w jakiś sposób dawały Abeloth siłę, czy też były jedynie efektem ubocznym, wydawało się oczywiste, że mają związek z jej obecnością. A na Coruscant nawet niewielki potok magmy mógł zabić miliony.

Kilometry kwadratowe topiących się fundamentów mogły spowodować zawalenie się tysięcy wieżowców, które wpadałyby na sąsiednie budynki lub rozpuszczały się w tej samej powodzi roztopionego kamienia, pochłaniającej ich podstawy. Rozgrzane opary, wypełnione trującymi gazami, zabiłyby setki milionów - a gdyby powstał potok piroklastyczny, liczba ofiar śmiertelnych sięgnęłaby miliardów.

I przez cały ten czas Abeloth karmiłaby się strachem i cierpieniem ofiar. Stałaby się istotą przekraczającą pojęcie każdego śmiertelnika. Mając władzę nad Ciemną Stroną, mogłaby dosłownie kształtować galaktykę według własnego życzenia.

Ben pokręcił głową, nie do końca pojmując grozę tego, co działo się na jego oczach. Był

świadkiem narodzin bóstwa - a nie było to łaskawe bóstwo. Czuł się jak uwięziony w jednym z tych potwornych koszmarów, z których nie sposób się obudzić; tyle że jeśli to był koszmar, to trwał tak długo, że stał się jego życiem.

Ben spojrzał na Vestarę i zauważył, że dziewczyna mu się przygląda, rozumiejąc, że chłopiec dochodzi do tej samej konkluzji, do której ona niewątpliwie doszła kilka dni wcześniej, kiedy postanowiła przeniknąć w szeregi Sithów. Trzeba powstrzymać Abeloth za wszelką cenę, nawet gdyby mieli poświęcić samych siebie - lub siebie nawzajem.

- W jaki sposób mieszkańcy Coruscant zawiedli Abeloth? - spytał po chwili Ben. - Nie mogli zrobić nic, co usprawiedliwiłoby taką karę.

Uśmiech Vestary stał się bardziej okrutny.

- A kto powiedział, że Ukochana Królowa potrzebuje jakiegokolwiek usprawiedliwienia? A zresztą te *kreetle* rozgniewały ją tym, czego nie zrobili.

- To znaczy?

- Nie bronili jej - odparła Vestara. - Kiedy Jedi i ich *galoompy* z piechoty kosmicznej zaatakowali pałac Ukochanej Królowej trzy dni temu, tylko kilka dzielnych istot próbowało jej bronić. Większość Coruscańczyków pochowała się w domach jak tchórze, którymi są. I za to poniosą karę.

- Nasze siły są w Świątyni? - wykrztusił Ben, nie wiedząc, czy powinien czuć ulgę, czy niepokój. Jeśli byli w Świątyni już od trzech dni, to najwyraźniej bitwa nie przebiegała po ich myśli. - W jaki sposób?

- Wślizgnęli się jak brzękomary przez szyb wentylacyjny - wyjaśniła Vestara. - Od tego czasu ci dumie próbują usunąć Sithów z pałacu, a nie mają pojęcia, z kim naprawdę walczą. Kiedy w końcu odkryją Ukochaną Królową, będą żałować, że nie zabiły ich shikkary Sithów.

Ben obrzucił Vestarę spojrzeniem pełnym nienawiści, w nadziei że uda mu się w ten sposób przesłonić wdzięczność, jaką czuł za informacje, które tak subtelnie mu przekazywała. Ujawniając drogę, którą wykorzystali Jedi - szyb wentylacyjny - wyjaśniła także, dlaczego opanowanie Świątyni trwa tak długo. Jedi i sprzymierzeni z nimi żołnierze musieli walczyć o każdy metr, a to wymagało czasu. Ale jeszcze ważniejsza była informacja, że atakujący nie wiedzą, z kim faktycznie się biją. Jeśli Jedi nie wiedzą, że Abeloth jest w Świątyni, to nie będą próbowali jej zabić. Będą kompletnie zaskoczeni, kiedy wypłynie lawa - a wtedy nie będzie już ważne, co wiedzą. Abeloth stanie się zbyt potężna, żeby ją pokonać.

Ben popatrzył Vestarze w oczy, a potem zwrócił wzrok na wciąż opuszczoną rampę.

- I tak po prostu na to pozwolisz? - Spojrzał znów na Vestarę. - Pozwolisz, żeby Abeloth unicestwiła klejnot galaktyki?

- Jeśli to oznacza zagładę Jedi, to tak. - Vestara cały czas wpatrywała się w Bena. - A dlaczego nie miałabym na to pozwolić?

- Masz rację. Nie wiem, dlaczego nie miałabyś tego zrobić. - Ben spojrzał jeszcze raz na rampę, potem na Vestarę i znów na rampę. - Po prostu szkoda, żeby przepadło tyle bogactwa.

Popatrzył ponownie na Vestarę i ruchem głowy wskazał na rampę. Dziewczyna patrzyła mu przez chwilę w oczy; wreszcie jej spojrzenie stało się łagodniejsze i skinęła głową. Zrozumiała.

Musiała znaleźć Jedi i zaprowadzić ich do Abeloth.

- Bogactwo Coruscant nic dla mnie nie znaczy. - Vestara odpięła klamerkę zabezpieczającą jej miecz świetlny. - Należy do Ukochanej Królowej, a ona może z nim zrobić, co zechce.

- Ta Ukochana Królowa jest chorą stertą macek. - Mówiąc to, Ben podniósł się i odwrócił

tyłem do Vestary. - Widziałem głodujących Huttów, którzy byli mniej stuknięci od niej.

- Ty śmierdzący *skargu*! - Ben usłyszał za plecami skwierczący syk zapalającego miecza świetlnego. - Stracisz za to rękę!

Ben rozłożył ręce najszerzej jak mógł, próbując rozciągnąć ogłuszające kajdanki. Na dłoniach poczuł ciepło bijące od klingi, która przecięła pancerną linkę, uwalniając mu ręce.

Z przewodu wentylacyjnego dobiegł znajomy syk ulatniającego się gazu znieczulającego, a Statek przechylił się lekko, unosząc rampę, żeby nie pozwolić im na ucieczkę. Ben odwrócił się i wyciągnął Vestarze pistolet blasterowy z kabury.

- Gaz! - Popchnął ją w stronę rampy. - Leć! Ja się zajmę Statkiem.

Vestarze nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Skinęła tylko głową i rzuciła się do wyjścia. Ben odbezpieczył blaster i odwrócił się w przeciwną stronę, celując w niewielki moduł

sterujący w tylnej ścianie Statku. Nagle za jego plecami rozległ się okrzyk zaskoczonej Vestary, a skwierczenie jej miecza świetlnego ucichło.

Przemagając pokusę, żeby się obejrzeć, Ben uniósł blaster, pociągnął za spust - i zdążył posłać jedną wiązkę w podłogę, zanim broń została mu wyszarpnięta z dłoni przy użyciu Mocy.

W tej samej chwili Vestara wpadła na niego z taką siłą, jakby została wystrzelona z wyrzutni raketowej. Oboje przelecieli przez kabinę i uderzyli w wewnętrzną ścianę, a potem razem runęli na podłogę.

Umysł Bena był już przytępiony od znieczulającego gazu, a na czole, w miejscu, gdzie zderzyli się z Vestarą głowami, czuł rosnącego guza. Mimo wszystko zdołał powstrzymać ogarniającą go ciemność wystarczająco długo, żeby spojrzeć w kierunku wyjścia, gdzie na uniesionej rampie stała lawendowoskóra Lady Sithów i przyglądała się Benowi z szyderczym uśmiechem.

- Głupi Jedi! - powiedziała Keshiri. - Jeśli ona zdradzi nas, zdradzi też ciebie.

## **ROZDZIAŁ 28**

W swoim śnie Jaina pragnęła zmienić tor lotu shikkara Vestary Khai, zanim utkwi w oku Bena, ale to byłoby wbrew regułom. Od tej walki zależał los galaktyki, a jeśli Jaina chciała, żeby przyszłość galaktyki była sprawiedliwa, nie mogła ingerować w jej przebieg, nawet jeśli oznaczało to, że Ben może stracić oko - albo życie.

Skąd się wzięły te reguły, tego Jaina nie pamiętała. Wiedziała jedynie, że kiedy dotarła na skraj wąwozu, zobaczyła walczącą parę, ganiającą się po kamiennym dziedzińcu wśród snopów iskier leących z ich mieczy świetlnych. Odpięła od paska własny miecz i popędziła w dół, w żółtą mgłę, która unosiła się znad Fontanny Siły - i natychmiast znalazła się z powrotem tam, skąd wyruszyła, z mieczem świetlnym wiszącym u pasa.

- Nie! - powiedział głos, który nie był ani męski, ani kobiecy, i Jaina zrozumiała, że nie może pomóc swojemu młodemu kuzynowi. Od pojedynku między Benem a jego dziewczyną, Sithanką, zależała Równowaga - nie od jego wyniku, ale od samej walki.

Ben w ostatniej chwili uchylił się przed lejącym shikkarem, ale ostrze minęło jego głowę tak blisko, że Jaina zobaczyła fontannę krwi i odpadający kawałek ucha.

A potem żółta mgła opadła i Jaina poczuła lekkie ciepło obmywającego ją płynu bacta. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, odkąd ekipa ratunkowa wydobyła ją - a także Luke'a i Corrana - ze Świątyni Jedi. Rany już jej nie bolały, ale wiedziała, że wyciągają ją ze zbiornika przedwcześnie.

Jej ręka nadal była osłabiona w miejscu złamania, a kiedy próbowała nabrać powietrza w płuca, jej ciało reagowało z chwilowym opóźnieniem, jakby obawiało się bólu.

Gdy jej głowa wynurzyła się ze zbiornika, Jaina zobaczyła funkcjonalne wnętrze ambulatorium Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości. Podobnie jak większość więziennych ambulatoriów, była

to po prostu długa sala z rzędem nieprzezroczystych cylindrycznych zbiorników po jednej stronie i rzędem wzmocnionych boksów po drugiej. Admirał Gavin Darklighter -

dowódca piechoty kosmicznej Galaktycznego Sojuszu - zarekwirował ją na szpital połowy i teraz wszędzie leżeli jęczący żołnierze: na noszach repulsorowych stojących w przejściu, na kozetkach w boksach, nawet na podłodze, zwinięci w pozycję embrionalną. Co najmniej tuzin droidów Emdee wykonywało operacje, a około trzydziestu żywych pielęgniarek zajmowało się segregacją pacjentów i zabiegami podtrzymującymi życie. Najwyraźniej bitwa o Świątynię Jedi wciąż trwała i nie przebiegała pomyślnie.

Kiedy Jaina wynurzyła się całkowicie ze zbiornika, wyciąg przeniósł ją na bok i opuszczył na podłogę, gdzie stała wyraźnie zmęczona Durosjanka w ubrudzonym krwią fartuchu, z palcem przyciśniętym do panelu kontrolnego. W drugiej ręce trzymała miecz świetlny i pas z ekwipunkiem JAINY, a przez ramię miała przewieszane czyste ubranie.

- Wygląda pani na bardzo zajęta - zauważyła Jaina, sięgając po swoje rzeczy. - Poradzę sobie z ubieraniem.

Durosjanka cofnęła rękę.

- Miała pani być w zbiorniku jeszcze przez dwanaście godzin. - Podała Jainie bieliznę. -

Więc muszę zostać i upewnić się, że pani nie zemdleje.

- Jedi nie mdleją - odparła Jaina, zakładając bieliznę. - A pani ma mnóstwo innych pacjentów, którzy naprawdę pani potrzebują.

- Więc im szybciej skończy pani ze mną dyskutować i się ubierze, tym szybciej będę mogła się nimi zająć - stwierdziła Durosjanka. - A poza tym mam dla pani wiadomość, Mistrzynie Solo. Ma pani jak najszybciej dołączyć do reszty Rady Jedi. Zbierają się w biurze senatora Wuula, w budynku Senatu.

W innych okolicznościach Jaina byłaby może podekscytowana tym, że zwracają się do niej per „Mistrzynie” i że ma zasiadać w Radzie Jedi. Teraz jednak czuła jedynie ciężar nowych obowiązków. Ważyła się przyszłość całej Coruscant, a w Świątyni Jedi zaszła się istota, której nikt do końca nie rozumiał. Jaina wiedziała, że wkrótce znów będą od niej oczekiwać niemożliwego, ale tym razem nie była pewna, czy podoła. Spojrzała na długi rząd zbiorników z bactą, wypatrując Luke’a i Corrana. Kiedy wyczuła w Mocy, że nie ma tam żadnego Jedi ani nawet nikogo wrażliwego na Moc, pokiwała głową.

- Rozumiem. I nie zemdleję. Jak dawno wyszli Mistrzowie Skywalker i Horn?

- Mistrz Horn potrzebował tylko kilku godzin w zbiorniku po operacji kolana - wyjaśniła Durosjanka. - Ale Mistrz Skywalker wyszedł przed czasem, niecałą godzinę temu.

- Przed czasem? - Jaina chwyciła swój chronometr i zobaczyła, że dochodziła do siebie prawie cztery dni. - Musiał mieć poważne wstrząśnienie mózgu.

- Wstrząśnienie mózgu nie stanowiło problemu - stwierdziła Durosjanka. - Za to oparzenie na piersi wolno się goiło. Bardzo wolno. Wciąż nie jest całkiem zdrowy.

- Czy to mogła być błyskawica Mocy? - spytała Jaina, marszcząc z troską brwi.

Durosjanka wzruszyła ramionami.

- Pani powinna to lepiej wiedzieć.

Nagły wstrząs zachwiał całym pomieszczeniem - na tyle mocno, że Jaina usłyszała chlupotanie bacty w zbiornikach.

- Co to było? - zapytała, zakładając płaszcz.

- Miałam nadzieję, że pani mi to powie - oznajmiła Durosjanka. - Wstrząsy są coraz silniejsze. To pewnie ma jakiś związek z bitwą, prawda?

- To się wydaje logiczne - zgodziła się Jaina. - Ale nie wiem, co to jest. Może używają bomb z baradium w podziemiach albo coś.

Skóra Durosjanki przybrała bladoniebieski odcień.

- Lepiej, żeby to było „albo coś”. Na Coruscant nie ma tylu ośrodków medycznych, żeby przyjąć tak dużo ofiar zatrucia baradium. - Przyglądała się Jainie przez chwilę, po czym podała jej miecz świetlny i pas z ekwipunkiem. - Proszę sprawdzić komunikator. Ktoś przez cały rano próbował się z panią skontaktować.

Durosjanka odwróciła się i odeszła. Jaina szybko założyła pas i przypięła miecz świetlny, po czym spojrzała na komunikator i zobaczyła, że ma kilka wiadomości od Tahiri Veili.

Serce podeszło jej do gardła. Przerazona, że Tahiri próbowała się z nią skontaktować, by powiedzieć jej, że coś się stało Jagowi, opuściła ambulatorium i skierowała się w stronę najbliższej turbowindy. Dopiero gdy znalazła się w kabinie zjeżdżającej na poziom sieci transportu lokalnego, odważyła się odsłuchać ostatnią wiadomość. To był głos Jaga, przepełniony troską - ale także lekką irytacją.

- Gdzie jesteś? Zaczynam się niepokoić! - Po krótkiej pauzie dodał: - Słuchaj, przygotowujemy się do skoku. Powinniśmy być w układzie o jedenastej siedemnaście standardowego czasu galaktycznego. Jeśli odbierzesz wcześniej tę wiadomość, daj znać, co z tobą, na komunikator Tahiri. Słyszeliśmy, że udało się przełamać obronę Świątyni i że zostałeś zabrana do ośrodka medycznego, ale niewiele poza tym... Do zobaczenia wkrótce... i lepiej, żebyś była cała i zdrowa.

Jaina spojrzała znów na chronometr i stwierdziła, że pozostały zaledwie trzy minuty do wspomnianej przez Jaga godziny. Zanim wyszła z turbowindy, odsłuchiwała kilka wcześniejszych wiadomości od niego, w których informował, że udają się z Tahiri na Coruscant, nie podając jednak przyczyny. Sądząc po brzmieniu głosu, Jaina podejrzewała, że Jag ma dobre wieści, ale z tych enigmatycznych komunikatów nie udało jej się nic więcej wywnioskować.



Na szczęście z powodu toczącej się ciągle na placu Wspólnoty bitwy i wstrząsów, które wprawiały w drgania Galaktyczne Centrum Sprawiedliwości, peron był opustoszały. Jaina ledwie zdążyła wykasować z komunikatora wiadomości, zanim zasiadła samotnie w czteroosobowej kapsule, która pomknęła przez tunel transportowy.

- Za ile dotrzemy do gmachu Senatu? - zapytała pustą kapsułą Jaina.

- Za jakieś trzy minuty i dziesięć sekund. - Odpowiedź dobiegła z małego głośniczka w suficie. Głos brzmiał sztywno i niewyraźnie, bo droidy obsługujące kapsuły nie miały zbyt wiele dodatkowej mocy obliczeniowej. - Ma pani zgodę na przejazd, więc nie będzie opóźnień.

Chronometr Jainya wskazywał 11.16 - za minutę Jag i Tahiri mieli wyjść z nadprzestrzeni.

Dopiero wówczas powinni być dostępni przez łącza HoloNetu. Jaina i tak wybrała już odpowiednie pasmo. Zdawało jej się, że nie słyszała głosu Jaga od wieków, a mieli tak niewiele czasu, że nie chciała tracić ani sekundy.

Po chwili w słuchawce rozległ się sygnał połączenia, a potem głos Jaga:

- Jaino?

- Tak, Jag. To ja.

Na krótką chwilę zapadła pełna ulgi cisza, w której oboje rozkoszowali się echem swoich głosów.

W końcu Jag jakby się otrząsnął i zapytał:

- Co z tobą? Martwiłem się.

- Wiem. Przepraszam - powiedziała Jaina. - Byłam w zbiorniku z bactą, a sanitariusze mają za dużo roboty, żeby odbierać wiadomości.

- Ale nic ci nie jest? - naciskał Jag.

- Trochę oberwałam podczas ataku, ale już wszystko w porządku. - Jaina spojrzała na chronometr. - Słuchaj, Jag, nie mamy dużo czasu. Jestem w drodze na zebranie Rady.

- W takim razie dam ci Tahiri - odparł Jag. - Mam dla ciebie nowiny, ale to ona ma informacje, które musisz przekazać Mistrzom.

- Jag, co to za nowiny?

- To może poczekać... Kocham cię, Jaino. - Jego głos przycichł, gdy Jag przekazał

komunikator Tahiri, jednak nie na tyle, żeby Jaina nie usłyszała, jak mówi: - Przejmuję stery.

- Zrozumiałam - potwierdziła Tahiri, przekazując Jagowi kontrolę nad statkiem, którym lecieli. Jej

głos zabrzmiał teraz głośniejszy i wyraźniej w słuchawce Jainy. - Miło cię słyszeć, Jaino.

- Dzięki, Tahiri. Ciebie też. - Mając na uwadze to wszystko, co działo się obecnie w galaktyce, Jaina cieszyła się, że u boku Jaga jest jej przyjaciółka i była Jedi, zwłaszcza że najwyraźniej nie miał żadnej innej ochrony. - Lecicie własnym statkiem?

- Niestety - przyznała Tahiri. - „Pellaeon” przypadł razem z urzędem przywódcy.

- Jag przegrał wybory? - wykrztusiła zdumiona Jaina.

- Niezupełnie - odparła Tahiri. - On...

- Mamy tylko dwie minuty - przerwał jej głos Jaga w tle. - Powiedz jej, co się stało na Hagamoorze Trzy.

- Dobra... no więc co się stało na Hagamoorze Trzy? - spytała Jaina, niechętnie godząc się z faktem, że będzie musiała zaczekać na nowiny Jaga. - I gdzie właściwie jest Hagamoor Trzy?

- Orbituje wokół Antemeridias - wyjaśniła Tahiri. - Ja i Boba Fett zabiliśmy tam Abeloth.

- Naprawdę? - spytała Jaina. Słyszając, jak Jagowi się spieszy, żeby zakończyć połączenie, Tahiri zaś twierdzi, że pomagał jej ten sam łowca nagród, który wcześniej wyciągnął Daalę z więzienia, Jaina zaczęła się zastanawiać, czy ktoś się przypadkiem pod nich nie podszywa. -

Współpracowałaś z Bobą Fettem?

- To długa historia - ucięła Tahiri. - Słyszałaś, że zabiliśmy Abeloth, tak?

- Słyszałam - przyznała ostrożnie Jaina. - Ale nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Abeloth omal nie zabiła nas w Świątyni Jedi.

Po krótkiej chwili milczenia Tahiri zapytała:

- A czy Mistrz Skywalker nie musiał jej dwa razy zabić na Pydyrze?

- No, tak. W dwóch różnych ciałach. - Jaina pomyślała, że chyba jednak rozmawia z prawdziwą Tahiri. - Zakładałam jednak, że Abeloth po prostu przenosi się z umierającego ciała do nowego.

- Skoro jednak walczyliśmy z Abeloth w tym samym czasie w dwóch różnych miejscach oddalonych od siebie o lata świetlne... - Tahiri urwała, a potem westchnęła głęboko. - A więc wszystko jasne. Byt Mocy może znajdować się w dwóch miejscach równocześnie.

- Miejmy nadzieję, że tylko w dwóch. - Jaina spojrzała ponownie na chronometr i dodała: -

Możesz opowiedzieć mi w skrócie, co się wydarzyło?

- Spróbuję - zgodziła się Tahiri. - Ale dwie minuty to niewiele czasu...

Tahiri opisała pokrótce swoje spotkanie z Abeloth, zaczynając od obecności potężnej istoty, którą wyczuła w Mocy podczas blokady Exodo II, i przechodząc szybko do swoich podejrzeń co do jej roli w wyborach. Sądziła mianowicie, że to Abeloth stoi za propozycją Daali, aby zorganizować wybory i uniknąć w ten sposób krwawej wojny domowej. Kiedy stało się jasne, że Abeloth używała Mocy, żeby zapewnić Daali zwycięstwo, Tahiri ruszyła jej tropem na Hagamoorą Trzy i kiedy spotkała tam Bobę Fetta, który miał swoje sprawy do załatwienia na tym księżycu, zawarła z nim pakt.

Nie tłumacząc, dlaczego Abeloth wybrała akurat to miejsce jako swoją kryjówkę, Tahiri zrelacjonowała w skrócie, jak ona i Fett odnaleźli ją w tajnym laboratorium należącym do Tola Getellesa. Zajmowała akurat szybko rozkładające się ciało Lydei Pagorski - tej samej imperialnej porucznik, która dopuściła się krzywoprzysięstwa podczas procesu Tahiri na Coruscant. Razem z Fettem stoczyli z nią zacieklą walkę, z której ledwo uszli z życiem.

- Jedynym powodem, dla którego teraz ze mną rozmawiasz - wyjaśniła Tahiri - jest to, że Abeloth nie zabiła mnie od razu. Potrzebowała mojego ciała, ponieważ ciało Pagorski usychało.

Najwyraźniej ciała użytkowników Mocy starczą na dłużej.

Kapsuła transportowa zaczęła zwalniać, zbliżając się do budynku Senatu.

- Jesteś pewna, że ją zabiliście? - spytała Jaina.

- To chyba zależy, co rozumiesz przez zabicie - odparła Tahiri. - Ciało Pagorski zostało zniszczone przez detonator termiczny; potem całe laboratorium zbombardowała imperialna fregata, tak że został po nim tylko krater. Więc jestem przekonana, że ta Abeloth została zniszczona.

Dopóki nie usłyszałam o tamtej w Świątyni Jedi, myślałam, że już ją załatwiliśmy. Teraz po prostu się boję.

- Cóż, ja też nie jestem zachwycona faktem, że po galaktyce może się szwendać więcej niż jedna Abeloth. - Jaina zawiesiła głos, przypominając sobie, jak Abeloth ze Świątyni nagle osłabła i uciekła. - Nie pamiętasz przypadkiem, o której zabiliście tę wcieloną w Pagorski?

- Tak się składa, że pamiętam dokładnie - zapewniła Tahiri. - To było dwie minuty przed południem...

- Cztery dni temu - dokończyła Jaina. Kapsuła się zatrzymała, a górna połowa odsunęła się do tyłu, pozwalając Jainie wysiąść. - Zgadza się?

Tahiri przez chwilę nic nie mówiła.

- Skąd wiesz? - wykrztusiła wreszcie.

- Powiem ci, jak się spotkamy - odparła Jaina. W końcu odniosła wrażenie, że jest na dobrej drodze do zrozumienia, jak zniszczyć Abeloth. - Mistrzowie będą chcieli osobiście z tobą porozmawiać. Wykorzystujemy budynek Senatu jako tymczasowe centrum dowodzenia.

- Zostało nam jeszcze parę godzin lotu - oznajmiła Tahiri. - Odezwiemy się, jak tylko wylądujemy.

- Dobrze. - Kapsuła zaczęła piszczeć, informując, że pora wysiadać. Jaina wyszła na peron i ruszyła w kierunku turbowind. - A teraz daj mi Jaga.

Po krótkiej chwili milczenia, w czasie której Tahiri podawała komunikator Jagowi i przejmowała stery, odezwał się Jag.

- Czyja dobrze słyszałem? - spytał. - Zostałaś ranna podczas walki z Abeloth?

- Później - ucięła krótko Jaina. - Teraz ja zadaję pytania. Co z wyborami?

- To długa historia - stwierdził Jag. - Ale zasadniczo musiałem się wycofać.

- Więc Daala wygrała?

- Jajno, myślałem, że lepiej mnie znasz - odparł Jag, autentycznie zaskoczony. - Wycofałem się po to, żeby przegrała.

Jaina wsiadła do turbowindy, ale nie wybrała piętra. Technologia antygravitacyjna nie współgrała z przekazami komunikacyjnymi, więc obawiała się, że straci połączenie, gdy tylko uruchomi repulsorowy napęd.

- Więc kto jest teraz przywódcą Imperium? - zapytała.

- Prawdziwy Imperialny - odparł Jag. - Vitor Reige.

- Były adiutant Pellaeona?

- Vitor był jednym z moich najlepszych admirałów - oświadczył Jag. Zabrzmiało to trochę tak, jakby się bronił. - Będzie znakomitym przywódcą.

- Wiem o tym - zgodziła się Jaina. - Po prostu... no cóż, nie spodziewałam się tego. Przykro mi, Jag.

- Z jakiego powodu? - zdziwił się Jag.

- Że musiałeś się wycofać, oczywiście.

Jag się roześmiał.

- A mnie nie jest przykro.

Turbowinda zaczęła brzęczeć, ponaglając Jainę, żeby wybrała piętro lub wysiadła. Ona jednak to zignorowała.

- Naprawdę? - spytała. - Nie będzie ci brakowało kierowania międzygwiazdnym Imperium?

- A także zamachów na moje życie i analizowania raportów na temat wpływów z podatków?

To wcale nie takie zabawne, jakby się mogło wydawać. - Po raz pierwszy od bardzo dawna Jag wydawał się naprawdę szczęśliwy. - W tej chwili obawiam się tylko tego, że kiedy Reige się zorientuje, jak otepiał, a zarazem wykańczające nerwowo jest kierowanie państwem, znajdzie jakiś sposób, żeby znów mnie w to wciągnąć.

Jaina także się roześmiała.

- W takim razie... gratuluję. - Brzęczenie turbowindy zmieniło się w nieprzerwany, irytujący dzwonek. - Słuchaj...

- Musisz lecieć - dokończył Jag. - Kocham cię, Jaino Solo. Wkrótce będziemy razem i tak już zostanie.

- Możesz na to liczyć - zapewniła Jaina. - I ja też cię kocham, Jaggedzie. Nawet jeśli nie potrafisz utrzymać posady.

Jag wybuchnął śmiechem. Nie chcąc się rozłączać, Jaina wybrała po prostu piętro Wuula i pozostawiła włączony komunikator, słuchając radosnego śmiechu swojego przyszłego męża, aż pochłonęły go zakłócenia.

## ROZDZIAŁ 29

Podczas swojej pierwszej wizyty w biurze senatora Wuula Jaina siedziała w pluszowym fotelu i rozkoszowała się kieliszkiem wyborowego burtalle. Teraz kubki stojące na eleganckim stole konferencyjnym z borleitu zawierały zimny kafelek i ciepłą wodę. Powietrze było stęchłe, przesycone zapachem potu i niedojedzonych kanapek, a system wentylacyjny z trudem odprowadzał ciepło stłoczonych w pomieszczeniu ciał. Jednak Jainę martwiło to, co znajdowało się na zewnątrz, po drugiej stronie sięgającego od podłogi do sufitu iluminatora.

Lśniący cylinder Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości, który leciutko drżał, kiedy wychodziła, teraz się mocno chygotał. Jaina wiedziała, że wieżowce Coruscant są tak zaprojektowane, żeby wytrzymywać znacznie silniejsze wstrząsy niż te, których była świadkiem, ale i tak jej się to nie podobało. Gdyby powodem było zwykłe trzęsienie gruntu, reszta placu Wspólnoty także by się trzęsła. To wyglądało na coś znacznie bardziej złowieszczonego - coś, co miało związek z Abeloth.

Jaina poczuła delikatne pociągnięcie w Mocy. Obejrzała się i zobaczyła, że Corran Horn ruchem głowy wskazuje jej puste miejsce po tej stronie stołu, gdzie większość członków Rady Jedi siedziała w półokręgu po obu stronach Luke'a. Obecni byli Kyp Durronek, Kyle Katarn, Cilghal, Saba Sebatyne, Octa Ramis i Barrat'k'l - brakowało jedynie Kama i Tionny Solusarów, którzy nadzorowali uczniów na Shedu Maad. Po drugiej stronie stołu, mniej więcej naprzeciwko Mistrzów Jedi, siedzieli wojskowi i cywilni dygnitarze, między innymi admirał Nek Bwua'tu, jego wytworny stryj Eramuth, senator Luewet Wuul, admirał Gavin Darklighter oraz Wynn Dorvan, wymizerowany, z zapadniętymi oczami.

Mimo to Jainie nie przyszło do głowy, że puste miejsce przeznaczone było dla niej, ale w końcu zaczęła się przeciskać ku niemu wzdłuż długiego szeregu asystentów, którzy musieli stać pod ścianą.

Byli tam adiutanci, biurokraci i - ku jej wielkiej radości i zdumieniu - czwórka Rycerzy Jedi, których miała ochotę zasypać pytaniami.

Tymczasem jednak Jaina musiała zadowolić się przelotnym uśmiechem i uściśnięciem rąk Lowbace i Tekli, którzy szeptem pogratulowali jej awansu. Oczywiście nie mogła się doczekać, żeby zapytać, gdzie jest Raynar, ale zebranie już się rozpoczęło i byłoby wielkim nietaktem prowadzenie pogaduszek na boku.

Tuż za krzesłem zarezerwowanym dla Jainy stało dwoje Jedi, na widok których odczuła jeszcze większą ulgę - Valin i Jysella Hornowie. Podobnie jak ona wyglądali, jakby zostali przedwcześnie wyciągnięci ze zbiorników z bactą. Na ich twarzach i szyjach widać było siniaki i nie do końca zabliznione rany. W czasie jednej z rzadkich przerw w kuracji bactą Jaina słyszała, że Hornowie nawiązali kontakt z żołnierzami piechoty kosmicznej, ale dopiero teraz się upewniła, że faktycznie wydostali się ze Świątyni żywi. Niewątpliwie rodzeństwo miało ciężkie przejścia po tym, jak grupa uderzeniowa się rozdzieliła; w dodatku nieobecność trzeciego członka ich oddziału wzbudziła w Jainie złe przeczucia. Uniosła brwi i wypowiedziała bezgłośnie jedno słowo: „Ben?” Valin pokręcił głową i wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie wiedzą. Jaina wysłała ku nim myśli poprzez Moc, próbując im przekazać, jak bardzo się cieszy, widząc ich całych i zdrowych. Odpowiedzieli uśmiechem, a Jaina, odwracając się, żeby zająć swoje miejsce, zerknęła ukradkiem na Luke’a. Miał podkrążone oczy, a na jego twarzy malowały się lęk i niepokój - bez wątpienia zarówno z powodu Bena, jak i samego Zakonu Jedi. Jednak nie zdradzał żadnych oznak cierpienia ani żalu, a Jaina wyczułaby, gdyby Luke nie czuł żywej obecności swojego syna w Mocy.

Usiadła, zajmując swoje miejsce w Radzie Jedi bez zbędnych ceregieli. Parę osób po drugiej stronie stołu skinęło jej głowami, a siedząca obok niej Octa Ramis wyszeptała: „Witamy, Mistrzynie Solo”. Jaina uważała, że tak właśnie należy przyjąć nowe stanowisko - bez dumy i celebracji, za to z pokorą i gotowością do służby.

Wszystkie oczy były skierowane na Mirax Horn, która stała naprzeciwko Jainy, pomiędzy Mistrzynią Barratk’l a Eramuthem Bwua’tu. Ubrana w szary mundur generała brygady, w jednej ręce trzymała datapad, ale mówiła bez zaglądania do notatek.

- ...którzy uciekli ze Świątyni, rozpraszają się po Coruscant i atakują cele cywilne - mówiła Mirax. - Oczywiście BAMR zrzuca winę za szerzącą się przemoc na „kartele przyprawowe Jedi” i zachęca widzów, żeby występowali przeciwko Jedi i wszystkim „skorumpowanym” członkom sił

bezpieczeństwa, którzy pomagają „przemysłownikom przyprawy”.

Eramuth Bwua’tu wykrzywił się w grymasie i przechylił pokrytą srebrzystym futrem głowę, tak że zerkał na Mirax jednym okiem.

- A jak skuteczne są te kłamstwa, moja droga? - spytał Bothanin.

- Doszło do kilku ataków cywilów na Jedi - odparła Mirax. - Ale większość kanałów informacyjnych przyjęła bardziej wyważone stanowisko, przypisując akty przemocy zbuntowanej sekcji użytkowników Mocy.

- Nie używają nawet określenia „Sith”? - zdziwił się Kyle Katara.

- Były pewne spekulacje - wyjaśniła Mirax - ale większość społeczeństwa nie rozumie, kim są Sithowie, a ci, którzy rozumieją, przywykli myśleć o nich jako o samotnikach albo zbłąkanych Jedi, albo nawet złowrogich geniuszach ukrywających się tu i ówdzie.

- Czyli ludność nie robi też nic, żeby nam pomóc? - zapytał Kyp Durronek.

Mirax pokręciła głową.

- Niewiele - skwitowała. - Uzyskaliśmy pewną pomoc poprzez siły bezpieczeństwa, głównie doniesienia na temat podejrzanych zachowań. Ale większość Coruskańczyków chyba nie wie, w co wierzyć. Wolą się nie wychylać i trzymać z dala od jakichkolwiek problemów.

- Co nie jest łatwe, odkąd walki z Sithami przeniosły się poza Świątynię - zauważył Luke. -

Jaka jest skala przemocy? Zaczynamy chociaż opanowywać sytuację?

Mirax udała, że sprawdza coś w swoim komputerowym notesie, ale Jaina wyczuła w jej aurze w Mocy, że po prostu zbiera się w sobie, bo chce przekazać złe wiadomości. W końcu opuściła datapad i powiodła wzrokiem dookoła stołu.

- Ani trochę - przyznała. - Kiedy żołnierze weszli przez szyb wentylacyjny, Sithowie mieli zbyt dużo czasu na reakcję. Przypuszczamy, że co najmniej trzystu uciekło i rozproszyło się w mieście, a ich jedynym celem wydaje się powodowanie jak największego chaosu i zniszczeń. Jak dotąd, przeprowadzili ponad trzy tysiące ataków i całkowicie zniszczyli siedemset budynków.

Straty wśród ludności cywilnej szacujemy na ponad trzy miliony.

- A ilu Sithów udało się wyeliminować? - spytał Corran.

- Dwudziestu dwóch - odparła Mirax. - Ale straciliśmy przy tym piętnastu Jedi. Straty w siłach bezpieczeństwa idą w tysiące. Nawet jednostki specjalne nie mogą się równać z Mieczami Sithów.

Nad stołem zapadła pełna przygnębienia cisza. Wniosek był oczywisty - jak dotąd wróg wygrywał tę część bitwy i nie zanosilo się, żeby jej losy miały się wkrótce odwrócić.

- Wiemy, że robicie, co się da w tych okolicznościach - odezwał się po chwili Luke. Wyjrzał

przez okno na Galaktyczne Centrum Sprawiedliwości, które zaczynało się chwiać tak gwałtownie, że powierzchnia placu Wspólnoty wyraźnie wybrzuszyła się wokół niego. - Czy wiemy, jak doszło do zniszczenia tych budynków?

- W większości przypadków powodem była eksplozja lub ogień - wyjaśniła, podążając wzrokiem w tym samym kierunku. Nie mamy żadnych meldunków na temat budynków, które zawałyły się wskutek wstrząsów, jeśli to masz na myśli.

- Owszem, ale i tak mi się nie podoba to, co tam widzimy - stwierdził Luke. Odwrócił się w stronę rządowej części stołu. - Być może rozsądnie byłoby ewakuować Galaktyczne Centrum Sprawiedliwości.

Obaj Bwua'tu i senator Wuul pokiwali głowami, a Dorvan zwrócił się do Mirax:

- Zechce pani wydać rozkaz, pani generał?

- Oczywiście - zapewniła Mirax. Spojrzała ponownie na Luke'a. - Zanim się tym zajmę, chciałabym wspomnieć o czymś jeszcze.

- Tak? - zaciekawiał się Luke.

- Otrzymaliśmy kilka meldunków na temat... hm, „obserwatora” - oznajmiła Mirax. -

Wysoki mężczyzna o grubo ciosanej, wytatuowanej twarzy pojawił się w miejscu walk w pobliżu placu Wspólnoty. Jak dotąd tylko się przyglądał, ale kiedy Jedi Saav'etu zauważyła aurę Ciemnej Strony i próbowała go zatrzymać, rozbroił ją, a potem powiedział coś bardzo dziwnego: „Jeszcze nie, Jedi. Najpierw Abeloth”.



- Te tatuaże... czy rozchodziły się promieniście wokół oczu? - spytał Luke.

- Jedi Saav'etu opisała je jako promienisty wzór z okiem pośrodku - potwierdziła Mirax. -

Więc wiesz, kto to jest?

Luke pokręcił głową.

- Bynajmniej - odrzekł. - Ale widziałem go podczas kłopotów, w jakie wpakowaliśmy się po wyjściu z kosmoportu. Z całą pewnością nie wyglądał na członka Zapomnianego Plemienia.

- W takim razie każe tylko meldować o jego położeniu - skomentowała Mirax. - Nie potrzebujemy teraz nowych wrogów.

- Tak chyba będzie najlepiej - zgodził się Luke.

- Dziękuję. - Mirax powiodła spojrzeniem dookoła stołu, a potem dodała: - Jeśli nie jestem tu potrzebna, zajmę się ewakuacją Centrum Sprawiedliwości.

Luke skinął głową.

- Dziękuję, Mirax. Wyślemy wam dodatkowe wsparcie Jedi, jak tylko będziemy mogli. -

Kiedy odeszła od stołu, Luke zwrócił się do Gavina Darklightera: - Jak szybko możemy zacząć wycofywać nasze połączone oddziały ze Świątyni?

Gavin wpatrywał się przez chwilę w stół, zbierając myśli, a potem podniósł wzrok.

- Robimy postępy. - Sądząc po jego podkrążonych oczach, nie spał, odkąd rozpoczął się atak na Świątynię. - Kontrolujemy wszystko powyżej poziomu trzy siedemdziesiąt i poniżej Iglicy.

- Powyżej trzy siedemdziesiąt? - spytał Dorvan. - Czyli nie zdobyliście rdzenia komputera?

Darklighter pokręcił głową.

- Jeszcze nie.

- A więc nic nie zdobyliście. - Dorvan miał nienaturalnie cienki głos i wytrzeszczone oczy.

Rozejrzał się dookoła. - Czy nikt tego nie rozumie? Ukochana Królowa żyje też w komputerze. Ona jest komputerem!

Gavin pokiwał ze znużeniem głową.

- Wspominał pan o tym kilkakrotnie w swoim sprawozdaniu. Zajmiemy się rdzeniem komputera, jak tylko będziemy mogli go zaatakować. - Popatrzył po obecnych. - A tymczasem rozdzieliliśmy siły Sithów, które pozostały w Świątyni, i teraz spychamy je do podziemi oraz do Iglicy. Napotkaliśmy

zdecydowany opór na górnych poziomach i szczerze mówiąc, gdyby pan Dorvan nam nie powiedział, że Abeloth jest w rdzeniu komputera, byłibyśmy skłonni sądzić, że znajduje się gdzieś w pobliżu Platformy Iglicy.

Przekaz był jasny - niezależnie od tego, co sądził Dorvan, żołnierze byli przekonani, że zlokalizowali Abeloth na Platformie Iglicy. Teraz, po rozmowie z Tahiri, Jaina zdawała sobie sprawę, że i Dorvan, i żołnierze mogą mieć rację.

- A skąd to podejrzenie, admirale? - spytał Luke.

Gavin przybrał zbolaną minę.

- Ponieważ właśnie straciliśmy tam trzy kanonierki, a nawet artylerzyści Sithów nie są tak dobrzy.

Luke pokiwał głową. Jaina poczuła ulgę, widząc, jak jego spojrzenie kieruje się w stronę Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości. Niewątpliwie dostrzegał, co się dzieje z budynkiem, i zwrócił uwagę na to samo co Jaina - że Centrum jest widoczne z Platformy Iglicy.

- Musimy przeprowadzić jeszcze jeden atak na platformę - zdecydował. - Ale tym razem wyślemy oddział złożony w całości z Jedi. Wybierzemy go po zebraniu. A tymczasem czy może pan polecić, by przygotowano dla nas eskadrę kanonierek?

- Oczywiście - potwierdził Gavin. Usiadł, po czym obejrzał się przez ramię i gestem przywołał do siebie adiutanta.

- Widzę, co robicie - odezwał się Dorvan, zanim jeszcze Gavin zaczął wydawać rozkazy. -

Ale to błąd, że zamierzacie mnie ignorować. Byłem bliżej Ukochanej Królowej niż ktokolwiek z nas. Wiem, do czego jest zdolna.

- Nikt pana nie ignoruje - zapewniła Jaina, nachylając się do przodu, żeby spojrzeć Dorvanowi w oczy. - Przynajmniej nie ja. Jeśli pan twierdzi, że ona mieszka w rdzeniu komputera, to absolutnie panu wierzę.

- Ja również - oświadczył Luke. - Wiemy, że Abeloth miała kontakt z Callistą Ming, była Jedi, która kiedyś zespoliła swoją obecność w Mocy z komputerem. Więc nie mamy powodów, żeby ci nie wierzyć.

Ich zapewnienia uspokoiły nieco Dorvana.

- Dziękuję - powiedział. - Miło mi to słyszeć. Być może Abeloth jest na Platformie Iglicy, ale to nie znaczy, że nie jest...

- ...także w rdzeniu komputera - dokończyła Jaina, zdając sobie sprawę, że Dorvan wie już to, co ona zrozumiała dopiero niedawno. Popatrzyła na pozostałych Mistrzów. - Niestety, Abeloth może zamieszkiwać jednocześnie więcej niż jedno ciało.

W pomieszczeniu zapadła kłopotliwa cisza, a wszystkie spojrzenia skierowały się na Jainę.

- Po drodze na zebranie rozmawiałam z Tahiri Veilą. - Jaina skupiła uwagę na Corranie i Luke'u. - Okazuje się, że kiedy my walczyliśmy z Abeloth w przewodach wentylacyjnych Świątyni, Tahiri i Boba Fett walczyli z inną Abeloth na Hagamoorze Trzy. Zabili ją za pomocą detonatora termicznego... dokładnie dwie minuty przed południem według standardowego czasu galaktycznego.

W oczach obu Mistrzów pojawił się błysk zrozumienia.

- W tym samym czasie, kiedy nasza nagle osłabła i uciekła - podsunął Luke.

- A więc oba ciała były powiązane - dodał Corran. - Zabijając jedno, osłabiasz drugie.

Jaina pokiwała głową.

- Tak sędzę - odparła. - Tahiri знаła dokładną godzinę, ponieważ spodziewała się ataku turbolaserowego w południe, a my znaleźliśmy dokładną godzinę, ponieważ w południe musieliśmy wysadzić generator pola ochronnego. Nasza Abeloth wygrywała dokładnie do momentu, w którym oni zabili swoją.

- To by wyjaśniało, co stało się z Dyonem Staddem w Otchłani - stwierdził Luke. -

Wiedziałem, że zabijam Abeloth, kiedy z nią tam walczyłem...

- Tymczasem zabijałeś tylko jedną część - wtrąciła Saba. - Tę, która była w ciele Dyona Sstadda.

Luke skinął głową.

- Właśnie. A kiedy ta część zginęła, część w drugim ciele Abeloth osłabła... tak samo jak Abeloth w Świątyni osłabła, kiedy Fett i Tahiri zabili tę na Hagamoorze Trzy.

- W takim razie obawiam się, że mamy mało czasu - zauważyła Cilghal, wyglądając przez iluminator. Galaktyczne Centrum Sprawiedliwości chwiało się coraz mocniej, a z balkonów leciały kawałki gruzu i spadały w ciemne, dymiące rozpadliny powstałe wokół budynku. - Za każdym razem, kiedy zabijaliśmy jedno z ciał Abeloth, drugie uciekało, żeby się ukryć i odzyskać siły.

- To prawda - zgodził się Kyp Durrone, zwracając się do Luke'a. - Kiedy zabiłeś tę część w ciele Dyona, druga część opuściła Otchłań i poleciała na Pydyra, żeby dobrać do siebie. Kiedy zabiłeś kolejne ciało na Pydyrze, druga Abeloth uciekła na Nam Chorios, żeby odzyskać siły. Jeśli jest konsekwentna, powinna lada chwila odlecieć z Coruscant, o ile jeszcze tego nie zrobiła.

- Słuszna uwaga - przyznał Kyle Katarn. - Ale teraz schemat jest nieco inny.

- W jakim sensie? - zapytał Nek Bwua'tu. - Dlatego że teraz są aż trzy części?

- Choćby dlatego - odparł Kyle. - Po pierwsze, mamy część, którą Tahiri i Fett zabili na Hagamoorze Trzy. Po drugie, mamy tę część, z którą Luke i jego oddział walczyli w systemie wentylacyjnym.

Najprawdopodobniej to ta sama, która znajduje się teraz na Platformie Iglicy. Po trzecie, mamy jeszcze jedną część, która według pana Dorvana żyje wewnątrz rdzenia komputera.

- A jeśli mogą być trzy części, to dlaczego nie cztery? - zapytał Nek. - Dlaczego nie pięć albo sto, porozrzucanych po całej galaktyce?

- To dlatego, że wszystkie ciała Abeloth są częściami jednego bytu Mocy, prawda? - spytała Barratk'1 swoim chropawym głosem. - Bardzo urosła w siłę od czasu, kiedy ją odkryliśmy, ale za każdym razem, gdy zabijamy jedną część, staje się słabsza. Więc są jakieś granice. W miarę jak nabiera siły, te granice się przesuwają. I w tej chwili ma trzy ciała.

- Trzy, o których wiemy - przypomniał jej Kyle.

- Tak, ale musi być jakaś współzależność, w przeciwnym razie nie musiałyby się przed nami ukrywać, kiedy któraś część umiera - zauważyła Barratk'1. - Więc musimy sobie zadać pytanie: co właściwie niszczy, kiedy zabijamy opanowane przez nią ciało?

Popatrzyła wyczekująco na Cilghal, która, jako najbardziej kompetentna uzdrowicielka Zakonu Jedi, była też najbardziej predysponowana do udzielenia odpowiedzi. Kalamarianka pokiwała głową i uniosła palec, dając do zrozumienia, że zastanawia się nad pytaniem. Kiedy w końcu podniosła wzrok, w jej wylupiastych oczach widać było niepewność.

- Odpowiedź musi kryć się w Mocy - oznajmiła. - Ale trudno ją odnaleźć, nie wiedząc, w jaki sposób ona przejmuje kontrolę nad swoimi ofiarami. Gdyby chodziło po prostu o telepatię Mocy albo zwykłe narzucenie woli, wówczas śmierć jednego z ciał nie wyrządzałaby jej żadnej krzywdy. Po prostu by je opuszczała i przenosiła się do innego.

- Widziałem, jak opanowuje Lydeę Pagorski - odezwał się niepewnie Dorvan. - Czy to może w czymś pomóc, jeśli spróbuję opisać, jak to się odbyło?

Wszystkie oczy skierowały się na niego, a Cilghal zapewniła:

- Ależ oczywiście.

Twarz Dorvana stała się blada i pozbawiona wyrazu, jak twarze ofiar tortur, kiedy przywoływały w pamięci przeżyte katusze. Przełknął jednak ślinę i powiedział:

- Postaram się.

- Proszę się zastanowić i opowiedzieć nam wszystko, co pan pamięta - poprosiła Cilghal. -

Każdy szczegół może być ważny.

Dorvan skinął głową.

- To wszystko działo się bardzo szybko - zaczął. - Abeloth używała wtedy ciała Roki Kem, ale nie trzymało się najlepiej. Skóra zaczynała się łuszczyć, a oczy wylazić na wierzch.

Jaina zauważyła, że Luke wymienia spojrzenia z Sabą i Corranem. Bez wątplenia wszyscy oni pomyśleli o tym samym co ona - że przez cały ten czas, kiedy jej szukali, ona ukrywała się na widoku.

- To bardzo przydatne informacje - zapewniła Cilghal. - Proszę kontynuować.

Dorvan zamknął oczy i mówił dalej:

- Najpierw Roki Kem powiedziała Pagorski, że po prostu wymaże jej z pamięci to, co widziała w Świątyni. Pagorski jej uwierzyła, więc się nie opierała. Wtedy Kem złapała ją za głowę i popatrzyła w oczy. Przez chwilę nic się nie działo, a potem powietrze między nimi zaczęło się mienić. Pagorski otworzyła oczy i wyglądała na przerażoną.

Dorvan przerwał i zaczął drżeć na wspomnienie tego, co wydarzyło się potem.

- Palce Kem zaczęły rosnać, a potem jej ręce zamieniły się nagle w macki i... no cóż, stała się Abeloth. To znaczy, zawsze nią była, ale teraz było widać jej prawdziwą naturę.

- Czy może pan ją opisać? - poprosiła Cilghal.

- Miała szorstkie żółte włosy i oczy, które nie były właściwie oczami, tylko srebrnymi punkcikami światła, zatopionymi głęboko w oczodołach - odparł Dorvan. - Jej usta przypominały głębokie rozcięcia. Rozciągały się na całą szerokość twarzy.

- Bez dwóch zdań to Abeloth - stwierdził Luke. - Co było potem?

- No cóż, Pagorski zaczęła krzyczeć, a macki Abeloth wślizgnęły się jej do gardła -

opowiadał Dorvan, wciąż nie otwierając oczu. - I do uszu, i do nosa. Pagorski wydawała potworne odgłosy, jakby się dławiła i dusiła, a macki zaczęły pulsować. Po kilku sekundach Pagorski się osunęła i zwisała na tych mackach.

Dorvan zamilkł, najwyraźniej pogrążony we wspomnieniach straszniejszych od najgorszego koszmaru.

Po paru chwilach Cilghal zapytała łagodnie:

- I to był koniec?

Dorvan pokręcił głową.

- To był dopiero początek - kontynuował. - Po chwili z twarzy Pagorski znikło przerażenie.

Myślałem, że może umarła. Ale potem tak zbladła, że widać było macki, które wiły się pod skórą, pompując coś ciemnego i lepkiego przez nos do zatok i do gardła. Nie wierzyłem, że można przeżyć coś takiego, ale ona przeżyła. Widziałem, jak faluje jej klatka piersiowa, a jej ciało nie zwiotczało jak u trupa. W końcu jakby nabrała siły, spojrzała na mnie i się uśmiechnęła. Ale to nie tylko Pagorski patrzyła. Ona co prawda wciąż tam była i widziałem po oczach, że jest śmiertelnie

przerażona. Ale Abeloth też była w niej... i podobało jej się to.

- Tak jakby się tym karmiła? - spytał Luke.

Dorvan otworzył oczy i myślał przez chwilę, a wreszcie skinął głową.

- Tak - potwierdził. - Właśnie tak. Karmiła się strachem.

- Już to kiedyś widzieliśmy - oznajmił Luke. - Na Pydyrze Abeloth zdawała się wytwarzać aurę strachu, żeby móc czerpać energię Ciemnej Strony, którą strach wyzwalał. Jesteśmy przekonani, że w ten sposób odzyskuje siły.

- Był Mocy, który karmi się strachem? - Dorvan wyjrzał przez iluminator na chaos, który ogarnął plac Wspólnoty, i pokręcił głową, wyraźnie zrozpaczony. - W takim razie, Mistrzu Skywalker, lepiej zabijcie ją jak najszybciej, póki to jeszcze możliwe.

- Po to tutaj jesteśmy, żeby zastanowić się, jak to zrobić - zauważył Kyp. - Co jeszcze może nam pan powiedzieć?

- Na temat przejęcia ciała Pagorski już nic - odparł Dorvan. - Niestety, moje wspomnienia tego, co było potem, są... hm, mętne. Ale myślę, że powinniście usłyszeć, co się stało, kiedy ją zabiłem.

Kilka par brwi uniosło się w zdziwieniu, a Saba Sebatyne zasyczała i uderzyła dłonią o poręcz krzesła.

- Dobry żart! Ona dziękuje. Tego jej było trzeba!

Barratk'1 rzuciła Barabelce gniewne spojrzenie.

- Sądzę, że pan Dorvan mówi poważnie, Mistrzynie Sebatyne. - Odwróciła się w stronę Dorvana. - Tak?

Dorvan pokiwał głową, ale posłał ironiczny uśmiech w kierunku Saby.

- Mistrzynie Sebatyne ma pełne prawo się śmiać - przyznał. - Widzicie, Abeloth chciała, żebym ją zabił.

Większość istot siedzących przy stole popatrzyła na Dorvana tak, jakby przeżywał właśnie załamanie nerwowe, ale Kyle Katarn przechylił tylko z zaciekawieniem głowę.

- Obawiam się, że nie bardzo rozumiemy - zagadnął. - Dlaczego Abeloth miałaby chcieć, żeby zabił pan jedno z jej ciał?

Dorvan wzruszył ramionami.

- Może dlatego, że było już zużyte, albo dlatego, że i tak miała zamiar wejść do rdzenia komputera - wyraził przypuszczenie. - Mogę wam powiedzieć tylko tyle, że wykradłem blaster i wpakowałem jej

parę wiązek w głowę. A zaraz potem poleciałem na ścianę i zdałem sobie sprawę, że ona objawiła się w rdzeniu komputera. Potem dopiero się zorientowałem, że to wszystko była pułapka zastawiona na Bena.

Luke nachylił się do przodu.

- Na Bena? - powtórzył. - Dlaczego sądzisz, że tylko na Bena?

- Bo tylko jego zabrali. - Dorvan popatrzył na Hornów i dodał: - Ale może powinniście zapytać Valina albo Jysellę. Oni byli w lepszym stanie psychicznym niż ja.

- Nie ma co do tego wątpliwości - przyznał Valin, występując z szeregu. - Teraz widzę, że Abeloth od początku starała się oddzielić Bena od grupy. Mogła nas wszystkich od razu wyeliminować, ale chciała Bena żywego.

- Powiedziałabym nawet, że specjalnie nas zwabiła do rdzenia komputera, żeby schwytać Bena - zgodziła się Jysella. - Wszystko było zaplanowane co do milisekundy, a jak już miała Bena, nas zostawiła w spokoju.

- To nie znaczy, że pozwoliłaby nam odejść, gdyby ktoś się zastanawiał - zaznaczył Valin. -

Po prostu zostawiła nas Sithom i więcej nie zwracała sobie nami głowy.

Jaina rozumiała znaczenie tej uwagi. Valin i Jysella Hornowie byli jednymi z pierwszych Rycerzy Jedi, którzy zapadli na psychozę Mocy, kiedy Abeloth zaczęła na nich oddziaływać ze swojego więzienia w Otchłani, i przez pewien czas byli nawet jej szpiegami. Na szczęście zostali uleczeni po pokonaniu Abeloth na Nam Chorion, a wszyscy zakładali, że uzdrowienie jest całkowite. Mimo to, gdyby Mistrzowie wiedzieli, gdzie Abeloth się ukrywa, kiedy przygotowywali się do szturm na Świątynię, Hornowie byłiby ostatnimi Rycerzami Jedi, jakich posłaliby na pierwszy ogień.

- A więc Abeloth nie interesowała się wami przez cały ten czas, kiedy byliście w Świątyni?

- spytała Cilghal. - I nie mieliście żadnych objawów paranoi czy dezorientacji?

- Tego nie powiedziałem - odparł Valin z szerokim uśmiechem. - Ciągłe nie rozumiemy, dlaczego zabrała Bena, a nas zignorowała. To się wydaje trochę podejrzane.

- Chyba znam odpowiedź - wtrąciła Jaina i odwróciła się w stronę Dorvana. - Mówił pan, że ciało, które zabił pan w rdzeniu komputera, było zużyte?

- Zgadza się - potwierdził Dorvan. - Wydawało się już wtedy mocno wyniszczone.

- I to było ciało Roki Kem, tak?

- Tak - odparł Dorvan. - Nie wspominałem o tym?

- Chciałam się tylko upewnić. - Jaina popatrzyła na resztę zgromadzonych. - Kiedy rozmawiałam z

Tahiri Veilą, wspomniała, że ciało Pagorski także ulegało już degradacji. Tahiri stwierdziła wręcz, że ona i Fett przeżyli tylko dlatego, że Abeloth nie chciała jej zabić. Chciała zamienić ciało Pagorski na jej.

- Oczywiście - zgodziła się Cilghal. - Pagorski i Kem nie były użytkownikami Mocy. Ich ciała nie mogły wytrzymać takiej ilości energii Mocy.

- To nie tłumaczy jej zainteresowania Benem - zastanawiał się Kyle. - Gdyby chodziło po prostu o użytkownika Mocy, mogłaby równie dobrze wybrać Valina czy Jysellę albo któregoś ze swoich poddanych Sithów. Chodzi o coś innego... coś, co czyni Bena wyjątkowym.

- No cóż, w końcu to Skywalker - zauważył Kyp Durron. - Wnuk Wybrańca.

- A Jaina jest wnuczką Wybrańca - zripostował Luke. - Sądzę raczej, że ma to jakiś związek ze Schroniskiem. Być może Abeloth chce go dostać dlatego, że jako dziecko uciekł przed jej dotykiem.

Kyp pokręcił głową.

- Wybacz, ale chyba nie - zaprzeczył. - Jaina jest córką Hana w takim samym stopniu jak Leii, co znaczy, że tylko jeden z rodziców jest użytkownikiem Mocy. Ben zaś jest synem rodziców, którzy oboje byli bardzo silni Mocą. Bez urazy, Jaino, ale Ben ma Wyjątkowe Przeznaczenie wypisane na twarzy.

Luke sposepniał, a Jaina zorientowała się po jego milczeniu, że widzi sens w rozumowaniu Kypa, podobnie jak wszyscy inni. Abeloth chciała Bena ze względu na to, kim był... a to oznaczało, że miała co do niego jakieś szczególne plany.

- No dobrze - odezwał się w końcu Luke. - Abeloth zabrała Bena z jakiegoś ważnego powodu. Macie pomysł, co to może być za powód?

Za plecami Jainy odezwał się świergotliwy głos Tekli.

- Nie wiem nic konkretnego - oświadczyła - ale chyba pora omówić to, czego dowiedzieliśmy się na temat Abeloth od Killików.

- Naturalnie... jeśli sądzisz, że to może nam pomóc. - Luke ruchem ręki wskazał Tekli i Lowbace wolną przestrzeń po drugiej stronie stołu, po czym, zwracając się do reszty zebranych, wyjaśnił: - Jedi Tekli i Jedi Lowbaccy wrócili właśnie z misji, której celem było ustalenie, co na temat Abeloth wiedzą Killikowie. Jeśli dobrze rozumiem, Jedi Thul musiał zostać w zamian za te informacje, ale z tego, co słyszałem, odkryli pewną bardzo ciekawą historię.

Gdy tylko Tekli podeszła do stołu, pomieszczeniem zachybotał nagły wstrząs, który zaraz przeszedł w serię sporadycznych drgań. Dorvan i kilku cywilów popatrzyło z niepewnością i lękiem na podłogę. Nek Bwua'tu odchrząknął tylko i wymamrotał coś o cholernym trzęsieniu gruntu, ale Jaina - i z pewnością także pozostali Jedi - poczuła falę strachu, nadciągającą od Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości. Kiedy wyjrzała przez iluminator, zobaczyła, że w pofałdowanej powierzchni placu Wspólnoty pojawiły się pęknięcia, a ze szczelin wydobywały się wysokie słupy dymu.



- Może powinniśmy przyspieszyć ten atak na Platformę Iglicy - zasugerował Kyp. - Zanim Galaktyczne Centrum Sprawiedliwości się zawali.

- Zanim jeszcze dokonamy właściwego rozpoznania pola bitwy? - odparował Nek Bwua'tu.

- Rzucanie się do walki na ślepo nigdy jeszcze nikomu nie pomogło. Wszyscy lepiej na tym wyjdziemy, jeśli Mistrzowie zostaną tutaj i będą dalej robić swoje. Jesteście dowódcami, a dowódcy mają planować i myśleć, nie zaś pakować się w zasadzkę za każdym razem, kiedy nieprzyjaciel zrobi coś nieoczekiwanego.

Kyp otworzył szeroko oczy, zaskoczony surowym tonem admirała, ale skinął tylko głową, z pokorą przyjmując upomnienie.

- Słuszna uwaga, admirale. Zdaję się na pańską mądrość... i rozkazy Mistrza Skywalkera.

- Zgadzam się z admirałem Bwua'tu - przytaknął Luke. - Mam dość wpadania w pułapki Abeloth. Musimy dokończyć to zebranie i opracować plan.

Luke skinął głową w stronę Tekli, która stała przy stole, ledwie sięgając swoim krótkim ryjkiem ponad blat. Za nią stał Lowbacca, który górował nad całą grupą jak włochaty olbrzym, którym zresztą był. W rękach trzymał ogromny datapad.

Tekli odchrząknęła, po czym zabrała głos:

- Z uwagi na ograniczenia czasowe będzie to krótkie podsumowanie tego, co udało nam się ustalić. See-Threepio aktualnie wgrywa pełną wideograficzną relację z naszej wyprawy do Archiwów Jedi.

- Dziękuję - powiedział Luke. - To na pewno będzie pomocne, jeśli zajdzie potrzeba zgłębienia historii Abeloth ze szczegółami.

Tekli popatrzyła na niego jednym okiem.

- Uwierz mi, Mistrzu Skywalker, zajdzie taka potrzeba.

Pstryknęła palcami i na monitorze pojawiła się wyryta w kamiennej płycie płaskorzeźba.

Przedstawiała ona rajską dżunglę ze stromym zboczem doliny w tle i moczarami na pierwszym planie. Pośrodku znajdowała się polana z tryskającym gejzerem. W obłoku pary unosiły się trzy przypominające zjawy postaci: świetlista kobieta, wojownik o surowej twarzy oraz wychudły, brodaty mężczyzna o ojcowskim wyglądzie.

- To scena z historii Thuruht - oznajmiła Tekli. - Historie te opisują między innymi narodziny całej rodziny bytów Mocy, którą Killikowie nazywają Jedynymi. Tę młodą kobietę nazywają Córką.

Podczas gdy Tekli mówiła, Lowbacca wyświetlił kolejną płaskorzeźbę. Ta przedstawiała jasnowłosą kobietę, biegnącą przez bujny las w otoczeniu chmary motyli i roju Killików.

- Córka wydaje się mieć związek z Jasną Stroną Mocy - wyjaśniła Tekli. - Killikowie nie potrafili wytłumaczyć, na czym polega ten związek, ale podejrzewam, że to ona jest ucieleśnieniem jej natury.

Lowbacca znów zmienił obraz, tym razem na płaskorzeźbę, ukazującą potężnie wyglądającego mężczyznę w ciemnej zbroi, kroczącego przez martwy las.

- Syn zaś ma związek z Ciemną Stroną Mocy - ciągnęła Tekli. - W tym wypadku także Killikowie nie potrafili wyjaśnić, co to dokładnie oznacza. Ale wydaje się oczywiste, że uosabia on jej żarłoczną, śmiertelną naturę.

Lowbacca wcisnął klawisz i na ekranie datapadu pojawiła się płaskorzeźba przedstawiająca wijącą się rzekę, która płynęła przez środek, oddzielając świetlisty las na jednym brzegu od ciemnego lasu na drugim. W głębi obrazu wychudły mężczyzna stał na balkonie klasztoru na ścianie klifu. Patrzył na oba lasy z rękami rozpostartymi tak szeroko, że jedna była zawieszona nad ciemnym, a druga nad jasnym lasem.

- Ojciec jest Strażnikiem Równowagi - objaśniła Tekli. - Było jeszcze kilka płaskorzeźb przedstawiających go, jak stara się utrzymać pokój między Synem a Córką.

- Rozumiem - powiedział Luke. - A te istoty, Jedyni... czy to są Niebiańscy, którym Killikowie mieli służyć w przeszłości?

Tekli pokręciła głową.

- Nie wydaje mi się, przynajmniej nie w takim sensie, o jakim myślisz - stwierdziła. -

Thuruht twierdzi, że oni są tym, czym Niebiańscy się stają.

- A czym według Thuruht są Niebiańscy? - spytał Corran.

- Właściwie nie wiadomo - odparła Tekli. - Oni twierdzą, że nie da się wytłumaczyć, czym są Niebiańscy, bo żaden śmiertelny umysł nie potrafi pojąć ich prawdziwej natury.

Lowbacca wydał przeciągły jęk, zwracając uwagę, że według Killików Niebiańscy tkwią w Mocy, ale Jedyni nie opuszczają Mocy, ponieważ Moc jest wszędzie wokół nas; jest w nas i jest nami, a każdy rozumie, że nie można opuścić tego, czym się jest. Tekli przetłumaczyła jego wypowiedź z myślą o tych, którzy nie znali Shyriiwook.

- Taa... - westchnął Kyp. - Typowe killickie farmazony.

- No cóż, wtedy miało to jakiś sens - oznajmiła Tekli. - Być może na nagraniu wideo będzie się wydawało bardziej logiczne.

- Z pewnością - zgodził się Kyle. - Ale mówiłaś, że to pomoże zrozumieć Abeloth. Czy to znaczy, że ona jest tą Córką? Że Syn zdołał przeciągnąć ją na Ciemną Stronę?

- Bynajmniej - odparła Tekli. - Żeby zrozumieć Abeloth, trzeba pomyśleć o tym, czego w rodzinie

brakuje.

- Chodzi ci oczywiście o Matkę - domyślił się Luke. - Abeloth jest drugim rodzicem?

Tekli ponownie pstryknęła palcami i Lowbacca zmienił obraz na ekranie datapada. Tym razem na płaskorzeźbie pojawiła się nowa postać - młoda kobieta, niewiele starsza od Córki, o długich, falujących włosach, szerokim uśmiechu i błyszczących oczach. Była najwyraźniej służącą, bo Syn i Córka, nie patrząc na nią, nadstawiali kieliszki, żeby napełniła je z trzymanego w rękach dzbana. Ojciec jednak patrzył na nią z widoczną serdecznością, odwzajemniając jej uśmiech.

- Abeloth jest Służką, która została Matką - wyjaśniła Tekli. - Początkowo wydawało się, że wniosła do rodziny radość i harmonię.

Podczas gdy Tekli mówiła, Lowbacca pokazywał serię obrazów, na których Abeloth pilnowała, żeby Syn i Córka mieli zajęcie, wymyślając im różne gry i prace domowe, hołubiła Ojca, a nawet przekuwała destrukcyjną energię Syna w pożyteczne zadania. Wkrótce wydawała się już pełnoprawnym członkiem rodziny. Jadła u boku Ojca i nadstawiała Synowi kieliszek do napełnienia.

- Jednak z czasem Abeloth zaczęła się starzeć, podczas gdy reszta rodziny pozostała młoda - tłumaczyła Tekli.

Obraz na ekranie datapadu Lowbacki ukazywał znacznie starszą Abeloth, która wydawała się teraz wystarczająco dojrzała, by mogła być odpowiednią żoną dla Ojca. Następna płaskorzeźba przedstawiała starą i pomarszczoną Abeloth, stojącą na skraju niewielkiego kompleksu świątynnego

- kompleksu, który wyglądał zupełnie jak ten we śnie Jaina o walczących ze sobą Benie i Vestarze.

Potężna fala zdumienia i szoku zmaciła Moc. Jaina się rozejrzała i zobaczyła, jak Luke i wszyscy inni Mistrzowie najpierw wpatrują się w obraz, a potem spoglądają po sobie. Uświadomiła sobie, że nie tylko ona miała ten sen. Nie sposób było stwierdzić, czy wszyscy widzieli tę samą walkę, ale nie ulegało też wątpliwości, że każdy z obecnych Mistrzów rozpoznał świątynny kompleks.

Jaina poczuła, jak Luke sięga poprzez Moc, emanując spokojem i cierpliwością, i natychmiast zrozumiała przekaz: „Nie mówcie nic, dopóki znaczenie nie stanie się jasne”.

Obrazy na datapadzie Lowbacki zmieniały się, ukazując teraz Ojca, który spierał się z Synem i Córką, żywo gestykulując, podczas gdy w powietrzu wokół nich fruwały głązy i sześciorogie jaszczurki.

- Z upływem lat Abeloth zaczęła wywierać destrukcyjny wpływ na rodzinę - kontynuowała Tekli. - Podejrzewamy, że mogła być rozgoryczona z powodu swojej śmiertelności, jako że reszta rodziny się nie starzała.

Lowbacca zmienił obraz na datapadzie na płaskorzeźbę przedstawiającą mocno starszą Abeloth, która piła ukradkiem z Fontanny Siły, podczas gdy Ojciec ciskał błyskawicami Mocy w Syna i Córkę. Na kolejnym obrazie wyraźnie młodsza Abeloth pływała w Sadzawce Wiedzy, spoglądając z chytrym

i wyzywającym uśmiechem na Ojca, który używając Mocy, próbował

wyciągnąć ją z wody.

- Pragnąc pozostać ze swoją nieśmiertelną rodziną, dopuściła się tego, co zakazane. I zapłaciła straszliwą cenę.

Lowbacca wcisnął klawisz i na ekranie pojawiła się następna płaskorzeźba. Na środku świątynnego dziedzińca stała mocno zmieniona Abeloth. Jej włosy były teraz długie i szorstkie, nos spłaszczony, a błyszczące oczy tak zapadnięte i ciemne, że widać było w nich tylko dwa punkciki światła. Wyciągała ręce w kierunku skulonej Córki i patrzącego spode łba Syna, a z dłoni zamiast palców wyrastały jej długie macki. Wściekły Ojciec próbował ich osłaniać, wyciągając jedną rękę w stronę ujścia doliny, a drugą w kierunku mackowatych palców.

- Killikowie nazywają Abeloth Siewcą Chaosu - wyjaśniła Tekli, dając znak Lowbace, żeby opuścił datapad. - Wydaje się, że widzą w niej odpowiednik roli Ojca jako Strażnika Równowagi, ale utożsamiają ją z przemocą i konfliktami.

- Czy dobrze zrozumiałem? - spytał Eramuth Bwua'tu. - Chcecie powiedzieć, że Abeloth jest jakąś boginią wojny?

- To byłoby duże uproszczenie - odparła Tekli. - Killikowie twierdzą, że wojna jest częścią galaktycznego cyklu zmian. Według nich przybiera jednak czasami zbyt wielką skalę i wtedy zjawia się Abeloth, żeby zniszczyć stary porządek i zrobić miejsce na nowy.

- A więc zniszczenie Coruscant jest częścią jakiegoś Niebiańskiego Planu? - zapytał

Dorvan. Wyjrzał znacząco przez iluminator. Dym ulatujący ze szczelin wokół Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości stał się tak gęsty, że przesłonił nawet majestatyczną piramidę Świątyni Jedi. - A Galaktyczny Sojusz nie ma innego wyboru, jak tylko się z tym pogodzić?

- Zawsze jest wybór - oświadczył Luke. - Pamiętajmy, że to jest killicka wizja galaktyki. A przecież wiemy, że Abeloth była już wcześniej uwięziona. - Spojrzał na Tekli. - Przejdźmy raczej do tego, jak ją powstrzymać.

Drobne uszy Tekli obróciły się lekko na zewnątrz.

- Niestety, Mistrzu Skywalker, obawiam się, że w tej kwestii Killikowie nie będą zbyt pomocni - ubolewała. - Przynajmniej nie nam.

Lowbacca dodał długi pomruk, tłumacząc, że wprawdzie jedynym celem istnienia Thuruht wydaje się uwięzienie Abeloth, jednak potrzebują oni do tego Jedynych, żeby pokierowali ich działaniami. Z tego, co wywnioskowali razem z Tekli, Syn i Córka zgadzali się tylko co do jednego

- że oburza ich, kiedy Abeloth niszczy cywilizacje, które oni rozwijali od tysięcy lat na swoje podobieństwo. W końcu oboje mieli zawrzeć pakt i wyjść z ukrycia, żeby ją powstrzymać. Thuruht zaś spodziewał się spędzić najbliższe stulecie na pomnażaniu swoich szeregów, tak aby rój był

gotowy, kiedy zostanie wezwany do służby.

- Więc tak naprawdę ostatnim razem to Jedyni uwięzili Abeloth? - spytał Kyle. - I oni też stworzyli stację Centerpoint?

- Tak to pamiętają Killikowie - odrzekła Tekli. - Ale tylko Syn i Córka się angażują. Wydają się bardziej zainteresowani sytuacją galaktyki niż Ojciec.

- Obawiam się, że raczej byli zainteresowani - wtrącił Luke. - Jeśli Thuruht nie może uwięzić Abeloth bez pomocy Syna i Córki, to rój będzie czekał znacznie dłużej niż sto lat na wezwanie do służby.

Nos Tekli zadrgał z zakłopotania.

- A więc słyszałeś o Jedynych, Mistrzu Skywalker?

- Nie pod tą nazwą - przyznał Luke. - Ale kiedy Yoda szkolił mnie na bagnach Dagobah, opowiedział mi o dziwnej misji, jakiej Obi-Wan i mój ojciec podjęli się w czasie Wojen Klonów.

Podobno zostali przyciągnięci przez dryfujący artefakt, zwany monolitem z Mortisa, i przeniesieni na świat bardzo przypominający ten, który opisują Historie Thuruht.

- Chcesz powiedzieć, że spotkali Jedynych? - spytał Kyp. - Jesteś pewien?

Luke rzucił mu poirytowane spojrzenie.

- Trudno być pewnym czegokolwiek, co ma związek z Niebiańskimi, Mistrzu Durron - skwitował. - Ale tak, sądzę, że trójka, którą opisywał Yoda, to byli Jedyni.

- No i? - zapytał Kyp.

- Wtedy sądziłem, że po prostu wymyślił tę historię, bo chciał pokazać, że nie powinienem odrzucać swojego przeznaczenia. - Luke zawiesił głos, a potem dodał: - Ale teraz...

- Myślisz, że mógł dostrzec coś w twojej przyszłości, tak? - dokończył Kyle. - Coś, co miało związek z Abeloth?

Luke wzruszył ramionami.

- To może za daleko idący wniosek - oznajmił. - Ale Yoda musiał przeczuwać, że kiedyś wiedza na temat Mortis mi się przyda.

- Więc powiesz nam w końcu, co mówił Mistrz Yoda? - spytała Jaina. Nie mogła usiedzieć na miejscu, i nie tylko ona. Każdy Jedi obecny w pomieszczeniu nachylał się w stronę Luke'a. - No bo przecież dlatego o tym wspomniałeś, prawda?

Luke pokiwał głową.

- Oczywiście - przyznał. - Ale niewiele jest do opowiadania. Według Yody Obi-Wan i Anakin Skywalker spotkali Ojca, kiedy był umierający. Ojciec powiedział Anakinowi, że został

wybrany, żeby zająć jego miejsce i strzec równowagi pomiędzy rodzeństwem. Kiedy Anakin odmówił, sytuacja osiągnęła punkt krytyczny. Jedyni zaczęli walczyć między sobą i cała trójka zginęła, a ich świat razem z nimi.

- I nie uważałeś tego za ważne? - zdziwił się Corran.

- Nie wiedziałem, że Yoda mówił o Jedynych - odparł Luke, przyjmując nieco defensywną postawę.

- Ani nawet czym oni są.

- Faktycznie to brzmi bardziej jak alegoria niż relacja z misji - zgodził się Kyle. - Z

pewnością ja bym pomyślał tak samo.

- A skąd pewność, że to nie jest tylko alegoria? - zapytał Kyp. - Bez urazy, ale wszyscy wiemy, jak mętne są opowieści Killików.

Saba uderzyła obiema dłońmi w stół.

- Ona jest pewna. To wszystko tłumaczy. Skąd tyle mroku i zmian w galaktyce, dlaczego tak często wybucha wojna i czemu nic nie jest pewne. - Powiodła wzrokiem dookoła stołu, spoglądając kolejno każdemu z Mistrzów w oczy, a w końcu stwierdziła: - Nie ma Równowagi w Mocy.

Jaina pokiwała głową i dodała:

- To wyjaśnia także, czego Abeloth chce od Bena.

Nad stołem zapadła pełna napięcia cisza i Jaina zdała sobie sprawę, że wielu Jedi nie dostrzegło jeszcze związku pomiędzy utratą jedynej rodziny, jaką Abeloth kiedykolwiek miała -

Jedynych - a potworną tęsknotą i samotnością, która kazała uwięzionej istocie szukać kontaktu z Benem i innymi młodzikami ukrywającymi się w Schronisku.

Ale Luke to zrozumiał. Świadczyło o tym to, jak pobladła mu twarz i jak tłumił swoją obecność w Mocy, żeby jego strach nie odbijał się echem niczym trzask pioruna.

Widząc, że twarze większości Mistrzów wciąż wyrażają konsternację, skinął głową w stronę Jainy.

- Ty to pierwsza powiedziałaś - stwierdził. - To teraz wytłumacz.

- To tylko domysły - zaznaczyła. - Mogę się mylić.

- A mylisz się? - zapytał Luke.

Jaina myślała przez chwilę, a wreszcie pokręciła głową.

- Nie, nie myślę. - Wzięła głęboki oddech i zwróciła się do pozostałych zebranych przy stole:

- Abeloth zabrała Bena, bo chce odtworzyć... hm, Rodzinę Jedynych, z braku lepszego określenia...  
na własnych warunkach.

Wokół rozległ się szmer zdumionych istot; niektóre wierciły się na swoich krzesłach, inne podchodziły bliżej stołu.

Jaina odczekała chwilę, żeby jej słowa dotarły do świadomości wszystkich zebranych.

- Słuchajcie, to nie ma znaczenia, czy Killikowie mają rację co do Jedynych ani nawet czy Yoda miał rację - ciągnęła. - Ważne jest tylko to, w co wierzy Abeloth. Ona próbuje odbudować rodzinę, którą straciła.

- Mnie to przekonuje - uznał Luke i skinął głową. - To wyjaśnia wszystkie jej działania.

- Tylko że ona sama chce zająć miejsce Ojca - zauważył Kyle. - Chociaż niewykluczone, że chciała przez pewien czas, żebyś ty przejął tę rolę. To by wyjaśniało, dlaczego próbowała zatrzymać ciebie i Bena na Stacji Ujście.

- No ale potem Luke zaczął zabijać jej różne ciała - dodał Kyp. - W końcu pojęła aluzję i postanowiła założyć własną rodzinę.

- Zapewne - skwitował Kyle. - I można mieć pewność, że Abeloth gwarantowałaby raczej nieustające zmiany niż stabilność w galaktyce.

- Z całą pewnością nie wniosłaby zbyt wiele Równowagi do Mocy - przyznała Jaina. - A Ben oczywiście byłby ucieleśnieniem Jasnej Strony.

- Bez wątplenia - zgodził się Corran. - Za to Vestara Khai uosabiałaby Ciemną Stronę.

Mówili to w kategoriach faktów, a nie domysłów, ale żaden z Mistrzów nie kwestionował

ich konkluzji - niewątpliwie dlatego, że wszyscy wyczuli zdumienie pozostałych, kiedy zobaczyli obraz na ekranie datapada Lowbacki. Znać było w tym rękę Mocy, a Jaina wiedziała, że wszyscy Mistrzowie ją poczuli - nawet jeśli jeszcze nie odgadli, co ona robi.

Podczas gdy wszyscy Mistrzowie patrzyli milcząco po sobie i kiwali głowami, z przeciwnej strony stołu odezwał się Luewet Wuul.

- Mam nadzieję, że wybaczycie mi głupie pytanie niewtajemniczonego, ale... jak to się dzieje? Wiem, że Jedi mogą dzięki Mocy przedłużać swoje życie, ale czy ta Abeloth nie powinna mieć dwudziestu

pięciu tysięcy lat?

- Jest znacznie starsza, senatorze - odrzekła Tekli. - Historie Thuruht zawierają sceny sugerujące, że Abeloth ma co najmniej sto tysięcy lat... chociaż początkowo była śmiertelniczką.

- Widzieliśmy już odpowiedź - dodała Barratk'1. - Abeloth była śmiertelną kobietą, tak?

Potem napiła się z Fontanny Siły i pływała w Sadzawce Wiedzy.

Fałdy policzkowe Wuula obwisły z niepokoju.

- Więc one naprawdę istnieją?

- Niestety tak - potwierdził Luke. - A jeśli Ben i Vestara się z nich napiją...

Urwał, ale Barratk'1 dokończyła za niego:

- Wtedy Ben i Vestara staną się tacy jak ona, tak? Rodzina Abeloth z Siewcą Chaosu na czele.

- Coś w tym stylu - zgodziła się Jaina.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

A potem nastąpiło kolejne trzęsienie gruntu, jeszcze silniejsze niż poprzednie. Całe pomieszczenie zatrzęsło się gwałtownie, kubki z kafem zaczęły brzęczeć, a w głębi pokoju karafka wyśmienitego burtalle spadła na podłogę i się roztrzaskała. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości, gdzie dwustumetrowa fontanna białej lawy tryskała obok lśniącego cylindra, pokrywając jego srebrzystą powierzchnię kroplami roztopionego kamienia.

Saba wsparła się knykciami na stole, po czym wstała i nachyliła się do przodu, zwracając się do pozostałych Mistrzów:

- Ssskoro Jedyni nie żyją, ona uważa, że wszyscy musimy przysiąc na własną krew, że nie ssspoczniemy, dopóki nie zniszczymy Abeloth.

Gdy to mówiła, w ścianie Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości pojawiła się ziejąca dziura, a budynek zaczął się przechylać w stronę placu Wspólnoty.

- Bo ta jajożerka jessst równie szalona jak ślepy shenbit - ciągnęła. - A galaktyka nie przetrwa nawet roku, jeśli ona będzie na wolności.

- Zgadzam się, Mistrzynie Sebatyne - przyznał Nek Bwua'tu. Spojrzał przez stół na Luke'a. -

Co by pan powiedział na atak na Świątynię z użyciem baradium?

Gavin Darklighter pierwszy zaprotestował.



- Teraz, gdy w środku są jeszcze moi żołnierze?

- Wycofanie ich uprzedziłoby Abeloth o naszym planie, admirale - zauważył Bwua'tu. - A gdybym ja był w środku z takim wrogiem, to z całą pewnością chciałbym, żeby mój dowódca zrobił wszystko, by go zniszczyć.

- Podobnie jak towarzyszący im Jedi - stwierdził Luke. - Obawiam się jednak, że użycie baradium nie wchodzi w grę.

- Mogę zapytać dlaczego? - dociekał Eramuth. - Zdaję sobie sprawę, że jest w tym pewien element zdrady...

- Nie w tym rzecz - odparł Luke. - Nie wątpię, że każdy, kto jest w środku, gotów jest na takie poświęcenie, jednak są jeszcze inne względy. - Zerknął przelotnie w kierunku Jaiiny. -

Mianowicie Solo także są w środku.

Jaina uniosła brwi.

- Naprawdę? - Chociaż zaskoczona, nie rozumiała, dlaczego obecność jej rodziców była według Luke'a decydującym czynnikiem wykluczającym użycie baradium. W tych okolicznościach oni pierwsi opowiedzieliby się za takim rozwiązaniem. Cóż, w każdym razie jej matka. Ojciec optowałby raczej za blasterowym pojedynkiem w samo południe. - Nie wiedziałam nawet, że są na planecie.

- Niestety, są - odparł Luke. - To długa historia, ale podobno zaoferowali się, że podrzucą Bazela Warva do tunelu ewakuacyjnego, i „Sokół” ucierpiał w zasadzce. Han i Leia uciekli do Świątyni... z Amelią.

Teraz Jaina zrozumiała. Luke nie miał zamiaru poświęcać Allany Solo, zwłaszcza po tym, jak zobaczył ją siedzącą na Tronie Równowagi w swojej wizji Mocy. Niestety, nie wszyscy obecni wiedzieli o tajemnicy przeznaczenia dziewczynki, więc ze strony nie-Jedi padło wiele krzywych spojrzeń.

Wreszcie Luew Wuul zapytał wprost:

- Nie rozumiem, Mistrzu Skywalker. Znam państwa Solo dość dobrze i nie wyobrażam sobie, żeby którekolwiek z nich zawahało się przed takim...

- To bez znaczenia, bo i tak by się nie udało - wtrącił Dorvan. - Abeloth by to przewidziała.

Nek Bwua'tu odwrócił się na krześle w stronę Dorvana.

- Nie rozumiem jak, Wynn - powiedział. - Mogę zrzucić baradium na Świątynię w ciągu sześćdziesięciu sekund.

- A ona by to przewidziała i zdążyła uciec. - Dorvan popatrzył po zdumionych twarzach i nagle jakby zrozumiał źródło problemu. - Chyba nie zdajecie sobie sprawy, że ona widzi przyszłość.

Admirał Bwua'tu zwiesił ze smutkiem ramiona, ale zanim zdążył coś odpowiedzieć, ze strony Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości dobiegł kolejny potężny huk. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę dźwięku i obecni zobaczyli, jak lśniący cylinder znika za wysokim na kilometr słupem wrzącej magmy i kłębiącego się popiołu.

Jaina była tak samo wstrząśnięta jak wszyscy inni i zapewne dalej by się przyglądała, jak pożoga zamienia Centrum Sprawiedliwości w rzekę roztopionej durastali, gdyby nie poczuła znajomej obecności po drugiej stronie placu Wspólnoty. Zdając sobie sprawę, że wybuch mógł być wykorzystany dla odwrócenia uwagi, spojrzała w kierunku Świątyni Jedi. Wśród chmary maleńkich kanonierek, które wciąż krążyły wokół lśniącej piramidy, dostrzegła jednoskrzydłą kulę, wzbijającą się poprzez kłęby dymu nad Platformą Iglicy w górę studni grawitacyjnej Coruscant.

Statek.

Jaina obejrzała się na Luke'a i stwierdziła, że biegnie już w stronę drzwi, dając jej znak, żeby podążyła za nim.

Abeloth miała Bena... i właśnie odlecieli w kierunku Otchłani.

## ROZDZIAŁ 30

Z dymu wyłaniały się zwisające dźwigary i kładki dla pieszych - przypominające zjawy sylwetki, które materializowały się tak szybko, że Jag miał niewiele czasu na reakcję. Co chwila szarpał za drążek, ratując „Pożegnalny Prezent” od zderzenia tylko po to, by przed sobą zobaczyć kolejne niebezpieczeństwo. Kawałki postrzępionego durastalowego poszycia fruwały w powietrzu jak konfetti, unoszone przez prądy powietrzne, wydobywające się z wulkanicznych szczelin kilometr niżej. Słupy ognia - przeważnie płonące budynki, lecz czasem także gejzery lawy -

rozjaśniały zasnuty popiołem mrok. A do tego wszystkiego ze Świątyni płynął nieprzerwany strumień laserowych wiązek, które tłukły w przednie osłony niewielkiego jachtu.

A mimo to nikt nie wyglądał na zdenerwowanego. Tahiri siedziała spokojnie w fotelu drugiego pilota, obserwując - i przeklinając - wiadomości BAMR. Przez ten czas regulowała obciążenie osłon i zagłuszała pasma systemów celowniczych nieprzyjaciela. Za nimi, pomiędzy ich fotelami, stała Saba Sebatyne, która syczała przy każdym manewrze „Pożegnalnego Prezentu”, co brzmiało jak barabelska wyliczanka. W fotelu za Tahiri siedział sierżant Gef Olazon, tyczkowy Skoczek Próżniowy o krzaczastych siwych wusach, ubrany w pancerny skafander, który miał

więcej łąt niż on zmarszczek na twarzy. Sierżant miał brodę opuszczoną na piersi i ni mniej, ni więcej, tylko chrapał.

Co oni sobie myśleli? Że za sterami siedzi Han Solo?

Przed nimi rozkwitł błękitny kwiat turbolaserowego ognia, który poraził „Pożegnalny Prezent” podmuchem gorąca i falą uderzeniową tak silną, że mieli wrażenie, jakby zderzyli się z klifem. Jag i Tahiri zakolysali się w ochronnych uprzężach, a Saba upadła na kolana. Po chwili kosmiczny jacht zaczął opadać w niekontrolowany sposób przez kłęby dymu i popiołu w kierunku zakrzywionej białej linii wulkanicznej szczeliny niecałe tysiąc metrów niżej.

Jag natychmiast odciął zasilanie silników jonowych i „Prezent” zaczął szarpać i obracać się, podrywany do góry przez prądy ciepłego powietrza. Jag użył silników manewrowych, żeby ustawić ponownie statek poziomo. Potem utkwiał wzrok we wrzącym obłoku popiołu, aż wskaźnik współrzędnych celu na wyświetlaczu projekcyjnym pokazał, że jest zwrócony w stronę Świątyni Jedi. Wówczas włączył silniki jonowe i pomknął naprzód.

- Musimy być już niedaleko - rzucił zza pleców Tahiri Olazon. Jego szorstki głos był jeszcze zachrypnięty od snu. - Wytaczają ciężkie działa.

- Turbolasery? - spytał Jag. - Kiedy Jedi zamontowali je w Świątyni?

- To nie Jedi - odparła Saba, tak jakby to było wystarczające wyjaśnienie.

- Rozumiem - skwitował Jag. Laserowe wiązki znów posypały się na przednie osłony

„Pożegnalnego Prezentu”, a Jag zaczął manewrować drążkiem, próbując kryć się za budynkami, zwisającymi dźwigarami i wszystkim, co mogło uniemożliwić załodze turbolaseru oddanie celnego strzału. - Obiecay mi tylko, że zobaczę jeszcze Jainę.

- Ona nie zagląda w przyszłość - odparła Saba. - Bywa zabawniej, kiedy to jessst niessspodzianka.

- Ja bym powiedział, że od naszej strony wygląda to nie najgorzej - wtrącił Olazon. - Niezły z pana pilot, nawet w tej opancerzonej łajbie.

- Dzięki - odezwał się Jag. Włączył lustrzany panel na owiewce kabiny i spojrzał na odbicie Olazona. - Co to znaczy „od naszej strony”?

Olazon spojrzał na Sabę.

- Nie mówiłaś mu?

Ogon Saby uderzył z głuchym odgłosem o pokład.

- Nie było czasssu - wyjaśniła Barabelka. - Kiedy „Pożegnalny Prezent” wylądował, zossstało tylko pięć minut do ssspotkania.

Olazon się nachmurzył.

- Powinnaś mu była powiedzieć - stwierdził Skoczek Próźniowy. - Kiedy facet wyrusza z taką misją, ma prawo wiedzieć.

- Ona powtarza, że nie było czasu. - Saba obejrzała się na Olazona, odsłaniając kły. -

Dowie się po wykonaniu zadania.

Skoczek Próżniowy popatrzył gniewnie na Sabę, tak całkowicie niewzruszony, że Jag byłby pod wrażeniem - gdyby nie martwił się o Jainę.

- O czym?

Kiedy Saba nie odpowiedziała, Olazon oznajmił:

- Pańska dziewczyna odleciała z Mistrzem Skywalkerem jakąś godzinę przed pańskim lądowaniem. Zostawiła panu wideowiadomość.

Głos Olazona był poważny, a Jag spędził dostatecznie dużo czasu w wojsku, żeby zrozumieć, co chciał mu powiedzieć sierżant. Jaina zostawiła mu jedną z tych wiadomości „na wypadek gdybym nie wrócił”, jakie żołnierze zostawiali swoim najbliższym od czasów włóczy i kamieni.

- Dlaczego mi to zostawiła? - zapytał Jag. Budynek na sterburcie oberwał z turbolasera i zamienił się w pomarańczową kulę ognia. Jag zignorował to i przeniósł wzrok na odbicie Saby. - I mam dosyć unikania odpowiedzi.

Rozległ się cichy szelest jeżące się łuski.

- Abeloth zabrała Bena i Vessstarę - wyjaśniła Saba. - Missstrzyni Ssolo razem z Missstrzem Sskywalkerem próbuje ją powssstrzymać przed... przed tym, co zamierza z nimi zrobić.

- Zaraz... to Jaina jest teraz Mistrzynią? - Jag się uśmiechnął pomimo niepokoju, jakim napełniły go pozostałe nowiny Saby. - Najwyższa pora.

Saba przechyliła pokrytą łuską głowę.

- A co, nie ussłyszałeś tego fragmentu o polowaniu na Abeloth?

- Słyszałem - zapewnił Jag. Był strasznie zawiedziony, że rozminął się z Jainą, i jeszcze bardziej zaniepokojony, kiedy dowiedział się, że wyruszyła w pogoń za Abeloth. Ale zakochał się w odważnej, oddanej i upartej kobiecie i już dawno zaakceptował fakt, że takie chwile będą się zdarzać w ich związku, a niedługo w ich małżeństwie. Nie chciałby, żeby było inaczej. - Nie rozumiem tylko, dlaczego sądziłaś, że to coś zmieni.

- Bo wiadomość ma osiem minut, a my mieliśmy tylko pięć, żeby dotrzeć na miejsssce sspotkania - odrzekła Saba. - Będzie na ciebie czekać, jak już wyssadzisz nasss w Świątyni i zabierzesz siossstrę i rodziców Missstrzyni Ssolo.

Saba wypowiedziała te ostatnie słowa od niechcenia, jakby to nie było nic wielkiego, ale Jag nagle zrozumiał, dlaczego tak bardzo jej się spieszyło, kiedy zarekwirowała jego statek razem z nim. Jag nie był oficjalnie wtajemniczony w kwestię prawdziwej tożsamości Allany Solo, ale spędził tyle

czasu z rodziną Jainy, że w końcu się domyślił, kim naprawdę jest Amelia - i dlaczego jest tak ważna dla Jedi.

- Więc oni też są w Świątyni? Jak to się stało? - spytał Jag.

- Coś poszło nie tak - odparła Saba. - Miejmy nadzieję, że Ssolo będą mieli szansę ossobiście ci to wyjaśnić.

- Zgoda - wycedził Jag. - Ale dlaczego czekaliście na mnie, żeby ich stamtąd zabrać?

- Byłeś już w atmosssferze, kiedy Ssolo poprosili o pomoc - odrzekła Saba. - A Jaina zawsze mówi, że jesssteś równie dobrym pilotem jak jej ojciec.

Serce Jaga przepełniła duma.

- Naprawdę? - spytał. - Jaina tak mówi?

- Tylko niech się panu od tego w głowie nie przewróci - wtrącił Olazon. - Zaczyna nam brakować transportu, a ten opancerzony kosmiczny pałac był najlepszym dostępnym statkiem.

- To? - zdziwiła się Tahiri. - Dwunastoosobowy Sandalso LuxiCruiser był najlepszym statkiem, jaki Jedi mogli załatwić na misję ratunkową?

- Ma wojsskowe osssłony i sssysstemy obronne? - spytała Saba.

- Oczywiście - przytaknął Jag. - Kiedy admirał Reige mi go podarował, bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że nie chciałby, żebym dał się zabić w najbliższym czasie.

- A więc tak, Sandalso LuxiCruiser to najlepsze, na co było nas stać - stwierdził Olazon. -

Wystarczająco przestronny, żeby pomieścić oddział Skoczków Próżniowych, i wystarczająco solidny, żeby dostarczyć ich na miejsce.

- Sytuacja jest aż tak zła? - naciskała Tahiri. - Nie mogliście znaleźć wolnej kanonierki do tej operacji?

- Wszysstkie ścigają Ssithów, razem z większością naszych Rycerzy Jedi - wyjaśniła Saba.

- Więc dołączysz do nasss, kiedy ona i sierżant wysiądą w Świątyni.

- A co, nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie? - Pomimo tego pytania Tahiri wydawała się właściwie zadowolona z polecenia. - Ja nawet nie jestem Jedi.

- Witaj z powrotem - odparła Saba.

Po kadłubie rozniósł się metaliczny huk, wywołany przez kawałek durastali, który uderzył w

niechronioną rufę „Prezentu”.

Rozległo się wycie alarmu informującego o uszkodzeniach, a dziób jachtu skierował się w górę.

- Zablokowana płyta wektorowa - oznajmiła Tahiri, nachylając się nad swoją konsolę. -

Zamykam dyszę wylotową numer cztery.

- Potwierdzam - zameldował Jag.

„Pożegnalny Prezent” znów zaczął lecieć normalnie, chociaż drążek chodził nieco opornie.

Jag ominął kurczący się słup ognia, który mógł być albo walącym się budynkiem, albo opadającą fontanną lawy. W końcu przez cienki woal dymu i unoszącego się popiołu dostrzegł Świątynię -

rozległą srebrną kopułę, wznoszącą się ku niebu. Saba wyciągnęła rękę między fotelami, wskazując na nieduże szare kółko, które znajdowało się może sto metrów powyżej „Pożegnalnego Prezentu”.

- Tam - przykazała. - Właz użytkowy.

- Widzę - potwierdził Jag.

Między nimi a włazem rozbłysnął turbolaserowy ogień, tym razem na tyle odległy, że fala uderzeniowa zepchnęła tylko „Prezent” głębiej w mrok. Deszcz wiązek, którym zasypywały ich działka, zmienił się w błyskającą nawałnicę, która rozświetliła chmurę popiołu niczym wnętrze tancbudy na Ryloth. Wewnętrzne światła jachtu przygasły, bo cała dostępna moc została przeniesiona na generatory osłon. Jag pchnął dźwignię przepustnicy do przodu i dwa ostatnie kilometry pokonał szaleńczym korkociągiem, który trwał nie więcej niż pięć sekund, zanim srebrzysta pochyłość ściany Świątyni wypełniła całą owiewkę kabiny.

W końcu działka laserowe nie mogły już opuścić luf tak bardzo, żeby trafić „Pożegnalny Prezent”, i nieprzerwany strumień wiązek zaczął przepływać daleko za ich rufą. Jag pociągnął za dźwignię przepustnicy i skierował jacht w stronę wskazanego przez Sabę włazu.

- Zrównoważyć osłony - polecił. - I dajcie mi namiary punktu zbornego.

- To znaczy włazu? - spytała Saba.

- Chyba że mają czekać gdzieś indziej - zastanawiał się Jag. Z tak bliska i przy tej prędkości zewnętrzna powłoka Świątyni przypominała taflę polerowanej durastali, usianą geometrycznymi wypustkami, otworami i iglicami. Detale przelatywały tak szybko, że nie sposób było odgadnąć ich funkcji. - Potrzebuję czterech sekund, żeby się zatrzymać.

Saba wskazała na ciemny owal w ścianie Świątyni ponad nimi, trochę na prawo.

- Teraz! - krzyknęła.

Jag obrócił dziób i zamknął przepustnice, gwałtownie wytracając prędkość. W miarę jak się zbliżali, owal szybko zmieniał się w szare koło. Saba i sierżant wybiegli z kabiny, kierując się w stronę rampy. Tahiri odpięła ochronną uprząż i spojrzała na Jaga.

- Poradzisz sobie beze mnie?

Pośrodku szarego koła pojawiła się linia - to właz zaczynał się otwierać.

- Idź... i bądź Jedi - odparł Jag, wyganiając ją machnięciem ręki. - I tak nie byłaś wystarczająco bezwzględna jak na Rękę Imperium.

Tahiri uniosła brew.

- Tylko dlatego, że ty byłeś zbyt nieprzekupny, żeby zostać Imperatorem.

Jag zdołał powstrzymać uśmiech do czasu, aż Tahiri opuściłaabinę. Akurat z otwartego włazu wyłonił się Han Solo, który machał jak oszalały, popędzając Jaga. Ten zbliżył się do ściany Świątyni na odległość dwóch metrów i przesunął kciuk nad przełączniki silników manewrowych, ale wstrzymał się z ich odpaleniem.

Na pulpicie sterowniczym drugiego pilota rozległ się alarm, sygnalizujący, że Saba i Skoczkowie Próźniowi otworzyli właz „Prezentu”. Nie zwracając uwagi na głośny dzwonek, Jag obiema rękami trzymał mocno drążek. W miarę jak statek zbliżał się do włazu, zaczął dostrzegać fragmenty tego, co działo się wewnątrz Świątyni - migające kolory i nagłe rozbłyski całkiem intensywnej strzelaniny. Jag włączył silniki manewrowe i skierował ich dysze do przodu, ale zaczekał, aż dziób jachtu dosięgnie krawędzi włazu, zanim ustawił je na pełną moc.

Kiedy kabina „Pożegnalnego Prezentu” przesuwała się powoli obok otwartego włazu, Jag wyciągnął szyję, żeby zajrzeć do środka. Jakies pięć metrów od włazu stał szereg hapańskich komandosów, którzy toczyli walkę z kimś w głębi Świątyni. Wspierały ich migające miecze świetlne sześciorga Rycerzy Jedi - czwórki Barabelów, a także Leii Solo i Zekka. Na podłodze za nimi Jag dostrzegł chmurę małych, ciemnych gadów. Allana Solo stała przy włazie, osłaniana przez Hana i wysoką rudowłosą kobietę.

A potem kabina minęła właz i Jag miał przed sobą już tylko ścianę Świątyni. Odwrócił ciąg silników i poczekał, aż „Prezent” się zatrzyma, po czym ostrożnie zaczął cofać, aż poczuł uderzenie rampy opadającej wewnątrz włazu. Wyłączył silniki i próbował utrzymać statek w miejscu. Nie było to łatwe. Statek kołysał się i chybotął, gdy Skoczkowie Próźniowi schodzili na ląd, a potem nadal się kołysał i chybotął, kiedy na pokład wchodzili nowi pasażerowie.

W głębi Świątyni rozległa się seria wybuchów, a bitwa zaczęła się szybko uspokajać, gdy Saba i Skoczkowie Próźniowi zajęli pozycje. Z kajuty pasażerskiej dobiegł głos Leii, która kazała Allanie pilnować, żeby Anji nie wchodziła na kanapy, a potem do kabiny przedostał się dziwny świergot, a wraz z nim smród tak obrzydliwy, że Jag założył swoją maskę do oddychania i włączył

dopływ tlenu.

Po chwili do kabiny wpadło chyba ze dwadzieścia jaszczurek wielkości dłoni. Większość z nich ciągnęła ze sobą martwe, na wpół zjedzone gryzonie lub - w paru przypadkach - coś, co wyglądało na ludzkie palce. Nagle wszędzie ich było pełno - na fotelu drugiego pilota, na komputerze nawigacyjnym, zwisające do góry nogami z owiewki kabiny. Dwie wskoczyły nawet Jagowi na kolana i usiadły, wpatrując się w niego. Jedna trzymała w pysku błękitny kciuk Keshiriego, a druga coś, co wyglądało jak skrzydło jastrzębionietoperza. Odsłoniły swoje maleńkie kły i mrugały drobnymi oczkami.

Za plecami Jaga rozległ się dziewczęcy głos:

- Nie... przyjaciel!

- Amelio? - spytał Jag.

- Eee... tak - padła odpowiedź. Allana Solo weszła do kabiny i zaczęła zdejmować małe jaszczurki z foteli i sprzętu. - Nie bój się.

- Nie boję się - powiedział przez maskę Jag. - Jestem tylko trochę zaskoczony.

- Lepiej być zaskoczonym niż przestraszonym - stwierdziła Allana. Wrzuciła kilka jaszczurek do głównej kajuty. - Mogą ugryźć, żeby zaznaczyć swoją dominację, ale przynajmniej nie będą próbowały cię zjeść.

- Dzięki za wskazówkę - odparł Jag.

Popatrzył na dwie jaszczurki siedzące na jego kolanach i przypomniał sobie, że jest pilotem tego statku. Dwie jaszczurki zamrugały jeszcze parę razy, po czym zwinęły się w kłębek na jego kolanach i zaczęły obgryzać swoje zdobycze.

Zanim Jag zdążył zapytać Allanę, co powinien teraz zrobić, za plecami usłyszał chrapliwy głos Barabela:

- Lubią cię.

Jag obejrzał się przez ramię i zobaczył Tesara Sebatyne, który spoglądał na dwie jaszczurki.

- Mam nadzieję, że nie jako zakąskę.

Tesar zasyczał dość spazmatycznie.

- Niemądry człowiek - oznajmił. - Pissklęta nie potrzebują zakąsski na zaosstrzenie apetytu. Sssa zawsze głodne.

Po statku rozniósł się cichy szczeł podnoszonej rampy, a potem do kabiny wpadł Han i podszedł do fotela drugiego pilota.

- Dobra, możemy... Jag? - Han zastygł, przymierzając się do siadania. - Co ty tu, u licha, robisz?



- Ratuję was. - Jag spojrział na dwoje piskląt, które robiły mu bałagan na kolanach. - I zgraję Barabelątek, jak widać.

- To się nazywa lęg - poinformował Han. - I cokolwiek by się działo, nie...

- ...bój się ich, wiem. - Jag włączył silniki jonowe. - Wszyscy na pokładzie?

- W każdym razie wszyscy, którzy chcieli. - Han wyciągnął szyję, żeby spojrzeć w kierunku Świątyni.  
- Kiedy ostatnio widziałem Tahiri, a także Sabę i jej Skoczków Próżniowych biegli w głąb Świątyni, ścigając tuzin Sithów.

Jag uniósł brwi.

- Zostali?

- Oczywiście, że zosstali. - Głos Tesara brzmiał trochę smutno. - Czeka ich polowanie życia!

## **ROZDZIAŁ 31**

Korytarz był duszny, ciemny i cuchnął świeżą śmiercią. Przypominał stare nory, w których Saba wraz ze swoim stadem przeczekiwała zabójczy sześćdziesięciogodzinny dzień na Barabie I.

Na trzydziestu metrach podłogi leżało kilkadziesiąt ciał - głównie hapańskich komandosów, ale było tam też kilku Sithów, a nawet garstka piskląt, które okazały się za wolne lub nie miały dość szczęścia, żeby uniknąć rzezi. Wielu Sithów nie miało palców, uszu lub innych części ciała, które głodne pisklą mogło odgryźć, przebiegając tędy, ale Saba była pod wrażeniem, widząc, że żaden z Hapan nie został pogryziony. Nauczyć młodych Barabelów, żeby nie jedli martwych przyjaciół, nie było prostą sprawą.

Oczywiście parę rzeczy w korytarzu przypominało Sabie, że to nie jest jedna z dawnych nor.

Pierwszą były kłęby popiołu. Barab I był wilgotnym światem, gdzie padało przez dwadzieścia godzin każdej nocy, więc kurz zamieniał się w błoto, zanim zdążył zapchać przewody nosowe lub podrażnić gardła. Drugą rzeczą był strumień energii Mocy, który obmywał Sabę i resztę stada.

Płynął on w głąb Świątyni Jedi, gdzie ukryta w rdzeniu komputera na poziomie 351 Abeloth karmiła się energią Ciemnej Strony, wyzwalaną przez miliardy przerażonych Coruskańczyków.

Trzecią rzeczą, która przypominała Sabie, że nie znajduje się w jednej z dziennych nor, była banda Sithów zmierzających ku niej korytarzem. W czasach, kiedy Barab I jeszcze istniał, Jedi sądzili, że Sithowie występują tylko parami - Mistrz i sługa. Saba zawsze czuła się tym zawiedziona, bo oznaczało to, że prawdopodobnie sama nigdy nie będzie miała okazji zapolować na Sitha. A nawet gdyby miała taką okazję, to zanim nabrałaby wprawę, ofiary już by wyginęły.

Ale teraz, gdy pojawiło się Zapomniane Plemię, zapasy Sithów były niemal nieograniczone - a kilkuset z nich znajdowało się właśnie pomiędzy nią a jej ofiarą.

Zaiste zapowiadały się wspaniałe łowy.

Saba przyjęła zdecydowaną postawę bojową, po czym włączyła miecz świetlny i zaczęła wywijać klingą, demonstrując efekciarską i skomplikowaną kombinację obronną. Jej celem nie było zastraszenie Sithów, ale raczej przekonanie ich, że jest nowicjuską, która sądzi, że podobny pokaz mógłby wywrzeć wrażenie na zaprawionych w boju wrogach. Stojąca obok niej Tahiri także włączyła swoją broń i uniosła klingę pionowo w geście pozdrowienia.

Moc zadrgała od pogardy, a Sithowie zrezygnowali z ostrożnych podchodów i puścili się biegiem. Saba od razu skorygowała swoją postawę, cofając się przy tym o dwa kroki. Tahiri obejrzała się na nią i widząc, że nagle znalazła się sama na przedzie, również zrobiła dwa kroki do tyłu. Od razu napełniła swoją aurę w Mocy strachem; w odpowiedzi na to Sithowie rzucili się do frontalnego ataku.

Dwa ostre trzaski odbiły się echem od durastalowych ścian i para błyskawic Mocy pomknęła korytarzem. Tahiri zrobiła krok do przodu i wykorzystując standardowy manewr obronny, przyjęła obie błyskawice na klingę, co pozwoliło jej partnerce przejść do kontrataku. Saba wyciągnęła zakończony pazurem palec w kierunku pierwszej błyskawicy i posługując się Mocą, rzuciła jednego z napastników na drugiego. Błyskawice Mocy zgasły, ale pozostali Sithowie kontynuowali atak, przeskakując lub tratując swoich leżących towarzyszy.

W słuchawce komunikatora Saby rozległ się głos Olazona, spokojny, prawie znudzony:

- Podnosimy linkę.

Nanowłókno było tak cienkie, że chociaż Saba wiedziała, gdzie patrzeć, nie potrafiła dostrzec unoszącej się w korytarzu linki. Poczła tylko nagłą konsternację Sithów, którym po plecach zaczęły przebiegać dreszcze niepokoju, a potem zobaczyła, jak biegnący na czele próbują się zatrzymać, ale zostają wepchnięci na zabójcze włókno przez rozpędzonych towarzyszy.

Jedna Sithanka została przecięta dokładnie na pół. Górna część jej ciała spadła na podłogę, podczas gdy dolna trzymała się jeszcze na nogach. Dwaj jej towarzysze rzucili się do tyłu i, tryskając krwią z rozciętych brzuchów, wpadli na nacierających kolegów.

W słuchawce Saby znów odezwał się głos Olazona:

- Jedi, padnij.

Saba i Tahiri rzuciły się na podłogę twarzą do dołu. Zanim jeszcze upadły, za ich plecami rozległo się miarowe „fuut-fuut” wygłuszonych miotaczy pocisków oddziału snajperskiego Skoczaków Próżniowych. Na trzech głowach rozkwitły czerwone kółka i trzech Sithowie runęli martwi na podłogę, zanim zorientowali się, co ich trafiło.

Pozostali zareagowali błyskawicznie, wyciągając ręce, żeby wyrwać snajperom broń przy użyciu Mocy.

- Siekacze - rozkazał Olazon.

Z dwóch magnetycznych skrzynek - które oddział saperów Olazona umieścił na ścianach korytarza, jak tylko zwiadowcy zameldowali, że zbliża się wróg - dobiegł głośny trzask i na wysokości kolan pojawiła się para ostrzy laserowych w kształcie wachlarzy. Cała szóstka Sithów krzyknęła z bólu i zdumienia i runęła na podłogę z odciętymi nogami.

- Pancerni.

Ogłuszający szczęk wstrząsnął korytarzem i czterometrowy fragment ściany przylegający do pola walki zawalił się, a przez wyłom weszła para Skoczków Próżniowych w ciężkich zbrojach.

Pierwszy z nich skierował się w głąb korytarza, żeby zapewnić osłonę, w razie gdyby wciągniętym w zasadzkę Sithom pospieszyli na pomoc kolejni. Drugi pancerny zatrzymał się na skraju korytarza i pokrył podłogę gradem strzałek, zabijając wszystko, co jeszcze nie było martwe.

Niecałe sześćdziesiąt sekund po pierwszym ostrzeżeniu pancerny numer dwa przestał strzelać i oznajmił:

- Pole walki oczyszczone.

- Oczyszczyć przedpole - polecił pancerny numer jeden.

- Podejście czyste, dwieście metrów - zameldował zwiadowca numer jeden.

- Tył czysty - zameldował snajper numer jeden. - Trzydzieści metrów.

- Wszystko czyste - stwierdził Olazon. - Dobra robota. Dobra zasadzka.

- Dobre ssstado - dodała, wstając, Saba. - Ich długoogoniassste nassstępnym razem nie będą już takie bojowe, ona sssądzi. Teraz rozpoczynamy polowanie.

- Polowanie? - spytała Tahiri, stając obok Saby. - A więc od początku chciałaś, żeby

„Pożegnalny Prezent” odleciał bez nas i bez Skoczków Próżniowych?

- Był przeładowany - wyjaśniła Saba. - A na nasss czeka tutaj zwierzyna... gruba zwierzyna.

Podczas gdy one rozmawiały, Olazon i jego Skoczkowie Próżniowi powoli wychodzili ze swoich kryjówek. Jeden z oficerów technicznych zaczął zbierać komunikatory, a drugi w tym czasie przypiął magnesy na kolana i rozpoczął wspinaczkę po ścianie korytarza.

Tahiri obserwowała przez chwilę przygotowania, a w końcu zmrużyła oczy.

- Chciałaś akurat „Prezent” dlatego, że ja byłam na pokładzie, prawda? - spytała. - Chciałaś, żebym ruszyła z tobą w pogoń za kolejnym z wcieleń Abeloth.

Saba wzruszyła ramionami.

- To był pomysł Missstra Horna - oznajmiła. - Ale jedną Abeloth już zabiłaś. Kiedy nadejdzie czas, ona liczy, że pozwolisz Missstrzyni zadać pierwszy cios.

Zanim Tahiri zdążyła się zgodzić, techniczny numer jeden stanął między nimi i wyciągnął rękę.

- Musicie mi oddać komunikatory - oznajmił. - I chronometry, jeśli mają funkcję autokontroli.

Widząc, że techniczny numer dwa przytwierdza dociskami magnetycznymi niewielką srebrną kulę obok kamery, która monitorowała tę część korytarza, Saba szybko oddała urządzenia, ale jeszcze zapytała:

- A co z mieczami świetlnymi i blasterami?

- Nie tym razem - odparł techniczny. - To tylko mały oślepiacz. Zakłóca fale radiowe i częściowo elektromagnetyczne.

Tahiri oddała swój sprzęt.

- Uszkodzacie system monitoringu?

- Wszystko w promieniu trzystu metrów w każdym razie - wyjaśnił techniczny. - Nie da rady załatwić za jednym zamachem całego systemu bez unieruchomienia każdego śmigacza i kanonierki w promieniu pięćdziesięciu kilometrów.

Tahiri popatrzyła na Sabę.

- Nie ma jakiegoś zapasowego wejścia do systemu monitoringu Świątyni?

- Oczywiście, że jest - odrzekła Saba. - Ale Abeloth weszła do rdzenia komputera i je ussunęła, razem ze wszystkimi innymi. Kontroluje teraz wszystkie systemy w Świątyni.

Oczy Tahiri rozszerzyły się z niepokoju - a może z podniecenia. W przypadku ludzi Saba nigdy nie była pewna.

- Mówiąc „weszła” - dociekała Tahiri - masz na myśli, że Abeloth faktycznie przeniosła swoją obecność w Moc do obwodów komputera, tak jak Callista na pokładzie „Oka Palpatine’a”?

- Tak... i dlatego właśnie musimy zniszczyć system monitoringu - tłumaczyła Saba, zmuszając się do zachowania cierpliwości. - Jeśli chcesz zabić kranbaka, najpierw musisz wydłubać mu oczy.

- Ale to znaczy, że trzeba by umieścić oślepiacz co sześćset metrów. - Tahiri przerwała, żeby przeprowadzić obliczenia, a potem na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie. - Będziemy tu siedzieć kilka dni.

- Zleci szybciej, niż myślisz, Jedi Veilo - zapewniła Saba. - Mamy dużo do zrobienia, zanim Missstrz Ssskywalker da sssygnął do ataku.

Od odlotu z Coruscant nie dostali nic do picia, więc mroczne wody Fontanny Siły zaczynały kusić nawet Bena. Podróż trwała kilka dni, a Abeloth odmawiała swoim więźniom zarówno wody, jak i jedzenia, namawiając ich za to, żeby zrzucili kajdany śmiertelności i przyjęli swoje przeznaczenie. Ben miał według niej zostać wiekuistym Księciem Światła i podsycać bliźniacze płomienie sprawiedliwości i miłosierdzia. Vestara miała stać się ponętną Córką Nocy - strzec zakazanych tajemnic Mocy i tchnąć życie w galaktykę, wypełniając sny obrazami piękna i pożądania. Wszyscy troje jako Jedyni mieli żyć wiecznie i kształtować galaktykę według własnego życzenia.

Ben i Vestara nieopatrznie powiedzieli Abeloth, że woleliby umrzeć, niż stać się częścią tego obłądnego planu, i teraz stali plecami do siebie w żółtej mgłę, która otaczała Fontannę Siły.

Nosy i gardła mieli podrażnione od jej żrących oparów i szczypały ich oczy, ale byli tak odwodnieni, że ich ciała błagały o wodę - mimo że była tak skażona energią Ciemnej Strony, że przyprawiała ich o dreszcze. Głowy pękały im z bólu, obraz przed oczami stawał się niewyraźny, a myśli powolne i mętne. Musieli się napić albo umrzeć - a ciało postawione przed takim wyborem zawsze wybierało picie.

Ben poczuł, jak ramię Vestary ociera się o jego ramię, i domyślił się, że dziewczyna spogląda w kierunku Fontanny... niewątpliwie zastanawiając się nad tym samym, co i on. Co by się stało, gdyby się napili? Czy mogli zaryzykować chociaż łyk?

- Nie rób tego, Ves - wychrypiał Ben przez wyschnięte i spuchnięte gardło. - Ona tego właśnie chce, dlatego nie dawała nam pić przez całą podróż. Żebyśmy się napili z Fontanny.

Ramię Vestary się nie cofnęło.

- To może być lepsze od śmierci, Ben.

- Myślisz? - spytał Ben. - Chyba pamiętasz, co się stało z Taalonem?

- Tam była Sadzawka Wiedzy - zauważyła Vestara. - I on wpadł do środka.

- A to jest Fontanna Siły - odparł Ben. - Czuję, jak tryska z niej Ciemna Strona. Naprawdę sądzisz, że można tego dotknąć i nie stać się takim dziwadłem jak on?

- To może być lepsze od śmierci - powtórzyła Vestara.

Kilka metrów dalej mgła się skłębiła i Abeloth przemówiła swoimi wielorakimi głosami.

- Widzisz, Ben? Nie można jej ufać. Nie potrafi oprzeć się pokusie. - Wirujące kłęby przybliżyły się i zmieniły w upiorną twarz. Twarz miała małe srebrzyste oczka i za szerokie usta, pełne ostro zakończonych kłów. - Po to cię tu przywiodłam. Żebyś się przekonał, komu naprawdę możesz ufać.

Vestara odwróciła się i stanęła u boku Bena.

- Niby tobie?

- To nie ja ukrywam przed nim swoją zdradę - odrzekła Abeloth.

- Jeśli mówisz o ataku na „Sokoła” - wtrącił Ben - to już wszystko wiem. Vestara powiedziała mi, co się stało.

- Tak, ale czy powiedziała ci wszystko? - spytała Abeloth. - Czy powiedziała ci o...

- Oczywiście, że tak. - Vestara spojrzała Benowi w oczy. - Nie wolno ci jej słuchać, Ben.

Ona próbuje nas poróżnić.

- Nie obawiaj się, Ves. Nie uda jej się - zapewnił Ben. - Mamy tylko siebie. I nie ma mowy, żebym to odrzucił tylko dlatego, że ona mnie do tego namawia.

- Brawo, Ben - pochwaliła Vestara. - Musimy pamiętać, kto nas trzyma w niewoli.

- Sama trzymasz się w niewoli, Vestaro - skwitowała Abeloth. Uniosła rękę i cztery trzepoczące macki wskazały na wzburzoną Fontannę. - Potęga, której pragniesz, jest tam. To Ben cię powstrzymuje, nie ja.

Vestara zerknęła na słup ciemnej wody, ale pokręciła głową.

- Nie, Ben ma rację - oceniła. - Gdybyśmy się napili z Fontanny, to by nas zniszczyło, a nie ocaliło.

Abeloth opuściła rękę.

- Decyzja należy do was. To wy będziecie musieli z nią żyć. - Rozpłynęła się we mgle. -

Albo przez nią umrzeć.

Ben czekał, aż znikną nawet smugi, które zostawiła za sobą, po czym pochwalił:

- Dobra robota, Ves. Przetrzymamy to, jeśli tylko będziemy trzymać się razem.

- Nie zrozum mnie źle, Ben, ale to stek *poodoo*. - Vestara znów odwróciła się do niego plecami. - Jakbyś nie zauważył ostatnich stu razy, kiedy próbowaliśmy opuścić dziedziniec. Nie mamy szans na dotarcie do jakiejś bezpiecznej wody.

- Pewnie nie. - Ben przysunął głowę najbliżej Vestary, jak tylko mógł, i wyszeptał: - Ale musimy się trzymać. Tata jest w drodze. Czuję, jak sięga ku mnie poprzez Moc.

- Jesteś pewien? - szepnęła Vestara.

- Myślisz, że okłamałbym cię w takiej sprawie? - zdumiał się Ben. - Zaufaj mi. Wkrótce tu dotrze.

- Kiedy?

- Najszybciej, jak to możliwe - zapewnił Ben. - Staralem się mu przekazać, że jesteśmy w rozpaczliwej sytuacji.

- No, to już coś... chyba.

- To nadzieja - rzucił pospiesznie Ben. - A nadzieja pozwoli nam to przetrwać... jeśli tylko będziemy się trzymać razem.

Vestara zamilkła, a po chwili powiedziała:

- Jestem z tobą, Ben. To się nie zmieeee... aaa!

Wpadła z krzykiem na Bena, który natychmiast się odwrócił i zobaczył, że Abeloth rzuciła się na Vestarę, próbując wepchnąć jej macki do ust i nosa. Nie mając miecza świetlnego ani żadnej innej broni, Ben wszedł pomiędzy nie i rąbnął Abeloth w pierś nasadą dłoni, równocześnie atakując ją napędzanym paniką podmuchem energii Mocy.

Abeloth pofrunęła do tyłu, rozsiewając kropelki krwi. Vestara odzyskała równowagę i przyjęła postawę bojową z uniesionymi rękami, gotowa do walki, albo wręcz, albo przy użyciu Mocy. Ben wpatrywał się ze zdumieniem w czerwoną mgiełkę, którą zostawiła za sobą Abeloth, zaskoczony siłą podmuchu Mocy, który przed chwilą uwolnił. Poczł chłód i mdłości od nadmiaru energii Ciemnej Strony. Gdyby nie był tak odwodniony, prawdopodobnie by zwymiotował.

- Ben? - Vestara złapała chłopca za rękę i podeszła bliżej, żeby go podtrzymać. - Wszystko w porządku?

- Będzie w porządku, jak tylko pozbędę się tej zgnilizny - oznajmił.

- Zgnilizny?

Ben wskazał kciukiem na Fontannę Siły.

- Moc wokół Fontanny jest skażona - wyjaśnił. - Mnóstwo Ciemnej Strony.

Vestara spojrzała na słup ciemnej wody.

- Możliwe, że i tak będziemy musieli jej użyć, Ben. Tylko ją mamy do obrony.

- Wykluczone... to jest jak trucizna - zaprotestował Ben. - Nie możemy używać Mocy, dopóki nie wydostaniemy się z tej mgły.

Vestara pokręciła głową.

- Wiesz, że to niemożliwe - stwierdziła. - Dlatego Abeloth nas tu trzyma. Chce nas zatruć.

- Nie pozwolimy jej - odparł Ben. - Nie użyjemy Mocy.

- Ben, będziemy musieli - upierała się Vestara. - To jedyny sposób, żeby ją powstrzymać do czasu, aż zjawi się twój ojciec.

Ben zamilkł. Za ledwie przedsmak energii Ciemnej Strony z Fontanny przekonał go, że lepiej byłoby umrzeć, niż dać się nią skalać. Ale wiedział, że nie umrą, że Abeloth użyje ich jako swoich awatarów, tak jak zrobiła z Callistą i Akanah i wieloma innymi. A wtedy przekonają się na własnej skórze, co znaczy los gorszy od śmierci.

- W takim razie musimy spróbować uciec - zdecydował Ben. - Ona się nie rozdzieli, więc przynajmniej jednemu z nas powinno się udać.

- A co potem? - spytała Vestara.

- Potem postaramy się, żeby nie zrobiła awataru z tego, kto zostanie z tyłu - odrzekł Ben. -

Używaliśmy już tutaj Mocy, więc wiemy, że skażenie sięga tylko paru metrów wokół Fontanny.

Kiedy oboje się stąd wydostaniemy, znów będziemy mogli walczyć, używając Mocy.

- A więc jedno z nas prawie na pewno zginie? - zapytała Vestara. - A drugie będzie musiało je zabić?

- Prawdopodobnie - przyznał Ben. - Ale to i tak lepsze rozwiązanie.

Vestara zwróciła się w stronę Fontanny.

- To jeden punkt widzenia.

Ben zmarszczył brwi, nie bardzo wiedząc, co Vestara sugeruje.

- Jeśli masz inny pomysł, zamieniam się w słuch.

- Może śmierć nie jest najlepszym wyjściem. - Vestara odwróciła się w stronę Bena i położyła mu rękę na piersi. - Może istnieje jakiś powód, dla którego tu jesteśmy... powód, dla którego w ogóle się spotkaliśmy.

Ben ściągnął brwi jeszcze mocniej.

- Niby jaki?

Vestara zrobiła krok do tyłu, jakby jego surowy ton ją odepchnął.

- Musimy wypełnić wolę Mocy, Ben.

- A wiesz, jaka jest ta wola?

Vestara pokiwała głową, po czym odwróciła się w stronę Fontanny Siły.



- Chyba tak, Ben.

- Nie podoba mi się to - zaprotestował Ben, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem. - Ves, chyba nie mówisz poważnie?

Vestara wciąż wpatrywała się w ciemne wody Fontanny.

- Owszem, Ben. Gdybyśmy się napili oboje, bylibyśmy silniejsi od Abeloth, prawdopodobnie wystarczająco silni, żeby ją pokonać. - Wzięła Bena za rękę. - A czy to nie byłoby najlepsze dla galaktyki?

Minęły trzy dni, odkąd fregata „Czerwona Gwiazda” wysadziła Luke’a i Jainę przy wejściu do Otchłani, co oznaczało, że minęły też trzy dni, odkąd Luke otrzymał zmięty kawałek flimsiplastu, który miał teraz w dłoniach. Zapisany był na nim tekst krótkiej wiadomości od Corrana Horna. Łącznościowiec „Czerwonej Gwiazdy” odebrał ją, gdy tylko fregata wyszła z nadprzestrzeni w pobliżu Otchłani.

SOLO EWAKUOWANI Z AMELIĄ.

JEDI WARV ZABITY W ATAKU SITHÓW PROWADZONYM PRZEZ VESTARĘ

KHAI.

„SOKÓŁ” USZKODZONY, ALE CEL NA RAZIE BEZPIECZNY.

Wiadomość składała się tylko z trzech krótkich zdań, ale poraziła Luke’a bardziej niż wszystkie rany, jakie odniósł, walcząc z Abeloth. Zaufał Vestarze. Ba, sam nawet przekonywał

innych Mistrzów, że przyda im się w Świątyni w czasie walki z Sithami.

Jak bardzo się pomylił!

Jego błąd kosztował życie Bazela Warva i - zakładając, że trafnie interpretował rzucające się w oczy słowo „cel” - omal nie zabił Allany. Teraz, po trzech dniach medytacji, wciąż był pełen wątpliwości. Zastanawiał się, w czym jeszcze mógł się pomylić, i miał opory przed zawierzeniem własnemu osądowi.

A czas uciekał.

„Przykra Niespodzianka”, niewielka, elegancka pinasa szturmowa wyprodukowana dla Skoczków Próźniowych, elitarniej formacji piechoty kosmicznej, zbliżała się już do wąskiego gardła w podwójnym układzie czarnych dziur, gdzie kiedyś zawieszona była Stacja Ujście. Luke gołym okiem widział już okolone ogniem dyski akrecyjne dwóch czarnych dziur pośrodku przedniego iluminatora - i czuł Bena, który przyzywał go poprzez Moc z ukrytej planety Abeloth.

A Luke wciąż nie wiedział, co robić. Nie miał pojęcia, czy podążając za Benem, wypełnia wolę Mocy, czy się jej przeciwstawia.

Historie Thuruht przekonały jego i resztę Rady Jedi, że galaktyka podlega regularnemu cyklowi zniszczenia i odnowy i że Abeloth - jakkolwiek szalona i niebezpieczna - odgrywa w tym cyklu kluczową rolę. Cykl jednak został zaburzony przez śmierć Jedynych, a gdy zabrakło Syna i Córki, nie było nikogo, kto mógłby opanować rozpetany przez Abeloth chaos i nadzorować budowę nowego więzienia przez Thuruht. Gdyby samym Jedi nie udało jej się powstrzymać - a to był w mniemaniu Luke'a wielki znak zapytania - wówczas dalej rozsiewałaby chaos i zniszczenie, aż z galaktyki zniknęłyby wszelkie ślady cywilizacji.

- Potrzebujesz porady od najmłodszej Mistrzyni w Radzie? - spytała z drugiej strony kabiny Jaina. Jeszcze drobniejsza niż jej matka, wyglądała prawie jak dziecko, siedząc w fotelu pilota, zaprojektowanym dla dwumetrowego Skoczka Próżniowego w pełnym rynsztunku. - Nie to, żebyś chciała cię popędzać, ale podzielony umysł nie może wygrać.

Luke uniósł brew.

- Przerywasz mi medytacje, żeby zacytować aforyzm, którego banthy uczą się w drugim tygodniu szkolenia?

- Tak - skwitowała Jaina. - A poza tym niedługo zostaniemy zaatakowani.

- Wyczułaś Statek?

- Jeszcze nie - odparła Jaina. - Ale wlatujemy w wąskie gardło i ja bym właśnie tutaj urządziła zasadzkę.

Luke pokiwał głową.

- A Abeloth chce nas w nią wciągnąć - potwierdził. - Ben próbował mi przekazać, że ich sytuacja jest rozpaczliwa.

Jaina popchnęła przepustnice do ograniczników przeciążenia.

- I nie polecieś nic pilotowi?

- Nie tylko ty spodziewasz się zasadzki.

Luke już miał jej nakazać, żeby zdławiła przepustnice, ale uznał, że Jaina jest tak samo świadoma obecności Statku, jak on, i że lepiej pozostawić pilotowanie jej, a potem omal nie powiedział, żeby jednak zwolniła, tak aby mogli opracować jakiś plan. Na tym polegał problem z emocjonalnym zaangażowaniem w misję. Zaburzało zdolność trzeźwego myślenia, utrudniając podjęcie decyzji. Luke niczego tak nie pragnął jak pospieszyć Benowi na pomoc. Wiedział jednak, jak niemądry byłby to krok. Abeloth starała się go zwabić, zmusić, żeby ruszył do akcji bez przygotowania, bo to był najprostszy sposób na pozbycie się go.

No i była jeszcze jedna kwestia - ta, która pochłaniała jego myśli od czasu wylotu z Coruscant.

- W dodatku wciąż nie jestem pewien, czy dobrze robimy.

Zdumienie Jaiiny zadrgało w Mocy. Oderwała wzrok od ognistych kręgów i popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Ścigając Abeloth?

- Mniej więcej - odparł Luke. - Podążając za Benem i Vestarą.

- To wszystko część tego samego problemu - odpowiedziała nieco za szybko Jaina.

Argumentowała za tym, w co chciała wierzyć, a nie za tym, czego była pewna. - Żeby uratować Bena i schwytać Vestarę, musimy załatwić Abeloth. Kiedy załatwimy Abeloth, uratujemy Bena i schwytnamy Vestarę.

- To jeden punkt widzenia - przyznał Luke. - Ale... zajrzałem do Archiwów, żeby poszukać jakichś informacji na temat monolitu z Mortisa.

- No i?

- Znalazłem potwierdzenie w raporcie Obi-Wana - oznajmił Luke. - Było tak, jak mówił

Yoda. Obi-Wan sądził, że on i Anakin zostali ściągnięci na Mortisa tylko dlatego, że Ojciec był umierający i chciał, żeby Anakin Skywalker zajął jego miejsce jako Strażnik Równowagi.

Jaina otworzyła z wrażenia usta.

- Prawdziwy Wybraniec - stwierdziła. - I co się stało?

- Oczywiście Anakin się nie zgodził - odrzekł Luke. - W rezultacie Syn zamordował Córkę specjalnym sztyletem nasyconym Mocą, a Ojciec przechytrzył Syna, popełniając samobójstwo przy użyciu tego samego sztyletu, żeby Anakin mógł zabić Syna.

Jaina pokiwała głową.

- Wiem, o czym myślisz. To odmowa twojego ojca doprowadziła do śmierci Jedynych, więc może przeznaczeniem twojego syna jest zostać nowym Strażnikiem Równowagi?

- Jesteś blisko - oświadczył Luke. - Zastanawiam się, czy przeznaczeniem Bena nie jest zajęcie miejsca Córkę jako ucieleśnienia Jasnej Strony.

- A przeznaczeniem Vestary jest zostać ucieleśnieniem Ciemnej Strony?

- Po tym, jak nas wykiwała, musisz przyznać, że pasuje do tej roli - zauważył Luke. - A skoro są w sobie zakochani...

- Uważasz, że to na kilometr pachnie wolą Mocy - dokończyła Jaina. - Dwoje kochanków, przeciwieństwa połączone ze sobą.

- Coś w tym stylu - przyznał Luke. - I wiesz, że nie chodzi tylko o Archiwa. Mam inne powody, by sądzić, że to może być wola Mocy. Jak wszyscy Mistrzowie.

Jaina westchnęła.

- To tamten sen - przypomniała. - Ben i Vestara walczący o Równowagę na dziedzińcu Fontanny Siły.

- Właśnie - potwierdził Luke. - Gdybym tylko ja to zobaczył, to można by to ostatecznie zlekceważyć jako zwykły sen. Ale kiedy wszystkim Mistrzom śni się to samo...

- No dobra, trudno to zignorować - zgodziła się Jaina. - Ale wola Mocy? To dosyć aroganckie twierdzić, że Moc mówi ci, czego chce. Takie właśnie myślenie doprowadziło Jacena do... do tego, co zrobił.

Podczas gdy Jaina to mówiła, okolone ogniem kręgi dwóch czarnych dziur przed nimi zaczęły rosnąć i odsuwać się szybko od siebie. Dwoje Mistrzów zbliżało się do punktu, z którego nie było już powrotu, a Luke wciąż nie wiedział, czy podążanie za Benem było słuszne. Być może był takim samym egoistą jak jego ojciec, kiedy nie zgodził się zostać Strażnikiem Równowagi.

Może wszystko, co po tym nastąpiło - narodziny jego i Leii, potem narodziny Bena, śmierć Mary i krótka podróż Bena w mrok - było przeznaczeniem. Może była to po prostu droga do tego, żeby nowa trójka przywróciła Równowagę w Mocy.

Luke pokręcił głową.

- Jaina, chciałbym się z tobą zgodzić, powiedzieć, że musimy zrobić to, co samo się narzuca, i uratować Bena. Ale...

- ...ale w tym właśnie problem - dokończyła Jaina. - Chcesz się zgodzić i dlatego nie możesz mieć pewności, czy to słuszny wybór.

- Nie ma emocji, jest spokój - potwierdził Luke. - Ale ja jestem przepełniony emocjami.

Boję się o Bena i to utrudnia mi ocenę sytuacji.

- To oczywiste - uznała Jaina. - Jesteś jego ojcem i to też jest częścią Mocy.

Luke zmarszczył brwi.

- Nie bardzo rozumiem, jak miałyby mi to pomóc.

- Chodzi mi o to, że nie możesz ignorować tego, kim jesteś - wyjaśniła Jaina. - Jeśli Moc ingeruje w los Bena, to ingeruje też w twój. Nie możesz stawiać się ponad wolą Mocy, bo popełnisz ten sam błąd co Jacen.

- Więc mam po prostu zrobić to, co chcę? - Luke pokręcił głową. - Wybacz, ale życie nigdy nie jest...

- Nie, chcę powiedzieć, że masz zrobić to, co wiesz, że jest słuszne - sprostowała Jaina. - A ty wiesz, co jest słuszne. To jest proste. To zawsze jest proste.

- A więc kieruj się zasadami - konkludował Luke, sprowadzając jej argumentację do trzech słów. - Nie przejmuj się efektami.

- Śmiertelnicy nie zawsze mogą przewidzieć efekty - odparła Jaina. - Nie możemy mieć pewności. Możemy jedynie działać w zgodzie z naszą prawdziwą naturą, a resztę pozostawić Mocy.

- I po prostu zignorować wizje, które zsyła nam Moc?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła Jaina. - Ale też nie brać ich dosłownie. W końcu Moc nie wysyła nam wiadomości przez komunikator, prawda?

Luke zdobył się na półuśmiech.

- Chyba nie - przyznał. - Kiedy przemawiają sny, robią to za pomocą symboli.

- Właśnie - zgodziła się Jaina. - Więc kim jest Ben? Idealnym Jedi, tak?

- A Vestara jest czystym Sithem - dodał Luke. - To Jedi i Sithowie muszą zająć miejsce Syna i Córki... i rozprawić się z Abeloth.

- Ja tak uważam - oświadczyła Jaina. - Nie wiem tylko jednego: jeśli Ojciec nie żyje, kto ma strzec Równowagi?

Luke myślał przez chwilę, a potem stwierdził:

- Myślę, że my. Jedi i Sithowie. Thuruht uważa, że galaktyka wkracza w nową erę za każdym razem, kiedy uwalniana jest Abeloth, a ten sen oznacza, że to Jedi i Sithowie, jedni i drudzy, postępując w zgodzie ze swoją naturą, będą utrzymywać Równowagę.

- Więc Jedi i Sithowie mają trwać w stanie wiecznej wojny? - spytała Jaina.

- Nie wiecznej - zaproponował Luke. - Tylko do czasu, aż znów zostanie uwolniona Abeloth.

- O ile zdołamy ją powstrzymać tym razem - zauważyła Jaina. - A to wielki znak...

Jej głos zagłuszyło nagle wycie alarmów, ostrzegających o namierzeniu. Rozpoczęła manewr wymijający, kiedy jednak spojrzała na odczyty grawitacyjne, najwyraźniej zdała sobie sprawę, że są zbyt głęboko wewnątrz wąskiego gardła, żeby ryzykować taki manewr. Włączyła po prostu automatyczne działka laserowe i osłony, a potem przyglądała się szeroko otwartymi oczami, jak kolorowe smugi zaczynają śmigać w obie strony między małym stateczkiem a aureolą wielkości pyłku, zawieszoną centralnie pomiędzy dwiema czarnymi dziurami, która blokowała jedyną drogę do ukrytego świata Abeloth.

- Statek? - spytał Luke.

- Cóż by innego? - odparła Jaina z wyraźnie słyszalnym w głosie napięciem.

- Racja. - Luke odpiął ochronną uprząż, wstał i skierował się w stronę rufy. - Nie wleć w czarną dziurę, ale spróbuj go ominąć. Zrób dobre wrażenie.

- Zaraz, zaraz... dobre wrażenie? - Jaina obejrzała się za nim. - A ty dokąd?

- Przypiąć się do koi - oznajmił Luke. - Nie wiem, ile to potrwa, więc wolę mieć pewność, że moje ciało pozostanie w pozycji leżącej, kiedy będę je opuszczał.

## ROZDZIAŁ 32

W miarę jak „Przykra Niespodzianka” mknęła naprzód, okolone ogniem kręgi zaczęły błyskawicznie rosnać i odsuwać się od siebie, pozostawiając przestrzeń między nimi pokrytą siatką płonących kłębow gazów akrecyjnych. Widoczny na tym jaskrawym tle Statek również zaczął

rosnać, zmieniając się z punkciku wielkości drobinki pyłu w ciemną kulę rozmiarów kciuka Jaina.

Między obydwojma okrętami płynął w obie strony nieprzerwany strumień ognia - wiązek laserowych z działek „Niespodzianki” i kul plazmy ze Statku. Obie jednostki przyjmowały ataki prosto na przednie osłony, nie próbując ich nawet unikać. W coraz bardziej zwężającym się korytarzu między dwiema czarnymi dziurami nie było miejsca na żadne manewry ani nawet na ucieczkę. Umiejętności pilotażu nie miały znaczenia, podobnie jak szkolenie w walce. Piloci mieli tylko jedno jedyne wyjście - bezpośrednie starcie.

A z takiej walki zwykle cało wychodził ten pilot, który atakował szybciej i mocniej. Jaina sprawdziła odległość, i widząc, że dwa statki zbliżają się do siebie nawet szybciej, niż sądziła, uzbroiła pierwszy pocisk „Przykraj Niespodzianki”.

Nie bez przyczyny wybrała „Przykrą Niespodziankę” - była to pinasa szturmowa Skoczków Próżniowych. To oznaczało, że potrafi szybko się przemieszczać, unikać wykrycia, wytrzymać nawałę wroga i przeprowadzić miażdżący atak. Był to jeden z najgroźniejszych taktycznych statków bojowych w galaktyce, zaprojektowany, by mierzyć się z mandaloriańskim Bes’uliikiem i wyjść z tej konfrontacji zwycięsko. Jaina nie wyobrażała sobie lepszej jednostki do bezpośredniego starcia ze Statkiem - zwłaszcza po tym, jak załadowała cały magazyn amunicji głowicami z baradium. To dopiero „przykra niespodzianka”.

Komputer celowniczy zabrzęczał, oznajmiając, że Statek znalazł się w skutecznym zasięgu pocisków. Jaina nie próbowała nawet oznaczyć celu. Statek i tak nie dałby się namierzyć, a w tej walce szybki atak był wszystkim. Wystrzeliła po prostu pocisk, po czym zdławiła przepustnicę, żeby „Niespodzianka” nie znalazła się w polu rażenia, kiedy baradium eksploduje. Przed kabiną pojawił się ognisty biały krąg, który skurczył się szybko do rozmiarów kropki, gdy pocisk pomknął

w stronę celu.

Po chwili na wprost „Niespodzianki” pojawiła się drobna szara plamka. W mgnieniu oka urosła,

zmieniając się w podłużną szarą bryłę jednego z kamieni, ciskanych przez Statek przy użyciu Mocy. Jaina zwalczyła odruch, każący jej próbować uniknąć trafienia - byłby to błąd, który mógł przenieść ich poza pobliski horyzont zdarzeń - i wcisnęła przycisk interkomu na drążku sterowniczym.

- Trzymać się tam z tyłu - ostrzegła. - To nam rozwali osłony.

Luke wyskoczył gwałtownie z ciała i zawisł nad nim, wpatrując się w spód koi powyżej.

Minał tydzień, a może tylko sekunda - nie miał pojęcia. Poza ciałem czas nie istniał. Uderzenie serca trwało tydzień, życie mijało w jednej chwili. Ale Luke Skywalker pozostał - przejaw esencji Mocy obejmującej umysł i ciało, bardziej rzeczywistej niż materialna skorupa, którą pozostawił przywiązaną do koi.

Wypuścił powietrze albo wyobraził sobie, że to robi, i jego więzy z własnym ciałem osłabły.

„Nie ma życia, jest tylko Moc”, głosił kodeks Wędrowców Umysłów, którzy twierdzili, że to, co materialne, jest tylko iluzją, a żywa istota jest jedynie świetlistym wirem w Mocy. I być może mieli rację.

Luke znów wypuścił powietrze i pojawił się nad nim fioletowy blask, który prześwitywał

przez prymitywną materię górnej koi, jakby była hologramem. Mistrz Jedi wyciągnął rękę i światło zalało go, wypełniając spokojem tak głębokim jak kosmos. Stał się Mocą, a Moc stała się nim - i znał już jedynie czystą, wieczną radość istnienia.

Przywołał w pamięci jezioro, które kiedyś odwiedził - wąskie górskie jezioro, wtulone pomiędzy granitową kopułę a usianą głazami łąkę z kępami sięgającego do kolan mchu - i zaczął

ić. Nie sposób było stwierdzić, czy podróż trwała tydzień, czy chwilę. Ale nagle się tam znalazł.

Stał na brzegu Jeziora Widm, spoglądając ponad jego nieruchomymi, czarnymi wodami na srebrne mgły, które skrywały drugi brzeg.

We mgle nie było widać żadnej unoszącej się sylwetki, żadnej na wpół ukrytej kobiety, która przywoływałaby go gestem do siebie. Nigdzie nie było Abeloth.

Oczywiście, że nie jej było. To Luke dążył do konfrontacji, nie Abeloth. Ona była zbyt zajęta tworzeniem swojej boskiej rodziny - przekształcaniem Bena i Vestary w wypaczoną wersję Syna i Córki, którzy niegdyś strzegli Równowagi w Mocy. Ostatnią rzeczą, jakiej Abeloth teraz pragnęła, było zmierzyć się z Lukiem w ostatecznej walce, którą mogła przegrać.

Ale decyzja nie należała do niej.

Luke wszedł do wody i zaczął w niej brodzić. Idąc, nie wydawał żadnych odgłosów ani nie marszczył ciemnej tafli. Wkrótce kępy mchu i głazy na brzegu zaczęły rzucać odbicia nie samych siebie, ale twarzy zmarłych - Wookiech, Barabelów, ludzi i setki innych ras. Oczy ich wszystkich

zdawały się obserwować Luke'a. Niekiedy zdradzały rozczarowanie na widok twarzy, która nie należała do żadnego z ich bliskich, kiedy indziej pojawiał się w nich błysk zaciekawienia, gdy rozpoznawały w nim Wielkiego Mistrza Zakonu Jedi.

Wiele twarzy, które widział, należało do starych przyjaciół - Gannera Rhysode'a, Numy Rar, Tresiny Lobi i kilkunastu innych - ale szedł dalej, nie zatrzymując się. W ciągu czterdziestu lat, które spędził jako Jedi, Luke stracił pewnie setkę dobrych przyjaciół i więcej znajomych, niż mógł

zliczyć; był pewien, że oni rozumieją, iż nie ma czasu, żeby z każdym się przywitać.

W końcu odnalazł twarz, której szukał - szczupłą kobiecą twarz okoloną kasztanowymi włosami, o wydatnych kościach policzkowych, pełnych ustach i dużych zielonych oczach. Patrzyła na Luke'a z tęsknotą i rosnącym niepokojem. Zatrzymał się przy niej i ukucnął, czekając, aż twarz wypłynie na powierzchnię. Żałował, że tak rozpaczliwie potrzebuje pomocy, o którą chciał prosić.

Gdy tylko jej twarz wynurzyła się na powierzchnię, uniosła brwi i powiedziała:

- Musimy przestać się spotykać w ten sposób, Skywalker.

Luke uśmiechnął się mimowolnie.

- To ostatni raz, obiecuję - odparł. - Mara, potrzebuję twojej pomocy.

- Niewiele już mogę dla ciebie zrobić - oznajmiła Mara. Wyglądała bardziej na zawiedzioną niż zmartwioną. - Wiesz o tym.

- Czy możesz mi pomóc wyciągnąć Abeloth?

Mara przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu, a potem pokręciła głową.

- Nie możesz jej zabić, Luke. Ona jest jedną ze Starych Jedynych.

- Nieważne, kim jest - zachnął się Luke, bardziej gniewnie, niż zamierzał. - Ona zabrała Bena.

Mara otworzyła szeroko oczy, ale nic nie powiedziała.

Odezwał się za to pogardliwy głos po lewej stronie Luke'a.

- Jak mogłeś na to pozwolić?

Luke obejrzał się i zobaczył wychudłą twarz Jacena Solo, wyglądającą z ciemnych wód.

- Próbowaliśmy zapobiec katastrofie, którą ty spowodowałeś.

Usta Jacena wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu.

- Wy, Jedi, zawsze musicie winić Ciemnego Lorda za własne słabości, co?



- Moje słabości nie mają z tym nic wspólnego - oświadczył Luke. - To ty uwolniłeś Abeloth.

- Ja? - spytał drwiąco Jacen. - Przecież byłem martwy.

- Thuruht twierdzi, że to się stało, kiedy zmieniłeś przyszłość - wyjaśnił Luke. - Mówią, że Abeloth zawsze jest uwalniana w ten sposób.

Jacen wyglądał teraz na mniej pewnego siebie.

- Kim jest Thuruht?

- To najstarszy rój Killików - objaśnił Luke. - Ten, który pomógł zbudować stację Centerpoint i uwięził Abeloth, kiedy uciekła ostatnim razem.

- W takim razie powinieneś rozmawiać z Thuruht, a nie z Marą i ze mną - uznał Jacen, odzyskując rezon. - My nie możemy nic zrobić. Jesteśmy martwi.

Luke odwrócił się ponownie w stronę Mary.

- Muszę tylko poznać jej słabe punkty albo dowiedzieć się, jak ją znaleźć w Mgłach Zapomnienia - tłumaczył. - Cokolwiek, co pomoże mi ją powstrzymać, zanim... zanim zrobi coś strasznego Benowi.

Oczy Mary zasły łzami.

- Luke... tym razem Jacen mówi prawdę - wyznała. - Nie możemy ci pomóc.

*Ja mogę.* Ten głos Luke bardziej poczuł, niż usłyszał, niczym mrok, który naszedł go z tyłu.

*I pomogę.*

Luke odwrócił się i zobaczył spowitą w cień sylwetkę człowieka, zbliżającego się od strony brzegu, z którego Luke wszedł do wody, tego samego brzegu, z którego wszyscy śmiertelnicy przybywali do Jeziora Widm. Postać była wysoka i barczysta, o głowie ukrytej w mroku i błyszczących oczach, które zdawały się niedopasowane do siebie kolorami i przybierały coraz to inną barwę - od brązowej przez pomarańczową i żółtą po niebieską. Chwilami zaś stawały się ciemne jak heban i wyglądały, jakby ich w ogóle nie było. Kiedy postać się zbliżyła, zaczęła wyglądać jak mężczyzna, którego Luke widział wiele lat wcześniej; mężczyznę, który pojawiał się tylko w jego snach - i zawsze na krótko przed tym, jak budził się niespokojny i przestraszony.

Luke obejrzał się na Marę.

- To on - oświadczył.

- Kto?

- Mężczyzna, którego widziałem w snach, zanim Jacen został Sithem.

Mara wydawała się zdezorientowana.

- Przecież mężczyzną w twoich snach był Jacen.

- Tak mi się zdawało - sprostował Luke. - Bo kto inny mógł nim być?

Odwrócił się w stronę postaci i zobaczył, że okrywający ją cień zamienił się w ciemną, najeżoną kolcami zbroję. Prawa ręka przybysza wyglądała widmowo, jakby zamiast kończyny miał

jej holograficzny obraz. A jego lewe oko zamieniło się w puste białe miejsce i teraz wyglądało bardziej jak okno do innego wszechświata niż normalny narząd. Twarz miał ogorzałą i wyrazistą, chociaż z tą pajęczyną tatuaży rozchodzących się promieniście od oka i z głębokim grymasem trudno było go uznać za urodziwego. Zatrzymał się trzy kroki od Luke'a i przyglądał mu się, jakby się zastanawiał, czy go zaatakować, czy z nim porozmawiać.

- To ty - zaczął Luke. Ten sam mężczyzna z wytatuowaną twarzą obserwował oddział

Luke'a w Porcie Kosmicznym Manarai, a później rozbroił Yaqeel Saav'etu w pobliżu placu Wspólnoty. - Kim jesteś?

- Nikim, kogo chciałbyś prosić o pomoc - stwierdził Jacen. - To mroczny mężczyzna, którego widziałem na Tronie Równowagi.

- I tylko on może ci pomóc - oznajmił nieznajomy. - Teraz, gdy nie ma już Jedynych, jest tylko jeden sposób na powstrzymanie Abeloth... Jedi i Sithowie razem.

Luke przez chwilę przyglądał się bez słowa nieznajomemu, próbując go sobie wyobrazić bez tego grymasu. Mężczyzna nie był brzydki, ale niewątpliwie nie podzielał obsesji, jaką Zapomniane Plemię miało na punkcie wyglądu. Tatuaże również były tu czymś niezwykłym.

Vestara twierdziła, że członkowie Plemienia chętnie ozdabiali ciała malunkami vor'shandi, ale nigdy nie skalaliby się trwałymi tatuażami. Oczywiście mogła kłamać - nie byłby to jedyny taki przypadek - jednak Luke nie wiedział, jaką miałoby to jej przynieść korzyść.

- Poznaję cię - wydusił w końcu Luke. - Obserwowałeś walkę na Coruscant.

- I to cię dziwi? - spytał nieznajomy. - To, co dzieje się na Coruscant, kształtuje losy całej galaktyki. Oczywiście, że obserwujemy. Zawsze obserwujemy.

- To dlatego tyle wiesz na temat Abeloth - domyślił się Luke. - Masz szpiega.

- Dlaczego sądzisz, że tylko jednego? - spytał nieznajomy. - Nas, Sithów, są legiony... ale to już wiesz.

Luke pokręcił głową.

- Gdybyś należał do Zapomnianego Plemienia, wyglądałbyś bardziej... elegancko. I nie miałbyś

tataży.

- Dosty gadania, Mistrzu Skywalker - przerwał nieznamy, przechodząc obok Luke'a. -

Przyszedłem tu, żeby walczyć. Znajdźmy ją.

Luke odwrócił się, żeby podążyć za nim - i oto była ona. Szara sylwetka wyłaniająca się z Mgł Zpomnienia. Jej długie szafranowe włosy opadały niemal do samej wody, a maleńkie oczy błyszczały w oczodołach głębokich jak studnie.

Ręka Luke'a opadła na biodro, odruchowo sięgając po miecz świetlny, który nie istniał Poza Cieniami. Spróbował potem unieść rękę, żeby wyzwolić podmuch energii Mocy, jednak Abeloth w tym czasie przypuściła własny atak, posyłając błyskawicę Mocy, która przeszła nieznanego i ugodziła Luke'a. Poleciał do tyłu, nekany bólem, a całe jego ciało zmieniło się w słup trzaskającego, błękitnego ognia Mocy.

To, co Saba poczuła w Mocy, nie było, ściśle rzecz biorąc, rozkazem ataku. Była to eksplozja ognistego bólu, tak intensywnego, że zjeżyły jej się łuski i zaczęła się bać o Mistrza Skywalkera. Przekaz był jednak jasny. Pogoń się skończyła i zdobycz była na wyciągnięcie ręki -

nawet jeśli to ofiara zadała pierwszą ranę. Saba wychyliła się zza rogu i zajrzała w ciemny korytarz prowadzący do rdzenia komputera. W jej barabelskich oczach, które świetnie widziały w podczerwieni, wyglądało to jak długa, prostokątna rura o ścianach w chłodnym odcieniu błękitu, zakończona pomarańczowym blaskiem śluzy powietrznej rdzenia komputera. Na podłodze leżało kilkadziesiąt zielonych brył - ciała Sithów, którzy byli martwi na tyle długo, że zaczęli stygnąć.

Zadowolona, że nic się nie zmieniło od ich pierwszego ataku w tym miejscu, Saba cofnęła głowę i obejrzała się na pozostałych przy życiu członków swojego stada. Tahiri najwyraźniej wyczuła zmianę w nastawieniu Saby i uprzedziła czwórkę Skoczków Próżniowych, bo wszyscy nałożyli gogle termograficzne i teraz patrzyli w kierunku Saby.

Piątka ocalałych ze stada liczącego pierwotnie piętnaścioro. Walka o oślepienie Abeloth i odcięcie jej dopływu energii była równie długa, jak krwawa. Skoczkowie Próżniowi stracili wszystkich infiltratorów, obydwu snajperów i oficerów technicznych oraz jednego z saperów.

Jednak Olazon wciąż stał na czele jednostki i cieszył się dobrym zdrowiem, podobnie jak obaj pancerni w ciężkich zbrojach. Jedyne pozostałe przy życiu saper stracił jedną nogę pod kolaniem, ale wciąż był w stanie przygotować wystarczającą liczbę ładunków i poinstruować towarzyszy o strategicznym ich rozmieszczeniu na sąsiednich poziomach. Wszystko po to, żeby nie dopuścić posiłków Sithów do ich ostatniego punktu etapowego.

A więc nadal było to dobre stado.

Saba skinęła szorstko głową. Jej towarzysze - poza Braanem, rannym saperem - wstali i unieśli broń w gotowości. Olazon powiedział coś przez laryngofon i pancerny numer jeden wyszedł

na środek. W wysięgnikach swojej zbroi trzymał owalną bryłę o długości około metra. Na samej

górze bryły znajdował się panel aktywujący z cyfrowym licznikiem, na którym widniało: 0:05:000.

Saba obnażyła kły w grymasie aprobaty.

- Pora dosstarczyć nasze jajo do gniazda - zakomunikowała. - Niech Moc będzie z wami.

- Dzięki. - Olazon odbezpieczył swój karabin rozpryskowy. - Z tobą też.

Ruszył przodem, ale przystanął, gdy Tahiri przytrzymała go, posługując się Mocą, i pogroziła mu palcem.

- Gdzie pańskie maniery, sierżancie? - Zapaliła miecz świetlny i stanęła obok Saby. - Panie przodem!

Saba zasyczała, rozbawiona, i także aktywowała klingę, po czym wypadła zza rogu... na korytarz pełen czerwonych oczu, należących do upiornych cieni Sithów.

Para gęstniała coraz bardziej. Ben znajdował się zaledwie pięć metrów od Fontanny Siły i mógł ją zlokalizować tylko po dźwięku bulgoczącej wody. Nawet Vestara, stojąca w połowie drogi między nim a Fontanną, przypominała bardziej szary cień Mocy niż kobietę, którą kochał.

- Ves, nie będziemy tego pić - oznajmił Ben. - Widziałas, co się stało z Taalonem po tym, jak wpadł do sadzawki. To samo, albo coś jeszcze gorszego, stanie się z nami, jeśli napijemy się z Fontanny. Wiesz o tym!

- Może powinniśmy się zmienić - odparła Vestara. - Abeloth jest Niszczycielem z legendy Keshirich, a my jesteśmy Obrońcami, Ben. Ty i ja. To dlatego Moc nas ze sobą połączyła. Tylko my możemy ją powstrzymać.

Ben pokręcił głową.

- Ale nie pijąc z Fontanny. - Podszedł do Vestary i wskazał na wodotrysk za jej plecami. -

To jest skupisko energii Ciemnej Strony, prawdopodobnie najsilniejsze w całej galaktyce. Nie można wykorzystać czegoś tak potężnego. To ono może wykorzystać ciebie.

- Więc mamy po prostu poddać się Abeloth? - skontrowała Vestara. - Pozwolić, żeby wykorzystwała nasze ciała do zagłady galaktyki?

- Nie, Ves... będziemy walczyć - odrzekł Ben. - Ale bez czerpania z Fontanny, bez dotykania Ciemnej Strony. Tylko w ten sposób nie staniemy się tym, co staramy się zniszczyć.

Vestara przyglądała się Benowi wzrokiem, który wyrażał w równym stopniu litość i podziw.

- Jesteś szlachetnym głupcem, Ben. - Odwróciła się i ruszyła w stronę Fontanny. - Ale to koniec dyskusji. Nie pokonamy Abeloth bez siły Fontanny.

Ben pozostał na miejscu.

- Sama też jej nie pokonasz, Ves.

Czekał, aż się obejrzy albo chociaż zawaha. Kiedy tego nie zrobiła, odwrócił się... i wpadł prosto na Abeloth.

Jej macki owinięły się wokół niego, zanim zdążył krzyknąć, i przyciągnęły go bliżej.

Prześlizgiwały mu się po oczach, wnikały do uszu i gardła. Jego usta natychmiast wypełniła obrzydliwa oleista ciecz.

Ben zacisnął mocno zęby, odgryzając żylasty koniec macki wielkości jego małego palca.

Splunął gwałtownie, posyłając mackę i zjełczałą krew w bezdenne oczodoły Abeloth.

Ona tylko przyciągnęła go jeszcze bardziej do siebie. Macka owinięła mu się wokół szyi, po czym wślizgnęła do nosa i zaczęła wnikać coraz głębiej. Ben okładał Abeloth pięściami i łokciami, deptał jej po nogach, kopał w uda i brzuch. Był jednak zbyt blisko Fontanny, żeby użyć Mocy, a bez Mocy jego ciosy nic jej nie mogły zrobić. Abeloth przyjmowała je wszystkie bez mrugnięcia okiem. Jediną jej reakcją był uśmiech. Macka, która wślizgnęła mu się do nosa, dotarła do zatok i twarz mu zapłonęła od niewiarygodnego bólu.

- Będiesz pił, młody Skywalkerze, albo zaczniesz służyć mi w inny sposób - oświadczyła Abeloth, mówiąc swoimi rozlicznymi głosami. - To jedyny wybór...

Groźba została brutalnie przerwana, podobnie jak macka, gdy Abeloth pofrunęła do tyłu, odrzucona przez błyskawicę Mocy, grubą jak noga Bena. Chłopiec upadł na kolana. Z nosa płynęła mu krew, ale ból szybko mijał.

Abeloth upadła na ziemię trzy metry dalej; wiła się, skąpana w błękitnej poświacie i przygwożdżona do kamieni przez błyskawicę Mocy. Macki jej się splątały, zmieniając się z powrotem w ręce. Długie, złote włosy stały się jedwabiste i ciemne, oczy zaczęły wyglądać jak normalne oczy, a skóra przybrała lawendowy odcień keshirskiej Sithanki.

Vestara podeszła do Bena. Ręce miała wciąż wyciągnięte w kierunku Abeloth, posyłając błyskawicę Mocy w ciało leżącej Keshiri.

- Ben, jesteś ranny? - spytała.

Ben nie odpowiedział; klęczał dalej na kamieniach, patrząc na Vestarę. Jej włosy i ubranie były prawie suche i nie widział żadnego zaczerwienienia twarzy ani rąk, co sugerowałoby, że naprawdę włożyła je do wrzącej wody i się jej napiła. Ale gdy raziała Keshiri błyskawicą Mocy, czuł, jak ciemna energia z Fontanny płynie przez dziedziniec, omywa go i przepływa przez jego ciało, wypełniając je zimnym, mdlącym bólem deprawującej siły.

- Ben? - powtórzyła Vestara. - Odpowiedz!

- Nic mi nie jest - zapewnił.

- Więc wstawaj! - zachęciła Vestara. Jej twarz promieniała i Ben wmawiał sobie, że to jest radość, że to jednak musi być coś innego niż typowa dla Sithów żądza władzy. - Razem możemy zabić Abeloth.

Ben odwrócił się, wciąż na kolanach, i jedną ręką chwycił Vestarę za nogi. Potem wstał, zarzucił ją sobie na ramiona i przytrzymał wolną ręką.

- Nie - powiedział, ruszając przez dziedziniec. - Nie w taki sposób.

Białe punkciki na dnie oczu Abeloth zmieniły się w kłębowisko błękitnych błyskawic, które rosły i świeciły coraz jaśniej, aż w końcu wylały się z oczodołów i pokryły całą głowę. Luke posłał

w jej stronę kolejny podmuch energii Mocy i przygotował się na miażdżący kontratak.

Kontratak jednak nie nastąpił.

Zamiast tego podmuch Mocy zakołysał Abeloth, która chwiała się teraz na jednej nodze, zawieszona nad Jeziorem Widm przez czas tysiąca uderzeń serca. Pierś Luke'a przenikał palący ból wokół wypalonej dziury wielkości pięści, a jego esencja Mocy wyciekała z tuzina mniejszych ran, pozostawiając na ciemnej wodzie mieniącą się poświatę w kształcie półksiężyca. Mimo to rzucił się do ataku.

Abeloth wyglądała, jakby miała wpaść do wody, zanim Luke jej dopadnie. Ale to byłoby zbyt proste. Luke i nieznamy Sith atakowali ją przy użyciu Mocy chyba całą wieczność - a może to trwało tylko mgnienie oka - i dopiero teraz widać było jakąkolwiek reakcję.

Luke doskoczył do Abeloth i zaczął ją kopać po nogach, dźgać sztywnymi palcami w gardło i przytrzymywać jej głowę. Było to, jakby bawełna uderzała o gazę. Żadnych strzelających więzadeł ani miażdżonych chrząstek, wyłącznie esencja Mocy napierająca na esencję Mocy.

Szkody jednak zostały wyrządzone. Noga Luke'a złamała kolano Abeloth; noga się pod nią ugięła.

Potem ręka Mistrza Jedi wniknęła w jej krtań. Abeloth cofnęła się, oddychając chrapliwie.

Luke stanął za nią, otoczył jedną ręką jej ramiona i chwycił za podbródek; drugą ręką przycisnął do szyi. Tylko że Poza Cieniami siłowanie się wyglądało inaczej. Nie było punktów nacisku ani dźwigni na stawy, ani duszenia, tylko jego obecność zlewająca się z jej obecnością, obie zespolone wijącym się węzłem energii.

Macki zaczęły smagać go po twarzy, szukając drogi do nosa i uszu. Nagle zobaczył przed sobą parę szarych końcówek, które rozmyły się i zaczęły rosnać. Luke zamknął oczy i odwrócił

głowę, ale zbyt wolno. Prawy oczodół przeszył nagły ból i wszystko po tej stronie głowy spowiła ciemność.

Wytatuowany nieznajomy podszedł z lewej strony i wbił usztywnione palce w brzuch Abeloth. Z rany trysnęła czarna fontanna, a Abeloth wiała się z bólu, gdy nieznajomy szukał w niej czegoś, za co mógłby chwycić.

Abeloth uwolniła podmuch Mocy, próbując odepchnąć nieznajomego. On jednak trzymał

się mocno, podobnie jak Luke, i cała trójka potoczyła się do jeziora w splątanej masie kończyn i macek.

Nagle Luke poczuł lodowate ukłucie między łopatkami. Ukłucie zmieniło się zaraz w piekący ból, a Luke poczuł, że coś zimnego spływa mu po plecach. Początkowo sądził, że to Abeloth, że to ona zatopiła mu w plecach mackę - ale nagle ruchy macek stały się wolniejsze, a ona sama zaczęła dygotać.

Luke zrozumiał, co się stało, ale całą wieczność później, kiedy nieznajomy poderwał się, zatrzymując ich wszystkich. Sith zdawał się nabierać sił, w miarę jak Abeloth słabła, a nad jego ramionami i głową unosiły się smugi ciemnego dymu. Nie trzeba było Wielkiego Mistrza Jedi, żeby się domyślić, że Luke został zdradzony przez technikę wysysania Mocy.

Wciąż trzymając mocno Abeloth, odwrócił się i przetoczył razem z nią na bok, a następnie kopnął nieznajomego w kolano. Staw się wygiął i Sith upadł na powierzchnię ciemnej wody, cały czas po drugiej stronie Abeloth.

- Wypuszczę ją! - ostrzegł Luke.

- Abeloth? - Nieznajomy pokręcił głową. - Nigdy.

Pomimo słów Sitha zimny ból zaczął ustępować i Luke zdał sobie sprawę, że nieznajomy nie ciągnie już tak mocno. Abeloth w dalszym ciągu się szamotała. Owinęła parę macek wokół szyi Luke'a, próbując się uwolnić, ale opadała z sił szybciej niż on.

Wysysanie zdawało się trwać wiele dni; wreszcie nieznajomy odrzucił głowę do tyłu, krzycząc z bólu. I nagle Luke'owi wydało się, że minęła tylko chwila. Lśniąca, czarna energia Mocy wypływała z ran Abeloth do jeziora, rozlewając się wokół nich w oleiste plamy tak gorące, że woda zaczęła parować z sykiem. Mimo to nieznajomy wciąż wysysał Abeloth, a Luke zdał sobie sprawę, że wcale nie został zdradzony - Sith cierpiał tak samo jak on.

Abeloth uwolniła się z uścisku Luke'a, rozrywając łączący ich węzeł energii, a iskrząca się linia ich esencji Mocy rozbryznęła się na powierzchni jeziora. Kręciła głową, pluła i zgrzytała zębami, które starała się zatopić w ręce Luke'a lub nieznajomego - w czymkolwiek, czego mogłaby dosięgnąć.

Luke owinął jej rękę wokół szyi i mocno pociągnął, zespalać się z jej ciałem i za wszelką cenę usiłując nad nią zapanować.

- Nie przestawaj - upomniął nieznajomego. - Ciągnij mocniej!

Czerwony blask w oczach upiornych cieni nagle przygasł, a w ich szeregach zaczęły pojawiać się

luki. Saba wskoczyła w pierwszą z nich, trzymając zapalony miecz świetlny między sobą a najbliższym upiorem i próbując dotrzeć ciała, do którego był przywiązany długim wijącym się ogonem. Stwór usiłował ominąć bladofioletowy blask klingi, żeby zadać jej cios w głowę, ramię albo biodro.

Saba posuwała się naprzód pod osłoną własnych ciosów, przecinając to rękę, to nogę cienia, czasem nawet szyję lub całe ciało. Kawałki odpadały, obracając się w nicłość, zanim jeszcze dosięgły podłogi, a na ich miejscu natychmiast wyrastały nowe. Na szczęście to ciągłe Odkrawanie wystarczało, żeby stwór nie mógł jej dotknąć, a w końcu Saba dosięgła samego cielska. Odcięła ogon od zwłok, a jednocześnie przyklęła, wyciągając rękę w kierunku twarzy.

Choć była szybka, upiór zdążył już opuścić ciało. Rzucił się na nią, zatapiając widmowe ręce w jej udzie. Noga jej najpierw zdrętwiała, a potem eksplodowała lodowatym bólem, gdy pazury upiora zaczęły rozcinać mięśnie.

Saba użyła dwóch palców, żeby zamknąć oczy zwłokom, po czym wstała z sykiem i odeszła, klnąc i utykając. Olazon natychmiast zjawił się obok niej i spalił ciało swoim miotaczem płomieni. W tym czasie minęła ich Tahiri, żeby odegnać kolejnego upiora. Najpierw próbowali podpalać ciała z daleka - przed zamknięciem im oczu - ale to tylko komplikowało sprawy. Upiory pozostawały przywiązane do zwęglonych szczątków i nie dało się ich przepędzić, dopóki oczodoły były odkryte.

Kiedy Olazon skończył, Saba usłyszała jego głos w słuchawce.

- Coraz szybsza jesteś - pochwalił. - I tylko jedno trafienie tym razem. W porządku?

Saba przeniosła ciężar ciała na bolącą nogę, a kiedy mięsień się ugiął, pokiwała głową.

- Tak, ale ona nie jest coraz szybsza - sprostowała. - To oni są coraz wolniejsi. Idziemy dalej.

- Na pewno, Mistrzynie Sebatyne? - odezwał się na kanale taktycznym pancerny numer dwa.

- Nie podoba mi się ta zmiana w ich oczach. Ani te luki w szyku. To pachnie pułapką.

Ostrożność Skoczka Próżniowego była zrozumiała. Stado pokonało zaledwie piętnaście metrów, a ograniczało się już tylko do czworga myśliwych. Jeden z upiorów przedostał się do zbroi pancernego numer jeden, powodując jej autodestrukcję. To dlatego pancerny numer dwa szedł teraz na końcu, niosąc mocno poobijaną bombę elektromagnetyczną. I nikt nie wiedział, co się stało z Braanem, rannym saperem. Przez Moc przetoczyła się fala przerażenia, nadciągająca od jego strony, a potem wybuchł detonator termiczny.

Saba jednak podejrzewała, że ta zmiana to dobry znak. Podczas narady na Coruscant Jedi stwierdzili, że można czasowo osłabić przynajmniej jeden z awatarów Abeloth, zabijając inny.

„Zabić jeden, osłabić resztę”. Zgodnie z tą teorią Abeloth miała tylko jedną obecność w Mocy, którą obdzielała wszystkie swoje awatary, tak więc zniszczenie któregośkolwiek ułatwiłoby pokonanie wszystkich. Zakładając, że te upiory zostały ożywione przez Abeloth - a Saba nie widziała innej możliwości - ich słabnięcie oznaczało, że Luke odniósł sukces w Otchłani.



A zatem jeszcze ważniejsze było, żeby odnieść sukces tutaj - i to szybko. Zabicie Abeloth w Otchłani nie przyniosłoby galaktyce żadnej korzyści, gdyby przetrwała tutaj.

Tahiri przyklękła na jedno kolano, wyciągając rękę, żeby zamknąć oczy zwłokom, gdy tymczasem drugi upiór zaszedł ją od tyłu. Saba pospieszyła jej na ratunek, odcinając zjawie ręce, a potem odpędzając ją nawałnicą ciosów miecza świetlnego.

Podczas walki Saba zerknęła przelotnie w głąb korytarza. Między błyskami mieczy świetlnych a ognistym blaskiem miotacza płomieni Olazona obraz w podczerwieni zupełnie się rozmył i nie sposób było stwierdzić, ile jeszcze pozostało im do przejścia. Ale oczy upiórów wciąż świeciły w ciemności i było ich przynajmniej z tuzin par.

Zbyt wiele. Zbyt długo.

Saba przecięła następnego upióra na pół i skoczyła na ciało, z którym był połączony.

Wylądowała okrakiem na jego piersi i, nie zwracając uwagi na ból i przejmujący chłód, zaniknęła mu szybko powieki. Potem odpięła detonator termiczny od swojej upręży, odbezpieczyła i nakryła go zwłokami.

- Granat! - krzyknęła i skoczyła w kierunku następnej pary świecących oczu.

Keshiri drżała z bólu. Gęsty, ciemny dym unosił się znad jej ramienia, które było tak zwęglone, że wyglądało jak przypalona pieczeń z nerfa. Policzki miała zapadnięte, oczy podkrążone, a skórę tak bladą, że przybrała jasnoblękitny odcień.

Ale wciąż trzymała się na nogach i szła ku nim po porośniętych mchem kamieniach, którymi był wyłożony dziedziniec.

Nawet wiedząc, kim jest ta kobieta, Ben nie mógł uwierzyć własnym oczom. Vestara trafiła ją błyskawicą Mocy tak potężną, że mogłaby zniszczyć czołg repulsorowy klasy Canderous. A mimo to podniosła się, gdy tylko dziewczyna znalazła się zbyt daleko od Fontanny Siły, by dalej czerpać z jej potęgi. A teraz Vestara stała przy nim, dygocząc jeszcze mocniej niż Keshiri. Jej cera wciąż była zasnutą cieniem mrocznej energii Fontanny, a oczy zmętniałe od przeciążenia Mocą.

Kiedy Keshiri odpięła od pasa miecz świetlny i zapaliła jego szkarłatną klingę, Ben poczuł niemal ulgę. Było to tak prozaiczne zagrożenie, że zaczął wierzyć, iż atak Vestary jednak wypędził Abeloth - może teraz do pokonania pozostała im już tylko zwykła Lady Sithów.

Kiedy jednak Keshiri przemówiła, jego nadzieja znikła.

- Nasza cierpliwość się skończyła - powiedziała tysiącem głosów. - Pijcie razem albo gińcie razem.

Ben otworzył się całkowicie na Moc, ale osłonił się przed mrokiem Fontanny Siły. Czerpał

energię ze wszystkiego, co kochał w galaktyce, ze swojej wiary w ideały Jedi i z nadziei na przyszłość - z wiary w Vestarę i przekonania, że wkrótce dołączy do niego w szeregach Rycerzy Jedi. Moc popłynęła do niego ze wszystkich stron, przemożna i czysta - fala światła i woli, której żadna istota w galaktyce nie mogła się oprzeć. Poczł, jak sam staje się Mocą, splotem siły i energii, i skupił się całkowicie na zbliżającej się Keshiri. Poraził ją podmuchem Mocy, który mógłby strącić fregatę z orbity.

Atak trafił ją prosto w klatkę piersiową i sprawił, że odchyliła się mocno do tyłu.

Przystanąła na chwilę, zanim zrobiła następny krok.

Ben cofnął się chwiejnie, wyczerpany, i omal nie upadł, ale Vestara podtrzymała go za ramię. Zaczęła się wycofywać, ciągnąc go za sobą w kierunku obłoku pary, wciąż otaczającego Fontannę Siły.

- Co to miało być, Ben? - spytała. - Potęga Jasnej Strony?

- Tobie poszło niewiele lepiej - zauważył Ben. Oswobodził się z jej uścisku i zatrzymał

kilka metrów od obłoku. - A przecież czerpałaś energię z Fontanny.

- Cóż... wolałabym się z tego wykaraskać - odparła Vestara, niechętnie zatrzymując się przy nim. - Do czego zmierzasz?

- Do tego, że nie musimy się jej poddać - wyszeptał Ben. Spojrzał na zrujnowaną arkadę po przeciwnej stronie dziedzińca i użył Mocy, żeby unieść fragment zwałonego filara i posłać go w głowę awatara. - Wystarczy, że będziemy współpracować.

Vestara nie traciła czasu na ciętą ripostę. Uniosła po prostu ręce i uwolniła kolejną błyskawicę Mocy, znacznie jednak słabszą niż wtedy, gdy czerpała siłę z Fontanny. Ręka Keshiri powędrowała do góry tak szybko, że Ben ledwo dostrzegł ten ruch. Zdał sobie sprawę, że ich podstęp może faktycznie się udać - że nawet awatar można przechytrzyć, odwracając jego uwagę.

Keshiri zatrzymała błyskawicę dłonią i zgasila jej rozgrzaną do białości energię, ale filar dosięgnął celu i uderzył ją w tył głowy z głuchym odgłosem, rozpylając krwawą miazgę z kości i mózgu po całym dziedzińcu.

Keshiri nie umarła jednak od razu. Zrobiła kilka chwiejnych kroków do przodu, niesiona siłą uderzenia, po czym uniosła zmiażdżoną głowę. Jedno oko wypadło z oczodołu i wisiało na policzku.

Drugie było skierowane na Bena.

- *Sheeka*, Ben! - Vestara odsunęła się od niego, ale nie dlatego, że chciała go porzucić, tylko dlatego, że było to mądre taktyczne posunięcie. Ben był o tym przekonany. - Chyba naprawdę ją rozzłościłeś.

- Rozzłościł ją jeszcze bardziej - zaproponował Ben, sięgając po następny fragment filara.

- Uderz w nią jeszcze ra... aaaa!

Polecenie uwięzło mu w gardle i poczuł, jak leci w kierunku arkady. Uderzył plecami w środek filara, a ramiona odgięły mu się do tyłu tak mocno, że obiema łopatkami dotknął kamienia.

Potem usłyszał w głowie potworny trzask i poczuł rozsadzający czaszkę ból. Zsunął się po filarze na kamienne podłoże. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, była Vestara, cofająca się przed awatarem w stronę Fontanny Siły i znikająca w obłokach żółtej pary.

Abeloth leżała w ramionach Luke'a - poskręcana masa energii Mocy, która sekundę albo dzień wcześniej stała się nagle bezwładna, by po godzinie - albo nanosekundzie - zamienić się w burzę drgań, które rzucały nimi po ciemnych wodach Jeziora Widm. Nieznajomy koziółkował

razem z nimi z ręką wciąż zatopioną w piersi Abeloth, wyjąc z bólu, a z jego ran parowała lśniąca, czarna energia Mocy.

Toczyli się tak blisko brzegu, że Luke zaczął się obawiać, czy Abeloth nie próbuje przenieść ich w jakieś inne miejsce Poza Cieniami. A co potem? Padł ponownie plecami na wodę i obrócił się nogami w stronę brzegu. Oparł się o kępę mchu i odepchnął, posyłając ich wszystkich z powrotem w kierunku środka jeziora. Abeloth przestała się szamotać i jakby skurczyła się w jego ramionach.

Luke pomyślał, że może, może w końcu straciła nadzieję; że może zmęczyła ją do tego stopnia, że nie była już zdolna do walki.

A potem znikła, pozostawiając między nieznajomym a Lukiem najwyżej dwadzieścia centymetrów przestrzeni oraz kikut ręki Sitha, wycelowany teraz w pierś Luke'a i wciąż wysysający energię Mocy - już nie z Abeloth, lecz z niego.

Trwali tak przez wieki. Luke czuł rosnącą w nim otchłań nicości, w miarę jak zawieszony nad nim w powietrzu nieznajomy wysysał z niego energię. Wydawało mu się, że zdrada Sitha była przedwczesna; powinni przynajmniej się upewnić, że Abeloth naprawdę nie żyje, zanim zaczną walczyć między sobą... tyle że Sithowie nie postępowali w ten sposób.

Luke zaczął unosić rękę, chcąc zaatakować nieznajomego podmuchem Mocy, ale zanim zdążył uwolnić energię, Sith opuścił się na powierzchnię wody i uniósł kikut, wskazując na przeciwległy kraniec jeziora.

- Tam!

Luke wyciągnął szyję i zobaczył sylwetkę Abeloth, która wycofywała się w Mgły Zapomnienia. Nadgarstek nieznajomego wciąż wystawał z jej piersi.

- Zatrzymaj ją! - krzyknął Luke. - Jeśli zniknie w tej mgle...

Urwał, bo z wystającego nadgarstka trysnęła nagle fontanna oleistej czarnej energii Mocy.

Abeloth otworzyła usta i jej przeszywający wrzask rozległ się nad jeziorem, rozchodząc się po całej

powierzchni. Luke obejrzał się i zobaczył, że stojący obok niego nieznajomy wyciąga kikut w jej stronę, używając Mocy, żeby przyciągnąć do siebie brakującą dłoń.

Abeloth nie ruszyła do ataku ani nawet nie próbowała przyjąć pozycji obronnej czy osłabić ich błyskawicą Mocy. Nie miała czasu na podobne taktyki. Luke podejrzewał, że nie uciekłyby z pola walki, gdyby nie była umierająca, a skoro jej esencja Mocy tryskała z niej jak gejzer, musiała atakować natychmiast.

I tak też zrobiła.

Zanim Luke się obejrzał, Abeloth znalazła się przed nieznajomym i wbiła w niego głęboko wszystkie macki. Luke rzucił mu się na pomoc - i poczuł palące zimno w klatce piersiowej. Całą jego prawą stronę ogarnął lodowaty ból, a macki wbijały się coraz głębiej, rozrywając go od środka, jak nie mógłby tego zrobić żaden miecz świetlny ani blaster.

Luke jednak kontynuował atak, wbijając Abeloth łokieć w głowę. Tak jak wcześniej, nie było żadnego chrzęstu, żadnego fizycznego odczucia związanego z tym uderzeniem, tylko energia Mocy przepływająca przez inną energię Mocy, zalewająca ich oboje falą bólu. Luke poczuł, że jego łokieć wychodzi po drugiej stronie głowy Abeloth, a ona po prostu odpadła, wyciągając z Luke'a i nieznajomego zwinięte wciąż macki... z których każda ścisnęła kurczowo odrobinę ociekającej, pulsującej esencji Mocy.

Nieznajomy upadł z dziurą ziejącą w piersi. Luke poczuł, że jego ciało staje się słabe i bezwładne, a usta otwierają się, żeby wydać okrzyk - a potem runął, osłabiony i złakniony oddechu.

Jaina słyszała przedśmiertne krzyki już wiele razy, na polach bitew od Anthusa po Zelabę, i miały one jedną cechę wspólną - przedśmiertny krzyk zawsze zawierał tyleż bólu, co zdumienia, tyle samo żalu, co gniewu i niedowierzania. Zupełnie jakby umierający gwałtowną śmiercią nie mogli uwierzyć w to, co się dzieje - że w końcu spotkali wojownika, który był od nich lepszy i miał

więcej szczęścia. A może to samą śmierć przeklinali, wściekli, że odbiera życie wielkim wojownikom podstępem zamiast w uczciwej walce. Jaina nie mogła wiedzieć, jakie uczucia towarzyszą tym głosom, ale jednego była pewna - przedśmiertny krzyk był zawsze surowy i głośny.

I taki właśnie krzyk dobiegał teraz z przedziału medycznego „Przykrej Niespodzianki”, gdzie Luke przypiął swoje ciało do koi, zanim udał się Poza Cienie.

Mając po bokach dwie czarne dziury, a naprzeciwko Statek, blokujący wąskie gardło między nimi nieprzerwaną kanonadą gładów i plazmy, Jaina nie mogła opuścić fotela pilota, żeby sprawdzić, co z Lukiem. Osłony „Niespodzianki” już dawno przestały działać, a opancerzenie dziobu miało tyle słabych punktów, że Jaina poważnie się zastanawiała, czy nie obrócić statku i nie zacząć przyjmować ataków na rufę.

Oczywiście sama także atakowała, zasypując Statek gradem pocisków z baradium. Jej celem było wytrzymać na tyle długo, żeby Luke mógł powrócić do swojego ciała. Miała nadzieję, że do tego czasu „Niespodzianka” będzie tak daleko, aby utorować sobie drogę ostatnim atakiem. Ale krzyk

Luke'a uświadomił jej, jak niemądry był to pomysł. Musiała to szybko zakończyć i lecieć na planetę Abeloth.

Sprawdziła komorę pocisków. Zostały trzy.

Wystrzeliła dwa w odstępie sekundy, po czym otworzyła przepustnice i pomknęła za nimi.

Tym razem to Statek będzie musiał się zastanawiać, jak bardzo szalony jest ten drugi pilot.

Zanim Saba dotarła do służby powietrznej, upiorne sylwetki stały się ledwie cieniami. Miały teraz białe oczy i poruszały się tak wolno, że z łatwością można było je ominąć i zamknąć oczy ich zwłokom. Jeśli nawet któryś zdołał jej dotknąć, powodował jedynie nagły, zimny ból, który przemijał, gdy tylko upiór ginął.

Bez wątpienia Mistrz Skywalker odebrał Abeloth dużo sił. Saba jednak obawiała się, że sam także był bardzo osłabiony, ponieważ nie wyczuwała, żeby wysyłał ku niej myśli, próbując powiadomić o swoim sukcesie - i ostrzec, że Abeloth będzie teraz zdesperowana i na pewno zechce uciec. Saba zatrzymała się przed służą powietrzną i poszukała Luke'a w Mocy, ale nic nie znalazła... żadnych oznak ulgi ani bólu, żadnej wskazówki, czy zniszczył Abeloth, czy nie.

- To było niemal zbyt łatwe - powiedziała Tahiri, stając obok niej. Głos drżał jej z wyczerpania, ale nie było w nim słychać bólu, jedynie radość z łowów z jej prawdziwym stadem. -

Jak myślisz, czy to pułapka?

- Ona zawsze liczy się z pułapką - odparła Saba. - To najlepszy ssspossób polowania.

- Nie to miałam na myśli - stwierdziła Tahiri. - Nie podoba mi się, że nagle walka stała się łatwiejsza. Abeloth coś knuje.

- My także - zauważył Olazon, który dołączył do nich, utykając, i rozsądnie uciął wszelkie dyskusje na temat taktyki. Stado zaplanowało tę część ataku, zanim dołączyła do nich Tahiri, a nie miało sensu mówić o swoich zamiarach w miejscu, gdzie Abeloth mogła podsłuchiwać. - A jeśli to dla ciebie było zbyt łatwe, to przydałoby nam się paru Jedi w Skoczkach Próżniowych.

Mówiąc to, Olazon wyciągnął z torby z ekwipunkiem dzwonowaty ładunek i przymocował

go do zewnętrznego wjazdu służby powietrznej. Na jego rękach i ciele Saba zauważyła dziesiątki ciemnych plamek - fragmenty martwej tkanki w miejscach, gdzie dotknęły go upiory i gdzie jego skóra nie emitowała już normalnego ciepła. Wiedziała, że jeśli nawet sierżant przeżyje, spędzi kilka najbliższych tygodni w zbiorniku z bactą, aby uzupełnić kawałki ciała, które droidy medyczne będą musiały wyciąć.

- Ktoś ma jeszcze jakiś detonator? - spytał Olazon, kiedy ustawił już zapalnik czasowy.

Saba odpięła detonator od swojej uprzęży bojowej i podała go Tahiri.

- Jedi Veila ma jeden.

- Teraz już tak. - Tahiri spojrzała na Sabę, marszcząc brwi, i zwróciła się do Olazona: -

Ustawić zapalnik na jedną sekundę i wrzucić do środka?

Olazon się uśmiechnął.

- Widzę, że już to kiedyś robiłaś.

- Parę razy - odparła Tahiri z przesadną skromnością.

Olazon pokiwał głową i odwrócił się w stronę pancernego numer dwa, który wciąż trzymał

poobijane jajo bomby elektromagnetycznej.

- Gotów?

- Wielki oślepiacz uzbrojony i odbezpieczony - zameldował Skoczek Próżniowy. - Włączę zapalnik czasowy, jak tylko Jedi Veila wysadzi wewnętrzny właz.

- Dobrze. - Olazon przesunął przełącznik zapalnika na pierwszym ładunku, odsunął się od włazu i przywarł płasko do ściany na końcu korytarza. - Kryć się!

Pozostali zrobili to samo. Pancerny numer dwa zajął miejsce obok Olazona, a Saba i Tahiri po drugiej stronie korytarza.

- Mistrzynie Sebatyne... - odezwała się Tahiri. - Jaka jest dalsza część naszego...

Ostatnie słowo zagłuszył potężny huk. Pióropusz ognia wystrzelił na pięć metrów w głąb korytarza, ale główna siła wybuchu była skierowana w przeciwną stronę. Cały właz wygiął się do środka, wypełniając wnętrze śluzę gradem durastalowych odłamków.

Ledwie płomienie zgasły, Tahiri odskoczyła od ściany i posługując się Mocą, posłała detonator termiczny w kierunku wewnętrznego włazu. Sekundę później śluzę powietrzną zalał biały błysk.

Saba minęła Tahiri i wpakowała się przez właz, zanim jeszcze przygasł blask baradium.

Przeskoczyła trzymetrową dziurę, jaką detonator zostawił w podłodze, i wylądowała na transpastalowym balkonie serwisowym wewnątrz rdzenia komputera. Balkon sięgał kilkanaście metrów w głąb ogromnej kulistej komory, wypełnionej bladoporóżowymi nitkami pozbawionych energii obwodów. Wokół unosiło się kilka świetlistych obłoków - najmniejsza ilość pamięci, jaką pozbawiony energii komputer musiał utrzymywać na chodzie, żeby uniknąć wyłączenia.

Z głębi pomieszczenia pofrunął ku Sabie obłok rozgrzanego blasku w kształcie kobiecej twarzy o niezwykle szerokich ustach i oczach tak zapadniętych, że wyglądały jak studnie. Kiedy obłok się zbliżył, pojawiły się przed nim smugi światła i rozciągnęły w stronę Saby.

Tahiri stanęła obok Barabelki.

- Pancerny dwa! - krzyknęła. - Wielki oślepiacz, szybko!

- Zosstań tu - poleciła Saba, kierując się w stronę rzędu monitorów i konsol interfejsu na końcu balkonu. - Osssłaniaj oślepiacz.

- Mistrzynie Sebatyne, zaczekaj! - zawołała Tahiri. - To tylko energia. Potrzebujesz bomby elektromagnetycznej, żeby ją zabić.

Saba zignorowała ostrzeżenie i szła dalej, trzymając wyłączony miecz świetlny na wysokości talii. Tahiri nie wiedziała, że Abeloth potrafi przewidzieć przyszłość, a to oznaczało, że muszą wykorzystać tę przyszłość, żeby ją pokonać. Dlatego właśnie Olazon tak wiele poświęcił, żeby donieść bombę elektromagnetyczną - by Abeloth mogła przewidzieć zniszczenie rdzenia komputera z nią w środku.

Abeloth nie przewidziała jednak, co zrobi Saba, kiedy ona spróbuje zmienić przyszłość - a przynajmniej Saba miała taką nadzieję. Zanim obłok blasku dotarł na skraj balkonu serwisowego, smugi światła zamieniły się w mięsiste macki, a twarz Abeloth zaczęła tracić swoją świetlistość i przejrzystość.

Wciąż trzymając miecz świetlny na wysokości talii, Saba wyskoczyła w górę, pomagając sobie Mocą. Macki natychmiast wyciągnęły się ku niej, pulsując już ciemną esencją Mocy, którą Abeloth zamierzała wpompować w Sabę - a musiała to zrobić, jeśli chciała zyskać nowy awatar i uciec, żeby wyleczyć rany, których doznała w Otchłani.

Między nimi były jeszcze ze dwa metry, gdy pierwsza macka dotknęła twarzy Saby, a po chwili cała jej głowa pokryta była mackami. Były wszędzie, próbowały wpychać się do nosa, do oczu, do ust, uderzały o błonę bębenkową, która przykrywała jej kanały słuchowe, próbowały nawet wślizgnąć się pod łuski.

Saba zapaliła miecz świetlny i odcięła wszystkie macki na wysokości ramienia.

Spodziewając się, że z ran tryśnie fontanna esencji Mocy Abeloth, natychmiast uszczelniła błony, które chroniły jej oczy i nozdrza. Jednak żar klingi najwyraźniej od razu skauteryzował rany i macki pofrunęły na wszystkie strony. Abeloth na chwilę oniemiała, ale zaraz wydała rozdzierający krzyk bólu i wściekłości.

Milisekundę później obie spadły na konsolę interfejsu. Saba poczuła wgniatający się pod nią metal i pękający transpastał; od razu sturlały się z konsoli na dwie strony. Saba spadła na podłogę niedaleko Tahiri, Abeloth zaś wylądowała na nogach na skraju balkonu. Obawiając się, że jej ofiara spróbuje wycofać się do rdzenia komputera, Saba chwyciła Abeloth w Mocy, jednocześnie rozcinając mieczem świetlnym dzielącą je konsolę.

Nagle klinga zgasła. Saba myślała przez chwilę, że to bomba elektromagnetyczna wybuchła przedwcześnie, i przeklęła brak wiary swojego stada w jej umiejętności, ale zaraz zobaczyła, że

Abeloth pędzi ku niej szybciej, niż jest przyciągana. Saba zdała sobie sprawę, że to jej ofiara zgasła klingę.

Nawet pozbawiona rąk, Abeloth wciąż była zdeterminowana, żeby przejąć ciało Saby.

Rozdziawiła swoje ogromne usta, odsłaniając dwa rzędy kłów - tak ostrych, że dałyby radę poszatковать pancerz, i osadzonych w szczękach tak szerokich, że mogłyby przegryźć szyję rankora.

Ale tak się nie walczy z Barabelką.

Saba złączyła pięści i wbiła je Abeloth w usta podwójnym ciosem wspomaganym Mocą.

Cios wybił dziesięciocentymetrową lukę w zębach. Abeloth kłapnęła szczękami, ale tylko bezzębne dziąsła zacisnęły się na pokrytych łuską przedramionach Saby.

Mimo to ból był nie do wytrzymania i Saba o mało nie ustąpiła, kiedy poczuła, jak pękają jej kości. Sycząc z bólu, wbiła jednak pazury w gardło Abeloth. Jednym ruchem przechyliła głowę ofiary, odsłaniając szyję.

A wtedy Saba zatopiła w niej swoje kły. Przecięły skórę i chrząstkę i zanurzały się dalej, rozcinając mięśnie, kości, a potem rdzeń kręgowy. Ciało Abeloth zwiotczało z szoku. Swoimi złamanymi rękami Saba pociągnęła głowę do dołu, jeszcze bardziej odsłaniając szyję. Rozrywała mięso. Przegryzała ścięgna. Miażdżyła kręgi. Szarpała zębami, aż poczuła, jak głowa ofiary odpada od karku.

Wtedy dopiero szczęki Abeloth się rozwarły, wypuszczając połamane ręce Saby. Barabelka rozluźniła pięści i wysunęła pazury z gardła Abeloth. Głowa potoczyła się po balkonie i zatrzymała u stóp Tahiri i dwóch Skoczków Próżniowych. Cała trójka wpatrywała się w nią, wyraźnie wstrząśnięta, aż w końcu Tahiri doszła do siebie i spojrzała na Sabę.

- Mistrzynie Sebatyne? - wykrztusiła. - Czy ona... załatwiłaś ją?

- Tak, Jedi Veilo - powiedziała Saba, podnosząc się z trudem. - Teraz obie zabiłyśmy Abeloth.

Ben miał taki zamęt w głowie - i widział tak niewyraźnie - że w pierwszej chwili wziął

migocącą błękitną kulę za słońce zmieniające się w supernową. Potem pomyślał, że może to być dysza wylotowa odlatującego statku. A wreszcie zauważył łuk kamiennej arkady przed sobą i wykładany kamieniami dziedziniec dokoła i przypomniał sobie, że znajduje się na planecie gdzieś w Otchłani. Został tam przewieziony przez sferę medytacyjną Sithów, zwaną Statkiem, na rozkaz istoty zwanej...

Abeloth.

Spojrzał w stronę słupa żółtej mgły pośrodku dziedzińca. To tam było źródło tych błysków.

W środku znajdowała się kula błękitnej energii, która przesuwała się, skwiercząc, tam i z powrotem. Stamtąd też dobiegał głos, znajomy kobiecy głos... wykrzykujący jego imię.



- Ben?

Głos Vestary Khai.

- Ben!

Głos jego dziewczyny.

- Ben, gdzie jesteś?

Wydawała się przerażona.

- Ben! Potrzebuję cię!

Jej głos drżał.

- Ben, nie... zostawiaj... mnie.

Nie mogła złapać tchu.

- Proszę, nie... pozwól...

Ben skoczył na równe nogi. Głowa bolała go tak bardzo, jakby miała za chwilę pęknąć, a na karku poczuł spływającą ciepłą krew. Mimo to ruszył chwiejnym krokiem naprzód... i omal nie wymiotował, kiedy wszedł w żółty obłok i wciągnął w płuca gryzącą parę.

Błękitna kula przesuwiała się teraz w jego stronę. Kiedy się zbliżyła, zauważył, że błyski wywołuje skwiercząca klatka błyskawicy Mocy. W klatce były zamknięte dwie walczące ze sobą postacie: piękna młoda kobieta o brązowych oczach i paskudnie pokiereszowana istota ze zmiażdżoną czaszką i wypływającym mózgiem. Wyglądała jak Keshiri, której najpierw wyrosły macki, a potem wpadła do młocarni.

Piękna młoda kobieta - Vestara - razila ją nieprzerwanym strumieniem błyskawicy Mocy, starając się trzymać napastniczkę na dystans. Keshiri atakowała ją wyrastającymi z ramion mackami - jednym pękiem macek przyciągała do siebie, podczas gdy drugi próbował wślizgnąć jej się do ust i nosa. Z pochewki u pasa Keshiri wystawała rękojeść wąskiego szklanego sztyletu. Ben rozpoznał w nim jedną z ulubionych broni Zapomnianego Plemienia Sithów - shikkar.

Nie wahał się ani chwili. Posługując się Mocą, wyciągnął shikkar z pochwy i wbił go w plecy Keshiri, ustawiając ostrze tak, żeby przecięło rdzeń kręgowy i utkwilo w sercu.

Wokół rękojeści shikkara wytrysnęła fontanna ciemnej krwi. Keshiri upadła na kolana, odrzuciła do tyłu głowę i wydała z siebie upiorny skowyt. Jej macki ześlizgnęły się z Vestary i skierowały do tyłu, na plecy.

Używając Mocy, Ben odłamał rękojeść shikkara.

Vestara trafiła teraz Keshiri w twarz błyskawicą Mocy, tak że przewróciła się na plecy i leżała, wijąc się, najwyraźniej bezradna, ale jakimś cudem wciąż żywa. Posługując się Mocą, Ben wyciągnął ją z żółtej mgły, byle dalej od Fontanny Siły, na światło jasnoniebieskiego słońca planety.

Keshiri przestała się rzucać, jej oczy stały się szkliste, wzrok nieobecny. Macki zmieniły się z powrotem w ręce, a potem całe ciało nagle zwiotczało. Ben użył Mocy, żeby przyciągnąć fragment filara, którym zmiażdżył jej wcześniej czaszkę, i zrzucił go na pierś Keshiri. Usłyszał

odgłos pękających kości i powietrza ulatującego z płuc, ale żadnych krzyków ani jęków, które mogłyby sugerować, że kobieta jeszcze żyje.

Po chwili z żółtej mgły wyłoniła się Vestara. Miała błędny wzrok, a wokół jej nóg wirowała mroczna energia Fontanny, tak gęsta, że dziewczyna jakby unosiła się na czarnej chmurze. Uniosła ręce i wycelowała je w ciało. Niewątpliwie miała zamiar porazić je jeszcze jedną błyskawicą Mocy

- spalić na węgiel i zniszczyć wszelkie ślady istoty, która próbowała nimi zawładnąć.

- Nie, Vestaro. - Ben podszedł do niej, ujął jej ręce i delikatnie je opuścił. - Już z nią skończyliśmy.

Statek wisiał u wylotu wąskiego gardła - ciemna plamka na tle olbrzymiego niebieskiego słońca. Jaina wiedziała, że jej przeciwnik musi być równie sponiewierany, jak „Przykra Niespodzianka”. Przestał odpowiadać ogniem, odkąd trafiła go podwójnym uderzeniem baradium i wypchnęła z przesmyku. Wciąż jednak nie poddał się całkowicie. Cały czas pozostawał na tyle blisko, by stanowić zagrożenie, przeprowadzając ostatni samobójczy atak.

Niestety, fale uderzeniowe odcisnęły też swoje piętno na „Niespodziance”. Kadłub był

naruszony co najmniej w trzech miejscach, więc Jaina musiała założyć hełm i uszczelnić przedział

medyczny, gdzie Luke leżał przywiązany do koi. Teraz pozostawał jej tylko jeden sposób, by go uratować - o ile to w ogóle jeszcze było możliwe. Musiała wylądować na jakiejś planecie z atmosferą - a w tym miejscu, tak głęboko w Otchłani, oznaczało to świat Abeloth.

Wystrzeliła ostatni pocisk z baradium, a potem, modląc się, żeby „Niespodzianka” wytrzymała jeszcze jeden wstrząs, pomknęła za nim... i patrzyła z niedowierzaniem, jak odległa plamka nagle zaczyna się kurczyć i znika.

W końcu Statek zawrócił i uciekł.

## **ROZDZIAŁ 33**

Jeziro Widm nie było ani ciepłe, ani zimne, ani nieruchome, ani wzburzone. Po prostu było

- poza czasem i doznaniem, poza strachem, pożądaniem czy poczuciem obowiązku. Ucieleśniało rezygnację i poczucie spełnienia, śmierć i nieśmiertelność, a Luke nigdy nie czuł się bardziej gotowy, żeby zanurzyć się w jego ciemnych wodach i połączyć z ukochaną Marą - wsunąć się w jej płynne objęcia, pozwalając, żeby Głębie Wieczności zmyły ból jego ran i samotnej rozpacz.

Ale coś nie pozwalało mu się zanurzyć.

Leżał na powierzchni przez rok albo przez minutę, ranny i wyczerpany, przyglądając się, jak znika blada postać Abeloth. Oczy miała puste i ciemne, jej macki zwinęły się w luźne kłębki. Złote włosy rozsypały się dookoła głowy, tworząc pływającą aureolę. Zdawała się nie tyle tonąć, co po prostu się kurczyć. Luke patrzył, jak zmniejsza się do rozmiarów uda, stopy, palca, a potem zaledwie srebrnego okrucha, który zdawał się wisieć pod nim, drgając i migocząc, aż w końcu zniknął.

A Luke wciąż nie tonął. Był zbyt słaby, żeby wstać, i nie czuł nic poza bolącą pustką, jaką wyrwała mu w piersi Abeloth. Przyszło mu do głowy, że być może umiera, ale nie była to myśl, która napęłniałaby go strachem. Choć jego życie było krótsze niż Yody, było jednak dobre, otoczone bliskimi przyjaciółmi i ukochaną rodziną. Miał niewątpliwie pewne zasługi wobec innych istot rozumnych. A zakładając nowy Zakon Jedi, znowu rozniecił światło, które kiedyś zgasło w galaktyce. Niewielu rzeczy żałował i jeśli nadszedł czas, żeby przekazać pałeczkę innemu Jedi, był

na to gotów.

- Jeszcze nie, Skywalker.

Głos był ciepły i znajomy i rozbrzmiewał tuż obok Luke'a. Obejrzał się i zobaczył twarz Mary wyłaniającą się z wody. A potem ujrzał rękę trzymającą go za ramię i uzmysłowił sobie, że to Mara unosi się pod nim na powierzchni, nie pozwalając mu zatonać.

- Nie trzeba, Maro - powiedział Luke. - Jestem gotów. Chcę być z tobą.

- Nic z tego. - Poczul, że górna połowa jego ciała się unosi, wypychana przez Marę. - Ja nie chcę być z tobą. Nie tutaj, jeszcze nie.

- Co takiego? - spytał Luke, bardziej skonsternowany niż urażony. - Maro, jestem ranny...

ciężko. Abeloth coś mi wyrwała.

- Jego też zraniła. - Druga ręka Mary wynurzyła się z wody i wskazała na wytatuowanego Sitha, który pomógł Luke'owi zabić Abeloth. Nieznajomy szedł, utykając, w stronę brzegu, przyciskając obie ręce do piersi. - Jeśli on da radę, to ty też.

Luke zmusił się, żeby usiąść prosto. Od wysiłku zakręciło mu się w głowie, a całe ciało ogarnął ból, ale nie upadł z powrotem w wodę. Nie miał pojęcia, kim może być ten Sith, ale wydawało się nierozsądne pozwolić mu wracać do normalnej galaktyki samemu.

- To niedorzeczne. Ich rany mogą nie być równie ciężkie. - Ten głos dobiegał z drugiej strony Luke'a, złowieszczy i przymilny... i także znajomy. - Poza tym Sithowie są silniejsi. Mają Ciemną Stronę.

- Kim on jest? - spytał Luke, odwracając się w stronę Jacena, który patrzył na niego z wody po drugiej stronie. - Wiesz, prawda?

- Mówiłem ci - odparł Jacen. - To ten, którego widziałem siedzącego na Tronie Równowagi.

- Mroczny mężczyzna z twojej wizji? - spytał Luke. Wiedział, że nie będzie miał lepszej okazji, żeby dowiedzieć się, dlaczego Jacen przeszedł na Ciemną Stronę, więc był zdeterminowany, żeby ją wykorzystać. - Ten, którego chciałeś powstrzymać?

- Widziałem tylko jednego - odrzekł Jacen. - A ty pozwalasz mu wygrać.

Luke pokręcił głową.

- On nie może wygrać, Jacenie. Niezależnie od tego, jak wielkie szkody wyrządziłeś w Mocy, to jedno udało ci się osiągnąć. Sithowie nigdy nie będą rządzić galaktyką... już nie.

Wytatuowany mężczyzna zatrzymał się i odwrócił, a Luke spiał się odruchowo, żeby uskoczyć przed błyskawicą Mocy. Jednak nieznajomy był nie bardziej zdolny do walki niż on sam.

Podobnie jak Luke w piersi miał ziejącą dziurę i widać było, że cały się trzęsie. Zamiast atakować, Sith stał tylko, wpatrując się w nich błyszczącym żółtym okiem. Po drugim pozostał jedynie pusty oczodół, prawa ręka zaś była tylko bezużyteczną resztką kończyny.

A potem, po wieczności, która mogła być jedynie sekundą, oznajmił:

- Nie powinieneś być taki pewny siebie, Mistrzu Skywalker. Może ci się wydaje, że powstrzymałeś Sithów, ale nic o nas nie wiesz... zupełnie nic.

- Wiem, że Jacen zmienił przyszłość - odparował Luke. - I ty też to wiesz. Inaczej nie byłoby cię tu i nie pomagałbyś mi w walce z Abeloth.

Nieznajomy skinął głową.

- To prawda - przyznał. - Ale czy jesteś pewien, że ta zmiana jest trwała? Być może Caedus nie zmienił przyszłości. Może ją tylko opóźnił.

Luke poczuł, jak nagle wracają mu energia i determinacja.

- Czas pokaże, prawda?

Na twarz nieznajomego z wolna wypłynął uśmiech.

- Istotnie. - Odwrócił się i zaczął odchodzić, utykając. - Czas pokaże, Mistrzu Skywalker.

To ci mogę obiecać.

Luke podniósł się i patrzył, stojąc, jak nieznajomy wychodzi w końcu na brzeg i oddala się.

Ledwie zniknął, gdy Jacen znów się odezwał, tym razem z wody na wprost Luke'a.

- Co Abeloth ma z tym wspólnego? - zapytał. - Ona nie była częścią mojej wizji.

Luke przyglądał się zgorzkniałej twarzy swojego siostrzeńca, zastanawiając się, jak wiele powinien ujawnić z tego, czego Raynar dowiedział się od Thuruht - czy byłaby to sprawiedliwość, czy okrucieństwo poinformować Jacena, że był osobiście odpowiedzialny za tę apokalipsę.

- Tak jak myślałem - stwierdził szyderczo Jacen. - Jesteś takim samym kłamcą jak ja.

Luke pokręcił głową.

- Nie kłamię, Jacenie. To ty uwolniłeś Abeloth.

- Ja? - Powiedział to lekkim tonem, ale Luke widział szok w jego oczach. Naprawdę nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobił. - W jaki sposób?

Luke pokręcił głową.

- Nie wiem, czy powinienem ci mówić - zawahał się. - To by nie przyniosło nic dobrego.

- Mam uwierzyć, że chcesz mnie chronić? - spytał drwiąco Jacen. - Naprawdę? Zapewniam cię, że zniosę prawdę.

- W porządku - stwierdził Luke. Jacen domyślał się już, co się stało, i byłoby niepotrzebnym okrucieństwem pozostawić go w niepewności. - Ale najpierw musisz odpowiedzieć na pytanie, które mnie nurtuje od dawna.

- Może odpowiem - zachęcił Jacen. - Nie zaszkodzi zapytać.

- Czasem szkodzi - odezwał się Luke. Przykucnął i spojrzał Jacenowi prosto w oczy. - Chcę wiedzieć, dlaczego do mnie nie przyszedłeś.

- Z moją wizją? - spytał Jacen.

- Ze wszystkim. Przez pewien czas sądziłem, że to dlatego, że to ja byłem mrocznym mężczyzną, którego widziałeś na Tronie Równowagi, i że próbowałeś zająć moje miejsce. - Luke wskazał ręką na brzeg, gdzie zniknął nieznajomy. - Ale jeśli był nim ten Sith, to ten pomysł nie ma sensu. Nie musiałeś mierzyć się z tym sam. Mogliśmy to zrobić razem...

- Nie, nie mogliśmy - odparł Jacen, kręcąc głową. - Ponieważ mroczny mężczyzna nie miał wpływu na moją decyzję.

Luke zmarszczył brwi.

- A co miało w takim razie?

- To, kogo zobaczyłem stojącego przy nim. - Jacen odwrócił wzrok, a jego twarz przybrała równocześnie bardzo zdeterminowany i bezgranicznie smutny wyraz. - Widziałem Allaną.

## ROZDZIAŁ 34

Pinasa szturmowa „Przykra Niespodzianka” stała na skraju dziedzińca. Wilgotne powietrze z sykiem pochłaniało żar gwałtownego zejścia w atmosferę. Kadłub statku pokryty był śladami po przypaleniu i wgnieceniami, a w grubym opancerzeniu ziało kilka głębokich dziur, które sięgały aż do pomarańczowego kółka łąty na kadłubie. Najwyraźniej pinasa miała za sobą ciężką bitwę -

niewątpliwie ze Statkiem, który Abeloth wysłała z powrotem w kosmos, gdy tylko zeszła na ląd z dwójką swoich więźniów. Ben miał nadzieję, że wiekowa sfera medytacyjna ucierpiała nie mniej niż „Niespodzianka”; w przeciwnym razie byłiby łatwym celem, gdyby próbowali opuścić planetę.

- Dlaczego to tyle trwa? - spytała Vestara. Stała obok Bena i podtrzymywała go, ściskając mocno za ramię. - Czy twoi ludzie nie widzą, że potrzebujesz opieki medycznej?

Ben obejrzał się na nią. Wciąż widział niewyraźnie, ale uznał, że z fioletowym siniakiem na gardle i twarzą pokrytą obrzękami i skaleczeniami dziewczyna nie wygląda dużo lepiej, niż on się czuje.

- Oboje potrzebujemy opieki medycznej - oceniła. - Wyglądasz, jakbyś nadepnęła Huttowi na ogon.

- Wielkie dzięki - odparła Vestara. - Następnym razem palcem nie kiwnę, żeby cię uratować.

Ben uniósł brew.

- A to nie ja uratowałem ciebie? - zdumiał się. - Przynajmniej tak to pamiętam.

- Biedny Ben, musiałeś się uderzyć w głowę mocniej, niż myślałam - rzuciła Vestara z udawaną troską. Ciągnąc go za ramię, ruszyła przez dziedziniec. - Musimy cię jak najszybciej zaprowadzić do przedziału medycznego.

Pokonali mniej więcej połowę drogi, kiedy ciemny prostokąt oddzielił się od poturbowanego kadłuba i zaczął opuszczać, zamieniając się w rampę. W otworze na jej szczycie pojawiła się smukła kobieca postać. Brązowe włosy miała zaczesane w ciasny kok, oczy podkrążone z wyczerpania, a jej czoło przecinały bruzdy głębokie jak kaniony. Ben dopiero po chwili rozpoznał w niej swoją kuzynkę, Jainę Solo. Miała na sobie bojowy skafander próżniowy, w jednej ręce trzymała wyłączony miecz świetlny, a cały przedni panel jej skafandra był upakowany czerwoną, pianistą krwią.

- Jaina! - Ben popędził naprzód, zataczając się lekko, i pociągnął za sobą Vestarę. - Nic ci nie jest?

- Nie. - Wzrok Jainya padł na Vestarę i całe jej ciało naprężyło się w gotowości. - A tobie, Ben?

- Ben dostał w głowę - wyjaśniła Vestara, podtrzymując potykającego się Bena. - Stracił

dużo krwi i ma problemy z równowagą.

Oczy Jainya skierowały się znów na Bena, i tym razem było w nich tyle samo troski co czujności.

- W takim razie lepiej chodź na pokład.

Ben i Vestara pokonali ostatnie parę metrów dzielące ich od statku, a potem Jaina uniosła rękę, powstrzymując Vestarę przed wejściem na rampę.

- Na razie tylko Ben - powiedziała. - Proszę.

Moc ochłodziła się od napięcia między obiema kobietami. Ben i Vestara zatrzymali się u dołu rampy. Ben zmarszczył brwi, popatrując to na Jainę, to na Vestarę i starając się odgadnąć, skąd ta nagła nieufność pomiędzy nimi. A potem Vestara opuściła rękę, którą go podtrzymywała.

Wywołała tym ciąg zawirowań w ciemnej aurze, która wciąż do niej przywierała. Nagle zrozumiał.

Wziął Vestarę za rękę i wszedł na rampę, ciągnąc ją za sobą.

- Nie musisz się martwić tą ciemną energią, Jaino - powiedział Ben. - To tylko pozostałości.

Jaina uniosła rękę, w której trzymała miecz świetlny, na wysokość pasa.

- Po czym dokładnie?

- Stałam zbyt blisko Fontanny, kiedy używałam Mocy - tłumaczyła Vestara. - Wiedziałam, że mnie skazi, ale potrzebowałam jej siły. To był jedyny sposób na zabicie Abeloth.

- Ale ta skaza zejdzie - zapewnił Ben. - Już znacznie osłabła.

- Cieszę się. - Jaina nie spuszczała wzroku z Vestary. - Ale właściwie to chodzi mi o twojego ojca, Ben.

- O tatę? - Ben wbiegł po rampie, tak wstrząśnięty, że wciąż trzymał Vestarę za rękę. - Co się stało?

- Sama nie wiem - odrzekła Jaina, ustawiając się pośrodku wjazdu. - To się stało Poza Cieniami.

Benowi zamarło serce.

- To niedobrze - jęknął. Fizyczne rany można było zazwyczaj uleczyć w każdym porządnym ośrodku medycznym, ale Poza Cieniami rozciągała się sfera duchowa. Żadne operacje ani zbiorniki z bactą nie mogły zaleczyć odniesionych tam obrażeń. - Obudził się?

- Jeszcze nie. - Jaina przeniosła wzrok na Vestarę i dodała: - Muszę dokonać pewnych napraw, a padły mi sensory, więc chciałabym, żebyś została na czatach. Statek może gdzieś tu się kręcić.

Prośba Jainy brzmiała sensownie - a nawet gdyby nie brzmiała, Ben był zbyt zaniepokojony, żeby protestować. Nie czuł nic, co mogłoby sugerować, że jego ojciec nie żyje, ale nie wyczuwał

też jego obecności. Tak jakby Luke Skywalker zniknął z Mocy.

Vestara oswobodziła rękę, a potem delikatnie położyła mu dłoń na policzku.

- Idź, Ben. Zobacz, co z twoim ojcem.

Stała na palcach i pocałowała chłopca w usta. Pocałunek był długi, namiętny i pełen miłości i w normalnych okolicznościach przyprawiłby go o szybsze bicie serca. Ale wiedząc, że jego ojciec leży ranny na pokładzie pinasy, Ben odebrał go jako gest wsparcia - sygnał, że Vestara jest przy nim, mimo że musi zostać na zewnątrz. Pozwolił, żeby pocałunek trwał, aż w końcu zaczął

wyczuwać w nim smutek i strach. Położył Vestarze ręce na ramionach i spojrzał w jej brązowe oczy.

- Nie ma się czego obawiać, Ves - zapewnił. - Skoro Abeloth nie dała rady nas zabić, to Statek nie ma szans.

Vestara pokiwała głową i zmusiła się do uśmiechu.

- Wiem. - Odsunęła się, po czym płynnym ruchem wskazała na właz. - Idź już. Mam nadzieję, że z twoim ojcem wszystko będzie dobrze.

- Dzięki - odparł Ben. - Zobaczymy się za parę minut.

Odwrócił się, a gdy Jaina odsunęła się na bok, wszedł na pokład pinasy. Był to typowy statek szturmowy elitarnych jednostek, zwarty i pełen specjalistycznego sprzętu. Jego znaczna część była podziurawiona, przypalona i roztrzaskana w wyniku trafień naruszających kadłub.

Kabina znajdowała się po prawej stronie, za durastalową grodzią i otwartym włazem.

Jaina wskazała na wąski korytarz, który prowadził na tył statku.

- Przedział medyczny jest na rufie. - Wcisnęła kilka przycisków na panelu kontrolnym zamontowanym na wewnętrznej stronie kadłuba i rampa zaczęła się podnosić. - Zaraz wracam.

Ben zmarszczył brwi.

- Co ty robisz? - spytał. - Przecież mówię ci...

- Nie mogę sprawdzić szczelności kadłuba przy otwartym włazie - przerwała Jaina i rzuciła mu spojrzenie, które zdawało się wyrażać w równym stopniu współczucie co zniecierpliwienie. - A twojej dziewczynie nic nie będzie. Powinieneś się raczej martwić o Luke'a Skywalkera.

Ben zorientował się po jej obcesowym zachowaniu, że nie jest z nim całkowicie szczerą, ale trudno było kwestionować potrzebę sprawdzenia szczelności kadłuba. Przyglądał jej się przez chwilę, zastanawiając się, dlaczego tak dziwnie się zachowuje - i czego mu nie mówi. Wreszcie uznał, że cokolwiek Jaina przed nim ukrywa, to może zaczekać.

- Dobra, ale nawet nie myśl o tym, żeby odlecieć bez Vestary - powiedział, ruszając korytarzem. - Gdyby nie ona,...

- Ben, nie obawiaj się - nie dała mu dokończyć Jaina. - Ostatnią rzeczą, jaką zamierzam zrobić, jest



zostawienie Vestary Khai na tej planecie.

Ben zignorował jej ostry ton i poszedł do przedziału medycznego. Mocny zapach środków antyseptycznych i maści z bacty świadczył o tym, że jego ojciec jest w ciężkim stanie. Ben zanurzył się w Mocy, szukając jakichś wskazówek co do jego kondycji, i poczuł ciepłą obecność istoty nierozumnej - albo Jedi pogrążonego tak głęboko w uzdrawiającym transie, że wydawało się, jakby był w śpiączce.

Ben wziął głęboki oddech dla uspokojenia, po czym wszedł do wyposażonego w dziesięć łóżek przedziału medycznego. Jako statek szturmowy Skoczków Próżniowych pinasa była przygotowana zarówno do walki, jak i na jej konsekwencje. Jego ojciec leżał na koi naprzeciwko wjazdu z rurką do oddychania w gardle i kilkoma przewodami kroplówek przymocowanymi do rąk, nóg i szyi. Prawą część jego piersi zakrywał ogromny bandaż, a jego skóra, choć nie była sucha ani się nie łuszczyła, miała kolor popiołu. Cokolwiek Jaina myślała o Vestarze, mówiła prawdę o ojcu Bena. Luke Skywalker był bliski śmierci.

Ben poczuł wzbierający w nim ostry ból, a potem nagle pociemniało mu przed oczami.

Przez chwilę sądził, że traci przytomność, ale nie miał zawrotów głowy ani mdłości, które mogłyby sugerować, że utrata wzroku jest efektem wstrząśnienia mózgu. Oparł się ręką o framugę wjazdu i stał, czekając, aż wróci mu wzrok.

Zamiast tego w ciemności zaczęły się pojawiać gwiazdy i mgławice, które pędziły ku niemu z ogromną prędkością, ale kiedy się zbliżały, nie rozjeżdżały się na boki i nie widać było żadnego przesunięcia ku czerwieni. Poczuł się zaniepokojony i dezorientowany, jakby podróżował przez galaktykę różniącą się bardzo od tej, którą znali jego rodzice. Zobaczył mieniącą się, złotą kulę Coruscant, usianą plamami migoczących czerwonych płomieni i czarnymi smugami dymu, a za nią legion ciemnych postaci, które wyruszały z okrytego cieniem świata i rozprzestrzeniały się po galaktyce, by zmierzyć się ze znacznie mniejszą armią świetlistych sylwetek.

Zobaczył też parę małych, pozbawionych ciała oczu, które unosiły się w mroku, zbierając smugi dryfującego gazu i drobinki pyłu, a w swojej nieskończonej cierpliwości owijały się treścią zimnej materii.

Ben zobaczył też swoją kuzynkę Allanę, małą dziewczynkę siedzącą przed białym tronem i bawiącą się ze swoim nexu, podczas gdy niewielka grupka Jedi toczyła rozpaczliwą walkę u stóp podium, odpierając szturm niezliczonych istot. Były tam ciemne sylwetki, obwieszane biżuterią kobiety i rogate istoty, a co jakiś czas na schodach podium pojawiała się szara macka, która próbowała prześlizgnąć się niezauważona, dopóki opadający miecz świetlny nie przepędził jej z powrotem w mrok.

Nie widział natomiast swojego ojca i jego nieobecność przerażała go bardziej niż wszystko, co oglądał. Mając przed sobą przyszłość bardziej niebezpieczną, niż Ben potrafił sobie wyobrazić, Zakon Jedi potrzebował przywództwa swojego Wielkiego Mistrza bardziej niż kiedykolwiek.

Jednak Luke Skywalker był tylko śmiertelnikiem. Nawet jeśli nie dziś, to wkrótce musiał nadejść dzień, kiedy jego i innych starszych Mistrzów zabraknie, a wtedy ciężar przywództwa spadnie na barki Jaiiny Solo i jej pokolenia. Była to nieunikniona i - biorąc pod uwagę nowe zagrożenia, z jakimi musieli zmierzyć się Jedi - może nawet korzystna zmiana.

Nie znaczyło to jednak, że Ben był gotowy, żeby zostać sierotą. Nawet jako Rycerz Jedi potrzebował ojca i niezależnie od tego, co pokazywała mu Moc, miał zamiar walczyć o utrzymanie Luke'a Skywalkera przy życiu tak długo, jak to będzie możliwe. Puścił framugę wjazdu i zagłębił się w mrok swojej wizji. Nagle znów znalazł się w przedziale medycznym i zobaczył przypominające czaszkę oblicze droida Emdee, który właśnie przed nim stanął.

Droid wyciągnął rękę, w której trzymał maskę chirurgiczną.

- Załóż maskę - nakazał. Jego energiczny, rzeczowy ton był zapewne typowy dla droidów Skoczków Próżniowych. Ben spędził wystarczająco dużo czasu w towarzystwie żołnierzy elitarnych jednostek, by wiedzieć, że krótkie i konkretne komunikaty są ich ulubionym sposobem porozumiewania się. - A potem położył się na kozetce. Na boku, twarzą do ściany.

- Najpierw chcę obejrzyć drugiego pacjenta. - Ben zaczepił maskę za uszy i zapytał: - Jaki jest jego stan?

- Poważny - odparł droid. - Niewyjaśniona śpiączka, nierozpoznana infekcja i rozległy uraz klatki piersiowej, spowodowany utratą drugiego żebra i górnego płata płucnego.

Ben zmarszczył brwi.

- Uraz spowodowany utratą żebra i płata płucnego? - spytał. - Czy utrata części ciała nie jest zazwyczaj efektem urazu, a nie przyczyną?

Droid utkwiał w nim swoje paciorkowate fotoreceptory.

- Jesteś lekarzem, żołnierzu?

- Przeszedłem szkolenie medyczne - odrzekł Ben.

- I to kwalifikuje cię do kwestionowania diagnozy droida medycznego?

- Bynajmniej - rzucił Ben. Nie był przyzwyczajony do kontaktów z tego rodzaju droidami, ale wiedział dość na temat protokołów elitarnych jednostek, żeby zdawać sobie sprawę, że ustępując, nic nie zyska. - Ale mam wystarczające kwalifikacje, żeby wiedzieć, kiedy coś nie ma sensu.

- Nie powiedziałem, że uraz ma sens. - Droid cofnął się, dopuszczając Bena do ojca. -

Przyczyną urazu wydaje się samoistne wydalenie górnego płata płucnego. Nie znalazłem nic, co wskazywałoby na zasadniczą przyczynę.

- Żadnych ran od odłamków ani oparzeń wewnętrznych? - dopytywał Ben.

- Gdybym takie znalazł, nie mówiłbym o „samoistnym wydaleniu”. - Droid odsunął się na bok. - Możesz przemówić do pacjenta, ale krótko. Ty też potrzebujesz opieki.

Ben podszedł do koi i ogarnął go jeszcze większy niepokój. Pomimo taśmy na powiekach nie ulegało wątpliwości, że jego ojciec ma zapadnięte oczy - właściwie oczodoły wyglądały na puste. Bandaż na piersi pokrywały plamy żółtej i zielonej ropy, które wskazywały na zakażenie znacznie bardziej paskudne niż jakiegokolwiek normalne powikłania. Najbardziej niepokojąca była jednak dziura wielkości pięści pośrodku bandaża. Wyglądało to tak, jakby jego ojciec został

trafiony wiązką z działka blasterowego. Ben nie mógł zrozumieć, co takiego mogło się zdarzyć Poza Cieniami, że spowodowało takie spustoszenie w fizycznym ciele. Ujął skurczone palce ojca, jednocześnie szukając go w Mocy.

- Hej, tato, dzięki, że przyleciałeś nam na pomoc - odezwał się. Było dowiedzione, że wielu pacjentów w śpiączce słyszy to, co się do nich mówi, więc Ben starał się nie okazywać w głosie strachu. - Nie wiem, co się stało Poza Cieniami, ale najprawdopodobniej to nas ocaliło. Vestara i...

Nagle ręka jego ojca zacisnęła się tak mocno, że Ben zląkł się, czy nie połamie mu palców.

- Tato?

Uścisk osłabł, ale nie rozluźnił się całkowicie.

- Tato, jesteś przytomny?

Droid Emdee podszedł do koi i podłączył się do złącza danych.

- Przykro mi, żołnierzu. Działanie mózgu jest wciąż minimalne.

- Ścisnął mnie za rękę - wyjaśnił Ben. - Właściwie to cały czas ścisną.

- To tylko reakcja motoryczna - odparł droid. - Przy tak małej aktywności mózgu...

- Nieważne, co mówi twój skaner - przerwał mu Ben. - Ten człowiek jest Wielkim Mistrzem Jedi. Ma zdolności, o których ci się nie śniło.

Emdee utkwiał paciorkowate fotoreceptory w Benie i schylił głowę.

- Medycyna alternatywna to urojenia słabych umysłów, żołnierzu.

- Umysły Rycerzy Jedi nie są słabe - oświadczyła Jaina, wchodząc do przedziału. - A Moc to nie jest medycyna alternatywna. Jasne?

Wycelowwała w niego palcem i droid poszybował w kierunku głównego gniazdka interfejsu w przedniej części pomieszczenia. Z jego wokodera wydobył się ciąg trzasków, ale Jaina nie zwracała uwagi ani na zakłócenia, ani na nieszczerze przeprosiny, które wystosował, kiedy jego nogi znalazły się znów na pokładzie, tylko podeszła do Bena.

- Luke ścisnął cię za rękę?

- Zgadza się - potwierdził Ben. - Teraz już nie ścisną, ale przedtem zdecydowanie ścisnął.

To się zaczęło, gdy do niego mówiłem.

- Kiedy wspomniałeś o Vestarze?

Gdy tylko Jaina wypowiedziała imię Vestary, ręka ojca znów zacisnęła się na dłoni Bena.

Ben obejrzał się na Jainę.

- Co się dzieje?

- Domyślam się, że próbuje ci coś powiedzieć.

- Niby co? - spytał Ben. - Jeśli chcesz mi wmówić, że nie można jej ufać, to sobie daruj.

Wzrok Jaina pozostał surowy.

- Chyba nie muszę ci niczego mówić, Ben. Myślę, że sam już wiesz.

Ben pokręcił głową.

- Wiem tyle, że Vestara ryzykowała życie, żeby ocalić mnie przed Abeloth. - Mimo wszystko nie mógł zapomnieć tego, jak chciała się napić z Fontanny Siły i jak usprawiedliwiała to, twierdząc, że to jedyny sposób na pokonanie Abeloth. - Ona nie może wciąż być Sithem. Przecież oni wydali ją Abeloth... razem ze mną.

Jaina rozłożyła ręce.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć - rzekła. - Ale muszę ci coś opowiedzieć o bitwie w Świątyni.

Benowi zamarło serce, lecz wciąż kręcił głową.

- Nie... nie możesz jej winić za zasadzkę w stacji uzdatniania wody - sprzeciwił się. - Ona nawet nie знаła planu, zanim nie wsiedliśmy do kapsuły.

- Słuszna uwaga - przyznała Jaina. - I to nie ona powiedziała Sithom, któredy będziemy wchodzić. Abeloth to zrobiła.

- Abeloth?

Jaina skinęła głową.

- Wynn Dorvan nas na to naprowadził - wyznał. - Był więźniem Abeloth przez pewien czas i wiedział, że ona potrafi przewidzieć przyszłość. Podejrzewamy, że chodziła po nurcie.

Ben dostrzegł iskierkę nadziei.

- Widzisz? Gdyby Vestara nie...

Przerwał mu potworny odgłos krztuszenia dochodzący z koi, a ręka jego ojca zacisnęła się tak mocno, że Benowi aż strzeliły knykcie. Spojrzał na ojca i zobaczył, że drgają mu powieki, a usta zaciskają się wokół rurki do oddychania, jakby chciał coś powiedzieć.

- Obudził się!

Ben poszukał wzrokiem droida i zobaczył, że Emdee pędzi już z końcówką interfejsu wyciągniętą w kierunku złącza danych na koi. Jego ojciec wydał jeszcze jeden rzęzący odgłos i tym razem można było się zorientować, że próbuje wypowiedzieć pojedyncze słowo. Pierwsze dźwięki były zbyt gardłowe, żeby można było je zrozumieć, ale ostatnia sylaba brzmiała jak „ih”.

Ben nachylił się nad koją.

- Poczekaj, tato - poprosił. - Emdee zaraz wyjmie ci rurkę do oddychania i wtedy będziesz mógł gadać cały dzień.

- Z uszkodzonymi strunami głosowymi to byłoby niemożliwe, nawet gdyby faktycznie odzyskiwał przytomność. - Podłączony wciąż do złącza danych, droid odwrócił głowę w stronę Bena. - Działanie mózgu jest cały czas minimalne. Obawiam się, że próbował tylko przełknąć ślinę.

- Bzdura. Patrz - polecił Ben, nie odwracając wzroku od ojca. - Vestara.

Jego ojciec zacisnął rękę i znów wydał z siebie ten sam okropny odgłos.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem - stwierdził droid. - Pacjent nie wychodzi ze śpiączki, ale to imię zdaje się wywoływać u niego prymitywną reakcję lękową.

Ben zmarszczył brwi.

- Reakcję lękową?

- On się o ciebie boi - wyjaśniła Jaina. - Myślę, że wiesz, co chce ci powiedzieć.

Ben rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Dobra, Jaino. Odkąd tylko wylądowałaś, traktujesz Vestarę jak pomiot Palpatine'a. Nie wiem, jaki masz z nią problem, ale pora wyłożyć karty na stół.

Wyraz twarzy Jainy złagodniał i w tym momencie Ben już wiedział, że ma kłopoty. Jego kuzynka nie była znana ze współczującego usposobienia, więc to musiało być coś niedobrego.

Jaina spojrzała mu prosto w oczy i przemówiła spokojnym, niemal przepaszającym tonem:

- Po twoim schwytaniu Vestara była widziana w Świątyni z bandą Sithów.

- Oczywiście. Była ich więźniem - wydusił ostrożnie Ben.

- Wcale nie więźniem - odparła łagodnie Jaina. - To była zasadzka, a Vestara stała na czele ataku.

Teraz Ben rozumiał, dlaczego Jaina była taka ostrożna. Mówiła coś, co nie mogło być prawdą. Chciał powiedzieć, że ktoś musiał źle zinterpretować to, co zobaczył, ale ręka jego ojca zacisnęła się tak mocno, aż Ben się przeląkł, że pęknie mu kość. Kiełkowało w nim nieprzyjemne uczucie... które coraz trudniej było ignorować.

- I jesteś pewna, że to była Vestara? - spytał. - Że faktycznie była z Sithami?

Jaina pokiwała niechętnie głową.

- To moi rodzice mi o tym powiedzieli - oznajmiła. - Skontaktowali się z nami przez HoloNet tuż przed tym, jak wlecieliśmy do Otchłani.

Bena ogarnęło przygnębienie. Po tym wszystkim, co powiedziała Jaina, oskarżenie wydawało się coraz bardziej prawdopodobne.

- A co ciocia Leia i wujek Han mieli z tym wspólnego?

- To oni wpadli w zasadzkę. I oboje widzieli, jak Vestara kieruje atakiem - tłumaczyła Jaina.

- „Sokół” wylądował w hangarze na końcu tunelu ewakuacyjnego. Vestara czekała tam z dwudziestką Sithów. Użyła detonatora termicznego, żeby unieruchomić „Sokoła”, a wtedy reszta jej oddziału zaatakowała. Tata jest pewien, że to była ona.

Ben był zbyt zszokowany, żeby zapytać, skąd Vestara mogła wiedzieć, gdzie będą Solo i kiedy albo dlaczego „Sokół” trafił na Coruscant, skoro miał przewozić uczniów na Shedu Maad.

Solo byli zbyt bezstronni i uczciwi, żeby rzucać takie oskarżenia, nie mając pewności, co widzieli, a Ben nie brał nawet pod uwagę, że mogliby kłamać w takiej sprawie. Prawda była taka, że Vestara Khai poprowadziła atak na Hana i Leię, a najgorsze było to, że Ben sam na to pozwolił, dając się wykiwać Vestarze.

Po chwili Ben uwolnił rękę z miażdżącego chwytu ojca i ścisnął go za przedramię.

- Dzięki za ostrzeżenie, tato. Rozumiem. - Odwrócił się, z trudem powstrzymując łzy. -

Vestara Khai jest Sithem. Zawsze była.

- Niestety - przyznała Jaina. - Przykro mi, Ben.

- Niepotrzebnie - odrzekł Ben prawie z urazą. Nie zasługiwał na jej współczucie, nie po tym, jak zapewnił Vestarze dostęp do Zakonu Jedi. - Nikomu nic się nie stało?

Głos Jaiiny przybrał posępny ton.

- Mamie i tacie nic - poinformowała. - Ale w zasadzce zginął Bazel Warv.

Ben poczuł zimno... i gorycz. Nie rozumiał, jak mógł być taki ślepy na fałsz Vestary; jak mógł wierzyć tak długo, że jest nadzieja na jej nawrócenie i że dziecko wychowane przez Sithów mogłoby kiedykolwiek porzucić Ciemną Stronę.

Zwiesił głowę.

- To moja wina - stwierdził. - Nie mogę uwierzyć, że dałem się jej wykiwać i że byłem na tyle głupi, żeby uwierzyć, że ona naprawdę mnie kocha.

Jaina położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie bądź dla siebie taki surowy. Jestem przekonana, że Vestara cię kocha. Inaczej nie mogłaby cię tak długo oszukiwać.

Ben podniósł wzrok, skonsternowany.

- Jak to?

- Ben, jesteś wrażliwym młodym człowiekiem, równie silnym w Mocy jak twój ojciec - oznajmiła Jaina. - Nie sądzisz, że zorientowałbyś się, gdyby jej uczucia były nieszczerze?

Ben rozważał przez chwilę jej pytanie... aż w końcu zrozumiał prawdziwą głębię zdrady Vestary.

- Masz rację - przyznał. - Ona faktycznie mnie kochała. Tyle że to nie miało znaczenia.

- Tak właśnie postępują Sithowie. Czerpią siłę ze swoich emocji, żeby zdobyć to, czego chcą.

Jaina zdjęła rękę z jego ramienia. Ben wyczuł, że jego kuzynka zbiera siły, żeby powiedzieć mu coś jeszcze - coś, co, jak sądziła, może go dobić.

- Mów dalej - poprosił. - Powiedz mi wszystko.

- Wolalabym tego nie robić, ale musisz wiedzieć - wygarnęła Jaina. - Ta zasadzka, którą kierowała Vestara... Chodziło im o Allanę. Sithowie wiedzą, kim ona jest.

Vestara siedziała ukryta w dżungli, patrząc na dziedziniec. Czowała się zaniepokojona, bezużyteczna i samotna i po cichu przyzywała Statek. Statek jednak musiał zostać zniszczony albo pozostawał w jakiś sposób pod wpływem Abeloth, bo nie odpowiadał. Vestara bezskutecznie szukała jakiegoś wyjścia z sytuacji, które nie zakończyłoby się dla niej śmiercią, uwięzieniem lub porzuceniem na tej planecie.

Jaina Solo wiedziała, co się stało w czeluściach Świątyni Jedi. To wyjaśniało, dlaczego się

postarała, żeby Ben wszedł sam na pokład, i dlatego nie chciała wpuścić Vestary. Zapewne sądziła, że Vestara jest zabójczynią Sithów, a Luke Skywalker to jej następny cel. Teraz Ben już pewnie myślał tak samo.

Serce pękało jej na myśl, jak Ben musiał zareagować na oskarżenie - wyobraziła sobie gniew i nienawiść, jaką musiał do niej poczuć - ale nie miała złudzeń, że mogłaby się wszystkiego wyprzeć czy próbować się z tego jakoś wyłgać. Nawet gdyby dwójka Jedi zechciała ją wysłuchać, żadna wymówka w galaktyce nie mogła sprawić, że przebaczą jej atak na Allanę Solo. Ich Zakon opierał się na głupim idealizmie i szlachetnym poświęceniu, więc nawet szczere wytłumaczenie - że Vestara ujawniła prawdziwą tożsamość Allany, żeby ratować siebie - pogłębiłoby tylko ich pogardę.

A to pozostawiało Vestarze tylko trzy możliwości: uciec do dżungli i spędzić tu resztę życia w samotności; poddać się i liczyć na to, że kiedyś uda jej się uciec; albo też ukraść tę sponiewieraną pinasę. Wszystkie trzy warianty można było określić jako rozpaczliwe, ale skłaniała się ku trzeciemu. Po walce z Abeloth nie była w najlepszej kondycji, a przechwycenie statku nie byłoby możliwe bez zabicia Bena i jego kuzynki, Miecza Jedi. Ale po tym, jak Jaina podniosła rampę pinasy, Vestara czym prędzej wróciła do Fontanny Siły, żeby zabrać miecz świetlny i parang tkwiący w ciele Keshiri, którego używała Abeloth, więc była przynajmniej uzbrojona.

A poza tym Sithowie się nie poddają - mówił jej głos, zachrypły, słaby i znajomy.

Rozbrzmiewał tylko w głowie Vestary. Sithowie walczą, mówił głos, a kiedy muszą zginąć, nigdy nie giną sami.

Vestarze nagle zrobiło się lżej na sercu.

- Statek? - Spojrzała w niebo, ale zobaczyła tylko zabarwione na zielono chmury tego dziwnego świata. Potem powiedziała w myślach: *To ty?*

*Oto jestem*, odpowiedział Statek. *Na twoje rozkazy, moja pani.*

*Czy Abeloth naprawdę nie żyje?* - spytała Vestara.

*Na tyle, na ile to możliwe, tak.*

- Na tyle, na ile to możliwe? - powtórzyła Vestara, ze zdenerwowania odpowiadając na głos.

- Co to znaczy?

*Tylko tyle, że są pewne rzeczy, których Moc przed nami nie ujawnia, Lady Khai. W oddali za chmurami pojawiła się ciemna plamka i zaczęła opadać ku niej. I że wreszcie możemy powrócić do swoich.*

Ze sfatygowanej pinasy dobiegł głuchy odgłos i rampa zaczęła się opuszczać. Vestarę ogarnęło uczucie potwornej pustki i po raz pierwszy w życiu poczuła, że nie ma dla niej żadnej nadziei. Nie tylko utraciła miłość Bena, ale straciła też dom, swój lud i swoją tożsamość.



Cokolwiek miała przynieść jej przyszłość, Vestara nie widziała możliwości, żeby kiedykolwiek jeszcze mogła być Sithem. Wstała i wycofała się w głąb dżungli. Zatrzymała się dopiero, kiedy okręt był ledwo widoczny przez roślinność.

*Polecę z tobą, odparła Vestara. Ale nie wiem, czy mój lud mnie przyjmie. Zabiłam zbyt wielu z nich.*

*Lady Khai, czy naprawdę sądzisz, że Zapomniane Plemię to jedyni Sithowie w galaktyce? -*

*spytał Statek. Są jeszcze inni i potrzebują cię.*

- Inni Sithowie? - Vestara zaczęła nieco bardziej optymistycznie patrzeć w przyszłość. -

Sithowie, którzy by mnie przyjęli?

*Sithowie, którzy cię potrzebują, powtórzył Statek. Spędziłaś dużo czasu ze Skywalkerami.*

*Czy nie dostrzegasz, jak wielką to ma wartość?*

Optymizm Vestary wzmocnił się pewnością siebie, a nawet dumą. Zrobiła coś, czego nie mógł dokonać żaden inny Sith w galaktyce. Była z Lukiem i Benem Skywalkerami przez blisko rok i - jak dotąd - przetrwała, więc mogła to wykorzystać.

*W takim razie lepiej się pospiesz, przykazała Statkowi. Rampa pinasy opadła znów ze szczękiem na kamienny dziedziniec. Ben i Jaina już po mnie idą.*

*Ląduję za dwie minuty i dziesięć sekund, oznajmił Statek. Lady Sithów na pewno zdoła ich powstrzymać do tego czasu.*

*Lady Sithów? Vestara była bardziej skonsternowana niż podekscytowana, bo nie słyszała o żadnym Lordzie Sithów poniżej dwudziestki, a nawet poniżej trzydziestki. Nie jestem żadną Lady.*

*Nie wiem, czy jestem gotowa.*

*Jeśli mówię, że jesteś Lady Sithów, to nią jesteś, Lady Khai. I właśnie to mówię. Dwie minuty.*

Vestara nie wiedziała, czy się cieszyć, czy bać. Tytuł Lorda Sithów niósł ze sobą tyle samo niebezpieczeństw, co przywilejów. Ale oświadczenie Statku nie pozostawiało wątpliwości. I właściwie dlaczego miałoby ją to dziwić? W końcu zwodziła sławnego Luke'a Skywalkera przez wiele miesięcy. Zabiła Lorda Sithów i odegrała kluczową rolę w zabiciu samej Abeloth. I - co najważniejsze - odkryła tożsamość królowej Jedi.

A więc może Vestara była gotowa na przyjęcie tego tytułu. Być może nawet na niego zasłużyła.

Ben i Jaina pojawili się na szczycie rampy i zmarszczyli podejrzliwie brwi, szukając wzrokiem Vestary. Ben wciąż miał na sobie zakrwawiony płaszcz, a Jaina była w swoim skafandrze próżniowym. Żadne z nich nie miało broni - przynajmniej takiej, którą Vestara dostrzegłaby przez roślinność.

- Vestaro? Gdzie jesteś? - zawołał Ben. Poczuli, jak szuka jej w Mocy, i prawie od razu spojrzeli w jej kierunku. - Wyłaź.

Zdając sobie sprawę, że większą szansę na przetrwanie dwóch minut z Benem i Jainą da jej rozmowa niż walka, Vestara ukryła broń pod płaszczem, wstała i podeszła bliżej dziedzińca.

- Tutaj! - krzyknęła. - Przepraszam!

Spojrzenia obojga Jedi skierowały się w miejsce, gdzie stała. Szybko zeszli po rampie na dziedzińiec i odsunęli się od siebie.

Ben przyglądał jej się przez chwilę, po czym zapytał:

- Co ty tam robisz, Ves?

Jego głos brzmiał tak swobodnie, że Vestara niemal zwątpiła w konkluzję, do której wcześniej doszła. Za to Jaina okrążała dziedzińiec, jakby chcąc zająć odpowiednią pozycję do ataku z flanki, a Vestara zauważyła jeszcze, że lewa dłoń Bena jest lekko zaciśnięta, jakby chował w rękawie coś, co wpadłoby mu do ręki po wyprostowaniu nadgarstka.

Vestara wzruszyła ramionami.

- Ukrywam się, oczywiście. - Przeniosła wzrok na Jainę, która natychmiast się zatrzymała i położyła rękę na biodrze. - Jeśli Statek gdzieś tu jest, nie chcę, żeby mnie zobaczył.

- No tak, słusznie - powiedział Ben. - Ale możemy już lecieć. Chodź.

Vestara pozostała na miejscu i w dalszym ciągu patrzyła na Jainę.

- Zrobiłaś już Benowi prześwietlenie czaszki?

Jaina pokiwała głową.

- Nic mu nie jest. - Jaina się nie ruszała, za to teraz Ben zaczął ją okrążać z drugiej strony. -

Ale z Wielkim Mistrzem Skywalkerem jest gorzej. Musimy lecieć.

- Zdążyłaś zrobić prześwietlenie czaszki i naprawić statek? - spytała Vestara, siląc się na ton pełen podziwu. - Szybka jesteś.

Jaina zmrużyła oczy i znów ruszyła w stronę Vestary.

- Emdee zrobił prześwietlenie. Idziesz czy nie?

- Jasne. - Vestara zerknęła na niebo i zobaczyła ciemne kółko mniej więcej wielkości pięści ponad grzbietem górskim po przeciwnej stronie dziedzińca. Potem spojrziała na Bena, który zastygł

w bezruchu. - Jak tylko Ben pokaże mi, co chowa w rękawie.

Brwi Bena wygięły się w zdumieniu.

- Nie ma się czego obawiać, Ves. - Wyprostował nadgarstek i z rękawa wypadła mu strzykawka, lądując w dłoni. - To tylko środek uspokajający.

- A po co mi środek uspokajający? - Vestara zrobiła krok w głąb dżungli, starając się, by wyglądało to zupełnie naturalnie. Zaczęła czerpać z Mocy, przygotowując się do walki. -

Wyglądam na pobudzoną?

- To moja wina, obawiam się - oświadczyła Jaina, wciąż okrążając dziedziniec. Była już prawie przy arkadzie, skąd mogła zaatakować jednym wspomaganym Mocą skokiem. - Luke jest w tak kiepskim stanie, że wolę nie ryzykować, a ty... no cóż, nie tak dawno jeszcze byłaś Sithem.

- tylko dopóki nie wylecimy z Otchłani, Ves. - Ben zaczął zachodzić ją z drugiej strony. - To nic nie znaczy. Zaufaj mi.

- Ach, Ben... - Vestara poczuła rozdzierający ból, jakby dosłownie serce wyrwano jej z piersi. - Musiałeś to powiedzieć?

Uniosła rękę i poraziła go błyskawicą Mocy, która odrzuciła go do tyłu i podpaliła szaty. W

tym czasie Jaina, pomagając sobie Mocą, skoczyła do ataku. Vestara odwróciła się i skierowała błyskawicę Mocy w stronę najbliższego zagrożenia.

Jaina przyjęła błyskawicę na miecz świetlny i wylądowała na skalnym występie zaledwie kilka metrów od niej.

*Skacz!* Znad górskiego grzbietu dobiegło ostre skwierczenie, które szybko przybierało na sile, w miarę jak Statek zbliżał się do dziedzińca. *Skacz wysoko!*

Posługując się Mocą, Vestara wybiła się wysoko w górę, kreśląc w powietrzu łuk nad dziedzińcem. Jaina rzuciła się za nią, ale wtedy obok Vestary przemknęła ognista smuga - jeden z kamiennych pocisków Statku, lecący z taką prędkością, że powietrze dosłownie stawało w płomieniach.

Pocisk z ogłuszającym hukiem uderzył o skalny występ, a Statek zanurkował, zgarniając w locie Vestarę. Dziewczyna wpadła na tylną ścianę kabiny pasażerskiej z taką siłą, że odebrało jej dech, i pozostała tam, przygwożdżona przez przyspieszenie.

*Przepraszam za to uderzenie, mitygowałem się Statek. Wyhamowałem tak bardzo, jak to było możliwe.*

- Dobrze się... spisałeś - wydusiła Vestara, próbując złapać oddech. - Ale teraz możesz już trochę zwolnić.

*Jak sobie życzysz, Lady Khai.* Statek zwolnił na tyle, że Vestara mogła opuścić nogi na miękką

podłogę kabiny pasażerskiej. *Mam nadzieję, że nie jesteś ranna.*

- Yyy... nie.

Vestara stanęła z boku kabiny. Po chwili pojawiła się przed nią przezroczysta tafla i dziewczyna zobaczyła dziedziniec, na którym razem z Benem zabili Abeloth - szary owal wielkości kciuka, niknący w szmaragdowym bezkresie otaczającej go dżungli. Ku swojemu przerażeniu poczuła na policzku łzę. Natychmiast ją otarła.

- Przynajmniej nie z zewnątrz - szepnęła.

Moc zmąciło zakłopotanie Statku.

*Masz jakieś wewnętrzne urazy?*

- Nie, nic z tych rzeczy - odparła Vestara. - To nie ma natury fizycznej.

*Ach. Cierpisz z powodu młodego Skywalkera.*

Vestara patrzyła, jak szary owal zamienia się w szary punkcik, by w końcu zniknąć pod nieprzeniknioną zasłoną chmur, a potem odwróciła się i pokiwała głową.

- Tak, to prawda - przyznała. - Byłam w nim zakochana.

*W takim razie wszystko będzie dobrze, zapewnił ją Statek. Nawet lepiej niż dobrze.*

- Skąd ta pewność? - spytała Vestara.

*Ponieważ miłość to ból, Lady Khai, odparł Statek. A ból daje Sithom siłę.*

## **ROZDZIAŁ 35**

Luke otworzył oczy i zobaczył niewyraźną złocistą plamę - nocną stronę Coruscant, jak się domyślił, wiszącą za iluminatorem przedziału medycznego.

To, że przedział medyczny miał iluminator, było dobrym znakiem. Znaczyło, że znajdował

się na pokładzie sporego statku - najprawdopodobniej fregaty „Czerwona Gwiazda”, z której on i Jaina wyruszyli do Otchłani. Znaczyło to również, że Jaina przeżyła i odtransportowała go z powrotem w bezpieczne miejsce. Wyszła zwycięsko ze starcia ze Statkiem i, niemal na pewno, dotarła na ojczystą planetę Abeloth.

A to znaczyło, że znalazła Bena.

Luke poszukał swojego syna w Mocy i z wielką radością stwierdził, że znajduje się niedaleko, na przodzie statku, z wieloma innymi znajomymi istotami. Wyglądało na to, że są pogrążeni w dyskusji - ich umysły były skupione, a nastrój poważny.

Po chwili aura Bena w Mocy zaskwierczała radością, a inne obecności zaczęły dygotać z podniecenia wywołanego świadomością, że Luke się obudził. Sam także wypełnił swoją obecność radością, a w odpowiedzi zalała go fala miłości i szczęścia. Czuł Corrana i Sabę, i wielu innych Mistrzów. Od wszystkich biły ulga i euforia. Głębia ich emocji była tak czysta i potężna, że sam nie wiedział, co o tym sądzić. Poczuł zmieszanie, wdzięczność i lekką konsternację. Zastanawiał się, jak długo był nieprzytomny - i co się działo w tym czasie, kiedy on wracał do zdrowia.

Odpowiedź nadeszła chwilę później, kiedy Luke zaczął w końcu widzieć wyraźnie i zobaczył, co się stało z Coruscant. Planeta wciąż była mieniącą się tarczą światła, ale teraz przerywały ją ciemne obszary, długie na setki kilometrów, i plamy migoczącego szkarłatu, do których przylegały potężne pasy przyćmionego dymem światła.

Znaczna część Coruscant albo płonęła, albo leżała w gruzach - nie tylko na placu Wspólnoty, ale w tysiącach miejsc na całej planecie. Pomimo wysiłków Zakonu Jedi Sithowie doprowadzili do rozprzestrzenienia się walk na cały świat. Abeloth zaś... Abeloth sprowadziła mrok.

Luke wyłączył monitory medyczne, żeby nie zaalarmowały personelu, po czym usunął z ręki cewniki kroplówek. Powoli i z wielkim wysiłkiem wstał z łóżka i włożył czysty szlafrok, który znalazł złożony w szafce przy łóżku. Był obolały i wyczerpany od gorączki, a osłabione nogi drżały. Jednak najbardziej dokuczał mu ból w klatce piersiowej, gdzie wciąż czuł zwiniętą mackę Abeloth - pusty, mdlący żar, który, jak sądził, zostanie z nim może nawet do końca życia.

Za plecami Luke usłyszał cichy zgrzyt otwierającego się włazu, a potem stukot zbliżających się kroków. Odwrócił się i zobaczył swojego syna, ubranego w krótki płaszcz, narzucony na spodnie i buty. Jedynym śladem po jego starciu z Abeloth było kilka zabliznionych ran i nowa pewność siebie, dzięki której nagle wydawał się wyższy, silniejszy i znacznie mniej niewinny.

- Co ty robisz ubrany? - zapytał Ben, wskazując na puste łóżko. - Powinieneś być w łóżku!

Luke tylko się uśmiechnął.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, synu.

Rozłożył ręce i uściskali się, a potem rozmawiali przez dwadzieścia minut. Luke wyjaśnił, co zaszło Poza Cieniami i jak został ranny, Ben zaś zrelacjonował to, co się działo, kiedy Luke był

w śpiączce - zwłaszcza kłopoty, jakie miała Leia z przekonaniem Hana, żeby zastąpił zniszczoną kabinę „Sokoła” nowocześniejszym sprzętem. Wymienił ofiary i ocalałych, wyliczył zniszczenia na Coruscant i przeprosił, że dał się oszukać szpiegowi Sithów.

- Cóż mogę powiedzieć? Od początku miałeś rację co do Vestary. - Głos Bena był pełen goryczy. - Jak tylko zorientowała się, że wiemy o zamachu na Allanę, odleciała Statkiem.

Luke ścisnął syna za ramię.

- Ben, nie bądź dla siebie taki surowy. Ostatecznie nie tylko ty jej zaufałeś. - Luke, który sam w młodości zakochał się w agentce Sithów, rozumiał, jak zdradzony i upokorzony musi się czuć jego

syn. - To się nazywa doświadczenie i ważne jest, żeby wyciągać z tego wnioski.

- Dzięki, ale nie powinienem być jej pozwolić uciec - powiedział Ben. - Wiedziała bardzo dużo o Zakonie Jedi, a teraz to samo wiedzą Sithowie.

- My też się dużo dowiedzieliśmy, Ben. - Luke myślał nie tyle o Sithach, co o Jedynych i o Równowadze, ale nie chciał zdręzczać syna rozmowami o filozofii Mocy tuż po tym, jak otarł się o śmierć. - Poza tym mam przeczucie, że jeszcze nieraz spotkasz Vestarę Khai.

Wyraz twarzy Bena był wciąż stanowczy.

- Mam nadzieję - odparł. - Bo byłem karkolonym durniem, że jej uwierzyłem. I wścieka mnie to!

Luke uniósł brew.

- Synu, chyba przegapiłeś ten fragment, kiedy mówiłem: „Ostatecznie nie tylko ty jej zaufałeś”.

Ben przez chwilę wyglądał na zakłopotanego, ale zaraz się skrzywił, zdając sobie sprawę, że właśnie niechcący nazwał Wielkiego Mistrza Zakonu Jedi karkolonym durniem.

- Eee... nie chodziło mi o ciebie, tato.

Luke się uśmiechnął i zaraz uświadomił sobie, że z tej radości, że widzi Bena, nie zwrócił

uwagi, że zaczyna mu być słabo. Wziął głęboki oddech i zmusił się, żeby stanąć prosto.

- Myślę, że tym razem mogę ci wybaczyć, Jedi Skywalker - oznajmił. - A teraz chciałbym cię prosić o parę rzeczy.

Ben wyprostował ramiona.

- Oczywiście.

- Po pierwsze, nie wpuszczaj tu droidów Emdee, dopóki nie będę na nie gotowy - poprosił

Luke. - Muszę się zobaczyć z kilkoma osobami i nie chcę tracić energii na użeranie się z droidami.

- Dobrze, ale nie sądzisz, że powinieneś...

- Znam swoje możliwości, Jedi Skywalker - oświadczył Luke. - Po drugie, poproś Mistrzynie Sebatyne, żeby wysłała oddział po Raynara Thula. Oczywiście nie będzie chciał wracać, ale teraz, gdy Abeloth została zniszczona, a mieszkańcy Mortisa nie żyją, Jedi nie powinni prowokować Chissów, pomagając Killikom w odbudowie roju.

Ben pokiwał głową.

- Przekażę to Mistrzynie Sebatyne, jak tylko stąd wyjdę - zapewnił. - Co jeszcze?

- Wyczułem obecność Wynna Dorvana wśród Mistrzów - zaczął Luke. - Czy wciąż jest przywódcą Sojuszu?

- Pełniącym obowiązki przywódcy, owszem. On i Rada Jedi spotykają się, żeby... - Ben zawahał się i wyjrzał przez iluminator na zrujnowaną planetę w dole. - No cóż, Senat jest zaniepokojony sytuacją na Coruscant... i rolą Jedi w tym, co się stało.

- W takim razie cieszę się, że się spotykają - odrzekł Luke. - Poproś Dorvana, żeby przyszedł razem z Mistrzami. Jest coś, o czym musimy wszyscy porozmawiać.

- Już się robi, Wielki Mistrzu. - Ben schylił głowę, przyjmując polecenie, ale zaraz podniósł wzrok. - Tylko się zbytnio nie forsuj, tato. Wyglądasz jak sponiewierany przez wampę.

Potem wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Luke uśmiechnął się mimo to, wdzięczny za troskę syna, po czym odwrócił się, by popatrzeć na zniszczenia. Trudno było stwierdzić, czy przedstawiona przez Thuruht historia pochodzenia Abeloth jest całkowicie zgodna z prawdą, ale Luke wierzył relacji Jedi na temat spotkania na Mortisie - i budziła ona jego niepokój. Jego ojciec, kiedy odmówił objęcia funkcji nowego Strażnika Równowagi, zapoczątkował straszliwy łańcuch zdarzeń. Cała trójka Jedynych zginęła, a Równowaga Mocy była teraz zachwiana.

Spoglądając wstecz na ostatnie pół wieku, Luke nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wszystko zmierza w stronę chaosu. Potężne siły ciemności dochodziły do głosu w całej galaktyce - Jacen Solo został Darthem Caedusem, Sithowie powracali całymi hordami, a w Otchłani objawiła się Daala. Boba Fett stał teraz na czele całej armii najemników, a imperialni moffowie opracowali i uwolnili straszliwą nanobroń.

Galaktyka na ich oczach chyliła się w stronę mroku i według Luke'a tylko Jedi i ich sojusznicy mogli przywrócić Równowagę. Jeśli nie oddadzą się całkowicie światłu, wszystko przepadnie.

Cichy zgrzyt otwieranego wjazdu rozległ się ponownie, a kiedy Luke się odwrócił, zobaczył

swoją siostrzenicę, wchodzącą do przedziału na czele długiego orszaku Mistrzów. Całkowicie uleczona z ran, Jaina wyglądała zdrowo i pięknie, i był w niej wewnętrzny spokój, który Luke wcześniej u niej wyczuwał.

- Dobrze cię widzieć na nogach, Wielki Mistrzu Skywalker - cieszyła się Jaina, podchodząc do Luke'a i biorąc go w ramiona. - Jak się czujesz?

- Szczerze mówiąc, trochę słabo, ale wspaniale jest wrócić między żywych.

Jaina spojrzała na krzesło stojące przy łóżku.

- Może powinniśmy usiąść? - zaproponowała.

Luke pokręcił głową.

- Nic mi nie będzie, a są pewne sprawy, które chciałbym poddać Radzie pod rozwagę, zanim się zmęcę.

W oczach Jaiya pojawił się błysk niepokoju, ale skinęła głową.

- Tylko się zbytnio nie forsuj, dobrze?

Luke obiecał, że będzie uważać, po czym szybko przywitał resztę gości: Corrana Horna, Kyle'a Katarna, Kypa Durrona, yuzzemską Mistrzynię Barratk'1, Cilghal, Octę Ramis - czyli całą Radę Jedi poza Kamem i Tionną Solusarami, którzy wciąż byli na Shedu Maad, oraz Sabą Sebatyne, która stała przed wejściem, wydając rozkazy dotyczące ściągnięcia z powrotem Raynara Thula.

Wynn Dorvan wszedł ostatni. Wydawał się spokojny, czujny i w nadspodziewanie dobrej formie po męczarniach, jakich doznał z rąk Sithów. Właściwie jedynym widocznym efektem tortur były podkrążone oczy, które świadczyły o problemach ze snem, i niemal obsesyjne głaskanie włochatej główki chitlika, która wystawała z kieszeni tuniki.

- Dzięki, że do nas dołączyłeś, Wynn - oznajmił Luke, podając mu rękę. - Opowiedz mi o sytuacji na Coruscant.

Dorvan przestał na chwilę głaskać chitlika, żeby ucisnąć Luke'owi dłoń.

- Jest zła, ale pod kontrolą - oznajmił. - Aktywność wulkaniczna na całej planecie ustała, chociaż miną pewnie lata, zanim zrobimy choćby wstępne podsumowanie szkód, jakie powstały w podziemiach. Zespół badający aktywność sejsmiczną wykrył tam ponad sto tysięcy miejsc, które wymagają zbadania, i nie zawsze można mieć pewność, czy szukamy pokładów magmy, efektów ataku terrorystycznego, czy zawalonego budynku.

- Proszę mu powiedzieć o śmiertelnych chmurach - przypomniał Kyp Durron.

Twarz Dorvana przybrała posępny wyraz.

- Właśnie - zgodził się. - Chmury popiołu, trującego gazu i toksycznego dymu wciąż rozprzestrzeniają się w podziemiach. Podejrzewamy, że ofiary wśród tamtejszej ludności są olbrzymie. Luke, one mogą iść w miliardy.

Luke'a ogarnęła nagła fala mdłości.

- Przykro mi - powiedział. - Żałuję, że nie powstrzymaliśmy Abeloth, zanim dotarła na Coruscant.

- A ja się cieszę, że w ogóle ją powstrzymaliście - zauważył Dorvan. - I szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że wam się to udało. Widziałem tylko część tego, do czego była zdolna, i...

Dorvan zawiesił głos.



- Wszyscy się cieszymy, że udało nam się jej pozbyć. - Luke poczuł w Mocy drgania niepokoju. Obejrzał się na Kypa, który zerkał na Kyle'a z zatroskaną miną. Luke'owi serce podeszło do gardła. - Nie pozbyliśmy się jej?

- Z tego, co wiemy, to tak - przytaknął Kyle, uspokajając Luke'a gestem. - Ale otrzymaliśmy niezwykle meldunek.

- Od kogo? - spytał Luke.

- Od Rycerzy Jedi Arelisa i Saara - odezwała się Barratk'1. - Pracowali na Zewnętrznych Rubieżach, pomagając niewolnikom budować wolne społeczeństwa, prawda?

Luke skinął głową.

- Mów dalej.

- Trzy dni temu zostali zaatakowani przez mackę - wyjaśniła Barratk'1. - Wyłoniła się z Mocy i próbowała udusić Jedi Saara. Kiedy Jedi Arelis zapalił miecz świetlny, wypuściła Saara i rzuciła się na Arelisa, a potem po prostu się rozplynęła.

- Sothais mówił, że wyglądała, jakby chciała zaatakować - dodała Octa Ramis. - Ale nie mogła długo wytrwać. Zniknęła z powrotem w Mocy.

Na wpół zaleczona rana na piersi Luke'a nagle go rozboleła.

- Jakies meldunki od tego czasu?

- Nie - zaprzeczył Kyle. - Sądzymy, że to, co zostało z Abeloth, próbowało się złączyć wokół symboli jej nienawiści.

- Myślę, że macie rację - przyznał Luke. Wciąż czuł jej zimną mackę, wijącą się w jego ranie na piersi; widmo wspomnienia, przypominające mu, że bytu Mocy nie da się całkowicie zabić, że za sto albo za sto tysięcy lat urośnie w siłę na tyle, żeby powrócić. - Będziemy musieli znaleźć jakiś sposób, żeby mieć ją na oku. Może nie wróci za naszego życia, ale Zakon Jedi musi być gotów.

- Do czego? - spytał Kyp.

- Do tego, żeby ją zabić - stwierdził Luke. Pomyślał o wyprawie swojego ojca na Mortisa, o specjalnym nasyconym Mocą sztylcie, którym zabito Córkę i Ojca. - Musimy znaleźć monolit z Mortisa.

- Mistrzu Skywalker, mam nadzieję, że wybaczysz mi to pytanie - odezwał się Dorvan - ale kiedy opowiadałeś historię, którą słyszałeś od Yody, czy nie wspominałeś, że monolit dryfuje?

- Zgadza się.

- Więc chyba raczej trudno będzie go znaleźć - odgadł Dorvan. - Nawet gdybyście znali przybliżone współrzędne...

- A nie znamy - wtrącił Luke.

Dorvan spochmurniał. Zaczynał rozumieć sens słów Luke'a że w przypadku Abeloth nie ma żadnych gwarancji. Nawet jeśli teraz odeszła, kiedyś powróci - a jeśli Jedi nie będą gotowi, Niszczycielka dokończy to, co zaczęła.

Widząc, jak uświadomienie sobie grozy tego faktu zmienia twarz Dorvana, Luke miał ochotę dotknąć udręczonego mężczyznę poprzez Moc, pocieszyć go i zapewnić, że Jedi obronią jego, Coruscant i całą galaktykę.

Ale to byłoby kłamstwo. Prawda wyglądała tak, że Luke nie wiedział, co przyniesie przyszłość; nie miał pojęcia, czy on i Jedi sprostają wyzwaniom, jakie na nich czekały. Mógł

jedynie - jak każdy śmiertelnik - pokładać wiarę w sobie i w innych Jedi i dawać z siebie wszystko.

Reszta zależała od Mocy.

- Chciałbym móc cię zapewnić, że Abeloth nie wróci, Wynn - powiedział w końcu Luke. -

Ale przyznaję się, że po prostu nie wiem. Gdyby Jedi potrafili powstrzymać ją przed przybyciem na Coruscant za pierwszym razem, zrobilibyśmy to. Przykro mi, że zawiedliśmy.

- To nie twoja wina ani Zakonu Jedi - odparł Dorvan, zbywając przeprosiny machnięciem ręki. - Ja to wiem, nawet jeśli Senat nie wie.

Jaina przyniosła Luke'owi krzesło, o które nie prosił - nie taka znów subtelna aluzja, że wygląda na zmęczonego. Luke dał jej znak, żeby postawiła krzesło przed iluminatorem, ale na razie jeszcze nie siadał.

- A więc były jakieś narzekania, że nie zdołaliśmy ochronić Coruscant?

- Więcej niż narzekania - warknęła Bairatk'1. - Przegłosowali usunięcie nas z planety!

Luke popatrzył na Kyle'a Katarna, bez wątplenia najbardziej obeznanego z polityką spośród obecnych Mistrzów, licząc na wyjaśnienia.

- Senat poprosił Zakon Jedi o opuszczenie Coruscant?

Kyle skinął głową i spojrzał na Dorvana.

- Pan Dorvan właśnie nam o tym mówił, kiedy się obudziłeś - odrzekł. - Musieli obarczyć kogoś odpowiedzialnością za tę apokalipsę, a Koalicja Wewnętrznych Rubieży bardzo skutecznie zrzuciła winę na nas.

- I mieli dostatecznie dużo głosów, żeby odrzucić weto, mógłbym dodać - zaznaczył

Dorvan. W jego obecności w Mocy pojawił się lekki chłód, nie na tyle wyraźny, by dowodzić kłamstwa, ale wystarczająco, żeby sugerować, że mężczyzna zataił część prawdy. - Obawiam się, że te wszystkie oszczerstwa BAMR miały jednak wpływ na reputację Zakonu.

- Javis Tyrr znów się ujawnił - wyjaśnił Corran. - Nadaje na pirackim kanale HoloNetu i twierdzi, że wszystkie zniszczenia są efektem brutalnej wojny przyprawowej między Jedi a ich konkurentami.

- I z przykrością muszę stwierdzić, że zyskał znaczny posłuch, zwłaszcza wśród tych ambitnych i pozbawionych skrupułów - zauważył Dorvan. - Jest wielu spragnionych władzy polityków, którzy głośno domagają się opuszczenia Coruscant przez Jedi.

- Powinniśmy się zastanowić, czy nie mają racji. - Luke usiadł na krześle, które przyniosła Jaina, i dodał: - Nie w kwestii wojny przyprawowej, rzecz jasna, ale w kwestii opuszczenia planety.

Luke nie był specjalnie zaskoczony, że jedyna aura w Mocy, która nie zadrżała ze zdumienia, należała do Wynna Dorvana. Przywódca Sojuszu przyglądał mu się przez parę chwil, a w końcu uniósł brwi z miną, która wyrażała głównie zaciekawienie.

- Naprawdę byłbyś skłonny to rozważyć?

- Więcej niż skłonny. - Kiedy Luke mówił, do pomieszczenia weszła Saba. Dała do zrozumienia, że wysłała kogoś po Raynara. Luke pokiwał głową i powiódł wzrokiem po kręgu Mistrzów. Prawdę mówiąc, myślę, że najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli Jedi wyprowadzą się z Coruscant.

- Dlaczego? - wypalił Corran. - Sithowie przylecieli tu dlatego, że chcieli zdobyć Coruscant, nie dlatego, że dążyli do konfrontacji z nami.

- To prawda. - Głos Cilghal był cichy i zamyślony. - Ale wszyscy wiemy, że walka między Jedi a Sithami będzie trwać, i to prawdopodobnie przez wiele wieków.

- A więc tak długo jak Jedi tu pozostaną, Coruscant będzie polem bitwy - zgodził się Luke. -

Jeśli nas tu zabraknie, Sithowie nie będą mogli wyrządzić krzywdy Coruscant, podczas konfrontacji z nami.

- To nie znaczy, że zostawią Coruscant w spokoju - zaprotestował Kyp. - To wciąż stolica Galaktycznego Sojuszu. Będą chcieli ją zdobyć.

- Ale nie rzucą do walki wszystkich sił - odparł Kyle, również przychyłając się do zdania Luke'a. - Tak długo, jak Jedi będą poza planetą Sithowie będą musieli się liczyć z ich atakiem. To ich zmusi do zmiany taktyki i odwróci uwagę od Coruscant.

- A Galaktyczny Sojusz nie jest bez nas całkiem bezbronny - zauważyła Jaina, kładąc rękę na oparciu krzesła Luke'a. - Ma największe siły zbrojne w galaktyce. Pan Dorvan mógłby zaproponować rezolucję, stwierdzającą że każda próba infiltracji Galaktycznego Sojuszu będzie traktowana jak

wypowiedzenie wojny. Sithowie dobrze by się zastanowili, zanim spróbowaliby znów zaatakować Coruscant.

- Myślę, że to się da zrobić. - Głos Dorvana zdradzał nie tyle samozadowolenie, co wyraźną ulgę. Luke zrozumiał, że przywódca dostał dokładnie to, czego chciał: najlepsze rozwiązanie dla Galaktycznego Sojuszu. Dorvan spojrzał Luke'owi w oczy, po czym uniósł pytająco brew. -

Zwłaszcza jeśli będę mógł to przedstawić jako cenę opuszczenia przez Jedi Coruscant.

Luke pokiwał głową.

- Oczywiście - przytaknął. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy umieścili paru Jedi w twojej kancelarii, żeby wypatrywali agentów Sithów.

- Nie musieliby działać jawnie, prawda?

- Zapewne przyniesie to lepsze efekty, jeśli nie będą - zgodził się Kyle.

Dorvan nawet się uśmiechnął.

- W takim razie chyba osiągnęliśmy porozumienie.

- Jeszcze nie. - Luke uniósł rękę, powstrzymując Dorvana, po czym powiódł wzrokiem po Mistrzach.

- Jesteśmy zgodni?

Mistrzowie jeden po drugim wyrażali zgodę, niektórzy z większym przekonaniem niż inni, ale wszyscy szczerze. Kiedy Luke doszedł do najmłodszej Mistrzyni, Jaina odwróciła się i przez długą chwilę patrzyła na planetę, aż wreszcie skinęła głową.

- Zgoda - powiedziała. - Niełatwo będzie żyć gdzie indziej, ale jeszcze trudniej byłoby patrzeć, jak Coruscant wstrząsają kolejne bitwy.

Dorvan odetchnął z ulgą i podszedł do krzesła, na którym siedział Luke.

- Dziękuję, że nam tego nie utrudnialiście - oznajmił. - Jesteśmy wdzięczni Jedi za wszystko, co zrobili i co poświęcili, ale wiedząc, że gdzieś tam jest cały świat pełen Sithów...

Urwał, bez wątpienia szukając słów, żeby wyrazić to, co wszyscy zebrani wiedzieli - że Coruscant dosyć już wycierpiała.

- Nie ma potrzeby tego tłumaczyć. - Luke wstał i uścisnął Dorvanowi rękę ze szczerą sympatią. - Będiesz jednym z największych przywódców w historii. Niech Moc będzie z tobą, przyjacielu.

## **ROZDZIAŁ 36**

Ostatecznie Lando zaproponował kompromis i brakująca kabina „Sokoła” została zastąpiona wykonaną na zamówienie repliką. Ze względu na Hana miała identyczne rozmieszczenie foteli i

konfigurację przyrządów kontrolnych, które dla niego stanowiły jakby przedłużenie własnego ciała. Z myślą natomiast o Leii drążki zostały zamontowane na teleskopowych wysięgnikach, żeby nie musiała trzymać rąk na wysokości ramion, kiedy siadała za sterami. A dźwignie przepustnicy przesunięto bliżej fotela drugiego pilota z uwagi na jej krótszy zasięg ramion.

Jednak zdecydowanie najlepsze były nowe fotele. Choć wyglądały tak samo jak podstawowe modele, które fabrycznie zamontowano w starym YT-1300, zostały wyposażone w najnowsze systemy zwiększające komfort załogi - dopasowującą się do ciała gąbkę, wbudowaną aparaturę podgrzewającą i masującą, zintegrowane czujniki postawy pilota, które mogły brzęczeć, wprawiać fotel w drgania albo nawet razić pilota prądem przy pierwszych oznakach bezwładności.

Krótko mówiąc, można było spędzić całą zmianę za drążkiem, unikając zmęczenia i nieuwagi - i nawet Han zaczynał uważać, że to świetna sprawa.

„Sokół” stał w hangarze oficerskim na pokładzie startowym gwiazdowego niszczyciela klasy Super - „Megador”, a przed sobą miał całą brygadę Skoczków Próżniowych w paradnych mundurach. Stali w szyku defiladowym już od godziny, a sądząc po pełnych napięcia szmerach rozlegających się na przemian z wybuchami nerwowego śmiechu, mieli stać jeszcze przez kolejną godzinę.

Han wzruszył ramionami, próbując się pozbyć poczucia winy. Elitarna gwardia honorowa to był pomysł Gavina Darklightera - pożegnalny prezent i wyraz wdzięczności za wszystko, czego Solo dokonali w ciągu minionych pięćdziesięciu lat na rzecz galaktycznej wolności. Było to także subtelne przypomnienie, że chociaż rodzina Solo miała żyć w innej części galaktyki, wciąż mieli przyjaciół w Galaktycznym Sojuszu - a Coruscant zawsze będzie ich domem.

Ale Han także miał powody, żeby się niecierpliwić. Po pierwsze, minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio wystroił się w wysokie buty i spodnie z czerwonymi lampasami pierwszej klasy, i zapomniał już, jak gryzący jest materiał tych spodni i jak jest w nich gorąco, kiedy się za długo siedzi. A po drugie, nie tylko jego żona i córka były podenerwowane; im dłużej trwały przygotowania, tym większe było prawdopodobieństwo, że będzie musiał zmienić koszulę.

Poza tym mnóstwo osób na nich czekało, a w takiej sytuacji Han był zawsze spięty.

Przed wylotem hangaru przemknęła eskadra StealthX-ów. Ich sylwetki tylko na moment zarysowały się na tle perłowej jasności Coruscant, zanim złamały szyk. Pomknęły w dziesięciu różnych kierunkach z taką prędkością, że Han nie zdołałby ich policzyć, gdyby nie wiedział, kim są

- Dziesięciu Rycerzy, wyruszających na poszukiwania monolitu z Mortisa i nasyconego Mocą sztyletu, który zabił Jedynych. Była to samotna misja i Han nie zazdrościł młodemu Jedi. Wszystko, co wiedzieli na temat monolitu, przypominało legendę, a jeśli Luke miał rację, że Abeloth przetrwała w Mocy, pewnego dnia przyszłość galaktyki mogła zależeć od ich sukcesu.

Kiedy ostatni z gwiazdnych myśliwców zniknął z pola widzenia, Han życzył im fury koreliańskiego szczęścia, a potem próbował zerknąć ukradkiem na chronometr na pulpicie sterowniczym.

Oczywiście Allana go przyłapała.

- Cierpliwości, dziadku. - Ubrana w elegancką białą sukienkę i wysadzany klejnotami diadem na rudozłotych włosach, wyglądała jak piękna księżniczka, którą była. - Wiesz, że bez nas nie zaczną.

- Wiem. - Han odwrócił się twarzą do wnuczki. - Allano, nie przeszkadza ci to? To, że wszyscy się dowiedzą, kim naprawdę jesteś?

Allana przechyliła głowę i Hanowi zdawało się, że zobaczył w jej oczach błysk nadziei -

błysk, który zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- A czy mam wybór? - zastanawiała się.

- Nie bardzo - przyznał Han. - Teraz, gdy Sithowie o tym wiedzą, to tylko kwestia czasu, zanim dowiedzą się wszyscy.

- Tak właśnie myślałam - powiedziała Allana. - Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, że nie dochowają zbyt długo tajemnicy. A mama mówi, że jeśli twój sekret ma się wydać, lepiej samemu wszystko ujawnić.

- To prawda - zgodził się Han. - Więc wygląda na to, że to twój pomysł.

Allana się uśmiechnęła.

- Zasada numer jeden blefowania: zawsze sprawiaj wrażenie, jakbyś panował nad sytuacją...

- ...a będziesz panował - dokończył Han. Zrobił pauzę, westchnął, a wreszcie przemówił cichym głosem: - A więc stało się.

- Co takiego? - spytała Allana.

- Nauczyłem cię wszystkiego, co wiem.

Allana zmarszczyła brwi.

- Wszystkiego? - zdziwiła się. - Trudno w to uwierzyć.

- No cóż, wszystkiego, co ważne - potwierdził Han. Przyjął poważniejszy ton. - To są dwie tajemnice życia, Allano. Nie komplikować spraw i sprawiać wrażenie, że się nad wszystkim panuje.

Allana rozważała przez chwilę jego słowa.

- Ile czasu zajęło ci nauczanie mnie tego?

Han wzruszył ramionami z uśmiechem.

- Niekomplikowanie spraw jest trudniejsze, niż myślisz. - Nachylił się, żeby podrapać nexu Allany za uszami, a w odpowiedzi usłyszał chrapliwy pomruk zadowolenia. - Jesteś pewna, że Anji nie będzie

sprawiać problemów?

- Anji jest mądrzejsza, niż myślisz, dziadku. Ona rozumie, że to wielkie wydarzenie.

- Właśnie tego się obawiam - odparł Han. - Żeby nie odebrała tego ogólnego podniecenia w niewłaściwy sposób.

Allana westchnęła ze znużeniem.

- Czy ktoś będzie do niej strzelał z blasterów?

- Miejmy nadzieję, że nie - powiedział Han. - A co z mieczami świetlnymi?

- Czy ktoś jej będzie machał nimi przed nosem?

- Wątpię - przyznał Han.

- W takim razie wszystko będzie dobrze - zapewniła Allana. - Zaufaj mi.

Han poczuł nagły przyływ radości i dumy.

- No cóż, skoro tak stawiasz sprawę, to chyba nie mam wyjścia.

Allana rzuciła mu jeden ze swoich krzywych uśmiechów, a potem dodała:

- Zastanawiałam się, czy kiedyś to w końcu pojdziesz!

Zanim Han zdążył zaprotestować, Anji uniosła głowę i zwróciła się do tyłu, a do kabiny wszedł, głośno stąpając, C-3PO.

- Mistrzynie Solo prosiła, żebym przekazał, że jest już gotowa.

- Wreszcie! - Han włączył napęd repulsorowy. - Już myślałem, że się rozmyśliła.

Na pokładzie startowym Gavin Darklighter wydał rozkaz, a brygada Skoczków Próżniowych stanęła na baczność i zaszutowała. Han mignął w odpowiedzi reflektorami „Sokoła”, odpalił repulsory i wyprowadził powoli statek z hangaru oficerskiego. Zanurkował pod dziobem

„Megadora” i poprosił o pozwolenie na opuszczenie przestrzeni wokół gwiazdnego niszczyciela.

Ku jego zaskoczeniu odpowiedział mu sam admirał Bwua'tu.

- Z największym żalem i wdzięcznością udzielam pozwolenia - oznajmił. - Bezpiecznej podróży, „Sokole Millenium”.

Kiedy „Sokół” przemierzał kilkanaście kilometrów, jakie oddzielały „Megadora” od

„Smoczej Królowej II”, Jaina ze zdziwieniem stwierdziła, że ogarnia ją całkowity spokój. Mając na

względnie fakt, że cały Zakon Jedi przenosił się do tajnej bazy na Shedu Maad, a Równowaga przechylała się coraz bardziej w stronę mroku, spodziewała się, że ogarną ją wątpliwości - a przynajmniej, że poczuje lekki dreszcz niepewności.

Nic takiego się jednak nie stało. Im bardziej „Sokół” zbliżał się do „Smoczej Królowej II”, tym bardziej Jaina była przekonana, że wypełnia wolę Mocy.

Było to cudowne uczucie.

Żołądek podszedł jej do gardła, gdy „Sokół” zwolnił, podchodząc do lądowania, a po chwili z dołu kadłuba dobiegło kilka głuchych odgłosów. Potem stary frachtowiec osiadł z sykiem i zgrzytem na wspornikach w prywatnym hangarze królowej matki.

Matka Jainya nachyliła się i ścisnęła ją za rękę.

- Gotowa?

- Nigdy w życiu na nic nie byłam tak gotowa. - Jaina poprawiła suknię, tradycyjną białą suknię z długim trenem, po czym wzięła od matki bukiet. - I chyba wystarczająco długo kazałam mu czekać, nie sądzisz?

Jej matka się uśmiechnęła.

- Zawsze lepiej mieć pewność.

Z korytarza prowadzącego do kabiny wybiegła Allana, trzymająca w rękach sukienkę, żeby się nie potknąć, a za nią Anji, świeżo wykąpana i wyglądająca tak milutko, jak tylko może wyglądać czterooki kotowaty drapieznik z pyskiem pełnym kłów. Allana spojrzała na bukiet w rękach Jainya i się uśmiechnęła. Wzięła koszyk płatków rozali, który miała nieść, i zajęła miejsce przed Jainą.

- Anji, lewa - rozkazała.

Anji podbiegła natychmiast do lewej nogi swojej pani i stanęła nieruchomo, niemal tak wysoka jak Allana.

Teraz z korytarza wyszedł ojciec Jainya, szelmowsko przystojny w swoich wysokich butach i lampasach. Podszedł do matki i ucałował ją w policzek, po czym zrobił krok do tyłu i otarł łzę spod oka.

- Więc nie udało ci się wybić jej tego z głowy?

Jej matka otworzyła szeroko oczy.

- Han!

Roześmiał się, stanął przy Jainie i nadstawił ramię.



- Wiesz, że jestem niepokieszony tylko dlatego, że był Imperatorem, prawda?
- Był przywódcą, tato, nie Imperatorem - poprawiła Jaina, biorąc go pod rękę. - I już z tym skończył.
- Mam nadzieję - odparł. - Nie pozwolę, żeby moja córka wychowywała małych Imperialnych.
- Tak jakbyś miał coś do powiedzenia w tej kwestii - zauważyła kpiąco Jaina. - Ale nie sądzisz, że trochę na to za wcześnie?
- Właśnie, dziadku, nie popędzaj ich - dodała Allana, oglądając się na swojego dziadka. -

Jeszcze nawet nie są małżeństwem.

Han uniósł brew.

- Nie są? - Odwrócił się w stronę R2-D2, który stał przy panelu kontrolnym rampy, i wycelował palcem w małego droida astromechanicznego. - Może pora coś z tym zrobić.

R2-D2 zaświergotał radośnie, po czym podłączył się do gniazdka dla droidów i opuścił rampę.

- Zaczekaj! - zaprotestował C-3PO, biegnąc na czoło orszaku. - Nie zająłem pozycji!

R2-D2 odpowiedział karcącym gwizdnięciem, na co C-3PO zatrzymał się przed rampą i odwrócił w jego stronę.

- Na pewno to nie jest moja wina! - oburzył się. - To ty opuściłeś rampę...

Resztę jego protestów zagłuszyły fanfary płynące z setki hapańskich rogów. See-Threepio zdał sobie sprawę, że zaraz przegapi moment, i podreptał w dół po rampie. Ze swojego miejsca w kajucie pasażerskiej Jaina widziała niewiele poza pokładem, na który zszedł. Czowała jednak przez Moc, że wokoło zebrały się setki istot, które spoglądają wyczekująco w stronę „Sokoła”.

C-3PO odwrócił się tyłem do statku, po czym przemówił donośnym, dostojnym głosem, który odbijał się echem w ogromnym pomieszczeniu.

- Wasza Królewska Mość, panie i panowie, przedstawiam matkę panny młodej, Rycerz Jedi, była przywódczynią Nowej Republiki i księżniczkę Alderaana, Leię Organę Solo.

Znów rozległy się głośne fanfary, którym teraz towarzyszyły oklaski setek par rąk. Matka Jainty uniosła podbródek i zeszła po rampie, elegancka i piękna w prostym białym płaszczu Jedi, który wybrała na tę ceremonię.

Kiedy zeszła na pokład, podszedł do niej jej brat i nadstawił jej ramię, zerkając przy tym w górę rampy. Nawet trzy miesiące po przebudzeniu ze śpiączki - albo transu uzdrawiającego, czy cokolwiek to było - Luke wciąż był blady i wyglądał na osłabionego, a w Mocy czuło się

nieustający, tępy ból jego rany. Jednak cierpienie nie osłabiło ciepła jego uśmiechu, a Jaina czuła, jak cieszy się jej szczęściem.

Kiedy Luke i Leia ruszyli przejściem między rzędami zebranych, See-Threepio ogłosił:

- Następczyni hapańskiego tronu, Chume'da Allana Djo Solo.

Długie rogi znów zadźwięczały, tym razem niemal ogłuszająco, a hangar wypełnił się gromkimi oklaskami.

Allana wzdrygnęła się, a po chwili głośno westchnęła.

- Chyba będę musiała się do tego przyzwyczać.

- Na to wygląda, mała - przyznał jej dziadek. - Ale są też korzyści.

Allana wyciągnęła szyję, żeby na niego spojrzeć.

- Naprawdę?

- Jasne - odparł. - Będiesz mogła spędzać więcej czasu z matką. A jak będziesz przechodziła szkolenie na Shedu Maad, to nikt nie będzie wiwatował. Będą tylko krzyczeć.

Allana się uśmiechnęła.

- Dzięki, dziadku - powiedziała. - To będzie ulga.

Dała znak Anji, żeby poszła za nią, i ruszyła po rampie, rozrzucając płatki rozali przed Jainą.

Kiedy zniknęła z pola widzenia, C-3PO ogłosił:

- Wasza Królewska Mość; panie i panowie, przedstawiam pannę młodą, Mistrzynie Jedi Jainę Solo i jej ojca, byłego generała...

Resztę prezentacji zagłuszyły fanfary i oklaski. Jaina czuła ciepło dumy swojego ojca w Mocy, świecącej niemal złociście w jego aurze, i nie po raz pierwszy zastanawiała się, czy przypadkiem jego legendarne szczęście nie bierze się z odrobiny wrażliwości na Moc. Ścisnął ją za rękę, uśmiechnął się i uniósł brew.

- Co powiesz, Mistrzynie Solo? - spytał. - Już czas uczynić Jaggeda Fela najszczęśliwszym człowiekiem w galaktyce?

Jaina pokiwała głową i razem zeszli na pokład, gdzie Kyp Durrone czekał na końcu dwóch długich rzędów Jedi. Naprzeciw niego, na honorowym miejscu zarezerwowanym dla bliskich przyjaciół, którzy narażali życie, przewożąc Jedi do Otchłani, i w dodatku dokonali najbardziej skomplikowanych napraw „Sokoła”, stał Lando Calrissian z rodziną.

Jaina poczuła, jak Kyp daje sygnał poprzez Moc - i dwa rzędy Jedi uniosły miecze świetlne i zapaliły je, tworząc skwierczący kolorowy baldachim, pod którym mieli przejść Jaina z ojcem.

Na drugim jego końcu stał Jagged Fel, ubrany w cywilną tunikę i spodnie, i patrzył na Jainę, uśmiechając się od ucha do ucha. Odwzajemniła uśmiech i niemal ciągnąc za sobą ojca, ruszyła między rzędami, żeby poślubić mężczyznę, którego kochała.

*Mrok był wieczny, wszechpotężny, niezmienny.*

*Wpatrywała się weń przez zbyt wiele lat, sama i bez zmrużenia oka, zdeterminowana, żeby jej nie pochłonął.*

*A teraz nigdy już nie pochłonie.*

*Teraz zapaliła świecę.*

## **PODZIĘKOWANIA**

*Wiele osób w większym lub mniejszym stopniu przyczyniło się do powstania tej książki.*

*Chciałbym podziękować im wszystkim, a w szczególności: Andrii Hayday za jej nieocenione sugestie i twórcze wsparcie; Jamesowi Luceno, Lelandowi Chee, Pablowi Hidalgo, Keithowi Claytonowi, Erichowi Schoeneweissowi, Scottowi Shannonowi, Frankowi Parisiemu i Carol Roeder za ich wkład w czasie naszych burz mózgów; Shelly Shapiro i Sue Rostoni za wszystko, od niezwyklej cierpliwości poprzez wnikliwe uwagi po wspaniałe pomysły; Jennifer Heddle za jej wkład w Apokalipsę i taktowne pojawienie się w końcowych etapach długiej i ekscytującej serii; Jasonowi Fry'owi za e-mailowe burze mózgów, dotyczące „niebiańskiego zetknięcia” naszych dwóch projektów - bardzo bym chciał, żeby ten rozdział znalazł się w przewodniku Essential Guide to Warfare !; współautorom Przeznaczenia Jedi, Aaronowi Allstonowi i Christie Golden, za to, że praca z nimi była taką frajdą; Laurze Jorstad za typową dla niej dbałość o szczegóły; wszystkim ludziom w Lucasfilm i Del Rey, dzięki którym pisanie o Gwiezdnym Wojnach daje tyle radości; i wreszcie George 'owi Lucasowi za to, że podzielił się odległą galaktyką z nami wszystkimi.*

# Table of Contents

BOHATEROWIE POWIEŚCI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

PODZIĘKOWANIA

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)